

Dean R. Koontz

Mroczne Ścieżki Serca

(Dark Rivers od the Hart)

Przełożył Zygmunt Halka

*Gary'emu i Zov Karamardianom
za ich cenną przyjaźń,
za sprawianie ludziom radości
i za stworzenie nam domu z dala od domu.
W przyszłym tygodniu
wprowadzamy się na stałe!*

CZEŚĆ PIERWSZA
NA NIEZNANYM MORZU

*Zbłąkani wędrowcy -
Nie wiemy, czym zapłacimy
Za naszą podróż.
Osobliwy ciąg zdarzeń
Zagadkowych, dziwnych, nierealnych -
Pozostawia nas w niepewności.
Ale żadna podróż po śmierci
Nie będzie taka ciekawa
Jak ta przez życie.
„Księga policzonych smutków”
Drżąca przędza losu
Spowija mnie delikatnie,
Ale kiedy próbuję się wymknąć -
Czuję, że jej nitki są ze stali.
„Księga policzonych smutków”*

Rozdział 1

Spencer Grant jechał samochodem przez rozświetloną noc, szukając czerwonych drzwi. Z niepokojem w sercu myślał o tamtej kobiecie. Czujny pies siedział spokojnie obok niego. O dach dżipa bębnił deszcz.

O zmierzchu owego ponurego lutowego dnia nadciągnęła znad Pacyfiku burza bez wiatru i błyskawic. Wyglądało na to, że deszcz, silniejszy niż mżawka, ale nie ulewny, wypłukał z miasta całą energię. Los Angeles z okolicami stało się metropolią o rozmytych konturach, bez tętna i bez ducha. Sylwetki budynków zlewały się z sobą, ruch na jezdniach był niemrawy, a ulice rozplływały się w szarej mgle.

Spencer jechał przez Santa Monica, mając po prawej stronie plaże i atramentowoczarny ocean. Musiał zatrzymać się na czerwonym świetle.

Mieszaniec Rocky, trochę mniejszy od labradora, z zainteresowaniem patrzył na drogę. Kiedy jeździli fordem explorerem, Rocky czasem spoglądał na boki, przyglądając się temu i owemu, ale głównie interesowała go droga na wprost.

Nawet gdy jechał w przestrzeni bagażowej, za przednimi siedzeniami, rzadko wyglądał przez tylne okienko. Bał się odpływającej w tył scenerii. Może od uciekających obrazów kręciło mu się w głowie, a od nadpływających nie.

Albo może kojarzył znikającą drogę ze swoją przeszłością. Wolał jej nie wspominać.

Tak samo jak jego pan.

Czekając na zmianę świateł, Spencer podniósł rękę do twarzy. Kiedy zaczynały się kłopoty, dotykał w zadumie swojej blizny. Niektórzy ludzie w podobnych sytuacjach przebierają paciorki różańca. Dotknięcie uspokajało go; przypominało mu, że największą grozę, jaką mógł kiedykolwiek przeżyć, ma już za sobą, i że nie może spotkać go w życiu nic bardziej niebezpiecznego.

Blizna była jego cechą charakterystyczną. Był naznaczony. Jasna, z lekka połyskująca, szeroka na ćwierć do połowy cala, sięgała od prawego ucha po podbródek. Podczas upałów, a także przy niskiej temperaturze stawała się jeszcze jaśniejsza. Mimo że cienki pas tkanki łącznej pozbawiony był końcówek nerwów, to jednak w zimowym powietrzu czuł bliznę jakby gorący drut przyłożono mu do twarzy. W letnim słońcu była zawsze zimna.

Zapaliło się zielone światło.

Pies podniósł kudłaty łeb w oczekiwaniu nowych wrażeń. Spencer jechał powoli na południe wzdłuż niewidocznego wybrzeża, znów trzymając kierownicę obiema rękami. W powodzi sklepów i restauracji nerwowo wyglądał czerwonych drzwi po wschodniej stronie ulicy.

Choć nie dotykał już szpecącej blizny, ciągle o niej pamiętał. Nigdy nie zapominał, że jest napiętnowany. Kiedy uśmiechał się lub krzywił, czuł, jak opina połowę jego twarzy. Gdy się śmiał, jego radość była tłumiona naprężeniem nieelastycznej tkanki.

Wycieraczki rytmicznie rozsuwały strugi deszczu.

Spencer miał spieczone wargi i wilgotne dłonie. Czuł ucisk w piersiach, spowodowany odrobinę obawą, ale zarazem i radością na myśl o ponownym spotkaniu z Valerie.

Namyślał się, czy nie wrócić do domu. Nadzieja, którą zaczął żywić, z pewnością nie warta była funta kłaków. Był samotny i – pomijając Rocky'ego – miał zamiar taki pozostać. Wstydził się nowej fali optymizmu i własnej naiwności, skrywanej potrzeby i cichej rozpacz. A jednak jechał dalej.

Rocky nie wiedział, czego szukają, ale sapnął lekko, wyczuwając subtelną zmianę nastroju Spencera

na widok czerwonych drzwi.

Bar koktajlowy mieścił się między tajlandzką restauracją o zaparowanych oknach a pustym sklepem, który kiedyś był galerią sztuki. Okna galerii zostały zabite deskami; w niegdyś eleganckiej fasadzie brakowało kwadratowych płyt trawertynu, jak gdyby firma nie splajtowała, tylko wybuch bomby zakończył jej działalność. W rozproszonym świetle padającym na fasadę, poprzez srebrzyste nitki deszczu, było widać czerwone drzwi, które zapamiętał poprzedniej nocy.

Spencer nie potrafił przypomnieć sobie nazwy baru. Wydawało się, że starał się wyrzucić ją z pamięci, ponieważ trudno było nie zauważyć szkarłatnego napisu nad wejściem: „Czerwone Drzwi”. Uśmiechnął się bez humoru.

Po odwiedzeniu dziesiątków barów nie był w stanie spostrzec różnic między nimi, a to znaczyło, że nie umiał zapamiętywać ich nazw. Owe niezliczone spelunki w najrozmaitszych miastach pełniły w jego przypadku rolę konfesjonału; zamiast klęczeć przy konfesjonale, siedział na stołkach barowych i mruzczał te same wyznania do ucha przygodnych kompanów, którzy nie byli księżmi i nie mogli dać mu rozgrzeszenia.

Jego spowiednikami byli pijacy, tak samo zagubieni jak on. Nie potrafili wskazać mu właściwej pokuty, którą powinien odprawić po to, żeby znaleźć spokój. W dyskusjach na temat sensu życia byli nieprzekonywujący.

W przeciwieństwie do swoich rozmówców, przed którymi często odkrywał duszę, Spencer nigdy się nie upijał. Pijaństwo było dla niego czymś równie odrażającym jak samobójstwo. Upić się znaczyło zrezygnować z kontrolowania sytuacji. To nie wchodziło w rachubę, ponieważ pozostała mu tylko umiejętność panowania nad biegiem wydarzeń.

Przy następnej przecznicy Spencer skręcił w lewo i zaparkował w małej uliczce.

Chodził do barów nie po to, aby pić, ale żeby nie być samotnym i móc opowiadać swoją historię ludziom, którzy nie będą jej pamiętali następnego ranka. Często wypijał zaledwie jedno lub dwa piwa w ciągu całego długiego wieczoru. Później, leżąc już w łóżku i patrząc w stronę niewidocznego nieba, zamykał oczy dopiero wtedy, gdy układ cieni na suficie zaczynał mu przypominać rzeczy, o których wolałby zapomnieć.

Kiedy zgasił silnik, bębnienie deszczu zabrzmiało głośniejsz – dźwięk był nieubłagany, podobny do szeptów martwych dzieci wołających do niego z głębin jego najgorszych snów.

Żółtawe światło pobliskiej latarni wypełniało wnętrze samochodu, tak że widział wyraźnie Rocky'ego. Duże wyraziste oczy psa obserwowały go z wielką uwagą.

– Może to zły pomysł – powiedział na głos Spencer.

Pies wysunął głowę do przodu, żeby polizać ciągle jeszcze zaciśniętą na kierownicy rękę pana, tak jakby chciał dać do zrozumienia, że Spencer powinien się odprężyć i zrobić to, po co przyjechał.

Spencer położył rękę na głowie kundla, żeby go popieścić. Rocky opuścił łeb – nie po to, żeby ułatwić palcom pana drapanie po uszach i karku, ale żeby zademonstrować swoją służalczość i łagodność.

– Jak długo już jesteście razem? – spytał Spencer.

Rocky trzymał łeb nisko, kuląc się, ale nie drżąc pod pieszczotliwym dotknięciem ręki człowieka.

– Prawie dwa lata. – Spencer odpowiedział sam sobie. – Dwa lata życzliwości, długich spacerów, gonienia po plaży za latającymi krążkami, regularnych posiłków... a ty czasem jeszcze myślisz, że mam zamiar cię uderzyć.

Rocky siedział nadal na fotelu pasażera w pozie pełnej uniżenia.

Spencer wsunął rękę pod brodę psa, zmuszając go do podniesienia głowy. Po krótkiej próbie

cofnięcia jej Rocky przestał się opierać.

Patrząc mu prosto w oczy, Spencer zapytał:

– Ufasz mi?

Pies odwrócił wzrok.

Spencer potrząsnął łagodnie jego pyskiem, nakazując mu posłuch.

– Głowa do góry, rozumiesz? Masz być zawsze hardy, pewny siebie! Głowa do góry i patrz ludziom w oczy! Zrozumiałeś?

Rocky wysunął język pomiędzy na wpół zaciśniętych zębów i polizał palce, które obejmowały jego pysk.

– Biorę to za znak zgody – powiedział Spencer, puszczając psa. – Nie mogę cię zabrać z sobą do tego baru. Nie gniewaj się.

Nawet nie będąc psem przewodnikiem, w niektórych barach Rocky mógłby leżeć u jego stóp bądź siedzieć na stołku i nikt nie protestowałby przeciw łamaniu przepisów higieny. W razie ewentualnej wizyty inspektora – obecność psa byłaby i tak najdrobniejszym przewinieniem. Lokal „Czerwone Drzwi” usiłował uchodzić za coś lepszego, Rocky mógłby więc być źle widziany.

Spencer wysiadł z dżipa i zatrzasnął drzwiczki. Uruchomił centralny zamek i włączył system alarmowy.

Nie mógł liczyć na to, że Rocky przypilnuje forda. Był psem, który nie potrafiłby odstraszyć zdecydowanego złodzieja samochodów, o ile potencjalny złodziej nie miałby fobii na punkcie lizania jego ręki.

Spencer obejrzał się za siebie po krótkim sprincie przez zimny deszcz pod markizę narożnego budynku.

Pies zajmował teraz fotel kierowcy i wyglądał na zewnątrz, z nosem przyciśniętym do bocznego okienka, jednym uchem sterczącym w górę i drugim zwisającym. Jego oddech zaparowywał szybę. Nie warczał. Rocky nigdy nie warczał. Po prostu siedział i czekał. Siedemdziesiąt funtów czystej miłości i cierpliwości.

Spencer odwrócił się od samochodu i okrążył narożnik, garbiąc się pod wpływem zimna.

Sądząc z dobiegających odgłosów, wybrzeże i wszystkie dzieła cywilizacji, stojące na nim, były bryłami lodu roztapiającymi się i ginącymi w czarnej otchłani Pacyfiku. Deszcz spływał z markizy, bulgotał w rynnach, przyskał spod opon przejeżdżających samochodów. Niekończący się łoskot przyptywu, bardziej wyczuwalny niż słyszalny, oznajmiał stałą erozję plaż i urwisk.

Kiedy Spencer mijał zabita deskami galerię, z cienia głęboko cofniętego wejścia ktoś do niego przemówił. Głos był suchy, ochryply i zgrzytliwy.

– Wiem, jaki jesteś.

Spencer zatrzymał się i spojrzał z ukosa w mroku. We wnęce siedział mężczyzna i opierał się o drzwi galerii. Był brudny i nieogolony; nie wyglądał na istotę ludzką, a raczej na stertę czarnych łachmanów, nasyconą taką ilością organicznego brudu, że skutkiem naturalnego procesu powstało w niej życie.

– Wiem, jaki jesteś – powtórzył cicho, ale wyraźnie, włóczęga.

Z wnętrza sączył się charakterystyczny odór niemytego ludzkiego ciała, moczu i taniego wina.

Począwszy od późnych lat siedemdziesiątych, kiedy to większość psychicznie chorych została wypuszczona z sanatoriów w imię wolności obywatelskich i współczucia, liczba powłóczących nogami, znarkotyzowanych, psychotycznych mieszkańców ulic stopniowo wzrastała. Włóczyli się po miastach Ameryki, wykorzystywani w celach agitacyjnych przez polityków, nadal zaniedbani, stanowiąc armię

żywych trupów.

Przenikliwy szept był suchy i niesamowity: wydał mu się głosem reanimowanej mumii.

– Wiem, jaki jesteś.

Rozsądną reakcją było iść dalej.

Błada twarz włóczęgi, od brody po zmierzwiłone włosy, ledwie majaczyła w mroku. Zapadnięte oczy przypominały bezdenne studnie.

– Wiem, jaki jesteś.

– Nikt nie wie – burknął Spencer.

Wodząc końcami palców prawej dłoni wzdłuż blizny, minął zabita deskami galerię i włóczęgę kryjącego się we wnęce.

– Nikt nie wie – wyszeptał włóczęga. Może jego uwagi pod adresem Spencera, które z początku wydawały się dziwne i spostrzegawcze, a nawet złowieszcze, były niczym innym jak tylko bezmyślnym powtórzeniem słów zasłyszanych od poprzedniego przechodnia?

Spencer zatrzymał się przed barem. Czyżby popełniał straszliwy błąd? Wahał się z ręką na klamce.

Włóczęga odezwał się jeszcze raz. Głos dobiegający poprzez plusk deszczu przypominał źle uregulowany radiodbiornik, nastawiony na stację w najodleglejszym punkcie świata.

– Nikt nie wie...

Spencer otworzył drzwi i wszedł do baru.

W środę wieczór przy stoliku rezerwacji w przedsiönku nie zauważył żywej duszy. Możliwe, że w piątki i soboty również nikt nie witał gości. Lokal był raczej ponury.

Powietrze wewnątrz było ciepłe, stęchłe i zasnuwane niebieskawym dymem z papierosów. W lewym, odleglejszym rogu głównej sali pianista, siedzący pod punktowym światłem, przedzierał się przez bezduszną aranżację „Tangerine”.

Bar, utrzymany w kolorach czarnym i szarym, był wyposażony w niklowane elementy, lustrzane ściany i wbudowane na stałe lampy w stylu art déco, które rzucały na sufit nakładające się na siebie koła nastrojowego, szafirowoniebieskiego światła. Kiedyś lokal stanowił ciekawe wnętrze. Teraz obicia były poobdzierane, a lustra porysowane. Nikiel stracił połysk od dymu z papierosów.

Większość stolików była wolna. Kilka starszych par siedziało w pobliżu pianina.

Spencer podszedł do kontuaru, który ciągnął się po prawej stronie, i usiadł na stołku w miejscu najbardziej oddalonym od pianisty.

Barman miał rzednące włosy, niezdrową cerę i szare, wodniste oczy. Jego zawodowa uprzejmość i bładny uśmiech nie były w stanie ukryć znudzenia. Funkcjonował z wydajnością robota i z taką samą obojętnością, zniechęcając klientów do konwersacji unikaniem ich wzroku.

Dwaj mężczyźni około pięćdziesiątki siedzieli nieopodal, obaj zaglądali posepnie do swoich szklanek. Mieli rozpięte kołnierzyki i krzywo wiszące krawaty. Wyglądali na podpitych i ponurych, niczym urzędnicy agencji reklamowych, którzy zostali wylani z pracy dziesięć lat temu. Mimo to wstawali każdego ranka i ubierali się do pracy, ponieważ nie wiedzieli, co z sobą zrobić; możliwe, że przychodzili do baru, ponieważ tu kiedyś wstępowali dla odprężenia się po pracy.

Jedyna kelnerka, obsługująca stoliki, była uderzająco piękna: pół krwi Murzynka, pół krwi Wietnamka. Ubrana była tak samo jak poprzedniego wieczoru: czarne szpilki, krótka czarna spódniczka i sweterek z krótkimi rękawkami w tym samym kolorze. Valerie nazywała ją Rosie.

Po piętnastu minutach Spencer zatrzymał Rosie, kiedy przechodziła obok, niosąc tacę z drinkami.

– Czy Valerie dzisiaj pracuje?

– Powinna – odparła.

Odprężył się. Valerie nie kłamała. Myślał, że wprowadziła go w błąd, chcąc się go delikatnie pozbyć.

– Trochę się o nią niepokoję – powiedziała Rosie.

– Dlaczego?

– Jej zmiana zaczęła się godzinę temu. – Wzrok Rosie błędził w okolicach jego blizny. – Jeszcze się nie zjawiała.

– Często się spóźnia?

– Val? Nie ona. Ona jest dobrze zorganizowana.

– Od jak dawna tutaj pracuje?

– Mniej więcej od dwóch miesięcy. Ona... – Kobieta oderwała wzrok od blizny i spojrzała mu w oczy. – Czy pan jest jej przyjacielem?

– Byłem tu wczoraj wieczorem. Siedziałem w tym samym miejscu. Ruch był niewielki, więc Valerie mogła ze mną przez chwilę porozmawiać.

– Tak, pamiętam pana. – Z tonu Rosie można było wyczuć, że nie rozumie, dlaczego Valerie w ogóle z nim rozmawiała.

Nie wyglądał na mężczyznę spędzającego kobietom sen z oczu. Był ubrany całkiem zwyczajnie – w adidasy, dzinsy, koszulę roboczą i drelichową kurtkę kupioną u Kmart, w to samo co poprzedniego wieczoru. Żadnych kosztowności. Zegarek marki Timex. No i miał bliznę. Zawsze miał tę bliznę.

– Dzwoniłam do jej mieszkania – oznajmiła Rosie. – Nikt nie odpowiada. Niepokoję się.

– Godzina spóźnienia to niewiele. Może złapała gumę.

– W tym mieście – powiedziała Rosie z oburzeniem, które dodawało jej dziesięciu lat – mogła zostać wielokrotnie zgwałcona, zasztyletowana przez dwunastoletniego szczeniaka naćpanego kokainą, a nawet zastrzelona na własnym podjeździe przez złodzieja samochodów.

– Nie jest pani optymistką, prawda?

– Po prostu oglądam wiadomości.

Zaniosła drinki do stolika, przy którym siedziały dwie starsze pary, o wyrazie twarzy nie tyle odświętnym, ile zgorzkniałym. Nie ulegając fali nowego purytanizmu, która ogarnęła wielu Kalifornijczyków, zapamiętane palili papierosy, jakby się bali, że ogłoszony ostatnio całkowity zakaz palenia w restauracjach może zostać rozciągnięty na bary i prywatne mieszkania i że każdy palony przez nich papieros może okazać się ostatnim.

Pianista zapamiętane znęcał się nad „The Last Time I Saw Paris”. Spencer pociągnął dwa małe łyki piwa.

Sądząc po melancholijnym nastroju bywalców baru – mógł to być dla nich czerwiec 1940 roku, z niemieckimi czołgami jeżdżącymi po Champs-Élysées i ze zwiastunami Sądu Ostatecznego na wieczornym niebie.

Kilka chwil później kelnerka znowu podeszła do Spencera.

– Myślę, że zachowałam się jak stuknięta – powiedziała.

– Wcale nie. Ja też oglądam wiadomości.

– To dlatego, że Valerie jest taka...

– Wyjątkowa – dokończył Spencer. Popatrzyła na niego z mieszaniną zaskoczenia i niejasnej obawy, że czyta w jej myślach.

– Tak. Wyjątkowa. Można znać ją ledwie przez tydzień, a już człowiek chce, żeby była szczęśliwa – żeby jej się powodziło w życiu.

Na to nie trzeba tygodnia, pomyślał Spencer. Wystarczy jeden wieczór.

– Może dlatego, że sprawia wrażenie, jakby sporo wycierpiała – kontynuowała Rosie.

– W jaki sposób? – zapytał Spencer. – Przez kogo?

Wzruszyła ramionami.

– Nic o tym nie wiem, ona nigdy się nie zwierzała. To się po prostu czuje.

On też zauważył u Valerie wrażliwość, podatność na zranienie.

– A przy tym jest twarda – ciągnęła Rosie. – Jezu, nie wiem czemu tak się o nią martwię. Nie jestem jej starszą siostrą. Ostatecznie każdy ma prawo spóźnić się od czasu do czasu.

Poszła dalej. Spencer wypił łyk ciepłego piwa.

Pianista zaczął grać melodię „It Was a Very Good Year”, której Spencer nie lubił nawet w wykonaniu Sinatry, chociaż był jego fanem. Wiedział, że melodia powinna brzmieć refleksyjnie, nawet z lekka melancholijnie, a wydawała mu się przeraźliwie smutna. Nie była to pogodna zaduma starszego mężczyzny wspominającego kobiety, które niegdyś kochał, ale ponura ballada o kimś dożywającym końca swoich dni, przypominającym sobie puste życie pozbawione głębokich uczuć.

Doszedł do wniosku, że taka interpretacja piosenki wyraża jego własny lęk, iż za parę dziesiątek lat, kiedy jego życie zacznie gasnąć, zejdzie ze świata z goryczą w sercu i w samotności.

Spojrzał na zegarek. Valerie spóźniła się już półtorej godziny.

Niepokój kelnerki był zaraźliwy. Oczyma duszy ujrzał twarz Valerie w połowie zakrytą rozsypanymi ciemnymi włosami, cienką strużkę krwi, policzek spoczywający na podłodze, oczy szeroko otwarte i nieruchome. Wiedział, że jego obawy są irracjonalne. Po prostu spóźniła się do pracy. Nie było w tym nic złowieszczonego. Mimo to lęk narastał w nim z minuty na minutę.

Postawił niedopite piwo na kontuarze, zsunął się ze stołka i wyszedł w zimną noc, gdzie łoskot deszczu łomoczącego w płócienną markizę przywodził na myśl maszerujące armie.

Kiedy przechodził koło wejścia do galerii, usłyszał, że włóczęga cicho płacze. Wzruszony, zatrzymał się.

Wśród tłumionych odgłosów żalu ledwie widzialny nieznajomy wyszeptał ostatnie słowa, które usłyszał od Spencera:

– Nikt nie wie... nikt nie wie... – Ta krótka informacja widocznie nabrała dla niego osobistego i głębokiego znaczenia, gdyż wypowiedział ją z inną niż Spencer intonacją: ze spokojną, głęboką udręką. – Nikt nie wie.

Chociaż Spencer wiedział, że postępuje niemądrze, fundując nieszczęśnikowi środek do dalszej samozagłady, wyłowił z portfela dziesięciodolarowy banknot. Wszedł w głąb mrocznej wnęki, w cuchnący odór bijący od włóczęgi i wyciągnął rękę z banknotem.

– Proszę to wziąć.

Ręka, która wyciągnęła się po pieniądze, była albo w czarnej rękawiczce, albo nadzwyczaj brudna. W ciemności ledwie się ją widziało. Wyjmując banknot z palców Spencera, włóczęga lamentował cicho.

– Nikt... nikt...

– Na pewno jakoś się jeszcze ułoży – powiedział przyjaźnie Spencer. – Takie jest życie. Wszyscy musimy przez nie przejść.

– Takie jest życie, wszyscy musimy przez nie przejść – wyszeptał włóczęga.

Spencerowi ponownie stanął przed oczami obraz martwej twarzy Valerie. Pobiegł przez deszcz w stronę samochodu.

Rocky obserwował go przez boczne okienko. Kiedy Spencer otworzył drzwiczki, pies przelazł na

siedzenie pasażera.

Spencer wsiadł i zatrzasnął drzwiczki, przynosząc z sobą zapach mokrego drelichu i ozonu.

– Tęskniłeś za mną, Zabójco?

Rocky kiwał się z boku na bok, próbując machać ogonem, na którym siedział.

Zapalając silnik, Spencer dodał:

– Będzie ci miło dowiedzieć się, że nie zrobiłem z siebie durnia.

Pies kichnął.

– Ale tylko dlatego, że nie przyszła.

Pies podniósł głowę w zaciekawieniu.

Zwalniając ręczny hamulec i wrzucając bieg, Spencer spytał:

– Jak myślisz, co zrobię teraz, kiedy mam nad nią przewagę, zamiast zrezygnować i pojechać do domu? Hmm?

Pies najwyraźniej nie wiedział.

– Mam zamiar wścibić nos w cudzy interes i dać sobie drugą szansę na sfuszerowanie sprawy.

Powiedz, przyjacielu, czy straciłem rozum?

Rocky tylko sapał.

Odjeżdżając od krawężnika, Spencer dorzucił:

– Tak, masz rację. Jestem kopnięty.

Pojechał prosto w stronę domu Valerie. Samochodem dziesięć minut drogi.

Poprzedniej nocy czekał na zewnątrz „Czerwonych Drzwi” do drugiej nad ranem, siedząc wraz z Rockym w fordzie, i pojechał za Valerie, która wyszła wkrótce po zamknięciu baru. Dzięki treningowi w zakresie technik inwigilacji potrafił dyskretnie śledzić ludzi. Na pewno go nie zauważyła.

Nie był, co prawda, przekonany, czy zdołałby wytłumaczyć jej – a także samemu sobie – dlaczego za nią pojechał. Zaledwie po jednej rozmowie, zakłócanej obsługiwaniem przez nią nielicznych klientów w prawie wyludnionym barze, ogarnęło go pragnienie dowiedzenia się o niej absolutnie wszystkiego.

W rzeczywistości było to coś więcej niż pragnienie. Była to silna, wewnętrzna potrzeba, którą musiał zaspokoić.

Chociaż miał czyste intencje, czuł się trochę zawstydzony swoją narastającą obsesją. Poprzedniej nocy siedział w samochodzie naprzeciw jej domu, patrząc na oświetlone okna. Były zasłonięte, lecz raz zobaczył jej cień przesuwający się po fałdach draperii – było to jak mignięcie ducha podczas seansu spirytystycznego. Krótco przed wpół do czwartej rano zgasło ostatnie światło. Spencer jeszcze przez godzinę czuwał, patrząc na ciemny dom, zastanawiając się, jakie Valerie czyta książki, co lubi robić w wolne dni, jakich ma rodziców, gdzie spędziła dzieciństwo, o czym śni, kiedy jest w dobrym nastroju, a o czym, gdy coś ją przygnębia.

Teraz – dwadzieścia cztery godziny później – znów jechał w stronę jej domu z mrowiącym uczuciem nieokreślonego lęku. Spóźniła się do pracy. Nic więcej. Głębokość jego troski powiedziała mu więcej, niżby chciał wiedzieć: że jego zainteresowanie tą kobietą jest przesadne.

W miarę jak oddalał się od Ocean Avenue w stronę dzielnic mieszkalnych, ruch uliczny malał. Lśnienie mokrego asfaltu stwarzało złudzenie, jakby wszystkie ulice były leniwymi rzekami, płynącymi do własnych dalekich ujść.

Valerie Keene mieszkała w cichej dzielnicy drewnianych domów parterowych, zdobionych sztukaterią, wybudowanych w późnych latach czterdziestych. Domy były niewielkie, ale za to pełne uroku. Miały okna zaopatrzone po obu stronach w dekoracyjne okiennice, były ozdobione faliście

powycinanymi lub rzeźbionymi listwami pod okapami, fantazyjnymi liniami dachów i mocno wgłębionymi oknami mansardowymi. Po kratkach werand pięły się krzewy bugenwilli.

Nie chcąc zwrócić na siebie niczyjej uwagi, Spencer zerknął tylko kątem oka w stronę południowej strony kwartału ulic, gdzie znajdował się domek Valerie, minął go i pojechał dalej. Rocky także łypnął w bok, ale tak jak i jego pan nie znalazł w wyglądzie domku niczego alarmującego.

Przy końcu kwartału Spencer skręcił i pojechał na południe. Następne uliczki po prawej były ślepe. Minął je. Nie chciał parkować przy uliczce bez wyjazdu. Mógłby się znaleźć w pułapce. Przy następnej głównej alei znów skręcił w prawo i zaparkował przy krawężniku, w sąsiedztwie domów takich samych jak bungalow Valerie. Wyłączył wycieraczki, ale nie zgasił silnika.

Miał ciągle nadzieję, że odzyska rozsądek, włączy bieg i pojedzie do domu.

Rocky spoglądał na niego wyczekująco. Jedno ucho mu jak zwykle sterczało, drugie było opuszczone.

– Nie panuję nad sobą – powiedział Spencer do psa i do samego siebie. – Nie mam pojęcia dlaczego.

Deszcz spływał po przedniej szybie. W strużkach wody polśniewały światła latarni.

Westchnął i zgasił silnik.

Wyjeżdżając z domu, zapomniał wziąć z sobą parasol. Krótki sprint do baru „Czerwone Drzwi” i z powrotem zwilżył mu ubranie. Wiedział, że dłuższy spacer przemoczy go do suchej nitki.

Nawet nie uświadamiał sobie, z jakiego powodu nie zaparkował naprzeciw jej mieszkania. Trening. Instynkt. Obsesja. Może wszystko naraz.

Schylił się obok Rocky’ego i wytrzymując jego ciepły, kochający język w swoim uchu, wydobyl ze schowka ręczną latarkę i wsunął ją do kieszeni.

– Gdyby ktoś chciał dobrać się do samochodu – nakazał psu – wypruj mu flaki.

Rocky w odpowiedzi ziewnął. Spencer wysiadł z forda. Odchodząc, wcisnął pilota i na rogu ulicy skręcił na północ. Nie biegł. Wiedział, że i tak, zanim dotrze do domu Valerie, będzie przemoczony.

Biegnąca z północy na południe ulica była wysadzana drzewami *jacaranda*. W lecie ich liście i kaskady purpurowych kwiatów dawałyby nieco schronienia przed deszczem. Teraz, w zimie, gałęzie były gołe.

Nim Spencer doszedł do uliczki Valerie, już był przemoknięty. Wzdłuż uliczki rosło awokado kanaryjskie, którego korzenie pokruszyły i powysadzały płyty chodnikowe, za to gałęzie, pokryte gęstymi liśćmi, tworzyły baldachim, zapewniający schronienie przed deszczem.

Wysokie drzewa nie dopuszczały żółtego światła sodowych lamp ulicznych nawet do frontowych trawników przed domami. Drzewa i krzewy wokół były w pełni rozwinięte, niektóre nawet przerośnięte. Jeśli ktokolwiek z lokatorów wyglądałby teraz przez okno, najprawdopodobniej nie spostrzegłby go za ścianą zieleni, w głębokim cieniu.

Przechodząc chodnikiem, zaglądał do zaparkowanych przy krawężniku samochodów. O ile mógł się zorientować, wszystkie były puste.

Po drugiej stronie ulicy przed domem Valerie stał wóz do przeprowadzek. Spencerowi to odpowiadało: wielka ciężarówka zasłaniała widok sąsiadom z naprzeciwka. Nikogo przy niej nie było; widocznie przeprowadzkę zaplanowano na rano.

Spencer skręcił w prawo i wszedł po trzech stopniach na werandę. Kratki po obu stronach porośnięte były nie bugenwillą, ale kwitnącym w nocy jaśminem, który odświeżał powietrze niezwykłym zapachem, mimo że do pełni sezonu było jeszcze daleko.

Na werandzie panował głęboki mrok. Spencer wąpił, by mógł go zobaczyć ktoś z ulicy.

Przesuwając palce wzdłuż framugi drzwi, znalazł w ciemności przycisk dzwonka. Usłyszał, jak rozbrzmiewa cicho wewnątrz domu.

Czekał. Nie zapaliło się ani jedno światło.

Poczuł chłód na karku. Miał wrażenie, że jest śledzony. Wychodzące na werandę okna po obu stronach drzwi szczelnie zasłonięto od wewnątrz. Nie dostrzegł szczeliny, przez którą mógłby być obserwowany.

Obejrzał się na ulicę. Żółte sodowe lampy przeświecały przez ulewny deszcz. Stojącą przy dalszym krawężniku ciężarówkę w połowie skrywał cień, w połowie zaś oświetlała latarnia. Przy bliższym krawężniku stała zaparkowana nowiutka honda i starszy model pontiaca. Nie było żadnych przechodniów ani ruchu na jezdni. Noc była cicha, pominąwszy bezustanny werbel deszczu.

Zadzwoił ponownie.

Wrażenie, że coś pełźnie mu po karku, nie przechodziło. Sprawdzał ręką, na pół przekonany, że to pająk, ale niczego nie znalazł.

Odwracając się ponownie w stronę ulicy, odniósł wrażenie, że kątem oka dostrzegł ukradkowy ruch z tyłu ciężarówki. Patrzył przez pół minuty, ale nic się w tę bezwietrzną noc nie poruszało z wyjątkiem potoków złotego deszczu, padającego na chodnik tak pionowo, jakby rzeczywiście składał się z ciężkich kropli drogiego metalu.

Wiedział, czemu był taki niespokojny. Nie miał prawa tutaj przebywać. Poczucie winy szarpało mu nerwy.

Zwracając się znów w stronę drzwi, wyciągnął z prawej tylnej kieszeni spodni portfel i wyjął z niego kartę kredytową.

Czuł – chociaż nie chciał się przed sobą do tego przyznać – że byłby zawiedziony, gdyby zapaliło się światło i okazało się, że Valerie jednak jest w domu. Obawiał się o nią, ale nie wierzył, że leży gdzieś w domu ranna lub nieżywa. Nie był nawiedzony; obraz jej poplamionej krwią twarzy, który zrodził się w jego wyobraźni, stanowił tylko pretekst, by przyjechać tu z „Czerwonych Drzwi”.

Pragnienie, żeby dowiedzieć się wszystkiego o Valerie, było niebezpiecznie bliskie tęsknot wieku dojrzenia. W obecnym stanie ducha nie potrafił rozumować logicznie.

Bał się samego siebie, ale nie mógł się wycofać.

Liczył na to, że wsuwając kartę między framugę a drzwi zdoła odsunąć zapadkę. Przypuszczał, że drzwi mogą być zaopatrzone również w rygiel, gdyż w Santa Monica, tak jak w każdym innym mieście w obrębie Los Angeles, roiło się od przestępców, ale liczył na swoje szczęście.

Okazało się większe, niż przypuszczał. Frontowe drzwi nie były zamknięte na zamek. Kiedy przekreślił gałkę – ustąpiły bez oporu.

Zdumiony, z nowym poczuciem winy, obejrzał się za siebie. Awokado. Wóz do przeprowadzek. Samochody. Lejący strumieniami deszcz.

Wszedł do środka. Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Trząśnięcie. Cieknąca z niego woda plamiła dywan.

Wnętrze, w którym się znalazł, wydało mu się z początku niewiarygodnie mroczne. Po chwili wzrok przyzwyczyił się do ciemności na tyle, że zobaczył zasłonięte okno, potem drugie i trzecie, wszystkie połyskujące jedynie szarością panującej na zewnątrz nocy.

Widział tak niewiele, że gdyby stał przed nim nawet tłum ludzi – nie zobaczyłby go. Wiedział jednak, że nikogo w domu nie ma. Co więcej: dom wydał mu się opuszczony.

Wyjął z kieszeni kurtki latarkę. Osłonił jedną ręką strumień światła, żeby nie zobaczył go ktoś

z zewnątrz.

Światło wydobyło z mroku nieumeblowany, całkowicie pusty salonik. Dywan miał barwę mlecznej czekolady. Na oknach wisiały beżowe zasłony. Dwie wbudowane w sufit oprawy świetlne, ze zwykłymi żarówkami, można było prawdopodobnie zapalić jednym z trzech włączników, umieszczonych obok frontowych drzwi, ale on wołał światło latarni.

Jego przesiąknięte wodą adidas i skarpetki chlupotały, kiedy przechodził przez pokój. Mijając sklepione przejście, dotarł do małej, również pustej jadalni.

Pomyślał przez chwilę o ciężarówce po drugiej stronie ulicy, ale nie potrafił uwierzyć, że mogą się w niej znajdować rzeczy Valerie ani że wyprowadziła się po czwartej trzydziści poprzedniego ranka, kiedy porzucił swój posterunek naprzeciw jej domu i wrócił do własnego łóżka. Zaczął natomiast podejrzewać, że ona nigdy się do tego domu nie wprowadziła. Na dywanie nie było odcisków po meblach: nie stały na nim ostatnio żadne stoły, krzesła, szafy, kredensy czy lampy podłogowe. Jeśli Valerie mieszkała tu w ciągu dwóch miesięcy, które przepracowała w „Czerwonych Drzwiach”, to najwidoczniej nie umeblowała domku, nie mając zamiaru długo w nim pozostawać.

Na lewo od jadalni, za łukiem, o połowę mniejszym od pierwszego, znalazł niewielką kuchnię, wyposażoną w sosnowe szafki z czerwonymi blatami. Nie mógł uniknąć pozostawienia mokrych śladów podeszew na szarej podłodze z płytek ceramicznych.

Obok podwójnego zlewozmywaka stały naczynia: pojedynczy talerz, talerzyk na chleb, miseczka na zupę, jeszcze jeden talerzyk i filiżanka – wszystko czyste i gotowe do użycia. Obok stała szklanka, a nieco dalej leżał nóż, widelec i łyżka – również czyste.

Spencer przełożył latarkę do prawej ręki, przysłaniając reflektor dłonią, żeby osłabić strumień światła. Miał w ten sposób wolną lewą rękę i mógł zbadać palcami obrzeże szklanki. Nawet jeśli była umyta, to jednak wargi Valerie dotykały kiedyś jej brzegów.

Nigdy jej nie pocałował. Może nigdy tego nie zrobi.

Ta myśl wprawiła go w zakłopotanie i zmusiła do zastanowienia po raz któryś nad nietaktem, do jakiego się posunął wobec tej kobiety. Był intruzem. Nie tylko wkraczał na jej teren, ale wdzierał się w jej życie osobiste. Do tej pory żył godnie, choć nie zawsze z pełnym poszanowaniem ustawodawstwa. Wchodząc do jej domu, przekroczył granicę prawa, a tym samym przestał być bezkarny.

Niemniej nie opuścił bungalowu.

Kiedy otworzył kuchenne szafki i szuflady, nie znalazł w nich nic poza otwieraczem do butelek i puszek. Lokatorka nie miała żadnych innych talerzy ani naczyń poza tymi, które stały obok zlewozmywaka.

Większość półek w wąskiej spiżarni była pusta. Zapas jedzenia ograniczał się do trzech puszek brzoskwiń, dwóch z gruszkami, dwóch innych z plasterkami ananasów, jednego pudełka ze słodzikiem w małych niebieskich torebeczkach, dwóch torebek kaszy i słoika rozpuszczalnej kawy.

Lodówka była prawie pusta, jedynie półkę zamrażalnika zapełniały obiady przeznaczone do gotowania w kuchence mikrofalowej.

Koło lodówki mieściły się drzwi z dzielonymi szybkami. Cztery okienka zasłonięte były żółtą firanką, po której odsunięciu zobaczył boczną werandę i ciemne zalewane deszczem podwórze.

Opuścił firankę. Nie interesował go świat zewnętrzny, tylko przestrzeń, w której Valerie oddychała, jadła i spała.

Gumowe podeszwy adidasów zapiszczały na podłodze z płytek, kiedy wychodził z kuchni. Mrok rozstępował się przed nim i znów zamykał za jego plecami.

Nie przestawał się trząść. Wilgotny chłód domu był równie przenikliwy jak letowe powietrze na zewnątrz. Ogrzewanie było od dawna wyłączone, co znaczyło, że Valerie wyszła wcześniej.

Na zmarzniętym policzku czuł palącą bliznę.

W środku tylnej ściany jadalni mieściły się zamknięte drzwi. Otworzył je i odkrył wąski korytarz, rozciągający się na piętnaście stóp w lewo i tyleż w prawo. Naprzeciwko znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Były półotwarte. Ujrzał za nimi białą kafelkową podłogę i zbiornik łazienkowy.

Miał zamiar wejść do korytarza, lecz raptem usłyszał dźwięki wyróżniające się wśród monotonnego bębnienia deszczu o dach. Głuche uderzenie i delikatny chrobot.

Momentalnie zgasił latarkę. Zaległa ciemność tak głęboka, jak w gabinecie strachów w wesołym miasteczku, w którym stroboskopowe światło ukazuje wyskakującego z trumny sztucznego trupa.

Dźwięk wydał mu się początkowo nieokreślony – jak gdyby ktoś na zewnątrz pośliznął się na mokrej trawie i uderzył w ścianę domu. Słuchając jednak dłużej, zaczął dochodzić do przekonania, że mógł dojść z dalszej odległości i że mogło to być trzaśnięcie drzwiczek samochodowych na ulicy lub na sąsiednim podjeździe.

Zapalił latarkę i zaczął przeszukiwać łazienkę. Na wieszadle wisiały dwa ręczniki: kąpielowy i do rąk oraz ścierka. W plastikowej mydelniczce spoczywała w połowie zużyta kostka mydła Ivory, ale szafka na lekarstwa była pusta.

Po prawej stronie łazienki znajdowała się mała sypialnia, tak samo nieumeblowana jak reszta mieszkania. Szafa była pusta.

Druga sypialnia, mieszcząca się po lewej stronie łazienki, była większa niż pierwsza. Na podłodze leżał nadmuchiwany materac, a na nim splecione prześcieradła, wełniany koc i poduszka. Zasuwane drzwi do szafy były otwarte, ukazując druciane ramiączka zwisające z drewnianego, niepomalowanego drążka.

Wnętrza domku nie miały ozdób, ale na środku dłuższej ściany tej sypialni coś wisiało. Spencer podszedł, skierował w to miejsce światło latarki i zobaczył wielką, kolorową fotografię karalucha. Wyglądało to na stronę wyjętą z książki entomologicznej, gdyż podpis pod obrazkiem był naukowy. W zbliżeniu karaluch miał około sześciu cali. Był przybity do ściany wielkim gwoździem, przechodzącym przez środek skorupy. Na podłodze, pod fotografią, leżał młotek.

Fotografia nie była dekoracyjna. Nikt w celu upiększenia pokoju nie powiesiłby fotografii karalucha. Co więcej, użycie gwoździa – zamiast pinezki, klamerki lub taśmy – sugerowało, że osoba posługująca się młotkiem zrobiła to celowo.

Karaluch musiał więc coś symbolizować.

Spencer był ciekaw, czy to Valerie przybiła tę fotografię. Mało prawdopodobne. Kobieta, z którą rozmawiał poprzedniego wieczora w „Czerwonych Drzwiach”, wydała mu się nadzwyczaj subtelna i łagodna, zupełnie niezdolna do gniewu.

Ale jeśli nie Valerie – to kto?

Spencer prowadził światło latarki wzdłuż zdjęcia. Pancierz karalucha błyszczał, jakby był mokry. Palce Spencera, przesłaniające częściowo strumień światła, wywołały złudzenie, jakby poruszyły się cienkie nogi owada i czułki.

Niektórzy seryjni mordercy zostawiają w miejscach swoich zbrodni identyfikujące ich symbole. Spencer wiedział z doświadczenia, że mogą być bardzo różne: pewne określone karty do gry, znaki szatana wycięte na ciele ofiar – po pojedyncze słowa, a nawet wiersze, nagryzmołone krwią na ścianach. Przebity karaluch mógł być czymś identyfikatorem, chociaż bardziej osobliwym niż inne symbole, z którymi Spencer się zetknął, studiując setki podobnych przypadków.

Poczuł mdłości na myśl, że wprawdzie nie natknął się na żadne ślady przemocy w domu, ale nie zaglądał jeszcze do garażu. Może znajdzie Valerie na zimnym betonie, tak jak ją widział przedtem oczami wyobraźni: leżącą z twarzą przytuloną do podłogi, z otwartymi, niewidzącymi oczami i strużką krwi zniekształcającą jej regularne rysy.

Odniosł wrażenie, że zbliża się do rozwiązania zagadki. Przeciętny Amerykanin żył pod psychozą nagłej, bezmyślnej przemocy, ale Spencer był bardziej uczulony na ponure zjawiska współczesnego życia niż większość ludzi. Przeszedł ból i strach, które wycisnęły na nim swoje piętno, więc teraz oczekiwał zewsząd brutalności, będąc jej tak pewnym jak wschodów i zachodów słońca.

Kiedy odwracał się od fotografii karalucha, zastanawiając się, czy będzie miał odwagę sprawdzić garaż – okno sypialni rozsypało się na kawałki i do środka wpadł mały czarny przedmiot. Na pierwszy rzut oka przypominał granat.

Odruchowo, błyskawicznie zgasił latarkę. Wśród panującej ciemności granat miękko spadł na dywan.

Fala wybuchu uderzyła go, nim zdążył się odwrócić. Nie było błysku, tylko rozdzierający uszy huk i twarde odłamki bijące w niego od czoła po golenie. Krzyknął i upadł. Skręcał się z bólu. Czuł go w nogach, w rękach, w twarzy. Tors był osłonięty kurtką, ale ręce... Boże, jego ręce. Paliły żywym ogniem. Cierpiał katusze. Ile stracił palców? Jezu. Ręce miał sparaliżowane bólem, tak że nie mógł ocenić ich stanu.

Najgorszy był piekący ból czoła, policzków, lewego kącika ust. Wprost nie do wytrzymania. Pragnąc za wszelką cenę stłumić ból, przycisnął ręce do twarzy, ale rwały go tak silnie, że zmysł dotyku nie funkcjonował.

Jeśli ocaleje – ile będzie miał białych, pofałdowanych blizn lub czerwonych potwornych szram sięgających od włosów do brody?

Musi się stąd wydostać, uciekać, szukać pomocy.

Wykrzywiając się, kopiąc, chwytając paznokciami dywanu pełzył przez ciemność niczym ranny krab. Mimo że był przerażony i zdezorientowany, posuwał się we właściwym kierunku ku drzwiom sypialni, po podłodze usianej czymś, co przypominało szklane kulki do gry. Udało mu się wstać.

Sądził, że został wplątany w wojnę gangów o zyski z wyścigów konnych. W Los Angeles w latach dziewięćdziesiątych było więcej przemocy niż w Chicago w okresie prohibicji. Współczesne gangi młodzieżowe, okrutniejsze i lepiej uzbrojone niż mafia, składały się z rasistów, działających na ogół pod wpływem narkotyków, z zimną krwią i bezwzględnością zmił.

Łapiąc z trudem powietrze, potykając się i kierując na oślep dotykiem, znalazł się w holu. Nogi paraliżował mu przejmujący ból, osłabiając go i wytrącając z równowagi. Utrzymanie się w pozycji pionowej było tak trudne, jakby znajdował się wewnątrz obracającej się beczki śmiechu.

W innych pokojach również rozległy się przytłumione odgłosy eksplozji, poprzedzone dźwiękiem pękającego szkła. W holu nie było okien, więc tym razem nie doznał obrażeń.

Mimo zaskoczenia i strachu spostrzegł, że nie czuje zapachu krwi. Zdziwił się, że w ogóle nie krwawi.

Nagle zrozumiał, co się działo. To nie była wojna gangów. Odłamki go nie zadrasnęły, a więc to nie były odłamki. Rozsypane na podłodze kulki nie były ze szkła. Były to kulki z twardej gumy, pochodzące z granatu obezwładniającego. Sam ich kiedyś używał. A więc ataku na bungalow dokonał oddział SWAT, rzucając granaty, żeby obezwładnić jego mieszkańców.

Wóz do przeprowadzek posłużył bez wątpienia jako zamaskowany środek transportowy dla oddziału szturmowego. Ruch, który spostrzegł na tyłach ciężarówki, nie był przywidzeniem.

Powinien był poczuć odprężenie. Atak stanowił zapewne akcję miejscowej policji, DEA,*[*Drug Enforcement Administration – organizacja zajmująca się zwalczaniem handlu narkotykami.] FBI lub innej organizacji zajmującej się bezpieczeństwem publicznym. Natknął się na jedną z ich operacji. Znał reguły. Jeśli położy się na podłodze, twarzą w dół, z rękami nad głową i palcami rozczapierzonymi, żeby pokazać, że dłonie ma puste – uratuje się. Nie zostanie zastrzelony; założą mu kajdanki, przepytają go, ale na tym się skończy.

Tylko że jego sytuacja nie była prosta: nie był mieszkańcem bungalowu. Wszedł na obcy teren. Z ich punktu widzenia mógł być nawet włamywaczem. Jego wyjaśnienia zabrzmiały w najlepszym razie nieprzekonująco. Pomyślał, że jest stuknięty. Sam zaczął się o to podejrzewać, nie mogąc zrozumieć, z jakiego powodu Valerie tak go zafascynowała, po co chciał dowiedzieć się o niej wszystkiego, dlaczego był tak śmiały lub może głupi, że wszedł do jej domu.

Nie położył się na podłodze. Szedł chwiejnie przez ciemny hol, sunąc dłonią po ścianie.

Valerie była zamieszana w coś nielegalnego. Z początku władze będą sądziły, że on również jest w to wplątany. Zostanie zatrzymany na czas dochodzenia, a może nawet zaarrestowany jako podejrzany o współudział.

Dowiedzą się, kim jest.

Media odtworzą jego przeszłość. Znow ujrzy swoją twarz na ekranach telewizyjnych, na łamach gazet i magazynów. Przeżył wiele lat w błogosławionej anonimowości, jego nowe nazwisko było nieznane, wygląd z czasem zmienił się tak, że nikt by go nie rozpoznał. Teraz wszystko diabli mogą wziąć. Znow stanie się łupem mediów, rozpoznawanym wszędzie, gdzie się pokaże.

Nie! Nie wytrzyma tego. Nie chce przez to przechodzić po raz wtóry. Woli umrzeć.

Atakujący byli funkcjonariuszami jakiejś służby, a on nie popełnił poważnego przestępstwa. Teraz jednak nie stali po jego stronie. Zniszczą go, nie mając takiego zamiaru: po prostu przez ujawnienie jego istnienia prasie.

Znow brzęk rozbijanych szyb. Dwie eksplozje.

Agenci z oddziału SWAT nie chcieli ryzykować, jak gdyby myśleli, że walczą z szaleńcami nafaszerowanymi PCP albo z kimś jeszcze gorszym.

Spencer dotarł z trudem do połowy holu i zatrzymał się pomiędzy dwiema parami drzwi. Po prawej stronie miał drzwi do jadalni. Lewe prowadziły do łazienki.

Wszedł do łazienki i zamknął drzwi, próbując zebrać myśli. Piekący ból twarzy, rąk i nóg stopniowo ustępował. Zaczął rytmicznie zaciskać i otwierać palce, chcąc pobudzić krążenie i przewyciężyć drętwość.

Z dalekiego końca domu nadbiegł trzask pękającego drewna, od którego zadrżały ściany. Prawdopodobnie zostały otwarte lub wyważone drzwi frontowe.

Jeszcze jeden trzask. Drzwi do kuchni.

Wdarli się do domu.

Zbliżali się.

Nie było czasu na zastanawianie. Musiał uciekać, polegając na instynkcie i swoim wojskowym treningu, który był – miał nadzieję – przynajmniej tak dobry, jak ścigających go ludzi.

W tylnej ścianie łazienki nad wanną szarzał prostokąt. Okno. Spencer stanął na brzegu wanny i obiema rękami szybko obmacał ramę niewielkiego okna. Nie miał pewności, czy jest wystarczająco duże, żeby mógł się przez nie przecisnąć, ale była to jedyna droga ucieczki.

Gdyby okno było zabite gwoździami lub okratowane, znalazłby się w pułapce. Na szczęście była to

pojedyncza rama, otwierająca się do wewnątrz, umocowana od góry na mocnym zawiasie. Kiedy podniósł okno do końca, składane wsporniki, umieszczone po obu jego stronach, zaskoczyły z cichym trzaskiem.

Spodziewał się, że cichy zgrzyt zawiasu i trzask wsporników spowoduje podniesienie alarmu przez kogoś znajdującego się na zewnątrz. Jednostajny szum deszczu zagłuszył wszystkie dźwięki. Nikt się nie pojawił.

Spencer złapał rękami dolną krawędź otworu i podciągnął się. Zimny deszcz opryskiwał mu twarz. Wilgotne powietrze niesło z sobą zapach ziemi, jaśminu i trawy.

Podwórze przypominało ciemny arras, utkany z cmentarnych czerni i szarości, splukiwanych deszczem, który zacierał wszystkie kontury. Przynajmniej jeden członek oddziału SWAT powinien był pilnować tylnej strony budynku. Jednakże Spencer, choć miał bystry wzrok, w żadnym z cieni nie potrafił dostrzec ludzkiej postaci.

Górna część jego tułowia wydawała się szersza niż rama, ale wciągnął ramiona, zwinął się i przepchnął na drugą stronę. Spadł z niewielkiej wysokości. Przekreślił się na wilgotnej trawie, a potem leżał płasko na brzuchu, z podniesioną głową, obserwując ciemność przed sobą, ciągle nie mogąc dostrzec żadnego z atakujących.

Krzaki rosnące na klombach i wzdłuż granicy posesji były wybujałe. Stare figowce, od dawna nie przycinane, wyglądały jak wieże z zieleni.

Niebo prześwitujące między gałęziami nie było czarne. Światła rozległej metropolii, odbijając się od sztormowych chmur, pędzących na wschód, malowały firmament od tej strony na żółto, ku zachodowi zaś, nad oceanem, refleksy światła przechodziły w szarość.

Mimo że Spencer obserwował to zjawisko niejednokrotnie, tym razem ów nienaturalny kolor chmur nad miastem napełnił go zadziwiającym, przesadnym lękiem. Niebo wydało mu się złowrogie, zwiastujące śmierć; odniósł wrażenie, że pod takim niebem ludzie umierają i pod takim budzą się w piekle. Zupełnie zagadkowe było to, w jaki sposób przy silnej poświacie podwórze pozostawało mroczne, ale mógłby przysiąc, że im dłużej na nie patrzy, tym wydaje mu się ono ciemniejsze.

Ból nóg powoli ustępował. Ręce nadal mu dokuczały, ale mógł już nimi władać, a pieczenie twarzy nie było takie dojmujące.

Wewnątrz ciemnego domu krótko zagadał pistolet maszynowy, wypływając kilka pocisków. Jeden z policjantów musiał być nerwowy, gdyż mógł tam strzelać tylko do cieni lub duchów. Było to dość dziwne. Członkowie sił specjalnych nie byli skorzy do pociągania za spust.

Spencer popętlął po rozmokłej trawie pod osłonę pobliskiego trójpiennego figowca. Wstał i opierając się o grubą gałąź, badał wzrokiem trawnik, krzaki i linię drzew rosnących wzdłuż tylnego muru posesji, zastanawiając się, czy uda mu się krótkim sprintem dostać się pod ich osłonę i czy nie zostanie zauważony, kiedy tylko pojawi się na otwartej przestrzeni.

Gimnastykując dłonie w celu uśmierzenia bólu, zastanawiał się, czy wspiąć się na drzewo i ukryć na wyższych gałęziach, wśród zieleni. Nie. Znajdą go na pewno. Będą szukać, aż przejrzą wszystkie krzewy i drzewa i przekonają się, że nikogo nie ma.

Z bungalowu dobiegały głosy, trzaskanie drzwiami. Nie czaili się już – po serii z automatu byłoby to śmieszne. Nadal nie zapalali świateł.

Czas uciekał.

Areszt, sensacja, światła kamer telewizyjnych, reporterzy wykrzykujący pytania. Nie, to byłoby nie do zniesienia.

Przeklinał swoje niezdecydowanie.

Wśród liści nad jego głową szumiał deszcz.

Relacje w gazetach, rozkładówki w magazynach, powrót do nienawistnej przeszłości, spojrzenia bezmyślnych gapiów, dla których będzie intrygującym wrakiem ludzkim. Nie do wytrzymania.

Bicie serca miarowo odliczało kadencje narastającego strachu.

Nie mógł się ruszyć. Był jak sparalizowany.

Niemożność poruszenia się wyszła mu na dobre, ponieważ czarno ubrany mężczyzna, trzymający pistolet automatyczny kształtem podobny do uzi, przeszedł koło jego kryjówki. Stał o dwa kroki od Spencera, skupiając uwagę na domu. Był gotów, na wypadek gdyby zwierzyna uciekała przez okno, nieświadomy tego, że znajdowała się w zasięgu ręki. Nagle zauważył otwarte okno łazienki i zamarł.

Spencer ożył, zanim jego ofiara zaczęła się odwracać. Nikt, kto przeszedł przeszkolenie w oddziale SWAT – zarówno miejscowy policjant, jak i agent federalny – nie daje się łatwo pokonać. Jediną szansą unieszkodliwienia faceta był mocny zaskakujący cios.

Spencer uderzył nieznajomego kolanem w krocze, niemal odrywając go od ziemi.

Niektórzy funkcjonariusze sił specjalnych nosili podczas operacji suspensoria z aluminiowymi ochraniaczami, a także kuloodporne kurtki lub kamizelki. Zaatakowany nie miał ochraniacza. Cichy jęk zagłuszył szum deszczu.

Kopiąc przeciwnika w genitalia Spencer chwycił jego automatyczny pistolet i wykręcił gwałtownie w prawo. Zaatakowany puścił broń, nim zdołał wystrzelić ostrzegawczą serię.

Runął plecami na mokrą trawę. Spencer upadł na niego, pociągnięty siłą rozpędu.

Spencer mógł uderzyć bronią – sądząc po dotyku, był to pistolet maszynowy – w krtań przeciwnika, druzgocząc mu tchawicę i dusząc go w ten sposób jego własną krwią. Uderzając w twarz, roztrzaskałby mu nos i wbił odłamki kości w mózg.

Nie miał jednak zamiaru nikogo zabijać ani poważnie okaleczać. Potrzebował tylko trochę czasu, żeby się stąd wydostać. Uderzył policjanta w skroń, pozbawiając go przytomności.

Policjant nosił okulary noktowizyjne. Oddział SWAT przeprowadzał nocną operację z wykorzystaniem pełnego oprzyrządowania technicznego. Dlatego w domu nie zapalono światel. Widzieli wszystko jak koty: Spencer był tylko myszą.

Stoczył się na trawę i kucnął, trzymając oburącz pistolet. Było to uzi, poznał po kształcie i wadze. Powiodł lufą w lewo i w prawo w oczekiwaniu na atak następnego przeciwnika, ale żaden się nie pojawił.

Spencer puścił się pędem po trawniku, w stronę kwiatów i krzaków, oddalając się od domu. Łodygi roślin smagały go po nogach. Gałęzie azalii kaleczyły mu łydki i łapały za spodnie.

Odrzucił broń. Nie chciał nikogo zabijać, nawet gdyby miał zostać osadzony w areszcie i rzucony na żer mediom. Raczej się podda... ale nie użyje broni.

Przedarł się przez krzaki, minął dwa drzewa, krzew mirtu o białych, fosforyzujących płatkach, i dotarł do granicznego muru.

Udało mu się. Gdyby go teraz dostrzegli – nie wolno by im było strzelić mu w plecy. Musieliby wykrzyknąć ostrzeżenie, przedstawić się, potem zabroniliby mu się ruszać i przyszliby po niego – ale by nie strzelali.

Betonowy mur, pokryty stiukiem, miał sześć stóp wysokości i był zwieńczony cegłami o zaokrąglonych krawędziach, śliskimi od deszczu. Uchwycił się ich i podciągnął, wdrapując się po stiuku na czubkach swoich adidasów.

Kiedy znalazł się na szczycie muru, dotknął brzuchem zimnych cegieł i podciągnął nogi, z tyłu

rozległy się strzały. Pociski uderzyły w mur tak blisko, że odpryski stiuku zasypały mu twarz.

Nikt, do cholery, nie krzyknął ostrzeżenia!

Przewinał się przez mur i spadł na teren sąsiedniej posesji. Automatem broń zagadała ponownie – tym razem seria była dłuższa.

Pistolety maszynowe w dzielnicy mieszkaniowej? To szaleństwo! Co to za policjanci?

Spadł na krzaki róż. Ponieważ była zima, krzaki zostały przycięte. Łagodny klimat Kalifornii umożliwił jednak wegetację. Kolczaste pędy czepiały się jego ubrania, kaleczyły skórę.

Zza muru usłyszał stłumione przez deszcz głosy:

– Tędy... wracajcie... za nim!

Spencer skoczył na równe nogi i zaczął przedzierać się przez krzaki. Kolczasty pęd podrapał nie oszpeconą blizną stronę twarzy i owinał się wokół głowy na kształt korony cierniowej. Uwolnił się od niego dopiero za cenę pokaleczonych rąk.

Znajdował się na tyłach innego domu. W niektórych pokojach na parterze paliło się światło. Spostrzegł w zroszonym deszczem oknie twarz małej dziewczynki. Miał straszne uczucie, że sprowadzi na nią śmiertelne niebezpieczeństwo, jeśli nie wydostanie się przed przybyciem ścigających go agentów.

Po przebyciu labiryntu podwórek, murów, żelaznych ogrodzeń, ślepych uliczek i alejek dojazdowych – stale niepewny, czy zgubił prześladowców, czy może depczą mu po piętach – Spencer znalazł ulicę, na której zostawił samochód. Dobięł do niego i rzucił okiem na drzwiczki.

Były, oczywiście, zamknięte.

Zaczął szukać kluczyków po wszystkich kieszeniach. Nie mógł znaleźć. Miał nadzieję, że nie zgubił ich w czasie ucieczki.

Rocky przyglądał mu się przez okienko kierowcy. Uważał, że gorączkowe ruchy jego pana są zabawne. Widać to było po jego minie.

Spencer spojrział wstecz, wzdłuż zalanej deszczem ulicy. Była pusta.

Jeszcze jedna kieszeń. Są. Nacisnął guzik pilota przyczepionego do kółka z kluczami. Pilot wysłał sygnał radiowy do systemu bezpieczeństwa, rygle odskoczyły i Spencer wgramolił się do środka.

Kiedy chciał zapalić silnik – kluczyki wysliznęły mu się z mokrych palców i upadły na podłogę.

Cholera!

Wyczuwając strach swojego pana, Rocky zwinął się bojaźliwie w kłębek pomiędzy drzwiami a siedzeniem pasażera. Wydał przy tym cienki pisk zaniepokojenia.

Ręce Spencera nie były już odrętwiałe, chociaż nadal czuł w nich mrowienie, będące wynikiem uderzeń gumowych kulek. Mimo to szperanie w poszukiwaniu kluczyków trwało wieki.

Może najlepiej byłoby położyć się na siedzeniach, poza polem widzenia z zewnątrz, i trzymać Rocky'ego poniżej poziomu okna. Poczekać, aż policjanci przyjdą... i pójdą dalej. Jeśli pojawią się wtedy, kiedy będzie ruszał, nabiorą podejrzeń, że to on wszedł do domu Valerie, i tak czy inaczej zatrzymają go.

Wiedział jednak, że znalazł się w zasięgu większej operacji, przeprowadzanej przez duży oddział agentów. Był pewny, że nie zrezygnują tak łatwo. Prawdopodobnie otoczą całą okolicę i rozpoczną poszukiwania dom po domu. Będą sprawdzali zaparkowane samochody, zaglądając przez okienka. Zostanie zauważony w świetle latarki i złapany w potrzask we własnym samochodzie.

Silnik zapalił z rykiem.

Zwolnił ręczny hamulec, wrzucił bieg i ruszył, włączając po drodze światła i wycieraczki. Ponieważ zaparkował w pobliżu narożnika – musiał zawrócić i pojechać w przeciwną stronę.

Zerknął we wsteczne lusterko, potem w boczne – nigdzie nie było widać uzbrojonych, czarno ubranych mężczyzn.

Przez skrzyżowanie przejechało kilka samochodów, ciągnąc za sobą chmury pyłu wodnego. Pojechały przeciwległą aleją, na południe.

Spencer, nie zatrzymując się przy znaku STOP, skręcił w prawo i włączył się do ruchu kierującego się na południe, oddalając się od domu Valerie. Oparł się chęci mocniejszego ciśnięcia pedału gazu. Nie mógł ryzykować zatrzymania z powodu przekroczenia szybkości.

– Co tu się dzieje? – zapytał słabym głosem.

Pies odpowiedział cichym skomleniem.

– Co ona takiego zrobiła, że ją ścigają?

Strużki wody ściekały mu z brwi i zalewały oczy. Był przemoknięty. Potrząsnął głową, rozpryskując fontanny wody z włosów na tapicerkę, tablicę rozdzielczą i psa.

Rocky otrząsnął się.

Spencer włączył ogrzewanie.

Przejechał pięć przecnic, dwukrotnie zmieniając kierunek, nim poczuł się bezpieczny.

– Kim ona jest? Co przeskrobała?

Rocky przystosował się do zmiany nastroju pana. Już nie leżał zwinięty w kłębek na podłodze. Usiadłszy na powrót na środku siedzenia – był czujny, ale nie przestraszony. Dzielił swoją uwagę między widok za oknem a swego pana, patrząc na zalane wodą miasto z rosnącym zniecierpliwieniem, a na Spencera z wyrazem zaintrygowania.

– Jezu, czego ja tam szukałem? – zastanawiał się głośno Spencer.

Trząśł się, mimo że owiewało go gorące powietrze. Zrobiło mu się zimno, choć nie z powodu przemoknięcia, toteż nic by go nie ogrzało.

– Nie powinienem tam chodzić... nie miałem prawa. Czy chociaż ty, kolego, wiesz, po co ja tam polazłem? Hmmm? Bo ja nie mam pojęcia. Czysta głupota.

Zwolnił, żeby przejechać zalane wodą skrzyżowanie, na którym w brudnej wodzie pływała flotylla odpadków.

Twarz go paliła. Spojrzał na Rocky'ego.

Przed chwilą go okłamał.

Dawno temu przysiągł, że nie będzie się okłamywał. W rzeczywistości dotrzymywał słowa nie lepiej od przeciętnego pijaka, podejmującego noworoczne postanowienie, że nie tknie więcej alkoholu. Tyle że sprzeniewierzał się sobie z większą świadomością tego, co robi, ale też nie mógł uczciwie przyznać, że dotrzymywał danej sobie obietnicy ani też że zawsze tego chciał. Po prostu próbował być wobec siebie szczerzy, często była to półprawda albo nawet jej ślad, który mu wystarczał dla poczucia komfortu niezależnie od tego, jaka część prawdy została pominięta.

Za to nigdy nie okłamywał psa.

Nigdy.

Z nim jednym łączyła go najszczerza przyjaźń, jakiej zaznał w życiu – dlatego wydawała mu się tak wyjątkowa. Nawet bardziej niż wyjątkowa. Święta.

Rocky – z jego ogromnymi wyrazistymi oczami i szczerym sercem, wyrażający swoje uczucia mową ciała i dowodzącym posiadania duszy machaniem ogona – nie rozumiał fałszu. Gdyby umiał mówić – robiłby to absolutnie szczerze, ponieważ był absolutnie prawy. Okłamywanie go byłoby czymś gorszym niż okłamywanie małego dziecka. Okłamując psa, czułby się gorzej, niż gdyby okłamał samego Pana

Boga, ponieważ Pan Bóg z pewnością miał do niego mniejsze zaufanie niż biedny Rocky.

Nie wolno okłamywać psa.

Nigdy.

– W porządku – powiedział, hamując na czerwonym świetle – a więc wiem, po co pojechałem do jej domu. Wiem, czego szukałem.

Rocky spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Chcesz się dowiedzieć, co?

Pies czekał.

– Czy to jest dla ciebie takie ważne?

Pies odsapnął, oblizał się i podniósł głowę.

– W porządku. Pojechałem do jej domu, ponieważ...

Pies patrzył.

– ...ponieważ jest bardzo piękną kobietą.

Deszcz bębnił o dach. Wycieraczki pracowały miarowo.

– To znaczy... jest przystojna, ale nie olśniewająca. To nie jej styl. Jest w niej coś szczególnego. Jest w jakiś sposób wyjątkowa.

Silnik warczał na wolnych obrotach.

Spencer westchnął i dodał:

– Dobrze, teraz będę szczery. Powiem to otwarcie, bez owijania w bawełnę. Pojechałem do niej, ponieważ...

Rocky patrzył.

– ...ponieważ chciałem odmienić swoje życie.

Pies odwrócił głowę w stronę, w którą jechali, najwidoczniej zadowolony z ostatecznego wyjaśnienia sprawy.

Spencer myślał nad tym, co nagle sobie uświadomił, chcąc być szczerym wobec Rocky'ego. Chciałem odmienić swoje życie.

Nie wiedział, czy śmiać się z samego siebie, czy płakać. Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Uciekał nadal – jak to już robił od ponad szesnastu lat.

Zapaliło się zielone światło.

Jechał do domu poprzez ulewę przytłoczony samotnością ogromnego miasta, pod dziwnie różnokolorowym niebem, które było żółte jak zjełczałe żółtko, gdzie indziej szare jak popioły w krematorium i groźnie czarne wzdłuż odległego horyzontu. U jego boku siedział pies, który nie oglądał się nigdy wstecz.

Rozdział 2

Po fiasku w Santa Monica Roy Miro wracał do hotelu w Westwood. Była dziewiąta wieczór, kiedy jadąc autostradą, spostrzegł stojącego na poboczu cadillaka, którego migające światła awaryjne zapalały czerwone wężyki na mokrej szybie jego samochodu. Zauważył, że siadła lewa tylna opona cadillaka.

Miejsce kierowcy zajmowała kobieta, najwyraźniej czekająca na pomoc. Była sama.

Myśl o samotnej kobiecie, znajdującej się w takich okolicznościach w jakiegokolwiek części okolic Los Angeles, przygnębiła Roya. W tych czasach Miasto Aniołów nie było tak przyjemnym miejscem jak niegdyś, a nadzieja znalezienia kogoś prowadzącego choćby nawet zbliżony do anielskiego tryb życia – bardzo nikła. Były za to diabły – nawet stosunkowo łatwe do zlokalizowania.

Zatrzymał się na poboczu, przed cadillakiem.

Deszcz był jeszcze gęstszy niż poprzednio. Znad oceanu powiał wiatr, który przesuwiał fale deszczu, wyglądające w ciemności niczym przepływające okręty widma.

Sięgnął po leżący na siedzeniu pasażera winylowy kapelusz z miękkim rondem i wcisnął go na głowę. Miał na sobie nieprzemakalny płaszcz i kalosze – jak zwykle w złą pogodę. Wiedział, że mimo to zmoknie, ale nie mógł ze spokojnym sumieniem pojechać dalej, widząc innego kierowcę w tarapatach.

Kiedy szedł w stronę cadillaka, przejeżdżające samochody obryzgiwały go strumieniami brudnej wody. Nogawki spodni przylepiły mu się do tydek. Ubranie nadawało się już tylko do chemicznego czyszczenia.

Stanął przy cadillaku. Kobieta nie opuściła szyby. Patrzyła na niego z lękiem, sprawdzając równocześnie, czy zamki samochodu są pozamykane.

Nie poczuł się dotknięty jej podejrzliwością. Po prostu znała miasto, więc odniosła się sceptycznie do jego intencji.

Podniósł głos, żeby go usłyszała przez zamknięte okno:

– Czy potrzebuje pani pomocy?

Pokazała mu telefon komórkowy.

– Dzwoniłam do stacji obsługi. Obiecali, że kogoś przyślą.

Roy spojrział w kierunku nadjeżdżających samochodów.

– Od jak dawna pani na nich czeka?

Po krótkim wahaniu powiedziała z irytacją:

– Od wieków.

– Zmienię koło. Nie musi pani wysiadać ani dawać mi kluczyków. Znam samochód – kiedyś takim jeździłem. Wewnątrz jest dźwignia otwierająca kufer. Proszę ją pociągnąć. Wyjmę podnośnik i zapasowe koło.

– Może pana ktoś potrącić.

Wąskie pobocze nie zapewniało dostatecznego bezpieczeństwa. Pędzące samochody przejeżdżały denerwująco blisko.

– Mam światła ostrzegawcze.

Nim zdążyła odpowiedzieć, Roy pospieszył do swojego samochodu i wyjął z bagażnika sześć świateł błyskowych. Porozstawiał je na odcinku sześćdziesięciu jardów za cadillakiem, blokując znaczną część najbliższego pasa ruchu.

Gdyby nadjechał pijany kierowca, to nie pomogą żadne środki ostrożności. W tych czasach odnosiło się wrażenie, że pijani albo naćpani kierowcy przewyższają liczebnie trzeźwych.

Prawdziwą plagą była znieczulica społeczna – dlatego Roy próbował być samarytaninem, kiedy tylko trafiała się okazja. Gdyby każdy człowiek chociaż raz przyzwoicie potraktował bliźniego, jaki wspaniały byłby świat. Roy święcie w to wierzył.

Kobieta pociągnęła dźwignię zamka. Otworło się wieko kufra.

Roy Miro czuł się szczęśliwszy niż w ciągu całego dnia. Smagany wiatrem i deszczem, opryskiwany przez przejeżdżające samochody – pracował z zadowoleniem. Dobry uczynek jest tym wartościowszy, im więcej wymaga trudu.

Przy odkręcaniu mocno zaciśniętej nakrętki zdarł sobie skórę z palca. Zamiast przeklinać – zaczął gwizdać.

Kiedy skończył, kobieta odkręciła okno na dwa cale, tak że nie musiał już krzyczeć.

– Wszystko gotowe – zakomunikował.

Zakłopotana, przeproszała go za to, że okazała mu taki brak zaufania, ale on przerwał jej, zapewniając, że rozumie.

Przypominała Royowi jego matkę, której pomagał, i dzięki temu czuł się szczęśliwy. Kobieta była atrakcyjna, około pięćdziesiątki, mniej więcej dwadzieścia lat starsza od niego, miała kasztanowe włosy i niebieskie oczy. Jego matka była brunetką z orzechowymi oczami. Obie promieniały łagodnością i subtelnością.

– To wizytówka mojego męża. Jest księgowym. Gdyby pan potrzebował porady – nic pan nie zapłaci.

– Nie zasłużyłem na to – odparł skromnie Roy, odbierając wizytówkę.

– Spotkać kogoś takiego jak pan, to w dzisiejszych czasach prawdziwy cud. Powinnam była zadzwonić do Sama, zamiast do tej cholernej stacji obsługi, ale pracuje do późna u klienta. Teraz pracuje się niemal bez przerwy.

– Recesja – powiedział współczująco Roy.

– Czy to się nigdy nie skończy? – zastanawiała się, szukając jeszcze czegoś w torebce.

Okrywając przed deszczem kartę wizytową, ustawił ją tak, że czerwony blask najbliższego światła ostrzegawczego oświetlał ją. Mąż kobiety miał biuro w Century City, gdzie czynsze były wysokie; nic dziwnego, że biedak pracował do późna, żeby się utrzymać.

– A to moja wizytówka – powiedziała kobieta, wyciągając ją z torebki i wręczając mu.

Penelope Bettonfield. Architekt wnętrz. 213-555-6868.

– Pracuję poza domem – dodała. – Kiedyś miałam biuro, ale ta potworna recesja... – Westchnęła i uśmiechnęła się do niego przez szparę w oknie. – W każdym razie gdybym kiedykolwiek mogła w czymś pomóc...

Wyjął z portfela swoją wizytówkę i podał jej. Podziękowała mu jeszcze raz, zamknęła okno i odjechała.

Roy cofnął się wzdłuż autostrady, zbierając światła, żeby dłużej nie zakłócały ruchu.

Siedząc w samochodzie i jadąc do hotelu w Westwood, cieszył się, że spełnił dobry uczynek. Od czasu do czasu zastanawiał się, czy jest jakaś nadzieja dla współczesnego pokolenia, czy nie stacza się ono po równi pochyłej prowadzącej do piekła nienawiści, zbrodni i zachłanności – ale wówczas spotykał kogoś takiego jak Penelope Bettonfield, słodko uśmiechniętą, promieniejącą łagodnością i subtelnością – i to napawało go nową nadzieją. Była osobą, która z pewnością zdyskontuje jego uprzejmość, czyniąc grzeczność komuś innemu.

Mimo zadowolenia ze spotkania pani Bettonfield dobry nastrój Roya nie trwał długo. Nim zjechał z autostrady na Wilshire Boulevard i wjechał do Westwood, znowu opanował go smutek.

Wszędzie widać było oznaki degeneracji społeczeństwa. Mury oporowe zjazdu z autostrady upstrzone były namalowanymi farbą w sprayu napisami i rysunkami, stanowiącymi graffiti współczesności. Graffiti pokrywały teraz również drogowe znaki informacyjne – w dzielnicy miasta niegdyś chronionej przed wandalizmem. Bezdomny mężczyzna, popychający wózek sklepowy pełen ubogiego dobytku, szedł mozolnie przez deszcz. Twarz miał bez wyrazu – wyglądał jak zombie, powłóczący nogami w przejściach supermarketu Kmart w piekle.

Kiedy czekał na światłach ulicznych, na sąsiednim pasie zatrzymał się samochód pełen dziko wyglądających młodych mężczyzn o ogolonych głowach, z błyszczącymi kólkami w uszach. Patrzyli na niego złośliwie, prawdopodobnie dyskutując, czy jest podobny do Żyda. Wymawiali sprośne wyrazy ze staranną mimiką, żeby mógł je czytać z ich ust.

Minął kino wyświetlające filmy, stanowiące najgorsze paskudztwo. Fantazje na temat przemocy. Najróżnorodniejsze formy seksu. Filmy produkowane przez wielkie wytwórnie, ale mimo to będące pomyjami.

Wrażenie, które wyniósł ze spotkania z panią Bettonfield, stopniowo się zmieniło. Zapamiętał, co powiedziała o recesji, o długich godzinach spędzanych przez nią i przez jej męża przy pracy, o niedostatku, który zmusił ją do zrezygnowania z biura i do prowadzenia nieczęstych interesów w domu. Była taka miła. Martwił się, że ma kłopoty finansowe. Stała się, tak jak inni, ofiarą systemu, uwięzioną wśród społeczeństwa naszpikowanego narkotykami i bronią, wyzutego ze współczucia i wiary w wyższe ideały. Zaslugiwała na coś lepszego.

Zanim dojechał do hotelu Westwood Marquis, przeszła mu ochota na to, żeby pójść do swojego pokoju, zamówić u obsługi hotelowej późny obiad i położyć się spać – co początkowo miał zamiar zrobić. Minął hotel, pojechał dalej Bulwarem Zachodzącego Słońca, skręcił w lewo i jeździł przez jakiś czas w kółko.

W końcu zaparkował przy krawężniku, dwie przecznice od UCLA, ale nie wyłączył silnika. Przesiadł się na siedzenie pasażera, gdzie kierownica nie przeszkadzała mu w pracy, którą miał zamiar wykonać.

Baterie jego telefonu komórkowego były w pełni naładowane. Wyjął wtyczkę z gniazda zapalniczki.

Sięgnął po leżący na tylnym siedzeniu neser, położył go sobie na kolanach i otworzył. W środku był mały komputer z wbudowanym modemem. Wetknął wtyczkę do gniazda zapalniczki i włączył go. Zabłysnął ekran. Pojawiło się podstawowe menu, z którego dokonał selekcji.

Połączył telefon z modemem i wywołał numer bezpośredniego dostępu, łączący go z podwójnym superkomputerem Cray, stanowiącym państwowy komputer centralny. Połączenie zostało dokonane w ciągu paru sekund i na ekranie zaczęła się pojawiać znana litania pytań asekuracyjnych:

KTO WCHODZI?

Wystukał swoje imię i nazwisko: ROY MIRO.

NUMER IDENTYFIKACYJNY?

Roy podał numer.

KOD OSOBISTY?

Wystukał: PUCHATEK. Hasło to wybrał jako swój osobisty kod, ponieważ stanowiło imię jego ulubionego fikcyjnego bohatera: uwielbiającego miód niedźwiadka, o wypróbowanie dobrego sercu.

ODCISK PRAWEGO KCIUKA.

W górnym prawym rogu niebieskiego ekranu pojawił się biały kwadrat o boku dwóch cali. Przycisnął kciuk do wskazanego miejsca i czekał, podczas gdy czujniki w monitorze notowały skręty linii papilarnych, kierując na nie mikroświetła silnego światła, kontrastujące względnie ciemniejsze rowki

w skórze z odrobinę lepiej odbijającymi światło wypukłościami linii. Po minucie rozległo się ciche „bip”, oznajmiające, że analizowanie zostało skończone. Kiedy odjął palec od ekranu, na środku białego kwadratu pozostał precyzyjny biało-czarny obraz jego kciuka. Po następnych trzydziestu sekundach odcisk zniknął z ekranu: został w tym czasie przekształcony w postać numeryczną, przekazany telefonicznie do centralnego komputera, porównany elektronicznie z odciskiem znajdującym się w odpowiednim jego rejestrze – i zatwierdzony.

Roy miał dostęp do znacznie bardziej finezyjnych systemów niż zwykły włamywacz komputerowy, dysponujący paroma tysiącami dolarów i adresem najbliższego sklepu z komputerami. Urządzenia znajdującego się w neseserze ani wpisanych do niego programów nie można było kupić w żadnym sklepie.

Na ekranie pojawił się napis:

DOSTĘP DO MAMY ZAAPROBOWANY.

Mamę stanowił komputer centralny, znajdujący się na Wschodnim Wybrzeżu, w odległości trzech tysięcy mil. Wszystkie jego programy były w tej chwili do dyspozycji Roya za pośrednictwem telefonu komórkowego. Na ekranie pojawiło się długie menu. Przeszukał je i wybrał program zatytułowany LOKALIZOWANIE.

Wystukał na klawiaturze numer telefonu i poprosił o podanie adresu abonenta.

Czekając, aż Mama połączy się z bankiem danych kompanii telefonicznych i przejrzy rejestry, rozglądał się po smaganych deszczem ulicach. W polu widzenia nie było ani przechodniów, ani przejeżdżających samochodów. Część domów tonęła w ciemnościach; światła pozostałych przysłały nieprzerwane potoki deszczu. Miał wrażenie, że nadeszła dziwna, cicha apokalipsa, która wymiotła z powierzchni ziemi wszystkich ludzi, zostawiając dzieła ich rąk.

Sądził, że czas apokalipsy rzeczywiście nadchodzi i że wkrótce wybuchną wielkie wojny: narody staną przeciw narodom, rasy przeciw rasom, religie przeciw religiom i ideologie przeciw ideologiom. Ludzkość dążyła ku samozagładzie z taką pewnością, z jaką Ziemia okrążyła przez rok Słońce.

Posmutniał jeszcze bardziej.

Na ekranie komputera pojawiło się nazwisko abonenta. Okazało się, że adres jest zastrzeżony.

Roy nakazał Mamie połączyć się z kompanią telefoniczną, przeszukać rejestry opłat rachunków abonenckich i w ten sposób znaleźć potrzebny adres. Wtargnięcie do banku danych sektora prywatnego było bez nakazu sądowego całkowicie nielegalne, ale Mamę cechowała nadzwyczajna dyskrecja. Drogi dostępu do wszystkich systemów komputerowych narodowej sieci telefonicznej były przez Mamę rozpoznane już od dawna i znajdowały się w jej tajnych rejestrach – mogła więc wchodzić do tych systemów prawie bez zwłoki, przeszukiwać je do woli, wyciągać potrzebne informacje i rozłączać się bez najmniejszego śladu przeprowadzonych operacji. Mama była duchem tych systemów.

Adres w Beverly Hills pojawił się na ekranie w ciągu paru sekund.

Usunął adres i poprosił Mamę o mapę ulic w Beverly Hills. Po krótkiej chwili mapa ukazała się na ekranie, ale w zbyt małej skali: szczegóły na niej były nieczytelne.

Roy wystukał na klawiaturze adres podany przez Mamę. Komputer wyświetlił na ekranie kwadrant mapy interesujący Roya, a potem ćwiartkę tego kwadranta. Dom znajdował się zaledwie o parę przecznic od Wilshire Boulevard, w mniej prestiżowej części Beverly Hills.

Wystukał na klawiaturze PUCHATEK WYCHODZI, co spowodowało rozłączenie jego przenośnego komputera ze spoczywającą w chłodnym, suchym bunkrze w Wirginii Mamą.

Duży dom z cegły z zielonymi okiennicami, pomalowany na biało, stał za płotem z pomalowanych na

biało palików. Na frontowym trawniku rosły dwa ogromne platany.

Wewnątrz paliły się światła, ale tylko z tyłu domu, i to na pierwszym piętrze.

Roy, stojąc przed frontowymi drzwiami, osłonięty przed deszczem portykiem z wysokimi białymi kolumnami, słyszał wewnątrz muzykę: piosenkę Beatlesów „When I’m Sixty-four”. On sam miał trzydzieści trzy lata; era Beatlesów skończyła się już dawno temu, ale lubił ich piosenki, ponieważ większość wyrażała rozrzewniające, ludzkie współczucie.

Podśpiewując wraz z chłopcami z Liverpoolu, Roy wcisnął kartę kredytową między drzwi a ościeżnicę. Potem przesunął ją do góry, dopóki, po pokonaniu pewnych oporów, nie otworzył pierwszego z dwóch zamków. Kartę przytrzymał w tym samym miejscu, aby zapobiegła powtórnemu zaskoczeniu zapadki w otwór płytki.

Żeby otworzyć solidną zasuwę, trzeba było jednak bardziej wymyślnego narzędzia niż karta kredytowa: „przyjaciela zamków”, przyrządu sprzedawanego tylko agencjom ochrony. Roy wsunął cienki pręt „przyjaciela” w dziurkę od klucza, pod szpilki bębena, i pociągnął za spust. Płaska sprężyna urządzenia spowodowała, że szpilki poderwały się do góry, i zablokowała niektóre z nich na linii cięcia. Żeby całkowicie otworzyć zamek, Roy musiał powtórzyć zabieg sześć razy.

Uderzenie młotka o sprężynę i trzaskanie pręta o szpilki bębena nie było hałaśliwe, niemniej dobrze, że muzyka głuszyła jego manipulacje. „When I’m Sixty-four” skończyło się w momencie, kiedy zaczął uchylać drzwi. Przytrzymał kartę kredytową, żeby nie upadła, i zamarł, czekając na następną piosenkę. Przy akompaniamencie pierwszych taktów „Lovely Rita” wszedł do środka. Położył przyrząd do otwierania zamków na podłodze, na prawo od wejścia i cicho zamknął za sobą drzwi.

Hol był pogrążony w mroku. Oparł się plecami o drzwi i stał przez chwilę, żeby przyzwyczaić oczy do ciemności.

Kiedy upewnił się, że nie przewróci na oślep żadnego mebla, poszedł przez pokoje w kierunku palącego się w tylnej części domu światła.

Było mu przykro, że jego ubranie jest nasiąknięte wodą, a kalosze tak zabłocone, że prawdopodobnie zostawia brudne ślady na dywanie.

Stała w kuchni przy zlewozmywaku, opłukując główkę sałaty. Była odwrócona plecami do wahadłowych drzwi, którymi wszedł. Sądząc po jarzynach, leżących na deseczce do krojenia, przygotowywała sałatkę.

Nie chcąc jej przestraszyć, przytrzymał drzwi, żeby nie stuknęły. Zastanawiał się, czy nie zaanonsować swojego przybycia. Chciał, by odniosła wrażenie, że przybył zatroskany przyjaciel, żeby ją pocieszyć, a nie jakiś obcy człowiek w złych zamiarach.

Zakręciła wodę i umieściła sałatę w plastikowym cedzaku, żeby ociekła. Wycierając ręce ścierką do naczyń i odwracając się od zlewu, zauważyła go w chwili, gdy piosenka „Lovely Rita” dobiegała końca.

Pani Bettonfield wyglądała w pierwszej chwili na zaskoczoną, ale nie przestraszoną. Wiedział, że zawdzięcza to swojej budzącej sympatię twarzy o miękkich rysach. Był w ogóle lekko zaokrąglony, miał na policzkach dołeczki i twarz bez zarostu, tak gładką jak u chłopca. Błyszczące, niebieskie oczy i miły uśmiech stwarzały mu szansę odgrywania roli Świętego Mikołaja. Wierzył, że emanuje z niego życzliwość i wrodzona miłość do ludzi, ponieważ nieznanym osobom lgnęły do niego prędzej, niżby to mogła usprawiedliwiać sama jego wesoła twarz.

Wierząc, że wyraz zaskoczenia na jej twarzy zmieni się raczej w przyjazny uśmiech niż w grymas strachu, podniósł swoją beretkę 93R i dwukrotnie strzelił jej w pierś. Do lufy przykręcony był tłumik: oba wystrzały zabrzmiały jak odgłosy wyciąganych z butelek korków.

Penelope Bettonfield upadła i legła na boku, ściskając w rękach ścierkę do naczyń. Szeroko otwarte oczy patrzyły nieruchomo nad powierzchnią podłogi na jego mokre, brudne kalosze.

Beatlesi zaczęli śpiewać piosenkę „Good Morning, Good Morning” z albumu „Sgt. Pepper”.

Roy przeszedł przez kuchnię, położył pistolet na kontuarze i kucnął obok pani Bettonfield. Ściągnął miękką skórzaną rękawiczkę i przyłożył końce palców do jej gardła, szukając pulsu w tętnicy szyjnej. Nic nie wyczuł. Pani Bettonfield nie żyła.

Jeden z pocisków musiał przebić serce, tak że obieg krwi został zahamowany natychmiast, gdyż prawie nie krwawiła.

Jej śmierć była wzruszającą ucieczką z tego świata: szybką i czystą, bezbolesną i nie poprzedzoną lękiem.

Włożył na powrót prawą rękawiczkę, a potem delikatnie potarł miejsce na jej szyi, którego dotykał palcami. Działając w rękawiczkach, zabezpieczał się przed możliwością zdjęcia z jej ciała za pomocą techniki laserowej odcisków jego palców.

Musiał się zabezpieczyć. Nie każdy sędzia ani członek ławy przysięgłych potrafiłby pojąć czystość jego motywów.

Zamknął powiekę jej lewego oka i przytrzymał chwilę, żeby tak pozostała.

– Śpij, droga pani – powiedział z mieszaniną miłości i żalu, zamykając jej prawą powiekę. – Koniec zmartwień z powodu finansów, koniec z pracą do późna, koniec stresów i zmagañ. Byłaś zbyt bezbronna w obecnym świecie.

Chwila była zarówno smutna, jak i radosna. Smutna, gdyż uroda i elegancja pani Bettonfield nie miały dłużej dodawać blasku światu; nigdy już jej uśmiech nie podniesie nikogo na duchu; jej kurtuzja i takt nie będą już stanowić przeciwwagi dla fali barbarzyństwa zalewającego znękaną społeczność. Radosna, gdyż nie musiała już dłużej bać się, ronić łez i przeżywać bólu i smutku.

„Good Morning, Good Morning” zmieniło się w cudownie skoczną synkopowaną interpretację „Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band” – ciekawszą od pierwszego wykonania umieszczonego na początku albumu – która wydawała się odpowiednim uhonorowaniem przeprowadzenia się pani Bettonfield do lepszego świata.

Nie chcąc dalej brudzić, Roy wyciągnął spod kuchennego stołu krzesło, usiadł i zdjął kalosze. Pozawijał również mokre i zabłocone nogawki spodni.

Nowa aranżacja głównego tematu muzycznego albumu była krótka i nim Roy podniósł się z krzesła, rozpoczęło się „A Day in the Life”. Była to piosenka osobliwie melancholijna, zbyt smutna, żeby pasować do sytuacji. Powinien ją wyłączyć, nim zdąży go przygnębić. Był wrażliwy, znacznie bardziej od innych narażony na emocjonalny wpływ muzyki, poezji, malarstwa, beletrystyki i w ogóle sztuki.

Wieża stereo mieściła się w długim rzędzie pięknie rzeźbionych szaf mahoniowych, stojących w pracowni. Wyłączył muzykę i przeszukał dwie szuflady, wypełnione płytami kompaktowymi. Będąc ciągle pod wpływem muzyki Beatlesów, wybrał „A Hard Day’s Night”, gdyż żadna z piosenek w tym albumie nie była pesymistyczna.

Śpiewając wraz z Beatlesami tytułową piosenkę, wrócił do kuchni i podniósł panią Bettonfield z podłogi. Była mniejsza, niż mu się wydawała wtedy, gdy rozmawiał z nią przez okno samochodu. Ważyła nie więcej niż sto pięć funtów, miała szczupłe przeguby, łabędzią szyję i delikatne rysy. Roy był wzruszony kruchością jej ciała. Niósł ją w ramionach nie tylko z troską i szacunkiem, ale wręcz z czcią.

Zaniósł ją do holu, włączając po drodze barkiem kolejne światła, potem po schodach na piętro, i idąc wzdłuż korytarza, znalazł główną sypialnię. Tam położył ją delikatnie na szezlongu.

Zdjął z łóżka pikowaną kapę i odwinął pościel. Strzepnął poduszki o pięknych, obramowanych koronką poszewkach w egipskie wzory.

Zsunął buty z nóg pani Bettonfield i schował je do szafy. Miała stopy tak małe jak dziewczynka.

Zaniósł Penelope na łóżko i położył na wznak, z głową opartą na dwóch poduszkach, zostawiając ją całkowicie ubraną. Naciągnął na nią prześcieradła i koc, nie zakrywając ramion. Zwiniętą kapę położył u jej stóp.

Przyniósł z łazienki szczotkę i zaczął szczotkować jej włosy. Kiedy zaczynał – Beatlesi śpiewali „If I Fell”, nim jednak zdążył ułożyć połyskujące, kasztanowe loki wokół jej uroczej twarzy – byli już pod koniec „I’m Happy Just to Dance with You”.

Zapalił wysoką lampę z brązu, stojącą na podłodze obok łóżka, wyłączając równocześnie nieprzyjemne światło sufitowe. Wokół leżącej kobiety ułożyły się miękkie cienie. Wyglądały jak skrzydła aniołów, którzy przybyli po to, żeby zabrać ją z doliny łez do krainy wiecznego spokoju.

Podszedł do toaletki w stylu Ludwika XVI, wziął krzeselko i postawił przy łóżku. Usiadł na nim zdjął rękawiczki i ujął dłoń pani Bettonfield obiema swoimi. Ciało jej stygło, ale było jeszcze ciepłe.

Nie mógł przeciągać swojego pobytu. Miał bardzo dużo do zrobienia, a czasu pozostało niewiele. Mimo to chciał spędzić kilka nostalgicznych minut u boku pani Bettonfield.

Podczas gdy Beatlesi śpiewali „And I Love Her” oraz „Tell Me Why”, Roy Miro czule trzymał w uścisku dłoń swojej świętej pamięci przyjaciółki, podziwiając wytworne meble, obrazy, przedmioty artystyczne, ciepłe kolory wnętrza oraz kolekcję tkanin o dobranych ze smakiem wzorach i fakturze.

– To takie niesprawiedliwe, że musiałaś z tym skończyć – powiedział do Penelope. – Byłaś świetną dekoratorką wewnątrz. Naprawdę świetną.

Beatlesi śpiewali.

Deszcz bębnił o szyby.

Serce Roya wezbrało uczuciem.

Rozdział 3

Rocky orientował się, że wracają do domu. Co jakiś czas, kiedy przejeżdżali obok znanych miejsc, sapał z zadowolenia.

Spencer mieszkał w tej części Malibu, która była mniej ekskluzywna, ale za to charakteryzowała się własnym, niepowtarzalnym urokiem.

Ogromne, czterdziestopokojowe rezydencje w stylu śródziemnomorskim; ultranowoczesne, wbudowane w skały apartamenty z przyciemnionego szkła, drewna sekwoi i stali; wielkie jak transatlantyki domy na Cape Cod; rezydencje z niewypalanej cegły w stylu południowego zachodu, o powierzchniach rzędu dwudziestu tysięcy stóp kwadratowych i o sufitach z drewnianych okrągłaków, posiadające prywatne sale projekcyjne, wyposażone w aparaturę dźwiękową THX – wszystko to sytuowało się na plażach, na urwiskach powyżej plaż i po przeciwnej stronie Pacific Coast Highway, na wzgórzach z widokiem na morze.

Spencer mieszkał dalej od wybrzeża – na wschód od wszystkich tych domów, których zdjęcia zamieszczane były w „Architectural Digest” – w pół drogi w górę nieuczęszczanego i rzadko zaludnionego kanionu. Biegnąca jego dnem jednopasmowa droga asfaltowa miała łatę na łacie i była popękana na skutek trzęsień ziemi, które regularnie nawiedzały całe wybrzeże. Między dwoma olbrzymimi eukaliptusami widniała brama z drucianej siatki, stanowiąca początek dwustujardowej, zwirowej alejki dojazdowej.

Do bramy była przywiązana drutem zardzewiała tabliczka z wyblakłym, czerwonym napisem: „Uwaga! Zły pies!”. Przymocował ją tam wkrótce po kupieniu posiadłości, długo przedtem, nim zjawił się Rocky. Na początku nie było żadnego psa, tylko człowiek wytrenowany w zabijaniu. Wtedy ostrzeżenie było jedynie pustym słowem, niemniej okazało się skuteczne. Nikt nigdy nie zakłócił spokoju tego ustronia.

Brama nie była otwierana automatycznie. Musiał wśród padającego deszczu wysiąść, otworzyć ją, a potem – po wjechaniu do środka – na powrót zamknąć.

Budynek na końcu alejki miał salonik, jedną sypialnię i dużą kuchnię, był nie tyle domem, ile raczej chatą. Zewnętrzne ściany, wykładane cedrowym drewnem, stojące na kamiennych fundamentach w celu ochrony przed termitami, spatynowane na kolor połyskującej, srebrnej szarości – mogły sprawiać wrażenie, że są w opłakanym stanie. W światłach forda wydały się Spencerowi piękne i pełne charakteru.

Chata była otoczona ze wszystkich stron laskiem eukaliptusów. Była to odmiana nie atakowana przez chrząszcze australijskie, które od ponad dziesięciu lat niszczyły kalifornijskie eukaliptusy. Drzew nie przycinano od chwili, gdy Spencer kupił tę posiadłość.

Cały teren poza laskiem – dno kanionu i jego strome zbocza, aż po krawędzie – porastały krzaki i karłowate dęby. W lecie i na jesieni suche wiatry, wiejące od Santa Ana, wysysały z nich wilgoć. Wzgórza i wąwozy stawały się wtedy zapalne jak hubka. W ciągu ostatnich ośmiu lat strażacy dwukrotnie nakazywali Spencerowi wynieść się z domu, gdy szalejące w sąsiednich kanionach pożary mogły stać się dla niego dniem Sądu Ostatecznego. Niesione wiatrem płomienie potrafiły przenosić się z szybkością pociągu ekspresowego. Mogłyby zaskoczyć go we śnie. Urok kanionu i zachowanie prywatności warte były ryzyka.

W przeszłości zdarzało się, że musiał twardo walczyć w obronie życia, ale nie bał się śmierci. Czasem nawet miał ochotę położyć się spać i nie obudzić więcej. Kiedy dręczyła go obawa przed pożarem – myślał nie o sobie, lecz o Rockym.

Od tej lutowej środy do sezonu pożarów było jeszcze bardzo daleko. Mimo to drzewa, krzaki i trawa były tak nasiąknięte wodą, że wydawały się już na zawsze zabezpieczone przed spalaniem.

W domu panował chłód. Można było go ogrzać, rozpalając ogień w dużym kominku z kamieni rzecznych, mieszczącym się w saloniku, a równocześnie każdy z pokoi miał własne ścienne ogrzewanie elektryczne. Spencer wołał płaszące światło, trzask palącego się drewna i zapach dymu, ale tym razem włączył grzejniki, ponieważ się spieszył.

Po przebraniu się w wygodny szary dres do joggingu i włożeniu suchych sportowych skarpet zaparzył sobie kubek kawy. Rocky'emu nalał do miski soku pomarańczowego.

Kundel, prócz tego, że przepadał za sokiem pomarańczowym, miał wiele innych dziwactw. Lubił na przykład spacerować w ciągu dnia, ale w przeciwieństwie do innych psów nie interesowało go nocne życie, to co dzieje się na zewnątrz. Wołał znajdować się przynajmniej za szybą. Jeśli już musiał wyjść z domu po zachodzie słońca – trzymał się blisko Spencera, traktując ciemność z dużą dozą podejrzliwości. Innym jego dziwactwem była fascynacja głosem Paula Simona. Rocky nie reagował na muzykę, ale głos Simona oczarował go; kiedy Spencer puszczał płyty Simona, szczególnie „Graceland”, Rocky siadał przed głośnikami, wpatrzony w nie, albo krążył, zataczając kręgi – asynchronicznie do taktu, pogrążony w zadumie – zwłaszcza przy piosenkach „Diamonds on the Soles of Her Shoes” i „You Can Call Me Al”. Takie zachowanie trudno uznać za typowe. Jeszcze mniej typowa była jego wstydlivość przy załatwianiu potrzeb fizjologicznych, gdyż nie rozpoczynał ich, dopóki Spencer się nie odwrócił.

Spencerowi wydawało się często, że Rocky, który wiódł nędzny żywot do chwili, kiedy jego pan wziął go dwa lata temu do siebie, nie znajdował żadnej przyjemności w psiej egzystencji i wolałby być człowiekiem.

Byłoby to jego wielką pomyłką. To raczej ludzie byli skazani na psie życie – w negatywnym sensie tego słowa – niż większość psów.

– Większa samoświadomość nie uszczęśliwia – powiedział Rocky'emu któreś nocy, gdy nie mógł zasnąć. – Gdyby tak było, my, ludzie, mielibyśmy mniej psychiatrów i knajp niż wy, psy. Chyba mam rację, prawda?

Podczas gdy Rocky zajęty był miską z sokiem, Spencer zaniósł kubek z kawą na masywne biurko w kształcie litery L, zajmujące róg saloniku. Stojące na nim dwa komputery z dyskami o ogromnych pamięciach, kolorowa drukarka laserowa i inne części urządzenia zajmowały cały blat biurka.

Róg saloniku stanowił jego biuro, chociaż od dziesięciu miesięcy nie pracował. Od chwili gdy odszedł z Departamentu Policji Los Angeles – gdzie przez ostatnie dwa lata był przydzielony do grupy walczącej z przestępstwami komputerowymi – spędzał kilka godzin dziennie przy własnych komputerach.

Czasem badał interesujące go zagadnienia za pośrednictwem programów Prodigy i GENie. Częściej jednak zajmował się szukaniem sposobów wykrywania nielegalnych wejść do komputerów prywatnych i państwowych, które były chronione finezyjnymi programami zabezpieczającymi.

W momencie kiedy udawało mu się znaleźć wejście, jego działania zaczynały być nielegalne. Nigdy nie niszczył zbiorów danych żadnych kompanii ani agencji i nigdy nie wprowadzał do nich fałszywych danych. Mimo to, wkraczając na prywatne tereny, był do pewnego stopnia przestępcą.

Ale mógł z tym żyć.

Nie szukał korzyści materialnych. Nagrodą dla niego było zdobyte doświadczenie, a czasem satysfakcja z naprawionego zła.

Tak jak w sprawie Beckwatta.

W grudniu, kiedy Henry Beckwatt, zboczeniec atakujący dzieci, miał zostać zwolniony z więzienia po spędzeniu w nim niecałych pięciu lat, kalifornijska komisja do spraw zwolnień warunkowych odmówiła – w imieniu praw więźnia – ujawnienia środowiska, w którym będzie on żył przez cały okres zwolnienia warunkowego. Ponieważ Beckwatt maltretował swoje ofiary i nie wyraził z tego powodu skruchy, jego rychłe zwolnienie wywołało niepokój u wszystkich rodziców w całym kraju.

Zwracając baczną uwagę, żeby nie zostawić śladów penetracji, Spencer najpierw znalazł wejście do komputerów policji w Los Angeles, stamtąd przeszedł do systemu komputerowego prokuratora generalnego w Sacramento, a potem jeszcze dalej – do komputera komisji zwolnień warunkowych, gdzie znalazł adres, pod którym Beckwatt miał zamieszkać podczas zwolnienia. Anonimowa informacja, przesłana kilku reporterom, zmusiła komisję do opóźnienia akcji wypuszczenia Beckwatta, aż zostanie dla niego znalezione nowe, osłonięte tajemnicą miejsce. W ciągu następnych pięciu tygodni Spencer ujawnił trzy kolejne adresy przygotowane dla Beckwatta, wkrótce po ich wyznaczeniu.

Urzędnicy szaleli, żeby odkryć wśród członków komisji przypuszczalnego donosiciela, żaden jednak nie podejrzewał, a przynajmniej nie zdradzał się z tym, że przeciek mógł pochodzić z ich własnych danych komputerowych, spenetrowanych przez doświadczonego hakera. W końcu, godząc się z porażką, osadzili Beckwatta w pustym domku dozorczy, znajdującym się na terenie więzienia San Quentin.

Spencer zdawał sobie sprawę, że za kilka lat, kiedy skończy się okres powięziennego nadzoru, zboczeniec będzie mógł znów grasować i z pewnością zabije następne dzieci lub wyrządzi im niepowetowaną krzywdę, ale przynajmniej przez ten czas nie będzie mógł przebywać w nie podejrzewającym niczego środowisku.

Gdyby potrafił znaleźć wejście do komputera Pana Boga, zmieniłby w nim przeznaczenie Henry'ego Beckwatta, wprowadzając do jego programu natychmiastowy, śmiertelny atak serca lub dostanie się pod koła ciężarówki. Nie zawahałby się przed wymierzeniem takiej sprawiedliwości, której nowoczesne społeczeństwo, zaślepione wiarą w psychoanalizę, sparaliżowane przez własną, fałszywie pojętą moralność, nigdy by nie uznało.

Nie był bohaterem, nie był uzbrojonym w komputer kuzynem Batmana, nie miał zamiaru zbawiać świata. Poruszał się w przestrzeni cybernetycznej – w tych fascynujących obszarach energii i informacji objętych komputerami i sieciami komputerowymi. Czynił to dlatego, że fascynowały go w tym samym stopniu, co innych Tahiti i daleka Tortuga; nęciły go tak jak kosmonautów Księżyc i Mars.

Najatrakcyjniejszą cechą przestrzeni cybernetycznej była możliwość badania i dokonywania odkryć bez bezpośrednich kontaktów między ludźmi. Jeśli tylko unikał komunikatów komputerowych oraz innych kontaktów między użytkownikami sieci, przestrzeń cybernetyczna stawała się niezamieszkanym wszechświatem, stworzonym przez człowieka, a przy tym całkowicie bezludnym. Mógł wędrować swobodnie po ogromnych zbiorach danych, nieskończenie istotniejszych od piramid Egiptu, ruin starożytnego Rzymu lub pretensjonalnych księgozbiorów największych bibliotek – a przy tym nie zobaczyć ludzkiej twarzy i nie usłyszeć ludzkiego głosu. Był Kolumbem bez załogi, Magellanem wędrującym samotnie po elektronicznych autostradach i po metropoliach informacji, równie nie zaludnionych jak opustoszałe miasteczka na pustyniach Nevady.

Spencer usiadł przed jednym ze swoich komputerów, włączył go i popijał kawę, podczas gdy komputer przechodził procedury wstępne. Był wśród nich antywirusowy program Nortona, sprawdzający, czy któryś z jego plików nie został zarażony niszczycielskim wirusem podczas ostatniego penetrowania narodowej bazy danych. Komputer okazał się nie zainfekowany.

Pierwszym numerem telefonicznym, z którym się połączył, była działająca dwadzieścia cztery

godziny na dobę informacja o rynku papierów wartościowych.

W ciągu paru sekund na ekranie komputera pojawił się napis: WITAJCIE W ŚWIATOWEJ INFORMACJI RYNKU PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH.

Używając swojej karty identyfikacyjnej abonenta, Spencer poprosił o informację na temat giełdy japońskiej. Jednocześnie uruchomił równoległy program, zaprojektowany przez siebie, sprawdzający, czy w linii telefonicznej nie zostały zainstalowane urządzenia podsłuchowe. Światowa Informacja Rynku Papierów Wartościowych była usankcjonowaną służbą informacyjną i żadna agencja policyjna nie miała powodu, żeby zakładać podsłuch w jej liniach. Wykrycie podsłuchu świadczyłoby, że kontrolowana jest jego linia.

Rocky przyczłapał z kuchni i potarł łbem o kolano Spencera. Z pewnością nie zdążył wypić tak szybko soku pomarańczowego. Pewnie bardziej dokuczała mu samotność niż głód.

Nie odwracając oczu od monitora w oczekiwaniu sygnału alarmowego lub sygnału, że wszystko jest w porządku – Spencer opuścił rękę i podrapał psa za uszami.

Żadne z jego włamań nie powinno zwrócić uwagi władz, ale nie szkodziło mieć się na ostrożności. W ciągu ostatnich lat NSA – Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, FBI – Federalne Biuro Śledcze i inne organizacje pozakładały wydziały do zwalczania przestępczości komputerowej; wszystkie zawzięcie ściagały hakerów.

Często nawet zbyt gorliwie. Każdy ujawniony przypadek przestępstwa był dla nich – podobnie jak dla wszystkich agencji rządowych o zbyt licznym personelu – usprawiedliwieniem ciągłego wzrostu ich budżetu. Potrzebowały rosnącej z roku na rok liczby aresztowań i skazań dla udowodnienia, że złodziejstwo komputerowe oraz wandalizm rosną w zastraszającym tempie. W konsekwencji hakerzy, którzy niczego nie ukradli i niczego nie zniszczyli, bywali bezpodstawnie pociągani do odpowiedzialności. Zostawali skazani po to, żeby powiększyć statystykę przestępstw, co przynosiło w efekcie wzrost funduszy dla agencji.

Niektórzy powędrowali do więzienia.

Ofiary na ołtarzu biurokracji.

Męczennicy podziemia przestrzeni cybernetycznej.

Spencer nie miał zamiaru zostać żadnym z nich.

O dach chaty bębnił deszcz. W lasku eukaliptusów wiatr wyczarowywał chór lamentujących duchów, Spencer czekał z wzrokiem utkwionym w prawym górnym rogu ekranu. Pojawiły się czerwone litery napisu: CLEAR.

Nie było podsłuchu.

Po rozłączeniu się z informacją rynku papierów wartościowych, połączył się z komputerem Kalifornijskiej Agencji do Zwalczania Przestępstw Komputerowych. Wszedł do tego systemu dobrze zamaskowanym wejściem, które sam w nim zainstalował na krótko przed zrezygnowaniem z funkcji zastępcy kierownika.

Ponieważ zajmował stanowisko na poziomie menedżerskim, miał dostęp do najtajniejszych danych. Mógł używać komputera, kiedy tylko zapragnął i dla każdego celu, przy czym jego działania nie były obserwowane ani odnotowywane.

Nie interesowały go informacje zawarte w tym komputerze. Używał go tylko w celu łączenia się za jego pośrednictwem z systemem komputerowym policji w Los Angeles. Pokusa wykorzystania sytuacji, polegającej na użyciu systemu komputera agencji powołanej do walki z przestępczością komputerową – w celu popełnienia choćby najdrobniejszego przestępstwa tego rodzaju – była nie do odparcia.

Była też niebezpieczna.

Naturalnie wszystko, co jest zabawne, bywa również odrobinę niebezpieczne: jazda kolejką górską, skoki ze spadochronem, gry hazardowe, seks.

Poprzez komputer policyjny dotarł do komputera Kalifornijskiego Biura Kontroli Pojazdów Zmechanizowanych, mieszczącego się w Sacramento. Poczł się tak podekscytowany, jakby przenosił się ze swojego kanionu w Malibu do Sacramento na sposób bohaterów powieści science fiction.

Rocky podszedł, oparł przednie łapy na krawędzi biurka i wpatrzył się w ekran.

– To cię nie zainteresuje – powiedział Spencer.

Rocky spojrział na niego i cicho zaskomlił.

– Jestem pewny, że znacznie przyjemniej jest bawić się nową kością, którą ci dałem.

Rocky, patrząc znów na monitor, położył swój kudłaty łeb na biurku.

– A może nastawić ci Paula Simona?

Rocky ponownie zaskomlił. Tym razem dłużej i głośniej.

Spencer westchnął, przyciągnął drugie krzesło i postawił je obok swojego.

– W porządku, kiedy ktoś cierpi na samotność, to żucie kości nie zastąpi mu towarzystwa. Mnie też nie zastępuje.

Rocky wskoczył na krzesło, dysząc i szczerząc zęby.

Razem przeszukiwali przestrzeń cybernetyczną, penetrując nielegalnie rejestry pojazdów zmechanizowanych w poszukiwaniu Valerie Keene.

Odnaleźli ją w ciągu paru sekund. Spencer miał nadzieję, że natrafi na jakiś adres różniący się od tego, który znał, ale się rozczarował. Była zanotowana pod tym samym adresem w Santa Monica, pod którym zastał nie umeblowane pokoje i przybitą do ściany fotografię karalucha.

Zgodnie z danymi wyświetlonymi na ekranie, miała prawo jazdy kategorii C, bez ograniczeń, które wygasła za cztery lata. Złożyła podanie i przeszła pisemny test przed dwoma miesiącami, na początku grudnia.

Na drugie imię miała Ann.

Skończyła dwadzieścia dziewięć lat. Spencer oceniał ją na dwadzieścia pięć.

Nie miała na koncie żadnych wykroczeń drogowych.

Podpisała akt darowizny swoich organów wewnętrznych, na wypadek gdyby została śmiertelnie ranna i nie można było jej uratować.

Poza tym jej karta przynosiła niewiele więcej informacji:

PLEĆ: Ż WŁOSY: BR OCZY: BR

WZROST: 5-4 stopy WAGA: 115 funtów

Ten formalistyczny opis nie na wiele by się przydał, gdyby na jego podstawie Spencer chciał ją komukolwiek opisać. Nie wystarczał do nakreślenia wizerunku oddającego cechy, które rzeczywiście ją wyróżniały: proste, szczere spojrzenie, podnoszące się przy uśmiechu kąciiki ust, dołeczek w prawym policzku, delikatny zarys szczęki.

Począwszy od poprzedniego roku, Kalifornijskie Biuro Kontroli Pojazdów Zmechanizowanych zaczęło – z funduszków federalnych, wyasygnowanych przez rząd na podstawie aktu o zapobieganiu zbrodni i terroryzmu – gromadzić przekształcone w postać numeryczną fotografie i odciski palców świeżo upieczonych oraz odnawiających prawa jazdy kierowców. W rezultacie, po pewnym czasie, wszyscy obywatele dysponujący prawem jazdy mieli się znaleźć w rejestrach zawierających ich zdjęcia i odciski palców, chociaż ogromnej większości z nich nie wskazano za popełnienie przestępstwa ani

nawet o nie nie oskarżono.

Spencer uważał to za pierwszy krok do wprowadzenia krajowych kart identyfikacyjnych: wewnętrznych paszportów, w rodzaju obowiązujących w krajach komunistycznych – nim one upadły – dowodów osobistych. Był temu z zasady przeciwny. Tym razem jednak jego zasady nie powstrzymały go od wywołania podobizny Valerie.

Ekran zamigotał i ukazało się jej zdjęcie. Uśmiechała się.

Upiorne eukaliptusy, cicho zawodząc, uskarżały się na obojętność wieczności, a deszcz bębnił i bębnił.

Spencer zorientował się, że wstrzymał oddech. Zaczął znowu swobodnie oddychać.

Kątem oka zauważył, że Rocky przygląda mu się badawczo, potem przenosi wzrok na ekran i znów wraca do niego.

Spencer podniósł do ust kubek i wypił łyk czarnej kawy. Trzęsła mu się ręka.

Valerie wiedziała, że jacyś agenci polują na nią i że są już blisko, ponieważ opuściła bungalow parę godzin przed ich przyjściem. Dlaczego miałyby się decydować na prowadzenie niepewnego, wypełnionego strachem życia osoby ściganej, jeśli rzeczywiście była niewinna?

Odstawił kubek i wracając do klawiatury, poprosił o kopię zdjęcia widniejącego na ekranie.

Zaszumiała laserowa drukarka. Ze szczeliny wysunęła się pojedyncza karta papieru.

Valerie. Z uśmiechem na twarzy.

Kobieta mówiąca przyciszonym głosem, z którą Spencer rozmawiał poprzedniej nocy w „Czerwonych Drzwiach”. Wydawała się łagodna i szczerą, niezdolną do popełnienia oszustwa. Była pierwszą, która otwarcie spojrzała na jego bliznę i zapytała o przyczynę jej powstania bez współczującego spojrzenia, bez skrywanej ciekawości – w sposób, w jaki spytałaby go o to, gdzie kupił koszulę, którą ma na sobie. Na ogół jego rozmówcy spoglądali na bliznę ukradkiem i zaczynali o niej mówić – jeśli w ogóle – dopiero wtedy, gdy zorientowali się, że zdaje sobie sprawę z ich ciekawości. Szczerść Valerie była pokrzepiająca. Kiedy jej powiedział, że miał wypadek, gdy był jeszcze dzieckiem, Valerie wyczuła, że albo nie chce, albo nie może o tym mówić, i porzuciła temat, jak gdyby nie miał żadnego znaczenia. Od tamtej chwili nie zauważył, żeby jej wzrok błąkał się w okolicy szramy na jego twarzy; co więcej, nie miał uczucia, że ona walczy z sobą, żeby na nią nie patrzeć. Widziała w nim bardziej interesujące rzeczy niż bladą przęgę od ucha do podbródka.

Valerie. Czarno-biała odbitka.

Nie mógł uwierzyć, że ta kobieta była zdolna do popełnienia przestępstwa, a już z pewnością nie takiego, żeby musiał przychodzić po nią cały oddział SWAT, nocą, wyposażony w pistolety maszynowe i najnowocześniejszy sprzęt.

Może przebywała w towarzystwie kogoś niebezpiecznego. Spencer wątpił w to. Przypomniał sobie niektóre szczegóły: pojedynczy komplet naczyń obiadowych, jedna szklanka, jeden komplet sztućców, jeden materac pneumatyczny, wystarczająco duży dla jednej – ale za mały dla dwóch osób.

Ale taka możliwość nie była wykluczona: mogła nie być sama, a obiektem zainteresowania oddziału SWAT była ta druga osoba.

Zdjęcie Valerie, wypełniające ekran komputera, było trochę za ciemne. Spencer kazał drukarce laserowej zrobić jeszcze jedną kopię, o odcień jaśniejszą niż pierwsza.

Fotografia była teraz lepsza. Spencer kazał wydrukować następnych pięć.

Patrząc na podobiznę Valerie Keene, nie uświadamiał sobie jeszcze, że ma zamiar podążyć jej śladem, odnaleźć ją i pomóc – niezależnie od tego, co zrobiła, bez względu na to, ile to go będzie

kosztowało i czy kiedykolwiek będzie jej na nim zależało – i że ma zamiar stawić czoło wszelkim niebezpieczeństwom, które mogłyby ją spotkać.

Kiedy zrozumiał głębsze implikacje swojej decyzji, wstrząsnął nim dreszcz zdumienia, ponieważ do tej chwili miał się za człowieka całkowicie nowoczesnego, który nie wierzył w nic i w nikogo, ani w Boga wszechmogącego, ani w siebie samego.

Ogarnięty nagłym lękiem, gdyż nie rozumiał w pełni swoich pobudek, powiedział cicho:

– Nie do wiary!

Pies kichnął.

Rozdział 4

Nim jeszcze Beatlesi zaczęli śpiewać „I'll Cry Instead”, Roy Miro poczuł chłód w martwej ręce kobiety.

Puścił jej dłoń i naciągnął rękawiczki. Rąbkiem wierzchniego prześcieradła wytarł jej ręce, żeby usunąć ślady linii papilarnych swoich palców.

Ze sprzecznymi uczuciami – smutku z powodu śmierci zanej kobiety i radości z powodu jej odejścia ze świata pełnego bólu i rozczarowań – zszedł po schodach do kuchni. Chciał usłyszeć zgrzytnięcie automatycznych drzwi garażowych, oznajmiające powrót jej męża.

Kilka kropli zakrzepłej krwi plamiło kafelkową podłogę. Roy popsikał je sprayem Fantastik, który znalazł w szafce pod zlewozmywakiem, i stał papierowymi ręcznikami.

Usunął również ślady swoich kaloszy. Potem zauważył, że stalowy zlewozmywak nie jest tak czysty jak powinien i doprowadził go do połysku.

Okienko w kuchence mikrofalowej również było zasmarowane. Wyczyścił je tak, że znów stało się przezroczyste.

Kiedy Beatlesi byli w połowie „I'll Be Back”, a on kończył wycierać zamrażarkę, drzwi do garażu uniosły się z hałasem. Wyrzucił zużyte ręczniki do kubła na odpadki, odstawił Fantastik i wziął do ręki berette, którą zostawił na kontuarze po wyzwoleniu Penelope z cierpień życiowych.

Między kuchnią a garażem znajdowała się tylko mała pralnia. Stanął twarzą w stronę zamkniętych drzwi.

Warkot silnika wstrząsnął ścianami garażu, gdy Sam Bettonfield wjeżdżał do środka. Silnik zgasł. Drzwi garażowe ze szczękiem i skrzypieniem zasunęły się za samochodem.

Sam wracał do domu po bataliach stoczonych w urzędach podatkowych. Musiał być zmęczony długimi godzinami pracy, kolumnami liczb. Zapewne miał dość płacenia wysokiego czynszu w Century City, próbując utrzymać się na powierzchni w systemie, który wyżej cenil pieniądze niż ludzi.

Trzasnęły drzwiczki samochodu.

Wyczerpany ciągłym stresem z powodu spędzania życia w mieście pełnym niesprawiedliwości, będącym w wojnie z samym sobą, Sam zapewne liczył na drinka, pocałunek Penelope, późny obiad i może na godzinę relaksu przed telewizorem. Te skromne przyjemności i osiem godzin snu mogły stanowić jedyny odpoczynek biedaka od jego chciwych i wymagających klientów, przy czym we śnie z pewnością dręczyły go koszmary.

Roy miał mu do zaoferowania coś lepszego. Zbawienną ucieczkę.

Usłyszał metaliczny dźwięk klucza w zamku drzwi między garażem a domem, szczęk zasuw i skrzypienie drzwi do pralni. Kiedy otwierały się drzwi do kuchni, Roy podniósł berette.

Sam, z neseserem w ręku, ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy wszedł do środka. Był łysiejącym mężczyzną o ruchliwych ciemnych oczach. Wyglądał na zaskoczonego, ale odezwał się spokojnie:

– Pewnie pan pomylił domy.

– Wiem, jak pan musi cierpieć – powiedział Roy z oczami pełnymi łez i oddał trzy szybkie strzały.

Sam był niedużym mężczyzną, ważył zaledwie pięćdziesiąt funtów więcej niż jego żona, niemniej wciągnięcie go po schodach, rozebranie z płaszcza, zdjęcie butów i ułożenie na łóżku nie było łatwe. Kiedy zadanie zostało wykonane, Roy poczuł się zadowolony. Wiedział, że postąpił właściwie, układając Sama i Penelope razem, z oddaniem należnej im czci.

Naciągnął na pierś Sama nakrycie. Prześcieradło obreźbione było koronką, dopasowaną do poszewek

poduszek. Martwa para wyglądała teraz, jakby była ubrana w fantazyjne komże – takie, jakie noszą aniołowie.

Beatlesi od jakiegoś czasu już nie śpiewali. Walący z nieba zimny deszcz był tak nieubłagany jak miasto, na które padał; nieubłagany jak upływ czasu i gasnące światła dnia.

Roy wiedział, że dokonał aktu miłosierdzia i że powinien cieszyć się z powodu wyzwolenia tych dwojga zacnych ludzi od cierpień, ale mimo to czuł smutek. Był to słodki smutek, a łzy, które płynęły mu z oczu, oczyszczały.

Na koniec zszedł na dół, żeby zetrzeć kilka kropli krwi Sama, które plamiły podłogę w kuchni. W schowku pod schodami znalazł odkurzacz i usunął z dywanu cały przyniesiony przez siebie brud.

Z torebki Penelope wyjął swoją kartę wizytową, którą dał jej podczas spotkania na autostradzie. Nazwisko na karcie było nieprawdziwe, ale mimo to zabrał ją.

Na samym końcu zadzwonił z aparatu telefonicznego w pracowni pod numer 911.

Odezwał się głos policjantki. Roy powiedział:

– Bardzo przykra sprawa. Bardzo przykra. Ktoś powinien zaraz tu przyjechać.

Nie odłożył słuchawki na widełki, lecz położył ją na biurku, nie zwalniając linii. Adres Bettonfieldów powinien pojawić się na ekranie komputera przed policjantką, która odpowiedziała na telefon. Roy nie chciał zaryzykować, że Sam i Penelope nie zostaną odnalezieni w ciągu wielu godzin, a może nawet dni. Byli zacnymi ludźmi i nie zasługiwali na dyshonor, gdyby odkryto ich sztywnych, sinych i cuchnących.

Poszedł w stronę drzwi frontowych, niosąc w ręku buty i kalosze i wkładając je w pośpiechu. Nie zapomniał zabrać z sobą przyrządu do otwierania zamków, leżącego na podłodze w holu.

Wyszedł na deszcz, dotarł do swojego samochodu i odjechał. Spojrzał na zegarek: dwadzieścia minut po dziesiątej. Mimo że na Wschodnim Wybrzeżu było aż trzy godziny później, Roy wiedział, że jego rozmówca w Wirginii będzie czekał.

Na pierwszym czerwonym świetle otworzył neseser leżący na siedzeniu obok. Włączył zasilanie komputera, który ciągle jeszcze był połączony z telefonem komórkowym. Nie rozłączał ich, ponieważ potrzebował obu. Nastawił telefon komórkowy na rodzaj pracy, umożliwiający operowanie nim za pomocą zaprogramowanych wcześniej rozkazów głosowych, po czym wcisnął „speakerphone”, co pozwalało mu trzymać kierownicę obiema rękami.

Kiedy światło zmieniło się na zielone – przejechał skrzyżowanie i zainicjował długodystansową rozmowę, mówiąc:

– Proszę połączyć z... – i dodając do tego numer telefonu w Wirginii.

Po drugim sygnale odezwał się znajomy głos Thomasa Summerton, czysty i jedwabisty, tak południowy jak masło orzechowe.

– Halo?

– Czy mogę rozmawiać z Jerryem? – zapytał Roy.

– Pomyłka – odparł Summerton i odwiesił słuchawkę.

Roy przerwał ciągły ton, rozbrzmiewający po odłożeniu słuchawki, rozkazem:

– Proszę teraz rozłączyć.

W ciągu dziesięciu minut Summerton zadzwonił do niego z bezpiecznego telefonu i będą mogli porozmawiać swobodnie, bez obawy, że zostaną podsłuchani.

Pojechał wzdłuż jaskrawo oświetlonych sklepów Rodeo Drive w stronę Santa Monica Boulevard, a potem na zachód, ku dzielnicy willowej. Ogromne, kosztowne domy otoczone były wysokimi drzewami. Pałace dla uprzywilejowanych. Uważał je za prowokację.

Kiedy rozległ się dzwonek telefonu, nie sięgając do klawiatury, powiedział:

– Proszę połączyć rozmowę.

Cichy trzask oznajmił, że połączenie zostało dokonane.

– Proszę włączyć kodowanie – powiedział Roy.

Krótkie „bip” komputera oznajmiło, że odtąd wszystko, co powie Summertonowi, stanie się niezrozumiałe dla osób trzecich. Dźwięki rozmowy ulegną podziałowi na małe wycinki, z których każdy zostanie zmieniony innym, pozornie przypadkowym współczynnikiem. Oba telefony będą odpowiednio zsynchronizowane, tak że nic nieznaczący ciąg dźwięków zostanie na drugim końcu ponownie złożony, przywracając rozmowie pierwotną postać.

– Otrzymałem raport z Santa Monica – powiedział Summerton.

– Sąsiedzi twierdzili, że rano tam była. Musiała wymknąć się, nim zaczęliśmy obserwować dom.

– Kto mógł ją ostrzec?

– Przysiągłbym, że wyczuwa nas szóstym zmysłem. – Roy skręcił na zachód i pojechał Bulwarem Zachodzącego Słońca, włączając się w strumień pojazdów, ozłacających reflektorami mokrą jezdnię. – Słyszał pan o facecie, który tam się zjawił?

– I uciekł.

– Nie leniliśmy się.

– Miał szczęście?

– Nie. Gorzej. On wiedział, co robi.

– A zatem to agent jakiejś służby porządkowej?

– Tak.

– Lokalnej, stanowej czy federalnej?

– Wprawnie unieszkodliwił członka oddziału.

– Więc jest z wyższego szczebla.

Roy skręcił w prawo, zjeżdżając z bulwaru w mniej uczęszczaną uliczkę, przy której rezydencje kryły się za murami, wysokimi żywopłotami i chwiejącymi się teraz pod naporem wiatru drzewami.

– Co z nim zrobić, jeśli go odszukamy?

Summerton zastanawiał się chwilę.

– Zbadajcie kim jest, dla kogo pracuje.

– Później go zatrzymać?

– Nie. Za wielkie ryzyko. Zlikwidujcie go.

Jechał ulicami wijącymi się wśród zalesionych wzgórz i porozrzucanych posiadłości, tunelami z nawisłych gałęzi, biorąc jeden po drugim ostre zakręty.

– Czy to zmienia nasze plany co do tej kobiety? – spytał Roy.

– Nie. Załatwcie ją na miejscu. Co tam się jeszcze dzieje?

Roy pomyślał o panu i pani Bettonfield, ale nie wspomniał o nich. Miłosierdzie, które im okazał, nie miało nic wspólnego z jego pracą i Summerton by go nie zrozumiał.

Zamiast tego powiedział:

– Coś dla nas zostawiła.

Summerton nie odpowiedział, ponieważ czuł, co to mogło być.

– Fotografię karalucha, przybitą do ściany.

– Dołóżcie jej zdrowo – polecił Summerton i przerwał rozmowę.

Jadąc długą krzywizną, pod zwisającymi gałęziami magnolii, Roy minął ogrodzenie z kutego żelaza,

za którym stała, wśród przeszywanej deszczem ciemności, oświetlona reflektorem punktowym replika Tary. Powiedział głośno:

– Koniec kodowania.

Z komputera rozległo się „bip”, potwierdzające wykonanie polecenia.

– Proszę połączyć z... – powiedział, dodając numer telefonu, prowadzącego prosto w ramiona Mamy.

Ekran zamigotał. Roy spojrział nań i zobaczył pierwsze z pytań kontrolnych: KTO WCHODZI?

Telefon reagował na rozkazy wydawane głosem, ale Mama nie. Roy zjechał z wąskiej drogi na czyjąś alejkę dojazdową i zatrzymał się przed dziewięciostopowej wysokości bramą z kutego żelaza. Wystukał na klawiaturze odpowiedzi na serię pytań kontrolnych. Kiedy transmisja odcisku kciuka została zakończona, uzyskał połączenie z Mamą.

Z jej podstawowego katalogu wybrał BIURA TERENOWE. Z tego zbioru wybrał LOS ANGELES i teraz miał już dostęp do największego dziecka Mamy na Zachodnim Wybrzeżu.

Przejrzał kilka katalogów komputera w Los Angeles, aż doszedł do katalogu wydziału analizy fotografii. Plik, który go interesował, był właśnie przeglądany, jak zresztą się tego spodziewał, więc włączył się jako obserwator.

Na ekranie komputera pojawiła się czarno-biała fotografia głowy mężczyzny. Twarz była na pół odwrócona od aparatu, pokryta plamami cieni, rozmazana za kurtyną deszczu.

Roy poczuł się rozczarowany. Miał nadzieję na ostrzejsze zdjęcie.

To wyglądało jak impresjonistyczny obraz o rozpoznawalnych konturach i tajemniczych szczegółach.

Wcześniej tego wieczora oddział czekający w zasadzce zrobił kilka zdjęć mężczyzny, który wszedł do bungalowu parę minut przed atakiem. Noc, silny deszcz i wybujałe drzewa, które przeszkadzały światłu lamp ulicznych dotrzeć do chodnika – wszystko razem sprzyścięło się, żeby nie mógł przyjrzeć się człowiekowi. Co więcej – nie spodziewali się go. Myśleli, jest zwykłym przechodniem, który pójdzie dalej, i byli niemile zaskoczeni, kiedy skręcił i wszedł do domu tej kobiety. Zrobili wprawdzie kilka zdjęć, ale żadne nie było wyraźne; żadne nie pokazywało twarzy tajemniczego faceta, mimo że aparat był wyposażony w teleobiektyw.

Najlepsze z fotografii były już skierowane do analizy komputerowej w lokalnym biurze, gdzie zostały poddane obróbce programem intensyfikującym. Komputer musiał najpierw scharakteryzować zniekształcenia spowodowane deszczem i wyeliminować je. Potem równomiernie, stopniowo rozjaśniać wszystkie walory zdjęcia tak długo, aż można było rozpoznać strukturę biologiczną twarzy w najciemniejszych jego fragmentach. Jeszcze później – dysponując ogromną ilością informacji na temat wyglądu ludzkiej głowy u poszczególnych płci, ras i grup wiekowych – komputer miał zinterpretować uchwycone w przelocie rysy i rozwinąć je na podstawie największego prawdopodobieństwa.

Cały proces był bardzo czasochłonny mimo błyskawicznego tempa przeprowadzanych operacji. Każda fotografia była dzielona na mikroskopijne punkty światła i cienia – elementy składanki, mające jednakowy kształt, lecz różniące się ziarnistością i stopniem jasności. Każdy z setek tysięcy punktów składających się na zdjęcie musiał zostać poddany analizie w celu określenia, jaki byłby jego niezniekształcony związek z każdym spośród wszystkich graniczących z nim punktów. Oznaczało to, że w celu poprawienia jakości zdjęcia komputer musiał przeprowadzić setki milionów porównań.

Mimo to nie było gwarancji, że powstające z wolna zdjęcie było wiernym wizerunkiem twarzy sfotografowanego mężczyzny. Jakakolwiek analiza tego typu była w tym samym stopniu sztuką – lub przypuszczeniem – co rzetelnym procesem technologicznym. Roy widział przykłady komputerowo skorygowanych zdjęć, które były równie marnej klasy jak malowane seryjnie przez malarzy amatorów

widoki Łuku Triumfalnego albo Manhattanu o zachodzie słońca. Zawsze jednak fotografia ludzkiej twarzy, po przejściu przez komputer, była możliwie najbardziej zbliżona do rzeczywistego wyglądu.

Przez obraz na ekranie przebiegały z lewa na prawo pionowe fałdy, w miarę jak komputer robił kolejne porównania i dopasowywał wzajemnie do siebie tysiące punktów. Roy czuł rozczarowanie. Mimo że zachodziły zmiany – ich efekt był nieuchwytny. Roy nie mógł dostrzec różnicy w stosunku do pierwotnej fotografii.

W ciągu kilku następnych godzin fałdy będą niestrudzenie przebiegały przez ekran w odstępach sześć-, dziesięciosekundowych. Większe zmiany będzie można zauważyć, oglądając obraz w dużych odstępach czasu.

Nie wyłączył komputera i zostawiając monitor skierowany w swoją stronę, ruszył dalej.

Przez jakiś czas jeździł po wzgórzach i niewidocznych zakrętach, szukając wyjazdu z ciemnej dzielnicy, gdzie prześwitujące przez drzewa światła pałaców przywodziły na myśl nieograniczone bogactwa i władzę.

Od czasu do czasu zerkał na ekran komputera. Fałdy przebiegające twarz. Na pół odwróconą. Zagadkową i dziwną.

Kiedy w końcu odnalazł Bulwar Zachodzącego Słońca, a potem niżej położone uliczki Westwood w pobliżu hotelu, był zadowolony, że znalazł się znów wśród ludzi podobnych bardziej do niego niż do bogaczy, którzy żyli wśród wzgórz. Na dole żyli obywatele, którzy wiedzieli, co to jest cierpienie i niepewność losu: ludzie, którym mógł pomóc, którym mógł – na swój sposób – okazać sprawiedliwość i miłosierdzie.

Twarcz na ekranie komputera wyglądała ciągle jak z zaświatów. Była niewyraźna i złośliwa.

Nieznajomy sprawiał wrażenie człowieka, który – podobnie jak ścigana kobieta – przeciwstawiał się porządkowi, stabilizacji i sprawiedliwości. Mógł to być człowiek zły albo po prostu udręczony i zagubiony. Ostatecznie, to nie było takie ważne.

– Obiecuję ci spokój – powiedział Roy Miro, patrząc na wolno zmieniającą się twarz na monitorze. – Znajdę cię i przyniosę ci spokój.

Rozdział 5

Deszcz bębnił zaciekle o dach chaty, wiatr szarpał oknami, zwinięty w kłębek pies spał na krześle, podczas gdy Spencer – wykorzystując swoje doświadczenie komputerowe – próbował zebrać dane na temat Valerie Keene.

Według materiałów pochodzących z Biura Kontroli Pojazdów Zmechanizowanych, załatwiającej prawo jazdy, okazała jako dowód tożsamości kartę ubezpieczeniową. Biuro sprawdziło, że jej nazwisko i numer karty rzeczywiście figurowały w aktach ubezpieczeń społecznych.

Spencer uzyskał stąd kilka danych, pozwalających na dalsze poszukiwania w innych rejestrach: nazwisko, datę urodzenia, numer prawa jazdy i numer karty ubezpieczeniowej. Sądził, że zdobycie dalszych informacji powinno być łatwe.

Ostatniego roku, pracując cierpliwie i z dużą dozą pomysłowości, zrobił sobie zabawę z włamania się do wszystkich większych krajowych agencji, zajmujących się kontrolą spłacania długów, takich jak TRW, która miała jeden z najlepiej zabezpieczonych systemów. Teraz ponownie zakradł się do nich w poszukiwaniu Valerie Ann Keene.

W rejestrach tych agencji znalazł czterdzieści dwie osoby o podobnie brzmiącym nazwisku. Pięćdziesiąt dziewięć – kiedy wymawiało się je jako „Keene” albo „Keane”, a sześćdziesiąt cztery, gdy dorzucił „Keen”. Spencer wprowadził numer jej karty ubezpieczeniowej, spodziewając się wyeliminowania sześćdziesięciu trzech spośród sześćdziesięciu czterech nazwisk, ale żadne z nich nie miało związku z numerem odpowiadającym numerowi karty znalezionemu w rejestrze Biura Kontroli Pojazdów Zmechanizowanych.

Marszcząc z niezadowoleniem brwi, wprowadził datę urodzenia Valerie i zażądał od systemu zidentyfikowania jej według tego parametru. Jedna spośród sześćdziesięciu czterech Valerie była urodzona tego samego dnia i tego samego miesiąca co kobieta, której szukał – ale dwadzieścia lat wcześniej.

Leżący obok niego pies chrapał. Spencer wprowadził do komputera numer prawa jazdy i czekał, podczas gdy system przeszukiwał dane wszystkich Valerie. Spośród tych, które miały prawa jazdy, pięć mieszkało w Kalifornii, ale zadany numer się nie zgadzał. Jeszcze jeden ślepy zaułek.

Przekonany, że błąd musiał zostać popełniony przy wprowadzaniu danych, Spencer przejrzał akta wszystkich pięciu kalifornijskich Valerie, sprawdzając, czy numer prawa jazdy którejś z nich lub data urodzenia nie różni się jedną cyfrą od danych wydobytych z Biura Kontroli Pojazdów. Był pewien, że urzędnik napisał na przykład cyfrę sześć zamiast dziewięć albo zamienił między sobą dwie cyfry.

Żadnego rezultatu. Nie było pomyłek. Co więcej, z informacji zaczerpniętych z akt wynikało, że żadna z tych kobiet nie mogła być właściwą Valerie.

Niewiarygodne było to, że Valerie Ann Keene, pracująca ostatnio w „Czerwonych Drzwiach”, nie figurowała w aktach agencji kredytowych i nie było śladów, że kiedykolwiek udzielono jej kredytu. Było to możliwe tylko w przypadku, gdyby nie kupowała niczego na raty, nie miała karty kredytowej, nie otworzyła konta bieżącego ani oszczędnościowego i gdyby nigdy jakikolwiek pracodawca lub właściciel domu nie sprawdzał jej przeszłości.

Żeby we współczesnej Ameryce w wieku dwudziestu dziewięciu lat nie mieć jeszcze do czynienia z żadną agencją kredytową, musiała być chyba Cyganką albo błąkać się bez zajęcia przynajmniej od czasu, gdy była nastolatką. Tymczasem w najmniejszym stopniu nie sprawiała takiego wrażenia.

W porządku. Skup się. Najście na jej domek oznaczało, że ścigały ją takie czy inne władze policyjne.

Musiała więc być poszukiwaną przestępczynią z kryminalną przeszłością.

Spencer cofnął się do komputera Departamentu Policji Los Angeles, za którego pośrednictwem przeszukał miejskie, okręgowe i stanowe rejestry sądowe, żeby sprawdzić, czy ktokolwiek o nazwisku Valerie Ann Keene był kiedykolwiek skazany za popełnienie przestępstwa albo miał sądowy nakaz aresztowania.

Odpowiedź rejestru miejskiego brzmiała: NIE.

Okręg odpowiedział: BRAK DANYCH. Rejestr stanowy: NIE ZNALEZIONO.

Nic. Zero. Gówno.

Używając połączenia Departamentu Policji Los Angeles z FBI, Spencer przeszukał waszyngtońskie rejestry Departamentu Sprawiedliwości, obejmujące skazanych za przestępstwa przeciw państwu. Również wśród nich nie znalazł nazwiska Valerie.

Poza osobami figurującymi na słynnej liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych, FBI bezustannie próbowało odnaleźć setki innych potrzebnych w związku z prowadzonymi śledztwami, będących albo podejrzanymi, albo ewentualnymi świadkami. Spencer sprawdził, czy jej nazwisko figurowało na którejś z list. Rezultat był znowu negatywny.

Była kobietą bez przeszłości.

Coś jednak sprawiło, że jej szukano. I to bardzo intensywnie.

Spencer położył się do łóżka dopiero po południu, dziesięć minut po pierwszej.

Nie mógł zasnąć, chociaż był zmęczony, a jednostajny szum deszczu działał jak pigułka nasenna. Leżał na wznak, patrząc w sufit lub na siekaną deszczem zieleń drzew za oknem, słuchając monotonnego wycia wiatru.

Z początku nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o tej kobiecie. Co chwilę przypominał sobie, jak wyglądała, jakie miała oczy, głos, uśmiech. Jaka była tajemnicza.

Po jakimś czasie sięgnął myślami do przeszłości, do której wracał zbyt często i łatwo. Jego wspomnienia poruszały się po jednokierunkowej autostradzie, zmierzającej ku pewnej letniej nocy, gdy miał zaledwie czternaście lat. Wtedy czerń stała się jeszcze czarniejsza, wszystko okazało się fałszem, umarły nadzieje, a lęk przed przyszłością stał się nieodłącznym towarzyszem. Tej pamiętnej nocy obudził się słysząc denerwujący krzyk sowy, później dokonał odkrycia, stanowiącego punkt zwrotny w jego życiu.

Rocky, który zwykle dopasowywał się do nastrojów swojego pana, niezmordowanie krążył po pokoju, nie zwracając uwagi na to, że Spencer popada w zły nastrój z powodu gnębiących go wspomnień i że potrzebuje towarzystwa. Pies nie reagował na wezwania, wędrując tam i z powrotem między otwartymi drzwiami do sypialni (gdzie zatrzymywał się na progu i słuchał wycia wiatru w otworze kominka) a oknem sypialni (gdzie opierał się przednimi łapami o parapet, przypatrując się szalejącej w lasku eukaliptusów wichurze). Choć nie skomlał ani nie skowyczał, widać było, że jest zaniepokojony, jak gdyby obrzydliwa pogoda przyniosła z sobą niepożądane wspomnienia z jego przeszłości, wytrącając go ze stanu bez troski, w której trwał, wysypiając się na krześle w saloniku.

– Hej, chłopcze – powiedział łagodnie Spencer. – Chodź tu.

Pies, nie zwracając na niego uwagi, podreptał w stronę drzwi.

We wtorek wieczór Spencer pojechał do „Czerwonych Drzwi” po to, żeby opowiedzieć jakimkolwiek przygodnemu kompanowi o pewnej lipcowej nocy przed szesnastu laty. Zamiast tego spotkał Valerie Keene i ku własnemu zdumieniu rozmawiał z nią o zupełnie innych rzeczach. Ale tamten lipiec prześladował go bezustannie.

– Rocky, chodź tu. – Spencer poklepał dłonią krawędź materaca.

Nie od razu, dopiero po wielu dalszych namowach, pies przyszedł w końcu do łóżka. Leżał z głową opartą na piersi Spencera, początkowo drżący, ale wkrótce uspokojony kojącą ręką pana. Z jednym uchem podniesionym, a drugim opuszczonym przysłuchiwał się opowieści, którą słyszał niezliczoną ilość razy podczas nocy takich jak ta i innych, gdy towarzyszył Spencerowi w barach, gdzie jego pan stawiał nieznanym ludziom drinki.

– Miałem czternaście lat – zaczął Spencer. – Była połowa lipca, noc ciepła i wilgotna. Spałem pod jednym tylko prześcieradłem, okno było otwarte, żeby mogło napływać świeże powietrze. Śniła mi się moja matka, która wówczas od sześciu lat nie żyła, ale nie przypominam sobie szczegółów snu; pamiętam tylko klimat ciepła, błogości i spokoju płynącego z jej obecności... a nawet jej dźwięczny śmiech. Zawsze cudownie się śmiała. Obudził mnie inny dźwięk, nie dlatego że był głośny, ale że powracał. Był głuchy i dziwny. Usiadłem na łóżku. Byłem zdziwiony, otumaniony snem, ale nie przestraszony. Usłyszałem, jak ktoś mówi: „Hu”, powtarzając to kilkakrotnie, potem była przerwa, cisza... i znowu: „Hu, hu, hu...” Kiedy otrząsnąłem się ze snu, rozpoznałem głos sowy, która siedziała na dachu, nad otwartym oknem.

Po raz kolejny opanowała go potrzeba wspomnienia owej odległej, lipcowej nocy. Miał wrażenie, że jest asteroidą, która – przechwycona przyciąganiem ziemskim – schodzi ze swojej orbity ku nieuchronnej zagładzie.

...Na dachu, nad moim otwartym oknem siedzi sowa, wołająca w ciemną noc, zdradzająca coś, o czym wiedzą tylko sowy.

Wstaję z łóżka wśród lepkiej, wilgotnej ciemności i idę do łazienki, mając nadzieję, że pohukiwanie skończy się, kiedy sowa zgłodnieje i odleci, żeby polować na myszy. Gdy wracam, ona nadal siedzi na dachu i powtarza swój monotony lament.

Podchodzę do otwartego okna i cicho podnoszę żaluzję, próbując jej nie spłoszyć. Wychylam się i wykręcam głowę, żeby spojrzeć w górę, spodziewam się zobaczyć jej szpony, wbite w gont i zawinięte na krawędzi okapu. Nim zawołam „Szuuu...” albo sowa powtórzy swoje „Huuu” – słyszę inny, odległy krzyk. Ów nowy głos – wysoki i złowieszczy – jest piskiem przerażenia, dobiegającym z jakiegoś odległego miejsca. Patrzę w stronę stajni, która znajduje się w odległości dwustu jardów od domu, na oświetlone księżycem pola za stajnią, na zalesione wzgórza za polami. Krzyk powtarza się, tym razem krótszy, ale bardziej rozdzierający.

Mieszkam na wsi od urodzenia i wiem, że natura stanowi jedno wielkie pole śmierci, rządzące się bezwzględnością i najokrutniejszym z praw – prawem doboru naturalnego. Nocami słychać nieraz pełne grozy, wibrujące wycie stad kojotów, ścigających swoje ofiary i celebrujących mord. Z wyżyn dobiega czasem triumfalny ryk pumy oznajmiający rozszarpanie królika; jest to dźwięk, który potrafi przekonać, że piekło istnieje i że potępieni właśnie otwarli wrota.

Krzyk, który zwraca moją uwagę, gdy wychylam się z okna – i który ucisza sowę – pochodzi nie od prześladowcy, lecz od ofiary. Jest wołaniem kogoś wątłego, nieodpornego. Pola i lasy pełne są łagodnych i bojaźliwych stworzeń, które żyją tylko po to, żeby zginąć od przemocy, i które giną bezustannie o każdej godzinie każdego dnia. O ich trwodze z pewnością wie Bóg... mimo to pozostaje obojętny.

Nagle zapada głęboka cisza, niesamowity spokój, jak gdyby ów odległy pisk strachu oznaczał zatrzymanie biegu istnienia. Gwiazdy przestają migotać, a księżyc wygląda jak namalowany na płótnie. Cały krajobraz – drzewa, krzaki, kwiaty, pola, wzgórza, odległe góry – staje się krystalicznymi cieniami o różnych tonacjach czerni, kruchymi niczym lód. Noc musi być ciepła, ale ja jestem zziębnięty.

Zamykam okno i wracam do łóżka. Czuję ciężar powiek i znużenie, większe niż kiedykolwiek.

Nieoczekiwanie uświadamiam sobie, że jestem w dziwnym stanie skłócenia z samym sobą, że moje znużenie jest bardziej psychiczne niż fizyczne i że chcę zapaść w sen, mimo że go nie potrzebuję. Sen jest ucieczką. Także od strachu. Trzęsę się nie z zimna – powietrze jest nadal ciepłe – trzęsę się ze strachu.

Ze strachu przed czym? Nie uświadamiam sobie źródła mojego lęku.

Wiem, że to, co usłyszałem, nie było naturalnym, dzikim wyciem. Nadal rozbrzmiewa w mojej głowie – ów mrozący krew w żyłach krzyk, przypominający coś, co już raz usłyszałem, chociaż nie pamiętam kiedy i gdzie. Im dłużej dźwięczy echem w moim mózgu, tym szybciej bije mi serce.

Pragnę rozpaczliwie położyć się, zapomnieć o krzyku, o nocy, o wołaniu sowy – ale wiem, że nie zasnę.

Mam na sobie tylko kalesonki, więc wkładam dzinsy. Teraz, kiedy postanowiłem coś robić, nie myślę już o ucieczce w sen. Czuję nagłą chęć działania. Ciągną mnie na zewnątrz ciekawość i nadzieja przeżycia nocnej przygody. Idę boso, nagi do pasa, żeby odkryć straszną prawdę, o której nic jeszcze nie wiem.

Powietrze za drzwiami jest chłodne, gdyż moja sypialnia jest jedynym pokojem mającym wyłączoną klimatyzację. Od wielu lat zamykam w lecie kanały wylotowe zimnego powietrza, ponieważ wolę świeże, nawet jeśli na dworze jest gorąco i wilgotno, i ponieważ nie mogę spać wśród syku i szumu, z którymi lodowate powietrze, biegnące przewodami systemu klimatyzacyjnego, wpompowywane jest przez siatkę otworu wylotowego do pokoju. Ponadto czuję nieokreślony lęk, że ów bezustanny, niezbyt przyjemny szmer może przytłumić nocne hałasy, które muszę usłyszeć, żeby się uratować. Nie mam pojęcia, jakie mogą być te hałasy. Wiem, że mój lęk jest dziecinny i bezpodstawny, i wstydzę się tego. Mimo to on decyduje o warunkach, w jakich śpię.

Górny korytarz domu jest osrebrzony światłem księżyca, wpadającym przez dwa świetliki w dachu. Wzdłuż ścian korytarza błyszczy gdzieś wyfroterowana, sosnowa podłoga. Środkiem biegnie perski chodnik, ozdobiony zawitym ornamentem, którego elementy absorbują promienie będącego w pełni księżyca i jarzą się od jego światła. Setki bladych, galaretowatych kształtów wydają się znajdować nie bezpośrednio pod moimi stopami, ale daleko głębiej – jak gdybym nie stapał po dywanie, ale spacerował jak Chrystus po powierzchni wody, patrząc z góry na tajemniczych mieszkańców głębin.

Mijam pokój ojca. Drzwi są zamknięte.

Dochodzę do szczytu klatki schodowej. Waham się przez chwilę.

W domu panuje cisza.

Schodzę po schodach, trzęsąc się, trąc rękami gołe ramiona i dziwiąc się mojemu niewytłumaczalnemu lękowi. Może intuicyjnie zdaję sobie sprawę, że idę do miejsca, z którego wrócę już nie ten sam...

Spencer opowiedział psu dalszy ciąg wydarzeń owej dawno minionej nocy: jak doszedł do ukrytych drzwi, do tajemnego pomieszczenia, do samego serca koszmaru. Kiedy opisywał szczegółowo, krok po kroku, swoje przeżycia, jego głos stawał się coraz cichszy, aż w końcu zmienił się w szept.

Skończył i poczuł się w stanie chwilowej łaski, o którym wiedział, że zniknie wraz z nadejściem świtu. Uczucie to – ulotne i subtelne – było tym przyjemniejsze. Poczul się oczyszczony. Miał teraz nadzieję, że gdy zamknie oczy – zapadnie w głęboki sen bez koszmarów.

Od rana rozpocznie poszukiwania tej kobiety.

Przeczuwał, że czekają go straszliwe przejścia, dorównujące tym, o których tak często opowiadał cierpliwie słuchającemu psu. Nie miał wyboru. Przed nim rozpościerała się jedyna możliwa do przyjęcia droga postępowania, a imperatyw wewnętrzny nakazywał mu nią pójść.

Teraz spać.

Szmer padającego deszczu był znakiem rozgrzeszenia, ale niektóre grzechy nie mogły być nigdy odpuszczone.

Rozdział 6

Rankiem Spencer zauważył na twarzy i rękach kilka drobnych zadrapań i czerwonych plam, pozostałość po gumowych kulkach z granatów rażących. W porównaniu z blizną wyglądały blado.

Jedząc przy swoim biurku śniadanie składające się z angielskich tostów i kawy, włamał się do komputera Okręgowego Biura Poborców Podatkowych. Dowiedział się, że bungalow w Santa Monica, w którym aż do wczoraj mieszkała Valerie, był częścią majątku powierniczego rodziny Louisa i Mae Lee. Rachunki z tytułu podatków wysyłane były pocztą na adres czegoś, co nazywało się dziwnie „Chińskie Marzenie” i mieściło się w zachodniej części Hollywood.

Z czystej ciekawości zażądał listy innych nieruchomości należących do tej samej rodziny. Było ich czternaście: jeszcze pięć domów w Santa Monica, dwa ośmiomieszkaniowe budynki w Westwood, trzy jednorodzinne domy w Bel Air i cztery sąsiadujące ze sobą obiekty handlowe w zachodnim Hollywood, w których mieściło się „Chińskie Marzenie”.

Louis i Mae Lee mieli zapewniony dobrobyt.

Spencer wyłączył komputer i patrzył na pusty ekran, kończąc kawę. Była gorzka. Wypił ją mimo wszystko.

Nie minęła dziesiąta, a już jechał Pacific Coast Highway na południe. Przestrzegał ograniczenia prędkości, więc samochody wyprzedzały go z obu stron.

Burza przesunęła się w ciągu nocy na wschód, zabierając z sobą wszystkie chmury. Poranne słońce było białe, a w jego jaskrawym świetle skierowane ku zachodowi cienie miały krawędzie ostre jak zyletki. Pacyfik przybrał kolor butelkowej zieleni, ale miejscami był szary jak łupkowe dachówki.

Spencer nastawił radio na stację nadającą same wiadomości. Miał nadzieję usłyszeć o nocnej akcji SWAT i dowiedzieć się, z czyjej inicjatywy została podjęta, a także dlaczego Valerie była poszukiwana.

Spiker radiowy poinformował go, że podatki znów idą w górę. Recesja się pogłębiała. Rząd nadal ograniczał prawo posiadania broni palnej i pokazywanie przemocy w telewizji. Włamanie, gwałty i morderstwa utrzymywały się na statystycznym poziomie. Chińczycy oskarżali Amerykę o posiadanie satelitów z laserowymi promieniami śmierci, a Amerykanie oskarżali ich o to samo. Niektórzy ludzie wierzyli, że świat zginie od ognia, inni – że od lodu; jedni i drudzy występowali w Kongresie, popierając współzawodniczące z sobą koncepcje uratowania świata.

Kiedy usłyszał informację na temat pokazu psów rasowych, pikietowanego przez przeciwników pokazów, żądających zakazu utrzymywania ras i „wykorzystywania psiego piękna w ekshibicjonistycznych pokazach, nie mniej wstrętnych niż poniżające paradowanie młodych kobiet w barach topless” – doszedł do wniosku, że raportu o incydencie w bungalowie w Santa Monica nie będzie. Operacja oddziału SWAT z pewnością była ważniejsza niż pokazy psiej urody. Albo więc media nie znalazły nic ciekawego w napaści policjantów uzbrojonych w pistolety maszynowe na prywatny dom, albo agencja przeprowadzająca operację znakomicie zmyliła prasę. Udało jej się zmienić akcję, mogącą stanowić łakomy kąsek dla środków masowego przekazu, w tajną operację.

Wyłączył radio i wjechał na Santa Monica Freeway. Na północnym wschodzie, wśród niskich wzgórz, czekało na niego „Chińskie Marzenie”.

– Co myślisz o tym pokazie psów? – zapytał Rocky’ego.

Rocky spojrział na niego z ciekawością.

– Jesteś przecież psem. Musisz mieć jakąś opinię. To twoich tak wykorzystują.

Rocky był psem albo nadzwyczaj ostrożnym, gdy dochodziło do dyskusji na tematy bieżące, albo po

prostu beztroskim, kulturowo niezaangażowanym kundlem, nie mającym zdania na temat najbardziej ważkich problemów współczesności i swojego gatunku.

– Nie chciałbym posądzać cię o to – dodał Spencer – że jesteś wyrzutkiem pogodzonym ze statusem ssaka niższego rzędu, nie dbającym o to, iż jest wykorzystywany – samym futrem, pozbawionym hartu ducha.

Rocky znów popatrzył przed siebie, na autostradę.

– Czy nie drażni cię to, że suczkom czystej krwi nie wolno parzyć się z kundlami takimi jak ty i że są zmuszane do oddawania się tylko rasowym samcom? Po to tylko, żeby rodzić szczeniaki przeznaczone do prezentowania na poniżających je pokazach?

Kundel tłuł ogonem o boczne drzwi.

– Dobry pies – powiedział Spencer, ujmując kierownicę lewą dłonią, prawą zaś drapiąc Rocky'ego. Pies z przyjemnością poddawał się pieszczocie, machając energicznie ogonem. – Dobry, tolerancyjny pies. Nawet nie zastanowisz się, że to dziwne, iż twój pan mówi sam do siebie.

Skreśli z autostrady przy Robertson Boulevard i jechali w stronę legendarnych wzgórz.

Po wietrznej i deszczowej nocy rozległa metropolia była wolna od smogu jak wybrzeże, z którego przyjeżdżali. Palmy, figowce, magnolie i wcześniej zakwitające krzewy były tak zielone i błyszczące, jak gdyby zostały ręcznie wypolerowane, liść po liściu, kiść po kiści. Ulice były zmyte do czysta, w blasku słońca lśniły szklane ściany wysokich budynków, ptaki wykonywały swoje ewolucje na tle krystalicznie błękitnego nieba. Można było ulec złudzeniu, że na świecie wszystko jest w porządku.

W czwartek rano Roy Miro podjął osobiście próbę zidentyfikowania mężczyzny, który omal nie został schwytany ubiegłej nocy podczas operacji. W tym samym czasie inni funkcjonariusze, używając wszelkich udogodnień operacyjnych, szukali dziewięcioletniego pontiaka, zarejestrowanego na nazwisko Valerie Keene. Roy wyjechał ze swojego hotelu w Westwood i udał się do kalifornijskiego głównego biura organizacji, położonego w centrum Los Angeles.

Obszar zajmowany w śródmieściu przez zarządy miejskie, okręgowe, stanowe i federalne mógł walczyć o pierwszeństwo pod względem wielkości tylko z powierzchnią zajmowaną przez banki. Rozmowy podczas lunchów toczyły się przeważnie o pieniądzach – o olbrzymich górach pieniędzy – niezależnie od tego, czy posilający się pochodzili z kół finansowych, czy politycznych.

Pośród tego złotego bagna agencja zajmowała ładny dziesięciopiętrowy budynek, mieszczący się przy przyzwoitej ulicy, w pobliżu ratusza. Bankierzy, politycy, urzędnicy i pijani włóczędzy mijali się na trotuarach z wzajemnym poszanowaniem. Tylko od czasu do czasu któryś z nich wykrzykiwał ni stąd, ni zowąd słowa bez związku i dźgał nożem najbliższego przechodnia. Właściciel noża (albo pistoletu, albo jakiegoś tępego narzędzia) cierpiał często na manię prześladowczą: ścigały go na przykład istoty pozaziemskie lub CIA – i należał częściej do zapitych bezdomnych niż do bankierów, polityków lub urzędników.

Jednak przed sześcioma miesiącami pewien bankier w średnim wieku wyszedł na ulicę postrzelać sobie do ludzi z dwóch pistoletów kalibru 9 mm. Wypadek zaszokował całe środowisko śródmiejskich bezdomnych, którzy od tamtego czasu zaczęli mieć się na baczności przed „dobrze ubranymi”.

Na budynku organizacji, okładanym płytami z wapienia, posiadającym całe akry okien tak ciemnych jak okulary słoneczne gwiazd filmowych, nie figurowała tablica z jej nazwą. Ludzie, z którymi Roy pracował, nie szukali sławy; woleli pozostać w ukryciu. Ponadto zatrudniająca ich organizacja oficjalnie nie istniała; była finansowana na drodze tajnego przekazywania pieniędzy za pośrednictwem innych organizacji, będących pod kontrolą Departamentu Sprawiedliwości i również nie mających nazw.

Nad głównym wejściem widniał wykonany z miedzianych, wypolerowanych cyfr numer domu. Pod numerem mieściły się cztery nazwiska, złożone z podobnych miedzianych liter: CARVER, GUNMANN, GARROTE & HEMLOCK.

Przypadkowy przechodzień mógłby pomyśleć, że jest to jakaś spółka adwokatów lub księgowych. Gdyby zapytał o to umundurowanego strażnika w portierni – otrzymałby odpowiedź, że firma jest „międzynarodowym stowarzyszeniem zarządzania nieruchomościami”.

Roy zjechał do podziemnego garażu. Na końcu pochyłego zjazdu drogę zagrażała solidna stalowa brama.

Nie został wpuszczony przez urządzenie wydające oznakowane czasem wjazdu bilety ani po okazaniu legitymacji strażnikowi w budce. Zamiast tego spojrzął prosto w obiektyw wideokamery wysokiej rozdzielczości, która była zamontowana na słupku w odległości dwóch stóp od bocznego okienka samochodu – i czekał na wynik analizy.

Obraz jego twarzy został przesłany do mieszczącego się w suterenie pokoju bez okien. Roy wiedział, że dyżurujący tam przy monitorze strażnik obserwuje, jak komputer odrzuca cały obraz, zostawiając tylko oczy, następnie powiększa je, nie gubiąc przy tym ostrości, analizuje prążkowanie i układ naczyń krwionośnych siatkówek, potem porównuje je z układem naczyń wzoru znajdującego się wśród danych dotyczących Roya, a następnie potwierdza jego rozpoznanie.

Strażnik przycisnął guzik otwierający bramę.

Cały ten proces mógłby się obyć bez strażnika, gdyby nie jedna ewentualność, której nie można było wyeliminować. Ktoś nieproszony, chcący dostać się do budynku, mógłby zabić Roya, wyłupić mu oczy i podstawić je pod obiektyw kamery do analizy. W takim wypadku komputer zostałby oszukany, ale strażnik zauważyłby podstęp.

Prawdopodobieństwo, że ktoś posunie się do takiej skrajności, było wprawdzie niewielkie, ale nie całkowicie niemożliwe. W tych czasach nawet najbardziej niebezpieczni psychopaci mieli pełną swobodę działania.

Roy wjechał do podziemnego garażu. Nim zdążył zaparkować i wysiąść z samochodu, brama już się ponownie zamknęła. Niebezpieczeństwa Los Angeles i popadającej w obłęd demokracji zostały za nim.

Kiedy szedł, kroki odbijały się echem od betonowych ścian i niskiego sufitu. Wiedział, że strażnik, siedzący w pokoju bez okien, słyszy je także. W garażu oprócz kamer zainstalowano również czułe mikrofony.

Żeby dostać się do pilnie strzeżonej windy, trzeba było przycisnąć prawy kciuk do szybki analizatora linii papilarnych. Za pomocą kamery wideo umieszczonej nad drzwiami windy strażnik kontrolował, czy ktoś nie próbuje się do niej dostać, przykładając do szybki czyjś odcięty palec.

Niezależnie od stopnia inteligencji maszyn, które uda się kiedykolwiek stworzyć – człowiek zawsze będzie potrzebny. Ta myśl czasem dodawała Royowi odwagi, ale kiedy indziej działała przygnębiająco, chociaż nie wiedział dlaczego.

Wjechał na czwarte piętro, na którym mieściły się pracownie analizy dokumentów, materiałów i fotografii.

W laboratorium komputerowej analizy fotografii dwaj młodzi mężczyźni i kobieta w średnim wieku zajęci byli rozwiązywaniem jakichś tajemniczych zadań. Wszyscy uśmiechnęli się i powiedzieli dzień dobry, ponieważ Roy miał twarz, która przywoływała uśmiechy i napawała ufnością.

W laboratorium, oddzielone przeszkloną ścianą, mieściło się pozbawione okien biuro Melissy Wicklun, szefowej pracowni. Kiedy Roy zapukał, oderwała wzrok od dokumentów.

– Proszę wejść – powiedziała.

Jasnowłosa Melissa, około trzydziestoletnia, miała w sobie coś zarazem z elfa i demona. Jej zielone oczy były ogromne i szczere, a równocześnie przygnione i zagadkowe. Zwracał uwagę wyzywający nos i szczególnie zmysłowe usta. Miała imponujące piersi, szczupłą talię i długie nogi, ale ukrywała te wszystkie skarby pod obszernymi, białymi bluzkami, białymi fartuchami laboratoryjnymi i luźnymi spodniami. Roy wyobraził sobie, że jej stopy, obute w zdarte adidas, muszą być tak kobiece i delikatne, że mógłby je godzinami całować.

Nigdy nie próbował z nią flirtować, ponieważ była rzeczowa i zachowywała się z rezerwą – a przy tym podejrzewał ją o skłonność do kobiet. Nie miał nic przeciw lesbijkom, zgodnie z zasadą: Żyj i daj żyć innym! Nie chciał jednak okazywać jej zainteresowania, bojąc się, że dostanie kosza.

– Dzień dobry, Roy – rzuciła szorstko.

– Jak się masz? Wielkie nieba, wiesz, jak dawno cię nie widziałem? Nie widziałem cię od...

– Właśnie przeglądam akta. – Przeszła od razu do rzeczy. Pogawędki nigdy jej nie interesowały. – Mamy wyniki intensyfikacji zdjęcia.

Kiedy Melissa coś mówiła, Roy nie mógł się zdecydować, czy patrzeć jej w oczy, czy na usta. Ona spoglądała otwarcie, nieco prowokacyjnie. Miała tak zachwycająco pełne wargi!

Popchnęła w jego stronę fotografię.

Roy oderwał wzrok od jej ust.

Fotografia przedstawiała znacznie poprawioną, kolorową odbitkę zdjęcia, które oglądał w nocy na ekranie swojego przenośnego komputera: profil mężczyzny od szyi w górę. Na jego twarzy ciągle jeszcze było widać plamy cienia, ale były one znacznie jaśniejsze i mniej przesłaniały rysy niż na poprzedniej wersji. Zastłona deszczu została całkowicie usunięta.

– To kawał dobrej roboty – stwierdził Roy – ale ciągle jeszcze za mało, żeby go zidentyfikować.

– Przeciwnie, dowiadujemy się o nim sporo rzeczy. Jest w wieku od dwudziestu ośmiu do trzydziestu dwóch lat.

– Z czego to wnosisz?

– Z obliczeń komputerowych opartych na analizie promienistych zmarszczek, rozchodzących się z kąta oka, ilości siwizny we włosach i wyraźnie uwidocznionej jędrności mięśni twarzy i skóry na gardle.

– Tak wiele informacji z tych paru...

– Wcale nie – przerwała mu. – Metoda analityczna opiera się na rozbudowanej bazie danych z dziedziny biologii, zajmującej dziesięć megabajtów pamięci komputera, i założę się o wszystko, że nie ma w niej błędów.

Przeniknął go dreszcz rozkoszy, kiedy jej jędrne wargi wymawiały słowa: „...dziesięć megabajtów pamięci komputera...”. Jej usta były jeszcze lepsze niż oczy. Były doskonałe. Chrząknął.

– Może...

– Brązowe włosy, brązowe oczy.

Roy zmarszczył brwi.

– Włosy... owszem. Oczy są niewidoczne.

Melissa wstała z krzesła, wyjęła fotografię z jego rąk i położyła ją na biurku. Wskazała ołówkiem początek krzywizny gałki ocznej mężczyzny, w ujęciu z boku.

– On nie patrzy w stronę kamery, więc nawet gdybyśmy oglądali zdjęcie pod mikroskopem, nie zobaczylibyśmy wystarczającego do określenia barwy jego oczu kawałka tęczówki. Ale komputer potrafi

odczytać kolor nawet z kilku najmniejszych elementów obrazu.

– Ma zatem brązowe oczy.

– Ciemnobrązowe. – Położyła ołówek i stała, opierając lewą dłoń, zaciśniętą w pięść, na biodrze. Była delikatna jak kwiat, a przy tym równie stanowcza jak dowódca armii. – Zdecydowanie ciemnobrązowe.

Roy lubił jej niezachwianą pewność siebie, wyniosłość, z jaką mówiła, a przede wszystkim te usta.

– Opierając się na analizie porównawczej jego ciała – fragmentu znajdującego się w kadrze – z obiektami o znanych wymiarach, ma pięć stóp i jedenaście cali. – Ucinała końcówki wyrazów, tak że podawane przez nią fakty brzmiały jak staccato pocisków z automatu. – Waży sto sześćdziesiąt pięć funtów, z dokładnością do pięciu funtów, w dobrej formie fizycznej, niedawno temu się ostrzygł.

– Macie coś jeszcze?

Melissa wyjęła z teczki jeszcze jedną fotografię.

– To on. Jego twarz z przodu.

Roy spojrział na nią zdumiony.

– Nie wiedziałem, że mamy takie ujęcie.

– Nie mieliśmy – powiedziała, patrząc z widoczną dumą na zdjęcie. – To nie jest jego bezpośrednie zdjęcie. To jest portret komputerowy. Facet powinien tak wyglądać, przyjmując jako dane wejściowe układ kości twarzy i warstw tłuszczu, widoczny na jego zdjęciu z profilu.

– Komputer to potrafi?

– To jest najświeższa innowacja w programie.

– Wiarygodna?

– Biorąc pod uwagę zdjęcie, według którego komputer tworzył portret, istnieje dziewięćdziesiąt cztery procent prawdopodobieństwa, że będzie odpowiadał rzeczywistemu wyglądowi twarzy faceta w dziewięćdziesięciu szczegółach na sto.

– Myślę, że to może być lepsze od każdego policyjnego portretu pamięciowego.

– Znacznie lepsze. – Po chwili zapytała: – Czy coś się nie zgadza?

Roy zorientował się, że przeniosła wzrok z ekranu na niego... a on gapi się na jej usta.

– Aha – powiedział, spoglądając znów na portret tajemniczego mężczyzny. – Właśnie się zastanawiałem, co znaczy ta linia wzdłuż prawego policzka?

– To jest blizna.

– Naprawdę? Jesteś pewna? Od ucha aż do podbródka?

– Duża blizna – potwierdziła, otwierając szufladę biurka. – Zabliźniona pręga, w przeważającej części gładka tkanka, gdzieniegdzie na brzegach pofałdowana.

Roy wrócił do oryginalnego zdjęcia z profilu i spostrzegł na nim część blizny, której z początku nie rozpoznał.

– Myślałem, że to była po prostu smuga światła między cieniami: światła lampy ulicznej, które padło na policzek.

– Nie.

– To nie mogło być światło?

– Nie. Blizna – podkreśliła z naciskiem Melissa i wyjęła chusteczkę higieniczną z pudełka leżącego w otwartej szufladzie.

– To świetnie. Łatwiej go będzie zidentyfikować. Wygląda na to, że facet przeszedł wyszkolenie w jakichś służbach specjalnych, wojskowych albo paramilitarnych, a blizna nasuwa przypuszczenie, że

został ranny w akcji. Ciężko ranny. Może wystarczająco ciężko, żeby zostać zwolnionym ze służby lub przejść w stan spoczynku.

– Policja i służby wojskowe nie niszczą swoich rejestrów.

– Właśnie. Złapiemy go w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Co ja mówię – w ciągu czterdziestu ośmiu. – Roy oderwał wzrok od portretu. – Dziękuję, Melisso.

Właśnie wycierała usta chusteczką. Nie musiała martwić się, że rozsmaruje przy tym szminkę, ponieważ nigdy jej nie używała. Szminka nie mogłaby dodać jej urody.

Roy patrzył zafascynowany na jej pełne, jędrne wargi, poddające się sprężystości miękkiej chusteczce.

Uświadomił sobie, że znów się na nie gapi i że ona jest tego świadoma. Przeniósł wzrok na jej oczy.

Melissa zarumieniła się lekko, odwróciła wzrok i rzuciła zmiętą chusteczkę do pojemnika na odpadki.

– Czy mogę dostać kopię? – zapytał, wskazując na komputerowy portret.

Spod leżącej na stole aktówki wyjęła kopertę i podała mu.

– Włożyłam tu pięć kopii i dwie dyskietki z zapisem portretu.

– Dziękuję, Melisso.

– W porządku.

Policzki miała jeszcze zarumienione.

Roy pomyślał, że po raz pierwszy odkąd ją znał, naruszył jej chłodny, profesjonalny dystans, i że udało mu się choć trochę pobudzić jej subtelną zmysłowość, którą starała się ukrywać. Zastanawiał się, czy nie zaprosić jej na randkę.

Spojrzał przez szklaną ścianę na pracowników laboratorium komputerowego, pewny, że muszą zdawać sobie sprawę z napięcia erotycznego w biurze szefowej. Wszyscy troje wydawali się zaabsorbowani pracą.

Kiedy odwrócił się znów w stronę Melissy Wicklun, gotów zaprosić ją na kolację, zobaczył, jak końcem palca wyciera ukradkiem kącik ust. Próbowwała to ukryć, zasłaniając usta dłonią i udając kaszel.

Skonsternowany, zdał sobie sprawę, że kobieta źle zrozumiała jego spojrzenie. Pomyślała zapewne, że uwaga, z jaką patrzył na jej usta, była spowodowana jakąś plamką lub okruchami pozostałymi po niedawno zjedzonym pączku.

W ogóle nie zdawała sobie sprawy z jego pożądaniami. Jeśli była lesbijką, musiała przypuszczać, że Roy o tym wiedział i nie interesował się nią. Jeśli nie – może po prostu nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby zgodzić się na to, żeby być przedmiotem pożądaniami mężczyzny, który ma okrągłe policzki, miękki podbródek, a w talii o dziesięć kilo tłuszczu za dużo. Spotykał się już z takim uprzedzeniem. Nazywało się: prezentyzm. Wiele kobiet – o mózgach wypranych przez kulturę spożycia, która propagowała fałszywe wartości – interesowało się wyłącznie mężczyznami podobnymi do tych, którzy pojawiali się na reklamach Marlboro lub Calvina Kleina. Nie przychodziło im do głowy, że człowiek o wesołej twarzy dobrego wujaszka może być miłszy, mądrzejszy, bardziej współczujący, i że może okazać się lepszym kochankiem niż przystojniak spędzający zbyt wiele czasu w siłowni. Poczul smutek na myśl, że Melissa może być taka płytka.

– Czy ci jeszcze w czymś pomóc? – spytała.

– Nie. Zrobiłaś bardzo dużo. Przyskrzynimy go.

Skinęła potakująco głową.

– Muszę teraz zejść do laboratorium daktyloskopijnego i zobaczyć, czy udało im się zdjąć cokolwiek z latarki albo z okna w łazience.

– Oczywiście – powiedziała z zakłopotaniem. Uległ pokusie spojrzenia po raz ostatni na doskonałość

jej ust, westchnął i rzekł:

– Do widzenia.

Po wyjściu z jej gabinetu zamknął za sobą drzwi, przeszedł dwie trzecie długiego laboratorium komputerowego i obejrzał się, mając nadzieję, że odprowadza go tęsknym wzrokiem. Ona jednak znów siedziała przy biurku, trzymając w ręce puderniczkę i oglądając w małym lusterku usta.

„Chińskie Marzenie” okazało się restauracją mieszczącą się w osobliwym trzypiętrowym budynku z cegły, w okolicy modnych sklepów. Spencer zaparkował o jedną przecnicę dalej, zostawił Rocky’ego w dziupie i pieszo wrócił z powrotem.

Było ciepło i wiała odświeżająca bryza. W taki dzień warto znosić trudy życia.

Restauracja nie była jeszcze czynna, ale drzwi nie zamknięto na klucz, więc Spencer wszedł do środka.

Wnętrze „Chińskiego Marzenia” wyglądało inaczej niż w większości chińskich lokali: nie było przynoszących szczęście smoków ani psów, jak również mosiężnych ideogramów. Wystrój był całkowicie nowoczesny, utrzymany w kolorach perłowo-szarym i czarnym. Sala mieściła trzydzieści, czterdzieści stolików przykrytych białymi lnianymi obrusami. Jedynym dziełem chińskiej sztuki była stojąca tuż za drzwiami wejściowymi naturalnej wielkości figura kobiety o delikatnych rysach twarzy, trzymającej odwrócone dnem do góry naczynie.

Dwaj Azjaci, obaj w wieku około dwudziestu lat, rozkładali sztućce i rozstawiali kieliszki do wina. Trzeci, starszy od nich o jakieś dziesięć lat, szybko związał białe serwetki, nadając im kształt stożków. Ręce miał zwinne jak prestidigitator. Wszyscy trzej nosili czarne buty, czarne spodnie, białe koszule i czarne krawaty.

Najstarszy podszedł do Spencera z uśmiechem.

– Przepraszamy pana, ale nie podajemy lunchu przed jedenastą trzydzieści. – Mówił aksamitnym głosem i prawie bez akcentu.

– Przyszedłem, żeby zobaczyć się z panem Louistem Lee, jeśli można – wyjaśnił Spencer.

– Czy jest pan z nim umówiony, sir?

– Niestety, nie.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, o czym pan chce z nim porozmawiać?

– O lokatorze mieszkającym w jednym z jego domów do wynajęcia.

Mężczyzna skinął potakująco.

– Czy może chodzi o panią Valerie Keene?

Miękki głos, uśmiech i uprzejmość nie znamionowały uniżoności. Widać było, że mężczyzna jest inteligentny i spostrzegawczy.

– Tak – potwierdził Spencer. – Nazywam się Spencer Grant. Jestem... jestem przyjacielem Valerie. Martwię się o nią.

Mężczyzna wyjął z kieszeni spodni przedmiot o wymiarach talii kart, lecz nieco cieńszy. Na jednym z jego brzegów były zawiaski. Po rozłożeniu okazało się, że jest to najmniejszy telefon komórkowy, jaki Spencer kiedykolwiek widział. Mężczyzna, świadomy zainteresowania Spencera, powiedział:

– Produkt koreański.

– Bardzo w stylu Jamesa Bonda.

– Pan Lee zaczął je właśnie importować.

– Myślałem, że jest restauratorem.

– Tak, sir, ale poza tym robi dużo innych rzeczy. – Mężczyzna nacisnął jeden z guzików, poczekał

chwile, aż zaprogramowany wcześniej siedmiocyfrowy numer zostanie nadany, a potem – ku zdumieniu Spencera – zaczął z kimś rozmawiać nie po angielsku ani po chińsku, ale po francusku. Po zakończeniu rozmowy złożył telefon, schował go do kieszeni i stwierdził:

– Pan Lee zaraz pana przyjmie, sir. Proszę za mną.

Przeszli między stołami w kierunku prawego tylnego rogu sali. Po pchnięciu wahadłowych drzwi z okrągłym okienkiem w środku dostali się w opary smakowitych aromatów: czosnku, cebuli, imbiru, oleju arachidowego, zupy grzybowej, pieczonej kaczki, esencji migdałowej.

Rozległa, nieskazitelnie czysta kuchnia była wypełniona garnkami, pokrywkami, patelniami, głębokimi rondlami, podgrzewanymi stołami, zlewami i stolnicami. Dominowały białe kafelki i nierdzewna stal. Przynajmniej tuzin mistrzów kucharskich, kucharzy i pomocników, ubranych od stóp do głów na biało, zajęty był różnorodnymi czynnościami kulinarnymi.

Praca w kuchni była zorganizowana z precyzją mechanizmu zegarka szwajcarskiego. Przebiegała miarowo i dawała pożądane efekty.

Spencer wraz ze swoim przewodnikiem przeszli następne drzwi wahadłowe, a potem ruszyli korytarzem do windy, mijając po drodze spiżarnie i pokoje wypoczynkowe dla personelu. Wreszcie zjechali jedno piętro w dół. Kiedy winda stanęła, towarzysz Spencera wskazał gestem, żeby szedł przodem.

Suterena nie była wilgotna ani ponura. Znajdowali się w wykładanej mahoniem salce, umeblowanej ładnymi fotelikami z drewna tekowego.

Recepcjonista siedzący przy biurku z drewna tekowego i polerowanej stali był Azjatem, miał łysą głowę, sześć stóp wzrostu, szerokie ramiona i grubą szyję. Pisał coś zapamiętałe na komputerze. Gdy z uśmiechem odwrócił się od klawiatury, jego szara marynarka opięła się na ukrytej pod pachą kaburze pistoletu.

– Dzień dobry – przywitał Spencera, który odwzajemnił powitanie.

– Możemy wejść? – spytał związacz serwetek.

Łysy skinął potakująco głową.

– Wszystko przygotowane.

Kiedy zbliżali się do wewnętrznych drzwi, szczerknął elektryczny zamek odblokowany przez recepcjonistę, który znów zasiadł przy klawiaturze. Pisał bardzo szybko. Jeśli potrafił posługiwać się bronią równie wprawnie, musiał być bardzo groźnym przeciwnikiem.

Po przekroczeniu drzwi szli korytarzem wykładanym szarymi winylowymi płytkami. Po obu stronach mieściły się pokoje biurowe bez okien. Drzwi na ogół były pootwierane. Spencer widział, jak mężczyźni i kobiety – większość z nich, chociaż nie wszyscy, była Azjatami – siedzą przy biurkach niczym zwyczajni urzędnicy.

Ostatnie drzwi korytarza wiodły do gabinetu Louisa Lee. Jeszcze jedno zaskoczenie: kamienna podłoga, piękny perski dywan w kolorze szarym, niebieskofioletowym i zielonym, ściany obite tkaniną dekoracyjną, francuskie meble z początków dziewiętnastego wieku, zdobne w kunsztowne intarsje i pozłacane brązy, książki, oprawne w skórę, stojące w oszklonych szafach. Duży pokój oświetlony był ciepłym światłem stołowych i stojących lamp od Tiffany'ego. Niektóre z nich miały abażury witrażowe, inne ze szkła z pęcherzykami powietrza. Spencer był pewien, że żadna z nich nie była kopią.

– To jest pan Grant, panie Lee – przedstawił przewodnik.

Mężczyzna, który wyszedł zza ozdobnego biurka, miał pięć stóp i siedem cali wzrostu i około pięćdziesięciu lat. Jego kruczoczarne włosy zaczynały siwieć na skroniach. Nosił ciemnoniebieskie

spodnie na szelkach, białą koszulę, muszkę w czerwone kropki na niebieskim tle i okulary w rogowej oprawie.

– Witam serdecznie, panie Grant – mówił ze śpiewnym akcentem, który równie dobrze mógł być europejski, jak chiński. Uścisk jego małej dłoni był mocny.

– Dziękuję za to, że pan mnie przyjął – powiedział Spencer, czując się tak zdezorientowany, jak gdyby trafił do tej ślepej, oświetlonej lampami od Tiffany’ego dziury wiedziony przez Białego Królika Alicji.

Oczy Louisa Lee były czarne jak antracyt. Spencer czuł się przygwożdżony jego wzrokiem, przewiercającym go na wylot.

Przewodnik, niedawny zwijacz serwetek, stał przy drzwiach ze splecionymi z tyłu rękami. Nie był rozrośnięty, ale teraz sprawiał wrażenie ochroniarza, podobnie jak ogromny, łysy recepcjonista.

Lee wskazał Spencerowi jeden z dwóch foteli, stojących naprzeciw siebie przy niskim stoliku. Pobliska lampa Tiffany’ego rzucała niebieskie, zielone i szkarłatne światło. Lee zajął przeciwległy i siedział w nim wyprostowany. Rogowe okulary, muszka, szelki i ściana książek za nim nadawały mu wygląd profesora literatury w domowej pracowni, w pobliżu kampusu Yale albo innego uniwersytetu Ivy League.

Zachowywał się z rezerwą, ale przyjaźnie.

– A więc jest pan przyjacielem pani Keene? Znacie się z uniwersytetu? A może ze szkoły średniej?

– Nie, sir. Nie znam jej od tak dawna. Spotkałem ją w miejscu, gdzie pracuje. Jestem jej... znajomym. Ona mnie obchodzi i niepokoję się, czy coś jej się nie stało.

– Cóż takiego mogłoby jej się stać?

– Nie wiem, ale sądzę, że jest pan poinformowany o napaści oddziału SWAT w ciągu ostatniej nocy na pański dom: na bungalow, który ona od pana wynajmuje.

Lee milczał przez chwilę.

– Tak, po tym najściu przyszli w nocy po to, żeby mnie o nią wypytać.

– Kim oni byli, panie Lee?

– Było ich trzech. Podawali się za agentów FBI.

– Podawali się?

– Pokazali mi legitymacje, ale to było oszustwo.

Spencer zmarszczył brwi.

– Z czego pan to wnosi?

– Miałem w życiu wielokrotnie do czynienia z fałszem i zdradą – powiedział Lee. Nie był ani zły, ani rozgoryczony. – Jestem na nie wyczulony.

Spencera ciekawiło, czy była to tylko uwaga, czy przestroga. W każdym razie zorientował się już, że Lee nie jest zwykłym biznesmenem.

– Jeśli nie byli agentami rządowymi...

– Och, jestem pewny, że byli jakimiś agentami rządowymi. Myślę natomiast, że powołanie się na FBI było po prostu wygodne.

– Tak, ale jeśli pracują dla innej centrali, dlaczego nie pokazali prawdziwych legitymacji?

Lee wzruszył ramionami.

– Nieuczciwi agenci, działający bez wiedzy swojego biura, mający nadzieję skonfiskować zapas narkotyków dla własnej korzyści, mieliby powód do okazania fałszywego dowodu tożsamości.

Spencer wiedział, że takie rzeczy się zdarzały.

– Ale ja nie wierzę... nie mogę uwierzyć, że Valerie zajmuje się dystrybucją narkotyków.

– Ja też jestem tego pewny. W przeciwnym razie nie wynajęłbym jej domu. Ci ludzie to szumowiny – wykolejają dzieci, niszczą życie innych. Poza tym wiem, że choć pani Keene płaciła za czynsz gotówką, nie spała na pieniądzach. Nie pracowała dorywczo, tylko w pełnym wymiarze godzin.

– Więc jeśli nie byli, powiedzmy, nieuczciwymi funkcjonariuszami DEA, pragnącymi nabić sobie kieszenie dochodami z handlu kokainą, ani agentami FBI – to kim w końcu byli?

Louis Lee poruszył się w fotelu, nachylając głowę w ten sposób, że w jego okularach pojawiły się refleksy kolorowych szkiełek abażurów od Tiffany’ego, zupełnie przesłaniając oczy.

– Czasem rząd albo jakiś jego organ popada we frustrację, kiedy musi działać zgodnie z prawem. Mając do dyspozycji ogrom pieniędzy podatników, połączony z systemem księgowania, który byłby ośmieszający dla każdego przedsiębiorstwa prywatnego – niektóre wysoko postawione figury w rządzie tworzą fundusze na rzecz działających w ukryciu organizacji, żeby dzięki ich pomocy osiągać cele niemożliwe do osiągnięcia legalnymi metodami.

– Czyta pan powieści szpiegowskie, panie Lee?

Louis Lee uśmiechnął się lekko.

– Nie interesują mnie.

– Proszę wybaczyć, ale to wszystko brzmi groteskowo.

– Mówię to z doświadczenia.

– Pańskie życie jest bardziej interesujące, niż się zdaje na pierwszy rzut oka.

– Tak – odparł Lee, ale nie rozwijał tego tematu. Po chwili, nadal ukrywając oczy za kolorowymi refleksami światła w szklach okularów, podjął przerwany wątek: – Im większy rząd, tym większe prawdopodobieństwo, że posługuje się takimi tajnymi organizacjami – niektóre z nich są małe, ale niektóre nie. My mamy bardzo duży rząd, panie Grant.

– Tak, ale...

– Przeciętny obywatel musi pracować dla rządu od stycznia do połowy lipca, żeby spłacić podatki od zarobionych i zainwestowanych pieniędzy. Dopiero potem ludzie pracujący zaczynają zarabiać na siebie.

– Słyszałem o takich wyliczeniach.

– Kiedy rząd urasta w potęgę, staje się arogancki.

Louis Lee nie wyglądał na zaślepionego. W jego głosie nie było gniewu ani goryczy. Chociaż otaczał się kunsztownymi meblami francuskimi, miał w sobie prostotę zen i typowo azjatyckie poddanie się losowi. Wyglądał bardziej na pragmatyka niż na krzyżowca.

– Panie Grant, wrogowie pani Keene są również moimi wrogami.

– Moimi też.

– Mimo to nie mam zamiaru stać się celem ich ataku, tak jak pan to zrobił. Nie powiedziałem im wczoraj o moich wątpliwościach co do ich tożsamości, kiedy przedstawili się jako agenci FBI. Wzbudziłoby to ich podejrzenia. Okazałem się nieuczynny – sądzę, że pan wie, co mam na myśli.

Spencer westchnął i usadowił się głębiej w fotelu. Lee pochylił się do przodu, trzymając ręce na kolanach. Jego przenikliwe czarne oczy stały się znów widoczne, gdyż w okularach nie było już refleksów.

– Wczoraj wieczorem był pan w jej domu – powiedział.

Po raz wtóry zaskoczył Spencera.

– Skąd pan wie, że ktokolwiek tam był?

– Pytali, czy mieszka z nią jakiś mężczyzna. Podali pański wzrost i wagę. Czy mogę spytać, co pan

tam robił?

– Nie przysłała do pracy. Byłem zaniepokojony, więc pojechałem do niej, żeby sprawdzić, czy nie stało się jej nic złego.

– Pan też pracuje w „Czerwonych Drzwiach”?

– Nie. Czekałem tam na nią. – Powiedział tylko tyle. Reszta była zbyt skomplikowana... i krępująca.

– Czy wie pan o Valerie coś, co pomogłoby mi ją odnaleźć?

– Niewiele.

– Chcę tylko jej pomóc, panie Lee.

– Wierzę panu.

– Więc czemu nie chce pan ze mną współdziałać? Co napisała w podaniu o wynajęcie domu? Gdzie poprzednio mieszkała, gdzie pracowała, jakie ma referencje kredytowe? – takie rzeczy są bardzo pomocne.

Biznesmen odchylił się, przenosząc swoje małe dłonie z kolan na poręcz fotela.

– Nie składała podania o wynajęcie domu.

– Jestem pewny, że przy tak dużej liczbie nieruchomości, jakie pan posiada, osoba, która nimi zarządza, musi wymagać podań.

Louis Lee zmarszczył brwi, co u tak spokojnego człowieka było gestem teatralnym.

– Przeprowadził pan wywiad na mój temat. To bardzo dobrze. A więc... pani Keene nie składała podania, ponieważ została polecona przez kogoś z „Czerwonych Drzwi”, kto także wynajmuje ode mnie dom.

Spencer pomyślał o pięknej kelnerce, pół krwi Wietnamce, pół krwi Murzynce.

– Czy przez Rosie?

– Tak.

– Ona jest przyjaciółką Valerie?

– Tak. Spotkałem się z panią Keene i zaaprobowalem ją. Sprawiała na mnie wrażenie osoby godnej zaufania. To mi wystarczyło.

– Muszę porozmawiać z Rosie – zdecydował Spencer.

– Z pewnością będzie dziś wieczorem w pracy.

– Muszę z nią porozmawiać wcześniej. Zwłaszcza że po rozmowie z panem mam wrażenie, że odbywa się polowanie na mnie i że czas ucieka.

– Myślę, że trafnie ocenia pan sytuację.

– Potrzebne mi jest jej ostatnie nazwisko i adres.

Louis Lee milczał tak długo, że Spencer zaczął się denerwować. W końcu usłyszał:

– Urodziłem się w Chinach, panie Grant. Kiedy byłem jeszcze dzieckiem, uciekliśmy od komunistów i wyemigrowaliśmy do Hanoi w Wietnamie, który był wówczas opanowany przez Francuzów. Straciliśmy wszystko, ale to było lepsze, niż znaleźć się wśród dziesiątek milionów zgłodzonych przez przewodniczącego Mao.

Spencer nie widział związku między życiorysem biznesmena a jego własnymi kłopotami, ale przypuszczał, że jakiś musi istnieć i że wkrótce się o nim dowie. Louis Lee był Chińczykiem, ale na swój sposób był równie bezpośredni jak przeciętny Amerykanin.

– W Wietnamie Chińczycy byli dyskryminowani. Francuzi obiecywali, że obronią nas przed komunistami. Nie dotrzymali słowa. Byłem jeszcze małym chłopcem, kiedy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku Wietnam został podzielony. Znow uciekliśmy, tracąc wszystko, tym

razem do Wietnamu Południowego.

– Rozumiem.

– Nie. Dopiero zacznie pan rozumieć. W ciągu niespełna roku wybuchła wojna domowa. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym moja młodsza siostra została zastrzelona na ulicy przez snajpera. Trzy lata później, tydzień po tym jak John Kennedy obiecał, że Stany Zjednoczone będą strzegły naszej wolności, mój ojciec został zabity przez terrorystów, którzy podłożyli bombę w sajgońskim autobusie.

Lee zamknął oczy i złożył ręce na podołku. Wydawało się, że medytuje, a nie że rozpamiętuje przeszłość.

Spencer czekał.

– W kwietniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku padł Sajgon. Miałem wówczas trzydzieści lat, żonę imieniem Mae i czworo dzieci. Żyła jeszcze moja matka i jeden spośród trzech braci oraz jego dwoje dzieci. W sumie było nas dziesięcioro. Po sześciu miesiącach terroru moja matka, brat, jedna z moich bratanic i jeden z moich synów już nie żyli. Nie udało mi się ich uratować. Pozostała szóstka dołączyła do trzydziestu dwóch innych osób, próbujących uciec morzem.

– *Boat people* – powiedział z szacunkiem Spencer, wiedząc na swój sposób, co to znaczy być odcięty od przeszłości, w dodatku zdany na łaskę fal, walcząc z dnia na dzień o przetrwanie.

Z przymkniętymi nadal oczami, jakby wspominał szczegóły wiejskiej przechadzki, Lee ciągnął spokojnie:

– Podczas złej pogody próbowali opanować nasz stateczek grabieżcy. Była to kanonierka Vietcongu. Tacy sami jak piraci. Zabiliby mężczyzn, zgwałcili i pozabijali kobiety, ukradli nasz skromny dobytek. Osiemnaścioro spośród naszej trzydziestkiósemki zginęło, próbując odeprzeć ich atak. Jednym z nich był mój dziesięcioletni syn. Zastrzelili go. Byłem bezradny. Reszta ocalała, ponieważ pogoda stała się w mgnieniu oka taka zła, że kanonierka wycofała się, chcąc się uratować. W sztormie stracili nas z oczu. Dwoje z nas zginęło, zmytych przez ogromne fale. Została osiemnastka. Kiedy się roz pogodziło, okazało się, że łódź jest uszkodzona, żagle są podarte, silnik i radio nie działają – i że znaleźliśmy się na Morzu Południowochińskim, daleko od jakichkolwiek brzegów.

Spencer nie mógł już znieść spojrzenia Lee. Ten jednak nie odwracał wzroku.

– Dryfowaliśmy w dzikim upale przez sześć dni. Nie mieliśmy wody i bardzo mało żywności. Jedna kobieta i czworo dzieci zmarło, nim dotarliśmy do szlaku żeglugowego i zostaliśmy uratowani przez amerykański okręt marynarki wojennej. Jednym z dzieci, które umarły z pragnienia, była moja córka. Nie mogłem nikogo ocalić. Spośród dziesięciorga osób mojej rodziny, które przetrwały upadek Sajgonu, uratowało się czworo: żona, córka, która była moim ostatnim ocalałym dzieckiem, jedna z bratanic i ja.

– Przykro mi – powiedział Spencer. Zabrzmiało to tak nieodpowiednio, że pożałował, iż w ogóle się odezwał.

Louis Lee mówił dalej:

– Poza nami wyciągnięto z tej rozpadającej się łodzi jeszcze dziewięcioro innych osób. To wszystko działo się ponad dwadzieścia lat temu. Wszyscy przyjęliśmy amerykańskie imiona i do dziś wszyscy jesteśmy partnerami w restauracji i w innych interesach. Uważam ich za moją rodzinę. Jesteśmy dla siebie narodem. Jestem Amerykaninem, ponieważ ideały Ameryki są mi bliskie. Kocham ten kraj i jego ludzi. Nie kocham jego rządu. Nie potrafię kochać kogoś, komu nie ufam, a nigdy i nigdzie nie będę już więcej ufał żadnemu rządowi. Czy to pana nie niepokoi?

– Nie, to jest zrozumiałe, ale przygnębiające.

– Jako jednostki, jako rodziny, jako sąsiedzi, jako przedstawiciele środowisk – ludzie różnych ras

i o rozmaitych poglądach politycznych, są zwykle przyzwoiaci, życzliwi i współczujący – powiedział Lee.
– W dużych korporacjach i rządach trafiają się natomiast ludzie, którzy – kiedy skupią we własnych rękach wielką władzę – stają się potworami, mimo że kierują nimi mając dobre intencje. Nie mogą być lojalni wobec potworów. Będę natomiast lojalny wobec mojej rodziny, sąsiadów, mojego środowiska.

– To jasne.

– Rosie, kelnerki z „Czerwonych Drzwi”, nie było z nami na łodzi, ale jej matka była Wietnamką, a ojciec Amerykaninem, który poległ w Wietnamie. Rosie jest więc członkiem mojej rodziny.

Spencer słuchał opowiadania Louisa Lee jak zahipnotyzowany. Zapomniał o swojej prośbie, która wywołała te wspomnienia. Chciał jak najszybciej porozmawiać z Rosie. Potrzebne mu było jej aktualne nazwisko i adres.

– Nie powinno się wplątywać w to Rosie – powiedział Lee. – Oświadczyła tym lewym agentom FBI, że niewiele wie o pani Keene, i nie chcę, żeby pan ją w to wciągał.

– Pragnę jej tylko zadać parę pytań.

– Jeśli tamci zobaczą ją z panem i zidentyfikują pana jako tego, który był w nocy w domu pani Keene, pomyślą, że Rosie była kimś więcej niż jej znajomą z pracy – mimo że to nieprawda.

– Będę ostrożny, panie Lee.

– To jest mój warunek.

Drzwi otworzyły się cicho i Spencer zobaczył, że zwijacz serwetek, jego uprzejmy przewodnik, wrócił do pokoju. Nie zauważył, kiedy wychodził.

– Załatwione. Ona go pamięta – zwrócił się do Louisa Lee, podchodząc do Spencera i wręczając mu kartkę papieru.

– Rosie spotka się z panem o pierwszej pod tym adresem – wyjaśnił Lee. – To nie jest jej mieszkanie, na wypadek gdyby była śledzona.

Szybkość, z jaką spotkanie zostało zaaranżowane i to bez wymiany jednego słowa między Lee i tamtym mężczyzną, wydała się Spencerowi magiczna.

– Nie może być śledzona – orzekł Lee, podnosząc się z fotela. – Proszę się upewnić, że pan także nie będzie.

Wstając z fotela, Spencer oznajmił:

– Panie Lee, pan i pańska rodzina...

– Słucham?

– ...to wstrząsające.

Louis Lee skłonił się lekko całym tułowiem. Potem, odwracając się i podchodząc do biurka, powiedział:

– Jeszcze coś, panie Grant.

Kiedy Lee otwierał szufladę, Spencer doznał absurdalnego uczucia, że ów cicho mówiący, łagodny dżentelmen o aparycji profesora uniwersytetu wyjmie pistolet z tłumikiem i zastrzeli go. Przeżył moment aberracji... jakby ktoś zrobił mu zastrzyk amfetaminy prosto w serce.

Lee wyjął z szuflady medalion z nefrytu na złotym łańcuszku.

– Ofiarowuję je czasem ludziom, którzy ich potrzebują.

Bojąc się, że obaj mężczyźni usłyszą gwałtowny łomot jego serca, Spencer podszedł do biurka i przyjął prezent.

Medalion miał dwa cale średnicy. Na jednej z jego stron wyrzeźbiono głowę smoka, na drugiej – identycznie wystylizowanego bażanta.

– To zbyt kosztowne, żebym...

– To tylko nefryt. Bażanty i smoki, panie Grant. Potrzebna panu ich moc. Bażanty i smoki. Dobrobyt i długie życie.

– Amulet? – spytał Spencer, kołysząc medalionem na łańcuszku.

– Skuteczny – zapewnił Lee. – Czy wchodząc do restauracji, zauważył pan Quan Yin?

– Co to takiego?

– Drewniana figura przy drzwiach wejściowych.

– Zauważyłem. Kobieta o delikatnych rysach twarzy.

– Mieszka w niej duch, który odpędza wrogów od drzwi mojego domu. – Lee był tak poważny jak wówczas, gdy opowiadał o swojej ucieczce z Wietnamu. – Działa szczególnie skutecznie na ludzi zawistnych, a zawiść jest w hierarchii niebezpiecznych cech ludzkich na drugim miejscu, zaraz po litowaniu się nad samym sobą.

– Po tym wszystkim, co pan przeszedł, wierzy pan w to?

– Trzeba w coś wierzyć, panie Grant.

Uścisnęli sobie ręce.

Spencer wyszedł z pokoju za swoim przewodnikiem, zabierając z sobą kartkę papieru i medalion.

W windzie Spencer przypomniał sobie krótką wymianę słów między przewodnikiem a łysym, kiedy po raz pierwszy weszli do recepcji.

– Zostałem zbadany, czy nie mam przy sobie broni, kiedy jechaliśmy w dół, prawda?

Przewodnik wydawał się rozbawiony pytaniem, ale nic nie odpowiedział.

Minutę później, kiedy byli już przy frontowych drzwiach, Spencer stanął, żeby się przyjrzeć Quan Yin.

– Czy on rzeczywiście wierzy w to, że ona chroni dom przed wrogami?

– Jeśli tak myśli, to znaczy, że tak jest – odparł przewodnik. – Pan Lee jest wielkim człowiekiem.

Spencer popatrzył na niego.

– Był pan na tej łodzi?

– Miałem tylko osiem lat. Moja matka umarła z pragnienia dzień przed naszym ocaleniem.

– Mówił, że nie mógł nikogo uratować.

– Uratował nas wszystkich – powiedział przewodnik, otwierając drzwi.

Znalazłszy się na chodniku, na pół oślepiiony ostrym słońcem, rozdrażniony hałasem ruchu ulicznego i przelatującego odrzutowca, Spencer poczuł się, jakby został nagle wytracony ze snu... albo właśnie pogrązał się w sen.

W ciągu całego czasu spędzonego w restauracji i w pokojach pod nią nikt nie patrzył na jego bliźnę.

Odwrócił się i zajrzał przez szklane drzwi w głąb restauracji. Człowiek, którego matka umarła z pragnienia na Morzu Południowochińskim, znów stał między stolikami, zwijając serwetki w fantazyjne stożki.

Laboratorium, w którym David Davis i jego młody asystent czekali na Roya Miro, było jednym z czterech pokoi zajętych przez dział analizy danych. Znajdowały się w nim komputery służące do analizowania obrazu, monitory z ekranami o wysokiej rozdzielczości i wiele innych specjalistycznych urządzeń.

Davis czynił przygotowania do wywołania odcisków palców, mogących znajdować się na oknie łazienki bungalowu w Santa Monica. Na marmurowym blacie leżała cała rama wraz z szybą i skorodowanym, mosiężnym zawiasem od fortepianu.

– To okno jest bardzo ważne – ostrzegł Roy, podchodząc do nich.

– Naturalnie. Każdy przypadek jest ważny.

– Ten jest ważniejszy. I pilny.

Roy nie lubił Davisa nie ze względu na jego irytujące nazwisko, lecz dlatego że jego entuzjazm był męczący. Wysoki, szczupły, o sztywnych jak drut blond włosach – David Davis nie chodził, lecz śmigał, miotał się, biegał. Zamiast zwyczajnie odwracać się – on zawirowywał. Nigdy niczego nie pokazywał z daleka – po prostu pakował w to palec. Royowi, unikającemu w codziennym życiu przesady, Davis wydawał się zawstydzająco teatralny.

Jego asystent, o którym Roy wiedział tylko tyle, że nazywał się Wertz, był bladym stworem, który nosił laboratoryjny fartuch w taki sam sposób, jak pełen skromności nowicjusz w seminarium nosi sutannę. Kiedy nie był zajęty podawaniem czegoś Davisowi, krążył wokół swojego szefa z irytującą czcią. Przyprawiał Roya o mdłości.

– Na latarce nie ma nic – orzekł David Davis, zataczając ręką w powietrzu wielkie koło, mające symbolizować zero. – Zero! Nie ma nawet śladu. Gówno. Ta latarka to kawałek gówna! Nie ma na niej ani kawałka gładkiej powierzchni. Jest matowa, prążkowana, pokratkowana, ale gładkiej ani kawałka.

– To niedobrze – burknął Roy.

– Niedobrze?! – powtórzył Davis z rozszerzonymi oczami, jak gdyby Roy zareagował na wiadomość o zamordowaniu papieża wzruszeniem ramion i chichotem. – Na miłość boską, wygląda na to, że ta cholerna latarka została zaprojektowana dla włamywaczy i bandytów i zatwierdzona przez mafię.

– Na miłość boską – wymamrotał swoje potwierdzenie Wertz.

– Więc zabierzmy się do okna – powiedział z niecierpliwością Roy.

– Tak, z oknem wiążemy wielkie nadzieje – zgodził się Davis, kiwając zapamiętałe głową jak papuga w rytm muzyki reggae. – Lakier. Popatrz, ramę pomalowano kilkoma warstwami żółtego lakieru, żeby wytrzymała niszczące działanie pary z prysznicą. Gładzizna. – Davis promieniał nad małym oknem, leżącym na marmurowym blacie laboratorium. – Jeżeli coś na nim jest, my to wydobędziemy.

– Im prędzej, tym lepiej – naciskał Roy.

W rogu pokoju stała pod okapem wentylacyjnym pusta, dziesięciogalonowa kadź. Wertz włożył rękawice chirurgiczne, ujął okno za krawędzie i zaniósł do kadzi. Mniejsze przedmioty zawieszało się na drutach, zaopatrzonych w sprężynujące zaczepy. Okno było na to za ciężkie i zbyt nieporęczne, więc Wertz postawił je w kadzi, opierając o jedną ze szklanych ścian i z lekka nachylając. Pasowało w sam raz.

Davis położył trzy kłębki bawełny na płytce Petriego i umieścił płytkę na dnie kadzi. Posługując się pipetą, przeniósł na watę kilka kropli cyjanoakrylanu metylu. Drugą pipetą przeniósł tę samą ilość roztworu wodorotlenku sodu.

Na dnie kadzi powstała w mgnieniu oka chmura wyziewów cyjanoakrylowych, unosząc się w górę i znikając pod okapem.

Utajone ślady, pozostawione przez znikome ilości zawartego w skórze tłuszczu, potu i brudu są niewidoczne gołym okiem, póki nie zostaną wywołane za pomocą jednego z kilku możliwych odczynników: proszków, jodiny, roztworu azotanu srebra, roztworu ninhydryny... albo oparów cyjanoakrylowych, które przynoszą najlepsze wyniki w przypadku materiałów takich jak szkło, metal, plastik i twarde lakiery. Opary utwardzają się, tworząc żywicę wprawdzie na całej powierzchni, ale znacznie intensywniej na tłuszczach, z których składają się utajone odciski palców.

Proces wywoływania powinien trwać przynajmniej trzydzieści minut. Gdyby okno pozostawało w kadzi dłużej niż godzinę, mogłoby na śladach palców osiąść tyle żywicy, że ich szczegóły zostałyby

zatracone. Davis ustalił czas wywoływania na czterdzieści minut i nakazał Wertzowi pilnować procesu.

Dla Roya było to czterdzieści ciężkich minut, gdyż David Davis, pasjonat na punkcie technologii, zmuszał go do oglądania najnowocześniejszego sprzętu laboratoryjnego. Wśród obfitej gestykulacji i głośnych okrzyków, z oczami błyszczącymi z emocji, rozwodził się nad każdym szczegółem aparatury.

Zanim Wertz zakomunikował, że okno zostało wyjęte ze zbiornika, Roy był już całkowicie wyczerpany wysłuchiowaniem Davisa. Wspomnił z nostalgią ubiegłą noc w sypialni Bettonfieldów: dotykanie pięknej ręki Penelope, słuchanie Beatlesów. Czuł się wtedy taki zrelaksowany.

Zmarli bywali czasem lepszym towarzystwem niż żywi. Wertz zaprowadził ich do stanowiska fotograficznego, na którym leżało już okno od łazienki. Nad stanowiskiem umocowany był aparat polaroid CU-5, z obiektywem skierowanym w dół, do robienia zbliżeń ujawnionych odcisków.

Wewnętrzna strona okna łazienki bungalowu skierowana była teraz ku górze. Tajemniczy mężczyzna, uciekając, musiał jej dotknąć. Zewnętrzna strona została splukana deszczem.

Mimo że tło nie było czarne – żółty lakier okna był wystarczająco ciemny, żeby stanowić zadowalający kontrast dla ewentualnych zmian w fakturze białego cyjanoakrylowego osadu. Szczegółowe oględziny nie ujawniły jednak żadnych śladów ani na ramie, ani na samym szkle.

Wertz wyłączył górne lampy jarzeniowe. W laboratorium zrobiło się ciemno z wyjątkiem odrobiny światła, przesączonego przez opuszczone żaluzje. W mroku jego blada twarz wydawała się lekko fosforyzująca, jak organizm stworzenia żyjącego w głębi oceanu.

– Może coś się ujawni, kiedy oświetlimy je z boku – powiedział Davis.

Obok, na ścianie, wisiała lampa halogenowa z osłoną w kształcie stożka, osadzona na giętkiej metalowej szyjce. Davis zdjął ją i włączył, a następnie powoli chodził wokół stołu, kierując wiązkę skupionego światła pod ostrym kątem w stosunku do ramy.

– Nie ma nic – rzucił niecierpliwie Roy.

– Sprawdźmy szkło – postanowił Davis, kierując światło pod różnymi kątami, badając szybę w taki sam sposób jak poprzednio ramę.

Znowu nic.

– Spróbujemy z proszkiem magnetycznym – orzekł Davis.

Wertz włączył na powrót górne oświetlenie. Poszedł do magazynku i wrócił, niosąc słoik proszku magnetycznego i magnetyczny aplikator, który Roy już kiedyś widział.

Ze specjalnego aplikatora wysypywały się strużki czarnego proszku i przywierały tam, gdzie były ślady tłuszczu albo oleju, natomiast niezwiązane z podłożem ziarenka były zbierane przez magnetyczną szczotkę. Przewaga tego proszku nad innymi, przeznaczonymi do wykrywania śladów palców, polegała na tym, że magnetyczny nie zostawiał na badanej powierzchni nadmiaru preparatu.

Wertz posypał proszkiem każdy cal powierzchni ramy i szyby. Znowu nic.

– W porządku, świetnie, doskonale, niech tak będzie! – wykrzykiwał Davis, zacierając ręce, kiwając głową, podejmując nadal wyzwanie. – Jazda naprzód! Nie jesteśmy jeszcze zapędzeni w kozi róg. Niech mnie szlag trafi, jeśli tak jest! Dlatego ten zawód jest taki ciekawy.

– Jeśli coś jest łatwe, to nadaje się tylko dla dupków – powiedział Wertz z grymasem mającym wyrażać uśmiech, powtarzając zapewne jeden z ich ulubionych aforyzmów.

– Właśnie! – powiedział Davis. – Ma pan rację, młody panie Wertz. A my nie jesteśmy dupkami.

Wydawało się, że wyzwanie wzbudza w nich brawurową trzpiotowatość.

Roy spojrzał znacząco na zegarek.

W czasie gdy Wertz odnosił aplikator i słoik z proszkiem, Davis włożył parę lateksowych rękawiczek

i ostrożnie przeniósł okno do sąsiedniego pokoju, mniejszego niż główne pomieszczenie laboratorium. Umieścił je w metalowym zlewie i chwycił jedną z dwóch stojących na kontuarze plastikowych butelek ze zmywaczem laboratoryjnym, którym przemył polakierowaną ramę i szybę.

– Rodamina 6G rozpuszczona w metanolu – wytłumaczył Royowi, jak gdyby ów wiedział, co to jest albo nawet trzymał do domowego użytku.

Właśnie nadszedł Wertz i dorzucił:

– Znałem pewną Rodaminę, mieszkała w pokoju 6-G, po drugiej stronie korytarza.

– Czy pachniała tak samo?

– Pikantniej – odparł Wertz i obaj się roześmiali.

Tępy dowcip. Roy doszedł do wniosku, że nie ma w nim nic śmiesznego. Pomyślał, że powinno go to trochę odprężyć.

Biorąc drugą butelkę zmywacza, David Davis objaśnił:

– Czysty metanol. Zmywa nadmiar rodaminy.

– Rodamina zawsze była w nadmiarze i nie można jej było zmyć całymi tygodniami – powiedział Wertz i znów się roześmiali.

Czasem Roy nienawidził swojej pracy.

Wertz włączył chłodzony wodą laser argonowy, stojący pod jedną ze ścian i manipulował przy jego pokrętkach.

Davis przeniósł okno na stół obok przyrządu.

Wertz, zadowolony, że aparatura jest już gotowa do pracy, rozdał wszystkim gogle. Davis wyłączył jarzeniowe lampy. W ciemności widać było tylko nikły klin światła, przesączającego się przez szparę w drzwiach do sąsiedniego laboratorium.

Roy włożył gogle i razem z oboma technikami zbliżył się do stołu.

Davis włączył laser. Kiedy strumień nierzeczywistego światła przesuwiał się po dolnej listwie okna, ujrzeli wyraźny ślad, zwapniały pod wpływem działania rodaminy: odrealnione, fluoryzujące zwoje linii papilarnych.

– Mamy sukinsyną! – wykrzyknął Davis.

– To może być czyjś przypadkowy odcisk – powiedział Roy. – Zobaczymy.

– Wygląda na odcisk kciuka – zauważył Wertz.

Światło posuwało się dalej. Wokół klamki i wrzeciędza zapadki w środku dolnej listwy ramy okna, jarzyło się więcej śladów palców. Całe pole: niektóre częściowe, niektóre rozsmarowane, niektóre pełne i wyraźne.

– Gdybym lubił się zakładać – powiedział Davis – postawiłbym dużą sumę pieniędzy na to, że okno zostało niedawno umyte i wytarte szmatą, co spowodowało brak śladów na sprawdzanym polu. Prócz tego założyłbym się, że wszystkie znalezione ślady należą do tej samej osoby i że zostawił je ostatniej nocy twój człowiek. Były trudniejsze do wykrycia, gdyż miał niewiele tłuszczu na końcach palców.

– Tak, to prawda, on przyszedł, kiedy padał deszcz – powiedział z podnieceniem Wertz.

– I może po wejściu do domu wytarł czymś ręce – dodał Davis.

– Na wewnętrznej stronie dłoni nie ma gruczołów łojowych – tłumaczył Royowi Wertz. – Końce palców stają się tłuste od dotykania twarzy, włosów i innych części ciała. Istoty ludzkie bezustannie się dotykają.

– Hej, tam – upomniał Davis głosem udającym surowość – nic z tego, przynajmniej tutaj, panie Wertz.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

Gogle uciskały nasadę nosa Roya. Przyprawiły go o ból głowy.

W migotliwym świetle lasera ujrzeli jeszcze jeden ślad. Nawet Matka Teresa, na domiar po zażyciu dużej dawki amfetaminy, wpadłaby w depresję, przebywając w towarzystwie Davida Davisa i Wertza. Mimo to Roy, po ujzeniu każdego nowego śladu, czuł się coraz bardziej podniesiony na duchu.

Tajemniczy mężczyzna wkrótce przestanie być tajemniczy.

Rozdział 7

Dzień był ciepły, ale nie na tyle, żeby się opalać. Spencer zauważył jednak na Venice Beach sześć młodych kobiet w kostiumach bikini i dwóch chłopaków w kwiecistych spodenkach – leżeli na dużych ręcznikach i wystawiali się na promienie słońca. Wszyscy mieli gęszą skórę, ale się nie poddawali.

Dwaj dobrze umięśnieni, bosonodzy mężczyźni grali na piasku w siatkówkę. Robili to z zapałem, wydając okrzyki, skacząc i dysząc ze zmęczenia. Kilka osób jeździło na wrotkach i na łyżworolkach po wyłożonej płytami betonowymi promenadzie. Niektóre z nich były w kostiumach kąpielowych. Brodaty mężczyzna w dżinsach i w czarnym podkoszulku puszczał czerwonego latawca z długim ogonem, zrobionym z czerwonych wstążek.

Wszyscy mieli za dużo lat, żeby być uczniami średniej szkoły, a zarazem byli na tyle dorośli, że powinni gdzieś o tej porze pracować. Spencera ciekawiło, ilu z nich było ofiarami recesji, a ilu należało do złotej młodzieży, która żyła z naciągania rodziców albo społeczeństwa. Od dawna Kalifornia stanowiła ulubione miejsce pobytu tego typu młodych ludzi, a polityka gospodarcza stanu przyczyniała się do nieustannego powiększania się tej grupy nierobów.

Rosie siedziała na ławce z betonu i drewna sekwoi, stojącej na trawniku ciągnącym się wzdłuż plaży, oparta plecami o stół piknikowy, w cieniu ogromnej palmy.

W białych sandałach, białych spodniach i fioletowej bluzce wyglądała jeszcze piękniej i bardziej egzotycznie niż w nastrojowym oświetleniu baru „Czerwone Drzwi”. W jej rysach uwidaczniało się wietnamskie pochodzenie matki i afroamerykańskie ojca, ale nie zwracała uwagi na żadną z odziedziczonych cech. Była klasyczną Ewą nowej rasy: piękną, niewinną kobietą, stworzoną dla nowego raju.

Nie miała w sobie jednak spokoju niewinności. Patrzyła z napięciem i wrogością na morze i z tym samym wyrazem twarzy na zbliżającego się Spencera. Ale uśmiechnęła się szeroko na widok Rocky’ego.

– Jaki spryciulek! – zawołała. Siedząc na ławce, wychyliła się w ich stronę i robiła rękami zachęcające gesty. – Chodź tu, malutki! Chodź, spryciulku!

Rocky do tej pory dreptał zadowolony obok Spencera, merdając ogonem, napawając się spokojną atmosferą plaży. Zamarł, kiedy zetknął się z siedzącą na ławce piękną, przymilnie wyciągającą do niego rękę. Przestał machać ogonem i wtulił go między nogi. Zjeżył się, gotów odskoczyć, gdyby ruszyła w jego stronę.

– Jak ma na imię? – spytała Rosie.

– Rocky. Jest dość nieśmiały. – Spencer usiadł na drugim końcu ławki.

– Chodź tu, Rocky – prosiła. – Chodź tu, słodkie stworzonko.

Rocky podniósł łeb i przyglądał się jej ostrożnie.

– Co z tobą, spryciulku? Nie chcesz być przytulony i pogłaskany?

Rocky zaskomlił. Przywarł przednimi łapami do ziemi i poruszał zadem w jedną i drugą stronę, nie mogąc się przemóc, żeby pomachać ogonem. Chciał być pogłaskany, ale nie całkiem jej ufał.

– Im bardziej się go zachęca, tym bardziej robi się podejrzliwy. Proszę nie zwracać na niego uwagi, wówczas może uznać, że pani nie ma złych zamiarów.

Rosie przestała go przywoływać i usiadła prosto. Jej nagły ruch najwyraźniej przestraszył Rocky’ego. Odsunął się o kilka stóp i przypatrywał się jej z jeszcze większą podejrzliwością.

– Zawsze był taki nieśmiały?

– Odkąd go znam. Ma cztery czy pięć lat, ale u mnie jest dopiero dwa. Zajrzałem kiedyś do piątkowej

rubryki ogłoszeń schroniska dla zwierząt. Nikt nie chciał go wziąć, więc zostałby uśpiony.

– Każdy by go wziął.

– Był wówczas w znacznie gorszym stanie.

– Proszę nie mówić, że potrafiłby kogoś ugryźć. Takie przeurocze stworzenie.

– Nie. Nigdy nie gryzł. Był kiedyś z tego powodu katowany. Skomlił i drżał za każdym razem, gdy się do niego zbliżałem. Kiedy go dotykałem – związał się w kłębek, zamykał oczy i skowyczał, trzęsąc się jak galareta, jak gdyby dotyk sprawiał mu ból.

– Miał uraz?

– Tak. Ludzie ze schroniska tylko wyjątkowo umieścili o nim wzmiankę w gazecie. Miał niewiele szans. Powiedzieli mi, że kiedy pies ma uraz psychiczny tak jak Rocky, lepiej nie próbować umieszczać go gdziekolwiek, tylko od razu go uśpić.

Rosie i pies patrzyli na siebie. Rosie spytała:

– Co mu się przydarzyło?

– Nie pytałem. Nie chciałem wiedzieć. W życiu spotkało mnie wiele rzeczy, o których wolałbym nigdy nie wiedzieć... ponieważ teraz nie mogę zapomnieć.

Kobieta odwróciła wzrok od psa i popatrzyła na Spencera.

– Nieświadomość nie daje szczęścia, ale czasem... – zaczął mówić.

– ...pozwala nam spać – dokończyła.

Miała dwadzieścia kilka lat, może trzydzieści. Kiedy bomby i ogień armatni rozszarpały Wietnam, gdy padł Sajgon i zwycięscy żołnierze podczas pijackich orgii brali łupy wojenne, kiedy założono obozy reedukacyjne – miała osiem lub dziewięć. Już wtedy była ładna: jedwabiste czarne włosy, ogromne oczy. I za dorosła, żeby zapomnieć o tych potwornych przejściach, tak jak zacierają się w pamięci udręki i nocne strachy wczesnego dzieciństwa.

Ubiegłego wieczora w „Czerwonych Drzwiach” Rosie powiedziała mu, że przeszłość Valerie Keene musiała być pełna cierpienia. Dodała, że dojrzała w niej udrękę, pokrewną jej własnemu bólowi.

Spencer odwrócił wzrok i spojrzał na grzywacze, załamujące się łagodnie na brzegu. Zostawiały na piasku nieustannie zmieniającą swój kształt białą koronkę piany.

– Jeśli pani uda, że nie dostrzega Rocky’ego, może przestanie się bać. Prawdopodobnie nie, ale jest szansa.

Przeniósł spojrzenie na czerwony latawiec, który wysoko na błękitnym niebie to opadał gwałtownie, to wzbijał się na wznoszących prądach termicznych.

– Czemu pan chce pomóc Val? – spytała wreszcie.

– Dlatego że ma kłopoty. I – jak pani sama wczoraj powiedziała – jest wyjątkowa.

– Ona się panu podoba.

– I tak, i nie. W każdym razie nie w sposób, jaki pani ma na myśli.

– Więc w jaki?

Spencer nie potrafił wytłumaczyć czegoś, czego sam nie rozumiał.

Oderwał wzrok od latawca i popatrzył na psa. Rocky skradał się w stronę drugiego końca ławki, patrząc uważnie na Rosie, która go celowo ignorowała. Trzymał się poza jej zasięgiem, na wypadek gdyby nagle odwróciła się i chciała go schwytać.

– Czemu pan chce jej pomóc? – nalegała Rosie.

Pies był tak blisko, że mógł wszystko słyszeć.

Nie okłamuj psa.

Powiedział to, co uświadomił sobie ubiegłej nocy w samochodzie:

- Ponieważ chciałem zmienić swoje życie.
- I sądzi pan, że pomagając jej, zmieni pan je?
- Tak.
- Na czym to ma polegać?
- Nie wiem.

Pies zniknął z ich pola widzenia, okrążając z tyłu ławkę.

– Ma pan nadzieję, że ona stanie się częścią tego życia. A co będzie, jeśli nie? – spytała Rosie.

Popatrzył na wrotkarzy na promenadzie. Oddalali się od niego, jakby byli utkani z pajęczyny, niesieni wiatrem coraz dalej i dalej.

- Nie znajduję się w gorszej sytuacji niż teraz – odparł w końcu.
- A ona?
- Nie chcę od niej niczego, czego sama nie będzie chciała mi dać.

Po chwili milczenia Rosie stwierdziła:

- Jest pan dziwnym człowiekiem, panie Spencer.
- Wiem.
- Bardzo dziwnym. Czy pan też jest wyjątkowy?
- Ja? Nie.
- Tak samo wyjątkowy jak Valerie?

- Nie.
- Ona zasługuje na kogoś wyjątkowego.
- Nie jestem taki.

Usłyszał z tyłu ukradkowe szmery i domyślił się, że pies czołga się na brzuchu pod ławką, starając się zbliżyć do kobiety, poznać jej zapach i przeanalizować go.

– We wtorek wieczór rozmawialiście z sobą dość długo – powiedziała Rosie.

Nie odpowiedział, dając jej czas na podjęcie decyzji.

– Zauważyłam, że parę razy pan ją rozśmieszył.

Czekał dalej.

– Dobrze więc, od chwili gdy zadzwonił pan Lee, staram się przypomnieć sobie wszystko, co opowiedziała mi Val i co mogłoby panu pomóc w odnalezieniu jej. Niewiele tego jest. Polubiłyśmy się od razu. Przeważnie jednak rozmawiałyśmy o pracy, o filmach i książkach, o wydarzeniach dziejących się obecnie. Nie rozmawiałyśmy o przeszłości.

- Gdzie mieszkała przed przeprowadzeniem się do Santa Monica?
- Nigdy mi tego nie wyjawiała.
- Czy to pani nie zaciekało? Sądzi pani, że mogła mieszkać w okolicy Los Angeles?
- Nie. Nie znała tego miasta.
- Czy wspomniała kiedykolwiek, gdzie się urodziła i wychowywała?
- Nie przypominam sobie jasno, ale to musiało być gdzieś na wschodzie.
- Czy opowiadała pani o swoich rodzicach, czy miała rodzeństwo?
- Nie, ale gdy ktoś opowiadał o swoich rodzicach, stawała się smutna. Mam wrażenie, że jej rodzice nie żyją.
- Nie zapytała jej pani o rodziców?
- Nie. Czuję to.

– Była kiedyś zameźna?

– Możliwe. Nie pytałam o to.

– Jak na przyjaciółkę, nie zapytała jej pani o wiele rzeczy.

Rosie skinęła potwierdzająco głową.

– Ponieważ wiedziałam, że nie mogłaby wyznać mi prawdy. Mam niewielu przyjaciół, panie Grant, więc nie chciałam zepsuć naszej przyjaźni, doprowadzając do sytuacji, w której musiałaby mnie okłamać.

Spencer przyłożył prawą rękę do twarzy. Mimo ciepłego dnia blizna pod jego palcami była zimna jak lód.

Brodaty mężczyzna powoli ściągał latawiec. Wielki, czerwony kwadrat mienił się refleksami światła na tle nieba, a jego ogon ze wstążek skrzył się pomarańczowo.

– A zatem – odezwał się Spencer – wyczuła pani, że ona przed czymś ucieka?

– Wyobrażałam sobie, że to mógł być zły mąż, który ją bił.

– Czy kobiety często uciekają od złych mężów i zaczynają od początku, zamiast się z nimi po prostu rozwieść?

– Tak się dzieje w filmach – odparła – jeśli mężowie są zbyt napastliwi.

Rocky wysliznął się spod stołu. Pojawił się po stronie Spencera, okrążywszy ich przedtem. Nie trzymał już ogona między nogami, ale jeszcze nim nie machał. Patrzył z uwagą na Rosie, skradając się nadal w jej stronę.

Udając, że nie zauważa psa, Rosie powiedziała:

– Nie wiem, czy to może się przydać... ale z pewnych jej uwag można było wywnioskować, że zna Las Vegas. Była tam nieraz, a może nawet często.

– Mogła tam kiedyś mieszkać?

Rosie wzruszyła ramionami.

– Lubiła gry. Gra w nie bardzo dobrze: w scrabble, warcaby, monopol... Czasem grałyśmy w karty – w remika lub bezika. Powinien pan zobaczyć, jak tasuje i rozdaje karty. Potrafi zrobić taką sztuczkę, żeby przelatywały w powietrzu z jednej ręki do drugiej.

– Myśli pani, że nauczyła się tego w Vegas?

Ponownie wzruszyła ramionami.

Rocky usiadł na trawie przed Rosie i spoglądał na nią z wyraźną sympatią, zachowując jednak bezpieczną odległość dziesięciu stóp.

– Postanowił, że nie będzie mi ufał – zauważyła.

– Nie ze względu na panią – zapewnił ją Spencer, wstając z ławki.

– Może coś o mnie wie.

– Co może wiedzieć?

– Zwierzęta wiedzą różne rzeczy – powiedziała poważnie. – Potrafią zajrzeć w głębi człowieka. Widzą jego skazy.

– Rocky widzi tylko piękną kobietę, która chce go popieścić, a on cierpi, bo wie, że nie ma się czego bać, tylko nie potrafi przewyciężyć własnego strachu.

Jak gdyby rozumiejąc słowa pana, Rocky zaskomlił dramatycznie.

– On widzi skazy – powtórzyła cicho. – On wie.

– Ja natomiast widzę uroczą kobietę w blasku słońca.

– Człowiek robi nieraz potworne rzeczy, żeby przeżyć.

– To można powiedzieć o wszystkich – odparł, choć czuł, że powiedziała to bardziej do siebie niż do

niego. – Stare plamy, od dawna wypłowie.ale.

– Nigdy do końca. – Wydawała się nie patrzeć na psa, tylko na coś po drugiej stronie niewidzialnego mostu na rzece czasu.

Nie chciał jej opuszczać w tym nagle opanowującym ją, melancholijnym nastroju, ale nie wiedział, o czym mógłby z nią jeszcze rozmawiać.

W miejscu, gdzie biały piasek stykał się z trawnikiem, brodaty mężczyzna kręcił korbą kołowrotka, jakby złowił rybę na niebie. Krwistoczerwony latawiec stopniowo się obniżał. Jego ogon wyglądał jak bicz z płomieni.

Spencer podziękował Rosie za spotkanie i odszedł z Rockym. Na pożegnanie życzyła mu powodzenia.

Od czasu do czasu pies zatrzymywał się, żeby obejrzeć się za siedzącą na ławce kobietą, a potem znów doganiał swego pana. Kiedy uszli pięćdziesiąt jardów i byli w połowie drogi do parkingu, Rocky wydał z siebie krótki skowyt, znamionujący nagłą decyzję, i popędził z powrotem w stronę piknikowego stołu.

Spencer odwrócił się, żeby popatrzeć.

Będąc już bardzo blisko Rosie, kundel stracił odwagę. Gwałtownie zahamował i zbliżał się do niej z nieśmiało spuszczoną głową, drżąc i zapamiętale kręcąc ogonem.

Rosie usiadła na trawie i objęła Rocky'ego ramionami. Jej urzekający, dźwięczny śmiech rozniósł się po całym parku.

– Dobry pies – powiedział cicho Spencer.

Muskularni siatkarze zrobili przerwę w grze, żeby wypić parę puszek pepsi, wyjętych ze styropianowej chłodziarki.

Brodaty mężczyzna ściągnął latawiec i teraz szedł w stronę parkingu, mijając po drodze Spencera. Wyglądał jak szalony prorok: był nieostrzyżony i nieumyty, miał głęboko osadzone, błędne niebieskie oczy, haczykowany nos, blade wargi, połamane, żółte zęby. Na jego czarnej koszulce widniał czerwony napis: „Jeszcze jeden cudowny dzień w piekle”. Rzucił Spencerowi dzikie spojrzenie, przycisnął do siebie latawiec, jakby sądził, że każdy człowiek jest urodzonym szubrawcem i marzy tylko o tym, żeby mu go ukraść – i wyszedł z parku.

Spencer skonstatował, że mimowolnie podniósł rękę do twarzy, żeby zasłonić bliznę, kiedy mężczyzna popatrzył na niego. Opuścił ją z powrotem.

Rosie stała teraz o parę kroków od stołu, starając się odgonić Rocky'ego, żeby nie kazał panu czekać. Znajdowała się poza zasięgiem cienia palm, w pełnym blasku słońca.

Kiedy pies w końcu zostawił nową przyjaciółkę i potruchał w stronę pana, Spencer jeszcze raz zdał sobie sprawę z jej wyjątkowej urody, daleko większej niż uroda Valerie. Gdyby czuł w sobie potrzebę spełniania roli zbawcy i uzdrowiciela, to najprawdopodobniej ta kobieta potrzebowałaby go bardziej niż ta, której szukał. Mimo to ciągnęło go do Valerie, a nie do Rosie z przyczyn, których nie mógł sobie wytłumaczyć czymś innym niż obsesją lub niezrozumiałymi imperatywami podświadomości, nie liczącymi się z tym, dokąd mogą go zaprowadzić.

Zdyszany i szczerzący zęby pies wrócił do niego. Rosie podniosła rękę i pomachała na pożegnanie. Spencer również do niej pomachał.

Możliwe, że jego poszukiwanie Valerie Keene nie było podyktowane obsesją. Miał złudne uczucie, że był latawcem, a ona kołowrotkiem. Jakaś tajemnicza moc – nazywająca się losem – kręciła korbą i nawijała linkę na szpulę, przyciągając go nieuchronnie ku niej, a on nie mógł nic na to poradzić.

Podczas gdy toczące się z odległych Chin fale załamywały się łagodnie na plaży, a promienie słońca przebywały dziewięćdziesiąt trzy miliony mil, żeby pieścić złociste ciała młodych kobiet w kostiumach bikini – Spencer z Rockym wracali do ciężarówki.

David Davis pogalopował do głównego pomieszczenia działu analizy danych, niosąc z sobą fotografie dwóch najlepszych odcisków palców, zdjętych z okna łazienki. Roy Miro bardziej statecznym krokiem udał się w ślad za nim. Davis wręczył je Nelli Shire, pracującej przy jednym ze stanowisk komputerowych.

– Jeden z nich to bez wątpienia kciuk – wyjaśnił. – Ten drugi może być palcem wskazującym.

Shire miała około czterdziestu pięciu lat, twarz o rysach ostrych jak u lisa, pomarańczowe, kędzierzawe włosy i polakierowane na zielono paznokcie. Jej zbudowany z półścianek boks zdobyły trzy fotografie wycięte z magazynów kulturyistycznych. Wszystkie przedstawiały napinających mięśnie mężczyzn w skąpych slipach.

Zauważywszy kulturyistów, Davis zmarszczył się i powiedział:

– Słuchaj, mówiłem, że to jest nie do przyjęcia. Musisz zdjąć tę goliznę.

– Ciało ludzkie jest dziełem sztuki.

Davis był czerwony na twarzy.

– Dobrze wiesz, że można to zinterpretować jako obsesję seksualną w miejscu pracy.

– Tak? – Wyjęła z jego rąk zdjęcia odcisków palców. – Kogo to ma dotyczyć?

– Wszystkich mężczyzn w tym laboratorium – oto kogo!

– Żaden z pracujących tutaj mężczyzn nie wygląda tak jak ci przystojniacy. Dopóki tak nie będzie, nikt nie musi się mnie obawiać.

Davis zerwał ze ściany najpierw jedną fotografię, potem drugą.

– Nie chcę, żeby w moich aktach menedżerskich znalazła się notatka stwierdzająca, że dopuściłem do łamania regulaminu w mojej sekcji.

Chociaż Roy znał przepis, który pogwałciła Nella Shire, był świadom śmieszności, jaką okrył się Davis, lękając się splamienia swoich akt uwagą o tolerowaniu obsesji. Przede wszystkim dlatego, że bezimienna organizacja, dla której pracowali, była nielegalna. Nie podlegała więc żadnej wybieralnej osobie urzędowej; dlatego każda praca wykonywana przez Davisa stanowiła pogwałcenie prawa.

Rzecz jasna Davis – podobnie jak prawie cały personel organizacji – nic o tym nie wiedział. Każdy dostawał czeki od Departamentu Sprawiedliwości i myślał, że figuruje w rejestrach jako jego pracownik. Wszyscy musieli podpisać przysięgę o tajemnicy służbowej, ale wierzyli, że biorą udział w legalnej – choć posługującej się kontrowersyjnymi środkami – ofensywie przeciw zorganizowanej zbrodni i międzynarodowemu terroryzmowi.

Kiedy Davis zerwał ze ściany trzecią fotografię i zmiął ją w ręce, Nella Shire zauważyła zjadliwie:

– A może nie potrafisz znieść tych obrazków, bo cię podniecają, do czego sam przed sobą nie chcesz się przyznać, co? Zastanawiałeś się kiedyś nad tym? – Popatrzyła na fotografie odcisków palców. – Co mam z nimi zrobić?

Roy widział, jak Davis walczy z sobą, żeby nie odpowiedzieć odruchowo zgodnie z pierwszą myślą, która mu przysłała do głowy.

Zamiast tego powiedział:

– Musimy się dowiedzieć, czyje to odciski. Połącz się za pośrednictwem Mamy z Działem Automatycznej Identyfikacji FBI. Zaczynaj od skojarzonych cech identyfikacyjnych.

W rejestrach Federalnego Biura Śledczego znajdowało się sto dziewięćdziesiąt milionów odcisków

palców. Mimo że najnowszy komputer mógł przeprowadzić tysiąc porównań na minutę, przejrzanie całego rejestru zajęłoby zbyt wiele czasu.

Pole poszukiwań można było znacznie zawęzić i otrzymać szybko wyniki, wykorzystując przemysłny program zwany Skojarzonymi Cechami Identyfikacyjnymi. Jeśli poszukiwało się podejrzanych o seryjne morderstwa, trzeba było określić podstawowe cechy zbrodni – płeć i wiek każdej z ofiar, sposób, w jaki zbrodnie zostały dokonane, wszelkie podobieństwa stanu zwłok i miejsca ich odnalezienia – a program porównywał te fakty z modus operandi działających morderców, sporządzając listę podejrzanych i dołączając ich odciski palców. Wówczas wystarczyło zrobić kilkaset, a czasem nawet kilka porównań – zamiast milionów.

Nella Shire odwróciła się w stronę komputera i powiedziała:

– Podaj mi szczegóły, a ja sporządzę listę kilkuset podejrzanych.

– Nie szukamy znanego zbrodniarza – wyjaśnił Davis.

– Mamy wrażenie, że nasz poszukiwany był w siłach specjalnych albo odbył przeszkolenie SWAT – dodał Roy.

– Ci faceci są na pewno muskularni – powiedziała Shire prowokująco. – Armia, marynarka, piechota morska czy siły powietrzne?

– Nie wiemy – odparł Roy. – Może nigdy nie służył w wojsku. Mógł być w stanowej albo lokalnej policji. Mógł być agentem FBI albo DEA, albo Biura Kontroli Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej.

– Program jest przydatny wówczas – powiedziała niecierpliwie Shire – kiedy wprowadza się do niego szczegóły ograniczające pole poszukiwań.

Sto milionów odcisków figurujących w rejestrach dotyczyło przestępców; pozostałe dziewięćdziesiąt milionów obejmowało pracowników państwowych, personel wojskowy, służby wywiadowcze, stanowych i lokalnych urzędników służb bezpieczeństwa oraz zarejestrowanych cudzoziemców. Gdyby wiedzieli, że poszukiwany mężczyzna jest, dajmy na to, byłym żołnierzem piechoty morskiej, wówczas nie musieliby sprawdzać większej części owych dziewięćdziesięciu milionów odcisków.

Roy otworzył kopertę, którą przed chwilą wręczyła mu Melissa Wicklun w dziale analizy fotografii. Wyjął jeden z komputerowych portretów mężczyzny, na którego polowali. Po drugiej stronie portretu były dane, które program analizujący wydedukował na podstawie przesłoniętego deszczem profilu mężczyzny, przebywającego poprzedniej nocy w bungalowie.

– Płeć męska, lat dwadzieścia osiem do trzydziestu dwóch – powiedział Roy.

Nella Shire pisała szybko na klawiaturze. Na ekranie formowała się lista.

– Wzrost pięć stóp, jedenaście cali – ciągnął Roy. – Sto sześćdziesiąt pięć funtów, plus minus pięć. Brązowe włosy, brązowe oczy.

Odwrócił fotografię, żeby popatrzeć na portret. David Davis schylił się, żeby również się przyjrzeć.

– Na twarzy duża blizna – kontynuował Roy. – Po prawej stronie. Zaczyna się przy uchu i kończy w pobliżu podbródka.

– Ciekawe, czy odniesiona w czasie służby. – Davis był zaintrygowany.

– Prawdopodobnie. Taki znak szczególnie może spowodować honorowe wcześniejsze zwolnienie ze służby albo nawet orzeczenie niezdolności do jej pełnienia.

– Zwolniony czy kaleka – zastanawiał się na głos podekscytowany Davis. – Można się założyć, że musiał przejść badania psychologiczne. Taka blizna – jaki to straszny cios dla godności osobistej. Potworne.

Nella Shire obróciła się na krześle, wyciągnęła portret z ręki Roya i obejrzała go.

– No cóż... myślę, że z bliźną wygląda seksownie. Niebezpiecznie i seksownie.

Davis udał, że nie usłyszał tej uwagi.

– Rząd bardzo się teraz troszczy o godność osobistą – powiedział. – Brak poczucia godności osobistej jest źródłem zbrodni i niepokojów społecznych. Nie można obrabować banku ani udusić staruszki bez przekonania, że jest się mętem społecznym.

– Czyżby? – zaprotestowała Nella Shire, zwracając Royowi portret. – Znam tysiące bałwanów, którym się wydaje, że są najlepszymi twórcami pracy Pana Boga.

Davis polecił stanowczo:

– Dołącz do listy badania psychologiczne.

Nella dopisała ten szczegół.

– Coś jeszcze?

– To wszystko – odparł Roy. – Jak długo to potrwa?

Shire przeczytała listę na monitorze.

– Trudno powiedzieć. Nie więcej niż osiem, dziesięć godzin. Może mniej. Może znacznie mniej. Godzinę lub dwie. Dotrę do jego nazwiska, adresu, numeru telefonu i będę mogła ci powiedzieć, w której nogawce nosi swoje klejnoty.

David Davis, ciągle ściskając w garści zmięte fotografie kulturystów, zatroskany o swoją karierę menedżerską, poczuł się urażony jej komentarzem.

Roy był sceptyczny.

– Naprawdę? Tylko godzinę lub dwie?

– Dlaczego miałabym robić cię w konia? – spytała zirytowana.

– Zatem będę w pobliżu. Bardzo potrzebujemy tego faceta.

– Jest już prawie wasz – obiecała, zabierając się do pracy.

O trzeciej zjedli na werandzie spóźniony lunch. W żółknącym świetle chylącego się ku zachodowi słońca długie cienie eukaliptusów wspinały się po zboczu kanionu. Spencer, siedząc na bujanym krześle, zjadł kanapkę z serem i szynką i wypił butelkę piwa. Rocky wypił miskę wody, a potem rozwinął cały swój mistrzowski kunszt dramatyczny – szczyrzenie zębów, smutne spojrzenia, kabotyńskie skomlenie, frenetyczne machanie ogonem – żeby dostać kawałek sandwicza.

– Laurence Olivier jest nikim w porównaniu z tobą – wyraził swoją opinię Spencer.

Po zjedzeniu kanapki Rocky zszedł z werandy i podreptał przez podwórze w stronę najbliższych zarośli, szukając odosobnienia w celu spełnienia swojej potrzeby.

– Zaczekaj – zawołał Spencer. Pies zatrzymał się i popatrzył na niego. – Wrócisz z futrem pełnym rzepów i potem przez godzinę będę musiał je wyczesać. Nie mam na to czasu.

Wstał z krzesła, odwrócił się plecami do psa i patrzył na ścianę chaty, dopijając ostatni łyk piwa.

Kiedy Rocky wrócił, weszli do środka.

Pies ułożył się na kanapie, przygotowując się do drzemki. Spencer usiadł przed komputerem i rozpoczął poszukiwanie Valerie Keene. Z bungalowu w Santa Monica mogła pojechać do każdego miejsca na kuli ziemskiej, a on mógł rozpocząć poszukiwania zarówno od Borneo, jak od sąsiedniej Ventura. Dlatego jedynym wyjściem było cofnąć się da przeszłości.

Miał tylko jeden punkt zaczepienia: Vegas. Karty. Pamiętał, co powiedziała Rosie: „Potrafi zrobić taką sztuczkę, żeby przelatywały w powietrzu z jednej ręki do drugiej”.

Jej znajomość Vegas i umiejętność operowania kartami mogą oznaczać, że mieszkała tam i zarabiała jako krupier.

Zaczął jak zwykle od włamania się do głównego komputera LAPD. Za jego pośrednictwem wszedł do międzystanowej policyjnej sieci informatycznej, której często uprzednio używał, a następnie do komputera Biura Szeryfa Okręgowego w Nevadzie, któremu podlegało Las Vegas.

Chrapiący na kanapie pies przebierał nogami, jakby gonił we śnie króliki. W przypadku Rocky'ego prawdopodobnie sytuacja była odwrotna.

Spencer przez jakiś czas przeglądał zawartość komputera, aż znalazł wejście do teczek personelu. Wśród nich natrafił na plik oznaczony NEVADA – KODY. Był pewien, że właśnie tego szukał. Musiał się do niego włamać.

Plik miał specjalne zabezpieczenie. Żeby się do niego dostać, trzeba było znać numer kodowy. Nie do wiary, że w wielu wydziałach policyjnych był to albo numer odznaki policjanta, albo – w przypadku pracownika biura – numer jego legitymacji służbowej. Wszystkie te numery można było wyciągnąć z teczek personelu, które nie były zabezpieczone. Spencer zebrał już wcześniej kilka numerów odznak, na wypadek gdyby ich potrzebował. Teraz użył jednego z nich i plik NEVADA – KODY od razu stanął przed nim otworem.

Plik zawierał listę kodów numerycznych, za których pomocą mógł wejść do zbiorów danych komputerowych wszystkich organizacji rządowych w stanie Nevada. W mgnieniu oka dostał się do komputera Komisji Gier Stanu Nevada, mieszczącej się w Carson City, stolicy stanu.

Komisja wydawała licencje wszystkim kasynom w całym stanie i kontrolowała przestrzeganie obowiązujących ich praw i przepisów. Każdy, kto chciał zainwestować w gry hazardowe lub pracować jako menedżer, był obowiązany ujawnić swoją przeszłość. Chodziło o wykluczenie osób powiązanych ze światem przestępczym. W latach siedemdziesiątych energiczna komisja wymiotła większość gangsterów i przywódców mafii, założycieli tego największego przemysłu Nevady, którzy musieli ustąpić miejsca wielkim kompaniom, takim jak Metro-Goldwyn-Mayer i Hilton Hotels.

Rozumując logicznie, można było się spodziewać, że inni pracownicy kasyna, poniżej szczebla zarządzania – od kierowników sal do roznoszących koktajle kelnerek – musieli poddać się podobnemu, choć nie tak szczegółowemu sprawdzeniu i otrzymywali legitymacje identyfikacyjne. Spencer przeglądał skorowidze i katalogi i po dwudziestu minutach znalazł to, czego szukał.

Dane odnoszące się do pozwoleń na pracę osób zatrudnionych w kasynach podzielone były na trzy podstawowe rejestry: WYGASŁE, BIEŻĄCE, W TOKU POSTĘPOWANIA. Ponieważ Valerie pracowała w „Czerwonych Drzwiach” w Santa Monica od dwóch miesięcy, Spencer przystąpił najpierw do sprawdzania rejestru WYGASŁE.

W swoich penetracjach przestrzeni cybernetycznej widział niewiele akt o takiej ilości referencji jak tu – przy tym te inne dotyczyły osób związanych z bezpieczeństwem narodowym. Zastosowany tu system pozwalał na znalezienie osoby z kategorii WYGASŁE za pomocą aż dwudziestu dwóch parametrów, od koloru oczu zaczynając, a kończąc na ostatnim miejscu zatrudnienia.

Wystukał na klawiaturze: VALERIE ANN KEENE. W ciągu paru sekund system odpowiedział: NIEZNANA. Przeszedł do rejestru BIEŻĄCE i znów napisał jej nazwisko. NIEZNANA.

Sprawdził jeszcze rejestr W TOKU POSTĘPOWANIA, znów z tym samym rezultatem. Valerie Ann Keene była osobą nieznaną Komisji Gier Stanu Nevada.

Przez chwilę patrzył na ekran w przygnębieniu, ponieważ jego jedyny trop okazał się ślepym zaułkiem. Wreszcie przyszło mu do głowy, że przecież ścigana kobieta z pewnością nie używała tego samego nazwiska w miejscach, do których się przenosiła, gdyż nie mogła pozwolić, żeby ją w tak prosty sposób odnaleziono. Jeśli Valerie mieszkała i pracowała w Vegas, to prawie na pewno posługiwała się

innym nazwiskiem.

Trzeba było dobrze pomyśleć, jak odszukać je w rejestrach.

W oczekiwaniu aż Nella Shire odnajdzie człowieka z blizną, Roy stanął w obliczu przerażającej perspektywy wielogodzinnej konwersacji towarzyskiej z Davidem Davisem. Wolalby raczej zjeść bułkę z cyjankiem i popić ją wielką szklanką mrożonego fenolu, niż spędzić jeszcze trochę czasu w towarzystwie tego eksperta od odcisków palców.

Wymawiając się bezsennością – podczas gdy w rzeczywistości spał jak suseł, dzięki bezcennej przysłudze sprawionej Penelope Bettonfield i jej mężowi – Roy wzruszył Davisa, który zaoferował mu swój gabinet.

– Stanowczo nalegam, nie chcę słyszeć żadnych wymówek, żadnych! – powiedział Davis, wymachując rękami i kołyszając głową. – Skorzystaj z kanapy. Możesz się wyciągnąć, nie będziesz mi przeszkadzał. Mam przed sobą mnóstwo laboratoryjnej roboty. Nie będę dziś siedział przy biurku.

Roy nie spodziewał się, że zaśnie. Miał nadzieję, że poleży na plecach w chłodnym mroku gabinetu, oddzielony od kalifornijskiego słońca szczelnie zamkniętymi żaluzjami. Będzie patrzył w sufit, rozmyślał nad związkami własnej duszy z tajemniczą siłą kosmosu i zastanawiał się nad sensem bytu. Dążył do osiągania z każdym dniem coraz głębszej samoświadomości. Był dociekliwy, więc poszukiwanie objawienia było dla niego bezustannie ekscytujące. Mimo wszystko zasnął.

Śnił mu się idealny świat. Nie istniała zachłanność ani zawiść, ani rozpacz, ponieważ wszyscy byli dokładnie tacy sami. Była tylko jedna płęć, a istoty ludzkie rozmnażały się drogą dyskretnej partenogenezy w zaciszu własnych łazienek – i to niezbyt często. Jedynym kolorem skóry był jasnoniebieski, lekko fosforyzujący. Każdy był na swój hermafrodytyczny sposób piękny. Nikt nie był tępy, ale też nikt nie był zbyt bystry. Wszyscy nosili takie same ubrania i mieszkali w jednakowo wyglądających domach. W piątkowe wieczory odbywała się ogólnoplanetarna, wspólna gra w bingo, w której wszyscy wygrywali, a w soboty...

Potrząsnął nim Wertz. Roy przebudził się sparaliżowany strachem, gdyż sen pomylił mu się z rzeczywistością. Patrząc na bladą jak u ślimaka i okrągłą jak księżyc w pełni twarz asystenta Davisa, oświetloną lampą, Roy był pewien, że zarówno on sam, jak i wszyscy inni na świecie wyglądają dokładnie tak jak Wertz. Próbował krzyczeć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Wertz powiedział coś, co go błyskawicznie otrzeźwiło:

– Pani Shire znalazła go. Człowieka z blizną. Znalazła go.

Ziewając i krzywiąc się z powodu kwaśnego smaku w ustach, Roy poszedł za Wertzem do działu analizy danych. Oboje, David Davis i Nella Shire, stali przy jej stanowisku pracy, każde z nich trzymało plik papierów. Jasne światło raziło Roya, mrużył oczy, czując ogólny dyskomfort, ale natychmiast obudziło się w nim zainteresowanie, kiedy Davis zaczął mu pokazywać, strona po stronie, wydruki, które oboje z Nellą z zapalem komentowali.

– Nazywa się Spencer Grant – oznajmił Davis. – Nie ma drugiego imienia. W wieku osiemnastu lat, po ukończeniu średniej szkoły, wstąpił do wojska.

– Wysoki iloraz inteligencji i równie wysokie aspiracje – zauważyła Nella Shire. – Złożył podanie o przydział do komandosów.

– Odszedł z armii po sześciu latach – powiedział Davis, podając Royowi następny wydruk. – Za zaoszczędzone pobory studiował na uniwersytecie.

Przeglądając najświeższą stronę, Roy zauważył:

– Specjalizował się w kryminologii.

– Jako drugą specjalizację wybrał psychologię kryminalną – dodał Davis. – Studiował bez przerw wakacyjnych, uczył się bardzo intensywnie i uzyskał dyplom w ciągu trzech lat.

– Młody człowiek nie mający czasu – wtrącił Wertz, po to tylko, żeby przypomnieć im, iż on także jest częścią zespołu.

Kiedy Davis wręczał Royowi następną kartkę, Nella Shire powiedziała:

– Potem złożył podanie o przyjęcie do Akademii Policyjną w Los Angeles. Ukończył ją z pierwszą lokatą.

– Któregoś dnia, po niespełna roku służby – uzupełnił Davis – zauważył próbę kradzieży samochodu. Dwaj uzbrojeni mężczyźni zobaczyli go, gdy nadchodził, i próbowali wziąć kobietę jako zakładniczkę.

– Zastrzelił obu – dodała Shire. – Kobieta nie została nawet draśnięta.

– Czy Grant został ukrzyżowany?

– Nie. Wszyscy uznali, że zabójstwo było usprawiedliwione.

Czytając następną kartkę, wręczoną mu przez Davisa, Roy zauważył:

– Po tym wypadku został zdjęty ze służby ulicznej.

– Grant miał doświadczenie i wysokie uzdolnienia w dziedzinie informatyki – powiedział Davis – więc przenieśli go do wydziału zwalczania przestępstw komputerowych.

Roy zmarszczył się.

– Dlaczego? Doznał urazu po tych zabójstwach?

– Niektórzy z nich nie potrafią się z tym pogodzić – stwierdził ze znajomością rzeczy Wertz. – Nie są z odpowiedniej gliny, nie mają do tego nerwu... po prostu się rozklejają.

– Z obowiązkowych w takim wypadku badań wynika – wtrąciła Nella Shire – że nie miał urazu. Zniósł to bez uszczerbku na psychice. Poprosił o przeniesienie, ale nie z powodu urazu.

– To było zanegowanie prawdy – zauważył Wertz. – Będąc urodzonym macho, wstydził się własnej słabości.

– Abstrahując od powodu – powiedział Davis – poprosił o przeniesienie. Potem, dziesięć miesięcy temu, po przepracowaniu dwudziestu jeden miesięcy w wydziale zwalczania przestępstw komputerowych, zrezygnował z pracy w policji.

– Gdzie teraz pracuje? – spytał Roy.

– Tego nie wiemy, ale wiemy, gdzie mieszka – odparł Davis, wymachując triumfalnie następną kartką.

Czytając adres, Roy zapytał:

– Jesteście pewni, że to ten, którego szukamy?

Shire przejrzała swój plik kartek. Wyjęła z niego wyrazistą kopię odcisków palców, wyciągniętą z rejestrów personelu Departamentu Policji Los Angeles, podczas gdy Davis odszukał fotografię odcisków zdjętych z okna łazienki.

– Jeśli wiesz, jak porównuje się odciski, to przyznasz rację komputerowi, który stwierdza, że pasują do siebie idealnie. Idealnie. To jest nasz facet. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. – Podając Royowi jeszcze jeden wydruk, Nella Shire dodała: – To są jego zdjęcia z kartoteki policyjnej.

Oba zdjęcia Granta: en face i z profilu, były bardzo podobne do komputerowego portretu, który dała Royowi Melissa Wicklun w dziale analizy fotografii.

– Czy to są jego ostatnie zdjęcia? – spytał Roy.

– Spośród tych, którymi dysponuje policja – odparła Shire.

– Czy zostały zrobione po tamtej strzelaninie?

– Strzelanina wydarzyła się ponad dwa lata temu. Tak. Jestem pewna, że są późniejsze. Dlaczego o to pytasz?

– Ta rana wygląda na całkowicie zaleczoną – zauważył Roy.

– Och, on nie odniósł jej podczas tamtej strzelaniny... nie, nie wówczas – wyjaśnił Davis. – Ma ją od dawna, od bardzo dawna. Miał ją już wtedy, kiedy wstępował do wojska. To jest rana z dzieciństwa.

Roy podniósł głowę znad zdjęcia.

– Co to za rana?

Davis wzruszył swoimi kanciastymi ramionami.

– Nie wiemy. W jego teczce nie ma nic na ten temat. Wymienia się ją jako najbardziej charakterystyczny znak rozpoznawczy. „Zabliźniona rana od prawego ucha do nasady podbródka, pochodząca z dzieciństwa”. To wszystko.

– Wygląda jak Igor – parsknął śmiechem Wertz.

– Jest seksowny – zaprotestowała Nella Shire.

– Igor – upierał się Wertz.

Roy odwrócił się w jego stronę.

– Jaki Igor?

– Igor... pamięta pan stare filmy o Frankensteinie – bliski towarzysz doktora Frankensteina. Ten potworny, stary garbus z wykrzywioną szyją.

– Ten rodzaj rozrywki mnie nie interesuje – powiedział Roy. – Gloryfikuje przemoc i kalectwo. To jest chore.

Oglądając zdjęcie, Roy zastanawiał się, ile lat mógł mieć Spencer Grant wówczas, gdy odniósł tak ciężką ranę. Był wtedy chłopcem.

– Biedne dziecko – powiedział. – Biedne dziecko – powtórzył. – Jak wyglądało jego życie z tak uszkodzoną twarzą. Jakie ma obciążenia psychiczne?

– Sądziłem, że to bandyta zamieszany w terroryzm – powiedział Wertz.

– Nawet bandyci – odparł cierpliwie Roy – zasługują na współczucie. Ten człowiek cierpiał. Widać to. Muszę go znaleźć, owszem, i upewnić się, że nie zagraża społeczeństwu – ale zawsze zasługuje na traktowanie go ze współczuciem i z miłosierdziem.

Davis i Wertz patrzyli na niego z niedowierzaniem. Natomiast Nella Shire powiedziała:

– Pan jest dobrym człowiekiem, Roy.

Roy wzruszył ramionami.

– Naprawdę – dodała. – Czuję się lepiej, wiedząc, że w służbie kontroli prawa są tacy ludzie.

Roy zaczerwienił się.

– Dziękuję, bardzo miło to słyszeć, ale nie ma we mnie nic wyjątkowego.

Ponieważ Nella z całą pewnością nie była lesbijką, Roy żałował, że – mimo iż była o piętnaście lat starsza od niego – nie miała choć jednej cechy równie pociągającej, jak usta Melissy Wicklun. Jej włosy były zbyt poskręcane i pomarańczowe. Oczy miały nazbyt zimny niebieski kolor, nos i podbródek były spiczaste, a wargi wąskie. Ciało miała proporcjonalne, ale nie było ono pod żadnym względem szczególne.

– A więc – westchnął Roy – złożę teraz wizytę panu Grantowi i zapytam go, co porabiał ostatniej nocy w Santa Monica.

Spencer siedział w swojej chacie w Malibu przy komputerze, penetrując kartoteki Komisji Gier Stanu Nevada w Carson City. Przeszukiwał rejestr aktualnych pozwoleń na pracę dla pracowników kasyn,

prosząc komputer o listę nazwisk krupierów płci żeńskiej w wieku od dwudziestu ośmiu do trzydziestu lat, wzrostu pięciu stóp i cztery cale, wagi od stu dziesięciu do stu dwudziestu funtów, o brązowych włosach i brązowych oczach. Tyle parametrów wystarczyło, żeby zawęzić listę kandydatek do czternastu nazwisk. Kazał komputerowi wydrukować listę według kolejności alfabetycznej.

Zaczął od pierwszej pozycji listy i przywołał akta Janet Francine Arbonhall. Pierwsza strona elektronicznego dossier zawierała charakterystykę jej podstawowych cech fizycznych, datę otrzymania pozwolenia i fotografię en face. Nie była podobna do Valerie, więc Spencer zrezygnował z przeglądania jej akt.

Przywołał następną teczkę: Theresa Elisabeth Dunbury. Nie ona.

Bianca Marie Hagerro. Także nie ona.

Corrine Serise Huddleston. Nie.

Laura Linsey Langston. Nie.

Rachael Sarah Marks. Żadnego podobieństwa do Valerie.

Jacqueline Ethel Mung. Zostało jeszcze siedem.

Hannah May Rainey.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie Valerie Ann Keene w innym uczesaniu, niż nosiła w „Czerwonych Drzwiach”, pięknej, lecz bez uśmiechu.

Spencer zażądał wydruku wszystkich akt Hannah May Rainey. Było tego tylko trzy strony. Przeczytał je od deski do deski, w towarzystwie patrzącej na niego z ekranu Valerie.

Pracowała przez cztery miesiące ubiegłego roku pod nazwiskiem Rainey jako krupier w kasynie hotelu Mirage w Las Vegas. Odeszła dwudziestego szóstego listopada, niecałe dwa i pół miesiąca temu, i zgodnie z raportem menedżera kasyna, złożonym komisji, opuściła pracę nagle, bez uprzedzenia.

Dwudziestego szóstego listopada musieli znaleźć się na jej tropie, a ona im umknęła, tak samo jak wysliznęła im się w Santa Monica.

W podziemnym garażu budynku organizacji, w śródmieściu Los Angeles, Roy Miro przeprowadzał końcową naradę z trzema agentami, którzy mieli mu towarzyszyć w wyprawie do domu Spencera Granta, żeby go zaaresztować. Ponieważ organizacja nie istniała oficjalnie, słowo „zaaresztować” oznaczało coś innego; odpowiedniejszym określeniem było „uprowadzić”.

Roy nie dręczył się z powodu nazewnictwa. Moralność jest względna, poza tym nic dokonanego w służbie właściwym ideom nie może być przestępstwem.

Wszyscy mieli legitymacje DEA, więc Grant powinien być przekonany, że zabierają go do aresztu państwowego celem przesłuchania i że po znalezieniu się tam będzie mógł wezwać adwokata. W rzeczywistości zaś prędzej będzie mógł zobaczyć Boga wszechmogącego, przybywającego na złotym, latającym tronie, niż kogokolwiek z tytułem prawnika.

Mieli wypytać go – używając dowolnych metod wyciągania zeznań – o jego związki z tą kobietą i o jej obecny adres. Kiedy już osiągną to, czego potrzebują, albo będą pewni, że wydusili z niego wszystko, co o niej wie – zlikwidują go.

Roy zrobi to osobiście, uwalniając biednego, napiętnowanego nieboraka od nędzy tego upodlonego świata.

Pierwszy z trzech agentów, Cal Dormon, nosił białe spodnie i białą koszulę z przyszytym na piersi znakiem firmowym pizzerii. Prowadził małą furgonetkę z tym samym znakiem firmowym namalowanym na macie magnetycznej, która była jedną z wielu mat, ozdobionych różnymi znakami firmowymi, pozwalającymi na szybkie zmiany charakteru pojazdu, stosownie do wymagań poszczególnych operacji.

Alfonse Johnson nosił robocze buty, spodnie koloru khaki i drelichową kurtkę. Mike Vecchio był ubrany w sweter i adidas.

Tylko Roy miał na sobie garnitur. Ponieważ przespał się w nim na kanapie u Davisa, przestał wyglądać jak schludny agent federalny.

– Tym razem ma być inaczej niż wczorajszej nocy – powiedział Roy. Wszyscy brali udział w nocnej operacji w Santa Monica. – Musimy porozmawiać z tym facetem.

Poprzedniej nocy mieli za zadanie zlikwidować kobietę. Na wypadek gdyby pojawił się ktoś z miejscowej policji, miano włożyć jej do ręki pistolet o takiej sile rażenia, że pocisk z niego, przebijający ciało, wyrwał u wylotu dziurę wielkości męskiej pięści – broń w najoczywistszy sposób przeznaczoną tylko do zabijania. Wersja oficjalna miała głosić, że agent zastrzelił ją w samoobronie.

– Nie możemy pozwolić, żeby się nam wyślizgnął – ciągnął Roy – Jest tak dobrze wyszkolony jak każdy z was, więc nie będzie czekał z założonymi rękami. Jeżeli nie będziecie mogli dać sobie z nim rady i zaistnieje prawdopodobieństwo, że ucieknie – strzelajcie w nogi. Rozwalcie mu je porządnie, jeżeli sytuacja będzie tego wymagała. Już mu nie będą potrzebne. Nie dajcie się zmylić, dobrze? I pamiętajcie, musimy z nim porozmawiać.

Spencer wyciągnął z plików Komisji Gier Stanu Nevada wszystkie interesujące go informacje i wrócił do komputera Departamentu Policji Los Angeles. Z niego przeszedł do komputera Departamentu Policji Santa Monica i sprawdził listę zajęć, które miały miejsce w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie zanotowano żadnego incydentu ani pod hasłem Valerie Ann Keene, ani pod adresem wynajmowanego przez nią bungalowu.

Porzucił listę zajęć i przeszedł do raportu na temat alarmów telefonicznych ubiegłej nocy, ponieważ istniała możliwość, że policjanci komisariatu zanotowali jakiś telefon związany z awanturą w bungalowie, ale nie zakwalifikowali go do listy incydentów. W raporcie znalazł to, czego szukał.

Zakończenie notatki dyżurnego policjanta: OP BKATBP, JUR FED wskazywało przyczynę, dla której nie wciągnięto informacji na listę incydentów. Znaczyło to: odbywa się operacja Biura Kontroli Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej pod jurysdykcją federalną.

Lokalna policja została z tego wyłączona.

Rocky zerwał się ze snu z przeraźliwym skowytem, spadł z kanapy na podłogę, podniósł się i zaczął gonić własny ogon, a potem rozglądał się w prawo i w lewo w poszukiwaniu zagrożenia, które wyrwało go ze snu.

– To tylko senny koszmar – zapewnił go Spencer.

Rocky popatrzył na niego z powątpiewaniem i zaskomlił.

– Co ci się tym razem przyśniło – jakiś ogromny prehistoryczny kot?

Kundel pobiegł w stronę okna i skoczył przednimi łapami na parapet. Patrzył na alejkę dojazdową i na las.

Krótki, lutowy dzień kończył się pełnym kolorów zmierzchem. Srebrzyste spody owalnych liści eukaliptusów odbijały złote światło sączące się przez prześwity w listowiu; poruszane lekkim wiatrem migotały jak ozdoby choinkowe podczas świąt Bożego Narodzenia.

Rocky znów trwożliwie zaskomlił.

– Może kot-pterodaktyl? – domyślał się Spencer. – Ogromne skrzydła, wielkie kły i mruczenie tak głośne, że kruszyło głazy?

Wcale nie ubawiony tym pies porzucił okno i pognął do kuchni. Zawsze tak się zachowywał, kiedy nagle budził się ze złego snu. Chodził od okna do okna, całkowicie przekonany, że jego wróg z krainy

snów istnieje w świecie realnym i jest dla niego równie niebezpieczny.

Spencer spojrział ponownie na ekran komputera. OP BKATBP, JUR FED.

Coś tu nie grało.

Jeśli oddział SWAT, który zaatakował ubiegłej nocy bungalow, składał się z agentów Biura Kontroli Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej, to dlaczego ludzie, którzy pojawili się w domu Louisa Lee w Bel Air, mieli legitymacje FBI? Wydziałem zarządzał minister finansów, podczas gdy biuro pozostawało do wyłącznej dyspozycji prokuratora generalnego – mimo że zastanawiano się nad poczynieniem zmian w tej strukturze. Jak dotąd, obie organizacje przeprowadzały czasem razem operacje, jeśli łączył je wspólny interes; jednakże ze względu na bezustanną międzyagencyjną rywalizację i wzajemne podejrzania, Louisa Lee lub jakąkolwiek osobę mogącą naprowadzić na trop uciekinierki przepytывaliby przedstawiciele obydwu.

Mrucząc do siebie, jakby był Białym Królikiem, spóźniającym się na herbatę u Kapelusznika, Rocky wybiegł z kuchni i wpadł przez otwarte drzwi do sypialni.

OP BKATBP, JUR FED. Coś było nie w porządku...

FBI było znacznie potężniejszą organizacją od BKATBP i jeśli chciało mieć wpływ na przebieg operacji, nigdy nie zgodziłoby się na jurysdykcję będącą całkowicie w rękach tej drugiej. Kongres opracowywał nawet – na prośbę Białego Domu – projekt ustawy wcielającej BKATBP do FBI. Notatka policjanta powinna była brzmieć: OP FBI/BKATBP.

Rozmyślając nad tym wszystkim, Spencer skończył penetrowanie komputera Departamentu Policji Santa Monica i wrócił do komputera Departamentu Policji Los Angeles. Chwilę tam pozostał, nie mogąc się zdecydować, czy skończyć poszukiwania, a potem cofnął się do komputera wydziału zwalczania przestępstw komputerowych, starannie zacierając po drodze wszelkie ślady swojej penetracji.

Rocky pędem wyleciał z sypialni, minął Spencera i jeszcze raz wspiął się przednimi łapami na parapet saloniku.

Spencer skończył pracę i wyłączył komputer. Wstał od biurka i podszedł do okna, stając obok Rocky'ego.

Pies przylepiał nos do szyby. Jedno ucho miał podniesione, drugie opuszczone.

– Co ci się śni? – ciekawił się Spencer.

Rocky cicho zapiszczał, wpatrując się w ciemnopurpurowe cienie i migotliwe, złote refleksy zachodzącego słońca wśród liści eukaliptusów.

– Urojone potwory, niestworzone rzeczy? – spytał Spencer. – Czy po prostu... przeszłość?

Pies drżał.

Spencer położył mu rękę na karku.

Pies spojrział krótko na niego i natychmiast wrócił do obserwowania eukaliptusów... pewnie dlatego, że ciemność powoli zaczynała brać górę nad zmierzchem. Rocky zawsze bał się ciemności.

Rozdział 8

Światło dnia o zmierzchu zmieniło się na zachodnim niebie w świetlistą, czerwoną pianę. Purpurowe słońce odbijało się w każdej, najdrobniejszej cząsteczce pary wodnej i smogu. Wydawało się, że miasto jest przykryte cienką warstwą krwi.

Cal Dormon wyjął z wnętrza furgonetki duże pudełko z pizzą i poszedł w stronę domu.

Roy Miro znajdował się po drugiej stronie ulicy, przyjechawszy z przeciwnej strony. Wsiadł z samochodu i cicho zamknął drzwiczki. Johnson i Vecchio mieli zająć przez sąsiednie posesje na tyły domu.

Dormon był już w połowie drogi. W pudełku nie było pizzy, tylko pistolet marki Desert Eagle 0.44 Magnum, zaopatrzony w niezwykle skuteczny tłumik. Strój Dormona i rekwizyt miały służyć wyłącznie rozproszeniu podejrzeń Spencera Granta w przypadku, gdyby wyglądał przez okno, w chwili gdy Dormon podchodził do domu.

Roy stanął przy furgonetce.

Dormon był już na frontowej werandzie.

Roy podniósł rękę i przykrył nią usta, jakby chciał stłumić kasznięcie. Do mankietu koszuli miał przypięty mikrofon z nadajnikiem.

– Policzcie do pięciu i ruszajcie – wyszeptał do ludzi na tyłach domu.

Stojący przy frontowych drzwiach Dormon nie cackał się z dzwonieniem czy pukaniem. Nacisnął klamkę, ale drzwi musiały być zamknięte na zamek, ponieważ otworzył pudełko po pizzy, wyciągając z niego ciężki izraelski pistolet i rzucając je na ziemię.

Roy wystartował w stronę domu, nie udając już spacerowego kroku.

Mimo efektywnego tłumika 0.44 magnum wydawał przy każdym strzale donośny, głuchy odgłos. Nie przypominał strzału z pistoletu, ale był wystarczająco głośny, żeby zwrócić uwagę ewentualnych przechodniów. Pistolet służył przede wszystkim do rozbijania zamków. Trzy pociski roztrzaskały doszczętnie framugę i płytkę zamka. Nawet gdyby zasuwka została nietknięta, wycięcie, w którym się lokowała, już nie istniało: stanowiło teraz najeżoną drzazgami wyrwę.

Dormon wszedł do środka, tuż za nim Roy. Z niebieskiego winylowego fotela podniósł się facet bez butów w spłowiałych dżinsach i podkoszulku, trzymający w ręce puszkę piwa. Przerażony i zaskoczony, wybąkał „Jezu Chryste”, ponieważ kawałki drewna i mosiądzu przed sekundą spadły wokół niego na dywan. Nokautującym uderzeniem Dormon posłał go z powrotem na fotel. Puszka z piwem potoczyła się po dywanie, tryskając fontanną piany.

To nie był Spencer Grant.

Trzymając oburącz beretę z tłumikiem, Roy szybko przeszedł living-room i wszedł przez łukowate przejście do jadalni, a stamtąd do kuchni.

Na podłodze, twarzą ku ziemi, leżała blondynka w wieku około trzydziestu lat. Lewą rękę wyciągała w stronę kuchennego noża, który został jej wytrącony z dłoni i spoczywał teraz, cal lub dwa, poza jej zasięgiem. Nie mogła przysunąć się bliżej w jego stronę, gdyż Vecchio przyciskał ją w pasie kolanem, przystawiając równocześnie lufę pistoletu do jej szyi, tuż obok lewego ucha.

– Ty draniu, ty draniu, ty draniu – zawodziła kobieta. Słowa były przytłumione i niewyraźne, ponieważ twarz miała przyciśniętą do linoleum, a poza tym nie mogła nabrać oddechu ze względu na przyciskające jej plecy kolano Vecchia.

– Spokojnie, proszę pani, spokojnie – powiedział Vecchio. – Bądź cicho, do cholery!

Alfonse Johnson stał o krok od tylnych drzwi, które widocznie były otwarte, skoro nie musieli ich wyłamywać. Johnson pilnował jedynej pozostałej osoby w kuchni – małej, może pięcioletniej dziewczynki, która stała w kącie, przyciskając plecy do ściany, blada, z rozszerzonymi oczami, na razie jeszcze zbyt przestraszona, żeby płakać.

W powietrzu rozchodził się zapach gorącego sosu pomidorowego i cebuli. Na deseczce leżały pokrojone plasterki zielonej papryki. Kobieta gotowała obiad.

– Chodź ze mną – zwrócił się Roy do Johnsona.

Przeszukali szybko resztę domu. Moment zaskoczenia minął, ale szybkość działania mogła jeszcze przynieść owoce. Szafa w holu. Łazienka. Sypialnia dziewczynki: lalki i misie, drzwi do szafy otwarte, wewnątrz nikogo. Jeszcze jeden mały pokój: maszyna do szycia, na pół gotowa sukienka na krawieckim manekinie, szafa zbyt pełna, żeby ktoś mógł się w niej schować. Potem sypialnia, dwie szafy, łazienka. Nie było nikogo.

Johnson powiedział:

– Jeśli to nie on leży tam w kuchni w blond peruce, to...

Roy wrócił do living-roomu, gdzie facet siedzący w fotelu przechylał się do tyłu, ile tylko mógł, spoglądając w otwór lufy, podczas gdy Dormon wrzeszczał mu prosto w twarz, opryskując go śliną.

– Ostatni raz. Słyszysz, dupku? Pytam po raz ostatni – gdzie on jest?

– Już panu mówiłem – odparł facet. – Na Boga, nie ma nikogo poza nami.

– Gdzie jest Grant? – nalegał Dormon.

Mężczyzna trząsł się, jak gdyby fotel miał wbudowaną aparaturę do masażu wibracyjnego.

– Nie znam go, przysięgam, nigdy o nim nie słyszałem. Czy teraz zechce pan... może pan łaskawie skierować to działo w inną stronę?

Roya dręczył fakt, że tak często trzeba było pozbawiać ludzi ich godności osobistej po to, żeby zgadzali się współpracować. Zostawił Johnsona z Dormonem, a sam wrócił do kuchni.

Kobieta nadal leżała rozciągnięta na podłodze, przygnieciona kolanem Vecchia, ale nie próbowała już sięgać po nóż. Przestała też nazywać go draniem. Wściekłość ustąpiła miejsca strachowi; błagała go teraz, żeby nie skrzywdził jej córeczki.

Dziewczynka tkwiła w kącie, ssąc palec. Łzy spływały jej po policzkach, ale zachowywała milczenie.

Roy podniósł nóż kuchenny i położył go na kontuarze, poza zasięgiem kobiety.

Spojrzała na niego.

– Niech pan nie skrzywdzi mojego dziecka – poprosiła.

– Nie mamy zamiaru nikogo skrzywdzić – odparł Roy. Podszedł do dziewczynki, przykucnął obok i zapytał tak łagodnie, jak tylko potrafił:

– Boisz się, kochanie?

Przeniosła wzrok z matki na Roya.

– Na pewno się boisz, prawda?

Skinęła potwierdzająco głową, ssąc zapamiętałe kciuk.

– Nie bój się mnie. Nie skrzywdziłbym nawet muchy. Nawet gdyby latała mi koło twarzy i bzyczała, i wślizgała się do ucha, i zjeżdżała w dół po nosie.

Dziecko patrzyło na niego poważnie, przez łzy.

– Kiedy siada na mnie komar i chce mnie ukąsić... czy ja go zabijam? Niiieeeee. Wykładam dla niego maleńką serwetkę, maleńki nóż i widelec i mówię: Nikt na tym świecie nie może być głodny. Zajadaj mnie, panie Komarze.

Dziewczynka przestała płakać.

– Pamiętam, jak pewnego razu – ciągnął Roy – pewien słoń jechał rowerem do supermarketu, żeby kupić orzeszków. Spieszył się tak bardzo, że zepchnął z drogi mój samochód. Większość ludzi weszłaby za nim do sklepu i walnęła go pięścią w najczulszy koniec trąby. Czy ja tak zrobiłem? Nieeeee. Kiedy słoń nie ma orzeszków, powiedziałem sobie, nie może być odpowiedzialny za swoje czyny. Muszę się jednak przyznać, że pojechałem za nim i wypuściłem mu powietrze z opon. Ale to nie było z zemsty. Chciałem tylko zatrzymać go z dala od drogi, póki nie zje trochę orzeszków i nie się uspokoi.

Była takim ładnym dzieckiem. Chciał zobaczyć, jak się śmieje.

– Czy nadal myślisz, że mógłbym kogoś skrzywdzić?

Dziewczynka potrząsnęła przecząco głową.

– To podaj mi rączkę, kochanie – poprosił.

Pozwoliła wziąć się za rączkę – nie za tę, której palec ssła – i poprowadzić przez kuchnię.

Vecchio puścił jej matkę. Kobieta podniosła się na kolana i płacząc, wzięła dziecko w ramiona.

Roy puścił rączkę dziewczynki i przykucnął znowu, wzruszony łzami jej matki.

– Bardzo mi przykro – powiedział – brzydzę się takimi metodami. Naprawdę. Myśleliśmy, że w tym domu mieszka niebezpieczny człowiek, więc nie mogliśmy po prostu zapukać i poprosić go, żeby z nami poszedł na drinka. Rozumie pani?

Dolna warga kobiety drżała.

– Ja... ja nie wiem. Kim jesteście, czego od nas chcecie?

– Jak pani ma na imię?

– Mary. Mary Z-Zelinsky.

– A jak ma na imię pani mąż?

– Peter.

Mary Zelinsky miała uroczy nos. Był idealnie trójkątny, a wszystkie jego linie były proste i wyraźnie zarysowane. Delikatne nozdrza. Przegroda nosowa wydawała się zrobiona z najdoskonalszej porcelany. Nigdy jeszcze nie widział tak cudownego nosa.

Uśmiechnął się do niej.

– A więc, Mary, musimy się dowiedzieć, gdzie on jest.

– Kto? – spytała.

– Jestem pewny, że wiesz. Naturalnie, że Spencer Grant.

– Nie znam go.

Przeniósł wzrok z jej nosa na oczy i zobaczył, że mówi prawdę.

– Nigdy o nim nie słyszałam – dodała.

Zwracając się do Vecchia, Roy powiedział:

– Zamknij gaz pod tamtym sosem pomidorowym. Boję się, że się przypali.

– Przysięgam, że nigdy o nim nie słyszałam.

Roy był skłonny uwierzyć. Nawet Helena trojańska nie mogła mieć doskonalszego nosa niż Mary Zelinsky. Helena trojańska była odpowiedzialna – choć nie bezpośrednio – za śmierć tysięcy ludzi, a jeszcze wielu innych poniewierało się z jej powodu, zatem uroda nie była żadną gwarancją niewinności. Od czasów Heleny ludzie stali się mistrzami w ukrywaniu zła, więc nawet wyglądający na najbardziej szczerych niejednokrotnie okazywali się oszustami.

Roy musiał mieć całkowitą pewność, więc ostrzegł:

– Jeśli zorientuję się, że pani kłamie...

– Nie kłamię – odparła drżącym głosem Mary.

Podniósł rękę, żeby zamilkła i ciągnął dalej:

– ...wezmę tę śliczną dziewczynkę do jej pokoju, rozbiore ją...

Przeżona kobieta zacisnęła mocno powieki, jakby mogła w ten sposób nie dopuścić do własnej wyobraźni sceny, którą Roy tak dokładnie opowiadał.

– ...i tam, wśród misiów i lalek nauczę ją paru zabaw dla dorosłych.

Nozdrza kobiety rozszerzyły się ze zgrozy. Miała rzeczywiście absolutnie doskonały nos.

– Mary, popatrz mi teraz w oczy – polecił – i jeszcze raz odpowiedz na pytanie, czy znasz człowieka o nazwisku Spencer Grant?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

Byli z sobą twarzą w twarz.

Położył rękę na główce dziewczynki, pogłaskał ją po włosach i uśmiechnął się.

Mary Zelinsky z żalonym dramatyзмом objęła mocno córeczkę.

– Przysięgam na Boga, że nigdy o nim nie słyszałam. Nie znam go. Nie rozumiem, co się tutaj dzieje.

– Wierzę ci. Uspokój się, moja droga, wierzę ci. Przykro mi, że musieliśmy się uciec do takiej brutalności.

Mimo że ton jego głosu był miły i przepraszający, czuł ogarniającą go wściekłość. Jej przyczyną był Grant, który w jakiś sposób ich wykiwał – a nie kobieta ani jej córeczka, ani jej nieszczęsny mąż.

Roy starał się z całej mocy ukryć złość, mimo to kobieta musiała ją dojrzeć, gdyż odsunęła się od niego.

Vecchio, stojąc przy kuchence, w której wyłączył gaz pod sosem i pod imbrykiem z gorącą wodą, powiedział:

– On już tu nie mieszka.

– Myślę, że nigdy tu nie mieszkał – podkreślił z naciskiem Roy.

Spencer wyjął z szafy dwie walizki; przez chwilę się wahał, potem odstawił mniejszą na bok, kładąc większą na łóżku i otwierając ją. Zapakował tyle rzeczy, ile trzeba mu było na tydzień. Nie miał garnituru, białej koszuli, a nawet krawata.

W szafie wisiało pół tuzina par niebieskich dżinsów, pół tuzina par zwykłych, brązowych spodni, koszule w kolorze khaki i niebieskie, drelichowe. W najwyższej szufladzie trzymał cztery ciepłe swetry – dwa niebieskie i dwa zielone – i zapakował po jednym z nich do walizki.

Podczas gdy Spencer się pakował, Rocky chodził od pokoju do pokoju, wyglądając przez każde okno. Biedny kundel nie mógł się pozbyć sennego koszmaru.

Roy zostawił swoich ludzi, żeby pilnowali rodziny Zelinskych, a sam opuścił dom i przeszedł w poprzek ulicy do swojego samochodu.

Czerwień zmierzchu ustąpiła miejsca ciemnej purpurze. Zapaliły się lampy uliczne. Powietrze było nieruchome. Panowała cisza jak na wsi.

Mieli szczęście, że sąsiedzi Zelinskych niczego nie usłyszeli i nie wywołali alarmu.

Okna sąsiednich domów były w większości ciemne. Wiele rodzin spośród średnio zamożnej warstwy zamieszkującej tę przyjemną dzielnicę mogło utrzymać swój standard życiowy tylko wówczas, gdy oboje, mąż i żona, pracowali w pełnym wymiarze godzin. Co więcej, w aktualnej niepewnej sytuacji ekonomicznej, wobec malejących wynagrodzeń za pracę chałupniczą, wiele rodzin ledwie wiązało koniec z końcem nawet przy dwojgu pracujących. O tej porze, w szczycie ruchu drogowego, dwie trzecie domów po obu stronach ulicy było ciemne; ich właściciele tłoczyli się na jezdniach, zabierając dzieci ze

szkół i od opiekunów, na których z trudem mogli sobie pozwolić, próbując w miarę szybko dostać się do domów i mieć parę godzin wytchnienia przed kieratem następnego dnia.

Roya ogarniał czasem taki smutek z powodu ciężkiego życia przeciętnych ludzi, że chciało mu się płakać.

Teraz jednak nie mógł sobie pozwolić na poddanie się nastrojowi współczucia, w który wpadał tak łatwo. Musiał odnaleźć Spencera Granta.

Zapalił silnik i przesuwał się na siedzenie obok kierowcy, włączył przenośny komputer. Podłączył do niego telefon komórkowy.

Wywołał Mamę i polecił jej szukać numeru telefonu Spencera Granta na obszarze Los Angeles z przyległościami. Miał nadzieję wyciągnąć adres Granta z rejestrów kompanii telefonicznej, podobnie jak w przypadku Bettonfieldów.

David Davis i Nella Shire z pewnością wyszli już z pracy, więc nie mógł im naurągać. Nie popełnili w niczym błędu, ale miał ochotę obciążyć winą Davisa – a szczególnie Wertza, którego pierwszym imieniem było z pewnością Igor.

Po paru minutach Mama zameldowała, że Spencer Grant nie miał na całym obszarze Los Angeles ani jawnego, ani zastrzeżonego telefonu.

Roy nie uwierzył w to. Miał pełne zaufanie do Mamy. Była równie bezbłędna jak jego kochana, nieżyjąca już matka. To Grant był przebiegły. Cholernie przebiegły.

Roy polecił Mamie przeszukać listę rachunków telefonicznych na to samo nazwisko. Grant mógł być zarejestrowany pod pseudonimem, ale przed założeniem mu telefonu kompania telefoniczna z pewnością zażądała jego autentycznego podpisu, jako osoby mającej wiarygodne konto bankowe.

Podczas gdy Mama pracowała, Roy przyglądał się jakiemuś samochodowi, który minął go i wjechał w alejkę dojazdową o parę domów dalej.

Nad miastem zaległa noc. Na zachodnim horyzoncie nie było już ani śladu purpurowego światła zmierzchu.

Na ekranie coś błysnęło i Roy spojrzął na komputer spoczywający na jego kolanach. Mama meldowała, że nazwiska Spencer Grant nie było również na liście rachunków telefonicznych.

Najwidoczniej facet włamał się do komputera LAPD i w miejsce własnego adresu wpisał adres Zelinskych, wybrany losowo. Potem, mieszkając nadal w Los Angeles i z pewnością mając telefon, wymazał swoje nazwisko z listy abonentów Pacific Bell lub GTE – zależnie od tego, która z tych kompanii telefonicznych obsługiwała jego rejon.

Wydawało się, że Grant chciał rozpląnąć się w powietrzu.

– Kim, do diabła, on jest? – zastanawiał się głośno Roy.

Był przekonany, że na podstawie materiałów odkrytych przez Nellę Shire wie o nim sporo. Teraz doszedł do wniosku, że nie wie o nim nic istotnego. Znał tylko ogólniki – a tymczasem dziwaczność tego człowieka mogła tkwić w szczegółach.

Czego Grant szukał w bungalowie w Santa Monica? Jaki był jego związek z tą kobietą? O czym wiedział?

Znalezienie odpowiedzi na te pytania stawało się coraz pilniejsze.

Dwa inne samochody wjechały do garaży przy tej samej ulicy.

Roy czuł, że w miarę upływającego czasu maleje szansa znalezienia Granta.

Rozważał gorączkowo różne możliwości, a potem za pośrednictwem Mamy połączył się z komputerem Biura Kontroli Pojazdów Zmechanizowanych w Sacramento. W ciągu kilku sekund na

ekranie pojawiło się zdjęcie Granta, zrobione dla jego odnawianego prawa jazdy, a także jego dane osobowe wraz z adresem.

– W porządku – powiedział cicho Roy, jak gdyby mówiąc głośno, mógł spłoszyć tę odrobinę powodzenia.

Wydrukował trzy odbitki danych, uwidocznionych na ekranie, powiedział Mamie do widzenia, wyłączył komputer i wrócił do domu Zelinskych.

Mary, Peter i ich córeczka, bladzi i milczący, siedzieli w living-roomie na sofie, trzymając się za ręce. Wyglądali jak trzy duchy w niebiańskiej poczekalni, oczekujące na mający przyjść lada moment dokument z wyrokiem sądu, pewne, że zaraz zostaną odesłane do piekła.

Dormon, Johnson i Vecchio, z wyrazem obojętności na twarzach, pilnowali ich z bronią w ręku. Roy bez słowa dał im wydruki komputerowe z nowym adresem Granta.

Parę pytań wystarczyło, żeby dowiedzieć się, iż oboje, Mary i Peter, byli bez pracy, na zasiłku dla bezrobotnych. Dlatego siedzieli w domu i mieli już prawie gotowy obiad, podczas gdy większość ich sąsiadów znajdowała się jeszcze na zatłoczonych autostradach. Codziennie przeglądali rubryki ofert pracy w „Los Angeles Times”, składając setki podań o zatrudnienie, i byli już tak zrezygnowani, że gwałtowny atak Dormona, Johnsona, Vecchia i Roya nie był dla nich szokiem, tylko naturalnym elementem zbliżającej się katastrofy.

Roy był gotów okazać legitymację DEA i użyć wszelkich swoich metod zastraszenia ludzi, żeby zmusić rodzinę Zelinskych do pełnej uległości i wybić im z głowy złożenie skargi do miejscowej policji lub do rządu. Byli jednak wystarczająco zastraszeni nie tylko ogólną sytuacją ekonomiczną, skutkiem której stracili pracę, ale również niebezpieczeństwami życia w mieście, że Roy uznał, iż nie trzeba okazywać im żadnych, nawet fałszywych dowodów tożsamości.

Będą zadowoleni, że wyszli żywi z tego spotkania. Naprawią potulnie drzwi i prawdopodobnie dojdą do wniosku, że zostali sterroryzowani przez gang handlarzy narkotyków, którzy w poszukiwaniu zniechęconego konkurenta wdarli się pomyłkowo do niewłaściwego domu.

Nikt nie pisał skarg na handlarzy narkotyków. We współczesnej Ameryce byli oni podobni siłom natury. Protesty przeciw nim odnosiły ten sam skutek, co protesty przeciw huraganom, tornadom, burzom z piorunami, przy czym te drugie były znacznie bezpieczniejsze.

Przybierając władczy ton króla kokainy, Roy ostrzegł:

– Jeśli nie chcecie, żebyśmy wam odstrzelili głowy, lepiej się przez dziesięć minut nie ruszajcie. Widzę, że masz zegarek, Zelinsky. Umiesz odliczyć na nim dziesięć minut?

– Tak, proszę pana.

Mary siedziała z głową nisko opuszczoną. Nie widział jej znakomitego nosa.

– Czy mówię dostatecznie jasno? – spytał Roy jej męża, który odpowiedział skinieniem głowy. – Będziesz grzeczny?

– Nie chcemy żadnych kłopotów.

– Cieszę się.

Żenująca uległość tych ludzi dowodziła, jak dalece amerykańskie społeczeństwo zostało sterroryzowane. Roy poczuł przygnębienie.

Z drugiej strony taka uległość znacznie ułatwiała mu pracę. Wyszedł ostatni, za Dormonem, Johnsonem i Vecchiem, i odjechał również ostatni. Kilka razy oglądał się na dom, ale nie zobaczył nikogo ani w drzwiach, ani przy oknach.

O włos uniknęli katastrofy.

Roy, który szczycił się swoim opanowaniem, nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek był na kogoś równie wściekły jak teraz na Spencera Granta. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie go miał w swoich rękach.

Spencer zapakował do płóciennej torby kilka puszek pokarmu dla psa, pudełko sucharków, nową sztuczną kość, miski na wodę i jedzenie, i gumową zabawkę, wyglądającą jak cheeseburger posypany ziarnem sezamowym. Postawił torbę obok walizki, w pobliżu drzwi wyjściowych.

Pies nadal krążył od okna do okna, choć już nie tak obsesyjnie jak przedtem. Udało mu się przezwyciężyć ów nieokreślony strach, który wyrwał go ze snu. Teraz jego obawy były normalniejsze i bardziej przyziemne; był to niepokój, który opanowywał go zawsze wtedy, kiedy wyczuwał, że będą robili coś wykraczającego poza normalny tok dnia – obawa przed zmianą. Dreptał za Spencerem, sprawdzając, czy nie podejmuje jakichś niepokojących czynności, co chwila wracał do walizki, żeby ją obwąchać, i zaglądał do swoich ulubionych kątów, wzdychając, jak gdyby podejrzewał, że nigdy już do nich nie wróci.

Spencer zdjął z półki nad biurkiem laptop i postawił go obok torby i walizki. Kupił go we wrześniu, żeby móc opracowywać własne programy, siedząc na werandzie, zażywając świeżego powietrza i słuchając uspokajającego szmeru liści eukaliptusów poruszanych jesienną bryzą. Teraz miał mu służyć do łączenia się podczas podróży z ogóln amerykańską siecią informacyjną.

Wrócił do biurka i włączył większy komputer. Skopiował na dyskietki niektóre zaprojektowane przez siebie programy, włączając w nie ten, który umożliwiał wykrywanie podsłuchu w liniach telefonicznych wówczas, kiedy służyły jako łącze między dwoma komputerami. Inny program służył do ostrzegania go, w czasie gdy włamywał się do innego komputera, że ktoś go lokalizuje, używając wyrafinowanej techniki odczytywania wstecz kolejnych jego połączeń.

Rocky znów wyglądał przez okno, to skomlał cicho, to powarkując na otaczające dom ciemności.

Na zachodnim krańcu San Fernando Valley Roy wjechał samochodem w pasmo wzgórz i kanionów. Nie opuścił jeszcze strefy zazębiających się przedmieść, ale trafiał już między nimi na ciemne, niezamieszkałe obszary.

Postanowił postępować tym razem ostrożniej niż poprzednio. Jeśli pod adresem wyciągniętym z Biura Kontroli Pojazdów Zmechanizowanych mieszkała inna rodzina, która – jak Zelinsky – nigdy nie słyszała o Grancie, Roy wolałby dowiedzieć się o tym, zanim rozwałą drzwi, sterroryzują wszystkich pistoletami, zmarnują sos do spaghetti, a może nawet narażą się na kule rozwścieczonego właściciela domu, który okaże się uzbrojonym maniakiem.

W obecnej epoce narastającego chaosu społecznego włamanie się do prywatnego domu – zarówno pod osłoną odznaki policyjnej, jak i bez niej – było znacznie bardziej ryzykowne niż kiedyś. Jego mieszkańcy mogli być wszystkim: od gwałcących dzieci czcicieli szatana, po komunę seryjnych morderców o skłonnościach kanibalistycznych, mających w domu zamrażalniki pełne ludzkiego mięsa i artystycznie wyrzeźbione z ludzkich kości sztuce. U schyłku milenium w Ameryce żyło na wolności sporo piekielnie ekscentrycznych ludzi.

Jadąc dwupasmową drogą w stronę czarnej pustki zasnutej delikatną mgłą, Roy zaczął przeczuwać, że pod zdobytym adresem nie napotka zwykłego podmiejskiego domu ani nie będzie miał kogo zapytać, czy mieszka tam Spencer Grant. Spodziewał się czegoś innego.

Twarda nawierzchnia ustąpiła miejsca pojedynczemu pasmu sypkiego żwiru, obrzeżonemu chorowitymi palmami, których od lat nie przycinano, dlatego teraz otaczały je długie kryzy z martwych liści. Droga wiodła do bramy w ogrodzeniu z siatki.

Furgonetka nieistniejącego sklepu z pizzą już tam czekała; jej tylne, czerwone światła rozmazywały się w rzadkiej mgle. Roy spojrzął we wsteczne lusterko i ujrzał o sto jardów za sobą reflektory innego samochodu. Johnson i Vecchio.

Podszedł do bramy. Czekał tam na niego Dormon. W srebrzystej mgiełce za siatką poruszały się miarowo, w przeciwności, dziwne maszyny, podobne do olbrzymich prehistorycznych ptaków, wydziobujących z ziemi robaki. Maszyny do pompowania ropy. Było to czynne pole naftowe, jedno z wielu porozsiewanych w południowej Kalifornii.

Dołączyli do nich Johnson i Vecchio.

– Szyby naftowe – stwierdził Vecchio.

– Cholerne szyby naftowe – dorzucił Johnson.

– Nic więcej poza tymi cholernymi szybami – powiedział Vecchio.

Na polecenie Roya Dormon wrócił do furgonetki i przyniósł latarkę oraz nożyce do przecinania drutu. Furgonetka była nie tylko wozem pseudodostawczym, lecz także doskonale wyposażoną jednostką wspomagającą dla różnego rodzaju operacji, zaopatrzoną w najróżnorodniejsze narzędzia i sprzęt elektroniczny.

– Wchodzimy tam? – zdziwił się Vecchio. – Po co?

– Może znajdziemy jakiś domek dozorczy – odparł Roy. – Może Grant jest mieszkającym na miejscu dozorcą.

Roy wyczuł, że obawiają się, tak jak i on, żeby nie wyjść na głupków dwa razy w ciągu tego samego wieczora. Domyślali się, że Grant najprawdopodobniej umieścił w swoich aktach w komputerze Biura Kontroli Pojazdów Zmechanizowanych fałszywy adres i że szansa znalezienia go na polu naftowym była niemal zerowa.

Dormon przeciął łańcuch zamykający bramę i weszli na pole, posuwając się naprzód zwirową ścieżką i oświetlając latarkami przestrzeń między poruszającymi się wahadłowo pompami. Wczorajszy ulewny deszcz zmył w niektórych miejscach żwir, zostawiając błoto. Nim zdążyli obejść skrzypiącą, trzeszczącą i piszczącą maszynię, nie znalazłszy nigdzie dozorczy, nowe buty Roya nadawały się już do wyrzucenia.

W milczeniu oczyścili buty, ile się dało, wycierając je o kępy dzikiej trawy rosnącej wzdłuż drogi.

Roy kazał pozostałym czekać, a sam wrócił do samochodu. Miał zamiar połączyć się z Mamą i znaleźć jakiś inny adres tego śliskiego, obmierzłego ludzkiego śmiecia – Spencera Granta.

Był zły, a to nie wróżyło niczego dobrego. Złość zaciemniała umysł. W tym stanie trudno rozwiązywać problemy.

Głęboko oddychał, by się orzeźwić i uspokoić. Napięcie powoli ustępowało. Spokój wyobrażał sobie jako jasnobrzoskwiniowego koloru parę, natomiast napięcie jako żółtozieloną mgłę, która podwójnym strumieniem ulatywała z jego nozdrzy.

Medytacyjnej techniki opanowywania uczuć nauczył się z tybetańskiej księgi mądrości. Może to była chińska książka. Albo hinduska. Nie był tego całkiem pewny. W swoich bezustannych poszukiwaniach sposobów pogłębienia wiedzy o sobie samym przeanalizował wiele filozofii Wschodu.

Wsiadając do samochodu, usłyszał przerywany sygnał pagera. Odpiął go od klapy przeciwsłonecznej i odczytał w okienku nazwisko: Kleck i numer telefonu o kodzie rejonowym 714.

John Kleck prowadził operację poszukiwania dziewięcioletniego pontiaka zarejestrowanego na nazwisko Valerie Keene. Jeśli i tym razem postąpiła tak jak zwykle – samochód był już porzucony i stał na jakimś parkingu albo na ulicy.

Roy zadzwonił pod podany numer i usłyszał znajomy głos Klecka. Był to młody,

dwudziestokilkuletni chłopak, szczupły i wymizerowany, mający ogromne jabłko Adama i twarz przypominającą pysk pstrąga. Za to mówił głębokim i aksamitnym głosem.

– To ja – powiedział Roy. – Gdzie teraz jesteś?

Donośny, piękny głos odpowiedział:

– Na lotnisku Johna Wayne'a w okręgu Orange. – Samochodu zaczęto szukać w Los Angeles, ale z upływem czasu krąg poszukiwań się rozszerzał. – Pontiac jest tutaj, stoi na jednym z długoterminowych parkingów. Spisujemy nazwiska agentów sprzedających bilety lotnicze, którzy pracowali wczoraj po południu i wieczorem. Mamy z sobą jej fotografie. Może ktoś ze sprzedających bilety zapamiętał jej twarz.

– Próbujcie, ale to jest ślepy zaułek. Ona jest za sprytna, żeby porzucić samochód w miejscu, gdzie przesiada się na samolot. To jest naprowadzanie nas na fałszywy trop. Ona wie, że nie możemy być tego pewni w stu procentach i że będziemy musieli zmarnować sporo czasu.

– Szukamy taksówkarzy, którzy w tym czasie obsługiwali lotnisko. Może nie odleciała, tylko odjechała taksówką.

– Lepiej posuńcie się o krok dalej. Może poszła pieszo z lotniska do któregoś z otaczających je hoteli. Sprawdźcie, czy nie poprosiła któregoś z portierów, chłopców parkingowych lub gońców o sprowadzenie taksówki.

– Wystarczy – powiedział Kleck. – Tym razem daleko nie ucieknie. Wkrótce przytrzymamy ją za tyłek.

Roy byłby zapewne bardziej podbudowany poczuciem pewności siebie i imponującym brzmieniem głosu Kiecka, gdyby nie wiedział, że ten ostatni wygląda jak ryba, próbująca potknąć melon.

– Do zobaczenia – rzucił.

Połączył telefon komórkowy ze swoim przenośnym komputerem, zapalił silnik i nawiązał kontakt z Mamą w Wirginii. Zadanie, które jej postawił, było trudne, nawet biorąc pod uwagę ogromne możliwości komputera Cray i rozległość sieci połączeń: szukać Spencera Granta w rejestrach kompanii dostarczających prąd elektryczny, wodę i gaz oraz na listach urzędów podatkowych. Sprowadzało się to do przeszukania rejestrów w komputerach wszystkich urzędów – stanowych, okręgowych, dzielnicowych i miejskich – a także wszystkich rejestrów tych kompanii w biurach przedstawicielskich w okręgach Ventura, Kern, Los Angeles, Orange, San Diego, Riverside i San Bernardino. Prócz tego do sprawdzenia akt klientów wszystkich przedstawicielstw bankowych w Kalifornii – ich oszczędności, przepływu czeków, pożyczek i kart kredytowych. Dodatkowym zadaniem było szukanie Granta w rejestrach ubezpieczalni społecznej i Federalnego Biura Podatkowego, zaczynając od Kalifornii i dalej kolejno, stan po stanie, w stronę Wschodniego Wybrzeża.

Na koniec, po przekazaniu Mamie informacji, że zgłosi się nazajutrz rano po wyniki poszukiwań, zamknął elektroniczne drzwi w Wirginii i wyłączył swój komputer.

Mgła gęstniała z minuty na minutę i robiło się coraz chłodniej. Trzej mężczyźni, trzęsąc się z zimna, czekali na niego przy bramie.

– Na dziś kończymy – powiedział Roy. – Rano zaczniemy od nowa.

Poculi chwilową ulgę. Kto wie, gdzie Grant mógłby ich teraz wysłać.

Nim rozeszli się do samochodów, Roy poklepał ich po plecach i dodał parę słów otuchy. Chciał, by poculi się lepiej. Każdy człowiek miał prawo do tego, żeby czuć się dobrze.

Jadąc na wstecznym biegu wzdłuż zwirówki w stronę dwupasmowej jezdni, miarowo, głęboko oddychał. Wdychał jasnobrzoskwiniową mgłą błogiego spokoju. Wydychał żółtozielone wyziewy złości,

napięcia, stresu. Brzoskwiniowy wdech, żółtozielony wydech, brzoskwiniowy wdech...

W dalszym ciągu był wściekły.

Zjedli późny lunch, więc Spencer zdołał przejechać długi odcinek drogi przez pustkowia Mojave, aż do Barstow, nim zjechał z autostrady międzystanowej numer 15 i zatrzymał się na obiad. Podjechał do okienka baru McDonalda i zamówił dla siebie Big Maca, frytki i mały waniliowy koktajl mleczny. Nie chcąc grzebać się w puszkach z psim mięsem, spoczywających gdzieś w płóciennej torbie, zamówił dla Rocky'ego dwa hamburgery i wodę, a potem – mięknąc – drugi koktajl waniliowy.

Zatrzymał się przy końcu dobrze oświetlonego parkingu, nie wyłączył silnika, żeby nie oziębiać wnętrza forda, i przesiadł się do części bagażowej, gdzie oparł się plecami o przednie siedzenie i wyciągnął wygodnie nogi. Kiedy otwierał papierowe torebki z jedzeniem i wnętrze wozu wypełniły smakowite aromaty, Rocky zaczął się oblizywać. Przed wyjazdem z Malibu Spencer poskładał tylne siedzenia samochodu, tak że teraz było w nim dużo miejsca dla niego i dla psa, mimo że znajdowała się tam walizka i sporo innego sprzętu.

Wyjął hamburgery Rocky'ego i położył je na opakowaniu. Nim zdążył wyjąć Big Maca i ugryźć pierwszy kęs, Rocky połknął już oba swoje kotleciki i większą część jednej bułeczki. Więcej pieczywa już nie chciał. Patrzył tęsknie na Big Maca i piszczał.

– Mój – powiedział Spencer.

Rocky zapiszczał ponownie. Nie był to pisk ze strachu. Ani z bólu. To był pisk mówiący po-patrz-na-mnie-bied-ne-go-i-po-myśl-jak-chęć-nie-zjadł-bym-tego-ham-bur-ge-ra-i-ser-i-sos-i-mo-że-na-wet-te-ma-ry-na-ty.

– Czy ty rozumiesz, co znaczy mój?

Rocky spojrzał na torebkę frytek na podolku Spencera.

– Moje.

Pies jakby w to wątpił.

– Twoja – powiedział Spencer, wskazując na niedojedzoną bułeczkę.

Rocky ze smutną miną przeniósł wzrok z suchej bułeczki na soczystego Big Maca.

Spencer ugryzł jeszcze jeden kęs, popił go koktajlem waniliowym i spojrzał na zegarek.

– Weźmiemy paliwo i będziemy przed dziewiątą na międzystanowej. Do Las Vegas jest około stu sześćdziesięciu mil. Nie spiesząc się zbyttnio, będziemy tam przed północą.

Rocky znów skupił uwagę na frytkach.

Spencer dał się ubłagać i położył cztery na opakowaniu po hamburgerach.

– Byłeś kiedykolwiek w Vegas? – zapytał.

Cztery frytki zniknęły w mgnieniu oka. Rocky patrzył tęsknie na pozostałe, które wystawały z torebki spoczywającej na podolku pana.

– To brutalne miasto. Mam złe przecucie, że kiedy tam wylądujemy, szybko zaczną się kłopoty.

Spencer zjadł do końca kanapkę, frytki i dokończył koktajl mleczny, nie dzieląc się już z psem mimo jego przymilania. Pozbierał papierki i wsadził je do jednej z torebek.

– Jedno chcę ci wyjaśnić, kolego. Ci, którzy ją ścigają, są diabelnie potężni. I niebezpieczni. Strzelają bez uprzedzenia. Sądząc po tym, jak strzelali wczoraj do cieni – mają rozstrojone nerwy. Muszą czuć się bardzo zagrożeni.

Spencer zdjął wieczko z drugiego koktajlu waniliowego. Pies podniósł z zainteresowaniem łeb.

– Popatrz, co uratowałem dla ciebie. Czy nie wstyd ci teraz, że pomyślałeś o mnie źle, kiedy nie dałem ci więcej frytek?

Spencer przytrzymał kubeczek, żeby Rocky go nie wyrzucił. Pies zaatakował koktajl najsprawniejszym językiem na zachód od Kansas City, chłepcząc z tak szalonym zapałem, że już po kilku sekundach jego pysk był głęboko w kubku, podążając za obniżającym się poziomem płynu.

– Jeżeli dom był wczoraj wieczór pod ich obserwacją, to mogli mi zrobić zdjęcie.

Rocky wyciągnął pysk z kubka i spojrzał badawczo na Spencera. Był po ślepia usmarowany mlekiem.

– Masz obrzydliwe maniery.

Rocky ponownie wsadził pysk do kubka i wewnątrz forda wypełniło się odgłosami psiej zachłanności.

– Jeśli mają zdjęcie, w końcu mnie znajdą. Istnieje niebezpieczeństwo, że zwrócę na siebie uwagę, próbując odnaleźć Valerie po śladach z jej przeszłości.

Kubek był już pusty i Rocky przestał się nim interesować. Wyciągając język na zdumiewającą odległość i obracając nim zapamiętałe wokół pyska, zdołał zlizać większość śladów po koktajlu.

– Z kimkolwiek ona walczy, jestem największym idiotą na świecie, jeśli sądzę, że dam sobie z nimi radę. Zdaję sobie z tego w pełni sprawę. Mimo to jadę do Vegas.

Rocky zacharczał. Resztki koktajlu oblepiały mu gardło. Spencer otworzył kubek z wodą i przytrzymał go, żeby pies mógł się napić.

– Po co ja się w to wplątuje... to nie fair wobec ciebie. Z tego też zdaję sobie sprawę.

Rocky nie chciał już więcej pić. Morda ociekała mu wodą. Spencer zamknął kubek i włożył go do torby na odpadki. Wziął do ręki kilka papierowych serwetek i ujął psa za obrozę.

– Chodź tu, ty zaśliniony kundlu.

Rocky ze stoickim spokojem pozwolił obetrzeć sobie do sucha pysk i podbródek.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem, wiesz? Jasne, że wiesz. Ja jestem twoim najlepszym przyjacielem. Kto się tobą zaopiekuje, jeśli ja zginę?

Pies patrzył poważnie w oczy Spencera, jakby zdawał sobie sprawę z wagi problemu.

– Nie mów mi, że dasz sobie radę. Masz się lepiej niż wtedy, kiedy cię wziętem do siebie, ale nie jesteś jeszcze samowystarczalny i prawdopodobnie nigdy nie będziesz.

Pies sapnął, jak gdyby się z tym nie zgadzał, mimo że obaj wiedzieli, iż to prawda.

– Jeśli coś mi się stanie, prawdopodobnie wrócisz do schroniska. Myślisz, że ktoś poświęci ci swój czas i zaopiekuje się tobą tak, żebyś mógł przyjść do siebie? Hmmm? Nie.

Puścił obrozę psa.

– Chcę więc, żebyś wiedział, iż nie jestem dla ciebie tak dobry, jak powinienem. Muszę zdobyć jakąś szansę u tej kobiety, dowiedzieć się, czy ona jest dostatecznie wyjątkowa, żeby zająć się... zająć się kimś takim jak ja. Zaryzykuję własne życie, żeby się tego dowiedzieć... ale nie powinienem przy tym ryzykować twojego.

Nigdy nie okłamuj psa.

– Nie potrafię być równie wiernym przyjacielem jak ty. Jestem tylko człowiekiem. Wejrzyj głębiej w każdego z nas, a znajdziesz egoistycznego drania.

Rocky zaczął machać ogonem.

– Przestań. Chcesz, żebyśmy poczuł się jeszcze gorzej?

Machając ogonem jeszcze szybciej, Rocky wdrapał się na kolana Spencera.

Spencer westchnął.

– W takim razie muszę uważać, żeby nie zginąć...

Nie okłamuj psa.

– ...choć wydaje mi się, że szansę nie są zbyt wielkie – dodał.

Wróciwszy do podmiejskiego labiryntu doliny, Roy Miro przejeżdżał przez łańcuch dzielnic handlowych, nie dostrzegając granic między poszczególnymi nacjami. Był nadal zły, a przy tym na krawędzi depresji. Szukał rozpaczliwie jakiegoś otwartego sklepu, w którym mógłby znaleźć komplet automatów sprzedających gazety. Potrzebna mu była specjalna gazeta.

Po drodze minął dwie tajne operacje podsłuchowe przeprowadzane w dość znacznej wzajemnej odległości jedna od drugiej.

Pierwsza prowadzona była z dekoracyjnej, przebudowanej furgonetki, mającej zwiększony rozstaw osi i chromowane szprychowe koła. Boki pojazdu zdobiły prymitywne freski przedstawiające palmy, spienione fale i czerwono zachodzące słońce. Do ramy bagażowej na dachu przypięto dwie deski surfingowe. Niewtajemniczonym mogło się wydawać, że wóz należy do próżniaka plażowego, który wygrał na loterii.

Cechy wskazujące na prawdziwe przeznaczenie furgonetki były dla Roya widoczne. Wszystkie szyby furgonetki, łącznie z przednią, miały ciemną barwę, ale dwa duże okna z boku, otoczone freskiem, wyglądały na czarne. Sporządzone były ze szkła pokrytego od zewnątrz cienką czarną powłoką, uniemożliwiającą zaglądnąć do wnętrza, zapewniającą natomiast agentom siedzącym w furgonetce – i ich wideokamerom – doskonałą widzialność otoczenia. Na dachu nad przednią szybą umieszczone były w jednym rzędzie cztery reflektory punktowe. Żaden z nich nie był włączony, ale każda z żarówek znajdowała się w specjalnej oprawie o kształcie stożka – podobnej do małego megafonu – która mogła być reflektorem ogniskującym wiązkę światła. W rzeczywistości było to coś zupełnie innego. Jeden ze stożków stanowił antenę pracującego w zakresie mikrofal urządzenia nadawczo-odbiorczego, połączonego z komputerami wewnątrz furgonetki, umożliwiającego wysyłanie lub odbieranie zakodowanych nawet kilku informacji. Pozostałe trzy stożki stanowiły uszy mikrofonów kierunkowych.

Jeden z niezapalonych reflektorów nie był skierowany, tak jak powinien, ku przodowi furgonetki, ale w kierunku zatłoczonego baru z przekąskami – „Submarine Drive” – znajdującego się po drugiej stronie ulicy. Agenci nagrywali plątaninę głosów w rozmowie toczonyj przez osiem czy dziesięć osób zgromadzonych przed barem. Później komputer miał przeanalizować nagranie: rozróżnić poszczególne osoby, nadać im numery, skojarzyć jedne z drugimi, na podstawie sensu słów i modulacji głosu, usunąć odgłosy zewnętrzne, takie jak hałas ruchu ulicznego i wiatr, i w końcu zapisać każdą rozmowę na osobnej ścieżce.

Druga z operacji odbywała się o milę dalej. Przeprowadzana była z furgonetki należącej pozornie do firmy handlującej zwierciadłami i szkłem, o nazwie Jerry's Glass Magic. W bocznych ścianach furgonetki wmontowane były przezroczyste lustra, które wkomponowano w logo nie istniejącej firmy.

Roy czuł zawsze wewnętrzne zadowolenie na widok ekip inwigilacyjnych, szczególnie tych, które posługiwały się supernowoczesną techniką, gdyż należały one raczej do służb federalnych niż lokalnych. Ich dyskretna obecność wskazywała na to, że ktoś troszczy się o stabilizację społeczną i spokój na ulicach.

Na ich widok czuł się zwykle bezpieczniej i mniej samotnie. Dzisiejszej nocy jednak nie podnosiło go to na duchu. Ogarnęły go mieszane uczucia. Nie mógł mu przynieść ulgi ani widok zespołów inwigilacyjnych, ani świadomość dobrej roboty, którą wykonywał dla Thomasa Summerton, ani cokolwiek, co świat miał do zaoferowania.

Musiał odnaleźć istotę własnej jaźni, otworzyć drzwi duszy i stanąć twarzą w twarz z wszechświatem.

Nim natknął się na jakiś sklep, zauważył urząd pocztowy, w którym było to, czego szukał. Na frontowej ścianie wisiał rząd podniszczonych automatów z gazetami.

Zaparkował przy czerwonym krawężniku, wysiadł i zaczął oglądać automaty. Nie interesował go „Times” ani „Daily News”. Szukał czego innego. Większość magazynów reklamowała seks: lokale dla samotników poszukujących partnerów, par wymieniających się współmałżonkami i gejów, a także rozrywki i usługi dla dorosłych. Zignorował te sprośne gazetki. Seks nie stanowił odprężenia wówczas, gdy dusza łaknęła transcendencji.

Wielkie miasta finansowały prasę traktującą o zdrowej żywności, leczeniu holistycznym i o sprawach duchowych w zakresie od terapii reinkarnacyjnej do parapsychologii.

Los Angeles miało trzy takie tygodniki.

Roy kupił wszystkie trzy i wrócił do samochodu. W słabym świetle lampki sufitowej przejrzał pisma, czytając tylko ogłoszenia o nieruchomościach i o usługach. Wielebni nauczyciele, hinduscy mistrzowie, media, wróżący z kart Tarota, akupunkturzyści, zielarze gwiazd filmowych, parapsycholodzy, tłumacze emanacji, wróżący z ręki, interpretatorzy teorii chaosu, przewodnicy po poprzednim życiu, specjaliści od irygacji odbytnicy i jeszcze inni fachowcy oferowali masowo swoje usługi.

Roy mieszkał w Waszyngtonie, ale praca zmuszała go do jeżdżenia po całym kraju. Odwiedził wszystkie święte miejsca, w których Ziemia, na podobieństwo gigantycznego akumulatora, zgromadziła olbrzymie ilości energii duchowej: Santa Fe, Taos, Woodstock, Key West, Spirit Lake, Meteor Crater i inne. Doświadczył na sobie samą działani owych zespolonych strumieni energii kosmicznej, od dawna przypuszczając, że Los Angeles było również takim nie odkrytym jeszcze miejscem, o podobnej sile oddziaływania. Przypuszczenie zmieniło się niemal w pewność, kiedy zobaczył w piśmie liczbę ogłoszeń osób zajmujących się zawodowo podnoszeniem innych na duchu.

Mając do wyboru mnóstwo możliwości, Roy zdecydował się na „The Place Of The Way” w Burbank. Zaintrygowało go to, że w tytule firmy każdy wyraz zaczynał się z dużej litery, podczas gdy przyimek i drugi rodzajnik powinny zaczynać się z małej. Oferowali wiele metod „poszukiwania samego siebie i znajdowania oka wszechświatowego cyklonu” prezentowanych nie w obskurnym lokalu ulicznym, ale „w atmosferze spokoju naszego domu”. Podobały mu się ponadto imiona właścicieli, których nie omieszkali wymienić w ogłoszeniu: Guinevere i Chester.

Spojrzał na zegarek. Było po dziewiątej.

Parkując nadal nielegalnie przed budynkiem poczty, zadzwonił pod numer podany w ogłoszeniu. Odpowiedział mu męski głos:

– Mówi Chester z „The Place Of The Way”. W czym mogę panu pomóc?

Roy przeprosił za telefon o tak późnej porze, zwłaszcza że „The Place Of The Way” mieścił się w prywatnym domu, ale wytłumaczył to własnym zapadaniem się w próżnię i koniecznością jak najszybszego stanięcia na twardym gruncie. Ucieszył się na zapewnienie, że Chester i Guinevere pełnili swoją misję o każdej porze. Kiedy podano mu adres, ocenił, że może tam przybyć około dziesiątej.

Przyjechał dziesięć minut wcześniej.

Ładny, dwupiętrowy, hiszpański dom, kryty dachówką, miał głęboko osadzone okna o szybkach oprawnych w ołów. Artystycznie podświetlone bujne palmy i tropikalne ogromne paprocie rzucały tajemnicze cienie na bladeżółte, stiukowe ściany domu.

Przyciskając dzwonek, Roy zauważył na najbliższym oknie nalepkę firmy instalującej urządzenia alarmowe. Za moment z głośnika interkomu dobiegł go głos Chestera:

– Kto tam?

Roya nie zdziwiło zbytnio, że tak światłe małżeństwo, mające zdolności medialne i dysponujące takimi talentami psychoterapeutycznymi, uważało za konieczne podjąć techniczne środki ostrożności. Świat, w którym żyli, był żalony. Nawet mistycy bywali celem dla bandytów.

Chester, uśmiechając się przyjaźnie, powitał Roya na progu „The Place Of The Way”. Miał około pięćdziesiątki, okrągły brzuch, łysinę okoloną pasemkiem włosów jak braciszek Tuck, był mocno opalony, niedźwiedziowaty i mimo brzucha wyglądał na silnego. Nosił sportowe buty, spodnie koloru khaki i tego samego koloru koszulę z podwiniętymi rękawami, ukazującymi grube, owłosione ramiona.

Chester prowadził Roya przez pokoje o żółtych, sosnowych podłogach wypucowanych na wysoki połysk, po dywanach Navajów, wśród mebli wykonanych z grubo ociosanego drewna, które bardziej pasowały do domku myśliwskiego w Sangre de Cristo Mountains niż do domu w Burbank. Za bawialnią, w której stał telewizor z ogromnym ekranem, ciągnął się korytarz, a dalej znajdował się okrągły, pomalowany na białą pokój, o średnicy około dwunastu stóp, bez okien, z wyjątkiem okrągłego świetlika w kopule sufitu.

Pośrodku pokoju stał okrągły sosnowy stół. Chester wskazał Royowi krzesło i zaproponował mu coś do picia – „Wszystko od dietetycznej coli do herbaty z ziół” – ale Roy odmówił, czując jedynie pragnienie duszy.

Chester wskazał na stojący na środku stołu koszyk z plecionych liści palmowych.

– Jestem tylko asystentem. Sprawami duchowymi zajmuje się Guinevere, ale nie wolno jej dotykać pieniędzy. Mimo że wychodzi ponad sprawy ziemskie, musi coś jeść.

– Naturalnie – powiedział Roy.

Wyciągnął z portfela trzysta dolarów i włożył je do koszyka. Chester wyglądał na przyjemnie zdziwionego tą sumą, ale Roy zawsze uważał, że jakość usługi zależy od zapłaty.

Chester zabrał koszyk i wyszedł z pokoju.

Górne punktowe reflektorki rzucały na ściany łuki białego światła. Teraz zgasły, a pokój wypełniły cienie i nastrojowa, bursztynowej barwy świetlistość, przypominająca poblask świec.

– Halo, to ja, Guinevere! Nie wstawaj, proszę.

Wpadła do pokoju z dziewczęcą beztroską, z uniesioną wysoko głową i ściągniętymi do tyłu ramionami. Obeszła stół i usiadła na krześle naprzeciw Roya.

Miała około czterdziestu lat i była niezwykle piękna, mimo że jej długie blond włosy pozaplatane były w warkoczyki wijące się jak u Meduzy. Roy nie lubił takich fryzur. Szmaragdowe oczy rozświetlone były wewnętrznym światłem, a każdy szczegół twarzy przypominał mitologiczne boginie, których portrety Roy oglądał w albumach poświęconych sztuce klasycznej. Szczupłe giętkie ciało, ubrane w obcisłe niebieskie dzinsy i śnieżnobiały podkoszulek poruszało się płynnie i z gracją, a duże piersi kołysały ponętnie. Roy dostrzegał końce jej sutków, podnoszące materiał koszulki.

– Jak się czujesz? – zapytała nonszalancko.

– Nie za dobrze.

– Zaraz to naprawimy. Jak masz na imię?

– Roy.

– Czego poszukujesz, Roy?

– Szukam świata, na którym panuje sprawiedliwość i pokój, świata doskonałego pod każdym względem. Ale ludzie są skażeni. Wszędzie jest za mało doskonałości, a ja jej tak bardzo potrzebuję. Wpadam często w depresję.

– Musisz pojąć znaczenie niedoskonałości świata i swojej obsesji z tego powodu. Jaką chciałbyś

wybrać drogę poznania?

– Jakąkolwiek... wszystkie.

– Świetnie! – wykrzyknęła ta piękna nordycka rastafarianka z takim entuzjazmem, że jej warkoczyki podskoczyły, a pęki czerwonych paciorków, ozdabiających ich końce zadźwięczały. – Zaczniemy od kryształów.

Zjawił się Chester, popychając naokoło stołu dużą skrzynkę na kółkach i ustawiając ją po prawej stronie Guinevere.

Roy spostrzegł, że była to szaro-czarna, metalowa szafka na narzędzia, wysoka na cztery stopy, szeroka na trzy i głęboka na dwie, z drzwiczkami u dołu, sięgającymi do jednej trzeciej wysokości, i szufladkami o różnych szerokościach i głębokościach ponad drzwiczkami. Na jej boku błyszczało w bursztynowym świetle logo Searsa.

Chester usiadł na trzecim krześle, stojącym o stopę za kobietą i o dwie stopy na lewo od niej. Guinevere otworzyła jedną z szufladek szafki i wyjęła kryształową kulę odrobinę większą od kuli bilardowej. Złożonymi w kształt miseczki rękami podała ją Royowi, który wziął ją w swoje dłonie.

– Twoja aura jest ciemna, zakłócona. Zaczniemy od niej. Trzymaj kryształ oburącz, zamknij oczy, staraj się osiągnąć spokój medytacji. Myśl tylko o jednej, jedynej rzeczy: wyobraź sobie wzgórza pokryte śniegiem. Łagodnie opadające wzgórza, pokryte świeżym śniegiem, bielszym niż cukier, delikatniejszym niż mąka. Łagodne wzgórza aż po horyzont, jedno nad drugimi, przykryte świeżym śniegiem, biel na bieli, pod białym niebem, powoli opadające białe płatki śniegu, biel nad bielą, na tle bieli...

Guinevere mówiła dalej, ale Roy nie mógł wyobrazić sobie ośnieżonych wzgórz ani padającego śniegu, mimo że bardzo się starał. Oczami duszy widział tylko jedną rzecz: jej ręce, jej rozkoszne ręce, jej niewiarygodne ręce.

Miała tak zniewalający wygląd, że nie zauważył jej rąk, dopóki nie podała mu kuli. Nigdy jeszcze takich nie widział. Były wyjątkowe. Zrobiło mu się sucho w ustach na samą myśl o całowaniu jej dłoni, a jego serce waliło dziko na wyobrażenie jej szczipłych palców.

– W porządku, już jest lepiej – powiedziała pocieszająco Guinevere po pewnym czasie. – Twoja aura jest już dużo lepsza. Możesz otworzyć oczy.

Bał się, że doskonałość tych rąk jest tworem jego wyobraźni i że kiedy zobaczy je ponownie, okaże się, iż nie różnią się od rąk innych kobiet – i że nie będą to już ręce anioła. Tymczasem były. Delikatne, wdzięczne, nieziemskie. Odebrały mu kulę, umieściły z powrotem w otwartej szufladce, a potem wskazały – ruchem rozpościerających się skrzydeł gołębiczy – na siedem nowych kryształów, które położyła na kwadracie z czarnego aksamitu na środku stołu, podczas gdy miał zamknięte oczy.

– Ułóż je w dowolny wzór, który wydaje ci się charakterystyczny dla ciebie – a ja go odczytam.

Były to kryształowe płatki śniegu, półcalowej grubości, sprzedawane jako ozdoby na choinkę. Każdy był inny.

Roy próbował skupić się, żeby wykonać zadanie, ale jego wzrok co chwila przenosił się ukradkiem na ręce Guinevere. Za każdym razem wstrzymywał oddech. Trzęsły mu się ręce i zastanawiał się, czy ona to zauważyła.

Od kryształów Guinevere przeszła do odczytywania jego aury za pomocą lup pryzmatycznych, do kart Tarota, do magicznych kamieni – a jej bajeczne dłonie wydawały mu się coraz piękniejsze. Z trudem odpowiadał na pytania, stosował się do jej poleceń i wysłuchiwał mądrości, którymi się z nim dzieliła. Musiała sądzić, że jest otumaniony albo pijany, ponieważ mówił bełkotliwie, a oczy miał przysłonięte powiekami z powodu wzrastającego upojenia widokiem jej rąk.

Zerknął na Chestera z poczuciem winy, uświadamiając sobie nagle, że ten człowiek – prawdopodobnie mąż Guinevere – jest świadom jego lubieżnego podniecenia. Chester nie zwracał jednak uwagi na żadne z nich. Pochylał łysą głowę nad paznokciami swojej lewej ręki, które czyścił paznokciami prawej.

Roy był święcie przekonany, że nawet Matka Boska nie mogła mieć delikatniejszych rąk niż Guinevere i że największa diablica w piekle nie mogła mieć bardziej erotycznych. Ręce Guinevere były tym samym, co zmysłowe usta Melissy Wicklun, ale w stopniu o tysiąc, dziesięć tysięcy razy wyższym. Doskonałe, doskonałe i jeszcze raz doskonałe.

Potrząsnęła woreczkiem magicznych kamieni i rozsypała je znowu.

Roy zastanawiał się, czy będzie miał odwagę poprosić ją o czytanie z ręki. Musiałaby wtedy trzymać jego ręce w swoich.

Zadrzał z rozkoszy na tę myśl, a równocześnie doznał aż zawrotu głowy na inną: że nie wolno mu wyjść z tego pokoju, zostawiając ją i pozwalając na to, żeby dotykała swoimi rozkosznymi, nieziemskimi rękami innych mężczyzn.

Sięgnął pod marynarkę, wyjął z kabury pod pachą berettę i powiedział:

– Chester.

Łysy mężczyzna podniósł głowę i wtedy Roy strzelił mu w twarz. Chester upadł z krzesłem do tyłu, znikając z pola widzenia.

Tłumik pistoletu nadawał się już do wymiany. Przegrody w nim były zużyte od ciągłego używania. Stłumiony odgłos strzału był wystarczająco głośny, żeby słychać go było w innym pokoju, choć na szczęście nie za ścianami domu.

W chwili gdy Roy zastrzelił Chestera, Guinevere patrzyła na rozsypane na stole kamienie. Musiała być głęboko pogrążona w myślach, bo kiedy podniosła głowę i zobaczyła pistolet, wyglądała na zdumioną.

Nim zdołała podnieść w obronie ręce i zmusić Roya do pokieraszowania ich, co byłoby niewybaczalne, strzelił jej w czoło. Przewróciła się z krzesłem do tyłu, podobnie jak Chester.

Roy odłożył pistolet, wstał i obszedł stół. Chester i Guinevere leżeli z otwartymi oczami, nieruchomi, patrząc na świetlik w suficie i na nieskończoną noc powyżej. Umarli natychmiast, więc scena była niemal bezkrwawa. Ich śmierć była szybka i bezbolesna.

Chwila ta była zarazem smutna i radosna. Smutna – gdyż świat stracił dwie światłe istoty, które były życzliwe i patrzyły głęboko w ludzkie dusze. Radosna – ponieważ Chester i Guinevere nie musieli już dłużej żyć w zacofanym i okrutnym społeczeństwie.

Roy poczuł wobec nich zazdrość.

Wyjął z kieszeni płaszcza rękawiczki i włożył je w celu odbycia oczekującej go ceremonii.

Postawił na nogi krzesło Guinevere. Przytrzymując ją na krześle, przysunął je do stołu, zaklinowując zmarłą w pozycji siedzącej. Głowa opadła jej do przodu, podbródek oparł się o pierś, a warkoczyki zadzwięczały cicho, opadając jak kurtyna z paciorków i zasłaniając twarz. Ręce zwisały jej po bokach; podniósł je po kolei i położył na stole.

Jej ręce. Przyglądał im się przez chwilę. Były równie pociągające jak za życia. Pełne wdzięku. Eleganckie. Promienne.

Poczuł nową nadzieję. Jeśli doskonałość mogła w ogóle zaistnieć w jakiegokolwiek postaci, nawet w postaci pary rąk – to jego marzenie o doskonałym świecie może pewnego dnia się ziścić.

Przykrył jej dłonie własnymi. Dotknięcie było elektryzujące, nawet przez rękawiczki. Zadrzał

z rozkoszy.

Podniesienie Chestera okazało się trudniejsze ze względu na jego większą wagę. Mimo to Royowi udało się pociągnąć go dookoła stołu i posadzić na krześle naprzeciw Guinevere.

Poszedł do kuchni, żeby przejrzeć szafki i spiżarnię i zgromadzić przedmioty potrzebne do zakończenia ceremonii. Poszedł też do garażu po ostatnie brakujące narzędzie. Potem zaniósł wszystko do okrągłego pokoju i położył na szafce, w której Guinevere trzymała swoje akcesoria wróżbiarskie.

Ścierką do naczyń wytarł krzesło, na którym siedział, bojąc się, że zostawił na nim swoje odciski palców. Wytarł też swoją stronę stołu, kryształową kulę i kryształowe płatki śniegu, które rozkładał na stole w celu zbadania przez Guinevere jego siły psychicznej. Niczego innego w pokoju nie dotykał.

Parę minut poświęcił skrzynce, przeglądając magiczne akcesoria, aż znalazł przedmiot, który wydawał się stosowny do okoliczności. Był to pentagram używany przy poważniejszych zadaniach niż wróżenie z kamieni, kryształów czy kart Tarota – na przykład przy próbach nawiązania kontaktu z duchami zmarłych.

Rozwinięty, stanowił kwadrat o boku osiemnastu cali. Roy umieścił go na środku stołu, jako symbol życia pozaziemskiego.

Włączył do gniazdka małą piłę elektryczną, którą znalazł wśród narzędzi w garażu, i odciął prawą rękę Guinevere. Włożył ją delikatnie do prostokątnego pojemnika, w którym uprzednio umieścił miękką ściereczkę do naczyń, i zatrasnął wieko.

Mimo że bardzo pragnął uciąć jej drugą rękę, czuł, że posiadanie obu byłoby świadectwem egoizmu. Należało zostawić ją przy ciele, żeby policja, coroner, właściciel zakładu pogrzebowego i wszyscy inni, którzy będą mieli do czynienia z jej szczątkami, wiedzieli, że miała najpiękniejsze ręce na świecie.

Podniósł na stół ramiona Chestera. Prawą ręką trupa przykrył na środku pentagramu lewą rękę Guinevere, wyrażając w ten sposób własne życzenie, żeby byli z sobą w następnym świecie. Żałował, że nie ma w sobie zdolności parapsychicznych albo czystości, albo tego, co potrzebne, żeby przywoływać duchy umarłych. Przywołałby w odpowiednich okolicznościach Guinevere, żeby zapytać, czy miałyby po śmierci coś przeciw temu, gdyby zabrał także jej lewą rękę.

Westchnął, wziął pojemnik i z ociąganiem opuścił pokój. Zadzwoił z kuchni pod numer 911 i powiedział dyżurnemu na policji:

– „The Place Of The Way” jest już tylko miejscem. To bardzo smutne. Proszę przyjechać.

Nie wieszając z powrotem słuchawki, pospieszył w stronę drzwi, zabierając z sobą jeszcze jedną papierową ściereczkę do naczyń. Pamiętał, że kiedy wchodził do domu, idąc za Chesterem do okrągłego pokoju, nie dotknął niczego. Teraz zostało mu tylko wytrzeć guzik dzwonka i wyrzucić ściereczkę po drodze do samochodu.

Wyjechał z Burbank i poprzez wzgórza, a potem przez pośledniejszą część Hollywood dotarł do niecki, w której rozpościerało się miasto. Pstre plamy graffiti na ścianach i na podporach autostrad, samochody pełne zięjących nienawiścią rozrabiaków krążących w poszukiwaniu awantur, kina i księgarnie z pornografią, puste sklepy, zaśmiecone rynsztoki i inne świadectwa upadku ekonomicznego i moralnego; nienawiść, zazdrość, chciwość i chuć, które przesycaly powietrze jeszcze silniej niż smog – nic z tego wszystkiego nie mogło go w tej chwili zastraszyć, gdyż miał przy sobie przedmiot o doskonałej piękności dowodzącej istnienia gdzieś we wszechświecie potężnej i mądrej siły twórczej. Pojemnik mieścił w sobie dowód istnienia Boga.

Popasając na pustyni Mojave – gdzie królowała noc, jedynym śladem cywilizacji była ciemna autostrada i jadące po niej samochody, a radio z trudem wyłapywało dalekie stacje – Spencer spostrzegł,

że myślami kieruje się, wbrew własnej woli, ku jeszcze większej ciemności i jeszcze bardziej niesamowitej ciszy tamtej nocy sprzed szesnastu lat. Czuł, że znów został złapany w potrzask pamięci, od której nie był w stanie się wyzwolić, jeśli nie dokonał ekspiacji, opowiadając komukolwiek o tym, co wówczas zobaczył i przez co przeszedł.

Wśród jałowych równin i wzgórz nie było spelunek, które zwykle służyły mu jako konfesjonały. Jedynym współczującym słuchaczem mógł być pies.

...boso, bez koszuli, schodzę, trzęsąc się, pocierając rękami gołe ramiona, dziwiąc się mojemu niewytłumaczalnemu lękowi. Może nawet w tym momencie zdaję sobie niejasno sprawę, że schodzę do miejsca, z którego nie będę mógł już nigdy wrócić.

Ciągnie mnie krzyk, który usłyszałem, kiedy wychylałem się przez okno, żeby zobaczyć sowę. Mimo że był krótki i zabrzmiał tylko dwa razy, w dodatku słabo, był tak przenikliwy i dramatyczny, że jego wspomnienie mobilizuje mnie w sposób, w jaki czternastoletni chłopiec może zostać porwany tajemnicą seksu lub perspektywą zobaczenia czegoś dziwnego i strasznego.

Na dół, po schodach. Przez pokoje, w których oświetlone księżycem okna jarzą się łagodnie jak ekrany telewizorów i gdzie muzealne meble Stickleya stanowią jedynie kanciaste cienie, pogrążone w atramentowym mroku. Obrazy Edwarda Hoppera, Thomasa Harta Bentona i Stevena Ackbloma: z prac tego ostatniego wyzierają biedne, świetliste, niesamowite twarze o wyrazie tak nieodgadnionym, jak ideogramy obcego języka, rozwiniętego na planecie odległej o miliony lat świetlnych od Ziemi.

Szorstka, wapienna podłoga kuchni jest zimna. Przeniknął ją ziąb chłodzonego przez cały dzień i część nocy powietrza i teraz wysysa ciepło moich stóp.

Na klawiaturze systemu bezpieczeństwa, obok tylnych drzwi, świeci się mała czerwona lampka. W okienku odczytu widnieje zielony, świecący napis: ALARM WŁĄCZONY. Przyciskam guzik wyłączający alarm. Czerwona lampka gaśnie, zapala się zielona. Napis zmienia się na: GOTÓW DO WŁĄCZENIA.

To nie jest przeciętny, wiejski dom. Nie należy do ludzi, którzy żyją z uprawiania roli i którzy mają proste gusta. Wewnątrz znajdują się cenne rzeczy – muzealne meble i inne dzieła sztuki. Nawet na wsi w Kolorado należy podejmować środki ostrożności.

Otwieram obie zasuwę, uchylam drzwi i wychodzę na tylną werandę. Z zimnego domu w duszną lipcową noc. Idę boso po deskach aż do stopni, potem na dół, po kamiennych płytach patia otaczającego basen kąpielowy, wzdłuż ciemnej połyskującej wody w basenie, przez ogród – niemal jak lunatyk – przyciągany zamilknięciem pamiętnego krzyku.

Upiorna, srebrna twarz będącego w pełni księżyca rzuca spoza mnie blask na każde źdźbło trawy, tak że trawnik wygląda jak pokryty szronem. W jakiś dziwny sposób boję się nie o siebie, lecz o matkę, która nie żyje już od sześciu lat, więc nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Mój strach jest tak wielki, że aż się zatrzymuję. Stoję nieruchomo w połowie ogrodu, wśród dzwoniącej w uszach ciszy. Mój cień stanowi płamę na nierzeczywistym szronie.

Przede mną majaczy stajnia, w której od piętnastu lat, czyli jeszcze przed moim urodzeniem, nikt nie trzymał żadnych zwierząt ani siana, ani traktorów. Przejeżdżającym wiejską drogą obok posiadłości może się wydawać, że to jest farma, ale to jest złudzenie. Wszystko jest złudzeniem.

Noc jest gorąca, tak że na twarzy i na piersi zaczynają mi występować krople potu. Mimo to czuję w żyłach, pod skórą i w wydrążeniach moich kości uparty chłód, którego nie może pokonać lipcowy upał.

Pomału sobie uświadamiam, że jest mi zimno, ponieważ staje mi wyraźnie przed oczami przejmujący chłód owego marcowego dnia, przed sześciu laty, kiedy znaleziono moją matkę trzy dni po jej zaginięciu.

To znaczy znaleziono tylko jej pokaleczone ciało. Osiemdziesiąt mil od domu, wciśnięte do kanału biegnącego wzdłuż terenowej drogi, utopioną przez skurwysyna, który ją porwał i zabił. Miałem osiem lat i byłem za młody, żeby zrozumieć w pełni, co to jest śmierć. Nikt wówczas nie miał tyle odwagi, żeby mi opowiedzieć, z jakim bestialstwem została potraktowana i jakie musiała przejść potworne męki, zanim umarła. Te makabryczne szczegóły zostały mi później opowiedziane przez kilku moich kolegów szkolnych, którzy mieli szczególne predyspozycje do okrucieństwa. Okrucieństwa, które jest cechą tylko niektórych dzieci, a także tych spośród starszych, którzy nigdy pod pewnymi względami nie wydorośleli. Ale mimo mojej młodości i głupoty wiedziałem wystarczająco dużo o śmierci i rozumiałem, iż nigdy nie zobaczę już mojej matki – i uczucie zimna owego marcowego dnia okazało się najbardziej dojmujące, jakiego doznałem w całym moim życiu.

Stoję na oblanym księżycowym światłem trawniku, zastanawiając się, dlaczego tak często powracam myślami do mojej postradanej matki. Dlaczego ów niesamowity krzyk, który usłyszałem wychylając się z okna sypialni, uderzył mnie jako dziwny i zarazem znajomy. Dlaczego obawiam się o matkę, skoro ona nie żyje, i dlaczego tak bardzo boję się teraz, choć nie widać wśród letniej nocy żadnego bezpośredniego zagrożenia.

Ruszam dalej, w stronę stajni, która staje się centrum mojego zainteresowania, mimo że przedtem wydało mi się, iż okrzyk wydało jakieś zwierzę, znajdujące się na polu albo wśród pagórków. Mój cień idzie przede mną, tak że każdy mój krok stawiam nie na dywanie księżycowego blasku, tylko na plamie ciemności, którą sam stwarzam.

Zamiast pójść prosto do wielkich, głównych wrót stajni, w których umieszczone są mniejsze drzwi, wymiaru człowieka, idę, wiedziony instynktem, w stronę południowo-wschodniego rogu, przecinając asfaltową alejkę, która prowadzi obok domu i garażu. Dalej idę znów po trawie, okrążając róg stajni, a potem wzdłuż wschodniej ściany aż do północno-wschodniego rogu – cicho, boso, stąpając po dywanie własnego cienia.

Zatrzymuję się, ponieważ za stajnią stoi nieznanym samochód: chevrolet przerobiony na furgon, który tylko dlatego nie wydaje się czarny – jaki jest w rzeczywistości – że światło księżyca zmienia każdy kolor na srebrny albo szary. Na jego boku wymalowano tęczę, której barwy wyglądają jak różne odcienie szarości. Tyłne drzwi samochodu są otwarte.

Panuje głęboka cisza. Wokół nie ma nikogo.

Mam już czternaście lat, ale do tej pory nie wiedziałem, mimo że od wczesnych lat fascynowały mnie święta zmarłych, potwory, i koszmary – że niesamowitość i groza mogą być takie nęcące i że nie potrafię oprzeć się ich perwersyjnemu powabowi. Robię krok w kierunku furgonu i...

...coś z szumem i trzepotem przecina powietrze tuż nad moją głową, napełniając mnie grozą. Potykam się, padam, odwracam – i widzę rozpostarte nade mną ogromne, białe skrzydła. Przez oświetloną księżycem trawę przemyka cień, a ja doznaję absurdalnego wrażenia, że to moja matka, przybrawszy anielski kształt, przestrzega mnie przed zbliżeniem się do furgonu. Potem uskrzydłona zjawia wzbija się wyżej i odlatuje w ciemność, a ja orientuję się, że to tylko wielka biała sowa, o rozpiętości skrzydeł około pięciu stóp, szybująca w ciepłym powietrzu letniej nocy w poszukiwaniu polnych myszy lub innego żeru.

Sowa znika.

Noc trwa nadal.

Wstaję z ziemi.

Skradam się w stronę furgonu, przyciągany jego tajemniczością i szansą przeżycia przygody;

przyciągany przerażającą prawdą, o której jeszcze nie wiem, że istnieje.

Zapominam o łopocie skrzydeł sowy, choć tak niedawnym i zatrważającym. Ale ów krzyk bóleści, usłyszany jeszcze w domu, brzmi w mojej pamięci nieprzerwanie. Może zaczynam uświadamiać sobie, że nie był to lament dzikiego zwierzęcia, znajdującego swój koniec gdzieś na polu lub w lesie, lecz beznadziejna skarga jakiejś istoty ludzkiej, będącej w stanie najwyższej trwogi...

Pędząc fordem przez oświetloną księżycem Mojave, mimo braku skrzydeł mądry jak sowa, Spencer uparcie wracał pamięcią do jądra ciemności – do błysku stali z głębi mroku, do nagłego bólu, do zapachu gorącej krwi, do rany, z której powstała jego blizna – próbując znaleźć rozwiązanie zagadki, które zawsze mu umykało.

Tym razem umknęło mu znowu.

Nie mógł przypomnieć sobie żadnej z końcowych chwil tego piekielnego spięcia sprzed lat po tym, jak odwiódł kurek rewolweru i wrócił do rzeźni. Policja opowiedziała mu, jak to się skończyło. Czytał relacje z tego, co zrobił, napisane na podstawie zaistniałych faktów przez różnych dziennikarzy i pisarzy. Ale żaden z nich przy tym nie był. Nie mogli znać najprawdziwszej prawdy. Tylko on jeden tam był. Pamięć, żywa i bolesna, sięgała do pewnego miejsca, reszta utonęła w amnezji; po szesnastu latach nie potrafił rzucić najdrobniejszego promyka światła na mroki tamtej nocy.

Gdyby kiedyś przypomniał sobie tę resztę – zyskałby trwałą spokój. Z drugiej strony... poznanie prawdy mogłoby go zniszczyć. W ciemnym tunelu niepamięci mógł znaleźć hańbę, z którą nie potrafiłby żyć, wówczas prawda byłaby gorszym rozwiązaniem niż strzelenie sobie w głowę.

W każdym razie powtarzane co jakiś czas przypominanie sobie tego, co pamiętał, przynosiło mu chwilową ulgę. Poczul ją, jadąc przez pustynię Mojave z prędkością pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

Spojrzał na Rocky'ego i stwierdził, że śpi, zwinięty w kłębek na siedzeniu pasażera. Jego pozycja wydawała się pokraczna, a nawet ryzykowna, gdyż ogon trzymał na podłodze, pod tablicą przyrządów. Mimo to niewątpliwie czuł się wygodnie.

Spencer przypuszczał, że rytm opowiadania i ton jego głosu stawały się usypiające, ilekroć zabierał się któryś raz z rzędu do powtarzania tej historii. Biedny pies nie mógł nie zasnąć, nawet gdyby wokół szalała burza z piorunami.

A może nie mówił głośno. Może jego monolog wcześniej przechodził w szept, a potem cichł zupełnie, ciągnięty dalej głosem wewnętrznym. Kategoria słuchacza nie była istotna – pies nadawał się równie dobrze jak jakiś nieznajomy w barze – a zatem nie było również istotne, czy słuchacz słuchał. Osoba, która się interesowała jego historią, stwarzała mu jednak szansę przeżycia swojego opowiadania i uzyskania czasowego rozgrzeszenia, a przy tym – gdyby udało mu się wskrzesić światło w otchłani amnezji – osiągnięcia trwałego spokoju, takiego czy innego.

Byli pięćdziesiąt mil od Vegas.

Pędzone wiatrem suche krzaki, wielkie jak taczki, toczyły się w poprzek jezdni, znikąd donikąd.

Czyste, suche powietrze pustyni stwarzało doskonały obraz nieba. Miliony gwiazd – od horyzontu do horyzontu, pięknych, ale zimnych, wabiących, ale nieosiągalnych – sączyło zdumiewająco mało światła na równiny ciągnące się wzdłuż autostrady i mimo swojej majestatyczności nie rozświetlało niczego.

Roy Miro obudził się w swoim pokoju w hotelu Westwood, kiedy zegar stojący na stoliku nocnym wskazywał 4:19. Spał niecałe pięć godzin, ale czuł się wypoczęty, więc zapalił lampkę.

Odrzucił przykrycie, usiadł w piżamie na krawędzi łóżka, mrużąc oczy, żeby przyzwyczaiły się do światła, i uśmiechnął się z zadowoleniem na widok pojemnika. Przez przezroczysty plastik widać było nieokreślony kształt spoczywający wewnątrz.

Postawił sobie pojemnik na kolanach i otworzył wieko. Ręka Guinevere. Czuł się szczęśliwy, będąc właścicielem takiego skarbu.

Jaka szkoda, że jego wspaniałość nie potrwa długo. W ciągu dwudziestu czterech godzin, jeśli nie wcześniej, ręka znacznie się zmieni. Jej uroda będzie tylko wspomnieniem.

Już w tej chwili widać było, że ma inny kolor. Na szczęście kredowa białość raczej podkreślała subtelną strukturę kości długich, stożkowatych palców.

Roy niechętnie zakrył pojemnik wieczkiem, upewniając się, że uszczelka jest dobrze założona, i odłożył go na bok.

Przeszedł do saloniku swojego apartamentu. Przenośny komputer był już od dawna połączony z telefonem komórkowym, włączony do gniazda zasilającego i ustawiony na stole śniadaniowym obok dużego okna.

Po krótkiej chwili połączył się z Mamą. Zażądał wyników poszukiwań, które zlecił jej poprzedniego wieczora, gdy wraz ze swymi ludźmi stwierdził, że pod adresem znalezionym w rejestrze Biura Kontroli Pojazdów Zmechanizowanych znajdowało się niezamieszkane pole naftowe.

Był wówczas taki wściekły.

Teraz był spokojny. Chłodny. Panował nad sytuacją. Odczytując z ekranu raporty Mamy i przyciskając klawisz NASTĘPNA STRONA za każdym razem, kiedy kończył czytanie bieżącej, przekonał się, że znalezienie prawdziwego adresu Spencera Granta nie było łatwe.

W czasie pracy w wydziale zwalczania przestępstw komputerowych Spencer poznał ogólnonarodową sieć informatyczną i słabe punkty tysięcy systemów komputerowych, będących jej składnikami. Miał do dyspozycji księgi kodów i procedur oraz schematy programowe systemów komputerowych rozmaitych kompanii telefonicznych, agencji kredytowych i urzędów państwowych. Odchodząc, zabrał je z sobą lub przetransmitował elektronicznie do własnego komputera.

Po wycofaniu się ze służby zatarł za sobą wszystkie ślady w prywatnych i urzędowych rejestrach. Jego nazwisko pozostało tylko w rejestrach wojska, Biura Kontroli Pojazdów Zmechanizowanych, ubezpieczalni społecznej i policji, ale adresy w obu dotychczasowych przypadkach okazały się fałszywe. W aktach Federalnego Biura Podatkowego figurowały osoby o tym samym nazwisku, ale żadna z nich nie była w jego wieku, nie miała tego samego numeru karty ubezpieczalni społecznej, nie mieszkała w Kalifornii ani nie płaciła ulgowych podatków jako pracownik policji. Nie było go także w rejestrach władz podatkowych stanu Kalifornia.

Był więc co najmniej oszustem podatkowym. Roy nienawidził oszustów podatkowych, którzy wykazywali całkowity brak odpowiedzialności społecznej.

Mama nie znalazła go na wykazach rachunków żadnej z kompanii dostarczających energię i usługi. Gdziekolwiek jednak mieszkał – potrzebna mu była elektryczność, woda, telefon, wywóz śmieci i prawdopodobnie gaz przewodowy. Jeśli nawet wymazał swoje nazwisko z rejestrów rachunków za dostawę energii – nie mógł zniknąć z rejestrów rachunków za usługi bez obywatnia się bez nich. Mimo to nie można go było znaleźć.

Mama założyła dwie możliwości. Pierwsza – Grant był na tyle uczciwy, że płacił za usługi, więc zmienił własne nazwisko w rejestrach na fałszywe, przenosząc na nie płatność rachunków. Jedynym wytłumaczeniem tej operacji było zrealizowanie jego głównego celu: zniknięcia z życia publicznego, tak żeby nie mogła go znaleźć ani policja, ani żadne władze państwowe. Druga – był oszustem, który usuwał swoje przybrane nazwisko z rejestrów rachunków po to, żeby nie płacić za energię i usługi, które pod owym nazwiskiem otrzymywał. W obu przypadkach i on, i jego adres tkwiły gdzieś w rejestrach

kompanii pod nazwiskiem, które znał tylko on. Można było go znaleźć, znając ten pseudonim.

Roy zastopował wyświetlanie raportu Mamy i poszedł do sypialni po kopertę z komputerowym portretem Granta. Facet był niezwykle przebiegłym przeciwnikiem. Czytając dalszy ciąg raportu, Roy chciał mieć przed oczami zdjęcie tego inteligentnego drania.

Usiadł ponownie przed komputerem.

Mama nie znalazła konta Spencera Granta w żadnym banku ani w żadnym funduszu zapomogowo-pożyczkowym. Albo więc płacił za wszystko gotówką, albo miał konto pod innym nazwiskiem. Prawdopodobnie płacił gotówką. Sądząc po jego z lekka nienormalnych działaniach, mógł na przykład nie mieć zaufania do banków.

Roy rzucił okiem na portret Granta. Miał dziwny wyraz oczu. Rozgorączkowany, z odrobiną szaleństwa. Może nawet więcej niż odrobiną.

Ponieważ Grant mógł utworzyć bezimienną korporację, za której pośrednictwem załatwiał swoje sprawy bankowe i płacenie rachunków, Mama przeanalizowała akta Kalifornijskiego Urzędu Skarbowego i innych władz fiskalnych, szukając jego nazwiska w spisie urzędników zarejestrowanych korporacji. Bez rezultatu.

Każde konto bankowe jest związane z numerem karty ubezpieczenia społecznego. Mama sprawdziła, czy jakieś konta czekowe lub oszczędnościowe, niezależnie od nazwiska dysponenta, nie mają przypisanego numeru ubezpieczenia Granta. Bez rezultatu.

Mógł być też właścicielem domu, w którym mieszkał. Mama sprawdziła rejestry podatków od nieruchomości w okręgach zaznaczonych przez Roya. Bez rezultatu. Jeśli Grant miał dom, to tytuł własności tego domu przypisany był innemu nazwisku.

Jeszcze jedna szansa: skoro Grant studiował na uniwersytecie albo jeśli był kiedykolwiek pacjentem szpitala – mógł zapomnieć, że podał swój adres na formularzu podania lub na karcie rejestracyjnej, i nie wymazał go. Większość instytucji oświatowych i medycznych podporządkowana była przepisom federalnym; ich rejestry były dostępne różnym agendum rządowym. Biorąc pod uwagę liczbę takich instytucji nawet na ograniczonej przestrzeni, Mama musiałaby mieć cierpliwość świętej albo maszyny. Miała tę drugą, ale też na próżno. Nie znalazła niczego.

Roy popatrzył na portret Granta. Zaczynał wierzyć, że ten człowiek nie tylko nie miał wszystkich klepek, ale że był kimś działającym ze złych pobudek. Każdy, do tego stopnia dbający o własne zakonspirowanie, był z pewnością wrogiem społecznym.

Zmrożony tą myślą, wrócił do komputera.

Kiedy wszystkie poczynania okazały się bezowocne mimo tak ogromnej skali poszukiwań, Mama się nie poddała. Została zaprogramowana w ten sposób, żeby jej nieużywane podczas okresów lżejszej pracy lub okresów beczynności obwody logiczne przepatrywały gromadzone przez wszystkie agencje reklamowe rejestry osób, którym wysyłano ulotki reklamujące najróżniejsze towary. „Zupa z nazwisk” – tak nazywano te rejestry. Nazwiska czerpano z klubów książkowych i płytowych, z prasy, z izb rachunkowych wydawców, ze znaczniejszych partii politycznych, z kompanii prowadzących sprzedaż wysyłkową, z kręgów wspólnych zainteresowań, na przykład kolekcjonerów aut weteranów lub zbieraczy znaczków – i z wielu innych źródeł.

Z tej zupy Mama wyłowiła jeszcze jednego Spencera Granta, innego niż ci, którzy zostali znalezieni w rejestrach Federalnego Biura Podatkowego.

Roy, zaintrygowany, wyprostował się na krześle. Blisko dwa lata temu ten Spencer Grant zamówił w firmie wysyłkowej zabawkę dla psa: grającą kość z twardej gumy. Zabawka została wysłana do Malibu

w Kalifornii.

Mama sprawdziła, czy adres, pod który została wysłana, figuruje w rejestrach kompanii dostarczających energii i usług. Wynik był pozytywny.

Energia elektryczna była dostarczana na nazwisko Stewarta Pecka.

Rachunki za wodę i wywóz śmieci wysyłane były na nazwisko Henry'ego Holdena.

Rachunki za gaz – na nazwisko Jamesa Gable'a. Kompania telefoniczna obsługiwała Johna Humphreya. Rachunki za telefon komórkowy przychodziły pod tym samym adresem na nazwisko Williama Clarka.

AT & T łączyło długodystansowe rozmowy Wayne'a Gregory'ego.

Podatek od nieruchomości opłacał Robert Tracy. Mama odnalazła człowieka z bliźną.

Mimo prób ukrycia się za zmyślną zasłoną wachlarzyka nazwisk, mimo starannego zatarcia śladów swojej przeszłości w celu uczynienia obecnej egzystencji równie trudną do udowodnienia jak potwora z Loch Ness – choć prawie udało mu się przedzierać w ducha – Spencer Grant wpadł przez grającą gumową kość dla psa. Wydawało się, że jest niewiarygodnie sprytny, a tymczasem zgubiło go bezmyślne, ludzkie pragnienie sprawienia przyjemności ukochanemu psu.

Rozdział 9

Roy Miro patrzył na niebieskie cienie eukaliptusów, delektując się aptecznym, ale mimo to przyjemnym zapachem oleistych liści.

Utworzony na gwałt oddział SWAT uderzył na chatę godzinę po świcie, kiedy w kanionie panowała cisza zakłócana tylko delikatnym szelestem liści poruszanych nadbrzeżną bryzą. Nastrój został przerwany hałasem pękających szyb, wybuchami granatów ogłuszających i trzaskiem frontowych i tylnych drzwi, wyłamywanych jednocześnie.

Chata była mała, więc wstępne przeszukanie nie trwało minuty. Alfonse Johnson, ubrany w kamizelkę kuloodporną tak grubą, że zatrzymałaby nawet powlekane teflonem pociski, wyszedł na tylną werandę, trzymając w rękach micro-uzi i dając znak, że chata jest pusta.

Roy, rozczarowany, wyłonił się spod eukaliptusów i wszedł za Johnsonem tylnymi drzwiami do kuchni, gdzie pod butami chrzęściły odłamki szkła.

– Wyjechał na dłużej – powiedział Johnson.

– Skąd wiesz?

– Chodź ze mną.

Poszedł za Johnsonem do jedynej sypialni. Była umeblowana tak skromnie jak cela mnicha. Na z grubsza otynkowanych ścianach nie widniały żadne ozdoby. Nad oknami, zamiast zasłon albo firanek, wisały winylowe rolety.

Przed jedynym stolikiem nocnym, obok łóżka, stała walizka.

– Musiał dojść do wniosku, że nie będzie jej potrzebował – zauważył Johnson.

Prosta bawełniana kapa na łóżku była trochę pognieciona, jak gdyby Grant położył na niej inną walizkę, żeby spakować rzeczy na podróż.

Drzwi do szafy zostawił otwarte. Na drewnianym drążku wisało kilka koszul i kilka par dżinsów i luźnych bawełnianych spodni, ale połowa wieszaków była pusta.

Roy wysunął kolejno szuflady komódki. Znalazł w nich trochę bielizny, skarpetki, pasek i dwa swetry. Zielony i niebieski.

Gdyby rzeczy wypełniające jedną dużą walizkę umieścić na powrót w szufladach, zostałyby w nich jeszcze dużo miejsca. Tak więc, albo Grant zabrał z sobą dwie lub więcej walizek, albo był równie oszczędny w wydatkach na garderobę jak na przyozdobienie ścian.

– Czy są jakieś ślady psa?

Johnson potrząsnął przecząco głową.

– Nie zauważyłem.

– Rozejrzyj się. Tu i na zewnątrz – nakazał mu Roy, wychodząc z sypialni.

Trzej członkowie oddziału SWAT, z którymi Roy do tej pory nigdy jeszcze nie współpracował, stali w living-roomie. Byli wysocy i mocno zbudowani. W małym pomieszczeniu ich kamizelki ochronne, buty bojowe i błyszcząca broń sprawiały, że wydawali się jeszcze więksi. Kiedy okazało się, że nie ma do kogo strzelać ani z kim walczyć, poczuli się zdeprimowani jak zawodowi zapaśnicy zaproszeni na herbatę przez osiemdziesięcioletnie członkinie klubu robótek ręcznych.

Roy miał właśnie wysłać ich na zewnątrz, gdy zauważył, że ekran jednego z komputerów ustawionych na mieszczącym się w rogu pokoju biurku w kształcie litery L jest czynny. Na ciemnym tle świeciły się białe znaki.

– Kto go włączył? – zapytał trójkę mężczyzn.

Patrzyli na komputer, zbici z tropu.

– Musiał być włączony, zanim tu weszliśmy.

– Nie zauważyliście tego?

– Z początku nie.

– Grant musiał się spieszyć – orzekł drugi.

Alfonse Johnson, który właśnie wszedł do pokoju, zaprzeczył.

– Założyłem się o wszystko, że kiedy wszedłem frontowymi drzwiami, nie był włączony.

Roy podszedł do biurka. Na ekranie komputera widniała ta sama liczba, zapisana trzy razy.

31

31

31

Nagle liczby zmieniły się, kolejno od górnej w kolumnie po dolną, aż wszystkie osiągnęły tę samą wartość.

32

32

32

Równocześnie z pojawieniem się trzeciej trzydziestkidwójki, z jednego z urządzeń elektronicznych, stojących na biurku, wydobył się cichy warkot. Trwał tylko parę sekund, tak że Roy nie zdążył zorientować się, które z urządzeń go wydało.

Liczby znów kolejno się zmieniły.

33

33

33

Ponownie rozległ się dwusekundowy warkot.

Mimo że Roy był znacznie lepiej niż przeciętny obywatel obeznany z różną specjalistyczną aparaturą elektroniczną i posługiwaniem się nią, nie widział jeszcze nigdy większości przyrządów znajdujących się na biurku. Niektóre z nich okazały się domowej roboty. Świecące się małe czerwone i zielone lampki wskazywały, które z tych urządzeń są czynne. Wszystkie aparaty były wzajemnie z sobą połączone gąszczem przewodów o różnych grubościach.

34

34

34

Kolejny warkot.

Intuicja podpowiadała Royowi, że dzieje się coś ważnego. Ale co? Nie miał pojęcia, więc ze wzrastającą gorliwością wglębiał się w aparaturę.

Liczby na ekranie zmieniły się kolejno od góry do dołu, osiągając wartość trzydzieści pięć. Warkot.

Gdyby liczby malały, mógłby sądzić, że to jest odliczanie czasu przed detonacją. Bomba. Oczywiście, żadne prawo nie ustanawiało, że bomba może zostać zdetonowana tylko na końcu odliczania. Dlaczego nie na początku? Start odliczania od zera, detonacja przy stu. Albo przy pięćdziesięciu. Albo przy czterdziestu.

36

36

36

Warkot.

Nie, to nie może być bomba. To bez sensu. Po co Grant miałby wysadzać w powietrze własny dom?

Łatwa odpowiedź. Ponieważ to szaleniec. Paranoik. Roy pamiętał jego oczy na portrecie komputerowym: rozgorączkowane, naznaczone obłędem.

Trzydzieści siedem. Warkot.

Zaczął badać płataninę kabli, mając nadzieję dowiedzieć się czegoś ze sposobu, w jaki urządzenia zostały z sobą połączone.

Po jego lewej skroni łąziła mucha. Zirytowany, podrapał to miejsce. Nie, to nie mucha. Kropla potu.

– Coś nie tak? – spytał Alfonse Johnson.

Stanął obok Roya, niewspółmiernie wysoki, opancerzony i uzbrojony – niczym koszykarz przyszęłego pokolenia, które przeistoczyło tę grę w rodzaj walki na śmierć i życie.

Liczby na ekranie doszły do czterdziestu. Roy zamarł, usłyszał warkot i odprężył się, ponieważ chata nie wyleciała w powietrze.

Jeśli to nie bomba, to cóż innego?

Żeby zrozumieć sytuację, musiał postawić się na miejscu Granta. Wyobrazić sobie, jak widzi świat paranoidalny psychopata. Spróbować popatrzeć oczami szaleńca. Trudna sprawa.

Z drugiej strony, Grant był piekielnie inteligentny. Kiedy omal nie został ujęty podczas wtorkowego ataku na bungalow w Santa Monica, domyślił się, że został sfotografowany i że stał się celem intensywnych poszukiwań. Poza tym był ekspolicjantem i znał metody działania. Poświęcił ubiegły rok na stopniowe znikanie z wszelkich publicznych rejestrów, ale miał świadomość, że jednak nie rozplynął się w powietrzu i że prędzej czy później odnajdą jego chatę.

– Coś nie tak? – powtórzył Johnson.

Grant musiał się spodziewać, że włamią się do jego chaty w ten sam sposób, w jaki włamali się do bungalowu, że będzie to cały oddział SWAT i że przeszukają wszystkie kąty.

Roy poczuł suchość w ustach i przyspieszone bicie serca.

– Sprawdź framugi drzwi. Musieliśmy włączyć alarm.

– Alarm? W tej starej ruderze? – spytał z powątpiewaniem Johnson.

– Zrób to – rozkazał Roy.

Johnson wybiegł z pokoju.

Roy gorączkowo przeglądał sploty kabli. Włączony był komputer mający najpotężniejszą jednostkę logiczną spośród pozostałych komputerów stojących na biurku. Był połączony z wieloma urządzeniami, między innymi z nieokreślonego charakteru zieloną skrzynką, która z kolei była podłączona do modemu, ten zaś do sześcioliniowego aparatu telefonicznego.

Dopiero teraz zauważył, że jedno z czerwonych światełek wskazywało na to, że pierwsza linia telefonu jest zajęta. Trwało jakieś połączenie telefoniczne.

Podniósł do ucha słuchawkę. Odbywała się transmisja danych – słyszalna jako kaskada elektronicznych dźwięków: przyspieszona, dziwaczna muzyka pozbawiona melodii i rytmu.

– W progu jest kontakt magnetyczny – zawołał Johnson od strony frontowych drzwi.

– Widać druty? – spytał Roy, odkładając słuchawkę na widełki.

– Tak. Niedawno zainstalowany. Ma nowe, czyste styki.

– Sprawdź, dokąd prowadzą druty.

Ponownie zerknął na komputer. Odliczanie osiągnęło liczbę czterdzieści pięć.

Wrócił do zielonej skrzynki połączonej z komputerem i z modemem i zauważył jeszcze jeden szary

kabel, prowadzący do czegoś, czego jeszcze nie odkrył. Biegł wzdłuż biurka do jego krawędzi poprzez gęszcz przewodów na tyłach urządzeń i dalej po podłodze.

Po drugiej stronie pokoju Johnson odrywał przewód alarmowy od listwy przypodłogowej, do której był przypięty, zwijając go wokół ubranej w rękawiczkę pięści. Trzej pozostali mężczyźni przyglądali się temu, usuwając się z drogi.

Roy szedł wzdłuż szarego kabla aż do miejsca, w którym ów zniknął za wysoką półką z książkami. Zwijający przewód alarmowy Johnson doszedł do drugiej strony tej samej półki.

Roy szarpnął szarym kablem, a Johnson swoim. Zakołysały się książki na przedostatniej górnej półce.

Miro spojrzał w górę. Między grzbietami grubych książek historycznych zobaczył jednocalowej średnicy obiektyw, wycelowany prawie prosto w niego, umieszczony trochę powyżej poziomu oczu. Powyjmował książki z półki, odsłaniając małą wideokamerę.

– Co za diabeł? – spytał Johnson.

Liczby na ekranie doszły do czterdziestu ośmiu.

– Kiedy rozłączyłeś kontakt magnetyczny przy drzwiach, uruchomiłeś tym samym wideokamerę – wytłumaczył Roy.

Puścił kabel i wziął z półki jeszcze jedną książkę.

– Więc wystarczy zniszczyć taśmę, żeby nikt się o nas nie dowiedział – zauważył Johnson.

Roy otworzył książkę i oddał róg jednej ze stron.

– To nie jest takie proste. Wraz z kamerą został uruchomiony komputer oraz cały system, który zainicjował połączenie telefoniczne.

– Jaki system?

– Wideokamera jest połączona z tamtą podłużną, zieloną skrzynką stojącą na biurku.

– Tak? Jak to działa?

Roy zebrał w ustach ślinę, wypluł ją na wydarty z książki kawałek papieru i przyklepił go do obiektywu.

– Nie wiem dokładnie, jak to działa, ale skrzynka w jakiś sposób przetwarza obraz z kamery na inny rodzaj zapisu i przesyła go do komputera.

Podszedł do ekranu. Nie czuł już takiego napięcia jak przed znalezieniem kamery, ponieważ wiedział, co się dzieje. Nie był zadowolony – ale przynajmniej rozumiał sytuację.

51

50

50

Druga liczba zmieniła się w pięćdziesiąt jeden. Potem trzecia.

Warkot.

– Co cztery, pięć sekund komputer zatrzymuje klatkę obrazu, rejestruje dane informatyczne i odsyła je z powrotem do zielonej skrzynki. Następuje wówczas zmiana pierwszej liczby.

Czekali parę chwil.

52

51

51

– Zielona skrzynka – ciągnął Roy – przesyła dane informatyczne tej klatki do modemu i wówczas zmienia się druga liczba.

52

52

51

– Modem przetwarza te dane na kod tonalny, nadaje go przez telefon – wówczas zmienia się trzecia liczba – a...

52

52

52

– ...na drugim końcu linii telefonicznej cały ten proces zostaje powtórzony w odwrotnej kolejności, w rezultacie czego zakodowane dane zamieniają się z powrotem w zdjęcie.

– W zdjęcie? – zapytał Johnson. – W nasze zdjęcie?

– Przed sekundą otrzymał pięćdziesiąte drugie zdjęcie, od chwili gdy wkroczyłeś do tej chaty.

– Cholera!

– Pięćdziesiąt spośród nich stanowią dobre i ostre – póki nie zakleiliśmy obiektywu kamery.

– Gdzie on je odbiera?

– Musimy zbadać połączenie telefoniczne dokonane przez komputer w momencie włamania – powiedział Roy, wskazując na czerwone światło palące się przy linii numer jeden sześcioliniowego telefonu. – Grant wolał nie stanąć z nami twarzą w twarz, ale to jasne, że chciał wiedzieć, jak wyglądamy.

– I patrzy w tej chwili na nasze zdjęcie?

– Prawdopodobnie nie. Drugi koniec linii może być tak samo zautomatyzowany jak ten. Musi jednak tam kiedyś zajrzeć, żeby sprawdzić, czy coś nie nadeszło. Do tego czasu przy odrobinie szczęścia odnajdziemy tamten telefon i poczekamy na niego.

Trzej pozostali mężczyźni odsunęli się od komputerów. Spoglądali zabobonnie na całą aparaturę.

Jeden z nich spytał:

– Co to za facet?

– Nic takiego. Po prostu chory, nie lubiany człowiek.

– Czemu nie wyciągnąłeś wtyczki zasilania, kiedy zorientowałeś się, że nas filmuje? – zapytał z pretensją Johnson.

– Już i tak nas miał, więc to nie miało większego znaczenia. Może poza tym nastawił cały system w ten sposób, żeby pamięć na twardym dysku ulegała skasowaniu w momencie wyciągnięcia wtyczki. Nie wiedzielibyśmy wówczas, jakie są w nim programy i informacje. Dopóki system jest nietknięty, będziemy mogli się dowiedzieć, w co ten facet jest zamieszany. Może uda nam się odtworzyć jego działania w ciągu ostatnich dni, tygodni lub miesięcy. Może znajdziemy jakieś wskazówki, dokąd mógł się udać. Być może nawet naprowadzi nas na trop tej kobiety.

55

55

55

Warkot.

Nagle ekran rozbłysł, a przestraszony Roy cofnął się. Kolumna liczb zniknęła, a na jej miejscu ukazał się napis: MAGICZNA LICZBA.

Połączenie telefoniczne zostało przerwane. Czerwona lampka wskaźnika rozmowy zgasła.

– Nic nie szkodzi – powiedział Roy. – Możemy odnaleźć adresata poprzez automatyczny rejestrator połączeń kompanii telefonicznej.

Napis na ekranie komputera zniknął.

– Co się dzieje? – zapytał Johnson.

Pojawił się nowy napis: MÓZG UMARŁ.

Roy zaklął.

– Ty cholerny draniu, sukinsynu, wariacie z pokiereszowaną mordą!

Alfonse Johnson cofnął się o krok, zdumiony wściekłą reakcją człowieka, który zawsze był łagodny i zrównoważony.

Roy wyciągnął krzesło i usiadł przy biurku. Kiedy pochylił się nad klawiaturą, napis MÓZG UMARŁ zniknął.

Miał przed sobą czyste niebieskie pole.

Klnąc, próbował wywołać podstawowe menu. Bez rezultatu. Przebiegał palcami po klawiaturze. Niebieskie pole pozostawało martwe.

Twardy dysk był dziewiczo czysty. Nawet system operacyjny, który z pewnością pozostał nietknięty, nie funkcjonował.

Grant posprzątał po sobie, a potem zakpił z nich oświadczeniem, że MÓZG UMARŁ.

Oddychaj głęboko. Powoli i głęboko. Wdychaj brzoskwiniową mgłę spokoju. Wydychaj żółtozielone wyziewy irytacji i napięcia. Relaks – do wewnątrz, złość – na zewnątrz.

Spencer z Rockym przybyli do Las Vegas koło północy. Szpaler mrugających, falujących, wirujących i pulsujących neonów wzdłuż słynnego Stripu zmieniał noc w jasny dzień. Nawet o tej porze na Boulevard South tworzyły się korki. Mnóstwo ludzi tłoczyło się na chodnikach, ich twarze wyglądały w blasku neonów niesamowicie i demonicznie. Przemieszczali się od kasyna do kasyna jak insekty biegnące w poszukiwaniu czegoś, o czym nikt prócz nich nie wie.

Kipiący ruch uliczny przysięgnął Rocky'ego. Mimo że oglądał go z bezpiecznego wnętrza forda przy szczelnie zamkniętych oknach, zaczął drzeć, nim jeszcze dojechali do centrum. Skomlił i bojaźliwie rozglądał się na boki, jakby był pewny, że lada chwila nastąpi atak, tylko nie wiadomo z której strony. Może wyczuwał jakimś szóstym zmysłem rozgorączkowanie najbardziej zawziętych hazardzistów, drapieżną chęć zarobku przestępców i prostytutek i rozpacz tych, którzy stracili fortunę.

Wydostali się z tego kotła i przenocowali w motelu na Maryland Parkway, o dwie przecznice od Stripu. W motelu było spokojnie, nie prowadzono ani kasyna, ani baru koktajlowego.

Spencer był zmęczony, więc zasnął łatwo mimo zbyt miękkiego łóżka. Śniły mu się czerwone drzwi, które bezustannie otwierał – dziesięć, dwadzieścia, sto razy. Czasem za drzwiami był mrok: ciemność pachnąca krwią, która przyprawiała go o skurcz serca. Czasem była tam Valerie Keene, ale kiedy wyciągał do niej rękę – ona cofała się, a drzwi zatrząskiwały się z hukiem.

W piątek rano Spencer ogolił się i wykąpał. Nappełnił jedną z misek jedzeniem dla psa, do drugiej nalał wody i postawił obie na podłodze.

– Jest tu bistro. Zjem śniadanie, wrócę po ciebie i wyprowadzimy się.

Pies nie chciał zostać sam. Zaskomlił prosząco.

– Jesteś tu bezpieczny – powiedział Spencer.

Otworzył próbnie drzwi, sądząc, że Rocky rzuci się do nich. Tymczasem pies usiadł i teatralnie zwiesił łeb.

Spencer wyszedł na promenadę, oglądając się za siebie. Rocky trwał bez ruchu, drżąc i trzymając łeb opuszczony.

Spencer westchnął, wrócił do pokoju i zamknął drzwi.

– W porządku, zjedz śniadanie, a potem pójdziemy razem.

Rocky śledził uważnie, jak jego pan sadowi się w fotelu. Podeszedł do miski z jedzeniem i jeszcze raz spojrzął na Spencera, a potem niepewnie na drzwi.

– Nigdzie nie idę – zapewnił go Spencer.

Zamiast rzucić się, jak zwykle, na jedzenie i pochłonąć je w mgnieniu oka, Rocky jadł kulturalnie i w tempie, którego nie można się było po nim spodziewać. Delektował się jedzeniem, jakby to miał być jego ostatni posiłek.

Kiedy wreszcie skończył, Spencer opłukał miski, wysuszył je i zapakował cały bagaż do samochodu.

W lutym w Vegas potrafiło być tak ciepło jak późną wiosną, ale położona na wyżynach pustynia bywała nieregularnie atakowana falami ostrej zimy. Tego piątkowego ranka niebo było szare, a temperatura wahała się około zera. Od gór na zachodzie wiał wiatr zimny jak serce krupiera w kasynie.

Po załadowaniu bagażu odwiedzili otoczony krzakami parking na tyłach motelu. Spencer stanął na straży, odwrócony plecami, trzymając ręce w kieszeniach i garbiąc się z zimna, podczas gdy Rocky oddawał hołd naturze.

Wrócili do forda. Spencer przeprowadził go z południowego skrzydła motelu przed północne, gdzie mieściło się bistro.

Zaparkował przy krawężniku, przed wielkimi, szklanymi witrynami lokalu.

Będąc już wewnątrz, usiadł w boksie koło okna, na wprost forda odległego o mniej niż dwadzieścia stóp. Rocky siedział na miejscu pasażera, wyprostowany, obserwując pana przez przednią szybę.

Spencer zamówił jajka, frytki, tosty i kawę. Jedząc, spoglądał często w stronę samochodu. Rocky patrzył na niego bez przerwy.

Od czasu do czasu Spencer kiwał do niego ręką. Pies był z tego zadowolony. Za każdym razem machał radośnie ogonem. Raz nawet oparł łapy na desce rozdzielczej i szczerząc zęby, przytknął nos do szyby.

– Co oni z tobą musieli robić, kolego, że jesteś taki? – dziwił się głośno Spencer, pijąc kawę i przyglądając się uwielbiającemu go psu.

Roy Miro zostawił swoich ludzi, żeby przeszukali każdy cal chaty w Malibu, a sam wrócił do Los Angeles. Przy odrobinie szczęścia mogli znaleźć wśród rzeczy Granta coś, co rzuciłoby światło na jego osobowość, objawiło nieznanne mu aspekty jego przeszłości albo przyniosło jakieś wskazówki o obecnym miejscu pobytu.

W biurze w śródmieściu agenci przeszukiwali już rejestry kompanii telefonicznej, żeby ustalić trasę rozmowy przeprowadzonej przez komputer. Grant najprawdopodobniej zamaskował swój ślad. To byłby sukces, gdyby się dowiedzieli, nawet do jutra, pod jakim numerem i w jakiej miejscowości Grant odebrał owe pięćdziesiąt zdjęć z wideokamery.

Jadąc Coast Highway na południe, w kierunku Los Angeles, Roy przełączył swój telefon komórkowy na tryb głośno mówiący i zadzwonił do Klecka przebywającego nadal na terenie Orange County.

Mimo pewnych śladów zmęczenia głos Klecka był aksamitny i głęboki.

– Zaczynam nienawidzić tej podstępnej suki – powiedział, mając na myśli kobietę, która nazywała się Valerie Keene do chwili, kiedy we wtorek porzuciła swój samochód na lotnisku Johna Wayne'a i stała się, po raz kolejny, kimś nowym.

Słuchając Klecka, Roy miał trudności z wyobrażeniem sobie tego szczupłego, mizernego młodego agenta o twarzy pstrąga.

Dźwięczny bas kazał spodziewać się raczej wysokiego, barczystego czarnego wokalisty rockowego.

Kleck nadawał wszystkim swoim raportom najwyższą rangę ważności nawet wtedy, gdy nie miał nic do zameldowania. Tak było i tym razem. Cała jego grupa nadal nie miała pojęcia, gdzie ta kobieta się podziała.

– Objęliśmy poszukiwaniami wszystkie okręgowe agencje wynajmu samochodów – grzmiał Kleck. – Sprawdzamy doniesienia o skradzionych samochodach. Notujemy na naszych specjalnych kartach poszukiwań wszystkie czteroślady podpieprzone we wtorek w ciągu całego dnia.

– Ona jeszcze nigdy nie ukradła samochodu – zauważył Roy.

– Dlatego mogła to zrobić teraz – po prostu, żeby nas zmylić. Martwi mnie to, że mogła odjechać autostopem. Nie da się wyśledzić podróżujących na kciuk.

– Jeśli odjechała autostopem, to – przy dzisiejszej ilości wędrujących swobodnie psychopatów – nie musimy się więcej martwić – powiedział Roy. – W tej chwili jest już zgwałcona, zamordowana, bez głowy, z wyprutymi flakami i pocięta na kawałki.

– Zgadzam się – odparł Kleck. – Chciałbym tylko dostać jeden kawałek dla identyfikacji.

Po rozmowie z Kleckiem Roy uległ przeczuciu, że tego dnia czekają go same złe wiadomości.

Pesymizm nie był w jego stylu. Czuł wstręt do pesymistów. Kiedy zbyt wielu z nich równocześnie promieniowało pesymizmem – mogli naruszać naturalny bieg rzeczy, powodując trzęsienia ziemi, huragany, katastrofy pociągów i samolotów, kwaśne deszcze, ogniska raka, zakłócenia w radiokomunikacji oraz niebezpieczne rozdrażnienie wśród społeczeństwa. Mimo to nie mógł wyzwolić się od przygnębiającego nastroju.

Chcąc podnieść się na duchu, wyjął delikatnie swój skarb z plastikowego pojemnika i położył go na sąsiednim siedzeniu.

Pięć nieskazitelnych palców. Wzorcowe, naturalne, nie pomalowane paznokcie, wszystkie z idealnie symetrycznym półksiężycem. I czternaście najdoskonalszych kostek, jakie kiedykolwiek widział. Długość żadnej z nich nawet o milimetr nie odbiegała od ideału. Pięć nieskazitelnych kostek śródrezcza napinało skórę na wdzięcznie wygiętym grzbiecie dłoni. Skóra była blada, ale bez najmniejszej skaży; gładka jak stopiony wosk świecy na stole Pana Boga.

Jadąc na wschód w stronę śródmieścia, Roy od czasu do czasu zerkał na fenomen Guinevere i po każdym spojrzeniu jego samopoczucie się poprawiało. Nim znalazł się w pobliżu Parker Center, głównego budynku administracji Departamentu Policji Los Angeles, był już pełen optymizmu.

Czekając na zmianę świateł na skrzyżowaniu, niechętnie schował rękę do pojemnika. Wsunął relikwiarz, wraz z jego cenną zawartością, pod fotel kierowcy.

Zajechał do Parker Center, zostawił samochód w podziemnym garażu i okazując legitymację FBI, pojechał windą na piąte piętro. Był umówiony z kapitanem Harrisem Descoteaux, który już czekał na niego w swoim gabinecie.

Roy znał go tylko z krótkiej rozmowy telefonicznej przeprowadzonej z Malibu, więc poczuł się zaskoczony, że kapitan był Murzynem. Miał błyszczącą, bardzo ciemną, nieskazitelną skórę mieszkańca Karaibów i pomimo iż mieszkał od lat w Los Angeles – w jego mowie pozostał ślad śpiewnego języka wysp.

Ubrany w niebieskie spodnie na szelkach, białą koszulę i niebieski krawat w ukośne czerwone pasy, Descoteaux prezentował postawę, godność i powagę sędziego Sądu Najwyższego, mimo że miał podwiniete rękawy koszuli, a marynarkę powiesił na oparciu krzesła.

Wymieniwszy z Royem uścisk dłoni, Harris Descoteaux wskazał na jedyne krzesło dla gości.

– Proszę usiąść.

Mały pokój nie dorównywał poziomem człowiekowi, który go zajmował. Miał kiepską wentylację, słabe oświetlenie i był nędznie umeblowany.

Royowi zrobiło się przykro na ten widok. Żaden urzędnik państwowy na szczeblu kierowniczym, zarówno w służbie bezpieczeństwa publicznego, jak i gdziekolwiek indziej, nie powinien pracować w takiej ciasnocie. Praca na rzecz społeczeństwa była szczytnym powołaniem; Roy uważał, że ci, którzy pozostawali w tej służbie, powinni być traktowani z szacunkiem, wdzięcznością i szczodrobliwością.

Descoteaux usiadł na swoim krześle za biurkiem i powiedział:

- FBI potwierdza pańską tożsamość, ale nic nie mówi o sprawie, którą pan się zajmuje.
- Sprawa bezpieczeństwa narodowego – zapewnił go Roy.

Każde zapytanie na temat Roya, adresowane do FBI, było kierowane do Cassandra Solinko, cenionej zastępczyni dyrektora, zajmującej się sprawami administracyjnymi. Ta potwierdzała kłamstwo (ale nigdy na piśmie), że Roy jest agentem; nie rozmawiała natomiast na temat istoty śledztwa, ponieważ nigdy nie wiedziała, co on robi.

Descoteaux zmarszczył brwi.

- Sprawa bezpieczeństwa... to dość mgliste wyjaśnienie.

Jeśli Roy wpadłby w poważne tarapaty w rodzaju takich, które prowadzą do śledztwa na polecenie Kongresu i trafiają na pierwsze strony gazet, Cassandra Solinko zaprzeczyłaby, że kiedykolwiek potwierdzała jego przynależność do FBI. Gdyby jej nie uwierzono i wezwano do stawienia się przed sądem, żeby zeznawała, co wie o Royu i bezimiennej organizacji, wówczas z dużym prawdopodobieństwem mógłby ją spotkać śmiertelny udar mózgu albo zawał serca, albo czołowe zderzenie – przy dużej szybkości – z podporą mostu. Zdawała sobie sprawę z konsekwencji współpracy.

- Przykro mi, kapitanie Descoteaux, ale nie mogę podać panu szczegółów.

Gdyby Roy sam spowodował takie kłopoty, konsekwencje byłyby podobne. Praca na rzecz społeczeństwa bywa czasem bardzo stresująca. Rekompensatę stanowią wygodne biura, premie i praktycznie nieograniczone dochody uboczne.

Descoteaux nie lubił być spławiany. Rozchmurzył się, uśmiechnął i odezwał swoim miękkim akcentem mieszkańca wysp.

- Trudno udzielić pomocy, nie znając choć w zarysie sprawy.

Łatwo było ulec urokowi kapitana, wziąć jego niespieszne, płynne ruchy za wyraz lenistwa i dać się zwieść jego dźwięcznemu głosowi, wnioskując z niego, że kapitan jest człowiekiem powierzchownym.

Jednak Roy wyczytał prawdę z jego oczu, które były ogromne, czarne jak atrament i tak szczerze i przenikliwe, jak oczy na portretach Rembrandta. Oczy kapitana ujawniały inteligencję, cierpliwość i nieugiętą dociekliwość. Ta ostatnia cecha określała typ człowieka, którego postawa stwarzała największe zagrożenie dla wszystkich osób wykonujących pracę tego samego charakteru co Roy.

Odwzajemniając uśmiech Descoteaux własnym, jeszcze słodszy, i przekonany, że jego osobisty urok młodego Świętego Mikołaja pasuje do czaru mieszkańca Karaibów, powiedział:

– W tej chwili nie potrzebuję pomocy, przynajmniej nie w sensie jakiegoś działania. Potrzeba mi nieco informacji.

- Z przyjemnością panu pomogę – odparł kapitan.

Potęga obu uśmiechów usunęła na chwilę problem niedostatecznego oświetlenia biura.

- Nim został pan przeniesiony do centrali, był pan, jak wiem, dowódcą dywizji.

– Tak. Byłem komendantem Zachodniej Dywizji Policji Los Angeles.

- Przypomina pan sobie młodego policjanta, który ponad rok był pańskim podwładnym – Spencera

Granta?

Oczy Descoteaux nieco się rozszerzyły.

– Tak, oczywiście. Pamiętam Spence’a. Dobrze go pamiętam.

– Czy był dobrym policjantem?

– Najlepszym – odparł bez wahania Descoteaux. – Po Akademii Policyjnej ze specjalizacją w dziedzinie kryminologii, po służbie wojskowej w oddziałach specjalnych. Był przede wszystkim sumienny.

– Kompetentny?

– Kompetencja jest w jego przypadku określeniem zbyt skromnym.

– I inteligentny?

– W najwyższym stopniu.

– A ci dwaj złodzieje samochodów, których zabił – czy to strzelanie było usprawiedliwione?

– Do cholery, tak! Dostali to, na co zasłużyli. Pierwszy z bandytów był poszukiwany za morderstwo, na drugiego wydano trzy nakazy aresztowania za popełnione przestępstwa. Obaj mieli broń i strzelali do niego. Spence nie miał wyboru. Rada rekomendująca do sądu apelacyjnego oczyściła go równie prędko, jak Pan Bóg wpuścił świętego Piotra do nieba.

– Mimo to nie wrócił do służby ulicznej.

– Nie chciał już chodzić z bronią.

– Był komandosem w armii Stanów Zjednoczonych.

Descoteaux przytaknął.

– Brał kilka razy udział w akcjach – w Ameryce Środkowej i na Środkowym Wschodzie. Musiał wówczas zabijać i w końcu doszedł do przekonania, że ten zawód mu nie odpowiada.

– Zabijanie źle na niego wpływało.

– Nie. Myślę, że nigdy nie był przekonany, iż zabijanie może w jakikolwiek sposób zostać usprawiedliwione, wbrew temu, co mówią na ten temat politycy. Ale to tylko moje osobiste odczucie. Nie mogę z całą pewnością powiedzieć, jakimi motywami się kierował.

– Człowiek może mieć opory, używając pistoletu przeciw istocie ludzkiej. To jest zrozumiałe – zauważył Roy. – Ale kiedy ten sam człowiek przechodzi z wojska do policji – to jest zaskakujące.

– Myślał, że jako policjant będzie mógł sam decydować, kiedy użyć morderczego narzędzia. W każdym razie taka była jego intencja.

– Czy bardzo chciał być policjantem?

– Niekoniecznie policjantem. Chciał być dobrym facetem w jakimkolwiek mundurze, ryzykującym życie po to, żeby pomagać ludziom, ratować im życie i dbać o poszanowanie prawa.

– Młody altruista – powiedział z odcieniem sarkazmu Roy.

– Mamy paru takich. W rzeczywistości tacy są prawie wszyscy, przynajmniej na początku. – Spojrzał na swoje czarne jak węgiel ręce złożone na leżącej na biurku zielonej książce aresztowań. – W przypadku Spence’a jego poglądy zaprowadziły go do armii, potem do policji... ale w tym wszystkim było jeszcze coś. Pomagając ludziom wszystkimi sposobami, jakimi może posłużyć się policjant, Spence próbował zrozumieć samego siebie... próbował pogodzić się z sobą.

– A więc ma kłopoty z samym sobą?

– Nie na tyle, żeby nie mógł być dobrym policjantem.

– Tak? W takim razie co to znaczy, że próbuje zrozumieć samego siebie?

– Nie wiem. Myślę, że to bierze się z odległej przeszłości.

– Przeszłości?

– Tak. Cięży na nim, jakby nosił na plecach tonę kamieni.

– Czy to ma coś wspólnego z jego blizną? – zapytał Roy.

– Podejrzewam, że to wszystko ma z nią związek.

Descoteaux oderwał wzrok od własnych rąk. Wielkie, ciemne oczy wyrażały współczucie. Były nieprzeciętne, nadzwyczaj wyraziste. Gdyby należały do kobiety, Roy chciałby je mieć na własność.

– Skąd się wzięła jego blizna?

– Powiedział tylko, że miał wypadek, kiedy był jeszcze chłopcem. Myślę, że samochodowy. Nie chciał o tym mówić.

– Miał jakichś bliskich przyjaciół w policji?

– Bliskich nie. Lubiano go, ale był zamknięty w sobie.

– Był samotnikiem – orzekł Roy, kiwając głową ze zrozumieniem.

– Nie. Nie takim, o jakim pan myśli. Nie był z gatunku tych, którzy wdrapują się na wieżę, strzelając do wszystkich w zasięgu wzroku. Ludzie go lubili i on lubił ludzi. Po prostu zachowywał pewien... dystans.

– Po tej strzelaninie poprosił o pracę biurową. Charakterystyczne, że poprosił o przeniesienie do wydziału zwalczania przestępstw komputerowych.

– Nie, to on otrzymał taką propozycję. Większość obywateli byłaby zaskoczona – pana to nie zdziwi – faktem, że są w policji absolwenci prawa, psychologii i kryminologii, jak Spence. Wielu z nich kształci się nie po to, by zmienić zawód albo przejść do administracji. Chcą zostać na ulicy. Lubią swoją pracę i myślą, że wyższe wykształcenie pomoże im wykonywać tę pracę lepiej. Są oddani służbie, pełni poświęcenia. Postanowili pozostać policjantami i chcą...

– To z pewnością godne podziwu, ale niektórzy mogą ich uważać za twardzieli, nie potrafiących wyrzec się władzy, którą przynosi pełnienie funkcji ulicznego policjanta.

Descoteaux zamrugął oczami.

– W każdym razie jeśli któryś z nich ma ochotę zejść z ulicy, nie musi skończyć na przerzucaniu papierków. Wydział potrafi wykorzystać jego wiedzę. Biuro Administracji, wydział spraw wewnętrznych, wydział wywiadu do spraw przestępczości zorganizowanej, a także większość wydziałów zespołu służb detektywistycznych – wszyscy oni chcieli mieć u siebie Spence'a. Tymczasem on wybrał wydział zwalczania przestępstw komputerowych.

– Czy przypadkiem nie próbował wślizgnąć się do tego wydziału?

– Nie musiał tego robić. Już powiedziałem, że to oni zwrócili się do niego.

– Czy nim wstąpił do wydziału specjalnego, nie był maniakiem komputerowym?

– Maniakem? – Descoteaux nie mógł dłużej tłumić irytacji. – Wiedział, jak używać komputerów w pracy, ale nie miał na ich punkcie obsesji. Nie miał bzika na żadnym punkcie. Jest bardzo solidny, można na nim polegać.

– Przy tym wszystkim – jak pan to ujął – ciągle próbuje zrozumieć sam siebie, chce być z sobą w zgodzie.

– Czy nie dążymy do tego wszyscy? – spytał szorstko kapitan.

Wstał i odwrócił się od Roya w stronę małego okna. Wyjrzał przez zakurzone listewki żaluzji na przykryte warstwą smogu miasto.

Roy czekał. Najlepiej było pozwolić kapitanowi się wyzłościć. Biedak zasługiwał na to. Jego biuro było przeraźliwie małe. Nie miał nawet osobnego klozetu.

Odwracając się znów w stronę Roya, kapitan powiedział:

– Nie wiem, o co posądza pan Spence’a i nie chcę o to pytać...

– Sprawa bezpieczeństwa państwa – powtórzył z zadowoloną miną Roy.

– ...ale myli się pan co do niego. To nie jest człowiek, który kiedykolwiek zszedłby na złą drogę.

Roy uniósł brwi.

– Z czego pan to wnosi?

– Ponieważ on cierpi katusze.

– Rzeczywiście? Z jakiego powodu?

– Nie wie, czy postępuje dobrze, czy źle. Nie daje tego po sobie poznać, ale męczy się wewnątrz.

– Czyż nie cierpimy wszyscy? – spytał Roy, wstając z krzesła.

– Nie – odparł Descoteaux. – Nie w obecnych czasach. Większość ludzi wierzy, że wszystko jest względne, nawet moralność.

Roy doszedł do wniosku, że kapitan nie ma ochoty na uścisk dłoni, więc powiedział tylko:

– Dziękuję za poświęcenie mi czasu, kapitanie.

– Niezależnie od rodzaju przestępstwa, które zostało popełnione, panie Miro, Spencer Grant jest jednym z tych, którzy są absolutnie przekonani, że postępują sprawiedliwie.

– Będę o tym pamiętał, kapitanie.

– Nie ma bardziej niebezpiecznych ludzi od tych, którzy są przekonani o własnej przewadze moralnej – powiedział z naciskiem Descoteaux.

– Szczera prawda – odparł Roy, otwierając drzwi.

– Ludzie pokroju Spence’a nie są niebezpieczni. W rzeczywistości tylko dzięki nim ta cała cholerna cywilizacja jeszcze się nie rozleciała.

Wychodząc na korytarz, Roy rzekł:

– Przyjemnego dnia, kapitanie.

– Po którejkolwiek stronie stanie Spence – powiedział Descoteaux ze spokojną, ale widoczną wojowniczością – dam sobie uciąć głowę, że to będzie właściwa strona.

Roy zamknął za sobą drzwi. Nim zdążył dojść do windy, podjął decyzję, że Harrisa Descoteaux należy zabić. Może zrobi to własnoręcznie po uporaniu się ze Spencerem Grantem.

W drodze do samochodu ochłonał. Jadąc ulicami i poddając się kojącemu działaniu skarbu Guinevere, Roy był znów wystarczająco opanowany, żeby uświadomić sobie, że zwykłe uśmiercenie nie będzie odpowiednią reakcją na oskarżycielskie insynuacje Descoteaux. W możliwościach Roya mieściły się sposoby ukarania go czymś gorszym niż śmierć.

Trzy skrzydła dwupoziomowego kompleksu mieszkań załamywały się wokół skromnego basenu. Zimny wiatr kroił wodę na drobne fale, które przelewały się przez niebieskie kafelki krawędzi. Przechodząc dziedzińcem, Spencer poczuł zapach chloru.

Popielate niebo było teraz niższe niż przed śniadaniem i wyglądało jak całun z szarego popiołu opadający z wolna ku ziemi. Bujne liście kołysanych wiatrem palm szeleściły i chrzęściły, ostrzegając o zbliżającej się burzy.

Drepcząc przy kolanie Spencera, Rocky kichnął parę razy, podrażniony zapachem chloru, ale nie był zaniepokojony borykającymi się z wiatrem palmami. Jeszcze nie spotkał drzewa, które by go przestraszyło, co bynajmniej nie oznaczało, że takiego drzewa nie ma. Kiedy popadał w jeden ze swoich dziwnych nastrojów, gdy przeżywał atak hysterii i czuł, że złe licho czai się w każdym cieniu, lub kiedy sprzyjały okoliczności – mogło go przerazić mizerne drzewko w pięciocalowej doniczce.

W podaniu o pozwolenie na pracę w kasynie w charakterze rozdającego Valerie, występująca wówczas jako Hannah May Rainey, oświadczyła, że mieszka w tym kompleksie apartamentów pod numerem 2-D.

Drzwi z mieszkań na pierwszym piętrze prowadziły na wychodzącą na dziedziniec zadaszoną galeryjkę, która osłaniała chodnik biegnący wzdłuż drzwi na parterze. Luźna podpora żelaznej poręczy klekotała pod naporem wiatru. Spencer z Rockym weszli po betonowych schodach na górę.

Spencer wziął z sobą psa, ponieważ często pomagał on przełamywać pierwsze lody podczas spotkań z nieznajomymi. Ludzie na ogół mieli zaufanie do człowieka, którego obdarzał zaufaniem pies, były więc większe szanse, że nawiążą szczerą rozmowę z człowiekiem, któremu towarzyszy uroczy kundel, mimo że ów człowiek wyglądał podejrzanie i miał bliznę od ucha do podbródka.

Apartament, który zajmowała niegdyś Hannah-Valerie mieścił się w środkowej części kompleksu o kształcie litery U. Po prawej stronie drzwi było duże okno, zasłonięte draperią. Po lewej mieściło się małe okienko, przez które widać było kuchnię. Nazwisko nad dzwonkiem brzmiało: Traven.

Spencer zadzwonił i czekał.

Miał cichą nadzieję, że Valerie dzieliła z kimś apartament i że ta druga osoba mieszka tu nadal. Valerie zajmowała ten lokal przynajmniej przez cztery miesiące, czyli przez cały okres pracy w hotelu Mirage. W tym czasie osoba dzieląca z nią apartament mogła zauważyć coś, co pomogłoby Spencerowi odkryć poprzednie kroki Valerie, podobnie jak Rosie wskazała mu ślad prowadzący z Santa Monica do Las Vegas.

Zadzwonił ponownie.

Próby odszukania jej poprzez dowiadywanie się, skąd przybyła, zamiast dokąd się udała, wyglądały groteskowo, ale Spencer nie miał wyboru. Nie dysponował środkami umożliwiającymi wyśledzenie, dokąd się skierowała po ucieczce z Santa Monica. Ponadto pójście w przeciwną stronę minimalizowało ryzyko natknięcia się na agentów federalnych – lub kimkolwiek oni byli – idących jej tropem.

Słyszał sygnał dzwonka wewnątrz mieszkania. Mimo to zaczął pukać.

Pukanie przyniosło skutek, choć drzwi nadal pozostały zamknięte. Nieco dalej wzdłuż galeryjki, po prawej stronie, otworzyły się drzwi do mieszkania 2-E i wychyliła się z nich głowa siwowłosej kobiety w wieku około siedemdziesięciu lat.

– Czy mogę panu pomóc? – spytała.

– Szukam panny Traven.

– Ach, ona pracuje na rannej zmianie w Caesar's Palace. Nie będzie jej jeszcze dość długo.

Stała w drzwiach – niska, pulchna kobieta, o miłej twarzy, nosząca szcękające buty ortopedyczne, grube jak skóra dinozaura pończochy przeciw żylakom, suknię domową w kolorach żółtym i szarym, i zieloną wełnianą kamizelkę.

– W gruncie rzeczy chodzi mi nie o pannę Traven, tylko o pannę...

Rocky, ukrywający się do tej pory za Spencerem, wysunął głowę spoza nóg pana, żeby popatrzeć na przyjazną duszę z mieszkania 2-E, a staruszka aż pisnęła z zachwytu na jego widok. Mimo że poruszała się niepewnie, wystartowała od drzwi z serdecznością dziecka, które nie wie, co to jest artretyzm. Szczeciocząc jak do niemowlęcia, zbliżała się z szybkością, która zdumiała Spencera i przeraziła Rocky'ego. Zaskowyczał ze strachu, ale kobieta już zwała się na nich z okrzykami uwielbienia. Próbował wspiąć się po prawej nodze Spencera, jakby chciał schować się pod jego kurtką, gdy kobieta zawołała:

– Słodziutki, słodziutki, słodziutki.

Rocky przypadł do podłogi galeryjki, omdlewając ze strachu, zwinął się w kłębek i krzyżując przednie łapy nad oczami, przygotował się na niechybną, gwałtowną śmierć.

Lewa noga Bosleya Donnera ześliznęła się z podnóżka elektrycznego wózka inwalidzkiego i poszorowała po ścieżce. Śmiejąc się i pozwalając wózkowi jechać rozpędem aż do zatrzymania, Donner uniósł obiema rękami sparaliżowaną nogę i oparł ją z powrotem na podnóżku.

Wózek Donnera, wyposażony w akumulator o dużej pojemności i system napędowy taki jak w wózkach golfowych, mógł poruszać się znacznie szybciej niż zwykłe wózki inwalidzkie. Roy Miro, dysząc ciężko, dogonił go.

– A nie mówiłem, że ten maluch jest szybki – powiedział Donner.

– Teraz widzę. Imponujące – wysapał Roy.

Znajdowali się w ogrodzie czteroakrowego gospodarstwa Donnera w Bel Air, po którym biegła szeroka, betonowa wstęga koloru cegły, umożliwiająca niepełnosprawnemu właścicielowi dotrzeć do każdego zakątka jego starannie zaprojektowanej posiadłości. Ścieżka prowadziła w górę i w dół, przechodziła przez tunel pod jednym końcem sadzawki w patio i wiła się serpentynami pomiędzy palmami królewskimi, potężnymi awokado i krzewami mirtu. Oczywiście Donner polecił zbudować ścieżkę w ten sposób, żeby mogła mu służyć jako pewnego rodzaju tor.

– Zdajesz sobie sprawę, że to nielegalne – odezwał się Donner.

– Nielegalne?

– Modyfikacja krzesła według mojego pomysłu jest sprzeczna z prawem.

– Chyba tak. Domyślam się, z jakiego powodu.

– Domyślasz się? – Donner był zdumiony. – Bo ja nie. To jest mój wózek.

– Jeżdżąc w ten sposób po torze, możesz z obustronnego porażenia dojść do czterostronnego.

Donner uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Wtedy skomputeryzuję wózek, żeby móc sterować głosem.

Trzydziestodwuletni Donner już od ośmiu lat nie miał władzy w nogach po tym, jak odłamek granatu uszkodził mu kręgosłup podczas policyjnej akcji na Środkowym Wschodzie, w której wzięła udział jego jednostka komandosów armii amerykańskiej. Był krępy, mocno opalony, włosy miał ostrzyżone na jeża, a z szaroniebieskich oczu nie wyzierała melancholia. Jeśli przygnębiało go kalectwo, to albo się z nim już dawno pogodził, albo nauczył się dobrze maskować.

Roy nie lubił go z powodu ekstrawaganckiego trybu życia, irytująco dobrego samopoczucia, krzykliwej koszuli hawajskiej – i jeszcze innych przyczyn, których nie potrafił bliżej określić.

– Ale czy twoja lekkomyślność nie dowodzi braku odpowiedzialności społecznej?

Donner zachmurzył się, zdezorientowany, ale natychmiast twarz mu się rozjaśniła.

– Masz na myśli to, że mógłbym stać się ciężarem dla społeczeństwa. Nigdy, do diabła, nie korzystałem z państwowej opieki zdrowotnej. W ciągu paru sekund zdecydowaliby o włożeniu mnie do grobu. Rozejrzyj się dookoła. Mogę sam zapłacić za wszystko, czego mi trzeba. Chodźmy, pokażę ci świątynię. To jest rzeczywiście coś.

Ruszając z dużym przyspieszeniem, Donner błyskawicznie oderwał się od Roya i pojechał w dół, wśród pierzastych cieni palm i czerwonożłoty płam światła słonecznego.

Roy ruszył jego śladem, starając się stłumić narastającą w nim irytację.

Po rozstaniu się z wojskiem Donner wrócił do swojego dawnego zawodu rysownika. Jego projekty wykorzystywała znana wytwórnia kart okolicznościowych. W wolnym czasie rysował historyjki obrazkowe i otrzymał kontrakt już od pierwszego syndykatu prasowego, któremu je przedstawił. W ciągu

dwóch lat stał się najbardziej poszukiwanym rysownikiem w kraju. Obecnie, dzięki swym popularnym uwielbianym postaciom Bosley Donner był już uznaną firmą: projektował okładki bestsellerów, scenografie widowisk telewizyjnych, zabawki, rysunki na podkoszulkach, wzory dla własnej wytwórni kart okolicznościowych, znaki firmowe, okładki do albumów płytowych i wiele innych rzeczy.

Ścieżka wiodła do położonej u stóp długiej pochylni świątyni ogrodowej zbudowanej w stylu klasycznym i otoczonej balustradą. Pięć kolumn, stojących na wapiennych płytach podłogi, podtrzymywało ciężki gzyms i kopułę zakończoną kulistym kwiatonem. Wokół świątyni rosły angielskie pierwiosnki z żółtymi, czerwonymi, różowymi i purpurowymi płatkami.

Donner siedział w swoim wózku, pośrodku świątyni, czekając na Roya. W tym otoczeniu mógłby wyglądać jak jakaś tajemnicza postać, gdyby nie jego przysadzistość, szeroka twarz, ostrzyżone na jeża włosy i kwiecista, hawajska koszula, upodabniające go do którejś z jego rysunkowych postaci.

Wchodząc do świątyni, Roy powiedział:

– Opowiadałeś mi o Spencerze Grancie.

– Naprawdę? – odparł Donner z nutą ironii w głosie.

W rzeczywistości przez ostatnie dwadzieścia minut Donner kazał Royowi gonić się po posiadłości, opowiadając mu o Grancie – z którym służył w oddziale komandosów – nie charakteryzując jednak jego osobowości ani nie podając żadnych szczegółów z jego życia przed rozpoczęciem służby wojskowej.

– Lubiłem Hollywooda – powiedział Donner. – Był najspokojniejszym człowiekiem, jakiego znałem, jednym z najuprzejmiejszych i najinteligentniejszych, starającym się nie zwracać na siebie uwagi. Kiedy był w dobrym nastroju, potrafił wszystkich rozśmieszyć. Przy tym wszystkim był zamknięty w sobie. Nikt go bliżej nie poznał.

– Dlaczego „Hollywood”? – spytał Roy.

– Nazywaliśmy go tak, kiedy chcieliśmy z niego pożartować. Lubił stare filmy. Miał chyba bzika na ich punkcie.

– Jaki rodzaj filmów lubił?

– Dreszczowce i melodramaty. Mówił, że dzisiejsze kino zapomniało, co to bohater.

– Co miał na myśli?

– Twierdził, że bohaterowie starych filmów hołdowali właściwie pojętej hierarchii wartości, rozróżniali dobro od zła. Uwielbiał filmy „Północ, północny zachód”, „Oslawiona”, „Zabić drozda”, ponieważ ich bohaterowie prezentowali nieugięte zasady i prawość. Częściej używali rozumu niż pistoletów.

– W dzisiejszych filmach – powiedział Roy – para zaprzyjaźnionych policjantów wysadza w powietrze i ukatrupia pół miasta, żeby złapać jednego przestępcę...

– ...używając czteroliterowych słów i brukowej gwary...

– ...wskakując do łóżka z kobietami, które poznali dwie godziny wcześniej...

– ...chodząc jak pawie, półnago, żeby pokazać mięśnie, oraz zajmując się wyłącznie sobą.

Roy przytaknął.

– Miał rację.

– Ulubionymi aktorami Hollywooda byli Cary Grant i Spencer Tracy. Żartowano sobie z niego z tego powodu.

Roy był zdumiony, że miał tę samą opinię o współczesnych filmach co człowiek z blizną. Zaniepokoiło go, że wyznawał wspólny pogląd na jakikolwiek temat z tak niebezpiecznym psychopatą jak Grant.

Zajęty tymi myślami, nie zauważył, co odpowiedział Donner.

– Przepraszam... dlaczego z niego żartowano?

– To chyba nie był najszcześniejszy zbieg okoliczności, że Spencer Tracy i Cary Grant byli także ulubionymi gwiazdami jego matki, a zwłaszcza że dała mu po nich imię i nazwisko. Ale facet taki jak Hollywood, skromny i spokojny, nieśmiały wobec dziewcząt, facet, po którym nie było widać, że ma jakieś ego – wydawał nam się śmieszny, identyfikując się tak usilnie z parą aktorów: to znaczy z bohaterami, których role grali. Miał ledwie dziewiętnaście lat, kiedy wstąpił do komandosów, ale w różnych okolicznościach wydawał się starszy o dwadzieścia lat niż cała reszta. Wychodził z niego dzieciak tylko wówczas, gdy rozmawiał o starych filmach albo je oglądał.

Roy czuł, że to, o czym się w tej chwili dowiedział, było w jakiś sposób bardzo ważne, ale nie rozumiał dlaczego. Był na krawędzi ośnienienia, ale nie dostrzegał jeszcze jego kształtu. Zatrzymał w płucach powietrze, bojąc się, że wraz z wydechem ulotni się odkrycie, które wydawało się wisieć w powietrzu.

Przez świątynię przeleciał powiew ciepłego wiatru. Mały czarny chrząszcz pełził powoli po kamiennej posadzce ku swemu nieznanemu przeznaczeniu.

Nagle Roy usłyszał, jak niemal w transie zadaje pytanie, którego sensu wcześniej sobie nie uświadomił.

– Jesteś pewny, że jego matka nadała mu imię i nazwisko po tych dwóch aktorach?

– Czy to nie jest oczywiste? – odparł Donner.

– Dlaczego?

– Dla mnie jest.

– Czy wiesz to od niego? Że ona sama tak mu powiedziała?

– Mam wrażenie, że tak. Nie pamiętam dokładnie. Ale chyba tak.

Wietrzyk powiewał, chrząszcz pełził dalej, a przez Roya przebiegł dreszcz zrozumienia.

Bosley Donner pełnił nadal funkcję przewodnika.

– Nie widziałeś jeszcze wodospadu. Jest wspaniały. Rzeczywiście piękny. Chodź, musisz go zobaczyć.

Wózek z cichym pomrukiem wyjechał ze świątyni. Roy patrzył spośród kamiennych kolumn, jak Donner pędzi wariacko stromą ścieżką w stronę chłodnego cienia zielonej doliny. Jego jaskrawa koszula hawajska wydawała się płonąć, kiedy przejeżdżał przez strefy czerwonożłotego światła. Po krótkiej chwili zniknął za grupą australijskich paproci.

Roy zrozumiał już, dlaczego Bosley Donner tak go drażnił. Był po prostu zbyt pewny siebie i niezależny; mimo kalectwa całkowicie opanowany i samowystarczalny.

Tacy ludzie stanowili wielkie niebezpieczeństwo dla państwa. Nie można utrzymać ładu w społeczeństwie składającym się z niezależnych indywidualistów. Podstawą siły państwa jest podległość obywateli, a jeśli państwo nie jest dostatecznie silne – nie może osiągnąć postępu ani zapewnić spokoju na ulicach.

Mógł zlikwidować Donnera w imię stabilności społeczeństwa po to, żeby inni nie szli za jego przykładem, ale ryzyko, że zostanie zauważony, było zbyt duże. Para ogrodników pracowała nieopodal, a pani Donner albo ktoś ze służby mogli wyjrzeć przez okno w najbardziej nieodpowiednim momencie.

Poza tym czuł się zbyt podekscytowany dokonaniem odkryciem na temat Spencera Granta i chciał jak najszybciej znaleźć potwierdzenie swojej hipotezy.

Wyszedł ze świątyni, omijając ostrożnie powolnego czarnego robaczka, i udał się w przeciwną stronę

niż Donner. Wspiął się szybko na wyższe poziomy ogrodu i zostawiając z boku ogromny dom, dotarł do samochodu zaparkowanego na okrężnym podjeździe.

Z koperty, którą dostał od Melissy Wicklun, wydobyl jeden z portretów Granta i położył go na siedzeniu. Gdyby nie okropna blizna, twarz wyglądałaby całkiem zwyczajnie. Teraz już wiedział, że za tą twarzą kryje się potwór.

Z tej samej koperty wyjął wydruk raportu Mamy, który przed paroma godzinami przeczytał w hotelu na ekranie komputera. Przerzucał strony, aż doszedł do listy nazwisk, których używał Grant, zamawiając i płacąc za usługi.

Stewart Peck

Henry Holden

James Gable

John Humphrey

William Clark

Wayne Gregory

Robert Tracy

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął pióro i poprzestawiał imiona i nazwiska, tworząc nową listę.

Gregory Peck

William Holden

Clark Gable

James Stewart

John Wayne

Z pierwotnej listy zostały jeszcze cztery: Henry, Humphrey, Robert i Tracy.

Tracy pasowało do imienia tego drania, Spencera. W jakimś celu – którego ani Mama, ani on sam jeszcze nie odkryli – ten podstępny sukinsyn z pokiereszowaną gębą gdzieś używał jeszcze jednego fałszywego nazwiska, połączonego z imieniem Cary, którego nie było na pierwotnej liście, ale które pasowało do jego własnego nazwiska: Grant.

Zostały trzy: Henry, Humphrey i Robert.

Henry. Nie ulegało wątpliwości, że Grant działał czasem pod nazwiskiem Fonda, z imieniem zapożyczonym od Burta Lancastera albo od Gary Coopera.

Humphrey. W jakichś kręgach Grant posługiwał się nazwiskiem Bogart, zapożyczając imię od jakiegoś innego gwiazdora filmowego przeszłości.

Robert. W jeszcze innych kręgach Grant działał pod nazwiskiem Mitchum albo Montgomery.

Grant zmieniał tożsamość tak zwyczajnie, jak inni zmieniali koszule.

Z tego wynikało, że próbowali znaleźć widmo.

Mimo że nie potrafił jeszcze tego udowodnić – Roy był teraz przekonany, że nazwisko Spencer Grant było równie nieprawdziwe, jak wszystkie inne. Nazwisko Grant nie pochodziło od ojca ani też imię Spencer nie było imieniem, które wybrała dla niego matka. Sam się tak nazwał, biorąc za przykład swoich ulubionych aktorów, grających role bohaterów dawnych czasów.

Jego prawdziwe nazwisko było zagadką. Jego prawdziwe nazwisko było tajemnicą, cieniem, zjawą, dymem.

Roy podniósł do oczu komputerowy portret i przyglądał się oszpeconej twarzy.

Ciemnooki człowiek-zagadka wstąpił do armii pod nazwiskiem Spencer Grant, mając zaledwie osiemnaście lat. Skąd nastolatek wiedział, jak przybrać fałszywą tożsamość, wiarygodnie

udokumentowaną? Od czego uciekał już w tak młodym wieku?

Co, do diabła, łączyło go z tą kobietą?

Rocky leżał na wznak na sofie, z nogami w powietrzu, opierając głowę na szerokim łonie Thedy Davidowitz, patrząc w upojeniu na pulchną, siwowłosą kobietę. Theda głaskała go po brzuchu i pod brodą, nazywając go „słodkim brzuszkiem”, „cukiereczkiem”, „ślicznym oczkiem” i „pieszczoszkiem”. Mówiła do niego, że jest małym futrzastym aniołkiem Pana Boga, najpiękniejszym pieskiem na świecie, ślicznym, rozkosznym, idealnym. Podawała mu cienkie płyty szynki, a on wyjmował każdy kąsek z jej palców z wielką delikatnością.

Spencer, usadowiony w miękkim fotelu, okrytym pokrowcem, popijał mocną kawę, do której Theda dodała szczyptę cynamonu. Na małym stoliku obok fotela stał porcelanowy dzbanek z kawą i talerz pełen domowych ciastek czekoladowych. Uprzejmie podziękował za importowane angielskie biskwity do herbaty, włoskie ciasteczka anyżkowe, porcję tortu kokosowo-cytrynowego, bułeczkę z borówkami, placek imbirowy, kruche ciasto i racuch z rodzynkami. Wyczerpany niezmordowaną gościnnością Thedy, zgodził się na ciastko czekoladowe i otrzymał dwanaście, każde wielkości talerzyka.

W przerwach między szczebiotaniem do psa i zachęcaniem Spencera, żeby zjadł jeszcze jedno ciastko, powiedziała mu, że ma siedemdziesiąt sześć lat i że jej mąż, Bernie, umarł jedenaście lat temu. Mieli dwoje dzieci: Rachel i Roberta. Robert, najwspanialszy chłopak na świecie, troskliwy i uprzejmy, walczył w Wietnamie, był bohaterem, zdobył mnóstwo medali... i zginął. Rachel – och, szkoda, że Spencer jej nie widział, taka piękna, jej zdjęcie wisi tam, przy kominku, ale nie oddaje w pełni jej urody, żadne zdjęcie nie może oddać jej urody – zginęła czternaście lat temu w wypadku samochodowym. To okropne, gdy człowiek przeżywa własne dzieci; zastanawia się wówczas, czy Bóg to widzi. Theda i Bernie mieszkali przez przeważający okres trwania ich małżeństwa w Kalifornii, gdzie Bernie pracował jako księgowy, a ona jako nauczycielka trzeciej klasy. Po przejściu na emeryturę sprzedali korzystnie dom i ze sporym kapitałem przenieśli się do Vegas nie dlatego, że byli hazardzistami – no, raz w miesiącu przegrywali dwadzieścia dolarów na automatach – ale dlatego że nieruchomości były tańsze niż w Kalifornii. Emeryci osiedlali się tu masowo z tego właśnie powodu. Kupili z Berniem mały domek za gotówkę i jeszcze im zostało sześćdziesiąt procent sumy, którą otrzymali za swój dom w Kalifornii. Bernie zmarł trzy lata później. Był najmilszym człowiekiem pod słońcem, łagodnym i życzliwym; małżeństwo z nim było największym szczęściem w jej życiu. Po jego śmierci sprzedała domek, gdyż był za duży dla samotnej wdowy, i przenieśli się do apartamentu.

Przez ostatnie dziesięć lat miała psa – imieniem Sparkle, które bardzo do niego pasowało, był cudownym cocker-spanielem – ale dwa miesiące temu odszedł drogą wszystkich żywych stworzeń. Boże, jak go kochała, głupia stara kobieta, wyplakała morze łez. Od tej pory zajmowała się porządkami, pieczeniem ciast, oglądaniem telewizji i dwa razy w tygodniu grą w karty z przyjaciółmi. Nie wzięła następnego psa, ponieważ by go nie przeżyła, a nie chciała, umierając, zostawić smutnego małego pieska, żeby musiał sam dawać sobie radę. Teraz zobaczyła Rocky'ego i poczuła, jak serce w niej topnieje; postanowiła postarać się o nowego pieska. Weźmie ze schroniska miłego psiaka i tak przeznaczonego do uśpienia, wtedy czas, który jej pozostaje, będzie dla niego czasem, którym by się i tak już nie mógł cieszyć, gdyby nie ona. A kto wie, czy ona go nie przeżyje i nie stworzy mu domu do chwili, kiedy nadejdzie jego czas? Dwoje jej przyjaciół miało dziewiąty krzyżyk i ciągle było w dobrej formie.

Żeby sprawić jej przyjemność, Spencer wypił trzecią filiżankę kawy i zjadł drugie ogromne czekoladowe ciastko.

Rocky był na tyle łaskawy, że zjadł następne płyty szynki i pozwolił nadal głaskać się po brzuchu

i drapać pod szyją. Od czasu do czasu toczył wzrokiem w stronę Spencera, jakby chciał powiedzieć: „Dlaczego nie mówiłeś mi nigdy wcześniej o tej pani?”

Spencer nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś tak całkowicie i w tak krótkim czasie oczarował psa. Od czasu do czasu Rocky machał ogonem z taką energią, że wydawało się, iż tapicerka sofy rozleci się na strzępy.

– Chciałem panią zapytać – odezwał się Spencer, kiedy Theda zrobiła przerwę, żeby nabrać powietrza – czy znała pani młodą kobietę, która mieszkała do końca listopada w sąsiednim apartamencie. Nazywała się Hannah Rainey i...

Na wzmiankę o Hannah – którą Spencer znał pod imieniem Valerie – Theda zaczęła wygłaszać entuzjastyczny monolog, pełen superlatywów. Ta dziewczyna, ta wyjątkowa dziewczyna, och, najlepsza sąsiadka, taka uczynna, taka serdeczna. Na nocnej zmianie rozdawała karty w hotelu Mirage i spała od rana do wczesnego popołudnia. Często jadły razem obiady, czasem w mieszkaniu Hannah, czasem u Thedy. Kiedy w październiku Theda przechodziła ciężką gripę, Hannah pielęgnowała ją, była dla niej jak córka. Nie, nigdy nie mówiła o przeszłości ani o rodzinie. Chciała zapomnieć o czymś strasznym, przez co przeszła – to było po niej widać – i patrzyła tylko w przyszłość. Theda myślała, że mógł to być prześladowający ją mąż, krążący wokół niej, śledzący ją, więc musiała uciec, żeby jej nie zamordował. W tych czasach takie rzeczy były na porządku dziennym, świat był rozprzężony, wszystko wywrócone do góry nogami, przy czym sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Któregoś listopadowego dnia włamali się do niej agenci DEA, w czasie gdy zwykle spała, ale okazało się, że jej nie ma. W nocy spakowała się i wyjechała, nie mówiąc o tym Thedzie, jak gdyby przeczuwała, że są na jej tropie. Agenci byli wściekli, wypytывali szczegółowo Thedę, jak gdyby, na Boga, była hersztem bandy kryminalistów. Powiedzieli, że Hannah Rainey ucieka przed wymiarem sprawiedliwości, że jest członkiem niezwykle operatywnego gangu kokainowego i że zabiła dwóch tajnych agentów policji podczas nieudanej akcji przemytniczej.

– Więc jest poszukiwana z powodu morderstwa? – spytał Spencer.

Theda zacisnęła pokrytą plamami wątrobianymi rękę w pięść i uderzyła jednym z ortopedycznych butów w podłogę z taką siłą, że pomimo dywanu usłyszeli echo w dolnym pokoju.

Bzdura! – odpowiedziała.

Eve Marie Jammer pracowała w pomieszczeniu bez okien, znajdującym się na najniższej kondygnacji wysokiego biurowca, cztery piętra pod ziemią. Myślała czasem o sobie, że jest garbusem z Notre Dame ukrywającym się w wieży dzwonnicy albo upiorem królującym w podziemiach opery paryskiej, albo Drakulą czającym się w swojej krypcie – że jest tajemniczą postacią, dysponującą wiedzą o przerażających faktach. Miała nadzieję, że któregoś dnia będzie jej się bało więcej ludzi – i to znacznie bardziej – niż kiedyś garbusa, upiora i hrabiego razem wziętych.

W przeciwieństwie do tych filmowych potworów Eve Jammer nie miała fizycznych zniekształceń. Liczyła sobie trzydzieści trzy lata, była zielonooką blondynką o wyglądzie zapierającym dech w piersiach, niegdyś tancerką rewiową. Mężczyźni oglądali się za nią, wpadając na latarnie uliczne. Jej ciało o doskonałych proporcjach przewijało się w erotycznych marzeniach sennych spotniałych, dojrzewających chłopców.

W pełni zdawała sobie sprawę z olśniewającej urody. Rozkoszowała się nią, gdyż uroda była źródłem jej władzy, a dla Eve władza była najważniejszym elementem życia.

Betonowe ściany i taka sama podłoga jej królestwa były szare. Rzędy neonówek świeciły zimnym światłem, w którym Eve i tak wyglądała wspaniale. Mimo iż wewnątrz zostało wyposażone w ogrzewanie i mimo że często nastawiała termostat, betonowe podziemie opierało się skutecznie wszelkim próbom

ogrzania go, tak że Eve przeważnie chodziła w swetrze. Ponieważ była jedynym pracownikiem swojego biura, dzieliła pomieszczenie wyłącznie z pajakami, których nie dawało się zlikwidować żadną ilością środków owadobójczych.

Rankiem owego piątku Eve nadzorowała rzędy urządzeń rejestrujących rozmowy, umieszczonych na metalowych półkach zajmujących niemal całkowicie jedną ze ścian. Mogła podsłuchiwać równocześnie sto dwadzieścia osiem prywatnych linii telefonicznych. W bieżącej chwili organizacja prowadziła w Las Vegas podsłuch osiemdziesięciu.

Nowoczesne urządzenie rejestrujące wykorzystywało zamiast taśmy magnetycznej dysk laserowy, a było uruchamiane głosem rozmowy, co powodowało, że dyski nie zapełniały się długimi okresami ciszy. Ze względu na olbrzymią pojemność informatyczną dysków laserowych bardzo rzadko trzeba było je zmieniać.

Mimo to Eve sprawdzała po kolei licznik każdego urządzenia, wskazujący, jaka pojemność została jeszcze do dyspozycji. I chociaż każde z urządzeń miało sygnał alarmowy, ostrzegający o uszkodzeniu, sama sprawdzała, jak funkcjonują. Gdyby choć jedno urządzenie zawiodło albo jeden dysk – organizacja mogła stracić informację o nieobliczalnej wartości: Las Vegas było sercem podziemia gospodarczego kraju, co oznaczało, że stało się ważnym ogniwem w łańcuchu działań przestępczych i machinacji politycznych.

Gra w kasynach odbywa się za gotówkę, więc Las Vegas przypominało ogromny, jasno oświetlony statek wycieczkowy, płynący po oceanie monet i banknotów. Uważano, że nawet kasyna należące do szanowanych korporacji ukrywały od piętnastu do trzydziestu procent wpływów kasowych, nie uwidaczniając ich w księgowości ani w deklaracjach podatkowych. Część tych nieujawnionych pieniędzy zasilala kieszenie miejscowych notabli.

Do tego dochodziły napiwki. Wygrywający zostawiali dziesiątki milionów krupierom i obsadom stołów. Większość tych sum ginęła w przepastnych kieszeniach miasta. Żeby dostać trzy – albo pięcioletni kontrakt szefa sali widowiskowej w większych hotelach, trzeba było zapłacić przynajmniej ćwierć miliona gotówką tym, którzy decydowali o angażu; napiwki jednak otrzymywane od turystów, szukających dobrych miejsc na widowniach, szybko rekompensowały wydatek.

Najpiękniejsze call girls przydzielane przez zarząd kasyna grającym wysoko mogły zarobić rocznie po pół miliona dolarów, wolne od podatku.

Domy bywały często kupowane za paczki studolarowych banknotów, zapakowanych do foliowych toreb na zakupy albo do styropianowych pojemników na napoje chłodzące. Każda taka transakcja odbywała się bez pośredników i bez oficjalnego jej rejestrowania, co uniemożliwiało władzom podatkowym wykrycie, że sprzedający uzyskał znaczny profit, a nabywca dokonał zakupu za nie zadeklarowany dochód. Niektóre z najpiękniejszych rezydencji w mieście zmieniły właścicieli trzy – albo czterokrotnie w ciągu dwudziestu lat, natomiast nazwiska w rejestrach właścicieli nieruchomości – na które kierowano całą urzędową korespondencją, mimo że częstokroć już nie żyli – nie uległy zmianie.

Federalne Biuro Podatkowe i inne agencje federalne utrzymywały w Vegas duże biura. Nic nie interesowało rządu bardziej niż pieniądze – szczególnie te, do których nie mógł się dostać.

Nadziemna część budynku nad bezokiennym królestwem Eve zajęta była przez organizację, która prezentowała się w Las Vegas równie okazale jak wszystkie inne agencje rządowe. Powiedziano Eve, że bierze udział w legalnej, chociaż tajnej, operacji Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, ale ona wiedziała, że to nieprawda. Była to anonimowa, o zawilej strukturze, grupa ludzi zaangażowanych do przeprowadzania różnorodnych tajemniczych zadań, działająca poza granicami prawa, manipulująca

rządowymi władzami legislacyjnymi i sądowniczymi (może także wykonawczymi), działająca jak sędzia, ława przysięgłych i w razie potrzeby jak kat – coś w rodzaju tajnego gestapo.

Ze względu na wpływy jej ojca przydzielono ją do wykonywania w Vegas jednego z najbardziej delikatnych zadań. Powierzono jej podziemne studio podsłuchowe również dlatego, że wydawała się za tępa, żeby prywatnie spożytkować korzyści płynące z posiadania zebranych tam informacji. Miała twarz będącą kwintesencją męskich marzeń seksualnych, najbardziej erotyczne nogi, jakie kiedykolwiek pokazały się na scenach Vegas, i ogromne piersi, sterczące wyzywająco w górę. Przypuszczano więc, że jest ledwie wystarczająco inteligentna, żeby od czasu do czasu zmienić dyski laserowe i – w razie potrzeby – zadzwonić na górę po technika, aby naprawił zepsute urządzenie.

Mimo że Eve wyglądała na typowego, bezmyślnego blond kociaka, była sprytniejsza niż każdy spośród makiawelicznego tłumu, okupującego biura na wyższych piętrach. Pracując w agencji od dwóch lat, przesłuchiwała potajemnie nagrania rozmów właścicieli najważniejszych kasyn, mafijnych bossów, biznesmenów i polityków – tych wszystkich, którzy byli podsłuchiwani.

Czerpała korzyści ze znajomości szczegółów tajnych manipulacji giełdowych różnych korporacji, co umożliwiała jej kupowanie i sprzedaż akcji bez ryzyka. Wiedziała wcześniej o gwarantowanych wynikach niektórych ogólnonarodowych zawodów sportowych, wtedy kiedy były one z góry ustalone, żeby zapewnić niektórym kasynom kolosalne zyski z bukmacherstwa. Kiedy jakiś bokser zostawał opłacony za przegranie walki, Eve stawiała na jego przeciwnika u bukmachera w Reno, gdzie było mniej prawdopodobne, że jej zdumiewające szczęście zostanie zauważone przez znające ją osoby.

Większość podsłuchiwanym była dostatecznie doświadczona, żeby zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa omawiania nielegalnych interesów przez telefon. Monitorowali własne linie dwadzieścia cztery godziny na dobę w celu sprawdzenia, czy nie zainstalowano w nich elektronicznego podsłuchu. Niektórzy używali urządzeń szyfrujących. Ci, oczywiście, byli absolutnie pewni, że ich rozmowy nie mogą zostać podsłuchane.

Jednak organizacja dysponowała techniką zastosowaną tylko w wewnętrznej sieci telefonicznej Pentagonu. Żadne dostępne na rynku urządzenia nie potrafiły wykryć najdrobniejszego śladu prowadzonego przez agencję podsłuchu. Eve wiedziała, że agencja podsłuchiwała rozmowy prowadzone z „bezpiecznego” telefonu specjalnego agenta FBI w Las Vegas. Nie byłaby zdziwiona, gdyby się dowiedziała, że agencja podsłuchiwała również telefon dyrektora biura w Waszyngtonie.

W ciągu dwóch lat, po serii małych operacji, których nikt nie zauważył, zgromadziła ponad pięć milionów dolarów. Jediną jej poważną akcją był milion dolarów gotówką, który stanowił łapówkę od chicagowskiego gangstera dla senatora Stanów Zjednoczonych, bawiącego na służbowym wyskoku w Vegas. Po zatarciu za sobą śladów przez zlikwidowanie dysku laserowego, na którym zarejestrowana była rozmowa na temat łapówki, Eve przechwyciła dwóch wysłańców gangstera w windzie, w drodze z pokoju hotelowego do holu. Mieli przy sobie pieniądze zapakowane w płócienną torbę na książki z wizerunkiem Myszkki Miki. Obaj byli wielcy, o twardych rysach twarzy, z oczami jak bryłki lodu. Byli ubrani we wzorzyste, jedwabne włoskie koszule i czarne, lniane płaszcze sportowe. Po wejściu do windy Eve zaczęła podejrzanie grzebać w swojej wielkiej torebce, ale zbiry patrzyły tylko na jej cycki, rozchyłające głębokie wycięcie swetra. Ponieważ mogli okazać się szybsi, niż na to wyglądali, nie zaryzykowała wyjęcia swojego kortha 0.38 z torebki, tylko strzelała przez materiał, posyłając każdemu po dwa pociski. Zwalili się z hukiem na podłogę, a pieniądze należały już do niej.

Zrobiło jej się natomiast przykro z powodu trzeciego mężczyzny. Był to niski facet o rzednących włosach, z workami pod oczami. Wcisnął się w kąt windy, próbując stać się tak małym, żeby go nie było

widać. Na koszuli miał przypięty identyfikator stwierdzający, że jest członkiem zjazdu dentystów i nazywa się Thurmon Stookey. Pechowo był świadkiem egzekucji. Eve zatrzymała windę między jedenastym a dwunastym piętrem i strzeliła mu w głowę, ale nie była tym zachwycona.

Naładowała kortha, wcisnęła zniszczoną torebkę do płóciennej torby z pieniędzmi i zjechała na dziewiąte piętro. Była gotowa zabić każdego, kto będzie czekał przed wejściem do windy, ale, dzięki Bogu, nie było nikogo. Parę minut później wyszła z hotelu i pojechała do domu z milionem dolarów i poręczną torbą z wizerunkiem Myszki Miki.

Czuła się strasznie z powodu Thurmona Stookeya. Nie powinno go być w windzie. Nieodpowiednie miejsce, nieodpowiedni moment. Ślepy los. To prawda, że życie jest pełne niespodzianek. W ciągu trzydziestu trzech lat życia Eve Jammer zabiła tylko pięć osób, natomiast Thurmon Stookey był wśród nich jedyną niewinną. Miała przed oczami wyraz twarzy nieboraka tuż przedtem, nim go zastrzeliła, i dopiero po długim czasie wróciła do równowagi.

Za rok nie będzie już musiała nikogo zabijać. Będzie mogła rozkazywać innym, żeby wykonywali za nią egzekucje.

Już wkrótce Eve Jammer – chociaż nieznaną szerokim rzeszom społeczeństwa – będzie najgroźniejszą osobą w państwie, poza zasięgiem swoich wrogów. Pieniądze, które zgromadziła, rosły w postępie geometrycznym, ale to nie dzięki pieniądзом stanie się nietykalna. Jej potęga będzie się opierała na materiałach, które obciążały polityków, biznesmenów i znakomite osobistości – na dowodach, które przysyłała w formie zdigitalizowanych, zagęszczonych danych, pochodzących z nagrań dokonanych w bunkrze, za pośrednictwem odrębnej linii telefonicznej, do własnego, automatycznego urządzenia rejestrującego w bungalowie w Boulder City. Bungalow wydzierżawiła, posługując się fałszywym nazwiskiem, w imieniu nieistniejącej korporacji.

Przyszłe lata będą erą informacji, która nastąpiła po erze usług, a ta z kolei nastąpiła po erze produkcji. Czytała o tym w „Fortune”, „Forbes” i „Business Week”. Przyszłość już się zaczęła, a informacja stanowiła bogactwo.

Informacja była źródłem władzy.

Eve skończyła właśnie przeglądać osiemdziesiąt uaktywnionych rejestratorów i zabierała się do wyselekcjonowania nowych materiałów, które chciała przetransmitować do Boulder City, kiedy odezwał się sygnał alarmowy zawiadamiający, że na jednej z linii dzieje się coś ważnego.

Gdyby w tym czasie była poza biurem, w domu albo gdziekolwiek, komputer zawiadomiłby ją o tym za pośrednictwem pagera; wówczas wróciłaby natychmiast do bunkra. Nie miała nic przeciwko temu, żeby być do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę. Było to lepsze rozwiązanie, niż mieć pomocników na dwóch pozostałych zmianach, ponieważ nie ufała nikomu ze względu na ważność informacji zapisanych na dyskach.

Migające czerwone światelko zaprowadziło ją do właściwego rejestratora. Przycisnęła guzik wyłączający alarm.

Z przodu urządzenia widniała nalepka z informacją o podsłuchiwanej linii. Pierwsza linijka zawierała numer sprawy. Dwie następne podawały adres, pod którym telefon jest zainstalowany. Czwarta przynosiła nazwisko podsłuchiwanej osoby: Theda Davidowitz.

Śledzenie pani Davidowitz nie polegało na rutynowym przesłuchiwaniu jej rozmów telefonicznych, zarejestrowanych na dysku. Była jedynie starą wdową, prostą kobietą, która nie stanowiła żadnego niebezpieczeństwa dla państwa, więc organizacja się nią nie interesowała. Całkiem przypadkowo Davidowitz przez krótki czas przyjaźniła się z kobietą, która w tej chwili była najgorliwiej poszukiwaną

osobą w kraju, a organizacja interesowała się wdową tylko ze względu na nikłą szansę, że ścigana kobieta zadzwoni do niej albo złoży jej wizytę. Przesłuchiwanie nudnych pogawędek starej wdowy z jej przyjaciółkami i sąsiadkami byłoby stratą czasu.

Zamiast tego, komputer sterujący wszystkimi urządzeniami w bunkrze został zaprogramowany tak, żeby urządzenie podsłuchowe Thedy Davidowitz było przez cały czas włączone, ale żeby rejestrowanie rozmowy rozpoczynało się tylko wtedy, gdy w rozmowie padnie hasło rozpoznawcze, związane z uciekinierką. To hasło właśnie przed chwilą padło i widniało teraz na małym ekraniku rejestratora: HANNAH.

Eve przycisnęła guzik z napisem „monitor” i usłyszała, jak Theda Davidowitz rozmawia w swoim pokoju z jakąś drugą osobą.

W słuchawkach wszystkich telefonów w mieszkaniu wdowy normalne mikrofony zostały zastąpione takimi, które przekazywały nie tylko to, co zostało powiedziane podczas rozmowy telefonicznej, ale również to, co mówiło się w pokojach, kiedy żaden z telefonów nie był używany. Była to odmiana urządzenia nazywanego w służbie wywiadowczej wiecznym nadajnikiem.

Organizacja używała takich nadajników, znacznie jednak udoskonalonych w porównaniu z typami dostępnymi na rynku. Mogły działać dwadzieścia cztery godziny na dobę bez zakłócania normalnego funkcjonowania telefonu, w którym były ukryte. Pani Davidowitz, podnosząc słuchawkę, zawsze słyszała sygnał, że linia jest wolna, a dzwoniący do niej nie odbierali sygnału, że linia jest zajęta, mimo bezustannego działania nadajnika.

Eve Jammer słuchała cierpliwie, jak stara kobieta opowiada chaotycznie o Hannah Rainey. Davidowitz mówiła raczej o swojej przyjaciółce niż do niej.

Kiedy wdowa na chwilę umilkła, jakiś młody męski głos zadał pytanie na temat Hannah. Zanim odpowiedziała, nazwała swojego gościa „moim ślicznookim misiem-pysiem” i poprosiła go: „daj mi buzi, chodź, poliz mnie troszkę, pokaż Thedzie, jak ją kochasz, mój mały cukiereczku, słodki mały cukiereczku, tak, właśnie tak, machnij tym ogonem i poliz troszeczkę Thedę, zrób jej cium-cium”.

– Wielki Boże – powiedziała głośno Eve, wykrzywiając się z obrzydzeniem. Davidowitz zbliżała się do osiemdziesiątki. Sądząc po głosie, mężczyzna był od niej czterdzieści lub pięćdziesiąt lat młodszy. Wszystko w tym świecie było chore i perwersyjne. Do czego to doprowadzi?

– Karaluch – powiedziała Theda, drapiąc delikatnie Rocky’ego po brzuchu. – Długi na cztery, pięć stóp, nie licząc czułek.

Kiedy ośmiu agentów DEA wtargnęło do mieszkania Hannah Rainey i przekonali się, że już uciekła, zaczęli godzinami wyciągać zeznania od Thedy i innych sąsiadów, zadając im najgłupsze pytania i twierdząc, że Hannah jest niebezpieczną przestępczynią – podczas gdy każdy, kto kiedykolwiek miał z nią kontakt, wiedział, że nie nadawała się do handlu narkotykami i mordowania policjantów. Absolutny nonsens. Później, kiedy nie zdołali dowiedzieć się niczego od sąsiadów, spędzili jeszcze wiele godzin w jej mieszkaniu, szukając Bóg wie czego.

Tego samego wieczora, kilka godzin po odejściu agentów – tej hałaśliwej, grubiańskiej bandy głupców – Theda poszła do mieszkania 2-D i otworzyła je zapasowym kluczem, który Hannah kiedyś jej dała. Zamiast włamać się przez drzwi, agenci wybili duże okno wychodzące na galerijkę i dziedziniec. Właściciel zasłonił już okno arkuszami dykty do czasu, aż szklarz wprawi szybę. Za to frontowe drzwi były nienaruszone, a zamek nie został zmieniony, więc Thedzie udało się wejść do środka. Mieszkanie było wynajęte wraz z umeblowaniem. Hannah utrzymywała je w nienaganej czystości, a z meblami obchodziła się tak, jakby były jej własnością, więc Theda chciała zobaczyć, jakie szkody poczynili ci

durnie, i upewnić się, że właściciel nie będzie próbował oskarżyć o nie Hannah. W razie gdyby Hannah wróciła, Theda zaświadczyłaby o jej nienagannym prowadzeniu domu i poszanowaniu własności. Za żadne skarby nie dopuściłaby, żeby to drogie dziecko musiało płacić za zniszczenia, a na dodatek stanąć przed sądem za zamordowanie policjantów, których z pewnością nie tknęła palcem. No i naturalnie w mieszkaniu panował bałagan, agenci zachowali się jak świnie: podłogę w kuchni zaśmiecało mnóstwo niedopałków, plastikowe kubki po kawie powyrzucali przez okno, nawet nie spłukali muszli klozetowej, nie do wiary, przecież to byli dorośli ludzie, których matki z pewnością czegoś nauczyły. Ale najdziwniejszą rzeczą był karaluch, narysowany przez nich grubym markerem na ścianie w sypialni.

– Narysowali go byle jak, rozumie pan, zwykły szkic, ale można było rozpoznać, co miał przedstawiać – powiedziała Theda. – Narysowany kreską, ale wyglądał obrzydliwie. Po co ci durnie nabazgrali go na ścianie?

Spencer był pewny, że to Hannah-Valerie narysowała karalucha, gdyż przybiła jego fotografię także na ścianie bungalowu w Santa Monica. Czuł, że miało to na celu wyśmianie i rozjątrzenie ludzi, którzy po nią przyszli, chociaż nie miał pojęcia, co karaluch miał symbolizować i skąd wiedziała, że zdenerwuje nim swoich prześladowców.

Eve Jammer usiadła przy biurku i zatelefonowała na górę, do biura operacyjnego mieszczącego się na parterze oddziału firmy Carver, Gunmann, Garrote & Hemlock w Las Vegas. Przedpołudniowy dyżur pełnił John Cottcole. Eve powiedziała mu o rozwoju sytuacji w mieszkaniu Thedy Davidowitz.

Cottcole był zelektryzowany wiadomością i nie mógł ukryć podniecenia. Natychmiast zaczął wydawać rozkazy ludziom w biurze, mimo że nadal był połączony z Eve.

– Pani Jammer – powiedział – chcę mieć kopię tego dysku, każdego słowa na tym dysku, rozumie pani?

– Dobrze – odpowiedziała, ale jej rozmówca już odłożył słuchawkę.

Myśleli, że nie wiedziała, kim była Hannah Rainey, zanim przybrała to nazwisko, ale ona знаła całą historię. Wiedziała też, że ta sprawa stwarza jej ogromną szansę powiększenia majątku i władzy, ale nie zdecydowała jeszcze, w jaki sposób ją wykorzysta.

Tłusty pajak szybko przemierzał jej biurko. Roztrzaskała go na miazgę otwartą dłonią.

Wracając do chaty Spencera Granta w Malibu, Roy Miro otworzył pojemnik. Potrzebna mu była poprawa nastroju, którą niezawodnie przynosiło mu oglądanie ręki Guinevere.

Doznał wstrząsu na widok niebiesko-zielono-brązowej plamki wykwitłej na tkance łącznej między kciukiem a palcem wskazującym. Nie spodziewał się, że to przyjdzie tak szybko. Miał irracjonalną pretensję do tej kobiety za to, że jest taka nieodporna.

Mimo że wmawiał w siebie, że plamka jest mała, a cała reszta dłoni jest w dalszym ciągu zachwycająca, że zamiast na kolorze może się skupić na jej niezmiennym doskonałym kształcie – nie mógł rozbudzić w sobie początkowej namiętności do skarbu Guinevere. W istocie rzeczy, choć nie wydzielał jeszcze nieprzyjemnego zapachu, nie był już skarbem, tylko odpadkiem.

Przygnębiony, zamknął plastikowy pojemnik.

Pojechał jeszcze parę mil Pacific Coast Highway, nim skręcił na parking przed publicznym moło. Parking był pusty.

Wysiadł z wozu, zabierając z sobą pojemnik. Wspiął się po schodkach na moło i poszedł w stronę morza. Kroki dudniły głucho na deskach pomostu. Przybrzeżne fale z hukiem przetaczały się między palami.

Moło było wyludnione. Nie było ani rybaków, ani zakochanych par, ani turystów. Był sam... ze

swoim psującym się skarbem i swoimi myślami.

Zatrzymał się przy końcu mola i stał przez chwilę, patrząc na niezmierną przestrzeń połyskującej wody i na lazurowe niebo nachylające się ku horyzontowi. Niebo będzie i jutro, i za tysiąc lat, morze będzie falowało wiecznie... ale wszystko inne umrze.

Próbował otrząsnąć się z ponurych myśli. Bez skutku. Otworzył pojemnik i wyrzucił pięciopalczasty odpadek do Pacyfiku. Zniknął wśród złocistych refleksów słońca tańczących na drobnych falach.

Nie żywił obaw, że jego odciski palców mogą zostać zdjęte ze skóry odciętej ręki za pomocą lasera. Jeżeli ostatniego kawałka Guinevere nie zje ryba – słona woda zmyje ślad dotyku.

Wyrzucił do morza także pojemnik i wieczko, doznając nagłego poczucia winy, zanim jeszcze zdążyły wpaść do wody.

Miał szacunek do naturalnego środowiska i nigdy go nie zaśmiecał.

Nie martwił się ręką, ponieważ była organiczna. Stanie się częścią oceanu, nie wywołując w nim zmiany. Natomiast plastik będzie potrzebował trzystu lat, żeby ulec rozkładowi, a przez cały ten czas trujące substancje będą przenikały do katowanego morza. Powinien był wyrzucić pojemnik do jednego z kublów na śmieci rozstawionych wzdłuż balustrady mola.

Za późno. Był tylko człowiekiem. To zawsze sprawiało problem. Przez chwilę stał, oparty o balustradę, patrząc na nieskończoną wodę i niebo, rozmyślając o ludzkich możliwościach.

Najbardziej martwiło go to, że istoty ludzkie mimo gorących pragnień i usilnych starań nigdy nie potrafiły osiągnąć fizycznej, psychicznej ani intelektualnej perfekcji. Rasa ludzka była skazana na niedoskonałość i dzieliła się na tych, którzy temu zaprzeczali, i na tych, którzy z tego powodu rozpaczali.

Chociaż Guinevere była naprawdę atrakcyjna, doskonale były tylko jej ręce.

Teraz już ich też nie było.

Miała jednak do pewnego stopnia szczęście, ponieważ ogromna większość ludzi była niedoskonała pod każdym względem. Ci ludzie nigdy nie zaznali przyjemności płynącej z przeświadczenia, że ma się przynajmniej jeden szczegół bez najmniejszej skazy.

Roya nawiedzał sen powtarzający się dwa, trzy razy w miesiącu, z którego zawsze budził się w stanie ekstazy. Śniło mu się, że wędruje po świecie, szukając kobiet takich jak Guinevere, i każdej z nich zabiera doskonale części ciała: jednej – parę uszu tak pięknych, że na ich widok serce bije w nim boleśnie; innej – najrozkoszniejsze kostki, jakie potrafił sobie wyobrazić; jeszcze innej – śnieżnobiałe zęby bogini. Trzyma te skarby w magicznych słoikach, gdzie nie ulegają zepsuciu, i kiedy ma już wszystkie potrzebne części, składa je razem, budując z nich kochankę, o jakiej zawsze marzył. Jest tak promienna w swojej nieziemskiej doskonałości, że oślepia go, kiedy na nią patrzy, a dotykanie jej doprowadza go do szaleństwa.

Na nieszczęście zawsze budził się za wcześnie.

W realnym życiu nigdy nie spotka takiej piękności. Człowiekowi, któremu satysfakcję sprawiała tylko doskonałość, pozostawał jedynie sen.

Patrzył na niebo i morze. Samotny mężczyzna na końcu pustego mola. Niedoskonały w każdym szczególe własnej postaci. Marzący o rzeczach nieosiągalnych.

Wiedział, że jest postacią romantyczną, a zarazem tragiczną. Byli tacy, którzy nazwaliby go szaleńcem. Ale przynajmniej miał odwagę marzyć... i to na zawrotną skalę.

Westchnął i odwracając się tyłem do obojętnego morza, powędrował w stronę samochodu.

Usiadł za kierownicą, zapalił silnik, ale na razie nie ruszał. Sięgnął po portfel i wyjął z niego kolorowe zdjęcie. Nosił je ponad rok i często oglądał. Miało taką siłę hipnotyczną, że mógł patrzeć na nie

pół dnia, pogrążony w sennych rozważaniach.

Było to zdjęcie kobiety, która ostatnio przybrała nazwisko: Valerie Ann Keene. Wedle ogólnych kryteriów była atrakcyjna, może nawet równie atrakcyjna jak Guinevere.

Tym, co stanowiło o jej wyjątkowości, i co napełniało Roya wdzięcznością wobec boskiej mocy, która stworzyła ludzkość, były jej nieskazitelne oczy – jeszcze bardziej frapujące i zniewalające niż oczy kapitana Harrisa Descoteaux z Departamentu Policji Los Angeles.

Ciemne, a przy tym kryształowo przezroczyste, ogromne, ale doskonale dopasowane do proporcji twarzy, szczere, a równocześnie zagadkowe – oczy, które potrafiły przenikać wszystkie tajemnice. Oczy bezgrzesznej duszy, a przy tym bezwstydnie zmysłowe, szczere, a zarazem skromne, widzące każdy fałsz, pełne siły ducha i zrozumienia, czym jest przeznaczenie.

Był pewny, że w rzeczywistości jej oczy są jeszcze bardziej niezwykle niż na zdjęciu. Widział inne jej fotografie, a także sporo taśm wideo, i każdy obraz kobiety zadawał bolesny cios jego sercu.

Odnajdzie ją i zabije ją w imieniu organizacji, w imieniu Thomasa Summerton i w imieniu tych wszystkich, którzy pracowali dla dobra kraju i dla dobra ludzkości. Nie zasługiwała na litość. Wprawdzie miała jeden idealny szczegół anatomiczny, ale była wcieleniem zła.

Zwłokom wylupie oczy. Zasługiwał na nie. Przez pewien czas jej fantastyczne oczy będą mu przynosiły ulgę w świecie, który był zimny i okrutny, i często zbyt trudny do zniesienia nawet dla ludzi z tak pozytywnym nastawieniem.

Nim Spencer zebrał się, żeby opuścić mieszkanie – z Rockym w ramionach (pies mógłby nie wyjść o własnych siłach) – Theda włożyła dziesięć pozostałych czekoladowych ciastek do plastikowej torby, nalegając, żeby je zabrał. Pokuśtykała do kuchni i wróciła z zapakowaną do małej papierowej torby domową bułeczką nadziewaną borówkami, a potem powędrowała jeszcze raz do kuchni, żeby mu przynieść dwie porcje tortu kokosowo-cytrynowego w plastikowym pojemniku.

Spencer odmówił zabrania tortu, ponieważ nie mógłby zwrócić pojemnika.

– To drobiazg – powiedziała. – Nie musi pan go zwracać. Mam ich dość na dwa moje życia. Zbierałam je przez lata, ponieważ można w nich przechowywać wszystko, ma tyle zastosowań, ale jak dość to dość, a ja mam więcej niż dość, więc proszę wziąć tort, a potem wyrzucić pojemnik. Smacznego!

Oprócz sutego poczęstunku Spencer uzyskał dwie informacje o Hannah-Valerie. Pierwszą było opowiadanie Thedy o rysunku karalucha na ścianie sypialni Hannah, chociaż ciągle nie wiedział, z czym to może być związane. Druga dotyczyła pewnej rozmowy, którą prowadziły, jedząc kiedyś wspólnie obiad, krótko przed ucieczką Hannah. Rozmawiały wówczas o wymarzonych miejscach, w których chciałyby zamieszkać na zawsze. Theda nie mogła się zdecydować, czy wybrać Anglię, czy Hawaje, natomiast Hannah upierała się przy tym, że tylko małe nadmorskie miasteczko Carmel w Kalifornii ma w sobie tyle piękna i spokoju, że nie może być na świecie niczego lepszego.

Spencer przypuszczał, że Carmel mogło stanowić wymijającą odpowiedź, ale w tym momencie to był jedyny trop. Nie udała się tam prosto z Las Vegas, tylko zatrzymała się w okolicy Los Angeles, próbując urządzić się pod nazwiskiem Valerie Keene. Ponieważ jednak jej tajemniczy wrogowie już dwukrotnie odnaleźli jaw wielkich miastach – może zdecydowała się spróbować, czy uda im się wysledzić ją w znacznie mniejszej społeczności.

Theda nie powiedziała tej bandzie hałaśliwych, gburowatych, głupich dzikusów, że Hannah wspomniała o Carmel. Dawało to Spencerowi pewną przewagę.

Przykro mu było zostawić ją samą ze wspomnieniami o ukochanym mężu, od dawna opłakiwanych dzieciach i utraconej przyjaciółce. Dziękując jej wylewnie, wyszedł na galerijkę i powędrował

w kierunku schodków prowadzących na dziedziniec.

Zaskoczyło go pstre, szaro-czarne niebo i szalejący wiatr. Przebywając w świetle Thedy, zapomniał, że istnieje jeszcze jakiś inny, poza ścianami jej mieszkania. Było znacznie zimniej, a korony palm ugięły się pod naporem wiatru.

Schodził niepewnie po schodach, niosąc siedemdziesięciofuntowego psa, plastikową torbę pełną ciastek, papierową torbę z nadziewaną borówkami bułką i pojemnik z tortem. Nie mógł puścić Rocky'ego wcześniej, gdyż wiedział, że popędzi z powrotem w ramiona Thedy.

Kiedy w końcu postawił go na ziemi, kundel odwrócił łeb i tęsknie popatrzył w stronę małego kawałka psiego nieba.

– Czas wrócić do rzeczywistości – powiedział Spencer.

Pies zaskomlił.

Spencer ruszył ku frontowi budynku, w stronę smaganych wiatrem drzew. Obejrzał się, kiedy doszedł do połowy basenu.

Rocky tkwił przy schodach.

– Hej, kolego.

Rocky spojrzał na niego.

– Czyim ty w końcu jesteś psem?

Kundla ogarnęło poczucie winy i zaczął człapać w stronę Spencera.

– Lassie nigdy by nie opuścił Timmy'ego, nawet dla babci samego Pana Boga.

Rocky kichnął parę razy z powodu ostrego zapachu chloru.

– Co by było – powiedział Spencer, kiedy pies zrównał się z nim – gdybym został przygnieciony przewróconym traktorem i nie mógł się wydostać, a w dodatku czyhałby na mnie zły niedźwiedź?

Rocky zaskomlił przepraszająco.

– W porządku – uspokoił go Spencer.

Kiedy siedzieli już w fordzie, Spencer dodał:

– Jestem z ciebie dumny, kolego.

Rocky uniósł łeb.

Zapalając silnik, Spencer wyjaśnił:

– Robisz się z dnia na dzień coraz bardziej towarzyski. Gdybym cię nie znał, mógłbym pomyśleć, że podbierasz mi pieniądze, żeby opłacać któregoś ze znanych psychologów w Beverly Hills.

Zza rogu najbliższej przecznicy wyjechał z kontrolowanym poślizgiem zielony chevrolet i niemal przetoczył się przez dach jak podczas wyścigów wraków samochodowych. Jakoś utrzymał się na dwóch kołach, przyspieszył i z piskiem opon i hamulców zatrzymał się po przeciwnej stronie ulicy.

Spencer przypuszczał, że samochód był prowadzony przez pijanego albo przez chłopaka, który wypił coś mocniejszego od pepsi – dopóki nie pootwierały się drzwiczki i nie wyskoczyło z nich czterech mężczyzn. Pobiegli w stronę kompleksu apartamentów.

Spencer zwolnił ręczny hamulec i ruszył.

Jeden z biegnących mężczyzn zauważył go i wskazując na niego ręką, krzyknął coś do tamtych. Wszyscy czterej stanęli i popatrzyli za foldem.

– Trzymaj się teraz mocno, kolego.

Spencer przycisnął pedał gazu i ford wyskoczył na ulicę w kierunku przecznicy, oddalając się od mężczyzn.

Z tyłu usłyszał strzały.

Rozdział 10

W tylne drzwi forda uderzył pocisk. Drugi odbił się rykoszetem i odleciał w przestrzeń, wydając świrdrujący dźwięk. Zbiornik paliwa nie eksplodował. Nie pękła żadna szyba. Żadna opona nie została przestrelona. Biorąc ostry zakręt w prawo koło narożnego sklepu z kawą, Spencer poczuł, jak podnoszą się prawe koła, więc wprowadził dżipa w poślizg. Tylne koła poszorowały po nawierzchni jezdni i już byli na bocznej ulicy, poza zasięgiem rewolwerowców. Jeszcze mocniej przycisnął pedał gazu.

Rocky, który bał się ciemności, wiatru, błyskawic, kotów, obserwatorów własnych czynności toaletowych i jeszcze wielu podobnie strasznych rzeczy, nie przestraszył się strzałów ani kaskaderskiej jazdy Spencera. Siedział wyprostowany, z pazurami wczepionymi w tapicerkę, poddając się kołysaniu samochodu, dysząc i szczerząc zęby.

Spencer zerknął na szybkościomierz. Jechali sześćdziesiąt pięć mil na godzinę w strefie, gdzie obowiązywał limit trzydziestu. Przyspieszył jeszcze bardziej.

Wyprostowany na siedzeniu pasażera Rocky zrobił coś, co do tej pory nigdy jeszcze mu się nie przytrafiło: zaczął kiwać głową w górę i w dół, jak gdyby zachęcając Spencera do szybszej jazdy – tak, tak, tak, tak.

– To nie są żarty – przypomniał mu Spencer. Rocky sapnął, jak gdyby kpił sobie z niebezpieczeństwa.

– Musieli mieć podsłuch w mieszkaniu Thedy.

Tak, tak, tak, tak, tak.

– Marnowali cenne urządzenia na podsłuchiwanie Thedy i to od listopada. Czego oni, do cholery, chcą od Valerie? Dlaczego jest dla nich taka ważna?

Spojrzał we wsteczne lusterko. O półtorej przecznicy z tyłu chevrolet brał zakręt koło sklepu z kawą.

Spencer zamierzał zniknąć z pola widzenia, skręcając w lewo na drugim skrzyżowaniu, mając nadzieję, że skorzy do pociągania za spust kolesie pomyślą, że skręcił na pierwszym. Teraz znów go widzieli. Odległość między nimi malała. Chevrolet był znacznie szybszy, niż na to wyglądał; był to podrasowany samochód udający jeden z tych odrapanych, dychawicznych gruchotów, które rząd oddawał inspektorom wydziału rolnictwa lub agentom biur propagujących czyszczenie zębów.

Mimo że ford pozostawał w polu widzenia chevroleta, Spencer pojechał w lewo, tak jak zaplanował. Tym razem wziął szeroki zakręt, chcąc uniknąć straty czasu i zdzierania opon przy jeździe poślizgiem.

Jechał jednak tak szybko, że wystraszył kierowcę nadjeżdżającej hondy. Facet gwałtownie skręcił w prawo, wjechał na chodnik, zawadził o słupek hydrantu i zatrzymał się na siatce ogrodzenia nieczynnej stacji obsługi.

Kątem oka Spencer zauważył, jak Rocky, przypierany siłą odśrodkową do bocznych drzwi, nadal kiwa z entuzjazmem głową: tak, tak, tak, tak.

Samochodem szarpały uderzenia zimnego wiatru, gęste chmury piasku, wznoszące się z kilku akrów nie zabudowanej przestrzeni po prawej stronie, przemiały w poprzek ulicę.

Vegas rozrastało się chaotycznie na dnie rozległej pustynnej doliny. Niektóre nawet najbardziej rozwinięte dzielnice miasta były otoczone wielkimi połaciami pustego terenu, które na pierwszy rzut oka zdawały się stanowić jedynie ogromne działki. W rzeczywistości były siłami przyczajonej pustyni, czekającej, aż przyjdzie jej czas. Kiedy wiał mocny wiatr, rozzłoszczona pustynia zrzucała maskę, atakując najbliższe sąsiedztwo.

Na pół oślepiony przez burzę piaskową chłuszczącą przednią szybę forda biczami z piasku, Spencer

modlił się o jeszcze silniejszy wiatr i gęstsze chmury pyłu. Chciał w nich zniknąć jak statek widmo we mgle.

Spojrzał we wsteczne lusterko. Widoczność była ograniczona do dziesięciu, piętnastu stóp.

Zaczął przyspieszać, ale zreflektował się. I tak jechał z niemal samobójczą prędkością. Widzialność przed nim była taka sama jak za nim. Gdyby natknął się na stojący albo wolno jadący pojazd, albo wpadł na skrzyżowanie bez podporządkowania, nie zmartwiłby się o cztery trupy w podrasowanym wozie federalnym.

Któregoś dnia, gdy oś Ziemi zmieni nachylenie o najdrobniejszy ułamek stopnia albo kiedy prądy strumieniowe wyższych warstw atmosfery z jakichś tajemniczych powodów nagle poszerzą się i przyspieszą – wiatr i pustynia z pewnością połączą się, żeby obrócić Vegas w ruinę i pogrzebać jego szczątki pod miliardami jardów sześciennych suchego, białego zwycięskiego piasku. Może ten dzień właśnie nadszedł.

Coś uderzyło w tył forda, wstrząsając Spencerem. Spojrzał w lusterko. To chevrolet. Tuż za nim. Samochód agentów zwolnił, oddalając się o parę stóp, a potem skoczył do przodu, znów uderzając w dżipa, może próbując wprowadzić go w poślizg lub dając Spencerowi do zrozumienia, że są za nim.

Miał świadomość, że Rocky mu się przypatruje, więc spojrzał w jego stronę. Pies wyglądał tak, jakby chciał powiedzieć: „W porządku, i co teraz?”

Minęli ostatnią połąć niezagospodarowanego terenu i wjechali w strefę czystego powietrza. W zimnym szarym świetle nadciągającej burzy musieli przestać liczyć na ucieczkę, wzorem Lawrence’a z Arabii, pod osłonę wirujących tumanów pustynnej krzemionki.

Na odległym o pół przecznicy skrzyżowaniu paliło się czerwone światło.

Spencer nie zwalniał, modląc się o przerwę w poprzecznym strumieniu pojazdów, ale w ostatniej chwili zahamował gwałtownie, żeby uniknąć zderzenia z autobusem. Ford przypadł nosem do jezdni, tylne koła niemal oderwały się od nawierzchni, a potem zakołysał się, stając w płytkim, poprzecznym rowku kanalizacyjnym, zaznaczającym początek skrzyżowania.

Rocky zaskowyczał, tracąc punkt zaczepienia, i ześliznął się z siedzenia pasażera pod deskę rozdzielczą.

Autobus, ciągnąc za sobą kłęby jasnoniebieskich spalin, przejechał najbliższym z czterech pasm ruchu.

Zwijający się w ciasnej przestrzeni pod deską rozdzielczą, Rocky wyszczerzył zęby do Spencera.

– Zostań tam, kolego. Tak będzie bezpieczniej.

Pies, nie korzystając z dobrej rady, wdrapał się z powrotem na siedzenie. Spencer ruszył w ślad za wyziewami z rury wydechowej autobusu.

Wyprzedzając autobus, ujrzał we wstecznym lusterku, jak chevrolet podskoczył na tym samym płytkim rowku i zgrabnym łukiem pojechał w prawo tak płynnie, jakby leciał w powietrzu.

– Umie jeździć, sukinsyn.

Chevrolet zrównał się już z autobusem. Zbliżał się bardzo szybko.

Spencerowi mniej zależało, żeby się urwać, bardziej, by nie zaczęli strzelać, zanim wydostaną się na otwartą przestrzeń.

Musieliby być szaleni, żeby zacząć strzelać wśród ruchu ulicznego z jadącego samochodu, gdzie zbłąkane pociski mogły pozabijać niewinnych ludzi. Na miłość boską, to nie było Chicago lat dwudziestych ani Bejrut lub Belfast, nie było to nawet Los Angeles.

Z drugiej strony nie zawahali się strzelać do niego na ulicy, przed domem Thedy Davidowitz.

Strzelali bez uprzedzenia, bez odczytania mu jego konstytucyjnych praw. Tak bardzo chcieli go dostać, że nie próbowali sprawdzić, czy jest osobą, której poszukują, ryzykując, że zabiją jakiegoś niewinnego człowieka.

Wydawało się, że są przekonani, iż dowiedział się o Valerie czegoś o zasadniczym znaczeniu, dlatego musi zostać zlikwidowany. W rzeczywistości wiedział o przeszłości tej kobiety mniej niż o przeszłości Rocky'ego.

Gdyby go dogonili wśród ruchu ulicznego i zastrzelili, pokazaliby fałszywe legitymacje takiej czy innej agencji rządowej i nikt nie zaarrestowałby ich za morderstwo. Oznajmiliby, że Spencer był niebezpieczny, miał broń i był ścigany za zabójstwo policjanta. Z pewnością okazaliby nakaz aresztowania, który zostałby wydany po zamordowaniu go i antydatowany, a przedtem jeszcze wcisnęliby mu do martwej ręki pistolet, który byłby związany z wieloma niewyjaśnionymi zabójstwami.

Ruszył przy żółtym świetle, w momencie kiedy miało się zmienić na czerwone. Chevrolet pojechał za nim.

Gdyby nie zabili go na miejscu, ale ranili i wzięli żywcem, prawdopodobnie zawlekliby go do dźwiękoszczelnego pomieszczenia i użyli wyrafinowanych metod przesłuchań. Nie uwierzyliby, że nic nie wie, i zabijaliby go powoli, stopniowo, próbując bezowocnie wyciągnąć od niego informacje, których nie posiadał.

Nie miał pistoletu. Miał tylko ręce. Prócz tego swoje wykszolenie. No i psa.

– Mamy spore kłopoty – powiedział Rocky'emu.

Roy Miro siedział przy stole w przytulnej kuchni chaty w kanionie Malibu, przeglądając czterdzieści fotografii znalezionych przez jego ludzi w pudełku po butach, które było schowane na najwyższej półce szafy w sypialni. Jedno z nich było w kopercie, pozostałe trzydzieści dziewięć luzem.

Sześć z nich przedstawiało psa mieszańca, czarno-brązowego, z oklapłym uchem. Najprawdopodobniej był to pies, dla którego Grant zamówił gumową grającą kość w firmie wysyłkowej, gdzie w kartotece jeszcze po dwóch latach figurowało jego nazwisko i adres.

Trzydzieści trzy dalsze przedstawiały tę samą kobietę. Na niektórych z nich miała około dwudziestu lat, na innych ponad trzydzieści. Na pierwszym: w niebieskich dżinsach i swetrze z owczej wełny dekoruje choinkę. Na drugim: w prostej, letniej sukience i w białych bucikach, pocętkowana plamami słońca i cienia, uśmiecha się do obiektywu, stojąc pod drzewem okrytym pękami białych kwiatów. Wiele innych zdjęć pokazywało ją czyszczącą konie, jeżdżącą na nich albo karmiącą je jabłkami.

Coś w niej wzruszało Roya, ale nie mógł uświadomić sobie co.

Była niezaprzeczalnie bardzo atrakcyjna, ale nie porażająco piękna. Mimo że była zgrabną, niebieskooką blondynką, nie miała ani jednej cechy, która mogłaby wprowadzić ją do panteonu prawdziwego piękna.

Jedynie jej uśmiech zdecydowanie się wyróżniał. Powtarzał się na wszystkich zdjęciach. Był to ciepły, szczerzy, zachwycający uśmiech bez cienia fałszu, zdradzający wielką dobroć serca.

Uśmiech nie był jednak szczegółem anatomicznym. Jej wargi nie były tak zmysłowe, jak na przykład wargi Melissy Wicklun. Układ ust i kształt zębów były przeciętne. Uśmiech był natomiast czymś o wiele bardziej zachwycającym niż suma elementów, które się nań składały, był czymś podobnym do refleksu słońca na powierzchni niczym niewyróżniającego się stawu.

Nie było w niej żadnego szczegółu, który chciałby zachować.

Mimo to nie dawała mu spokoju. Chociaż wątpił, czy kiedykolwiek ją spotkał, czuł, że powinien wiedzieć, kim ona jest. Gdzieś już ją widział.

Patrząc na jej twarz, na promienny uśmiech, wyczuwał otaczającą ją czyjaś straszliwą obecność. Wisiała nad nią mroczna lodowata chmura, której była nieświadoma.

Najnowsze fotografie liczyły przynajmniej dwadzieścia lat, a wiele pozostałych ponad trzydzieści. Barwy nawet tych najświeższych spłowieły. Te najstarsze zachowały tylko ślady kolorów, w większości stały się szaro-białe, w niektórych miejscach pożółkłe.

Roy odwracał każdą fotografię na drugą stronę, mając nadzieję znaleźć parę słów opisu, ale wszystkie były puste. Ani jednego nazwiska lub daty.

Na dwóch zdjęciach figurował obok niej młody chłopiec. Roy był tak oszołomiony swoją reakcją na twarz tej kobiety i tak pochłonięty zastanawianiem się, dlaczego wydaje mu się znajoma, że nie od razu zorientował się, kim jest ten chłopiec. Kiedy go rozpoznał, położył oba zdjęcia obok siebie.

Był to Grant w czasach, kiedy nie miał jeszcze blizny. Z jego twarzy można było wyczytać, jakim był dzieckiem.

Na pierwszym zdjęciu mógł mieć sześć lub siedem lat. Chudy chłopak w kąpielówkach, ociekający wodą, stojący na krawędzi basenu. Kobieta miała na sobie jednoczęściowy kostium. Stojąc za nim, stroiła sobie żarty: jedną rękę trzymała ukrytą za plecami Granta, wysuwając dwa rozstawione palce ponad jego głowę, żeby stworzyć złudzenie, że ma parę rogów albo dwie anteny.

Na drugim zdjęciu oboje siedzieli przy stole piknikowym. Chłopiec był rok lub dwa lata starszy niż na pierwszym zdjęciu. Miał na sobie dżinsy, podkoszulek i czapkę baseballową. Ona otaczała go ramieniem, przyciągając do swego boku i przekrzywiając mu czapkę.

Uśmiech kobiety był na obu zdjęciach równie promienny jak na pozostałych, ale jej twarz ponadto rozjaśniała miłość i przywiązanie. Roy czuł, że zidentyfikował matkę Spencera Granta.

Nadal jednak był zbity z tropu, nie wiedząc, dlaczego jej twarz wydaje mu się znajoma, na dodatek w jakiś złowieszczy sposób. Im dłużej przyglądał się zdjęciom, tym większej nabierał pewności, że wie, kim ona jest, i że okoliczności, w których ją widział, były wstrząsające, mroczne i niesamowite.

Wrócił do zdjęcia, na którym matka i syn stali obok basenu. Na dalszym planie dostrzegł dużą stajnię; mimo że zdjęcie spłowieło, widział ślady czerwonej farby na jej wysokich, pozbawionych okien ścianach.

Kobieta. Chłopiec. Stajnia.

W głębokich warstwach podświadomości zabłysła iskierka pamięci; Roy poczuł mrowienie skóry na głowie.

Kobieta. Chłopiec. Stajnia. Przebiegła go fala dreszczy.

Przeniósł wzrok z fotografii na stół kuchenny, na okno, na gęsty lasek poza oknem, na rzadkie plamy światła słonecznego przenikającego przez gęstwę liści, życząc sobie, żeby jego myśl również przeniknęła mroki w głowie i dotarła do głębokich warstw pamięci.

Kobieta. Chłopiec. Stajnia.

Przebiegła go następna fala dreszczy, mimo to ciągle nie doznawał objawienia.

Stajnia.

Spencer uciekał ulicami dzielnicy willowej położonej wśród kaktusów, juk i odpornych na mróz drzew oliwkowych, potem przez parking centrum handlowego, dzielnicę przemysłową i przez labirynt magazynów z blachy falistej. Wreszcie zjechał z jezdni i przemykając przez duży park, w którym liście palm gięły się, smagane wiatrem nadciągającej burzy, próbował bezskutecznie pozbyć się ścigającego go chevroleta.

Wcześniej czy później musieli natknąć się na patrol policyjny. Gdyby do pościgu dołączyła

miejscowa policja, ucieczka stałaby się jeszcze trudniejsza.

Zdezorientowany, po wielu zmianach kierunku jazdy, zdumiał się na widok najnowszego kompleksu hoteli, który ukazał się po prawej stronie. Do Boulevard South było zaledwie kilkaset jardów. Na skrzyżowaniu paliło się czerwone światło, ale Spencer był pewien, że nim tam dojedzie, światło się zmieni.

Chevrolet trzymał się tuż za nim. Gdyby Spencer się zatrzymał, ci dranie w mgnieniu oka wyskoczyliby i otoczyli forda, wyciągając więcej pistoletów niż jeżozwierz ma kolców.

Trzysta jardów do skrzyżowania. Dwieście pięćdziesiąt. Nadal paliło się czerwone światło. Ruch na poprzecznej jezdni nie był tak duży, jak na północ, wzdłuż Stripu, ale nie był też bardzo mały.

Mając coraz mniej czasu, Spencer trochę zwolnił, żeby zostawić sobie możliwość szybkiego manewru, ale nie na tyle, by kierowca chevroleta odważył się zrównać z fordem.

Sto jardów. Siedemdziesiąt pięć. Pięćdziesiąt.

Nie miał dziś szczęścia w grze. Stawiał na zielone, a ciągle wychodziło czerwone.

Z lewej strony nadjeżdżała cysterna z benzyną, jechała szybciej, niż było wolno.

Rocky znów zaczął kiwać głową.

Kierowca cysterny zauważył nadjeżdżającego forda i próbował zahamować w taki sposób, żeby uniknąć zarzucenia.

– W porządku, musi nam się udać. – Spencer zorientował się, że mówi sam do siebie, jakby postanowił kształtować rzeczywistość według własnych życzeń.

Nie okłamuj psa.

– Siedzimy po szyję w gównie, kolego – poprawił się, wjeżdżając łukiem na skrzyżowanie, tuż przed maską zbliżającej się cysterny.

Strach spowodował, że widział wszystko jak na zwolnionych obrotach. Patrzył, jak ogromne koła kręcą się i zatrzymują, kręcą się i zatrzymują, podczas gdy przerażony kierowca pompuje hamulec do granicy ryzyka. Cysterna była już o włos, znacznie potężniejsza, niż wydawała się jeszcze przed ułamkiem sekundy. Zdawała się większa niż jumbo jet; a on był zaledwie robaczkiem na pasie startowym. Ford zaczął się przechylać, jakby miał się przewrócić, więc Spencer wyprostował go szarpnięciem kierownicy w prawo i krótkim przyciśnięciem hamulców. Samochód wpadł w poślizg; tył forda z piskiem opon ześlizgiwał się w bok. Mokrymi od potu dłońmi Spencer obracał kierownicą w prawo i w lewo, ale samochód wymknął się spod kontroli. Cysterna zbliżała się jak wielka góra, ale przynajmniej ześlizgiwali się w dobrą stronę, chociaż może za wolno, żeby uniknąć zmiżdżenia. Wtem szesnastokołowy potwór minął ich w odległości paru cali: cylindryczna ściana z wypolerowanej stali przemknęła obok jak zaparowane lustro, ciągnąc za sobą podmuch powietrza, który Spencer odczuł, albo przynajmniej tak mu się wydawało, mimo dobrze pozamykanych okien.

Ford wykonał pełny obrót i jeszcze ćwierć. Zatrzymał się na dalekim pasie podzielonego na dwie części bulwaru, z dala od mijającej go cysterny, zwrócony przodem w kierunku nadjeżdżających pojazdów.

Jadące po swoich pasach, w kierunku południowym, samochody zatrzymały się wśród pisku hamulców i ryku klaksonów.

Rocky był znów na podłodze.

Spencer nie wiedział, czy pies spadł z siedzenia, czy w przypiływie roztropności sam zdecydował, żeby się schować.

– Zostań tam – powiedział, mimo że Rocky znów wgramolił się na siedzenie.

Zbliżający się z lewej strony ryk silnika. Zza stojącej cysterny wyjechał chevrolet, kierując się prosto w stronę forda.

Spencer przycisnął mocno pedał gazu. Koła zabuksowały, po czym złapały nawierzchnię. Ford wystrzelił na południe, a chevrolet otarł się ze zgrzytem metalu o jego tylny zderzak.

Rozległy się strzały. Trzy lub cztery. Wydawało się, że żaden z pocisków nie trafił w forda.

Rocky trzymał się, dysząc i wbijając mocno pazury w tapicerkę, zdecydowany nie dać się ponownie strącić z siedzenia.

Samochód był zwrócony ku wyjazdowi z Vegas, co było zarazem korzystne i niekorzystne. Korzystne, gdyż im dalej na południe w kierunku pustyni i ostatniego wjazdu na autostradę międzystanową numer 15, tym ryzyko utknięcia w korku ulicznym było mniejsze. Niekorzystne – ponieważ otwarta przestrzeń poza strefą hoteli oferowała niewiele dróg ucieczki, a jeszcze mniej miejsc, w których mógłby się ukryć. Zbiry z chevroleta mogły na pustych przestrzeniach Mojave jechać za nim nawet w dużej odległości i stale mieć go na oku.

Mimo wszystko najrozsądniej było opuścić miasto. Zamieszanie na skrzyżowaniu z pewnością spowodowało policję.

Kiedy mijał najnowszy hotel, który prócz kasyna miał dwustuakrowe wesołe miasteczko, Spaceport Vegas, jego plan okazał się nie do zrealizowania. Sto jardów przed nim jakiś zmierzający na północ samochód wyjechał z zewnętrznego pasa, przemknął w poprzek niskiego szpaleru krzaków, dzielących oba kierunki ruchu, i wpadł na pasma ruchu prowadzące na południe. Zatrzymał się pod pewnym kątem, blokując drogę, gotów staranować forda, gdyby ten próbował ominąć go z tyłu lub z przodu.

Spencer zatrzymał się trzydzieści jardów przed blokadą.

Był to chrysler, tak podobny do chevroleta, że oba wydawały się pochodzić z tej samej fabryki.

Kierowca został w samochodzie, ale pootwierały się inne drzwi i wyskoczyli z nich potężni, groźnie wyglądający mężczyźni.

We wstecznym lusterku Spencer zobaczył to, czego się spodziewał: chevrolet również stanął pod kątem na jezdni, piętnaście jardów z tyłu i zaczęli z niego wysiadać mężczyźni z pistoletami.

Faceci z chryslera także mieli broń. Spencer nie był tym zdziwiony.

Została jeszcze biała koperta, zaklejona paskiem przezroczystej taśmy.

Czując pod palcami kształt cienkiej zawartości, Roy domyślił się, nim jeszcze otworzył kopertę, że to fotografia. Większa niż pozostałe. Sądził, że to będzie studyjny portret matki Granta, o wymiarach pięć na siedem, pamiątka szczególnie bliska jego sercu.

Okazało się, że był to czarno-biały portret przedstawiający mężczyznę w wieku około trzydziestu pięciu lat.

Całe otoczenie Roya przestało dla niego nagle istnieć. Zniknął lasek eukaliptusów za oknem, zniknęło samo okno. Kuchnia powoli rozplywała się w jego świadomości, aż został tylko on – naprzeciw tego jedyne go zdjęcia. Czuł się nim zahipnotyzowany.

Mógł sobie pozwolić tylko na płytkie oddechy. Gdyby ktoś go o coś zapytał, nie byłby w stanie odpowiedzieć.

Otoczająca rzeczywistość ledwie majaczyła, jakby miał gorączkę. Tymczasem czuł chłód, chociaż nie dokuczliwy. Był to chłód czujnego kameleona udającego kamień, na którym siedzi podczas jesiennego poranka, orzeźwiający chłód, który ogarniał całą jego świadomość, naoliwiał mechanizm jego mózgu i pozwalał mu kręcić się bez oporów. Jego serce biło inaczej niż podczas gorączki: rytm robił się coraz wolniejszy, ale uderzenia były potężne. Każde brzmiało jak dzwon katedry, nagrany, a potem odtwarzany

przy jednej czwartej prędkości taśmy: przewlekle, uroczyście, mocno.

Widać było wyraźnie, że zdjęcie zostało zrobione przez zawodowego artystę fotografa w warunkach studyjnych po starannym dobraniu oświetlenia i obiektywu aparatu. Mężczyzna na zdjęciu miał na sobie białą koszulę, rozpiętą pod szyją, i skórzaną kurtkę. Zdjęcie ukazywało go od pasa w górę, opartego o białą ścianę, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Był niezwykle przystojny, miał gęste czarne włosy zaczesane prosto do tyłu. Portret nosił znamiona fotografii reklamowej, ale był udany, ponieważ mężczyznę charakteryzował naturalny urok, a emanowała z niego aura tajemniczości i tragizmu, tak że fotograf nie musiał stwarzać potrzebnego klimatu za pomocą środków technicznych.

Portret stanowił studium światła i cienia, z przewagą tego drugiego. Osobliwe cienie, rzucane przez przedmioty znajdujące się poza kadrem, wydawały się pełznąć po ścianie ku mężczyźnie na podobieństwo nocy nasuwającej się na niebo jako przeciwwaga tonącego za horyzontem słońca.

Prosto patrzące, przenikliwe oczy mężczyzny, mocny zarys ust, arystokratyczne rysy, a nawet zwodniczo niewymyślna poza wskazywały na człowieka nie wiedzącego, co to są wątpliwości, depresja albo strach. Wydawał się nadzwyczaj opanowany i pewny siebie. Emanował subtelną arogancją. Z wyrazu jego twarzy wynikało, że traktuje wszystkich – bez wyjątku – przedstawicieli rasy ludzkiej lekceważąco i z rozbawieniem.

Mimo to był nadzwyczaj sympatyczny, jak gdyby poczucie wyższości wynikało z jego inteligencji i doświadczenia. Patrząc na fotografię, Roy odnosił wrażenie, że ogląda mężczyznę, który mógłby być interesującym, nieobliczalnym, zabawnym przyjacielem. Otoczona cieniami postać miała w sobie magnetyzm, który sprawiał, że ów wyraz lekceważenia nie drażnił. Co więcej, atmosfera pewnej arogancji wydawała się dla niego naturalna – podobnie jak lew musi poruszać się z kocią bezczelnością, jeśli ma sprawiać wrażenie lwa.

Roy powoli otrząsał się z przeżycia. Kuchnia, okno i drzewa poza domem pojawiły się na powrót, wypływając z mgły zauroczenia.

Znał tego człowieka. Widział go kiedyś w przeszłości. Dawno, dawno temu...

Wstrząs był spowodowany rozpoznaniem twarzy mężczyzny. Co do kobiety, Roy nie mógł połączyć jej twarzy z żadnym nazwiskiem ani przypomnieć sobie okoliczności, w których ją widział.

Żałował, że fotograf nie rzucił więcej światła na twarz mężczyzny. Z drugiej strony cienie bardzo pasowały do jego charakteru.

Roy położył portret obok zdjęcia matki z synem przy basenie pływackim.

Kobieta. Chłopiec. Z tyłu stajnia. Mężczyzna spowity cieniem.

Stojąc na środku Las Vegas Boulevard South i mając przed sobą i z tyłu uzbrojonych mężczyzn, Spencer zatrafił, skręcił kierownicę mocno w prawo i dodał gazu. Ford śmignął w stronę wesołego miasteczka, Spaceport Vegas, wciskając jego i psa w oparcia siedzeń, jakby byli kosmonautami rozpoczynającymi lot na księżyc.

Pewność siebie facetów z pistoletami dowodziła, że byli jakimiś agentami federalnymi, nawet jeśli używali fałszywych legitymacji dla ukrycia swojej prawdziwej tożsamości. Nie robiliby na niego zasadzki na głównej ulicy, przy świadkach, gdyby nie mogli wylegitymować się przed miejscową policją.

Ludzie na chodniku przed Spaceport Vegas, wędrujący od kasyna do kasyna, rozpierchli się w popłochu. Ford wjechał alejką przeznaczoną tylko dla autobusów, która była pusta.

Prawdopodobnie ze względu na nagłe oziębienie i nadchodzącą burzę lub może z uwagi na wczesną porę Spaceport Vegas było nieczynne. Kasy biletowe pozamykano, a kolejki górskie, których konstrukcje wystawały ponad ścianami miasteczka, wyglądały jak na zatrzymanym kadrze filmowym.

Ogrodzenie, wysokości dziewięciu stóp, było ozdobione malowidłem, przedstawiającym kadłub opancerzonego statku kosmicznego. Mimo że miasteczko było nieczynne, porozmieszczane na ścianach ogrodu neony i futurystyczne wzory z włókien światłowodowych pulsowały i świeciły, włączone już teraz przez fotokomórkę czujnika, która południowy mrok, spowodowany nadchodzącą burzą, pomyliła ze zmierzchem wieczoru.

Spencer minął dwie kasy biletowe w kształcie rakiet kosmicznych i pojechał w kierunku tunelu z wypolerowanej stali, o średnicy dwunastu stóp, przenikającego ścianę ogrodu. Niebieski neon napisu: „Tunel czasu do Spaceport Vegas” obiecywał lepszą drogę ucieczki, niż mógłby sobie wymarzyć.

Złamał słabą barierkę, nie hamując, i rozpoczął podróż w czasie.

Solidna rura miała dwieście stóp długości. Niebieskie neony wspinające się w górę po zakrzywionych ścianach tunelu i przebiegające w poprzek sufitu zapalały się w płynnej sekwencji od wlotu do wylotu tunelu, stwarzając iluzję świetlnego leja.

W normalnych warunkach goście byli wwożeni do parku elektrycznymi pojazdami na szynach. Przy większej prędkości oślepiające fale światła działały silniej. Spencer czuł klucie w oczach, odnosząc wrażenie, że rzeczywiście został wykatapultowany w jakąś odległą epokę.

Rocky znów kiwał ponaglająco głową.

– Nie wiedziałem, że mam psa – powiedział Spencer – który lubi szybkość.

Pojechał w stronę dalszych rejonów miasteczka, gdzie nie było światła. Opustoszała aleja prowadziła na przemian w górę i w dół, rozszerzała się, zwężała i wiła licznymi pętłami.

Spaceport Vegas miało spiralne kolejki górskie, nurkujące bombowce, zjazdy, diabelskie młyny i inne wywracające wnętrza urządzenia, ochrzczone hojnie nazwami zapożyczonymi z literatury science fiction. Światła Sanie na Ganimedesa, Młot Kosmiczny, Piekło Słońca, Zderzenie Asteroid, Degeneracja Świata. Miasteczko oferowało również symulator lotu i rzeczywistość wirtualną w budynkach o szokującej lub futurystycznej architekturze: Planeta Węży, Krwawy Księżyc, Niszczyciel Wirowy, Świat Śmierci. Wejścia do pawilonu Wojen Robotów strzegły mordercze maszyny o czerwonych oczach, a portal do Gwiezdnego Potwora wyglądał jak błyszczący otwór górnego lub dolnego końca układu trawieniowego jakiegoś międzygwiazdowego tytana.

Pod ponurym niebem przemiętym zimnym wiatrem, przy szarym przedburzowym świetle wysysającym z otoczenia wszystkie kolory – przyszłość, jaką sobie wyobrażali twórcy Spaceport Vegas, wydawała się zdecydowanie nieprzyjazna.

Dziwne, że to wszystko wywierało na Spencerze wrażenie rzeczywistości, widział w tym raczej prawdę niż rozrywkę. Istoty pozaziemskie, roboty i grabieżczy ludzie poszukiwali wszędzie zdobyczy. Kosmiczne katastrofy czyhały na każdym zakręcie: Wybuch Słońca, Uderzenie Komety, Urwany Czas, Wielki Wybuch, Zniszczona Ziemia. Koniec Czasu był przy tej samej przecznicy głównej alei, która oferowała przeżycie przygody nazwanej Zagładą. Po obejrzeniu tylu złowieszczych atrakcji można było uwierzyć, że ta ponura przyszłość – w swoim klimacie, o ile nie w realiach – była zbyt przerażająca, żeby współczesne społeczeństwo chciało ją budować.

Spencer wytrwale krążył po promenadach, wśród niezliczonych atrakcji, w poszukiwaniu wyjazdu dla samochodów dostawczych. Od czasu do czasu widział w lusterku, między karuzelami i pawilonami, ścigające go samochody, ale cały czas w bezpiecznej odległości. Były jak rekiny płynące uparcie za ofiarą. Za każdym razem kiedy je zauważał, znikał z ich pola widzenia, skręcając w najbliższą alejkę.

Za zakrętem, koło Więzienia Galaktyki i za Pałacem Pasożytów – obok ściany fikusów i żywopłotu z czerwonych oleandrów, bladych w porównaniu z tymi, które rosły na planetach Mgławicy Raka –

znalazł dwupasmową drogę dla samochodów serwisowych, biegnącą tyłami parku, i wjechał na nią.

Po lewej stronie w odstępach dwudziestu stóp rosły w rzędzie drzewa, a między nimi rozprzestrzeniał się wysoki na sześć stóp żywopłot. Po prawej, zamiast oświetlonej neonami ściany, która ogradzała Spaceport Vegas od strony miasta, ciągnął się wysoki na dziesięć stóp płot z metalowej siatki, zwieńczony zwojami drutu kolczastego. Za płotem rosły pustynne krzaki.

Przejechał zakręt i zobaczył w odległości stu jardów przed sobą kratownicowo-siatkową bramę na rolkach, odsuwaną hydraulicznymi ramionami. Brama była zdalnie sterowana: zjeżdżała z drogi za przyciśnięciem guzika specjalnego pilota, którego Spencer nie miał.

Zwiększył prędkość. Musiał staranować bramę. Wracając do swojej normalnej przezorności, pies zląkł z siedzenia i zwinął się w kłębek na podłodze, przewidując, że i tak siła bezwładności rzuci go tam podczas zderzenia.

– Jesteś nerwowy, ale nie głupi – powiedział z aprobatą Spencer.

Był w połowie drogi do bramy, kiedy kątem oka zobaczył jakiś ruch. Spomiędzy dwóch fikusów wystrzelił chrysler, wydzierając otwór w żywopłocie z oleandrów, i w tumanie liści i czerwonych kwiatów wpadł na drogę serwisową tuż za Spencerem, wbijając się w ogrodzenie z taką siłą, że siatka zafalowała, jakby była ze szmaty, na całej długości ogrodzenia.

Ford jeszcze przez ułamek sekundy jechał za tą falą, a następnie rąbnął w bramę z siłą, która wygięła maskę samochodu, pozbawiła oddechu zawieszono na pasach Spencera, zatrzasnęła mu zęby, zaszczękała bagażem, opiętym siatką zabezpieczającą w przestrzeni ładunkowej, nie wystarczyła jednak do przebicia się. Zapora była skrzycona, zwisająca i na pół przewrócona, ale się trzymała.

Wrzucił wsteczny bieg i pojechał do tyłu jak kula armatnia, wracająca do lufy na puszczonej wstecz filmie.

Rewolwerowcy z chryslera właśnie otwierali drzwi, wysiadali, wyciągali pistolety – kiedy zobaczyli jadącego do tyłu dziopa. Powsiadali na powrót do samochodu i pozatrzaskiwali drzwi.

Ford grzmotnął tyłem w chryslera, a po łoskocie zderzenia Spencer zorientował się, że trochę przesadził, uszkodzając przy okazji własny samochód.

Kiedy jednak włączył bieg, o dziwo, samochód skoczył naprzód. Żadne z kół nie było przebite ani zablokowane powyginanymi zderzakami. Wszystkie szyby były całe. Nie czuł zapachu benzyny, a zatem zbiornik nie został przedziurawiony. Sponiewierany ford klekotał, dzwonił i skrzypiał, ale jechał nadal z siłą i gracją.

Drugie uderzenie wywaliło bramę do końca. Dziop przejechał po niej, przedostając się na ogromną parcelę, porośniętą krzakami pustynnymi, na której nikt jeszcze nie zdążył zbudować wesołego miasteczka, hotelu, kasyna ani parkingu.

Włączywszy napęd na cztery koła, Spencer pojechał na zachód, oddalając się od Stripu, w stronę autostrady międzystanowej numer 15.

Przypomniał sobie o Rockym i spojrzał na miejsce przeznaczone na nogi pasażera. Pies leżał skulony, z zamkniętymi oczami, oczekując następnego zderzenia.

– Już po wszystkim, kolego.

Rocky nie zmienił pozycji, spodziewając się dalszych nieszczęść.

– Zaufaj mi.

Rocky otworzył oczy i wrócił na siedzenie, którego winylowa tapicerka była już podrapana i podziurawiona jego pazurami.

Jechali w stronę autostrady, podskakując na nierównościach.

Od prowadzących na wschód i na zachód pasm ruchu dzielił ich stromy stok, zbudowany ze żwiru i łupku. Gdyby nawet zdołali znaleźć lukę w barierze ochronnej i wjechali na autostradę – nie mieli szans na ucieczkę. Ludzie ich szukający ustawiliby posterunki w obu kierunkach.

Po krótkiej chwili wahania Grant skręcił na południe i pojechał wzdłuż nasypu autostrady.

Daleko na wschodzie pojawił się jadący po białym piasku i różowo-szarym łupku chevrolet. Mimo zimna jego obraz drgał jak nad rozpalonym piaskiem. Spencer wiedział, że niskie wydmy i płytkie zagłębienia po kałużach wkrótce go pokonają. Ford był przeznaczony do jazdy terenowej, chevrolet nie.

Wjechał do suchego łożyska rzeczki, którą międzystanowa przekraczała po niskim betonowym moście. Posuwał się środkiem łożyska, po miękkim osadzie, po naniesionych wodą kawałkach drewna i suchych krzakach poruszających się bezustannie pod wpływem wiatru jak upiorne cienie w koszmarnym śnie. Przejechał pod autostradą i skierował się dalej korytem łożyska na zachód, w głąb nieprzyjaznej Mojave.

Posępne niebo, ciemne jak granit, wisiało nad górami o barwie żelaza. Odludne równiny wznosiły się stopniowo ku podgórzom, pozbywając się po drodze uschniętych drzewek strączkowych, suchych kęp trawy i kaktusów.

Wydostał się z łożyska rzeki, ale jechał nadal pod górę, ku odległym szczytom, nagim jak starożytne kości.

Nie było już widać chevroleta. Kiedy uznał, że znajduje się już poza zasięgiem obserwacji z autostrady, skręcił na południe i pojechał równoległe do niej. Wiedział, że nie widząc autostrady, straci orientację. Błąkające się po pustyni piaszczyste wiry powietrzne skutecznie maskowały ciągnący się za fordem pióropusz kurzu.

Nie padało jeszcze, ale błyskawice już przesywały niebo. Cienie niskich skupisk głazów pojawiały się na mgnienie oka na białawym terenie, ginęły i znów się pojawiały.

Wraz ze spadkiem tempa jazdy Rocky'ego opuściła odwaga. Znów tkwił w pętach własnej bojaźliwości. Co jakiś czas skomlał i spoglądał na pana, żeby się uspokoić.

Błyskawice z hukiem rozszczeptały niebo.

W chacie w Malibu Roy Miro odłożył na bok fotografie i postawił na stole swój przenośny komputer. Włączył go do gniazdka elektrycznego w ścianie i połączył się z Mamą w Wirginii.

Kiedy Grant, jako osiemnastoletni chłopak, wstępował przed dwunastu laty do wojska, powinien był wypełnić standardowe formularze. Między innymi musiał podać swoje wykształcenie, miejsce urodzenia, imię ojca, nazwisko panieńskie matki i listę najbliższych krewnych.

Oficer zajmujący się sprawami rekrutacji powinien był te informacje zweryfikować. Po raz wtóry weryfikowano je na wyższym szczeblu, przed przyjęciem Granta do służby.

Gdyby Grant przedstawił fałszywe dane, miałby trudności z dostaniem się do armii. Mimo to Roy nadal był przekonany, że jego nazwisko nie pokrywało się z tym, które figurowało na metryce urodzenia. Był zdecydowany ustalić nazwisko na metryce.

Na polecenie Roya Mama sięgnęła do akt byłego personelu wojskowego, znajdujących się w Departamencie Obrony. Na ekranie ukazała się karta informacyjna Granta.

Imię matki, które podał w kwestionariuszu, brzmiało: Jennifer Corrine Porth. Określił ją jako „zmarłą”.

Przy nazwisku ojca napisał: „nieznany”.

Roy aż zamrugał oczami ze zdumienia. Nieznany? Było w tym coś niezwykłego. Grant nie przyznawał wprost, że jest bękartem, ale dawał do zrozumienia, że prowadzenie się matki uniemożliwiało

dokładne określenie, kto jest jego ojcem. Każdy na jego miejscu podałyby jakieś wymyślone nazwisko ojca, żeby oszczędzić wstydu sobie i matce.

Rozumując logicznie, gdyby nazwisko jego ojca było rzeczywiście nieznanne, jego własne nazwisko powinno brzmieć Porth. Zatem albo matka dała mu nazwisko Grant po swoim ulubionym aktorze, jak utrzymywał Bosley Donner, albo nazwała go tak po jednym z mężczyzn w jej życiu, nie będąc nawet pewną, czy rzeczywiście był ojcem chłopca.

Albo też Spencer skłamał, a nazwisko Grant było jeszcze jednym spośród łańcuszka jego fałszywych tożsamości, może nawet pierwszym, które ten drań wyprodukował.

W rubryce dotyczącej najbliższych krewnych Grant napisał: „Ethel Marie i George Daniel Porth, dziadkowie”. Musieli to być rodzice matki, skoro Porth było również jej nazwiskiem panieńskim.

Roy spostrzegł, że adres Ethel i George’a Porthów w San Francisco był zarazem adresem Granta, w chwili gdy zaciągał się do wojska. Wynikało z tego, że po śmierci matki dziadkowie wzięli go do siebie.

Zatem Ethel i George Porthowie znali prawdę o pochodzeniu Granta i o przyczynie powstania blizny. Zakładając, oczywiście, że istnieją w rzeczywistości, a nie są fikcyjnymi osobami, figurującymi w kwestionariuszu, którego przed dwunastu laty oficer rekrutujący nie zweryfikował.

Roy zażądał wydruku stosownego fragmentu danych na temat przebiegu służby Granta. Nawet mając wyraźny ślad w postaci Porthów, nie był pewny, czy w San Francisco dowie się czegoś, co przyda nieco ciała owemu nieuchwytnemu widmu, które ujrzał po raz pierwszy przed czterdziestoma ośmioma godzinami podczas deszczowej nocy w Santa Monica.

Skoro Grant wymazał swoje nazwisko z rejestrów kompanii usługowych, z rejestru podatków od nieruchomości, a nawet z akt Federalnego Biura Podatkowego – dlaczego zostawił je w Biurze Kontroli Pojazdów Zmechanizowanych, w ubezpieczeniach społecznych, w policji i wojsku? Jeżeli mógł pozmienić w nich swoje prawdziwe adresy na fałszywe, to czemu nie zniknął z nich całkowicie? Miał ku temu odpowiednią wiedzę i praktykę. Prawdopodobnie musiał, również w jakimś celu, figurować nadal w niektórych rejestrach bankowych.

Mimo że sam śledził Granta, poczuł nagle, że tamten bawi się z nim w kotka i myszkę.

Sfrustrowany, skierował ponownie uwagę na dwie najbardziej nastrojowe spośród czterdziestu fotografii. Kobieta z chłopcem, w oddali stajnia. Mężczyzna wśród cieni.

Po obu stronach forda ciągnął się piasek, tak biały jak sproszkowane kości, dalej – szare wulkaniczne kamienie i łagodne wzniesienia utworzone z ilastego łupku, skruszonego skutkiem milionów lat oddziaływania upałów, mrozów i trzęsień ziemi. Rzadko rosnące rośliny były sztywne i kruche. Poza wirującym pyłem i poruszonymi wiatrem roślinami jedynym zauważalnym ruchem na pustyni było skradanie się i pełzanie skorpionów, pajaków, żuków gnojowych, żmij i innych stworów, które doskonale dawały sobie radę na tym jałowym pustkowiu.

Srebrzyste wstęgi błyskawic rozjaśniały szybko poruszające się, czarne jak atrament chmury zwiastujące deszcz. Wisiały ciężko nad horyzontem. Burza rozwijała się wśród ogłuszającego huku piorunów.

Uwięziony w pułapce między martwą pustynią a gromowym niebem, Spencer jechał możliwie równoległe do odległej autostrady. Zbaczał tylko wtedy, gdy wymagało tego ukształtowanie terenu.

Rocky siedział z opuszczoną głową. Wolał patrzeć na swoje łapy niż na burzę. Od czasu do czasu drżały mu boki, gdy przebiegały przez niego fale strachu.

Kiedy indziej, w innej sytuacji i podczas innej burzy. Spencer snułby jakieś opowiadanie, żeby

uspokoić psa. Teraz jednak był w ponurym nastroju, który pogarszał się, w miarę jak niebo robiło się coraz czarniejsze. Mógł skupić się tylko na własnych rozterkach.

Porzucił dla tej kobiety własne życie. Rozstał się z cichą wygodną chatą, uroczym laskiem eukaliptusów, spokojem kanionu i najprawdopodobniej nigdy już nie będzie mógł do nich wrócić. Sam stał się celem pościgu, tracąc przy tym swoją cenną anonimowość.

Nie żałował żadnej z tych rzeczy, ponieważ ciągle jeszcze miał nadzieję, że rozpocznie prawdziwe życie, takie, które będzie miało jakąś wartość i cel. Chciał bardzo pomóc tej kobiecie i chciał przy tym pomóc sobie.

Ale stawka nagle znacznie wzrosła. Śmierć i ujawnienie się nie było jedynym ryzykiem, które podejmował, włączając się do spraw Valerie Keene. Wcześniej czy później będzie musiał kogoś zabić. Nie będzie miał wyboru.

Po wywinięciu się we wtorek wieczór z napadu na bungalow w Santa Monica nie chciał myśleć o najbardziej niepokojących implikacjach śmiertelnościowego bezprawia oddziału SWAT. Przypominał sobie teraz serie pocisków wystrzelonych do niezidentyfikowanych osób wewnątrz ciemnego domu, a potem do niego, kiedy przeskakiwał mur.

Strzelanie nie było nerwową reakcją kilku agentów służby kontroli prawa, bojących się swojej ofiary. Było to przekroczenie dopuszczalnych norm użycia siły, dowód istnienia organizacji nie podlegającej kontroli, działającej cynicznie ze świadomością, że nie zostanie pociągnięta do odpowiedzialności za żadne nieprawości, jakich się dopuści.

Niedawno spotkał się z podobnym cynizmem ze strony ludzi, którzy ścigali go w Las Vegas.

Pomyślał o Louisie Lee w jego eleganckim biurze pod „Chińskim Marzeniem”. Właściciel restauracji powiedział wówczas, że rządy, jeżeli są dostatecznie silne, często przestają przestrzegać reguł sprawiedliwości, według których same powstawały.

Wszelkie rządy, nawet demokratyczne, utrzymują porządek pod groźbą użycia przemocy i zastosowania kary więzienia. Kiedy rygory biorą rozbrat z obowiązującym prawem, to nawet przy najlepszych intencjach linia dzieląca agenta federalnego od zbira staje się niesłychanie cienka.

Gdy odnajdzie Valerie i dowie się, dlaczego jest poszukiwana, pomoc, którą jej zaoferuje, będzie polegała na sięgnięciu do zasobów gotówki i zaangażowaniu najlepszego adwokata. Tak sobie mgliście planował w nielicznych momentach, w których myślał o tym, co zrobi, gdy ją odszuka.

Jednakże bezwzględność wrogów wykluczała w jej przypadku możliwość sądowego rozstrzygnięcia.

Jeśli stanie w obliczu wyboru: walczyć lub uciekać, zawsze wybierze ucieczkę, ryzykując strzał w plecy – przynajmniej wtedy, gdy na ryzyko będzie narażone tylko jego życie. Ale kiedy weźmie na siebie odpowiedzialność za nią, nie dopuści do tego, żeby odwracała się tyłem do rewolwerów. Prędzej czy później agresja tych ludzi spotka się z jego oporem.

Rozmyślając nad tym, jechał na południe, zawieszony między wyraźnymi kształtami terenu a bezkształtnym niebem. Autostrada była ledwie widoczna w oddali. Przed nim nie było żadnego szlaku.

Z zachodu nadciągnął ulewny deszcz o gwałtowności rzadko spotykanej na pustyni. Widzialność spadła niemal do zera.

Spencer poczuł najpierw jego zapach. Był zimny, mokry, przesycony ozonem, z początku odświeżający, ale potem złowróżbny i lodowaty.

– Nie martwię się o to, czy będę w stanie zabić człowieka, jak będzie trzeba – powiedział do skulonego psa.

Szara ściana zbliżała się błyskawicznie. Miał wrażenie, że nadciąga nie tylko deszcz, ale zarazem

przyszłość, której się obawiał, mając złe doświadczenia z przeszłości.

– Już to kiedyś zrobiłem. Jeśli zostanę zmuszony, zrobię to znowu.

Ponad warkotem silnika usłyszał tętnienie deszczu. Brzmiało jak bicie miliona serc.

– Jeśli jakiś sukinsyn zasłuży na śmierć, zabiję go i nie będę czuł się winny ani nie będę miał wyrzutów sumienia. Czasem to jest sprawiedliwe. Stać mnie na to.

Z pierwszą falą deszczu otoczenie zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Białawy teren przybrał groźną ciemną barwę. W groteskowym świetle burzy matowa roślinność, bardziej brązowa niż zielona, nagle zaśniła błyszczącą zielenią; obumierające liście i trawa napęczniały, przybierając pulchne, tropikalne kształty – naturalnie było to tylko złudzenie.

Włączając wycieraczki i przekładnię terenową, Spencer powiedział:

– Martwi mnie... a nawet boję się... że może zlikwiduję jakiegoś sukinsyna... jakiegoś chodzącego śmiecia... i tym razem będę z tego zadowolony.

Ulewa była chyba nie mniej złowroga niż wówczas, gdy Noe wsiadał do arki, a wściekłe bębnienie deszczu o dach samochodu brzmiało ogłuszająco. Prerażony pies z pewnością nie słyszał głosu pana, mimo to Spencer wykorzystywał jego obecność jako pretekst do przyznania się do prawdy, której się wstydził. Wyznał ją głośno, ponieważ mówiąc tylko do siebie, miał prawo kłamać.

– Nigdy przedtem tego nie lubiłem. Nigdy z tego powodu nie czułem się bohaterem. Ale też nigdy nie czułem obrzydzenia. Nie wymiotowałem i mogłem spać spokojnie. Co więc będzie... jeśli następnym razem... albo jeszcze później...?

Pod przecinanymi zygzakami błyskawic ciężkimi chmurami, okrytymi całunem deszczu, wczesne popołudnie stało się ciemne jak noc. Spencer włączył światła, dziwiąc się, że wytrzymały zderzenie z bramą wesołego miasteczka.

Deszcz padał dokładnie pionowo z taką energią, że stłumił wiatr, który nieco wcześniej wzbijał na pustyni obłoczki kurzu.

Dojechali do wyschlętego łożyska rzeczki, głębokiego na dziesięć stóp, o łagodnie nachylonych brzegach. W świetle reflektorów pobłyskiwał płynący środkiem strumyczek srebrzystej wody, mający stopę szerokości i głęboki na parę cali. Spencer przejechał w poprzek szerokiego na dwadzieścia stóp łożyska i wyjechał na wyżej położony teren po przeciwnej stronie.

W czasie gdy ford wspinał się po przeciwnym brzegu, na pustynię spadła lawina piorunów, których łoskot zatrzęsł samochodem. Zaraz po niej deszcz zaczął padać znacznie mocniej. Tak obfitego deszczu Spencer nie widział jeszcze nigdy w życiu.

Prowadząc jedną ręką, pogłaskał Rocky'ego po łbie. Pies był zbyt przestraszony, żeby podnieść wzrok albo zareagować na kojące dotknięcie.

Ujechali niewiele ponad pięćdziesiąt jardów od pierwszego łożyska, kiedy Spencer zauważył, że ziemia przed nimi się porusza. Falowała w poprzek, jak gdyby roje ogromnych węży wędrowały tuż pod powierzchnią pustyni. Nacisnął hamulec i nim jeszcze wóz zdążył się zatrzymać, zobaczył w świetle reflektorów przerażające wyjaśnienie zagadki: to nie ziemia się ruszała, tylko błotnista rzeka płynęła z zachodu na wschód po łagodnie opadającej płaszczyźnie, odcinając im drogę na południe.

Nie wiadomo było, jaka jest głębokość tego nowego łożyska. Przybierająca woda była już zaledwie o parę cali poniżej jego brzegów.

Taki potok nie mógł powstać od chwili, kiedy burza objęła równinę, czyli przed kilkunastoma minutami. Lawina wody musiała płynąć z gór, gdzie padało już od dłuższego czasu i gdzie kamieniste, pozbawione drzew stoki niewiele jej mogły pochłonać. Pustynię rzadko nawiedzały tak potężne deszcze,

ale jeśli już się zdarzały, fala powodziowa w mgnieniu oka potrafiła zalać nawet niektóre odcinki biegnącej na podwyższeniu autostrady międzystanowej, wdrzeć się do niżej położonych obszarów Las Vegas i zmyć samochody z parkingów kasyn.

Spencer nie umiał ocenić głębokości wody. Mogła mieć równie dobrze dwie stopy jak i dwadzieścia.

Gdyby nawet w grę wchodziły tylko dwie stopy – płynęła tak szybko i burzliwie, że nie miał odwagi jej sforsować. Była szersza niż poprzednie łożysko, liczyła około czterdziestu stóp. Nim samochód dotarłby do połowy, zostałby uniesiony i pociągnięty prądem, porwany jak kawałek drewna.

Cofnął auto, zawrócił i pojechał z powrotem do pierwszego łożyska. W ciągu krótkiego czasu od momentu, kiedy je przekroczył, srebrzysty strumyczek zamienił się w rwącą rzekę, wypełniającą koryto niemal po brzegi.

Gdy znalazł się między dwoma bystrzymi nurtami, nie mógł posuwać się nadal równoległe do międzystanowej autostrady północ-południe.

Zastanawiał się, czy nie zostać na miejscu i nie poczekać, aż burza się skończy. Kiedy przestanie padać, koryta opróżnią się tak szybko, jak się napełniły. Czuł jednak, że sytuacja jest niebezpieczniejsza, niż się wydawało.

Otworzył drzwi, wysiadł i przemókł do suchej nitki, nim doszedł przed maskę forda. Ogarnęło go przenikliwe zimno.

Zimno i wilgoć miały jednak mniejszy wpływ na jego kiepskie samopoczucie niż nieprawdopodobny łoskot. Przygniatający ryk burzy zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Plusk deszczu, gulgotanie rzeki i grzmot piorunów sprzysięgły się, żeby zamienić bezkresy Mojave w klatkę, mogącą przyprawić o klaustrofobię z równym prawdopodobieństwem jak wewnątrz beczki kaskaderskiej na krawędzi wodospadu Niagara.

Wysiadł, bo chciał lepiej widzieć nurt rzeki niż z samochodu, ale to, co zobaczył, przeraziło go. Poziom wody w korycie podnosił się z zastraszającą szybkością, grożąc powodzią całej równinie. Całe odcinki miękkich brzegów łożyska rzeki zawałyły się i porwane bystrym prądem zostały poniesione z biegiem nurtu. Mimo że łożysko robiło się coraz szersze, wody przybywało, tak że rzeka rosła wszcz, a poziom wody wzrastał. Spencer odwrócił się i pobiegł ku drugiemu łożysku, na południe od samochodu. Przybył tam wcześniej, niż się spodziewał. Rozszerzało się i przybywało w nim wody, tak samo jak w pierwszym. Kiedy przed chwilą docierał do niego, odległość jednego koryta od drugiego wynosiła pięćdziesiąt jardów, teraz zmalała do trzydziestu.

Trzydzieści jardów to było jeszcze dość dużo. Nie przypuszczał, żeby oba wezbrane strumienie mogły pochłonąć tak szeroki pas rozdzielającego je łądu i połączyć się.

W tym momencie tuż pod nogami powstało w ziemi pęknięcie. Otworzyła się długa, zygzakowata szczelina. Ziemia wyszczerzyła zęby, a sześciostopowej szerokości pas brzegu osunął się w głąb nurtu.

Spencer wycofał się poza zasięg natychmiastowego zagrożenia. Grunt pod nim zaczął się robić ciastowaty.

Niewyobrażalne stało się nagle rzeczywistością. Znaczne połacie pustyni składały się z łupku, skał wulkanicznych i kwarcytu, ale on miał pecha dostać się pod oberwanie chmury, w czasie gdy jechał przez bezdenny ocean piasku. Jeżeli między obu łożyskami nie ma jakiegoś żebra skalnego, reszta piasku może zostać zmyta, a cała równina przemodelowana w stopniu zależnym od tego, jak długo jeszcze będzie szalała burza.

Nawałnica robiła się coraz gorsza.

Pobiegł w stronę forda, wsiadł i zamknął drzwi. Trzęsąc się i ociekając wodą, cofnął samochód dalej

od północnego koryta rzeki, w obawie, że koła zostaną wkrótce podmyte.

Rocky miał nadal opuszczony łeb. Spojrzał z niepokojem na swego pana.

– Muszę pojechać środkiem między korytami na wschód albo na zachód – myślał głośno Spencer – dopóki jest po czym jechać.

Wycieraczki nie dawały sobie rady ze strumieniami spływającej po przedniej szybie wody, a zamazany deszczem krajobraz przybrał głębsze odcienie przedwczesnego wieczoru. Spencer próbował przełączyć wycieraczki na większą prędkość. Okazało się, że już pracowały na najwyższej.

– Nie powinienem jechać w stronę obniżającego się terenu. Woda płynie tam coraz szybciej. Może łatwiej zmyć rozdzielający ją pas.

Przełączył światła na długie. Nie poprawiło to widoczności. Światło odbijało się od ściany deszczu, tak że droga przed nimi wydawała się zasłonięta kurtyną ze szklanych paciorków. Włączył na powrót krótkie.

– Pod górę będzie bezpieczniej. Powinno tam być bardziej skaliście.

Pies drżał.

– Odstęp między łożyskami może się zwiększyć. – Włączył bieg i ruszył na zachód. Równina pięła się stopniowo w górę.

Igły błyskawic raz po raz przesywały niebo. Spencer wjechał w jedyną pozostającą mu wąską kieszeń mroku.

Na polecenie Roya Miro agenci w San Francisco szukali Ethel i George'a Porthów, dziadków Spencera Granta od strony matki, którzy wychowywali go po jej śmierci. W tym czasie Roy pojechał do doktora Nero Mondello w Beverly Hills.

Mondello był najstynniejszym chirurgiem plastycznym wśród warstwy społecznej, w której dzieła ręki Boga poprawiane były częściej niż gdziekolwiek indziej z wyjątkiem Palm Springs i Palm Beach. Potrafił z pospolitych nosów tworzyć cuda porównywalne z tymi, które rzeźbił z wielkich bloków karraryjskiego marmuru Michał Anioł – przy czym zarobki Mondella wielokrotnie przewyższały apanaże włoskiego mistrza.

Zgodził się zmienić swój wypełniony program dnia po to, żeby przyjąć Roya, wierząc, że pomaga FBI w poszukiwaniu szczególnie okrutnego seryjnego mordercy.

Spotkali się w przestronnym gabinecie doktora, wyposażonym w białą marmurową podłogę, białe ściany i sufit oraz kinkiety z białych muszli. Na ścianach wisiały umieszczone w białych ramach dwie abstrakcje: obydwie były w białym kolorze; artysta osiągnął zamierzony efekt za pomocą zróżnicowanej faktury grubych warstw farby. Przed umieszczonym na tle białych jedwabnych draperii biurkiem z wybielanego drewna stał stolik ze stali i szkła, a po obu jego stronach dwa białe wyplatane krzesła z poduszkami z białej skóry.

Roy, siedzący na jednym z krzesel, wyglądał jak bryła ziemi na tle tej ogólnej białości. Był ciekaw, jaki widok roztoczyłby się przed nim, gdyby porozsuwać zasłony. Miał wrażenie, że za oknem, zamiast śródmieścia Beverly Hills, rozciągał się biały śnieżny krajobraz.

Na wypolerowanej powierzchni biurka oprócz zdjęć Spencera Granta, które przyniósł ze sobą, stał kryształowy, grawerowany wazon Waterforda z pojedynczą, krwistoczerwoną różą w środku. Kwiat był bliski doskonałości i zwracał tym samym uwagę Roya na człowieka, który siedział obok niego, za biurkiem.

Doktor Nero Mondello, czterdziestoletni, wysoki, szczupły i przystojny, stanowił centralny punkt owej ogólnej bieli. Miał gęste, kruczoczarne włosy, zaczesane prosto do tyłu, oliwkową cerę i oczy

koloru dojrzałych śliwek. Promieniał wewnętrzną energią. Ubrany był w biały fartuch i w białą koszulę z czerwonym jedwabnym krawatem. Brylanty wokół tarczy jego złotego roleksa rozsiewały błyski, jakby były naładowane jakąś nadnaturalną energią.

Krzykliwa pretensjonalność zarówno gabinetu, jak i chirurga była obliczona na sprawianie wstrząsającego wrażenia. Mondello uprawiał zawód polegający na zmienianiu naturalnej prawdy w przekonującą iluzję, a wszyscy dobrzy iluzjoniści musieli być teatralni.

Po obejrzeniu fotografii Granta oraz portretu komputerowego Mondello orzekł:

- Tak, to musiała być okropna rana.
- Co ją mogło spowodować? – spytał Roy.

Mondello otworzył szufladę biurka i wyjął szkło powiększające oprawione w ramkę ze srebrną rękojęścią. Przyjrzał się dokładnie fotografii.

Po chwili powiedział:

- To było raczej przecięcie niż rozdarcie, zatem narzędzie musiało być dość ostre.
- Nóż!
- Albo szkło. Ale krawędź tnąca nie była równa. Bardzo ostra, ale lekko nierówna, jak szkło albo ząbkowane ostrze. Równe ostrze spowodowałoby gładszą ranę i węższą bliznę.

Patrząc na studiującego zdjęcia Mondella, Roy uświadomił sobie, że rysy twarzy chirurga były tak dystygowane i doskonale proporcjonalne, że musiał nad nimi popracować któryś z jego zdolnych kolegów.

– To jest skurczona tkanka łączna, gładka albo pomarszczona – powiedział Mondello, nie odrywając oczu od zdjęć. – Ta jest względnie gładka, biorąc pod uwagę jej szerokość. – Schował szkło powiększające do szuflady. – Nic więcej nie mogę o niej powiedzieć, z wyjątkiem tego, że nie jest świeża.

- Czy można ją usunąć chirurgicznie za pomocą przeszczepu skóry?
- Nie całkowicie, ale można doprowadzić do tego, żeby była znacznie mniej widoczna. Zawsze pozostanie cienka linia o innym zabarwieniu.
- Czy taki zabieg jest bolesny? – spytał Roy.
- Owszem, ale ten przypadek – Roy wskazał na fotografię – nie wymaga wielu operacji, ciągnących się latami, jak na przykład blizny po oparzeniach.

Twarz Mondella była szczególna, ponieważ jej proporcje sprawiały wrażenie tak wystudiowanych, jak gdyby ręką poprawiającego je chirurga kierowała nie intuicja artysty, lecz matematyczne obliczenia. Doktor przebudował swoją twarz z tą samą żelazną konsekwencją, z jaką politycy pracowali nad społeczeństwem, żeby przeobrazić jego niedoskonałe jednostki w wartościowych obywateli. Roy zdawał sobie sprawę, że istoty ludzkie mają tyle wad, iż w żadnym społeczeństwie nie będzie można zbudować idealnej sprawiedliwości, jeśli nie zaplanuje się precyzyjnie obmyślonych dróg postępowania i nie będzie się ich z żelazną konsekwencją egzekwowało. Nie uświadamiał sobie jednak, że jego marzenia o idealnej urodzie i dążenie do doskonałej sprawiedliwości świadczyły o tęsknocie do utopii.

Czasem bywał zdumiony powikłaniami własnej osobowości.

- Czemu – spytał Mondella – człowiek woli żyć z taką blizną, jeśli można ją prawie zupełnie usunąć? Pominąwszy, oczywiście, przeszkody natury finansowej.
- Och, koszty nie są najistotniejsze. Nawet jeśli pacjent nie miałby pieniędzy, a rząd nie chciał zapłacić za operację – i tak otrzymałby pomoc. Większość chirurgów poświęca część swojego czasu na cele dobroczynne.

– Więc czemu?

Mondello wzruszył ramionami i zwrócił Royowi zdjęcia.

– Może lęka się bólu.

– Myślę, że nie. W każdym razie nie on.

– Może boi się lekarzy, szpitali, ostrych narzędzi, narkozy. Jest wiele obsesji, które powstrzymują ludzi przed poddawaniem się operacjom.

– Ten człowiek nie jest bojaźliwy – powiedział Roy, wkładając fotografie do koperty.

– Może ma poczucie winy. Jeśli przeżył wypadek, w którym zginęli inni ludzie, może mieć poczucie winy osoby ocalałej. Zwłaszcza jeśli ich kochał. Nie czuje się od nich lepszy i zastanawia się, dlaczego oni musieli zginąć, a on przeżył. Czuje się winny choćby z tego powodu, że żyje. Noszenie blizny jest znakiem pokuty.

Roy zmarszczył brwi i podniósł się.

– To możliwe.

– Miałem już pacjentów z podobnym urazem. Nie chcieli poddać się operacji, ponieważ poczucie winy wobec tych, którzy zginęli, doprowadziło ich do przekonania, że zasłużyli na swoje blizny.

– To też nie jest przekonujące. Ten facet jest inny.

– Jeśli więc nie jest to ani uraz, ani kompleks ocalałego – powiedział Mondello, obchodząc biurko i odprowadzając Roya do drzwi – założę się, że to jest poczucie winy z jakiegoś innego powodu. Nosząc te bliznę, karze samego siebie. Blizna przypomina mu coś, o czym chciałby zapomnieć, ale czuje się zobowiązany do pamiętania. Z podobnymi sytuacjami również się już spotkałem.

Podczas gdy chirurg mówił, Roy przyglądał się jego twarzy, zachwycony jej doskonałością. Był ciekaw, jaką część tej kompozycji stanowiły plastikowe implanty. Wiedział jednak, że zapytanie o to byłoby nietaktowne.

Będąc już przy drzwiach, spytał:

– Doktorze, czy pan wierzy w doskonałość?

Mondello zatrzymał się z ręką na klamce. Wydawał się lekko zaintrygowany.

– W czym doskonałość?

– W doskonałość jednostek i społeczeństw. Po prostu w lepszy świat.

– No cóż... wierzę, że zawsze można do niego dążyć.

– Cieszę się – uśmiechnął się Roy. – Spodziewałem się tego po panu.

– Ale nie wierzę, że uda się go osiągnąć.

Uśmiech na twarzy Roya zastygł.

– Ja się spotkałem tu i ówdzie z doskonałością. Może nie z kompleksową, ale z doskonałymi fragmentami pewnych całości.

Mondello uśmiechnął się pobłażliwie i potrząsnął powątpiewająco głową.

– Idealny porządek w pojęciu jednego człowieka może być bałaganem w pojęciu drugiego. Ideał doskonałego piękna w pojęciu jednego, drugiemu może się wydać przeciętny albo nawet brzydki.

Royowi nie podobał się taki punkt widzenia. Wynikał z niego wniosek, że każda utopia jest zarazem piekłem. Chcąc przekonać Mondella do innego spojrzenia na świat, powiedział:

– Przyroda stanowi doskonałe piękno.

– Takie twierdzenie ma słaby punkt. Natura nie znosi symetrii, gładkości, linii prostych, porządku, czyli tego wszystkiego, co my kojarzymy z pięknem.

– Spotkałem niedawno kobietę o idealnych dłoniach. Bez najmniejszej skazy, o rozkosznym

kształcie.

– Chirurg kosmetyczny patrzy na ciało człowieka bardziej krytycznie. Jestem pewny, że znalazłbym w tych dłoniach wiele wad.

Prozaiczność doktora zdenerwowała Roya.

– Szkoda, że ich panu nie przyniosłem – przynajmniej jednej. Gdyby pan ją zobaczył, przyznałby mi pan rację – powiedział.

Nagle uświadomił sobie, że niemal zdradził się ze swoim działaniem, co wymagałoby natychmiastowego uśmiercenia chirurga.

Obawiając się, że skutkiem podniecenia popełni jeszcze większe głupstwo, podziękował doktorowi za współpracę i opuścił biały pokój.

Zimowe słońce świeciło białawym światłem. Palmy na parkingu kliniki rzucały ostre cienie. Zaczynało się robić zimno.

Kiedy zapalał silnik, odezwał się jego pager. Na wyświetlaczu zobaczył numer telefonu, opatrzony kodem centrali obejmującej lokalne biura organizacji w śródmieściu Los Angeles. Zadzwoił tam natychmiast ze swojego telefonu komórkowego.

Mieli dla niego dobre wiadomości. Niewiele brakowało, żeby Spencer Grant został złapany w Las Vegas. W tej chwili uciekał przez pustynię Mojave. Na lotnisku czekał na Roya learjet, żeby go zabrać do Nevady.

Spencer posuwał się w górę pochyłości, obramowanej dwiema rzekami, po zwężającym się półwyspie rozmiękłego terenu, szukając jakiejś formacji skalnej, na którą mógłby wjechać, uszczelnić samochód i przeczekać burzę. Przeszkadzała mu pogarszająca się widoczność. Chmury były tak gęste i tak czarne, że światło dnia przekształciło się w mrok morskiej głębin. Deszcz lał jak podczas biblijnego potopu. Wycieraczki nie nadążały zbierać wody z szyby, tak że mimo włączonych świateł momenty widoczności przedpola samochodu były krótkie.

Olbrzymie ogniste bicze błyskawic smagały niebo, tworząc ciągłą kaskadę oślepiających efektów pirotechnicznych. Towarzyszący im huk piorunów sprawiał wrażenie, jak gdyby anioł zła, uwięziony w burzy, badał wytrzymałość swoich okowów. Feeria wyładowań jeszcze bardziej pogarszała widoczność ze względu na skaczące we wszystkich kierunkach stroboskopowe, dezorientujące cienie.

Nagle na zachodzie, o ćwierć mili przed nimi, wykwitło przy ziemi osobliwe, niebieskie światło, wyglądające jak z innej planety. Natychmiast ruszyło z dużą szybkością na południe.

Spencer mrużył oczy, próbując bezskutecznie, poprzez deszcz, rozpoznać charakter i rozmiary źródła owego światła.

Niebieska zjawy skręciła na wschód, przebyła kilkaset jardów i znów skręciła – tym razem na północ, prosto ku fordowi. Miała kulisty kształt i świeciła jak ogromna żarówka.

– Co to za diabeł? – Spencer zwolnił, żeby przyjrzeć się niesamowitemu zjawisku.

O sto jardów przed samochodem zjawy skręciła na zachód, ku miejscu, w którym powstała. Po przybyciu tam zmaląła, potem wzniosła się w górę, rozbłysła i zniknęła.

Nim jeszcze zdążyła się rozpuścić, Spencer zobaczył kątem oka drugą. Zatrzymał się i popatrzył na północny zachód.

To nowe światło – niebieskie, pulsujące – poruszało się niewiarygodnie szybko po dziwacznej, zygzakowatej linii, z początku przybliżając się do samochodu, nim skręciło na wschód. Nagle zawirowało jak sztuczny ogień i znikło.

Oba poruszały się po pustyni jak milczące duchy. Po karku i ramionach Spencera przebiegł dreszcz.

Mimo że zwykle odnosił się sceptycznie do wszelkich zjawisk ocierających się o mistycyzm, w ciągu ostatnich paru dni miał wrażenie, że pogrąża się w czymś nieznanym, niesamowitym. Rzeczywistość zmieniła się nagle w ponurą bajkę, równie pełną magii jak każda opowieść o ziemiach, po których włóczą się smoki, gdzie trolle odżywiają się dziećmi, a rządy sprawują czarownicy. We wtorek wieczór przekroczył niewidzialne drzwi, dzielące jego dotychczasowe życie od nowego. W tym nowym życiu przeznaczeniem była Valerie. Po odnalezieniu stanie się jego magicznymi okularami, które już na zawsze zmieniają jego wizję świata. To, co do tej pory było enigmatyczne, okaże się proste, natomiast rzeczy od dawna znane i zrozumiałe zmieniają się w tajemnicze.

Czuł to wszystko w kościach, podobnie jak człowiek cierpiący na artretyzm czuje zbliżającą się burzę dużo wcześniej, nim na horyzoncie pojawi się pierwsza chmura. Więcej przeczuwał, niż rozumiał, a pojawienie się dwóch niebieskich kul zdawało się potwierdzać, że jest na tropie Valerie i że jedzie w jakieś nieznanne miejsce, w którym ulegnie transformacji.

Zerknął na czworonogiego towarzysza w nadziei, że Rocky patrzy w tę stronę, gdzie zniknęło drugie światło. Chciał się upewnić, czy to nie był miraż, choćby jedynym świadkiem miał być pies. Ale Rocky zwinął się w kłębek, opuścił łeb i trząśł się ze strachu.

Spostrzegł po prawej stronie samochodu odbicie błyskawicy w rwącej wodzie. Rzeka była znacznie bliżej, niż przypuszczał. Prawe łóżysko w ciągu ostatniej minuty gwałtownie się poszerzyło.

Ruszył i pojechał ku środkowi zwężającego się pasa odrobinę wyższego terenu, szukając kawałka skalistego podłoża i zastanawiając się, ile jeszcze niespodzianek czeka go na tej zdradliwej pustyni.

Z nieba wychylnęła trzecia świetlista zjawia, nurkując ku ziemi z prędkością ekspresowej windy, dwieście jardów przed nimi i nieco na lewo. Zatrzymała się miękko tuż nad ziemią, nabierając gwałtownie obrotów.

Spencer czuł bolesne tętnienie serca. Zwolnił tempo jazdy. Był równie przerażony jak zaciekawiony.

Zjawia ruszyła prosto na niego. Była wielka jak samochód, bezkształtna, nieziemska i zbliżała się po linii czołowego zderzenia. Spencer przycisnął pedał gazu. Zjawia zrobiła unik i pojaśniała, napętniając wnętrze forda intensywnie niebieskim światłem. Zakreślił w miejscu, chcąc mieć lepsze zabezpieczenie w przypadku kolizji, ustawiając się tyłem do nadlatującego widma, które uderzyło w dżipa bez wstrząsu, wywołując fontanny iskier i wyładowania elektryczne pomiędzy różnymi wystającymi elementami jego konstrukcji.

Spencer siedział uwięziony wewnątrz kuli oślepiającego, niebieskiego, skwierczącego i trzaskającego światła. Wiedział już, co to jest. Jedno z najrzadszych zjawisk pogodowych. Piorun kulisty. Nie była to więc jednostka świadomego bytu ani, jak sobie wyobrażał, siła pozaziemska dająca pokaz swojej mocy i próbująca go omamić. Był to po prostu jeszcze jeden element burzy, równie bezosobowy jak zwykła błyskawica, piorun lub deszcz.

W stojącym na gumowych kołach fordzie było bezpiecznie. Energia pioruna szybko malała; niebieskie światło wśród skwierczeń i trzasków stopniowo bladło.

Spencer czuł dziwną satysfakcję, jak gdyby już dawno temu dokonał słusznego wyboru między możliwością spotkania czegoś nadprzyrodzonego, nawet gdyby miało się okazać nieprzyjazne, a powrotem do życia bez niespodzianek. Równocześnie przeżywał pewne rozczarowanie, ponieważ piorun kulisty, chociaż bardzo rzadki, był jednak normalnym zjawiskiem przyrodniczym.

Nagle przednie koła dżipa się zapadły. Samochód pochylił się do przodu. W chwili gdy ostatnia iskra elektryczności przeskakiwała między lewym reflektorem a prawym, górnym rogiem obramowania przedniej szyby, brudna woda przelała się już przez jego maskę.

Spencer, próbując uniknąć zderzenia z niebieskim światłem, pojechał za bardzo na prawo i stanął zbyt blisko krawędzi koryta rzeki. Miękka ściana piasku ulegała szybkiemu podmywaniu.

Błyskawicznie zapomniał o rozczarowaniu.

Włączył wsteczny bieg i zwolnił obroty. Samochód ruszył w górę rozsypującego się pochylenia.

Osunął się następny kęs brzegu. Ford jeszcze bardziej pochylił się do przodu. Woda przykryła maskę niemal po przednią szybę.

Spencer porzucił ostrożność i przycisnął mocno pedał gazu. Dżip wyskoczył tyłem z wody, koła wgryzały się w miękki mokry piasek. Powoli, powoli samochód wracał do poziomej pozycji.

Ale ściana koryta była zbyt słaba. Buksujące koła jeszcze bardziej osłabiły rozmiękły grunt. Ford, przy akompaniamencie wycia silnika, na obracających się wstecz kołach, ześliznął się w głąb nurtu jak opierający się mastodont wciągany przez bagno.

– Sukinsyn. – Spencer nabrał w płuca powietrza i wstrzymał oddech, jak chłopiec mający zamiar dać nura w głąb stawu.

Samochód zniknął pod powierzchnią wody.

Rocky, zdenerwowany groźnymi odgłosami i niezwykłymi ruchami samochodu, zawodził żałośnie, skarżąc się nie tylko na bieżącą sytuację, ale zarazem na wszystkie okropności swojego życia.

Dżip wychynał częściowo spod wody, kołysząc się jak łódź na wzburzonym morzu. Okna były pozamykane, co nie pozwalało zimnej wodzie wdrzeć się do środka, ale silnik zgasł.

Płynęli teraz rzeką, kołysząc się i zmieniając położenie w stosunku do nurtu, zanurzeni mniej, niż się Spencer spodziewał. Falująca powierzchnia wody znajdowała się cztery, sześć cali poniżej uszczelki bocznego okienka.

Poczuł się osaczony mokrymi dźwiękami, przeżywając swoistą chińską torturę wody: głucho bębnienie deszczu o dach, a poza tym chlupotanie, pluskanie i gulgotanie kipiącego wokół nurtu.

Wśród tych wszystkich prześcigających się wzajemnie dźwięków Spencer usłyszał bliskie, nie stłumione ściankami ani oknami ciurkanie wody. Nawet syk żmii nie mógł być bardziej alarmujący. Do wnętrza dostawała się woda.

Przeciek był nieduży, woda nie tryskała fontanną, tylko naciekała powoli, Spencer jednak zdawał sobie sprawę, że z każdym dodatkowym litrem samochód będzie się zanurzał coraz głębiej – aż w końcu przestanie się unosić. Potem prąd będzie włókł go po dnie rzeki, karoseria zostanie połamana, okna porozbijane.

Przednie drzwi po obu stronach nie przeciekały. Spencer odwrócił się na siedzeniu, ciągle jeszcze przypięty pasami, i obejrzał przestrzeń bagażową. Wszystkie okna były całe. Tylne drzwi nie przeciekały. Siedzenia z tyłu były złożone, więc nie mógł zobaczyć podłogi pod nimi, ale sądził, że boczne drzwi są również szczelne.

Kiedy odwrócił się z powrotem, zauważył, że na podłodze jest już cal wody.

Rocky zaskomlał.

– Wszystko w porządku, nie martw się – uspokoił go Spencer.

Nie martw psa. Nie okłamuj go, ale także nie martw. Przyszedł mu do głowy grzejnik. Silnik nie działał, ale grzejnik przez cały czas był włączony. Woda dostawała się przez dolne otwory wentylacyjne. Spencer wyłączył system ogrzewczy i pozamykał wloty powietrza. Przeciek został zablokowany.

Przednie reflektory kołyszącego się na falach dżipa prześlizgiwały się po niebie i rozświetlały groźne strumienie deszczu. Samochód obracał się, a światła reflektorów błądziły po ścianach koryta rzeki, ukazując walące się w brudny nurt całe połacie brzegu, bryzgające fontannami perlistej piany. Spencer

wyłączył światła. Szare przedmioty na szarym tle nie wyglądały tak denerwująco.

Wycieraczki pracowały nadal. Spencer nie wyłączał ich, chcąc jak najlepiej widzieć, co ich spotka.

Pomyślał, że poczułby odprężenie, gdyby opuścił głowę, zamknął oczy jak Rocky i poddał się losowi. Jeszcze tydzień temu by tak postąpił. Teraz jednak wpatrywał się z lękiem w rwący nurt rzeki, trzymając kurczowo w rękach bezużyteczną kierownicę.

Dziwił się swojej gwałtownej chęci wyjścia cało z opresji. Nim zawitał do „Czerwonych Drzwi”, nie oczekiwał niczego od życia. Chciał tylko umrzeć bez wstydu, zachowując do końca godność osobistą.

Wraz z fordem płynęły rzeką szerniałe krzaki pustynne, kolczaste człony powyrywanych z korzeniami kaktusów, szczapy wybielonego słońcem pustyni drewna i kępy trawy pustynnej wyglądające jak włosy potopionych kobiet. Wszystko to ocierało się i trącało o samochód. W przypiływie ożywienia emocjonalnego, równym zgiełkowi w otaczającej przyrodzie, Spencer pojął nagle, że od wielu lat sam był takim dryfującym kawałem drewna.

W pewnym miejscu tor wodny się urywał. Różnica poziomów wynosiła od dziesięciu do dwunastu stóp. Samochód zatoczył łuk w powietrzu, ponad grzmiącą kataraktą, i dał nura w mrok rozszalałej wody. Spencera najpierw rzuciło do przodu, tak że zawisł na pasach, potem do tyłu. Jego głowa odbiła się od zagłówka jak piłka futbolowa. Ford nie dotarł do dna: wyskoczył na powierzchnię i optymistycznie popłynął dalej.

Rocky tkwił nadal na siedzeniu, skulony i nieszczęśliwy, trzymając się pazurami tapicerki.

Spencer uspokajająco pogłaskał go po karku. Pies nie podniósł głowy, ale potoczył spojrzeniem i popatrzył na niego spod brwi.

Autostrada międzystanowa znajdowała się o ćwierć mili przed nimi. Spencer był zdumiony tym, że przebyli tak dużą odległość w tak krótkim czasie. Widocznie prąd był znacznie szybszy, niż mu się wydawało.

Autostrada przekraczała łożysko rzeki – zwykle wyschłe – wsparta na solidnych betonowych podporach. Patrzącemu przez zamazane szyby samochodu i przez deszcz Spencerowi wydawało się, że jest ich absurdalna ilość, jak gdyby inżynierowie rządowi zaprojektowali konstrukcję, kierując się głównym założeniem, żeby napchać milionami dolarów kieszeń jakiegoś posiadającego wytwórnię cementu kuzyna senatora.

Środkowy pasaż między rzędami kolumn był wystarczająco szeroki, żeby zmieściło się w nim, jeden obok drugiego, nawet pięć samochodów. Jednak połowa fali powodziowej przetaczała się przez węższe szpalery kolumn po obu stronach głównego nurtu. Zderzenie z taką kolumną mogło być zabójcze.

Nurkując i wynurzając się, przebyli serię progów wodnych. Okna ociekały wodą. Rzeka nabierała coraz większej szybkości.

Rocky trząśł się bardziej niż poprzednio i dyszał nerwowo.

– Spokojnie, kolego. Nie zsikaj się na siedzenie. Słyszysz?

Na autostradzie widać było światła samochodów osobowych i wielkich ciężarówek. Gdzieniedzie błyskały światła awaryjne samochodów, których kierowcy zjechali na pobocze, żeby przeczekać nawałnicę.

W niedużej odległości zamajaczył most. Rozbijająca się o jego podpory woda tryskała fontannami kropel w i tak przesiąknięte deszczem powietrze.

Samochód płynął teraz z zawrotną prędkością, kołysząc się gwałtownie. Spencer poczuł przebiegające go fale nudności.

– Nie zsikaj się na siedzenie – powtórzył, tym razem zwracając się nie tylko do psa.

Sięgnął pod kurtkę z barankowym kołnierzem, pod przemokniętą koszulę, i wyjął nefrytowy medalion wiszący na złotym łańcuszku u jego szyi. Na jednej stronie medalionu widniała płaskorzeźba głowy smoka, na drugiej – identycznie wystylizowany bażant.

Spencer przypomniał sobie eleganckie biuro pod restauracją „Chińskie Marzenie”. Uśmiech pana Lee. Jego muszkę i szelki. Łagodny głos mówiący: „Ofiarowuję je czasem ludziom, którzy ich potrzebują”.

Trzymał medalion w ręce, nie zdejmując łańcuszka z szyi. Wiedział, że to dziecinada, mimo to ścisnął go mocno.

Do mostu było już tylko pięćdziesiąt jardów. Dżip zmierzał niebezpiecznie w stronę prawego rzędu kolumn.

Bażanty i smoki. Dobrobyt i długie życie.

Przypomniał sobie posąg Quan Yin obok wejścia do restauracji. Pogodna, ale czujna. Chroni przed zawistnymi ludźmi.

„Po tym wszystkim, co pan przeszedł, wierzy pan w to?”

„Trzeba w coś wierzyć, panie Grant”.

Dziesięć jardów przed mostem ford dostał się w splót szaleńczych prądów, które go poniosły, porzuciły, przechyliły na prawą stronę, potem na lewą i łomotały głośno do drzwi.

Wessała ich ciemność pod mostem. Przepłynęli blisko pierwszej z prawego rzędu podpór. Minęli drugą. Nadal w szalonym pędzie. Poziom wody był tak wysoki, że sklepienie mostu znajdowało się zaledwie o stopę powyżej dachu dżipa. Znosiło ich w stronę linii podpór. Minęli trzecią, potem czwartą – za każdym razem coraz bliżej.

Bażanty i smoki. Bażanty i smoki.

Prąd odciągnął samochód od linii betonowych słupów i poniosł wzdłuż pasa spokojnej powierzchni. Rzeka drażniła się ze Spencerem, popychając go tym pasem jak po torze bobslejowym i napędzając nadzieją bezpiecznego przepłynięcia pod mostem. Ale już za moment zadrwiła z jego iskierki nadziei, porywając samochód i rzucając go prawym bokiem na następną podporę. Łoskot zderzenia był niemal równy eksplozji bomby; zachrzęścił metal, a Rocky zawył.

Siła bezwładności rzuciła Spencera w lewo. Pas bezpieczeństwa nie chronił przed takim ruchem. Uderzył skronią w szybę. Mimo ogólnego hałasu usłyszał, jak hartowane szkło pokrywa się pajęczyną milionów pęknięć, wydając przy tym dźwięk podobny do upieczonego tostu, miażdżonego uderzeniem pięści.

Klnąc, przyłożył do skroni lewą dłoń. Nie krwawił. Poczuł tylko miarowe rwanie, zgodne z rytmem jego serca.

Okno stanowiło teraz mozaikę, składającą się z tysięcy maleńkich odłamków szkła, nie rozsypujących się dzięki cienkiej klejącej warstewce mieszczącej się między dwiema warstwami szkła.

Okna po stronie Rocky’ego jakimś cudem ocalały, ale drzwi były wgniecione do środka. Przez szczeliny wokół ramy lała się woda.

Rocky podniósł łeb, nagle bojąc się nie patrzeć. Drżał, spoglądając na dziką rzekę, na niski, betonowy pułap i na prostokąt ponurego światła u wylotu tunelu.

– Cholera – powiedział Spencer – jeśli ci się chce, to sikaj na siedzenie.

Płynęli teraz pasem spokojniejszej wody.

Przebyli już dwie trzecie tunelu.

Z malutkiego otworka w wygiętej framudze drzwi trysnął na psa cienki jak igła strumyczek wody.

Rocky zaskowyczał.

Kiedy ponownie zostali pociągnięci na wzburzoną powierzchnię, tym razem nie wpadli na kolejną podporę. Czekało ich coś gorszego. W pewnym miejscu woda wypiętrzała się, jak gdyby przepływała nad jakąś szeroką przegrodą na dnie koryta. Ford podskoczył w górę, uderzając dachem o niski betonowy pułap tunelu.

Spencer siedział, trzymając się oburącz kierownicy, nie chcąc znów zostać rzuconym na boczne okno. Nie był przygotowany na podskok. Siła uderzenia wgniotła dach samochodu. Spencer otrzymał potężny cios w górną część czaszki.

Paroksyzmy bólu zapalały mu ognie przed oczami i przebiegały wzdłuż kręgosłupa. Z twarzy spływała krew. W oczach czuł piekące łzy. Stracił jasność widzenia.

Rzeka wyniosła samochód spod mostu. Spencer próbował podciągnąć się na siedzeniu. Wysiętek przyprawił go o zawrót głowy, więc osunął się z powrotem, oddychając z trudem.

Łzy w jego oczach pociemniały, jakby zostały zanieczyszczone.

Widział coraz gorzej. Po pewnym czasie zrobiły się czarne jak atrament i przestał w ogóle widzieć.

Perspektywa ślepoty przeraziła go, a przerażenie otrzeźwiło. Nie był, dzięki Bogu, ślepy, tylko tracił przytomność.

Rozpaczliwie starał się zachować świadomość. Jeśli zemdleje, może już się nie obudzić. Był na krawędzi utraty przytomności. Po chwili w mrok przed jego oczami wpłynęły setki szarych punktów, układając się w skomplikowane wzory światła i cienia, które w końcu złożyły się na widok wnętrza samochodu.

Próbując jeszcze raz podciągnąć się na siedzeniu, jak dalece pozwalał na to wgnieciony dach, znów omal nie zemdlął. Dotknął ostrożnie krwawiącej czaszki. Rana nie była śmiertelna. Krew wprawdzie ciekła, ale niezbyt obficie.

Byli znów na otwartej przestrzeni. Po dachu ciężarówki nieustannie bębnił deszcz.

Akumulator jeszcze działał. Wycieraczki niestrudzenie pracowały.

Ford, kołysząc się z boku na bok, płynął środkiem rzeki, która była teraz znacznie szersza. Miała ze sto dwadzieścia stóp szerokości. Wypełniała całe koryto, jedynie o cale od jego krawędzi, grożąc przelaniem się. Bóg wie, jaka mogła być głęboka. Woda była spokojniejsza, mimo to płynęła szybko.

Rocky patrzył z niepokojem na płynną drogę przed nimi i piszczał żałośnie. Nie kiwał głową, nie był zadowolony z szybkości jak na ulicach Las Vegas. Wydawał się mieć mniejsze zaufanie do sił natury niż do swego pana.

– Dobry stary Rocky – powiedział czule Spencer. Przestraszył się, słysząc, jak niewyraźnie mówi.

Wbrew niepokojowi Rocky'ego Spencer nie przewidywał jakichś bliskich niebezpieczeństw w rodzaju mostu. Na przestrzeni kilku najbliższych mil rzeka płynęła spokojnie, dalej ginęła w deszczu, mgle i szarym świetle przefiltrowanym przez chmury burzowe.

Po obu stronach rzeki ciągnęła się pustynna równina, niegościnna, ale nie całkiem jałowa. Pokryta była kępami sztywnej trawy. Tu i ówdzie wyrastały z ziemi skupiska chropowatych skał. Były formacjami naturalnymi, ale miały osobliwą geometrię starożytnych budowli druidów.

W czaszce Spencer'a zrodził się nowy ból, który go zamroczył. Mógł być nieprzytomny przez minutę... lub godzinę. Nic mu się nie śniło. Po prostu zapadł w ciemność.

Kiedy się obudził, zimne powietrze chłodziło mu czoło, a deszcz opryskiwał twarz. Z wszystkich stron dobiegały odgłosy rzeki: szumy, pluski, bulgotanie – głośniejsze niż uprzednio.

Siedział przez chwilę, zastanawiając się, dlaczego słyhać je o tyle głośniejsze. W głowie czuł zamęt. Po

chwili zorientował się, że boczne okno wypadło z ram, w czasie gdy był zamroczony. Gumowa uszczelka rozbitej szyby leżała na jego udach.

Woda sięgała mu do kostek. Stopy miał zdrętwiałe z zimna. Oparł je na pedale hamulca, podwijając wielkie palce, tkwiące w przemokniętych butach. Ford płynął zanurzony teraz głębiej niż uprzednio. Poziom wody znajdował się zaledwie o cal poniżej dolnej krawędzi okna. Rzeka nie była wzburzona, mimo że mknęła szybko, prawdopodobnie dlatego, że była w tym miejscu szersza. Gdyby koryto się zwężyło albo zmienił się kształt dna, nurt wzburzyłby się ponownie, a wówczas woda wlałaby się do samochodu i zatopiła ich.

Spencer był na tyle przytomny, że zdawał sobie sprawę z sytuacji i wiedział, że powinien czuć się przerażony. Mimo to zdołał wykrzesać z siebie tylko lekkie zaniepokojenie.

Należało znaleźć sposób zatkania dziury po oknie. Ale rzecz była niewykonalna ze względu na to, że musiałby wówczas ruszyć się z miejsca, a jemu nie chciało się ruszać.

Chciał tylko spać. Czuł się odrętwiały i wyczerpany. Opartą na zagłówku głowę przekręcił w prawo i zobaczył, że pies siedzi wyprostowany na fotelu.

– Jak się masz, kudłaty tyłku? – spytał ochryple, jakby był po paru piwach.

Rocky spojrział na niego, a potem znów wpatrzył się w rzekę przed nimi.

– Nie bój się, kolego. On zwycięży, jeśli będziesz się bał. Nie pozwól temu draniowi wygrać. Nie wolno do tego dopuścić. Trzeba znaleźć Valerie. Nim on to zrobi. On tam jest. Cały czas poluje...

Z myślą o kobiecie i uczuciem głębokiego niepokoju Spencer Grant, mamrocząc gorączkowo, płynął rzeką w poszukiwaniu czegoś, czego nie potrafiłby zdefiniować. Obok siedział w milczeniu czujny pies. Deszcz bębnił po zgniecionym dachu ciężarówki.

Możliwe, że stracił przytomność, a może tylko miał zamknięte oczy, ale kiedy jego stopa ześliznęła się z pedału hamulca i z pluskiem wpadła do wody, która sięgała teraz do połowy łydek, podniósł obolałą głowę i zobaczył, że wycieraczki stanęły. Akumulator wyładował się do końca.

Rzeka płynęła z szybkością ekspresu. Na jej powierzchni znów pojawiły się wiry. Mulista woda sięgała poziomu wyłamanego okna.

Tuż za oknem płynął z tą samą szybkością martwy szczur. Był długi i lśniący. Jedno z jego szklistych oczu utkwione było w Spencera. Ściągnięte wargi odsłaniały ostre zęby. Długi, obrzydliwy ogon był sztywny jak drut, groteskowo pokręcony i zasupłany.

Widok szczura wyzwolił w Spencerze energię, której nie mogła wykrzesać z niego woda, sięgająca otworu okna. Z sercem bijącym z przerażenia, jak po przebudzeniu się z koszmarnego snu, wyobraził sobie, że umrze, jeśli szczur wpadnie do wnętrza samochodu. Bo to nie był zwykły szczur. To była Śmierć. To był nocny krzyk, pohukiwanie sowy, błysk ostrza i zapach gorącej krwi, to były katakumby, zapach wapna – a co gorsza, to był koniec beztroskiego dzieciństwa, korytarz do piekła, pomieszczenie na dnie czeluści. Wszystko to skupiało się w zimnym ciele jednego martwego gryzonia. Gdyby szczur go dotknął – krzyczałby tak długo, aż płuca by mu pękły, a jego ostatni oddech byłby końcem agonii.

Gdyby tylko miał pod ręką coś takiego, czym mógłby sięgnąć przez okno i odepchnąć szczura bez konieczności dotykania go ręką. Był za słaby, żeby poszukać czegoś, co mogłoby posłużyć jako ościę. Ręce trzymał na podolku, wewnętrzną stroną dłoni ku górze, ale nawet zaciśnięcie palców w pięść przekraczało jego możliwości.

Może uderzenie głową w sufit spowodowało większy uraz, niż początkowo sądził. Zastanawiał się, czy nie zaczyna ogarniać go paraliż. Jeśli tak, to jakie znaczenie miał wówczas szczur?

Błyskawica przecięła niebo. Refleks jaskrawego światła w ciemnej źrenicy szczura zamienił ją

w gorejące białe oko, które wydawało się obracać, żeby zawsze patrzeć na Spencera.

Czuł, że jego obsesja przyciąga szczura jeszcze bliżej, że jego przerażony wzrok jest magnesem dla zwierzęcia. Odwrócił głowę w stronę rzeki.

Trząśnięcie z zimna, mimo że pocił się obficie. Blizna nie paliła go jak zwykle – stała się teraz najchłodniejszą częścią jego twarzy. Jeśli skóra na twarzy była tylko zimna, to blizna miała temperaturę zmrożonej stali.

Wpadający ukośnie przez okno deszcz zalewał mu twarz. Ocierając ją ręką, Spencer zauważył, że rzeka płynie coraz szybciej, zmierzając ku jedynej interesującej osobliwości w skądinąd nudnym krajobrazie łagodnie opadającej równiny.

Z północy na południe przebiegał przez Mojave grzbiet skalny, wznoszący się w niektórych miejscach na wysokość dwudziestu, trzydziestu stóp nad powierzchnię równiny, w innych mający nie więcej niż trzy stopy. Oba jego krańce ginęły we mgle. Był to naturalny twór geologiczny z wyrzeźbionymi przez wiatr oknami, któremu erozja nadała osobliwy kształt fortecy. Służył niegdyś jako wał obronny ogromnych fortyfikacji, wzniesionych, a następnie zburzonych w epoce wojen, toczonych tysiąc lat przed początkami kronikarstwa historycznego. Nierówności części najwyższych fragmentów skalistego grzbietu wyglądały jak blanki w murach obronnych. Ściany miały w niektórych miejscach wyłomy sięgające do ziemi, jak gdyby jakaś wroga armia staranowała skałę i wdarła się do środka.

Spencer, próbując za wszelką cenę oderwać myśli od martwego szczura płynącego tuż przy wyłamanym oknie, starał się wyobrazić sobie starożytny zamek, zbudowany na szczycie owej kamiennej skarpy.

Skutkiem zamroczenia, z początku nie odczuwał niepokoju z faktu, że płynęli ku fortyfikacjom. Stopniowo jednak doszedł do wniosku, że spotkanie z nimi może być równie groźne jak niedawna gra w bilard z mostem. Gdyby prądy poniosły fordą jednym z przesmyków, a potem dalej wzdłuż rzeki, obejrzenie owej kuriozalnej formacji stanowiłoby interesującą przygodę. Jeśli jednak samochód uderzy w barierę skalną...

Skalisty grzbiet przegradzał koryto rzeki, ale miał w trzech miejscach przełomy. Najszerszy przesmyk miał pięćdziesiąt stóp szerokości i znajdował się po prawej stronie koryta, ograniczony południowym brzegiem i wystającą z wody strzelistą ciemną skałą, szerokości sześciu stóp, wysoką na dwadzieścia. Najwęższy przesmyk, nie mający nawet ośmiu stóp szerokości, był usytuowany na środku rzeki, między pierwszą skałą a następną, dziesięciostopowej szerokości, wysoką na dwanaście stóp. Między tą skałą a lewym brzegiem, na którym grzbiet znów wznosił się wysoko i biegł nieprzerwanie na północ, znajdował się trzeci przesmyk, szeroki na dwadzieścia, trzydzieści stóp.

– Może nam się uda. – Spencer próbował wyciągnąć rękę do psa, ale był za słaby.

W odległości stu jardów przed barierą ford dryfował ku położonemu najbardziej na południe najszerszemu przesmykowi.

Spencer nie mógł się powstrzymać od popatrzenia w lewo, przez wybite okno. Szczur płynął coraz bliżej. Na sztywnym ogonie miał czarne i różowe cętki.

Z głębi pamięci wypłynął obraz.

...mrowie szczurów, czerwone, nienawidzące oczy, jarzące się w mroku, szczury w katakumbach... jestem w katakumbach, a przede mną pomieszczenie na końcu czeluści.

Przebiegł go dreszcz. Oderwał się od wspomnień i popatrzył na rzekę. Przez zasnutą deszczem przednią szybę zobaczył, że są o pięćdziesiąt jardów od miejsca, w którym prąd się dzielił, i że nie płyną już w stronę najszerszego przełomu po prawej, tylko środkiem, w kierunku najniebezpieczniejszego.

Przesmyk był coraz bliżej. Woda nabierała szybkości.

– Trzymaj się, kolego. Trzymaj się dobrze.

Spencer miał nadzieję, że prąd pociągnie ich w lewo, ku północnemu przełomowi. Dwadzieścia jardów przed barierą znoszenie w lewo się skończyło. Czekał ich nieuchronnie środkowy.

Jeszcze piętnaście jardów. Jeszcze dziesięć.

Bezkolizyjne przebycie środkowego przełomu wymagało sporego szczęścia. Na razie niesło ich prosto na wysoką na dwadzieścia stóp potężną skałę po prawej stronie przejścia.

Może tylko musną skałę lub nawet miną ją o włos. Byli tak blisko, że Spencer nie widział już podstawy skalnej wieży tuż przed maską forda.

– Boże, proszę cię!

Samochód uderzył w skałę, jakby chciał ją rozkruszyć. Wstrząs był tak gwałtowny, że Rocky znalazł się znów na podłodze. Prawy przedni zderzak oderwał się i odpadł. Maskę wygięła się, jakby była z folii. Przednia szyba pękła, ale hartowane szkło, zamiast obsypać Spencera, spłynęło po desce rozdzielczej jak lepki, szorstki obrus.

Ford, usytuowany pod kątem do kierunku prądu, na moment zamarł, jednak po chwili nacierająca woda zaczęła obracać jego tył w lewo.

Spencer otworzył oczy i patrzył przestraszony, jak dżip ustawia się w poprzek przesmyku. W ten sposób nigdy nie przecisnie się przez przejście. Przesmyk był za wąski; samochód zaklinuje się na stałe. Szalejąca rzeka będzie atakowała prawą stronę wozu, aż zaleje całe wnętrze, a może nawet przyniesie z sobą kłodę drzewa, która roztrzaska mu głowę.

Przód forda wśród wstrząsów i zgrzytów wsuwał się coraz głębiej w gardziel zwężenia, a tył nadal zataczał łuk w lewo. Rzeka nacierała na prawy bok samochodu, sięgając do połowy okien. Kiedy cała strona kierowcy zwróciła się w stronę zwężenia, zagradzając przepływ, spowodowało to wzrost poziomu wody, który przekroczył poziom okna. Tył wozu oparł się o przeciwległą skałę, a strumień wody zalał Spencera, niosąc z sobą martwego gryzonia, pływającego cały czas przy samochodzie.

Szczur prześliznął się między zwróconymi ku górze dłońmi Spencera i upadł na siedzenie, między jego nogami. Spencer poczuł w prawej ręce dotyk jego sztywnego ogona.

Katakumby. Płonące oczy obserwujące go z mroku. Pomieszczenie... pomieszczenie na końcu czeluści.

Chciał krzyknąć, ale stać go było zaledwie na stłumione, urywane łkanie dziecka, zatrwożonego do granic wytrzymałości.

Mimo że był na wpół obezwładniony uderzeniem w głowę, a w dodatku sparaliżowany strachem, zrobił nadludzki wysiłek i konwulsyjnym chwytem obu rąk strącił szczura z siedzenia. Ów wpadł z pluskiem do błotnistej wody, sięgającej do połowy łydek. Znajdował się teraz poza zasięgiem wzroku. Mimo to nadal tam był. Pływał gdzieś między jego nogami.

Nie myśl o tym.

Kręciło mu się w głowie, jakby spędził długie godziny na karuzeli. Zauważył, że obrzeża jego pola widzenia zaczął ogarniać mrok.

Przestał szlochać. Chropawym, zamierającym głosem powtarzał dwa słowa:

– Wybacz mi, wybacz mi, wybacz mi...

Mimo pogłębiającego się stanu oszołomienia zdawał sobie sprawę, że nie przeprosza ani psa, ani Valerie Keene, której nigdy nie uratuje, ale swoją matkę, której również nie uratował. Nie żyła od dwudziestu dwóch lat. Kiedy umarła, miał zaledwie osiem. Był za mały, żeby mocją ocalić, za mały, żeby

mieć teraz tak bezgraniczne poczucie winy; mimo to nie przestawał powtarzać:

– Wybacz mi...

Rzeka pracowicie wciągała forda coraz głębiej w gardziel przesmyku, chociaż samochód już zajmował całą jego szerokość. Przednie i tylne zderzaki zgrzytały i trzeszczały, ocierając się o skalną ścianę. Umęczony samochód piszcział, jęczał i chrząścił: był najwyższej o cal krótszy od szerokości wygładzonej wodą szczeliny, z którą toczył walkę o przejście. Rzeka robiła z nim wszystko – wykręcała, szarpała; na przemian ścisnęła i popuszczła, wgniałała z przodu i z tyłu – żeby tylko popchnąć go naprzód bodaj o stopę, o cal, o włos.

W ciągu tego całego czasu potężna siła hamowanego prądu stopniowo uniosła samochód o całą stopę w górę. Ciemna woda nie sięgała już do połowy okien prawego boku, lecz wirowała u ich dolnych krawędzi.

Rocky, cierpiąc, leżał na zalanej podłodze przed siedzeniem pasażera.

Kiedy Spencer siłą woli przewyciężył oszołomienie, ujrzał, że grzbiet skalny, przegradzający koryto, nie był tak gruby, jak początkowo myślał. Kamienny korytarz miał nie więcej niż dwanaście stóp, mierząc od wlotu do wylotu.

Siła prądu zdołała wtłoczyć dziopa na dziewięć stóp w głąb tego korytarza, dopóki – wśród odgłosów rozdieranego i zgniatanego metalu – samochód nie zaklinował się na dobre. Zabrakło trzech stóp, żeby popłynął bezpiecznie dalej. Tak niewiele.

Dżip tkwił teraz w mocnym uścisku skały. Kiedy ucichły zgrzyty i trzaski, szum deszczu stał się znów najgłośniejszym dźwiękiem w otoczeniu. Był znacznie głośniejszy niż przedtem, mimo że nie padało mocniej. A może tak się tylko Spencerowi wydawało, gdyż miał tego wszystkiego dość.

Rocky wdrapał się na siedzenie, ociekając wodą i wyglądając żałośnie.

– Tak mi przykro – powiedział Spencer.

Broniąc się przed rozpaczą i mrokiem, przesłaniającym pole widzenia, nie mogąc dłużej znieść ufnego spojrzenia psa, Spencer odwrócił głowę, żeby popatrzeć na rzekę, której jeszcze przed chwilą bał się i nienawidził, do której teraz tęsknił.

Rzeka zniknęła.

Sądził, że ma halucynacje.

W zasnutej deszczem dali widać było na pustyni łańcuch gór zamykający horyzont. Najwyższe szczyty pograżone były w chmurach. Nie płynęła ku nim żadna rzeka. Co więcej, wydawało się, że między samochodem a górami istnieje tylko pusta przestrzeń. Widok sprawiał wrażenie obrazu, na którym artysta namalował najpierw tło, zostawiając pusty pierwszy plan.

Po chwili, w błysku oprzytomnienia zorientował się, że nie widzi tego, co powinno było znajdować się na pierwszym planie. Zdawał sobie sprawę, że z powodu zamroczenia miał ograniczoną percepcję. Pierwszego planu po prostu nie było. Wystarczyło spojrzeć w dół, żeby zobaczyć tysiącstopową przepaść, do której wlewała się rzeka.

Rozciągający się na wiele mil skalisty grzbiet, o którym myślał, że biegnie po pustynnej równinie, okazał się postrzępionym progiem karkołomnego urwiska. Po jednej stronie piaszczysta równina wyerodowała w ciągu milionów lat do nieco niższego poziomu niż skała. Z drugiej strony nie było równiny, tylko ściana z litej skały, po której z rykiem wodospadu spływała rzeka.

Mylił się, przypuszczając, że spotęgowany szum był tworem jego wyobraźni. Był to szum trzech, szerokich w sumie na sto stóp kaskad, spadających z wysokości stu pięter na dno doliny.

Spencer nie mógł dojrzeć spienionych katarakt, gdyż ford był zawieszony bezpośrednio nad nimi. Nie

miał siły przyciągnąć się do drzwi i wychylić przez okno. Samochód, na który napierały masy wody, częściowo znajdując ujście pod jego spodem, zakleszczył się w najwyższym z trzech przesmyków. Przed runięciem z krawędzi urwiska w dół chronił go na razie solidny uścisk skały.

Spencer zastanawiał się, czy zdoła ujść z życiem, gdyż w tym celu trzeba było wydostać się najpierw z samochodu, a potem z rzeki. Po chwili przestał o tym myśleć. Groza związana z planowaniem tego przedsięwzięcia wysysała z niego resztki energii. Musiał najpierw odpocząć, a dopiero potem zacząć się zastanawiać.

Ze swojego miejsca widział – z wyjątkiem samego wodospadu – szeroką dolinę z wijącą się rzeką, płynącą spokojnie po niżej położonej równinie. Stromizna spadku i nachylająca się panorama doliny przyprawiły go o nowy zawrót głowy. Odwrócił wzrok, żeby nie zemdleć.

Za późno. Karuzela już ruszyła... i po chwili wirujące obrazy skały i deszczu splotły się razem w ciasną spiralę mroku, w którą wpadał coraz głębiej i głębiej...

...i tam, w nocy, za stajnią, zostaje nawiedzony przez anioła, który okazuje się zwykłą sową. Nie wiem, z jakiego powodu – kiedy skrzydlata postać mojej matki w niebiańskiej sukni okazuje się tworem fantazji – staje mi przed oczami inny jej widok: skrwawionej, powykręcanej, nagiej, leżącej martwo w rowie o osiemdziesiąt mil od domu, tak jak ją znaleziono przed sześciu laty. Nie widziałem jej w tym stanie nawet na fotografii w gazecie. Słyszałem, jak to opowiadały dzieci w szkole: dokuczliwe, małe gnojki. Ale od chwili gdy sowa odleciała w księżycową noc, nie mogę wrócić wyobraźnią do wizji anioła, mimo że się staram, i nie mogę pozbyć się makabrycznego obrazu jej pokaleczonego ciała, choć oba są tworem mojej wyobraźni, nad którą powinienem panować.

Boso, bez koszuli, idę dalej wzdłuż stajni, która już od ponad piętnastu lat nie spełnia swojej właściwej funkcji. Znam ją bardzo dobrze z całego mojego dzieciństwa – ale dzisiaj wydaje mi się inna, w jakiś sposób zmieniona. Nie wiem, na czym ta zmiana polega, i to wzbudza we mnie niepokój.

Dzisiejsza noc jest dziwna, dziwniejsza niż mi się zdaje. A ja jestem dziwnym chłopcem, pełnym pytań, których nigdy nie śmiałem sobie postawić, oczekującym odpowiedzi od lipcowej nocy, podczas gdy one są we mnie, jeśli ich tylko wewnątrz siebie poszukam. Jestem dziwnym chłopcem, który czuje, że drzewo jego życia ulega skrzywieniu, ale przekonuję sam siebie, że linia owego skrzywienia jest słuszna i prosta. Jestem dziwnym chłopcem, który nie chce poznać tajemnicy – tak jak świat nie chce poznać sensu swojego istnienia.

Wśród spokojnej nocy skradam się ostrożnie za stajnią ku furgonetce, której nigdy przedtem nie widziałem. Na przednich siedzeniach nie ma nikogo. Kładę rękę na masce i czuję, że jest ciepła. Silnik stygnie przy akompaniamencie drobnych metalicznych dźwięków. Przemykam się wzdłuż tęczowego malowidła na boku furgonetki w stronę otwartych tylnych drzwi.

Mimo że wewnątrz jest ciemno, w świetle wpadającym przez przednią szybę widzę, że z tyłu nie ma nikogo. Widzę również, że furgonetka ma tylko dwa siedzenia i żadnego dodatkowego wyposażenia, chociaż z wyglądu zewnętrznego sądziłem, że jest komfortowym wozem turystycznym.

Cały czas czuję, że z tą furgonetką wiąże się coś złowieszczonego, oprócz tego, że jest obca. Szukając źródła mojego przeczucia, nachylam się do wnętrza, rozglądam po kątach, żałując, że nie wziąłem latarki, i nagle czuję zapach moczu. Ktoś nasikał na podłogę tylnej części furgonetki. Przedziwne. Jezu! Mógł to być, oczywiście, pies, co nie byłoby niezwykle, ale i tak obrzydliwe.

Wstrzymuję oddech, zatykam nos i cofam się o krok od drzwi, żeby spojrzeć na tablicę rejestracyjną. Jest z Kolorado, a więc miejscowa.

Stoję.

Nadśłuchuję. Cisza.

Stajnia czeka.

Wzorem stajen budowanych w zimnych krajach, ta również początkowo nie miała okien. Po całkowitej przebudowie wnętrza zyskała dwa na parterze, od południowej strony, i cztery na pierwszym piętrze. Owe cztery nade mną są szerokie i wysokie po to, żeby wychwytywały jak najwięcej światła z północy.

Okna są ciemne. W stajni panuje cisza.

W północnej ścianie są tylko pojedyncze drzwi.

Zachodzę furgonetkę od przodu i tam również nie znajduję nikogo. Stoję niezdecydowany.

W świetle księżycy, które ukrywa w swoich cieniach więcej, niż potrafi rozjaśnić słabym blaskiem, widzę, że północne drzwi są uchylone.

W głębi duszy wiem, co powinienem zrobić, co muszę zrobić. Ale inna część mojej osobowości, ta, która tak skutecznie opiera się poznawaniu tajemnic, nakazuje mi wrócić do łóżka, zapomnieć o krzyku, który wyrwał mnie ze snu o mojej matce, i przespać resztę nocy. Rano wrócę do życia w ułudzie, którą sam sobie narzuciłem, stając się na powrót ofiarą życia w samozakłamaniu, chowającą prawdę i rzeczywistość w zapomnianej kieszeni własnej psychiki.

Możliwe, że obciążenie tej kieszeni zaczęło przekraczać jej wytrzymałość i że mocujące ją nici zaczęły pękać. Postanawiam przerwać swój sen na jawie.

A może ta decyzja nie zrodziła się z podświadomej udręki ani nawet rozwagi, tylko po prostu znajdowała się na ścieżce mojego przeznaczenia, którą poruszam się od dnia narodzin. Może dokonując jakiegokolwiek wyboru, łudzimy się, że jest zależny od nas, i może jedynymi naszymi drogami w życiu są te, które zostały zaznaczone na jakiejś mapie w chwili, kiedy zostaliśmy zaprojektowani. Modlę się do Boga, żeby przeznaczenie nie było ostateczne, żeby można było kształtować je na nowo, żeby poddawało się mocom litości, uczciwości, dobroci i prawości – gdyż inaczej nie będę mógł ścierpieć osoby, którą się stanę, rzeczy, których dokonam, ani końca, który mnie czeka.

W gorącą lipcową noc ociekam zimnym potem i nie myślę o utajonych prawdach ani o przyszłych losach. Tej nocy działam pod wpływem emocji, a nie rozumu; pod wpływem intuicji, a nie dla jakiejś przyczyny; bardziej z wewnętrznej potrzeby niż z ciekawości. W końcu mam tylko czternaście lat. Tylko czternaście.

Stajnia czeka.

Idę w stronę drzwi, które są uchylone.

Nasłuchuję przy szparze. Wewnątrz panuje cisza.

Popycham drzwi. Zawiasy są dobrze naoliwione, jestem boso i wchodzę do środka w tak absolutnej ciszy, jak absolutna jest ciemność, która mnie wita...

Spencer otworzył oczy, przenosząc się z ciemnego wnętrza stajni do ciemnego wnętrza zakleszczonego w skałach forda, i zorientował się, że zapadła noc. Był nieprzytomny przez pięć lub sześć godzin.

Głowę miał zwieszoną do przodu, opartą na piersiach. Patrzył wprost na swoje białe jak kreda, odwrócone w żebraczym geście dłonie.

Przypomniał sobie, że na podłodze jest sznur. Nie mógł go dojrzeć. Ale on tam był. Czaił się w ciemności. Martwy.

Nie myśl o tym.

Przestało padać. Bębnienie po dachu ustało.

Chciało mu się pić. Wargi miał popękane i spieczone, a język szorstki.

Samochód zakołysał się lekko. Pewnie rzeka próbowała zepchnąć go z urwiska. Cholerna, uparta rzeka!

Nie, to nie rzeka. Ryk wodospadu umilkł. Dookoła panowała cisza. Nie było błyskawic ani grzmotów. Nie słychać było pluskania wody.

Bolało go całe ciało. Najbardziej głowa i szyja.

Zdołał wykrzesać z siebie tyle siły, żeby podnieść głowę.

Nie było Rocky'ego. Drzwi po jego stronie były otwarte.

Samochód znów się zahuszał. Zaklekotał i zazgrzytał. U dołu otwartych drzwi pojawiła się głowa kobiety. Najpierw jej głowa, potem ramiona, jakby wynurzała się z nurtu. Sądząc jednak z panującej ciszy, nurtu już nie było.

Oczy Spencera były przyzwyczajone do ciemności, w dodatku zza poszarpanych chmur świecił księżyc. Poznał ją.

Głosem suchym jak popiół, ale wyraźnym, powiedział:

– Cześć!

– Cześć! – odpowiedziała.

– Wejdz.

– Dziękuję. Chyba skorzystam.

– To bardzo ładnie z twojej strony – powiedział.

– Przyjemnie tutaj?

– Przyjemniej niż w niedawnym śnie.

Dźwignęła się do środka samochodu, który zachwiał się bardziej niż uprzednio, szorując bokami po skale.

Ruch zaniepokoił Spencera – nie dlatego iż się obawiał, że samochód wysunie się z zakleszczenia i polecą w dół, lecz znów poczuł lekkie zamroczenie. Obawiał się, że wróci do koszmaru lipcowej nocy w Kolorado.

Usiadła na siedzeniu Rocky'ego i nie ruszała się przez chwilę, czekając, aż samochód przestanie się kołysać.

– Wpadłeś w niezłą pułapkę – powiedziała.

– Piorun kulisty – odparł.

– Co takiego?

– Piorun kulisty.

– Oczywiście.

– Strącił samochód do rzeki.

– Czemu nie – powiedziała.

Nie mógł zebrać myśli, żeby wyrażać się jaśniej. Myślenie sprawiało mu ból, przyprawiało go o zawroty głowy.

– Sądziłem, że to byli kosmici.

– Kosmici?

– Mali faceci. Z wielkimi oczami. Spielberg.

– Czemu ci się zdawało, że to byli kosmici?

– Ponieważ jesteś cudowna – powiedział, ale jego słowa nie oddawały tego, co miał na myśli. Mimo słabego światła zauważył, że spojrzenie, którym go obrzuciła, było dziwne. Starając się wyrazić swoją

myśl jaśniej, co spowodowało jeszcze większy zamęt w głowie, dodał: – Wokół ciebie muszą się dziać cudowne rzeczy... muszą się dziać... przez cały czas.

– Och, tak. Jestem pepkiem całego świata.

– Musisz wiedzieć o jakiejś cudownej rzeczy. Dlatego cię ścigają. Ponieważ wiesz o jakiejś cudownej rzeczy.

– Jesteś na prochach?

– Używam tylko aspiryny. W każdym razie... nie ścigają cię dlatego, że jesteś złym człowiekiem.

– Naprawdę?

– Tak. Bo nie jesteś. To znaczy – nie jesteś zła.

Pochyliła się nad nim i przyłożyła mu dłoń do czoła. Dotyk był lekki, mimo to skrzywił się z bólu.

– Skąd wiesz, że nie jestem złym człowiekiem? – spytała.

– Byłaś dla mnie bardzo miła.

– Może udawałam.

Wydobyła z kurtki małą latarkę, odciągnęła jego lewą powiekę i zajrzała do oka. Światło sprawiło mu ból. Wszystko sprawiało mu ból. Nawet zimne powietrze. Ból przyprawiał go o zawroty głowy.

– Byłaś miła dla Thedy.

– Może wówczas też udawałam – odparła, badając teraz jego prawe oko.

– Nie udałoby ci się oszukać Thedy.

– Dlaczego?

– Ona jest mądra.

– Tak, to prawda.

– I piecze ogromne ciastka.

Skończyła badać oczy i pochyliła jego głowę do przodu, żeby spojrzeć na długie rozcięcie na szczycie czaszki.

– To poważne. Teraz jest już skrzep, ale i tak wymaga oczyszczenia i zszycia.

– Auuuu!

– Jak długo krwawiłeś?

– We śnie nie czuje się bólu.

– Dużo krwi straciłeś?

– To boli!

– Bo to nie jest sen.

Oblizła spękane wargi. Język miał suchy.

– Pić.

– Zaraz przygotuję ci coś do picia – powiedziała, wkładając mu dwa palce pod podbródek i podnosząc z powrotem głowę.

Od wszystkich tych ruchów powróciły zawroty, mimo to zdołał zapytać:

– To nie sen? Jesteś pewna?

– Absolutnie. – Dotknęła jego odwróconej prawej dłoni. – Potrafisz uścisnąć moją rękę?

– Tak.

– To zrób to.

– Dobrze.

– Zrób to zaraz.

– Aha. – Objął jej rękę swoją dłonią i uścisnął.

– Nieźle – powiedziała.

– To bardzo miłe.

– Chwyć masz mocny. Kręgosłup prawdopodobnie nie jest uszkodzony. Sądziłam, że będzie gorzej. Miała ciepłą, mocną rękę.

– To bardzo miłe – powtórzył.

Zamknął oczy. Ogarnął go wewnętrzny mrok. Otworzył je natychmiast, nim ponownie zbudziły się majaki.

– Możesz już puścić moją rękę.

– Nie śni mi się?

– Nie.

Znów zapaliła latarkę i skierowała ją między jego siedzenie a środkowy wspornik samochodu.

– To naprawdę bardzo dziwne – powiedział.

Szukała czegoś w wąskim strumieniu światła.

– Skoro mi się nie śni, to znaczy, że mam halucynacje.

Znalazła guzik zwalniający zaczep pasa bezpieczeństwa i przycisnęła go.

– Nic nie szkodzi – mruknął.

– Co nie szkodzi? – spytała, gasząc latarkę i chowając ją do kieszeni kurtki.

– Że wysiusiałaś się na siedzenie.

Roześmiała się.

– Lubię, jak się śmiejesz.

Śmiała się nadal, wyłuskując go ostrożnie z pasów.

– Dawniej się nie śmiałaś.

– No tak – odparła – ostatnio rzeczywiście niewiele.

– Ani razu. Również nie warczałaś.

Roześmiała się ponownie.

– Mam zamiar sprawić ci nową sztuczną kość.

– Jesteś bardzo uprzejmy.

– To wielka frajda – powiedział.

– Z pewnością.

– Jest taka realistyczna.

– To mi się wydaje nierealne.

Chociaż przez cały czas wysuptywania go z pasów Spencer zachowywał się przeważnie biernie, to wysiłek spowodował, że widział teraz trzy kobiety i po trzy zarysy każdego przedmiotu w samochodzie, jak trzy nakładające się na siebie obrazy na fotografii.

Bojąc się, że zemdleje, nim zdoła powiedzieć to, co mu leżało na sercu, odezwał się chrapliwym głosem:

– Jesteś prawdziwym przyjacielem, naprawdę, jesteś najlepszym przyjacielem.

– Przekonamy się.

– Jesteś moim jedynym przyjacielem.

– Dobrze, mój przyjacielu, przejdźmy teraz do trudniejszych rzeczy. Jak, do diabła, mam cię wyciągnąć z tego grata, jeśli nie masz w ogóle siły?

– Dam sobie radę.

– Tak myślisz?

– Kiedyś byłem komandosem. I policjantem.
– Wiem o tym.
– Trenowałem kung-fu.
– To się przyda, jeśli napadnie nas banda ninja. Czy pomożesz mi wyciągnąć cię stąd?
– Trochę.
– Więc spróbujmy.
– Dobrze.
– Dasz radę przerzucić nogi na moją stronę?
– Nie chcę nadepnąć na szczura.
– Tu jest szczur?
– Niby jest martwy, ale... sama wiesz.
– Naturalnie.
– Kręci mi się w głowie.
– Zaczekajmy chwilę, odpocznij trochę.
– Bardzo, bardzo mi się kręci...
– Nie przejmuj się.
– Do widzenia – powiedział i ogarnął go czarny wir, który poniósł go w przestrzeń. Oddalając się, myślał nie wiadomo dlaczego o Dorothy, Toto i o Oz.

Tylne drzwi stajni otwierają się na krótki korytarz. Wchodzę do środka. Wewnątrz nie ma świateł ani okien. Zielone światło napisu – SYSTEM WYŁĄCZONY – urządzenia alarmowego na prawej ścianie wystarcza, bym stwierdził, że jestem sam. Nie zamykam drzwi za sobą, zostawiając je uchylone, tak jak je zastałem.

Podłoga pode mną wygląda na czarną i jest z wypolerowanych desek. Po lewej stronie korytarza znajdują się łazienka i pomieszczenie służące do przechowywania materiałów. Drzwi do nich są ledwie widoczne w ścianie pomalowanej na seledynowy kolor, którego odcień przypomina nieziemskie światło widywane w sennych mirażach. Po prawej stronie mieści się archiwum. Przede mną, przy końcu korytarza są drzwi do dużej galerii, skąd łamane schodki prowadzą na górę, do pracowni mojego ojca. Pracownia obejmuje całe piętro i ma ogromne wychodzące na północ okna. Pod tymi oknami stoi furgonetka.

Nasłuchuję w ciemności. Nie słyszę głosu ani oddechu. Z prawej strony jest kontakt, ale nie zapalam światła. Wśród zielono-czarnego półmroku otwieram drzwi do łazienki. Wchodzę do środka. Czeka na jakiś odgłos, na ruch, na uderzenie. Nic.

W magazynku również nikogo nie ma.

Przechodzę na prawą stronę korytarza i cicho otwieram drzwi do archiwum. Wchodzę do wewnątrz.

Światłówki pod sufitem nie palą się, ale z odległego końca pokoju pada słabe, żółte, niesamowite światło.

Środek prostokątnego pokoju zajmuje długi stół do pracy. Obok stoją dwa krzesła. Wzdłuż jednej z dłuższych ścian stoją szafy na akta.

Serce bije mi tak mocno, że aż wstrząsa moimi ramionami. Zaciskam pięści i trzymam je w pogotowiu, próbując zapanować nad sobą.

Postanawiam wrócić do domu, do łóżka i postarać się zasnąć. Za moment stwierdzam, że jestem w odległym końcu pokoju, chociaż nie przypominam sobie, żebym dał nawet krok w tym kierunku. Wydaje mi się, że przeszedłem te dwadzieścia stóp pod wpływem nagłego zauroczenia – pociągnięty

przez coś... przez kogoś – jak gdybym posłuchał jakiegoś potężnego, hipnotycznego rozkazu... czyjegoś milczącego wezwania.

Stoję przed szafą z sękatych, sosnowych desek, sięgającą od podłogi do sufitu i zajmującą całą ścianę pokoju szerokości trzynastu stóp. Szafa ma trzy pary wąskich, wysokich drzwi.

Środkowe drzwi są otwarte.

Za drzwiami powinny być same półki. Na półkach powinny stać pudła ze starymi księgami podatkowymi, korespondencją i niepotrzebnymi już aktami wystawionymi z metalowych szaf stojących wzdłuż drugiej ściany.

Widzę, że półki wraz z ich zawartością i z całą tylną ścianą szafy posunięto o cztery, pięć stóp w głąb jakiegoś tajemnego pomieszczenia, o którym nic nie wiedziałem. Stamtąd właśnie pada owo obrzydliwe żółte światło.

Przede mną stoi otworem kwintesencja wszystkich chłopięcych fantazji: tajemne przejście do świata przygód i niebezpieczeństw, do odległych gwiazd, do samego jądra Ziemi, do krajów trollów i piratów, inteligentnych małp i robotów, do dalekiej przyszłości lub do ery dinozaurów. Przede mną schody do sedna tajemnicy, tunel, którym może wybiorę się na śmiałe poszukiwania, początek szlaku prowadzącego w nieznaną.

Czuję dreszcz na myśl o egzotycznych podróżach i fantastycznych odkryciach, które mogą być związane z tajemnym pomieszczeniem. Instynkt szepcze mi, że na końcu sekretnego przejścia jest coś bardziej niezwykłego i bardziej nieludzkiego niż świat kosmitów czy loch Morlocka. Chcę wrócić do domu, do mojej sypialni, schować się pod prześcieradłami, natychmiast, pobiec tam najszybciej, jak potrafię. Przestaje na mnie działać perwersyjny urok strachu i tajemnicy i chcę wycofać się ze snu na jawie ku mniej niebezpiecznym krainom ze snów w łóżku.

Nie pamiętam momentu przekraczania progu. Stwierdzam, że zamiast w domu, znajduję się wewnątrz wysokiej szafy. Po chwili orientuję się, że poszedłem naprzód, w stronę sekretnego pomieszczenia i jestem teraz w czymś w rodzaju westybulu o wymiarach sześć stóp na sześć, mającym betonową podłogę i betonowe ściany. U sufitu wisi goła, żółta żarówka.

Z pobieżnych oględzin wynika, że cała tylna ściana sosnowej szafy, wraz z półkami, wyposażona jest w zamaskowane kółka i odsuwa się w głąb na dwóch szynach.

Po prawej stronie przedsionka widnieją masywne drewniane drzwi. Mają mosiężne okucia i pomalowane są na białą. W niektórych miejscach farba jest już pożółkła ze starości. Dziś jednak żaden z tych kolorów nie dominuje. Od mosiężnej gałki po dolną partię drzwi ciągnie się łukiem pas krwawych odcisków dłoni.

Osiem, dziesięć, dwanaście śladów skrwawionych kobiecych rąk. Dłoni z rozczapierzonymi palcami. Każdy ze śladów częściowo pokrywa poprzedni. Niektóre z nich są rozsmarowane, inne czyste jak odciski palców, w kartotekach policji. Wszystkie są błyszczące, mokre. Wszystkie są świeże. Przypominają trzepoczące ze strachu skrzydła ptaka zrywającego się do ucieczki. Patrzę na nie jak zahipnotyzowany, serce mi wali i nie mogę złapać tchu, gdyż ślady te oznaczają śmiertelne przażenie jakiejś kobiety, rozpacz i szaleńczy opór przed przekroczeniem tych drzwi.

Nie jestem w stanie pójść dalej. Nie pójde. Jestem tylko małym chłopcem, bosym, bezbronnym, wystraszonym, nieprzygotowanym na poznanie prawdy.

Znów nie przypominam sobie, żebym zrobił jakiś ruch. Widzę natomiast, że moja ręka spoczywa na mosiężnej gałce. Otwieram czerwone drzwi.

CZEŚĆ DRUGA

POWRÓT DO ŹRÓDŁA

Na drodze, którą obrałem,
Pewnego dnia się zbudziłem,
Zdumiony, że zabłądziłem.
Gdzie indziej dojść zamierzałem.
Nie o tej drodze myślałem.
Nie tego miejsca szukałem.
Nie to marzenie wybrałem.
Nie te trudy pokonałem.
Obiorę inną za chwilę,
Na skrzyżowaniu, o miłą.
Wiedziony nowym zapałem
Pójdę teraz tam, gdzie chciałem.
Na drodze, którą obrałem,
Pewnego dnia się zbudziłem.
Pewnego dnia się zbudziłem,
Na drodze, którą obrałem.
„Księga policzonych smutków”

Rozdział 11

W piątek po południu, po przeprowadzeniu rozmowy o bliźnie Spencera Granta z doktorem Mondello, Roy Miro wyleciał z Los Angeles na pokładzie należącego do organizacji learjeta. Uprzymieniał sobie lot kieliszkiem dobrze schłodzonego chardonnay z piwnic Roberta Mondavi, które zagryzał orzeszkami pistacjowymi. Był jedynym pasażerem na pokładzie. Spodziewał się dotrzeć do Las Vegas za godzinę.

Na kilka minut przed wylądowaniem lot został skierowany do Flagstaff w Arizonie. Powódź wywołana najpotężniejszą w ostatniej dekadzie burzą w Nevadzie załała niżej położone dzielnice Las Vegas. Na McCarran International piorun uszkodził system elektroniczny, zmuszając port do zawieszenia lotów.

Nim jeszcze samolot dotknął pasa na lotnisku Flagstaff, ogłoszono, że McCarran przywróci ruch w ciągu dwóch godzin. Roy pozostał na pokładzie, nie chcąc tracić cennego czasu na powrót do samolotu z poczekalni budynku portowego, kiedy pilot zawiadomi go, że McCarran wznowiło działalność.

Czekając na odlot, połączył się z Mamą w Wirginii, żeby użyć jej ogromnego banku danych w celu utarcia nosa kapitanowi Harrisowi Descoteaux, oficerowi policji w Los Angeles, który wcześniej w ciągu dnia nieco go zirytował. Descoteaux miał zbyt mało szacunku dla swoich zwierzchników. Trzeba było coś zrobić, żeby w jego głosie – oprócz karaibskiego akcentu – zabrzmiała nuta pokory.

Później oglądał film dokumentalny w jednym z trzech telewizorów w kabinie pasażerskiej leara. Film opowiadał o doktorze Jacku Kevorkianie, nazywanym przez media Doktor Śmierć, uważającym za swoje życiowe powołanie asystowanie nieuleczalnie chorym, którzy wyrazili wolę popełnienia samobójstwa – mimo że był z tego powodu karany przez prawo.

Film owładnął wyobraźnią Roya, wyciskając mu kilka razy łzy z oczu. Nim Roy obejrzał połowę, jakaś nieznana mu siła zmusiła go do pochylenia się w fotelu i do przykładania do ekranu ręki za każdym razem, gdy kamera pokazywała Jacka Kevorkiana w zbliżeniu. Trzymając dłoń na krzepiącej twarzy doktora, Roy napawał się czystością tego człowieka, aurą świętości i jego duchową mocą.

W moralnym świecie, w społeczeństwie kierującym się prawdziwą sprawiedliwością, Kevorkian mógłby spokojnie pełnić swoją misję. Roy poczuł przygnębienie, kiedy dowiedział się, jak ten człowiek cierpi z powodu zacoferania władz.

Pewne pocieszenie przyniosła mu świadomość, że zbliża się dzień, w którym człowiek taki jak Kevorkian przestanie być traktowany jak parias, zostanie życzliwie przyjęty przez wdzięczne społeczeństwo i otrzyma biuro, wszelkie udogodnienia i pieniądze w stopniu odpowiadającym jego wkładowi w dzieło ulepszania świata.

Czyż bowiem świat nie jest tak pełen cierpienia i niesprawiedliwości, że każdy, kto nie chce popełniać samobójstwa w samotności, niezależnie od tego, czy jest nieuleczalnie chory, czy nie – powinien mieć zapewnioną pomoc? Roy był głęboko przekonany, że nawet chronicznie chorzy, włączając w to ludzi starszych, mieli prawo do wiecznego spoczynku na własne żądanie.

Nie należy zostawić bez pomocy również tych, którzy na razie nie potrafili dostrzec głębokiej mądrości w samounicestwieniu. Powinno im się zapewnić bezpłatne porady tak długo, aż będą umieli dostrzec prawdziwą wartość daru, który im się ofiarowuje.

Trzymając rękę na zbliżeniu twarzy Kevorkiana na ekranie, Roy wchłaniał jego moc.

Nadejdzie czas, kiedy osoby kalekie nie będą musiały dłużej znosić cierpień i upokorzeń. Nie będzie trzeba produkować wózków inwalidzkich i aparatów ortopedycznych. Nie będą już potrzebne psy dla

niewidomych, protezy i aparaty dla głuchoniemych oraz poddawanie ich upokarzającym lekcjom wymowy. Będzie tylko spokój wiecznego snu.

Uśmiechnięta twarz doktora Jacka Kevorkiana wypełniła ekran. Miał bardzo piękny uśmiech.

Roy położył obie dłonie na ciepłym szkłe. Otworzył serce i pozwolił temu wspaniałemu uśmiechowi wnikać do własnego wnętrza. Otworzył duszę i poddał ją duchowej mocy Kevorkiana.

W przyszłości inżynieria genetyczna z pewnością doprowadzi do tego, że będą się rodzić tylko zdrowe dzieci i że wszystkie będą piękne, silne i mądre. Idealne. Jak na razie, Roy widział potrzebę stworzenia programu miłosiernej likwidacji dzieci urodzonych z niedorozwojem kończyn lub któregoś z pięciu zmysłów. Tym pomysłem prześcignął nawet Kevorkiana.

Planował sobie, że kiedy skończy ciężką pracę dla organizacji, a kraj będzie rządzony przez ludzi pełnych współczucia dla społeczeństwa i znajdzie się u progu szczęśliwości – spędzi resztę życia na realizowaniu programu miłosiernego likwidowania małych dzieci. Cóż może sprawić większą satysfakcję niż litościwe trzymanie w ramionach maleńkiej dziewczynki podczas dawania jej śmiertelnego zastrzyku i uspokajanie jej w chwili przechodzenia z ułomnego ciała do duchowej transcendencji.

Serce Roya wezbrało miłością do tych, którzy mieli mniej szczęścia od niego – do chromych i ślepych, do chorych, starych, cierpiących na depresję i nedorozwiniętych umysłowo.

Film dobiegł końca, nim jeszcze lotnisko w McCarran zostało ponownie otwarte i learjet wystartował po raz drugi. Uśmiech doktora Kevorkiana znikł z ekranu. Niemniej Roy pozostawał w stanie objawienia, które jego zdaniem powinno utrzymać się przez kilka dni.

Czuł w sobie nową moc. Nie dozna więcej porażek i pokona wszelkie trudności.

Podczas lotu odebrał telefon od agenta, szukającego Ethel i George'a Porthów, dziadków Spencera Granta, którzy wychowywali go po śmierci matki. Według ksiąg wieczystych Porthowie byli niegdyś właścicielami domu w San Francisco, lecz sprzedali go przed dziesięciu laty. Siedem lat później nabywcy sprzedali go ponownie, a nowi właściciele posesji nigdy nie słyszeli o Porthach i nie mieli pojęcia, gdzie mogą się podziewać. Agent kontynuował poszukiwania.

Roy był przekonany, że prędzej czy później znajdą Porthów. Los zaczął mu sprzyjać. Czuł rozpierającą go moc.

Noc zapadła, nim wylądowali w Las Vegas. Przestało padać, choć jeszcze było pochmurno.

Przy wyjściu powitał Roya kierowca samochodu, wyglądający jak wbita w garnitur kielbasa serdelowa. Powiedział tylko, że nazywa się Prock i że samochód zaparkował przed budynkiem lotniska. Popatrzył groźnie i poszedł pierwszy, nie troszcząc się o okolicznościową pogawędkę. Był gburowaty jak najbardziej nieuprzejmy maître d'hotel w Nowym Jorku.

Roy poczuł się bardziej rozśmieszony niż urażony. Nieoznaczony chevrolet zaparkowano, wbrew przepisom, w strefie przeładunkowej. Prock, chociaż wyglądał na większego niż samochód, który prowadził, jakoś zdołał wcisnąć się do środka.

Powietrze było zimne, ale podziałało na Roya orzeźwiająco. Ponieważ Prock ustawił ogrzewanie w samochodzie na pełny regulator, wkrótce zrobiło się duszno. Roy doszedł do wniosku, że jest przytulnie.

Był we wspaniałym nastroju.

Jechali do centrum, przekraczając dozwoloną szybkość. Mimo że Prock jechał bocznymi ulicami, trzymając się z dala od tętniących życiem hoteli i kasyn, odbłask neonów i świateł głównych arterii sięgał aż po pękate brzuchy niskich chmur. Graczowi, który przed chwilą przegrał całe pieniądze przeznaczone na przyszłotygodniowe zakupy, czerwono-pomarańczowo-zielono-żółte niebo mogło skojarzyć się

z wizją piekła, natomiast Royowi przywodziło na myśl karnawał.

Po przywiezieniu Roya do głównego budynku organizacji w centrum Prock pojechał odstawić jego bagaż do hotelu.

Na piątym piętrze wysokiego biurowca oczekiwał go Bobby Dubois, oficer dyżurny wieczornej zmiany. Dubois był wysokim, szczupłym Teksanczykiem, o ciemnobrązowych oczach i włosach koloru stepowego kurzu, na którym ubranie wisiało jak szmata na strachu na wróble. Mimo że grubokościsty, z plamistą cerą, wielkimi uszami i zębami tak krzywymi jak płyty nagrobne na cmentarzach w miasteczkach hodowców bydła, nie mający w wyglądzie niczego, co najzyczliwszy krytyk mógłby uznać za udane, Dubois charakteryzował się wdziękiem i swobodą bycia, które odwracały uwagę otoczenia od faktu, że był nieszczęsnym wybrykiem natury.

Czasami Roy sam się dziwił, że mógł przebywać w towarzystwie Dubois, opierając się pokusie popełnienia morderstwa z litości.

– Ten facet to sprytny sukinsyn. Trzeba było widzieć, jak wymknął się z blokady drogowej, a potem uciekł przez wesołe miasteczko – powiedział Dubois, idąc z Royem przez hol prowadzący z jego gabinetu do ośrodka obserwacji satelitarnej. – A ten jego pies – nic tylko kiwał głową w górę i w dół, w górę i w dół, jak jedna z tych sprężynowych psich maskotek, które ludzie kładą na tylnych półkach samochodów. Czy ten pies jest chory?

– Nie wiem – odparł Roy.

– Mój dziadek miał psa, który był częściowo sparaliżowany. Nazywał się Scooter, ale nazywaliśmy go Boomer, gdyż puszczał potwornie głośnie bąki. Mówię o psie – nie o dziadku.

– Jasne – odparł Roy, kiedy doszli do drzwi na końcu holu.

– Boomer zachorował w ostatnim roku swojego życia – ciągnął Dubois, zatrzymując się z ręką na gałce. – Był już wtedy stary jak świat, więc nikogo to nie zdziwiło. Szkoda, że nie widziałeś, jak się trząśł. Miewał okropne ataki. Mówię ci, Roy, kiedy stary Boomer podnosił tylną nogę i sikał – dawałeś nogę, żeby się gdzieś schować, albo żałowałeś, że nie mieszkasz w innym kraju.

– Ktoś powinien był go uśpić – powiedział Roy, gdy Dubois otwierał drzwi.

Teksanczyk podążył za Royem do ośrodka obserwacji satelitarnej.

– O, nie. Boomer był poczciwym starym psem. Gdyby role się odwróciły, nigdy nie wzięłby pistoletu i nie zastrzelił dziadka.

Roy rzeczywiście był w dobrym nastroju. Mógłby teraz słuchać Bobby'ego Dubois całymi godzinami.

Ośrodek obserwacji satelitarnej miał wymiary czterdzieści na sześćdziesiąt stóp. Tylko dwa spośród dwunastu komputerowych stanowisk roboczych na środku pokoju były obsadzone; oba zajmowały kobiety ze słuchawkami na uszach, mamroczące coś do mikrofonów w trakcie wpatrywania się w potoki danych, przepływających przez monitory. Przy oświetlonym stole siedział technik, badając pod lupą kilka dużych negatywów fotograficznych. Jedna z dłuższych ścian pokryta była ogromnym ekranem, z wyświetloną na nim mapą świata. Nałożone były na nią formacje chmur i zielone napisy, informujące o pogodzie we wszystkich częściach kuli ziemskiej.

Na ekranie miarowo mrugały czerwone, niebieskie, białe, żółte i zielone światełka oznaczające bieżące pozycje dziesiątek satelitów. Wiele z nich było satelitami telekomunikacyjnymi służącymi jako przekaźniki mikrofalowych sygnałów telefonicznych, telewizyjnych i radiowych. Inne służyły sporządzaniu map topograficznych, poszukiwaniu złóż naftowych, potrzebom meteorologii i astronomii, międzynarodowemu wywiadowi i inwigilacji kraju – wymieniając tylko niektóre z ich funkcji.

Właścicielami tych satelitów były wielkie korporacje, organizacje rządowe i służby wojskowe. Niektóre z nich należały do obcych państw albo do firm rezydujących poza granicami USA. Niezależnie od ich właścicieli i krajów, skąd pochodziły, organizacja włamywała się do ich systemów i korzystała z nich bez wiedzy prawowitych operatorów.

Stojąc przy pulpicie w kształcie litery U naprzeciw wielkiego ekranu, Bobby Dubois powiedział:

– Sukinsyn uciekł z wesołego miasteczka prosto na pustynię, a nasi chłopcy nie mieli odpowiedniego wyposażenia, żeby go ścigać w stylu Lawrence’a z Arabii.

– Posłaliście za nim helikopter?

– Pogoda zbyt szybko się popsowała. Lało tak, jak gdyby wszyscy aniołowie w niebie sikali dokładnie o tej samej porze.

Dubois przycisnął guzik i mapa świata zniknęła ze ściany. Na jej miejscu pojawił się bieżący satelitarny widok czterech stanów: Oregonu, Idaho, Kalifornii i Nevady. Z satelity granice między poszczególnymi stanami byłyby trudne do uchwycenia, zostały więc zamarkowane pomarańczowymi liniami nałożonymi na obraz.

Zachodni i południowy Oregon, południowe Idaho, północną i środkową Kalifornię i całą Nevadę pokrywały grube warstwy chmur.

– To jest aktualny obraz z trzyminutowym opóźnieniem. Tyle czasu zajmuje transmisja danych, a następnie przetworzenie kodu cyfrowego z powrotem na obraz na ekranie – poinformował Dubois.

Wśród chmur przykrywających wschodnią Nevadę i wschodnie Idaho ukazywały się miękkie impulsy światła. Roy wiedział, że są to oglądane z góry błyskawice. Były przedziwnie piękne.

– W tej chwili burza jest tylko na wschodnim obrzeżu frontu. Poza paroma strefami kapuśniaczkę wszędzie jest spokojnie, aż po krańce Oregonu. Ale my nie możemy poszukać sukinsyna nawet za pomocą podczerwieni. To tak, jakby ktoś chciał zobaczyć dno talerza pełnego zupy z małży.

– Kiedy się rozjaśni? – spytał Roy.

– W górze wieje jak cholera, co popycha front na południowy wschód. Przed świtem powinno się rozjaśnić nad Mojave i całą okolicą.

Urządzenia zainstalowane w satelicie umożliwiały sfotografowanie osoby czytającej w słońcu gazetę z ostrością, pozwalającą na odcyfrowanie nagłówków artykułów. Nawet jednak przy dobrej pogodzie, mimo pustki nie zaludnionych terenów i braku zwierząt o rozmiarach człowieka, zidentyfikowanie poruszającego się obiektu, takiego jak ford explorer, nie należało do łatwych zadań. Ale było możliwe.

– On może wyjechać z pustyni na którąś autostradę, przycisnąć gaz do dechy i do rana nie będzie po nim śladu – zauważył Roy.

– W tej części stanu jest cholernie mało twardych dróg. Posłaliśmy wszędzie patrole, które pilnują nie tylko wszystkich autostrad, lecz nawet dróg podrzędnych. Autostrada międzystanowa numer 15, federalna 95, federalna 93, stanowe: 146, 156, 158, 160, 168 i 169. Szukają zielonego forda explorera z uszkodzeniami z przodu i z tyłu; mężczyzny z psem we wszystkich typach pojazdów; mężczyzny z dużą blizną na twarzy. Do diabła, w całej tej części stanu będzie mu ciaśniej niż w dupie komara.

– Chyba że wyjechał z pustyni na autostradę, nim wysłaliście ludzi.

– Zdziałaliśmy natychmiast. Poza tym w tak piekielnej burzy musiał jechać bardzo wolno. I tak mógłby mówić o dużym szczęściu, gdyby się gdzieś nie zakopał, nawet mając napęd na cztery koła. Jutro dorwiemy sukinsyna.

– Miejmy nadzieję – powiedział Roy.

– Stawiam na mój nos.

- Mówią, że mieszkańcy Vegas są kiepskimi graczami.
- Co go łączy z tą kobietą?
- Chciałbym wiedzieć – odparł Roy, patrząc na rozproszone światło błyskawicy pod chmurami frontu burzy. – A co było w zapisie rozmowy Granta z tą starą babą?
- Chcesz posłuchać?
- Tak.
- Zaczyna się od momentu, kiedy z jego ust pada nazwisko Hannah Rainey.
- Posłuchajmy tego – zdecydował Roy, odwracając się od ekranu.

Przez całą drogę korytarzem do windy, a potem w dół, na najniższy poziom podziemi budynku, Dubois opowiadał mu o wszystkich miejscach w Vegas, gdzie można zjeść dobre chili, jakby sądził, że Roya to interesuje.

– Jest taka knajpa na Paradise Road, gdzie ludzie po zjedzeniu chili doznają samozapłonu i fuuu... palą się jak pochodnie.

Winda dotarła na miejsce.

– Mówię o takim chili, które sprawia, że zaczynasz pocić się pod paznokciami, a pepek wyskakuje ci jak korek od szampana.

Otworzyły się drzwi.

Roy wszedł do betonowego pomieszczenia bez okien. Wzdłuż przeciwległej ściany stały dziesiątki urządzeń rejestrujących.

Ze stanowiska komputerowego pośrodku pokoju podniosła się oszałamiająca kobieta, najcudowniejsza, jaką Roy kiedykolwiek widział, blondynka o zielonych oczach, tak wspaniała, że zaparło mu dech w piersiach, tak olśniewająca, że serce zaczęło mu walić młotem, a ciśnienie krwi wzrosło do poziomu zagrażającego wylewem. Była tak boleśnie piękna, że brakowało słów, żeby ją opisać; nie było muzyki, która potrafiłaby wyrazić słodycz jej kształtów. Jej świetlistość opromieniała surowy bunkier i ogarnęła również Roya. Nie mógł mówić ani oddychać.

Powódź spłynęła urwiskiem, jak woda z wanny po wyjęciu korka. Łóżysko niedawnej rzeki wyglądało teraz jak wykop.

Ziemię zalegała spora warstwa piasku, bardzo porowatego, tak że po deszczu nie zostały nawet kałuże. Woda przesiąkała szybko do głębokich warstw podskórnych. Powierzchnia wyschła i stężała prawie w takim samym tempie, z jakim suche koryto zmieniało się w rwącą, spienioną topiel.

Zanim jednak zaryzykowała wjazd range roverem do wąwozu – mimo że samochód potrafił poruszać się niemal jak czołg – sprawdziła stan nawierzchni, przechodząc najpierw pieszo całą drogę od miejsca, w którym ściana wąwozu była szorstka i twarda, do exploraera. Zadowolona z tego, że łożysko znikającej jak duch rzeki nie było błotniste ani miękkie i że miało wystarczającą przyczepność, zjechała w dół i cofnęła się tyłem, między dwiema skalnymi kolumnami do rozpiętego między nimi exploraera.

Nadal była zaszokowana – już po wypuszczeniu psa i umieszczeniu go w tyle rovera oraz po wypłataniu Granta z pasów bezpieczeństwa – niezwykle niebezpieczną pozycją, w której zatrzymał się exploraer. Kusiło ją, żeby wychylić się obok nieprzytomnego mężczyzny i spojrzeć przez wybite okno w dół, ale wiedziała, że jeśli nawet dostrzeże coś w ciemnościach, to nie będzie tym widokiem zachwycona.

Fala powodzi niosła dżipa na wysokości przeszło dziesięciu stóp nad dnem koryta, nim zaklinowała go w skałach na krawędzi urwiska. Teraz wisiał wysoko, z wszystkimi kołami w powietrzu, jakby złapany dłonią tytana.

Kiedy pierwszy raz to ujrzała, ogarnęło ją bezbrzeżne zdumienie. Stała jak wryta z otwartymi ustami, wytrzeszczając w osłupieniu oczy. Była nie mniej zaskoczona, niż gdyby zobaczyła latający spodek z kosmiczną załogą.

Była pewna, że Grant został porwany nurtem i poniósł śmierć albo leży nieżywy wewnątrz samochodu.

Żeby się do niego dostać, musiała swoim roverem wjechać tyłem pod samochód Granta, stając tylnymi kołami niebezpiecznie blisko krawędzi urwiska. Potem wspięła się na dach, z głową na wysokości dolnej krawędzi przednich drzwi forda. Z trudem dosięgnęła klamki i mimo niewygodnej pozycji udało jej się otworzyć drzwi.

Ze środka wylała się woda, ale najbardziej zdumiał ją pies. Siedział wynędzniały i drżący na miejscu pasażera i spoglądał na nią z mieszaniną przerażenia i sympatii.

Nie chciała, żeby zeskoczył na dach rovera. Mógł pośliznąć się na gładkiej powierzchni i złamać nogę albo stoczyć się i skrócić kark.

Mimo że kundel nie wyglądał na takiego, co ma zamiar popisać się jakimiś kaskaderskimi wyczynami, kazała mu zostać na miejscu. Zeszła z dachu, pojechała pięć jardów przed siebie, zawróciła, oświetliła reflektorami grunt pod exploerem, wysiadła z wozu i zaczęła zachęcać psa, żeby zeskoczył na piasek.

Musiała użyć perswazji. Rocky balansował na krawędzi fotela i raz po raz zbierał się na odwagę, żeby skoczyć, ale w ostatnim momencie odwracał głowę i wycofywał się, jakby miał pod sobą nie dziesięć czy dwanaście stóp do ziemi, tylko przepaść.

W pewnej chwili przypomniała sobie, jak Theda Davidowitz przemawiała do swojego Sparkle'a i popróbowwała tego samego na Rockym.

– Chodź, słodki brzusku, chodź do mamy, chodź. Mały, słodki brzusku, ślicznooki piessczoszku.

Pies nastawił jedno ucho i popatrzył na nią z zainteresowaniem.

– Chodź piessczoszku, chodź tu, słodki brzusku.

Rocky zadrżał z podniecenia.

– Chodź do mamusi, chodź, moje śliczne oczko.

Pies przykucnął na fotelu, z napiętymi mięśniami, gotów do skoku.

– Chodź, daj buzi mamusi, mój cukiereczku, mój mały, słodki dzidziusiu.

Czuła się idiotycznie, ale odniosła sukces. Pies się zdecydował. Wyskoczył przez otwarte drzwi explorera, poszybował wdzięcznym łukiem przez ciemność i wylądował na czterech łapach.

Był tak zdumiony własną determinacją i odwagą, że zadarł głowę, patrząc na wysoko zawieszony samochód, a potem usiadł, jakby w szoku. Po chwili, dysząc ciężko, padł na bok.

Musiała zanieść go do rovera i położyć w przedziale bagażowym, tuż za przednim siedzeniem. Cały czas podążał za nią wzrokiem, a raz nawet polizał jej rękę.

– Dziwny jesteś – powiedziała. Pies westchnął. Potem ponownie zawróciła rovera, wjechała tyłem pod zawieszony exploraer i wspięła się do mężczyzny, który siedział za kierownicą, na krawędzi świadomości.

Było mu zimno. W półśnie mamrotał do kogoś, a ona zastanawiała się, jak go wydostać, jeśli nie przyjdzie do siebie.

Mówiła do niego i potrząsała nim delikatnie, ale nie reagował. Nie próbowała cucić go wodą z podłogi, ponieważ i tak był mokry i drżał na całym ciele.

Rany wymagały możliwie szybkiego opatrzenia, ale nie to było głównym powodem, dla którego

chciała jak najszybciej przesadzić go do rovera i zniknąć z tego miejsca. Był ścigany przez niebezpiecznych ludzi. Mimo że pogoda i pustynna okolica sprzyjały uciekinierowi, tamci przy swoich możliwościach znajdują go szybko, jeśli nie zawiezie go w bezpieczne miejsce.

Nieoczekiwanie Grant sam rozwiązał problem. Wydał nieartykułowany okrzyk i chwytając gwałtownie powietrze, wyprostował się na siedzeniu, zlany nagłym potem, a przy tym wstrząsany dreszczami, od których szczękały mu zęby.

Ich twarze były oddalone zaledwie o kilka cali, więc nawet w panującej pomroce dostrzegła w jego oczach przerażenie. Co gorsza, była w nich posępność, która jej się udzieliła.

Ochryplym z pragnienia i wyczerpania szeptem poinformował natarczywie:

– Nikt nie wie.

– W porządku – odparła.

– Nikt. Nikt nie wie.

– Uspokój się. Wszystko będzie dobrze.

– Nikt nie wie – powtarzał, targany na przemian uczuciami grozy i żalości.

W jego głosie zabrzmiała tak straszliwa beznadziejność, że nie była w stanie dłużej mówić. Poza tym uważała za absurdalne wypowiedzianie bezsensownych, uspokajających słów do kogoś, kto miał przed oczami wizję potępionych dusz.

Mimo że byli zwrócenii do siebie twarzami, Spencer wydawał się patrzeć na kogoś będącego bardzo daleko. Mówił pospiesznie, bardziej do siebie niż do niej.

– To łańcuch, żelazny łańcuch... biegnie przeze mnie... przez mój mózg, moje serce, trzewia... łańcuch... nie mogę się od niego uwolnić... nie mogę uciec.

Przerażał ją. Przedtem myślała, że nikt już nie może jej przestraszyć, a jeśli już – to nie tak łatwo, i na pewno nie słowami.

– Już dobrze, Spencer – powiedziała. – Chodźmy. Pomóż mi wydostać cię stąd.

Mężczyzna, który wysiadł z windy wraz z Bobbym Dubois, lekko pyzaty i mrugający oczami, wszedł do betonowego bunkra i zaczął wpatrywać się w Eve tak, jak wygłodniały człowiek patrzyłby na porcję brzoskwiń z bitą śmietaną.

Eve Jammer była przyzwyczajona do tego, że wywierała głębokie wrażenie na mężczyznach. Kiedy jeszcze występowała jako tancerka topless na scenkach rewiowych Las Vegas, to mimo iż była tylko jedną z wielu ślicznotek, oczy wszystkich mężczyzn podążały niemal wyłącznie za nią, jak gdyby w jej twarzy i ciele było coś melodyjnego: jakiś tajemniczy, syreni śpiew. Przyciągała oczy mężczyzn tak nieodparcie jak zdolny hipnotyzer, który potrafi ujarzmić czyjąś świadomość złotym wahadłem albo po prostu falującymi ruchami dłoni.

Nawet biedny, mały Thurmon Stookey – dentysta, który miał pecha być w windzie razem z dwoma gorylami, ograbionymi przez Eve z miliona dolarów w gotówce – był podatny na jej wdzięki w chwili, w której przerażenie powinno było zabić w nim jakąkolwiek myśl o seksie. Podczas gdy na podłodze leżeli dwaj martwi goryle, a on stał naprzeciw wycelowanego w siebie kortha 0.38, jego wzrok oderwał się od otworu lufy i powędrował ku jej obfitym piersiom, wychylającym się z głębokiego dekoltu swetra. Sądząc po błysku, który pojawił się w jego krótkowzrocznych oczach, Eve doszła do wniosku, że ostatnią myślą dentysty nie było „Boże, dopomóż”, ale „Co za sztuka!”.

Żaden mężczyzna nie zainteresował Eve choćby odrobinę. Mogła robić z nimi, co chciała. Interesowali ją tylko tacy, od których można było wyciągnąć pieniądze albo nauczyć się, jak osiągnąć i utrzymać władzę. Jej ostatecznym celem było zostać bardzo bogatą i wzbudzającą lęk, a nie kochaną.

Budzić postrach, kontrolować sytuację, decydować o życiu i śmierci innych – wszystko to było dla niej znacznie bardziej erotyczne niż jakiegokolwiek męskie ciało czy sztuka uprawiania miłości.

Kiedy jednak przedstawiano jej Roya Miro, poczuła niezwykle u siebie przyspieszone bicie serca, jakiś wewnętrzny niepokój, który w najmniejszym stopniu nie był niemiły.

Nie było to, bynajmniej, pożądanie. Pragnienia Eve były starannie poklasyfikowane i nazwane, a zaspokajanie ich osiągane z matematyczną dokładnością, zgodnie z harmonogramem przypominającym kolejowy rozkład jazdy i realizowanym przez niemieckiego maszynistę. Nie miała ani czasu, ani cierpliwości na żadną spontanizację, zarówno w interesach, jak i w sprawach osobistych; bałagan związany z niezaplanowaną namiętnością był dla niej równie wstrętny jak talerz robaków na obiad.

Bez wątpienia jednak od pierwszej chwili spotkania z Royem Miro poczuła coś niezwykłego. W miarę jak omawiali nagranie rozmowy Granta z Davidowitz i przesłuchiwali je, jej dziwne zainteresowanie nim rosło. Na myśl o tym, dokąd to zaprowadzi, przebiegał ją dreszcz oczekiwania.

Nie mogła sobie w żaden sposób uświadomić, co ją w tym mężczyźnie fascynowało. Wyglądał sympatycznie, miał wesołe niebieskie oczy, twarz chłopca ze szkolnego chóru i słodki uśmiech – ale przy tym wszystkim nie był przystojny w obiegowym znaczeniu tego słowa. Miał z piętnaście funtów nadwagi, był bladawy... no i nie wydawał się bogaty. Nie ubierał się lepiej niż członkowie sekty nazaretańczyków, roznoszący po domach pisemka religijne.

Kilkakrotnie prosił o powtórzenie fragmentów nagrania, jak gdyby zawierały szczegóły wymagające zastanowienia, ale ona wiedziała, że rozprasza go jej obecność i że za każdym razem coś przeoczył.

Bobby Dubois przestał dla nich w ogóle istnieć. Mimo jego wzrostu i fizycznej chropowatości, kolorystyki i bezustannego gadania był dla nich mniej interesujący niż nagie betonowe ściany bunkra.

Gdy nagranie zostało już przesłuchane we wszystkie strony, Miro doszedł do wniosku, że w sprawie Granta nie miał w chwili bieżącej nic do roboty oprócz czekania, aż tamten znów gdzieś się pojawi, niebo się przetrze, żeby można było rozpocząć poszukiwania satelitarne, a grupy pościgowe – już operujące – zameldują coś istotnego, a ponadto oczekiwania na raporty agentów badających w różnych miastach inne aspekty tej sprawy. Potem zapytał Eve, czy pójdzie z nim na kolację.

Przyjęła zaproszenie z nietypowym u niej brakiem rezerwy. Nasilało się w niej przeświadczenie, że pociągała ją w tym mężczyźnie jakaś ukryta w nim tajemna moc, można ją było poznać jedynie po pewnym sobie uśmiechu i po najbłękitniejszych na świecie oczach, w których nie było nic prócz rozbawienia – jakby był pewny, że zawsze będzie się śmiał ostatni.

Miro miał do dyspozycji w Vegas samochód służbowy organizacji, mimo to pojechali hondą Eve do jej ulubionej restauracji na Flamingo Road. W zwałach niskich chmur odbijało się światło neonów. Noc wydawała się przesiąknięta magią.

Miała nadzieję, że kolacja z paroma kieliszkami wina pozwoli jej poznać go bliżej i uświadomić sobie, nim jeszcze dojdą do deserów, co ją w nim tak urzekło. Tymczasem jego talenty konwersacyjne były na poziomie jego aparycji: niezłe, ale dalekie od oszałamiających. Nic, co powiedział, co zrobił, żaden jego gest czy spojrzenie, nie wyjaśniało jej zagadkowej fascynacji.

Wyszli z restauracji i przechodzili przez parking w kierunku samochodu. Eve czuła się sfrustrowana i zdezorientowana. Nie wiedziała, czy zaprosić go do siebie. Nie chciała pójść z nim do łóżka. Nie to ją w nim pociągało. Co prawda, niektórzy mężczyźni najbardziej odsłaniają swoje osobowości podczas uprawiania seksu: tym, co lubią robić, sposobem, w jaki to robią, co mówią i jak się zachowują w trakcie i potem. Ale nie miała ochoty ryzykować, zabierając go do domu, oddając mu się, pocąc się, przechodząc ten cały odrażający proces – po to, żeby nadal nie wiedzieć, co ją w nim zaintrygowało.

Była w rozterce.

Wtedy właśnie, gdy zbliżali się do samochodu, w zimnym wietrze szumiącym w pobliskich palmach, wśród zapachów smażonych w restauracji befsztyków, Roy Miro zrobił najbardziej nieoczekiwaną i szokującą rzecz, z jaką Eve spotkała się w ciągu trzydziestu dwóch lat swojego skandalicznego życia.

Spencer ocknął się i zobaczył w świetle reflektorów zbliżającą się kępę krzaków. Od chwili gdy przesiadł się z forda do range rovera, mogła – według jego odczucia – minąć godzina albo dwie minuty, albo trzydzieści dni i trzydzieści nocy. Reflektory rzucały na pustynię cienie kaktusów.

Przekreślił głowę na lewo i ujrzał za kierownicą Valerie.

– Cześć.

– Cześć.

– Jak się tu dostałaś?

– To dla ciebie teraz zbyt skomplikowane.

– Ja też jestem skomplikowany.

– Nie wątpię.

– Dokąd jedziemy?

– Uciekamy.

– To dobrze.

– Jak się czujesz?

– Jak zaczadziały.

– Nie nasiusiaj na siedzenie – powiedziała z widocznym rozbawieniem.

– Będę się starał.

– To dobrze.

– Gdzie jest mój pies?

– A kto cię liże za uchem?

– Czyżby to on?

– Jest tuż za tobą.

– Cześć, kolego.

– Jak ma na imię? – spytała.

– Rocky.

– Chyba zażartowałeś sobie.

– Z czego?

– Z psa. To imię do niego nie pasuje.

– Nazwałem go tak, żeby nabrał pewności siebie.

– I tak nie pomaga – powiedziała.

Zamajaczyły przed nimi jakieś dziwne formacje skalne, jakby świątynie bogów zapomnianych dużo wcześniej, nim ludzie zdołali zrozumieć istotę czasu i zaczęli liczyć upływające dni. Przestraszyły go, ale ona manewrowała między nimi po mistrzowsku, skręcając to w prawo, to w lewo, jadąc po długim spadku, przechodzącym w rozległą ciemną równinę.

– Nigdy nie znałem jego prawdziwego imienia – wyjaśnił Spencer.

– Prawdziwego?

– Pierwszego imienia. Tego, które nosił, zanim dostał się do schroniska.

– Więc nie nazywał się Rocky.

– Prawdopodobnie nie.

- A jakie miał imię, zanim został Spencerem?
- Nikt go nie nazwał Spencerem.
- Więc już na tyle oprzytomniałeś, że odpowiadasz wykrętnie.
- Jeszcze nie całkiem. To z przyzwyczajenia. A jak ty się nazywasz?
- Valerie Keene.
- Kłamczucha.

Świadomość opuściła go na chwilę. Gdy powróciła – znów zobaczył pustynię: piasek i skały, karłowate drzewa i krzaki, ciemność poprzecinaną światłami reflektorów.

- Valerie – zagadnął.
 - Słucham?
 - Jak się naprawdę nazywasz?
 - Bess.
 - A dalej?
 - Bess Baer.
 - Przeliteruj to.
 - B-A-E-R.
 - Naprawdę?
 - W tej chwili naprawdę.
 - Co to znaczy?
 - Znaczy to, co znaczy.
 - To jest twoje obecne nazwisko, następne po Keene.
 - Więc co?
 - Jak się nazywałaś przed Keene?
 - Hannah Rainey.
 - Ach tak – powiedział, zdając sobie sprawę, że w jego mózgu pracują nie więcej niż cztery spośród sześciu cylindrów. – A jeszcze przedtem?
 - Gina Delucio.
 - Czy to twoje prawdziwe nazwisko?
 - Wygląda na prawdziwe.
 - Czy tak się nazywałaś po urodzeniu?
 - Chodzi ci o moje imię, kiedy byłam szczeniakiem?
 - Tak, o twoje szczenięce imię.
 - Nikt go nie używał, dopóki nie znalazłam się w schronisku – odparła.
 - Jesteś bardzo zabawna.
 - Lubisz zabawne kobiety?
 - Muszę.
 - A potem zabawna kobieta – powiedziała, udając, że czyta opowiadanie – tchórzliwy pies i tajemniczy mężczyzna pojechali na pustynię w poszukiwaniu swoich prawdziwych nazwisk.
 - W poszukiwaniu miejsca, żeby zwymiotować.
 - Nie!
 - Tak!
- Zahamowała, a on otworzył drzwi. Potem, gdy się ocknął, znowu jechali przez ciemną pustynię.
- Mam najokropniejszy smak w ustach.

- Nie wątpię.
- Jak masz na imię?
- Bess.
- Kłamiesz.
- Nie. Bess Baer. A jak ty masz na imię?
- Mój wierny indiański towarzysz nazywa mnie Kemosabe.
- Jak się czujesz?
- Jak gównno.
- A więc „Kemosabe” to jest właśnie to.
- Czy my się kiedykolwiek zatrzymamy?
- Nie teraz, kiedy mamy osłonę z chmur.
- Co do tego wszystkiego mają chmury?
- Satelity – powiedziała.
- Jesteś najbardziej zaskakującą kobietą, jaką znałem.
- Poczekaj jeszcze.
- Jak, u diabła, mnie znalazłaś?
- Może jestem nawiedzona?
- Jesteś nawiedzona?
- Nie.

Westchnął i zamknął oczy. Czuł się jak na karuzeli.

- To ja miałem cię odnaleźć.
- To ci niespodzianka.
- Chciałem ci pomóc.
- Dziękuję.

Stracił kontakt z rzeczywistością. Przez chwilę wszystko było ciche i pogodne. Potem wyszedł z ciemności i otworzył czerwone drzwi. W katakumbach były szczury.

Roy zrobił rzecz szaloną. Sam był zdumiony ryzykiem, które podejmował.

Postanowił być sobą wobec Eve Jammer. Pokazać jej się takim, jaki jest naprawdę. Ujawnić swoje głęboko zaangażowane, współczujące, troskliwe ego, które w uprzejmym funkcjonariuszu, jakim wydawał się większości ludzi, było ledwie widoczne.

Zdecydował się zaryzykować dla tej oszałamiającej kobiety, ponieważ czuł, że jej umysł jest równie wspaniały jak zachwycająca twarz i ciało. Miał nadzieję, że bliska uczuciowej i intelektualnej doskonałości zrozumie go lepiej niż ktokolwiek inny.

Podczas rozmowy przy kolacji nie udało im się znaleźć klucza otwierającego ich dusze, żeby połączyły się w jedność – jak to im było przeznaczone. Wychodząc z restauracji, Roy zaczął się obawiać, że właściwa chwila przemija i że los może się odwrócić, skorzystał więc z mocy doktora Kevorkiana, której zaczerpnął z ekranu telewizora na pokładzie learjeta. Odważył się odsłonić przed Eve swoje prawdziwe serce.

Na parkingu z tyłu restauracji zatrzymał się niebieski dodge, o trzy miejsca na prawo od hondy. Wsiadali z niego mężczyzna i kobieta, którzy przyjechali na kolację. Mieli po jakieś czterdzieści lat. Mężczyzna siedział na wózku inwalidzkim. Wózek był opuszczany z samochodu elektrycznym podnośnikiem, którym mężczyzna operował samodzielnie.

Prócz nich na parkingu nie było nikogo.

Roy powiedział do Eve:

– Chodź ze mną na chwilę. Pozdrowimy ich.

– Co?

Roy podszedł wprost do dodge'a.

– Dobry wieczór – rzucił, sięgając pod płaszczem do kabury.

Oboje popatrzyli na niego i z pewną nutą zdziwienia, jakby próbowali przypomnieć sobie, gdzie mogli go spotkać przedtem, odparli:

– Dobry wieczór.

– Współczuję twojemu nieszczęściu – powiedział Roy, wyciągając pistolet.

Strzelił mężczyźnie w głowę.

Drugi pocisk trafił kobietę w gardło, ale jej nie zabił. Padła na ziemię, wykrzywiając groteskowo twarz.

Roy przeszedł obok zwłok mężczyzny na wózku.

– Przepraszam – rzekł do leżącej na ziemi kobiety i strzelił do niej jeszcze raz.

Nowy tłumik beretty działał sprawnie. Żaden z trzech strzałów, przy towarzyszącym im zawodzeniu wiatru wśród liści palm, nie był słyszalny dalej niż o dziesięć stóp.

Roy odwrócił się w stronę Eve Jammer.

Wyglądała jak rażona gromem.

Zastanawiał się, czy przypadkiem nie był zbyt popędliwy jak na pierwszą randkę.

– Jakie to smutne – rzekł – że niektórzy muszą w życiu tak cierpieć.

Eve oderwała wzrok od zabitych i spotkała się ze spojrzeniem Roya. Nie krzyczała ani nic nie powiedziała. Mogła, oczywiście, znajdować się w szoku. Ale nie sądził, żeby tak było. Wydawało się, że próbuje go zrozumieć.

Może jeszcze wszystko będzie w porządku.

– Nie można ich tak zostawić. – Schował rewolwer i naciągnął rękawiczki. – Mają prawo być traktowani z godnością.

Pilot, który sterował podnośnikiem wózka inwalidzkiego, był przymocowany do ramienia wózka. Roy przycisnął guzik i wózek z zabitym mężczyzną powędrował w górę. Wszedł do samochodu przez szerokie drzwi, które były rozsunięte. Kiedy wózek podjechał do samej góry, wepchnął go do środka.

Przypuszczając, że mężczyzna i kobieta byli małżeństwem, Roy zaplanował odpowiednio scenerię. Lada chwila mógł ich ktoś zobaczyć, więc nie miał czasu na oryginalność. Musiał powtórzyć to, co uczynił w środę wieczór z Bettonfieldami w Beverly Hills.

Wokół parkingu stały wysokie latarnie. Przez otwarte drzwi wpadało niebieskawe światło, wystarczające, żeby mógł zrobić to, co zamierzał.

Uniósł martwego mężczyznę z wózka i położył go na podłodze, twarzą do góry. Wóz nie był wyposażony w wykładzinę podłogową. Royowi było z tego powodu przykro, ale sam nie miał koców ani nic takiego, co mogłoby zapewnić małżeństwu większą wygodę w ich wiecznym odpoczynku.

Wózek odepchnął do rogu, żeby nie zawadzał.

Wysiadł z samochodu i pod okiem Eve uniósł martwą kobietę i włożył ją do wnętrza. Sam wdrapał się również i ułożył ją koło męża. Splótł jej prawą dłoń z jego lewą.

Kobieta miała otwarte oczy. Otwarte było także jedno z oczu jej męża. Roy zabierał się do zamknięcia go, gdy nagle przyszedł mu do głowy lepszy pomysł. Odsunął powiekę z zamkniętego oka i przytrzymał chwilę, sprawdzając, czy nie opadnie. Oko pozostało otwarte. Przekreślił głowę mężczyzny

w lewo, a głowę kobiety w prawo, żeby patrzyli sobie w oczy po wieczność, którą obecnie dzielili w innym wymiarze, znacznie lepszym niż miasto Las Vegas w Nevadzie czy jakiegokolwiek inne w tym przygnębiającym niedoskonałym świecie.

Przykucnął na chwilę u stóp trupów, podziwiając swoje dzieło. Czułość promieniująca z ich wzajemnej pozycji była rozrzucająca. Teraz było widać, że się kochali i że tak zostanie już po wieczne czasy, co jest w końcu marzeniem wszystkich zakochanych.

Eve Jammer stała przy otwartych drzwiach dodge'a, patrząc na martwą parę. Nawet pustynny wiatr był świadom wyjątkowej urody kobiety, układając jej włosy w powiewające złote pasma. Wydawało się, że nie jest nim chłostana, ale wręcz adorowana.

– To takie smutne – powiedział Roy. – Co oni mogli mieć za życie, jeśli on był przykuty do wózka, a ona go kochała? Ich egzystencja była ograniczona jego ułomnością, a cała ich przyszłość związana z tym cholernym krzesłem. Teraz jest im znacznie lepiej.

Eve odwróciła się bez słowa i poszła w stronę hondy. Roy wysiadł z dodge'a i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na kochające się małżeństwo, zasunął drzwi.

Eve zapuściła silnik i czekała za kierownicą. Gdyby się go bała, odjechałaby bez niego albo pobiegła do restauracji.

Roy wsiadł do hondy i zapiął pas.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu.

Było oczywiste, że intuicyjnie nie uważała go za mordercę, uznając, że działał z pobudek moralnych i kierował się motywami obcymi ludziom przeciętnym. Jej milczenie wskazywało na próbę przełożenia własnej intuicji na pojęcie ogólne, a co za tym idzie na lepsze zrozumienie go.

Wyjechała z parkingu.

Roy ściągnął skórzane rękawiczki i schował je do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Przez jakiś czas Eve jeździła dzielnicami willowymi bez określonego celu.

Światła w mijanych domach nie wydawały się już Royowi ani przyjazne, ani tajemnicze, tak jak podczas innych nocy, w innych dzielnicach innych miast, które przemierzał w samotności. Teraz wszystkie wyglądały ponuro: blade światelka słabiutko rozświetlające mizerne, ponure egzystencje ludzi, których udziałem nigdy nie stanie się żarliwe zaangażowanie w jakąś ideę, a przynajmniej nie w podobną do tej, która tak pogłębiła jego własne życie. Smutnych słabych ludzi, którzy nigdy nie wybiją się ponad przeciętność, tak jak on to zrobił, i którzy nigdy nie będą w stanie osiągnąć transcendentnej więzi z osobą tak niepowtarzalną jak Eve Jammer.

Kiedy doszedł do wniosku, że nadeszła właściwa pora, powiedział:

– Marzę o tym, żeby świat był lepszy. Ale nie trochę lepszy, Eve. Chcę, żeby był znacznie lepszy.

Nie odpowiedziała.

– Doskonały – ciągnął dalej, z wielkim przekonaniem. – Doskonałe prawo i doskonała sprawiedliwość. Doskonałe piękno. Marzę o doskonałym społeczeństwie, w którym każdy cieszy się doskonałym zdrowiem i wszyscy są równi, w którym gospodarka działa jak doskonale uregulowany silnik, gdzie wszyscy żyją w harmonii z wszystkimi innymi i z naturą. Gdzie nie ma agresji. Gdzie wszystkie marzenia są racjonalne i sensowne. Gdzie wszystkie marzenia się spełniają.

Był tak wzruszony swoim monologiem, że pod koniec głos zaczął mu się łamać, a w oczach zakręciły się łzy.

Eve nadal się nie odzywała.

Nocne ulice. Oświetlone okna. Małe domy i przeciętni ludzie. A w tych domach tyle chaosu, smutku,

nie spełnionych marzeń, alienacji.

– Robię, co mogę – powiedział – żeby poprawić świat. Oczyszczam go z jego niedoskonałych elementów i cal po calu z trudem popycham w stronę ideału. To nie znaczy, że wydaje mi się, iż mogę wiele zmienić. Nie dokonam tego sam, ani nawet tysiąc czy sto tysięcy takich jak ja. Ale gdzie mogę, zapalam małą świeczkę, jedną małą świeczkę po drugiej, zmniejszając za każdym razem mrok o jeden niewielki okruszek.

Znajdowali się we wschodniej części miasta, prawie na jego obrzeżu, jadąc w stronę wznoszącej się i mniej zaludnionej okolicy. Ni stąd, ni zowąd na skrzyżowaniu zawróciła i pojechała z powrotem w stronę morza świateł, skąd przyjechali.

– Możesz mnie nazwać marzycielem – kontynuował Roy – ale nie jestem jedynym marzycielem. Myślę, że ty, Eve, jesteś na swój sposób również marzycielką. Jeśli to potwierdzisz... jeśli my wszyscy, marzyciele, przyznamy się do tego i połączymy się – pewnego dnia świat stanie się idealny.

Jej milczenie zaczynało być znaczące.

Ośmielił się spojrzeć na nią i stwierdził, że była jeszcze bardziej oszałamiająca, niż sądził. Serce biło w nim powoli i z wysiłkiem, obciążone słodkim brzemieniem jej urody.

Gdy w końcu przełamała milczenie, jej głos był drżący.

– Ty niczego im nie zabrałaś.

Drzenie jej głosu, przebiegającego wzdłuż eleganckiej linii szyi i wydobywającego się z ust podobnych do dojrzałych wiśni, nie było spowodowane lękiem, lecz raczej niezwykłą ekscytacją. Jej wibrujący głos poruszył z kolei Roya.

– Nie, niczego – odparł.

– Nawet pieniędzy z jej torebki ani jego portfela.

– Naturalnie, że nie. Ja nie zabieram, Eve. Ja daję.

– Nigdy jeszcze nie widziałam... – Nie potrafiła znaleźć słów, żeby opisać to, czego dokonał.

– Tak, rozumiem – odparł, zachwycony, że tak całkowicie ściał ją z nóg.

– ...nigdy nie widziałam takiej...

– Tak.

– ...nigdy takiej...

– Wiem, moja droga, wiem.

– ...takiej siły – dokończyła.

Miał wrażenie, że nie tego słowa szukała. Ale wypowiedziała je z taką pasją, nasyciła je taką ilością energii erotycznej, że nie mógł czuć rozczarowania, iż nie w pełni pojęła istotę jego czynu.

– Idą sobie zwyczajnie na kolację – powiedziała z podnieceniem. Zaczęła prowadzić za szybko, po ryzykancku. – Idą na kolację, jest zwykły wieczór, nic szczególnego, a ty nagle trach! trach! – walisz do nich. Jak gdyby nigdy nic, o Jezu, wykańczasz ich i nawet niczego im nie zabierasz. Wykańczasz ich nawet nie dlatego, że cię zirytowali, tylko dla mnie! Wyłącznie dla mnie! Tylko po to, żeby mi pokazać, kim naprawdę jesteś.

– No tak, dobrze, dla ciebie – odparł. – Ale nie tylko dla ciebie, Eve. Nie widzisz tego? Usunąłem ze świata dwie niedoskonałe istoty po to, żeby przybliżyć go do doskonałości, a równocześnie uwolniłem dwoje smutnych ludzi od ciężaru ich koszmarnego życia i od ułomnego świata, w którym nie miały szans ziścić się żadne ich nadzieje. Zrobiłem to dla świata i zarazem dla tych biedaków. Nikt tu nie został skrzywdzony.

– Jesteś jak wiatr – powiedziała bez tchu – jak wichur sztormowy, huragan, tornado... nie ma tylko

synoptyka, który by ostrzegał, że się zbliżasz. Masz w sobie potęgę burzy, jesteś żywiołem pojawiającym się nie wiadomo skąd, bez żadnej przyczyny. Trach!

Rozżalony, że nie dostrzegła istoty sprawy, powiedział:

– Zaczekaj chwilę, to nie tak, Eve, posłuchaj...

Była tak podniecona, że nie mogła dalej prowadzić. Podjechała hondą do krawężnika i zahamowała tak gwałtownie, że gdyby nie zapięte pasy, Roy wybiłby głową przednią szybę.

Przestawiła dźwignię przekładni na pozycję parkowania z taką siłą, że omal jej nie złamała i zwróciła się w stronę Roya.

– Jesteś jak trzęsienie ziemi, dokładnie jak trzęsienie ziemi. Ludzie sobie beztrוסko spacerują, słonko świeci, ptaki śpiewają... a nagle ziemia się otwiera i po prostu ich połyka.

Roześmiała się z zachwytem. Jej śmiech był dziewczęcy, wibrujący, melodyjny, tak zaraźliwy, że Roy także się roześmiał.

Ujął ją za dłonie. Były eleganckie, z długimi palcami, równie rozkoszne jak dłonie Guinevere. Żaden mężczyzna nie zasługiwał na to, żeby go dotykały.

Niestety, kości promieniowe i kości łokciowe, nad doskonale ukształtowanymi nadgarstkami, nie były tej klasy, co inne kości jej rąk. Starał się ich nie dostrzegać ani nie dotykać.

– Słuchaj, Eve. Musisz mnie zrozumieć. To niezwykle ważne, żebyś mnie zrozumiała.

Natychmiast spoważniała, zdając sobie sprawę, że doszli do przełomowego punktu ich znajomości. Poważna – była jeszcze piękniejsza, niż gdy się śmiała.

– Masz rację, to jest wielka siła – powiedział. – Najpotężniejsza ze wszystkich, i dlatego musisz to bardzo dobrze zrozumieć.

Choć w samochodzie paliły się tylko kontrolki na desce rozdzielczej, jej zielone oczy świeciły, jakby rzucały refleksy letniego słońca. Były wspaniałe, bezbłędne i równie zniewalające jak oczy kobiety, którą ścigał od ubiegłego roku i której fotografię nosił w portfelu.

Lewa brew Eve była perfekcyjna. Natomiast jej prawy luk brwiowy miał niewielką nieregularność tuż nad gąstką oczną: był odrobinę bardziej wypukły niż lewy. Wprawdzie mógł mieć zaledwie pół grama kości za dużo, niemniej zachwiał symetrię twarzy i doskonałość jej lewej strony.

Ale to mu nie przeszkadzało. Mógł się z tym pogodzić. Postanowił skupiać się na jej anielskich oczach i na niezrównanych dłoniach poniżej nieco guzowatych kości promieniowych i łokciowych. Mimo niewielkich skaz, była jedyną znaną mu kobietą, która miała więcej niż jedną doskonałą cechę. Jej klejnoty nie ograniczały się do dłoni i oczu.

– Moja siła, Eve, nie bierze się z gniewu, w odróżnieniu od wielu innych – wyjaśniał, chcąc, żeby ta wartościowa kobieta zrozumiała jego posłannictwo i najgłębsze wewnętrzne motywy. – Nie bierze się także z nienawiści. To nie jest siła pochodząca z furii, zazdrości, goryczy czy chęci zysku. Nie jest to także siła, którą niektórzy czerpią z odwagi lub honoru – ani nie wywodzi się z wiary w Boga. Moja siła góruje nad nimi wszystkimi, Eve. Czy wiesz, skąd się bierze?

Była urzeczona, niezdolna do mówienia. Potrząsnęła tylko przecząco głową.

– Moja siła – oświadczył – bierze się z miłosierdzia.

– Miłosierdzie – wyszeptwała.

– Z miłosierdzia. Kiedy postarasz się zrozumieć ludzi, wczuć się w ich cierpienia, doświadczyć katuszy ich życia, pokochać ich pomimo ich cielesnych niedoskonałości – ogarnia cię litość, tak przemożna litość, że nie możesz z tym żyć. Musisz to rozładować. Wtedy zostajesz owładnięta niezmierną, niewyczerpalną mocą miłosierdzia. Zaczynasz działać, żeby ulżyć cierpieniu, by choć

o włos przybliżyć świat do doskonałości.

– Miłosierdzie – wyszeptała ponownie, jakby w ogóle nie знаła tego słowa albo jakby objawił jej takie jego znaczenie, którego do tej pory nie była świadoma.

Roy nie mógł przestać patrzeć na jej usta, kiedy powtarzała to słowo jeszcze dwukrotnie. Miała boskie wargi. Nie rozumiał, dlaczego poprzednio uważał, że wargi Melissy Wicklun były doskonałe, ponieważ przy wargach Eve tamte okazały się mniej ponętne niż wargi trędownatej ropuchy. Przy ustach Eve najdojrzalsza śliwka wyglądałaby jak ususzona, a najśłodsza truskawka na kwaśną.

Grając rolę Henry Higginsa, z nią jako Elizą Doolittle, kontynuował pierwszą lekcję uszlachetniania moralnego.

– Jeżeli jedynym motywem twojego działania jest współczucie, jeżeli nie ma w nim chęci zysku, wówczas każdy twój czyn jest moralny, moralny w najwyższym stopniu, i przed nikim nigdy nie musisz się z niego tłumaczyć. Działając z pobudek miłosierdzia, uwalniasz się na zawsze od wszelkich wątpliwości, i to jest źródło twojej największej siły.

– Każdy czyn – powtórzyła, tak przejęta tym poglądem, że z trudem łąpała oddech, żeby móc mówić.

– Każdy – potwierdził.

Oblizła wargi.

O Boże, jej język był tak delikatny, błyszczał tak podniecająco, przesuwiał się tak zmysłowo po wargach, był tak doskonale stożkowaty, że nim zdołał się opanować, wyrwało mu się omdlewające westchnienie ekstazy.

Doskonałe wargi. Doskonałe usta. Gdyby tylko jej podbródek nie był tak tragicznie pełny. Inni mogliby uważać, że jest to podbródek bogini, ale Roya cechowała większa wrażliwość na niedoskonałość. Odczuwał boleśnie warstewkę tłuszczu, która nadawała jej podbródkowi ledwie zauważalny nalany wygląd. Będzie musiał koncentrować się na jej wargach i języku, nie patrząc niżej.

– Ilu już załatwiłeś? – spytała.

– Ilu załatwiłem? Myślisz o wydarzeniu przy restauracji.

– Tak. Ilu?

– Hm, nie liczyłem ich. To by zakrawało... nie wiem, naprawdę... to by zakrawało na pychę. Nie oczekuję pochwał. Naprawdę. Cała moja satysfakcja wynika z tego, że robię to, co uważam za słuszne. To jest moja osobista przyjemność.

– Ilu? – nalegała. – Z grubsza?

– Och, nie wiem. Przez te wszystkie lata... paręset... kilkaset, coś koło tego.

Zamknęła oczy i zadrżała.

– Czy kiedy ich załatwiasz... tuż przedtem... kiedy patrzą na ciebie – czy się boją?

– Tak, ale wolałbym, żeby tak nie było. Chciałbym, żeby wiedzieli, iż znam ich cierpienia, że działam z pobudek miłosierdzia i że wszystko odbędzie się szybko i bezboleśnie.

Będąc na wpół w transie, z zamkniętymi oczami, powiedziała:

– Patrzą ci w oczy i widzą twoją moc nad nimi, moc burzy... i boją się.

Puścił jej prawą dłoń i wskazał palcem na płaską część czoła, tuż nad nasadą jej bezbłędneho nosa. Był to nos, przy którym wszystkie inne piękne nosy wyglądały jak zrobione z łupiny orzecha kokosowego. Powoli kierował palec ku jej twarzy, skandując niemal:

– Masz – najśliczniejszą – jaką – kiedykolwiek – widziałem.

Wypowiadając ostatnie słowo, dotknął palcem płaskiej części czoła, mieszczącej się tuż nad nosem, między jej niezrównanym lewym łukiem brwiowym a odrobinę zbyt wypukłym prawym.

Mimo że miała zamknięte oczy, nie drgnęła z zaskoczenia, gdy jej dotknął. Wyglądało na to, że stał się jej tak bliski, iż podświadomie wyczuwała jego intencje i najdrobniejsze ruchy.

– Wierzysz w przeznaczenie?

– Tak.

– My ustanawiamy przeznaczenie.

Otworzyła oczy i powiedziała:

– Jedźmy do mnie.

Po drodze do jej domu ze dwadzieścia razy złamała przepisy ruchu. Royowi się to nie podobało, ale powstrzymał się od krytyki.

Mieszkała w skromnym, jednopiętrowym domku, usytuowanym w niedawno wybudowanym ciągu podobnych, stojących wzdłuż tej samej ulicy.

Roy oczekiwał przepychu. Rozczarowany, przypomniał sobie, że Eve, jakkolwiek oszałamiająca, była jedynie żałośnie skromnie opłacaną urzędniczką.

Kiedy czekali na podjeździe, aż otworzą się automatyczne drzwi garażu, spytał:

– Jak to się dzieje, że kobieta taka jak ty kończy na pracy w organizacji?

– Chciałam tam pracować, a mój ojciec był tak ustosunkowany, że mógł mi to załatwić – odparła, wjeżdżając do garażu.

– Kim jest twój ojciec?

– To skorumpowany sukinsyn – powiedziała. – Nienawidzę go. Nie wchodźmy w to wszystko, proszę. Nie psujmy nastroju.

Pogorszenie nastroju było z pewnością ostatnią rzeczą, której by pragnął.

Po wyjściu z samochodu, przy drzwiach między garażem a domem, Eve, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczy, stała się nagle nerwowa i niezdarna. Odwróciła się ku niemu i przysunęła blisko.

– Boże, nie mogę przestać myśleć o tym, jak ich załatwiłeś, jak po prostu podszedłeś i strzeliłeś. Miałeś nad nimi taką moc.

Buchała żarem pożądania. Czuł, jak bijące od niej gorąco rozprasza chłód garażu.

– Musisz mnie tyle nauczyć – powiedziała.

Nadszedł punkt zwrotny ich wzajemnego stosunku. Roy musiał jej wyjaśnić jeszcze jedną rzecz o sobie. Opóźniał ten temat z obawy, że nie zrozumie jego kaprysu tak łatwo, jak rozumiała i zaakceptowała to wszystko, co jej opowiedział o sile wynikającej z miłosierdzia. Nie mógł jednak dłużej zwlekać.

Kiedy Eve znowu zaczęła grzebać w torebce i w końcu wyciągnęła z niej kółko z kluczami, oznajmił:

– Chcę, żebyś się rozebrała.

– Tak, kochanie, naturalnie – odparła, podzwaniając hałaśliwie kluczami w poszukiwaniu właściwego.

– Chcę cię zobaczyć całkiem nago – dodał.

– Ależ tak, całkiem nago, zrobię dla ciebie wszystko.

– Muszę zobaczyć, jakie części twojego ciała są równie doskonałe jak te, które widzę w tej chwili.

– Jesteś taki słodki – powiedziała, otwierając pośpiesznie zamek.

– Podeszwy twoich stóp, linię kręgosłupa, drugą stronę uszu, pory w skórze głowy. Chcę zobaczyć każdy cal twojego ciała. Niczego nie będziesz chowała, absolutnie niczego.

Pchnęła drzwi, wbiegła do kuchni i zapaliła światło.

– Och, jesteś taki imponujący, taki namiętny. Każde zagłębienie, kochanie, każdy cal i fałdkę i każdy

otwór.

Rzuciwszy torebkę i klucze na stół kuchenny, zaczęła zdzierać z siebie płaszcz. Wszedł do kuchni i powiedział:

– Ale to nie znaczy, że ja chcę cię rozbierać albo... albo robić coś takiego.

To ją zahamowało. Zatrzepotała z niedowierzaniem powiekami.

– Chcę cię zobaczyć – powtórzył. – I podotykać cię, ale tylko trochę. Chcę podotykać czegoś doskonałego, żeby sprawdzić, czy skóra jest tak gładka i jedwabista, na jaką wygląda, zbadać jej sprężystość, poczuć napięcie mięśni. Ty nie musisz mnie w ogóle dotykać – mówił szybko, bojąc się, że ją straci. – Chcę kochać twoje ciało, jego doskonałe części, kochać namiętnie oczami, może paroma dotknięciami, ale niczym innym. Nie chcę zepsuć twojego ciała, robiąc... to, co robią inni. Nie chcę cię deprecjonować. Nie potrzebuję tych rzeczy.

Patrzyła na niego bez słowa tak długo, że omal nie odwrócił się i nie uciekł.

Nagle Eve pisnęła przejmująco, a Roy z lękiem cofnął się o krok. Obrażona i upokorzona mogłaby rzucić się na niego, podrapać mu twarz, sięgnąć do oczu.

I wówczas, ku swemu zdumieniu, zorientował się, że to był śmiech. Śmiała się bez złośliwości, nie z niego. Śmiała się z czystej radości. Objęła się ramionami i pisnęła jak uczennica, a jej wspaniałe zielone oczy promieniały zachwytem.

– Mój Boże – powiedziała z drzeniem w głosie – jesteś nawet lepszy, niż się wydawałeś, lepszy, niż mogłam sobie wymarzyć. To ty jesteś doskonały, Roy, doskonały i jeszcze raz doskonały.

Uśmiechnął się niepewnie. Nie do końca pozbył się jeszcze obawy, że rzuci się na niego z paznokciami.

Eve złapała go za prawą rękę i pociągnęła za sobą przez kuchnię i jadalnię, zapalając po drodze światła i gadając:

– Byłam gotowa... gdybyś chciał tego. Ale ja również tego nie chcę, całego tego obściskiwania i obłapiania, tego potu, czuję obrzydzenie, kiedy ktoś wypaca się wprost na mnie, kiedy jestem mokra i lepka od czyjegogo potu – nie mogę tego wytrzymać, czuję się po prostu chora.

– Płyny – powiedział z odrazą – cóż może być seksownego w czyichś wydzielinach, w wymianie wydzielin?

We wzrastającym podnieceniu, ciągnąc go przez korytarz, wyznała:

– Wydzieliny, o Boże, można umrzeć na myśl o tym, zwyczajnie umrzeć od tych wszystkich wydzielin, które się z tym wiążą, wszystko zamienia się w wilgoć. Wszyscy oni chcą lizać i ssać moje piersi, cała ta ślina, to takie wstrętne, i to wpychanie języków w moje usta...

– Ślina! – powiedział, krzywiąc się. – Cóż erotycznego, na Boga, kryje się w wymianie śliny?

Doszli do drzwi sypialni. Na progu raję, który mieli za chwilę stworzyć, zatrzymał ją.

– Jeśli cię kiedyś pocałuję – obiecał – będzie to suchy pocałunek, suchy jak papier, suchy jak piasek.

Eve drżała z podniecenia.

– Bez języka – przyrzekł. – Nawet wargi nie mogą być wilgotne.

– I nigdy wargi do warg...

– ...bo wtedy nawet przy suchym pocałunku... łączylibyśmy...

– ...oddechy...

– ...a przecież w oddechu jest wilgoć...

– ...para z płuc – zakończył.

Z rozsadzającą go niemal radością Roy dochodził do przekonania, że ta wspaniała kobieta była

w rzeczywistości bardzo podobna do niego; bardziej niż mógł się spodziewać, kiedy wysiadł z windy i zobaczył ją pierwszy raz. Byli jak dwa zharmonizowane z sobą głosy, jak dwa serca bijące wspólnym rytmem, dwie pokrewne dusze śpiewające tę samą pieśń.

– Żaden mężczyzna nigdy nie był w tej sypialni – wyznała, wprowadzając go do środka. – Tylko ty. Tylko ty.

Część ścian w okolicy lewej i prawej strony łóżka, a także część sufitu bezpośrednio nad łóżkiem pokrywały lustra. Reszta ścian i sufitu wybita była granatowym aksamitem, tego samego koloru co dywan. W rogu sypialni stało pojedyncze, wyściełane krzesło o srebrzystej jedwabnej tapicerce. Pokój miał dwa okna, zasłonięte żaluzjami z polerowanego niklu. Łóżko było bez ozdób, nowoczesne, z zaokrąglonymi od strony nóg rogami i biblioteczką u wezgłowia. Po obu stronach stały wysokie szafki, połączone u góry konstrukcją z przymocowanymi do niej lampami. Łóżko było pomalowane kilkoma warstwami połyskliwego, granatowego lakieru, upstrzonego srebrnymi cętkami błyszczącymi jak gwiazdy. Nad wezgłowiem mieściło się jeszcze jedno lustro. Zamiast narzuty, na łóżku leżało okrycie ze skór srebrnych lisów, najbardziej luksusowa rzecz, jaką widział w życiu.

– Jest ze sztucznego futra – zapewniła go, kiedy wyraził troskę o prawa bezbronnych zwierząt.

Nareszcie znalazł luksus, do którego tak tęsknił. Skomputeryzowany system świetlny sterowany był ludzkim głosem. Zapewniał sześć rozmaitych sposobów oświetlenia wnętrza za pomocą kombinacji odpowiednio rozmieszczonych malutkich lamp halogenowych (z kompletem różnokolorowych soczewek), trójkolorowych neonów obramowujących lustra (które mogły być zapalane pojedynczo lub w dowolnych kombinacjach) i rozmaitych kompozycji z włókna światłowodowego.

Gdy Eve przycisnęła guzik u wezgłowia, bębnowe drzwi w wysokich nocnych szafkach koło łóżka obróciły się, znikając z pola widzenia. Pokazały się półki, zastawione buteleczkami z różnymi płynami i wonnymi olejkami, dalej leżało dziesięć lub dwanaście gumowych fallusów w rozmaitych rozmiarach i kolorach i zestaw bateryjnych zabawek seksualnych o zadziwiająco wymyślnych kształtach.

Eve włączyła odtwarzacz płyt kompaktowych z magazynkiem karuzelowym na sto płyt i wybrała losową kolejność odtwarzania.

– Tu jest wszystko od Roda Stewarta do Metalliki, Eltona Johna, Gartha Brooksa, Beatlesów, Bee Gees, Bruce'a Springsteena, Boba Segera, Screamin' Jaya Hawkinsa, Jamesa Browna z Famous Flames i Wariacje goldbergowskie Bacha. Najciekawiej jest, kiedy ma się wiele rozmaitych rodzajów muzyki i nie wiadomo, co za chwilę zostanie odtworzone.

Roy Miro zdjął płaszcz, pozostając w marynarce, i wysunął z rogu pokoju miękkie krzesło. Ustawił je w pobliżu łóżka, przygotowując sobie jak najlepszy widok, starając się w miarę możliwości wyeliminować własne odbicia w lustrach, żeby nie zepsuć kalejdoskopowego obrazu jej urody.

Usiadł na krześle i uśmiechnął się.

Stała przy łóżku, w pełni ubrana, podczas gdy Elton John śpiewał o uzdrawiających rękach.

– Czuję się, jakbym śniła. Jestem u siebie, robię to, co lubię, w towarzystwie kogoś, kto umie mnie docenić...

– Doceniam cię.

– ...kto potrafi mnie uwielbiać...

– Uwielbiam cię.

– ...kto chce mi się poddać...

– Poddaję ci się.

– ...bez zniweczenia piękna aktu.

- Żadnych wydzielin. Żadnego obłapiania.
- Wstydzę się jak dziewica.
- Mogę patrzeć na ciebie godzinami, nawet kiedy jesteś w pełni ubrana.

Zdarła z siebie bluzkę z taką gwałtownością, że materiał pękł, a guziki się poodrywały. W ciągu kilku sekund była kompletnie naga i wtedy okazało się, że większość jej do tej pory zakrytych wdzięków była absolutnie doskonała.

Upajając się jego westchnieniem radosnego niedowierzania, powiedziała:

– Teraz widzisz, dlaczego nie lubię kochać się w zwykły sposób. Kiedy mam siebie, czegoż mogę potrzebować od kogoś innego?

Powiedziawszy to, odwróciła się od niego i rozpoczęła rutynową procedurę, którą przeprowadziłaby również, gdyby była sama. Widać było, że czerpie głęboką satysfakcję ze świadomości, że w pełni panuje nad nim, nawet go nie dotykając.

Stała przed lustrem, oglądając się dokładnie ze wszystkich stron, pieszcząc się z afektacją i zaciekawieniem, a jej ekstaza na swój własny widok była tak podniecająca, że Roy mógł tylko płytko oddychać.

Gdy w końcu podeszła do łóżka – Bruce Springsteen śpiewał właśnie o whisky i o samochodach – zdjęła z niego okrycie ze srebrnych lisów. Roy poczuł się przez krótką chwilę rozczarowany, gdyż chciał ujrzeć ją tarzającą się na błyszczącym futrze, niezależnie od tego, czy było sztuczne, czy prawdziwe. Zaciekawilo go jednak, gdy Eve odciągnęła górne prześcieradło, a potem dolne, odsłaniając materac okryty pokrowcem z czarnej gumy.

Z półki w jednej z otwartych szafek wyjęła butelkę najczystszej olejku bursztynowej, odkręciła nakrętkę i naląła go na środek łóżka, tworząc małą kałużę. Roy poczuł delikatny i przyjemny zapach, lekki i świeży jak wiosenna bryza; nie był to zapach kwiatów, lecz przypraw: cynamonu, imbiru i innych egzotycznych ingrediencji.

Eve położyła się na łóżku, mając kałużę olejku między nogami. James Brown śpiewał w tym momencie piosenkę o raptownym pożądaniu. Zanurzyła w olejku dłonie i zaczęła wmasowywać go w swoją nieskazitelną skórę. Przez piętnaście minut jej ręce poruszały się ze znanostwem po wszystkich zaokrągleniach i płaszczyznach ciała, zwalniając rozkosznie przy każdej okrągłości i przy każdej cieniastej szczelinie. Większość jej szczegółów anatomicznych była absolutnie doskonała. Kiedy jednak dotykała elementu, ocenianego gorzej przez Roya, skupiał wzrok na jej rękach, które były bez skazy – przynajmniej poniżej zbyt mocno zarysowanych kości promieniowych i łokciowych.

Widok Eve na błyszczącej, czarnej gumie – jej bujnego ciała, złocistego i zaróżowionego, śliskiego od przezręczystego płynu, nie będącego ludzką wydzieliną – wprowadził Roya w stan duchowy, jakiego nigdy jeszcze nie osiągnął: ani za pomocą tajemnych technik medytacyjnych Wschodu, ani wówczas gdy spirytysta przywołał ducha jego zmarłej matki podczas seansu w Pacific Heights, ani nawet używając pejotlu, wibrujących kryształów lub poddając się kuracji głębi odbytnicy, przeprowadzonej przez dwudziestoletnią, niewinnie wyglądającą pielęgniarzkę przebraną za harcerkę. Sądząc zaś z wolnego tempa ruchów Eve, należało się spodziewać, że ma zamiar rozciągnąć studiowanie swojego wspaniałego ciała na długie godziny.

W rezultacie Roy zrobił coś, czego nie zrobił nigdy przedtem. Wyjął z kieszeni swój pager, a ponieważ w tym modelu nie można było wyłączyć sygnału alarmującego, odsunął plastikową pokrywkę pojemnika na baterie i powyjmował je.

Przez tę jedną noc kraj musi dawać sobie radę bez niego, a cierpiąca ludzkość pozbawiona będzie

swego obrońcy.

Ostry ból obudził Spencera ze snu pełnego surrealistycznej architektury i zdeformowanych stworzeń, w dodatku czarno-białego, a więc jeszcze bardziej przynębiającego. Całe jego ciało było jedną masą straszliwego bólu, tępego i nieubłagane powracającego, ale najgorszy był ból na szczycie głowy, i to on właśnie wyrwał go z owego abstrakcyjnego snu.

Nadal panowała noc. A może to już była następna. Stracił rachubę czasu.

Leżał na wznak na nadmuchiwanym materacu, przykryty kocem. Głowa i barki spoczywały na poduszce i jeszcze na czymś pod poduszką.

Charakterystyczne, bajkowe światło i cichy syk wskazywały, że gdzieś z tyłu pali się latarnia Colemana.

Migotliwe światło ukazywało po lewej i po prawej stronie gładkie formacje skalne. Dokładnie na wprost niego znajdowała się płaska powierzchnia czegoś, co wydawało mu się skałą pustynną pokrytą nocnym szronem, którego nie rozpuściło ciepło latarni. Nad głową rozpościerała się płócienna płachta kamuflująca w kolorycie pustyni, rozpięta między dwoma blokami skalnymi.

Po raz kolejny ostry ból przeszył mu czaszkę.

– Nie ruszaj się – powiedziała.

Zorientował się, że poduszka spoczywa na jej skrzyżowanych nogach, a jego głowa opiera się o jej łono.

– Co robisz? – zapytał bardzo słabym głosem.

– Zszywam twoją ranę – odparła.

– Nie znasz się na tym.

– Ciągłe otwiera się i krwawi.

– Nie jesteś lekarzem.

– Nie?

– A może jesteś?

– Nie, nie ruszaj się.

– To boli.

– Z pewnością boli.

– Dostanę zakażenia.

– Najpierw cię ogoliłam, a potem wysterylizowałam.

– Ogoliłaś mi głowę?

– Tylko w jednym miejscu, koło rany.

– Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, jak to się robi?

– Masz na myśli fryzjerstwo czy leczenie?

– Jedno i drugie.

– Mam trochę podstawowej wiedzy.

– Auuu, psiakrew!

– Jeśli będziesz zachowywał się jak dziecko, zrobię ci zastrzyk znieczulający.

– Masz taki? Czemu go nie zrobiłaś?

– I tak byłeś nieprzytomny.

Zamknął oczy, szedł przez widziane jak w czarno-białym filmie pomieszczenie, zbudowane z kości, pod łukowatym sklepieniem z czaszek, a potem znów otworzył oczy i powiedział:

– No dobrze, ale już nie jestem.

– Jaki już nie jesteś?

– Nieprzytomny – odparł.

– Przed chwilą byłeś znowu. Minęło kilka minut od naszej poprzedniej rozmowy. W tym czasie prawie skończyłam. Jeszcze jeden szew i koniec.

– Dlaczego zatrzymaliśmy się?

– Niezbyt dobrze znosiłeś jazdę.

– Na pewno znosiłem dobrze.

– Trzeba cię było opatrzyć. Teraz musisz odpocząć. Poza tym chmury prędko znikają.

– Musimy jechać. Kto rano wstaje, ten dostaje pomidorka.

– Pomidorka? To interesujące.

Zmarszczył się.

– Powiedziałem pomidorka? Czemu mieszasz mi w głowie?

– Bo to takie łatwe. Skończone – ostatni szew.

Spencer zamknął piekące oczy. W jego ponurej czarno-białej wizji szakale o ludzkich twarzach grasowały wśród porośniętych dzikim winem ruin niegdyś wielkiej katedry. Z podziemi ruin dobiegał płacz dzieci.

Gdy otworzył oczy, stwierdził, że leży płasko, z głową spoczywającą na poduszce. Valerie siedziała obok na ziemi, czuwając nad nim. Jej ciemne włosy opadały miękko po jednej stronie twarzy. Wyglądała ładnie w świetle lampy.

– Wyglądasz ładnie w świetle lampy – powiedział.

– Zaraz mnie zapytasz, czy jestem Wodnik, czy Koziorożec.

– Olewam to.

Roześmiała się.

– Lubię twój śmiech.

Uśmiechnęła się, odwróciła głowę i zapatrzyła się w ciemną pustynię.

– Co ci się we mnie podoba? – spytał.

– Twój pies.

– To wspaniały pies. A co jeszcze?

Znów popatrzyła na niego.

– Masz ładne oczy.

– Naprawdę?

– Są uczciwe.

– Tak wyglądają? Kiedyś miałem również ładne włosy. Teraz są ogolone. Dostałem się w ręce rzeźniczeki.

– Ostrzyżone. I tylko w jednym, małym miejscu.

– Ostrzyżony, a potem pokaleczony. Co ty właściwie robisz na tej pustyni?

Patrzyła przez chwilę na niego, a potem odwróciła się bez odpowiedzi.

Nie pozwoli jej się wymknąć tak łatwo.

– Co tu robisz, tak daleko? Będę cię pytał tak długo, aż dostaniesz kota. Co tu robisz?

– Ratuję twój tyłek.

– Sprytna odpowiedź. Pytam o to, co tu robiłaś przedtem?

– Szukałam cię.

– Dlaczego? – zapytał ze zdziwieniem.

- Ponieważ ty szukałeś mnie.
- Ale jak, na miłość boską, mnie znalazłeś?
- Za pomocą wirującego stolika.
- Nie wierzę w to.
- Masz rację. Posłużyłam się kartami Tarota.
- Przed kim uciekamy?

Wzruszyła ramionami. Przez chwilę wpatrywała się w pustynię. W końcu odpowiedziała:

- Chyba przed historią.
- Cała ty. Znów próbujesz zrobić mi wodę z mózgu.
- Dokładniej – przed karaluchem.
- Uciekamy przed karaluchem?
- Tak go nazywam, ponieważ to go doprowadza do furii.

Przeniósł wzrok z Valerie na wiszący nad nimi na wysokości dziesięciu stóp brezent.

- Po co ten dach?
- Stapia się z terenem. Poza tym jest z materiału rozpraszającego ciepło, tak że nie będziemy wyraźnie widoczni dla aparatury na podczerwień.

- Widoczni z góry?
- Dla oczu na niebie.
- Boga?
- Nie, karalucha.
- Karaluch ma na niebie oczy?
- Tak. On i jego ludzie.

Spencer zamyślił się nad tym. W końcu rzekł:

- Nie wiem, czy śnię, czy jestem na jawie.
- Są dni – powiedziała – że ja również nie wiem.

W czarno-białej iluzji niebo usiane było oczami, a nad jego głową przeleciała wielka, biała sowa, rzucając księżycowy cień w kształcie anioła.

Pożądanie Eve było nienasycone, a jej energia niespożyta. Wydawało się, że każdy kolejny akt rozkoszy dodaje jej nowych sił, zamiast je wyczerpywać. Pod koniec pierwszej godziny była bardziej ożywiona niż przedtem, piękniejsza, jeszcze bardziej promienna.

Roy patrzył w zachwycie na jej wspaniałe ciało. Wydawało się, że zostało wyrzeźbione i doprowadzone do właściwych proporcji dzięki bezustannemu, rytmicznemu ćwiczeniu wszystkich mięśni, podobnie jak dopiero długie godziny podnoszenia ciężarów doprowadzają ciało kulturysty do pożądanych kształtów. Po latach wypróbowywania wszelkich możliwych sposobów osiągania rozkoszy uzyskała elastyczność, którą Roy ocenił jako będącą na poziomie kogoś pośredniego między mistrzynią olimpijską w gimnastyce a cyrkową kobietą-gumą – elastyczność połączoną z wytrzymałością alaskańskiego zaprzęgu psów husky. Nie ulegało wątpliwości, że łóżkowy seans z samą sobą zapewniał porcję ćwiczeń każdemu jej mięśniowi, od czubka głowy po palce u nóg.

Mimo że zawiązywała się w najwymyślniejsze węzły i obsypywała wyuzdanymi pieścotami, nigdy przy tym nie wyglądała karykaturalnie ani idiotycznie, ale zawsze niezmiennie pięknie pod każdym względem, nawet podczas najbardziej nieprawdopodobnych praktyk. Na swoim czarnym materacu wyglądała przez cały czas jak mleko z miodem, jak brzoskwinie w kremie, gładka i soczysta – najrozkoszniejsza istota, jaka kiedykolwiek zaszczyciła swoją obecnością świat.

W połowie drugiej godziny Roy był już pewien, że sześćdziesiąt procent jej anielskich kształtów – ciała, twarzy i wszystkiego innego – było idealne, nawet przy zastosowaniu najbardziej surowych kryteriów. Trzydzieści pięć procent nie było doskonałe, ale tak bliskie doskonałości, że wystarczało do złamania jego serca, a tylko pięć procent było przeciętne.

Nie miała ani jednego, najdrobniejszego nawet szczegółu, który był nieestetyczny.

Roy był przeświadczony, że Eve musi wkrótce przerwać ten niekończący się seans rozkoszy, bo inaczej padnie nieprzytomna. Ale pod koniec drugiej godziny wydawało się, że ma coraz więcej sił i zapału. Potęga jej zmysłowości była tak wielka, że wydawało się, iż każdy rozbrzmiewający w tle utwór muzyczny, nawet Bacha, został skomponowany specjalnie dla filmu pornograficznego. Od czasu do czasu wywoływała numer innego układu świateł, regulując jego jasność rozkazami „więcej” lub „mniej”, przy czym jej wybór był zawsze najodpowiedniejszy dla następnej pozycji, którą ćwiczyła.

Podniecało ją oglądanie się w lustrach. Podniecało ją oglądanie, jak ogląda się w lustrach. I oglądanie, jak ogląda swoje oglądanie się. Mnogość obrazów odbijających się w lustrach umieszczonych na przeciwległych ścianach wywoływała u niej wrażenie, że wypełnia sobą wszechświat. Lustro wydawały się mieć magiczną moc oddawania energii każdego odbicia jej realnemu ciału, ładując je zwielokrotnioną energią, przeistaczając Eve w jasnowłosą maszynę erotyzmu.

Gdzieś w trakcie trzeciej godziny wyczerpały się baterie w kilku jej ulubionych zabawkach seksualnych, wobec czego Eve ponownie musiała uciec się do swoich wprawnych rąk. Przez jakiś czas wydawało się, że jej ręce są osobnymi bytami, oderwanymi od niej, i każda z nich żyje własnym życiem. Były ogarnięte szaleństwem lubieżności, nie mogąc zatrzymać się nawet przez krótki czas przy jednym z jej wdzięków; ślizgały się bezustannie po obfitych kształtach naoliwionego ciała, masując, szczypiąc, głaszcząc i pieszcząc jedno arcydzieło po drugim. Były jak para wygłodniałych biesiadników przy bajecznym szwedzkim stole, przygotowanym dla uczczenia zbliżającego się końca świata, mających tylko kilka bezcennych sekund, żeby się najeść, zanim słońce zgaśnie na zawsze.

Ale słońce, oczywiście, nie zgasło i w końcu, choć stopniowo, te niedościgłe ręce zaczęły zwalniać, coraz bardziej i bardziej, aż zatrzymały się nasycone. Ich właścicielka także była nasycona.

Przez dłuższą chwilę, już po wszystkim, Roy nie mógł podnieść się z krzesła. Nie mógł nawet się oprzeć i trwał na jego brzeżku. Był bez czucia, sparaliżowany, czuł mrowienie we wszystkich kończynach.

Po jakimś czasie Eve wstała z łóżka i udała się do przyległej łazienki. Kiedy wróciła, nie było na niej ani kropli oliwy. Przyniosła z sobą dwa miękkie ręczniki – jeden wilgotny, drugi suchy. Mokrym wytarła błyszczące ślady oliwy z gumowego pokrycia materaca, a potem drugim ręcznikiem starannie wytarła je do sucha i naciągnęła na nie prześcieradła.

Roy także położył się na łóżku. Eve leżała na wznak z głową opartą na poduszce. Wyciągnął się przy niej na plecach, z głową na drugiej poduszce. Była wciąż rozkosznie naga, on zaś pozostał kompletnie ubrany – jedynie w którymś momencie seansu poluźnił nieco krawat.

Żadne z nich nie popełniło błędu, próbując komentować to, co się odbyło. Zwykle słowa nie potrafiłyby oddać poetyki przeżycia. Mogły natomiast spowodować, że ta niemal religijna odyseja nabrałaby charakteru prowokacji. Poza wszystkim Roy wiedział, że przeżycie było potrzebne Eve; jemu samemu zaś... no cóż, w ciągu paru godzin zobaczył więcej cielesnej doskonałości ludzkiej – i to w akcji – niż w ciągu całego życia.

Dopiero po dłuższym czasie Roy przemówił, patrząc na odbicie ukochanej w lustrze na suficie. Ona również patrzyła na niego i czuli, że weszli w nowy rodzaj wzajemnej więzi, która była niemal równie

intymna, silna i regenerująca jak więź cielesna. Mówił nadal o sile wynikającej ze współczucia, wyjaśniając jej rozmaite aspekty tego pojęcia. Mówił, że ludzkość zawsze dążyła do doskonałości i że ludzie wytrzymają ból, zgodzą się na kolosalne wyrzeczenia, zniosą okrutne katusze, będą żyli w ciągłym, upadającym lęku – jeśli tylko będą przekonani, że ich cierpienia są obowiązkową opłatą za przejazd autostradą do Utopii – do nieba na ziemi. Osoba, której motywem działania jest współczucie – która jest przy tym świadoma gotowości mas do wyrzeczeń – może zmienić świat. On sam, Roy Miro, nie wierzy, że ze swoimi pogodnymi niebieskimi oczami i uśmiechem Świętego Mikołaja ma charyzmę przywódcy, który by poprowadził krucjatę na rzecz udoskonalenia świata, ma jednak nadzieję, że będzie mógł służyć takiemu człowiekowi i że wywiąże się z zadania dobrze.

– Będę zapalał co jakiś czas moje małe świeczki – powiedział.

Mówił jeszcze przez długi czas, podczas gdy Eve wtrącała pytania i spostrzegawcze komentarze. Schlebiało mu, że ekscytowała się jego ideami prawie w takim samym stopniu, jak wcześniej swoimi elektrycznymi zabawkami i wprawnymi rękami.

Była głęboko wzruszona, gdy wyjaśniał jej, w jaki sposób oświecone społeczeństwo powinno rozwinąć działania doktora Kevorkiana, nie tylko asystującego ze współczuciem przy zamierzonych samobójstwach, ale oferującego łagodne przeniesienie się na tamten świat ludziom opanowanym głęboką depresją, chronicznie chorym, inwalidom, kalekom i upośledzonym umysłowo.

Kiedy zaś mówił o swoim pomysle zrealizowania programu likwidacji niemowląt w celu pełnego miłosierdzia rozwiązania problemu małych, urodzonych z najdrobniejszymi nawet skazami, które mogłyby mieć ujemny wpływ na ich życie, Eve zaczerpnęła kilka spazmatycznych oddechów, podobnie jak wtedy, gdy była ogarnięta wirem namiętności. Jeszcze raz przycisnęła ręce do piersi, ale tym razem po to, żeby uciszyć gwałtowny łomot serca.

Gdy objęła piersi, Roy nie mógł oderwać oczu od jej odbicia w zwierciadle sufitu. Widok tej w sześćdziesięciu procentach najidealniejszej kobiecości sprawił, że z uniesienia zachciało mu się płakać.

Krótko przed świtem upojenia intelektualne wysłały ich do królestwa snu – czego nie mogły dokonać wcześniej upojenia zmysłowe. Roy był tak zaspokojony, że nic mu się nie śniło.

Kilka godzin później obudziła go. Była już wykąpana i ubrana do wyjścia.

– Nigdy jeszcze nie wyglądałaś tak promiennie.

– Zmieniłeś moje życie.

– A ty moje.

Chociaż była już spóźniona do pracy, podrzuciła go do hotelu Strip, do którego Prock, kierowca, odbierający Roya z lotniska, zawiózł jego bagaż. Była sobota, ale Eve pracowała siedem dni w tygodniu. Roy podziwiał jej zaangażowanie.

Pustynny poranek był bezchmurny. Niebo było zimne, o barwie jasnego błękitu.

Zanim Roy wysiadł z samochodu przed portykiem hotelowym, postanowili, że się wkrótce spotkają i przeżyją ponownie rozkosze ostatniej nocy.

Potem stał przy głównym wejściu i patrzył, jak odjeżdżała. Wszedł do środka, dopiero gdy zniknęła z pola widzenia. Minał portiernię, przeszedł obok gwarne kasyna, wsiadł do windy i wjechał na trzydzieste szóste, najwyższe piętro hotelu.

Nie pamiętał, czy od momentu kiedy wysiadł z samochodu, stawiał w ogóle kroki. Miał wrażenie, że wpłynął do windy.

Nie spodziewał się, że pościg za tą wymykającą się dziwką i za człowiekiem z blizną zaprowadzi go do najwspanialszej kobiety na świecie. Okazało się, że przeznaczenie potrafi być zaskakujące.

Winda dojechała do trzydziestego szóstego piętra. Drzwi się otworzyły i Roy wyszedł na długi korytarz, wyłożony zrobionym na zamówienie, dopasowanym kolorystycznie do ścian dywanem firmy Edward Fields. Korytarz był na tyle szeroki, że mógł służyć nawet za galerię, a umeblowano go francuskimi antykami z początków dziewiętnastego wieku. Na ścianach wisiały cenne obrazy z tego samego okresu.

Było to jedno z trzech pięter przeznaczonych pierwotnie na luksusowe, bezpłatne apartamenty dla zamożnych graczy, którzy przyjeżdżali tracić swoje fortuny w kasynie na dole. Trzydzieste piąte i trzydzieste czwarte piętro nadal służyły temu celowi. Odkąd jednak organizacja zakupiła cały kompleks, aby zarabiać, a także prac pieniądze, apartamenty na najwyższym piętrze zostały oddane do dyspozycji jej wyższych funkcjonariuszy przybywających służbowo do miasta.

Trzydzieste szóste piętro miało własnego portiera zajmującego przytulne biuro naprzeciw windy. Roy wziął klucz do swojego pokoju od dyżurnego, imieniem Henri, którego zupełnie nie zdziwił wymięty garnitur nowego gościa.

Pogwizdując cicho, szedł z kluczem w dłoni w stronę swojego apartamentu. Marzył o gorącym prysznicu, ogoleniu się i o obfitym śniadaniu, zamówionym do pokoju. Kiedy jednak otworzył pozłacane drzwi i wszedł, zastał w nim dwóch miejscowych agentów, którzy już na niego czekali. Wydawali się skonsternowani, choć pełni szacunku, i dopiero na ich widok przypomniał sobie, że pager spoczywał w jednej, a baterijki w innej kieszeni jego marynarki.

- Szukamy pana od czwartej rano – powiedział jeden z agentów.
- Zlokalizowaliśmy samochód Granta – dodał drugi.
- Porzucony – powiedział pierwszy. – Rozpoczęliśmy poszukiwanie Granta w terenie...
- ...choć nie wiadomo, czy żyje...
- ...albo czy został uratowany...
- ...ponieważ wygląda na to, że ktoś tam był przed nami...
- ...w każdym razie są ślady jakichś opon...
- ...więc nie mamy wiele czasu, musimy ruszać w drogę.

Oczami wyobraźni zobaczył Eve Jammer, złocistą i zaróżowioną, naoliwioną i gibką, wijącą się na czarnej gumie. To mu pomoże przetrwać, nieważne, jak ciężki okaże się dzień.

Spencer obudził się w fioletowym cieniu pod maskującą płachtą. Pustynia skąpana była w jaskrawym świetle słońca.

Światło kłuło go w oczy, zmuszając do mrużenia powiek, chociaż ten ból był niczym w porównaniu z bólem głowy, który rozłupywał czaszkę, przebiegając nieco ukośnie od skroni do skroni. Ostre czerwone błyski światła wirowały mu w głębi gałek ocznych z ruchliwością sztucznych ogni.

Było mu bardzo gorąco, chociaż dzień nie wyglądał na ciepły. Dręczyło go pragnienie. Język miał spuchnięty, przyklejony do podniebienia, a gardło suche i szorstkie.

Nadal spoczywał na nadmuchiwanym materacu, z głową opartą na poduszeczce, przykryty kocem mimo nieznośnego gorąca – ale wiedział, że od wczoraj nie jest już sam. Po jego prawej stronie leżała kobieta. Czuł dotyk jej boku, biodra, łydki. Jakimś sposobem udało mu się objąć ją ramieniem, co nie wywołało z jej strony sprzeciwu, i teraz poczuł ją pod ręką: taką ciepłą, miękką, gładką... owłosioną.

- Za bardzo owłosioną jak na kobietę.
- Obrócił głowę w jej stronę i ujrzał Rocky'ego.
- Cześć, kolego.

Mówienie sprawiało mu ból. Każde wypowiedziane słowo zdawało się przepychanym przez gardło

rzepem. Słowa rozbrzmiewały w czaszce, jakby spotęgowane wzmocnieniami pogłosowymi.

Pies polizał mu prawe ucho.

Szeptem, żeby oszczędzić gardło, powiedział:

– Ja też cię kocham.

– Nie przeszkadzam? – spytała Valerie, klękając przy jego lewym boku.

– To tylko chwila czułości między domownikami.

– Jak się czujesz?

– Wszawo.

– Masz alergię na jakieś lekarstwa?

– Nienawidzę smaku pepto-bismolu.

– Masz alergię na antybiotyki?

– Wszystko zaczyna wirować.

– Masz alergię na antybiotyki?

– Dostaję pokrzywki od truskawek.

– Majaczysz czy się zgrywasz?

– Jedno i drugie.

Być może stracił na chwilę przytomność, gdyż następną rzeczą, z której zdał sobie sprawę, był zastrzyk w lewe ramię. Poczuł zapach alkoholu, którym zdezynfekowała mu skórę.

– Antybiotyk? – wyszeptał.

– Płynne truskawki.

Pies nie leżał już u jego boku. Siedział koło kobiety, przyglądając się z zainteresowaniem, jak wyciąga igłę z ramienia jego pana.

Spencer spytał:

– Mam infekcję?

– Najwyżej wtórna. Po prostu nie chcę ryzykować.

– Jesteś pielęgniarzką?

– Ani doktorem, ani pielęgniarzką.

– Skąd wiesz, co trzeba zrobić?

– On mi podpowiada – odparła, wskazując na Rocky'ego.

– Bez przerwy żartujesz. Musisz być kawalarką.

– Owszem, ale z uprawnieniami do robienia zastrzyków. Sądzisz, że utrzymasz w żołądku trochę wody?

– A co myślisz o jajkach na boczku?

– Woda jest dostatecznie ciężkostrawna. Ostatnim razem zwróciłeś.

– Zachowałem się obrzydliwie.

– Ale przeprosiłeś.

– Jestem dżentelmenem.

Usiadł z najwyższym trudem dzięki jej wydatnej pomocy. Pijąc wodę, zakrztusił się parę razy. Woda była zimna i słodkawa. Miał nadzieję, że może tym razem zdoła utrzymać ją w żołądku.

Kiedy pomagała mu ułożyć się z powrotem na plecach, zapytał:

– Powiesz mi prawdę?

– Jeśli ją znam.

– Czy ja umieram?

- Nie.
 - Tutaj obowiązuje pewna zasada.
 - Jaka?
 - Nie wolno okłamywać psa.
- Spojrzała na Rocky'ego. Kundel machał ogonem.
- Okłamuj siebie, okłamuj mnie, ale nigdy nie okłamuj psa.
 - To wydaje się całkiem sensowne – przyznała.
 - A zatem, czy umieram?
 - Nie wiem.
 - Tak brzmi lepiej – powiedział i zemdlał.

Ogolenie się, umycie zębów i prysznic zajęły Royowi Miro piętnaście minut. Przebrał się w zielone drelichowe spodnie, czerwony bawełniany sweter i jasnobrązową sztruksową marynarkę. Nie miał czasu zjeść śniadania. Henri przyniósł mu dwa czekoladowo-migdałowe rogaliki w białej papierowej torebce i kolumbijską kawę w jednorazowym plastikowym termosie.

Na parkingu hotelowym czekał helikopter. Podobnie jak podczas lotu odrzutowcem z Los Angeles, Roy był jedynym pasażerem w wykładanej pluszową tapicerką kabinie.

W drodze na pustynię Mojave Roy zjadł oba rogaliki i wypił kawę, łącząc się równocześnie przez swój przenośny komputer z Mamą. Zapoznawał się z nocnymi postęпами w śledztwie.

Niewiele się wydarzyło. W południowej Kalifornii John Kleck nie znalazł niczego, co mogłoby naprowadzić ich na ślad kobiety, która znikła po porzuceniu samochodu na lotnisku w Orange County. Podobnie nie udało im się ustalić numeru telefonu, pod który przemyślnie zaprogramowany system komputerowy Granta przefaksował z jego chaty w Malibu zdjęcia Roya i jego ludzi.

Ostatnia wiadomość pochodziła z San Francisco. Agent poszukujący George'a i Ethel Porthów – dziadków Spencera Granta, którzy opiekowali się nim po śmierci matki – dowiedział się z rejestrów urzędowych, że Ethel przed dziesięciu laty umarła. Wkrótce potem jej mąż sprzedał dom. Sam umarł trzy lata temu. W tej sytuacji agent zaczął szukać innych śladów.

Roy wysłał do niego za pośrednictwem Mamy polecenie, żeby sprawdził w rejestrach testamentów sądowych, czy wnuk Porthów był spadkobiercą nieruchomości bądź po Ethel, bądź po jej mężu. Możliwe, że Porthowie nie wiedzieli, że ich wnuk przybrał nazwisko Spencer Grant, i użyli w testamentach jego prawdziwego nazwiska. Jeśli z jakiegoś niewyjaśnionego powodu pomagali mu utrzymywać sfałszowaną tożsamość, żeby na przykład uchronić go przed pójściem do wojska, mogli mimo to użyć jego prawdziwego nazwiska przy zapisywaniu mu swoich nieruchomości.

Był to niepewny ślad, ale wart sprawdzenia.

Roy kończył właśnie składać swój komputer, kiedy pilot zawiadomił go, że są o minutę od miejsca przeznaczenia.

– Widać je z prawej strony – powiedział.

Roy wyjrzał przez okno przy swoim fotelu. Lecieli równolegle do szerokiego wyschłego łożyska, biegnącego przez pustynię prawie dokładnie na wschód.

Słońce świeciło jasno i jego odbłask od piasku był oślepiający. Roy wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki okulary słoneczne.

W środku suchego koryta stały trzy służbowe dziipy organizacji. Ośmiu mężczyzn przyglądało się nadlatującemu helikopterowi.

Jetranger przeleciał nad nimi i w tym momencie ziemia runęła w dół o tysiąc stóp. Roy poczuł pustkę

w żołądku z powodu nagłej zmiany krajobrazu i z powodu czegoś jeszcze, co uchwycił kątem oka, ale co wydało mu się nieprawdopodobne.

Pilot wykonał szeroki zakręt wysoko nad dnem doliny i poleciał z powrotem, żeby pokazać Royowi miejsce, w którym koryto spotykało się z krawędzią urwiska. Przyjmując dwie maczugi skalne, tkwiące pośrodku łożyska, za punkt odniesienia, pilot zatoczył wokół niego pełny krąg. Roy mógł obejrzeć explorera dokładnie ze wszystkich stron.

Zdjął okulary słoneczne. Pojazd tkwił tam nadal, oświetlony pełnym blaskiem dnia. Kiedy helikopter wylądował w łożysku, w pobliżu dżipów, Roy z powrotem założył okulary.

Powitał go Ted Tavelov, dowódca grupy operacyjnej. Był niższy od Roya i o dwadzieścia lat starszy, szczupły i opalony; miał ów charakterystyczny wygląd wysuszonego słońcem człowieka, który spędził zbyt wiele lat na otwartej pustyni. Nosił kowbojskie buty, dżinsy, niebieską flanelową koszulę i stetsona. Mimo że dzień był chłodny, nie włożył kurtki, jak gdyby w swoim spalonym słońcem ciele zdążył zgromadzić tyle pustynnego żaru, że nigdy nie miał już poczuć zimna.

Gdy podchodzili do explorera, pilot wyłączył silnik śmigłowca. Łopaty wirnika obracały się coraz wolniej, aż stanęły.

- Dowiedziałem się, że nie ma żadnego śladu mężczyzny ani psa.
- Nie ma nic poza zdechłym szczurem.
- Czy woda rzeczywiście była aż tak wysoko, kiedy wbiła pojazd między te skały?
- Tak. Wczoraj po południu, w czasie największego nasilenia burzy.
- Mógł zostać zmyty i spaść z urwiska.
- Nie – jeśli był przypięty pasami.
- Mógł spróbować dopłynąć do brzegu, jeszcze w górze rzeki.
- Trzeba być durniem, żeby próbować pływać na fali powodziowej, kiedy woda sunie z szybkością ekspresu. Czy ten facet to dureń?

– Nie.

– Popatrz na te ślady – powiedział Tavelov, wskazując na ślady opon odcisnięte w mule łożyska. – Są wyraźne, mimo że wiatr zdążył je trochę zasypać piaskiem. Widać, że ktoś zjechał z południowej skarpy i zatrzymał wóz pod explorem, żeby do niego sięgnąć z własnego dachu.

– Kiedy to mogło nastąpić?

– Gdy przestaje padać, poziom wody obniża się błyskawicznie. A piaszczyste podłoże wysysa resztki wody równie szybko. O siódmej... ósmej wczorajszego wieczora łożysko mogło być już wystarczająco suche.

Stojąc w głębi obramowanego skałami pasażu i patrząc z dołu na explorera, Roy odezwał się:

– Grant mógł się wydostać i oddalić, zanim przyjechał ten drugi samochód.

– Pokażę ci ślady stóp nie należących do pierwszej grupy moich beznadziejnie gamoniowatych pomocników, którzy zatratowali cały teren. Wynika z nich, że przyjechała tu jakaś kobieta, która zabrała jego, psa i bagaż.

Roy zmarszczył brwi.

– Kobieta?

– Jedne ze śladów są takich rozmiarów, że z pewnością zostawił je mężczyzna. Nawet duże kobiety nie mają tak wielkich stóp. Drugie są małe, mógłby je zostawić chłopiec w wieku dziesięciu, trzynastu lat. Wątpię jednak, żeby chłopiec w tym wieku mógł tu przybyć samotnie. Są wprawdzie mężczyźni tak mali, że ich stopy pasowałyby do tych śladów, ale takich jest niewiele. Zatem najprawdopodobniej była

to kobieta.

Jeśli z pomocą Grantowi przysłała kobieta, Roy musiał się zastanowić, czy mogła to być kobieta, którą ściagał. Znowu trzeba było wrócić do pytań, które nurtowały go od środy wieczorem: kim był Spencer Grant, co skurwiel miał wspólnego z tą kobietą, czym się zajmował i czy istniała możliwość, że zepsuje im robotę i narazi na ryzyko całą operację?

To, co usłyszał, przesłuchując wczoraj w bunkrze Eve nagranie, bardziej zaciemniało, niż wyjaśniało sytuację. Sądząc z paru pytań i paru uwag, które Grant zdołał wtrącić w monolog Davidowitz, wiedział bardzo mało o Hannah Rainey, ale dla jakichś tajemniczych powodów starał się o niej dowiedzieć jak najwięcej. Roy przypuszczał poprzednio, że Grant był w jakiś sposób ściśle związany z tą kobietą. Jego zadaniem było wówczas określić charakter tego związku i zbadać, iloma ważnymi informacjami zdołała się z nim podzielić. Skoro jednak facet nie znał jej wcześniej, po co pojechał w tamtą deszczową noc do jej bungalowu i dlaczego przedsięwziął wyprawę ratunkową, żeby ją odnaleźć?

Roy wolałby nie wierzyć, że to ta kobieta pojawiła się tutaj, bowiem wiara w to przynosiła nowe powikłania.

– Twierdzisz, że dzwonił z telefonu komórkowego, a ona zaraz po niego przyjechała?

Tavelov nie dał się zbić z tropu sarkazmem Roya.

– Mógł to być jakiś samotnik, lubiący żyć tam, gdzie nie ma telefonów i elektryczności. Są tacy. Ale w promieniu dwudziestu mil nikogo takiego nie znam. Lub może był to facet lubiący jeździć po bezdrożach z czystej przyjemności.

– W czasie burzy.

– Burza już się skończyła. Poza tym świat jest pełen szajbusów.

– I musiał akurat natknąć się na explorera. Na całej tej ogromnej pustyni.

Tavelov wzruszył ramionami.

– Odszukaliśmy samochód. Wyciągnięcie wniosków należy do ciebie.

Idąc z powrotem w kierunku wejścia do przełomu i patrząc na odległą skarpe łożyska, Roy zauważył:

– Kimkolwiek ona była, wjechała do łożyska od południa, a potem zawróciła z powrotem na południe. Możemy pojechać za nią śladami opon.

– Tak... można... są nieźle widoczne przez czterysta jardów, przez następne dwieście widać je gdzieś tam, a dalej giną zupełnie. Tam gdzie jest miękko – zostały zasypane piaskiem przez wiatr. Na twardym opony nie zostawiły żadnych śladów.

– Poszukajmy trochę dalej, może ślad pojawi się znowu.

– Już szukaliśmy. Przez cały ten czas, kiedy czekaliśmy.

Tavelov położył akcent na słowo „czekaliśmy”.

– Mój cholerny pager był zepsuty, a ja nic o tym nie wiedziałem.

– Pieszko i helikopterem zbadaliśmy dokładnie okolicę na trzy mile we wszystkich kierunkach od południowego brzegu koryta. Trzy mile na wschód, trzy na południe, trzy na zachód.

– W porządku – rzucił Roy. – Rozciągnąć poszukiwania na sześć mil i sprawdzić, czy nie widać gdzieś śladów.

– To strata czasu.

Roy pomyślał o Eve – takiej, jaką oglądał w nocy – i to wspomnienie pomogło mu się uspokoić. Uśmiechnął i powiedział ze swoją charakterystyczną uprzejmością:

– Możliwe, że to strata czasu, całkiem możliwe. Ale sądzę, że musimy spróbować bez względu na szansę.

- Wiatr się wzmaga.
- Niech się wzmaga.
- Wzmaga się bardzo szybko. Niedługo zatrze wszystkie ślady.
Piękność na czarnej gumie.

– Wobec tego spróbujemy wyprzedzić pogodę – odparł Roy. – Sprowadzić więcej ludzi, jeszcze jeden helikopter i rozszerzyć poszukiwania do dziesięciu mil we wszystkie strony.

Spencer całkiem się nie obudził, ale również nie spał. Był jak pijak balansujący między jawą i snem.

Słyszał własne mamrotanie, ale nie mógł uchwycić sensu wypowiedzianych słów. Miał wrażenie, że musi przekazać komuś jakąś ważną informację, nie wiedział jednak, co to była za informacja i komu ma ją przekazać.

Od czasu do czasu otwierał oczy i widział zamglony obraz. Mrugał powiekami. Nie widział nawet na tyle dobrze, żeby się zorientować, czy był dzień, czy światło brało się z lampy Colemana.

Valerie była jak zawsze w pobliżu. Nawet na tyle blisko, że rozpoznawał ją mimo swojego zmętniałego wzroku. Czasem przecierała mu twarz wilgotnym ręcznikiem, czasem zmieniała zimny kompres na czole, a czasem po prostu patrzyła, i wtedy czuł, że martwiła się, choć nie widział wyrazu jej twarzy.

Raz, gdy wyplął ze swojego mroku i patrzył przez zniekształcające plamy przesuwające się przed oczami, zobaczył, że Valerie, na pół odwrócona od niego, jest czymś pilnie zajęta. Z tyłu, pod siatką maskującą, stał rover. Silnik pracował na wolnych obrotach. Usłyszał też inny, znany dźwięk: charakterystyczne klik-klak klawiatury komputera. Dziwne.

Od czasu do czasu Valerie mówiła do niego. W takich chwilach potrafił się nieco skupić i odmruzczyć coś na wpół zrozumiałego, choć przez cały czas jego świadomość budziła się do życia i zamierała.

W którymś z przyływów świadomości usłyszał swoje pytanie:

- ...Jak mnie odnalazłaś... tutaj... tak daleko... w samym środku pustyni?
- Za pomocą owada na fordzie.
- Karalucha?
- Innego owada.
- Pająka?
- Elektronicznego.
- W moim samochodzie?
- Tak. Sama go założyłam.
- Mówisz o... nadajniku? – zapytał niewyraźnie.
- Coś w tym rodzaju.
- Po co?
- Ponieważ śledziłaś mnie, kiedy wracałam do domu.
- Kiedy?
- We wtorek wieczorem. Nie wypieraj się.
- Ach, tak. Wtedy gdy się poznaliśmy.
- Mówisz tak, jakby to było coś romantycznego.
- Dla mnie było.

Valerie umilkła. Po chwili się odezwała:

- Nie żartujesz?
- Polubiłem cię od początku.

Znowu nastąpiła chwila ciszy.

– Przeszedłeś do „Czerwonych Drzwi”, rozmawiałeś ze mną jak zwykły sympatyczny klient, a potem śledziłeś mnie, kiedy wracałam do domu.

Pełny sens tego, co powiedziała, docierał do niego bardzo powoli. Równocześnie zaczynało go ogarniać zdumienie.

– Wiedziałaś o tym?

– Robiłeś to dobrze. Gdybym jednak nie potrafiła zorientować się, że ktoś mnie śledzi, byłabym już od dawna zimnym trupem.

– Podśluch! W jaki sposób?

– Jak go założyłam? Wysłałam tylnymi drzwiami, podczas gdy ty siedziałeś w fordzie po drugiej stronie ulicy. Zabrałam czyjś samochód o jedną przecnicę dalej, przyjechałam na moją ulicę, zaparkowałam w pewnej odległości za tobą, poczekałam, aż ruszysz, i śledziłam cię.

– Śledziłaś mnie?

– Śledzony śledził śledzącego.

– Pojechałaś za mną... aż do Malibu?

– Pojechałam za tobą aż do Malibu.

– Nie zauważyłem cię.

– Nie spodziewałeś się, że ktoś cię będzie śledził.

– Jezu...

– Przelazłam górą przez bramę i poczekałam, aż w domu zgasną światła.

– Jezu...

– Umocowałam nadajnik do podwozia eksplorera i połączyłam go z akumulatorem.

– Miałaś nadajnik.

– Zdumiałbyś się, gdybyś wiedział, co jeszcze mam.

– Już pewnie nie.

Obraz Valerie zamazał się i rozpląnął. Spencer ponownie pogрузił się w swoim wewnętrznym mroku.

Po jakimś czasie ocknął się i zobaczył przed sobą ten sam migotliwy obraz Valerie. Usłyszał własne słowa:

– Podśluch w moim samochodzie.

– Musiałam się dowiedzieć, kim jesteś i dlaczego mnie śledzisz. Wiedziałam tylko, że nie jesteś jednym z nich.

– Ludzi karalucha – powiedział słabym głosem.

– Tak.

– Mogłem być jednym z nich.

– Nie, gdyż odstrzeliłbyś mi głowę za pierwszym razem, kiedy znalazłeś się w pobliżu.

– Nie lubią cię, prawda?

– Nie bardzo. Zachodziłam w głowę, kim jesteś.

– Teraz już wiesz.

– Niezupełnie. Jesteś zagadką, Spencerze Grant.

– Ja jestem zagadką! – roześmiał się. Ból łomotał mu w głowie, kiedy się śmiał, ale śmiał się nadal. – Przynajmniej znasz moje nazwisko.

– Akurat. Jest tak samo prawdziwe jak moje.

- To jest moje prawdziwe nazwisko.
 - Akurat.
 - Tak się oficjalnie nazywam. Spencer Grant. Gwarantuję za to.
 - Być może. Ale kim byłeś, zanim zostałeś policjantem, zanim studiowałeś na uniwersytecie, na długo, nim wstąpiłeś do wojska?
 - Wiesz o mnie wszystko.
 - Nie wszystko. Tylko to, co zostawiłeś w rejestrach. Ponieważ śledziłeś mnie w drodze do domu, wystraszyłam się, więc zaczęłam cię rozpracowywać.
 - A zatem wyprowadziłaś się z bungalowu przeze mnie.
 - Nie wiedziałam, kim, do diabła, jesteś. Ale pomyślałam sobie, że skoro ty mnie odnalazłeś, oni również mogą. Znowu.
 - I znaleźli cię.
 - Zaraz następnego dnia.
 - A więc to ja cię uratowałam... dlatego, że cię przestraszyłam.
 - Można to tak nazwać.
 - Gdyby nie ja, byłabyś w domu...
 - Możliwe.
 - ...wtedy gdy oddział SWAT uderzył.
 - Prawdopodobnie.
 - Wydaje się, że... los tak chciał.
 - Ale czego ty tam szukałeś? – spytała.
 - Ja...
 - W moim domu?
 - Przecież cię nie było.
 - Więc co z tego?
 - To już nie był twój dom.
 - Wiedziałaś o tym, kiedy wszedłeś?
- Każda jej uwaga była dla niego kolejnym szokiem. Zamrugnął gwałtownie, na próżno próbując zobaczyć wyraźnie jej twarz.
- Jezu, jeśli miałaś podsłuch w moim samochodzie...!
 - To co z tego?
 - ...to musiałaś śledzić mnie w środę w nocy.
 - Owszem. Sprawdziałam, co z ciebie za ziółko.
 - Od Malibu?
 - Do „Czerwonych Drzwi”.
 - A potem z powrotem do twojego domu w Santa Monica?
 - Nie włączyłam do środka tak jak ty.
 - Ale widziałaś, co tam się działo?
 - Z daleka. Nie zmieniaj tematu.
 - Jakiego tematu? – spytał, szczerze zmieszany.
 - Miałaś mi wytłumaczyć, po co włamywałeś się w środę w nocy do mojego domu – przypomniała mu. Mówiła to bez złości, zwykłym tonem. Czułby się lepiej, gdyby była na niego wściekła.
 - Bo... nie zjawiałaś się w pracy.

- I dlatego włamałeś się do mojego domu?
- Nie włamałem się.
- Czyżbym zapomniała przysłać ci zaproszenie?
- Drzwi nie były zamknięte na zamek.
- To ty wchodzisz do wszystkich nie zamkniętych domów?
- Byłem... zaniepokojony.
- Dobrze, dobrze. Jazda, mów prawdę. Czego szukałeś tamtej nocy w moim domu?
- Chciałem...
- Czego chciałeś?
- Potrzebowałem...
- Czego? Czego ode mnie potrzebowałeś?

Spencer nie był pewien, czy umiera od ran, czy ze wstydu. W każdym razie stracił przytomność.

Helikopter przewiózł Roya Miro z wyschłego łożyska pustynnej rzeki prosto na lądowisko na dachu biurowca agencji w śródmieściu Las Vegas. Podczas gdy na pustyni trwały prowadzone z ziemi i z powietrza poszukiwania kobiety i pojazdu, który zabrał Spencera Granta, Roy Miro spędził sobotnie popołudnie w mieszczącym się na piątym piętrze ośrodku obserwacji satelitarnej.

Zjadł zamówiony w kantynie lunch, niezwykle obfity, żeby wynagrodzić sobie śniadanie, na które rano nie starczyło mu czasu. Prócz tego chciał nabrać energii przed czekającą go następną nocą z Eve Jammer.

Poprzedniego wieczora, gdy przyszedł wraz z Bobbym Dubois do ośrodka, było tam cicho: pracowało tylko kilka osób. Teraz obsadzone były wszystkie stanowiska przy komputerach i innych urządzeniach, a w całym pomieszczeniu słychać było gwar rozmów.

Najprawdopodobniej pojazd, którego szukano, przejechał w nocy sporą odległość po trudnym terenie. Grant i kobieta mogli nawet dostać się tak daleko, że zdołali wjechać na autostradę poza posterunkami, które organizacja postawiła na każdej trasie wylotowej z południowej części stanu. Oznaczałoby to, że znów wymknęli się z sieci.

– Możliwe było również, że nie dotarli nigdzie daleko. Mogli gdzieś utknąć. Mogło im się zepsuć coś w samochodzie.

Niewykluczone, że Grant był ranny. Ted Tavelov twierdził, że na siedzeniu znaleziono ślady krwi. Jeśli Grant był w kiepskiej formie, mógł być niezdolny do dalekiej podróży.

Roy zawsze starał się myśleć pozytywnie. Świat jest taki, jakim go uczynimy albo próbujemy uczynić. Przez całe życie wyznawał tę filozofię.

Spośród wszystkich satelitów zawieszonych nad zachodnią i południowo-zachodnią połącią Stanów Zjednoczonych, trzy miały możliwość przeprowadzenia rozległych poszukiwań, którymi Roy chciał objąć Nevadę i wszystkie sąsiadujące z nią stany. Jeden z owych trzech posterunków obserwacyjnych był do dyspozycji DEA. Drugi był własnością Agencji Ochrony Środowiska. Trzeci należał do Departamentu Obrony i oficjalnie był do dyspozycji armii, marynarki, sił powietrznych, piechoty morskiej i straży przybrzeżnej, w rzeczywistości jednak pozostawał pod ścisłą kontrolą polityczną szefa połączonych sztabów.

Postanowiono bez dyskusji wykorzystać satelitę Agencji Ochrony Środowiska.

DEA na skutek wtrącania się do jej działalności rozmaitych polityków zawiodła w znacznym stopniu nadzieje, jakie z nią wiązano, mimo wyteżonej i wykonywanej z poświęceniem pracy jej funkcjonariuszy. Służby wojskowe zaś, w dalszych latach po zakończeniu zimnej wojny zostały zaniedbane, były

niedoinwestowane i pomału dogorywały.

W przeciwieństwie do nich Agencja Ochrony Środowiska, jak na instytucję rządową, wypełniała swoje zadania bardzo dobrze częściowo dlatego, że nie miała przeciw sobie dobrze zorganizowanej grupy mafijnej ani żadnego lobby i również dlatego, że wielu spośród jej pracowników było szczerze oddanych idei uratowania środowiska naturalnego. Agencja Ochrony Środowiska współpracowała z Departamentem Sprawiedliwości z takim powodzeniem, że obywatel, który nawet nieumyślnie zanieczyścił będące pod ochroną bagna, mógł spędzić w więzieniu więcej czasu niż, na przykład, naćpany rzezimieszek, który w sklepie zabił sprzedawcę, kobietę w ciąży, dwie zakonnice i kotka podczas kradzieży czterdziestu dolarów i batonika mars.

Spektakularne sukcesy owocowały wzrostem budżetu i dodatkowymi pozabudżetowymi funduszami. W rezultacie Agencja Ochrony Środowiska dysponowała najlepszym sprzętem, od wyposażenia biur począwszy po satelity obserwacyjne. Gdyby jakiegokolwiek instytucji federalnej miano powierzyć samodzielne dysponowanie bronią jądrową, byłaby to Agencja Ochrony Środowiska, mimo że użyłaby jej w ostateczności – w przypadku na przykład kłótni z Departamentem Spraw Wewnętrznych w sprawie torfu.

W celu znalezienia Granta i kobiety organizacja użyła więc należącego do Agencji Ochrony Środowiska satelity obserwacyjnego Earthguard 3 zawieszono nad zachodnią częścią Stanów Zjednoczonych. Żeby uzyskać możliwość pełnego, niezakłóconego operowania nim, Mama wniknęła do komputerów agencji i dostarczyła im fałszywych danych o nagłej, całkowitej awarii systemów tego satelity. Naukowcy agencji z ośrodka wykorzystującego aparaturę satelity zorganizowali natychmiastową akcję w celu wykrycia uszkodzeń Earthguarda przy użyciu zdalnych testów. Jednakże Mama dyskretnie przejmowała wszystkie polecenia, wysyłane do zestawu finezyjnych urządzeń elektronicznych (wartości osiemdziesięciu milionów dolarów) i miała to czynić tak długo, aż organizacja skończy poszukiwania.

Posługując się Earthguardem 3 organizacja mogła przeprowadzić wizualną inspekcję obszaru kilku stanów. Aparatura pozwalała na obejrzenie każdego metra kwadratowego powierzchni, gdy istniało podejrzenie, że w danej strefie mogła się znajdować poszukiwana osoba lub pojazd.

Earthguard 3 dysponował również dwoma najnowocześniejszymi systemami nocnej inwigilacji. Za pomocą detektora podczerwieni można było odróżnić samochód od stacjonarnego źródła ciepła nie tylko dlatego, że się poruszał, ale też dzięki jego charakterystycznym parametrom termicznym. Drugi system wykorzystywał odmianę techniki noktowizyjnej zwaną Star Tron, umożliwiającą wzmocnienie natężenia nocnego światła osiemnaście tysięcy razy, dzięki czemu każda nocna scena była jasna jak w dzień i oglądana w tajemniczej, monochromatycznej zielonkawej poświacie.

Wszystkie zdjęcia, nim zostawały zakodowane i nadane, przechodziły w satelicie przez automatyczny program intensyfikujący. Po odebraniu ich przez ośrodek dyspozycyjny w Vegas, ponownie przechodziły przez także automatyczny, ale niepomernie bardziej finezyjny program udoskonalający, zainstalowany w superkomputerach Cray najnowszej generacji, w jeszcze wyższym stopniu podnoszący czystość i wysoką rozdzielczość zdjęć przed wyświetleniem ich na ściennym ekranie. Gdyby potrzebna była jeszcze wyższa klarowność obrazu, specjalny zespół techników poddałby zdjęcia zarejestrowane na taśmie dalszej obróbce.

Stopień doskonałości obserwacji satelitarnej – niezależnie od tego, czy dokonywanej w podczerwieni, czy przy użyciu techniki noktowizyjnej, a nawet teleskopowej – zależał w dużej mierze od stopnia zaludnienia badanego obszaru. Ogólnie – im gęstsze zaludnienie, tym trudniej było znaleźć pojedynczą osobę lub samochód ze względu na zbyt dużą liczbę poruszających się obiektów i źródeł ciepła, które

należało zakwalifikować jako podejrzane, a następnie dokonać ich szczegółowej analizy. Łatwiejsze do obserwacji były miasteczka niż duże miasta, obszary wiejskie niż miasteczka, drogi niż ulice metropolii.

Roy miał nadzieję, że Spencer Grant i ta kobieta spóźnili się z ucieczką. Byliby wówczas na terenie, gdzie satelita by ich odnalazł: na pustej, niezamieszkannej pustyni.

W ciągu sobotniego popołudnia i wieczoru badano zauważone samochody i bądź uznawano je za nieinteresujące, bądź wciągano na listę obiektów przeznaczonych do dalszej obserwacji, póki nie będzie można rozpoznać, czy nie pasują do uciekającej grupy: kobiety, mężczyzny i psa.

Oglądając przez dłuższy czas obrazy na dużym ekranie, Roy pozostawał pod wrażeniem doskonałości tej części świata, widzianej z orbity. Wszystkie barwy były ciepłe i stonowane, a kształty niezwykle harmonijne.

Wrażenie doskonałości stawało się tym większe, im rozleglejsze były śledzone przez urządzenia satelity, czyli im mniejsze były zbliżenia obserwowanych obszarów kraju. Wrażenie to potęgowały zdjęcia w podczerwieni. Im mniej dostrzegał znaków ludzkiej cywilizacji, tym bliższa perfekcji wydawała mu się cała planeta.

Pomyślał, że może mają rację ci ekstremiści, którzy uważają, iż w celu uratowania systemu ekologicznego należy bezwzględnie zredukować o dziewięćdziesiąt procent ogólnoswiatowe zaludnienie. Jakież bowiem będzie życie ludzi na świecie całkowicie zniszczonym cywilizacją?

Jeśli kiedykolwiek zostanie podjęty program redukcji zaludnienia, on sam z głęboką osobistą satysfakcją pomoże w jego realizacji, mimo że ta praca będzie wyczerpująca i niewdzięczna.

Dzień chylił się ku końcowi, a poszukiwania nie przynosiły rezultatów. O zmroku polowanie zostało przełożone na rano. Mimo swoich różnorodnych oczu Earthguard 3 nie okazał się bardziej skuteczny niż ludzie tropiący pieszo i z helikopterów. Miał jednak tę przewagę, że mógł kontynuować poszukiwania przez całą noc.

Roy przebywał w ośrodku obserwacji satelitarnej niemal do ósmej, kiedy wyszedł z Eve Jammer, udając się z nią na kolację do ormiańskiej restauracji. Dyskutowali przy wyśmienitych żeberkach jagnięcych z sałatą nad projektem masowej, szybkiej redukcji ludzkiej populacji. Omawiali sposoby osiągnięcia tego celu bez spowodowania niepożądanych skutków ubocznych, takich jak promieniowanie radioaktywne lub rozruchy uliczne wszczynane przez protestujących. Wymyślili kilka sprawiedliwych metod wyboru tej dziesięcioprocentowej części populacji, która przeżyje po to, żeby zapisywać dalszy ciąg sagi rodu ludzkiego – już mniej zagubionej i w znacznym stopniu udoskonalonej. Naszkicowali kilka projektów symboli propagandowych dla ruchu redukcyjnego, ułożyli kuszące slogany i zastanawiali się, jak powinny wyglądać mundury zwolenników ruchu. Nim wyszli z restauracji, żeby pojechać do domu Eve, byli już w najwyższym stopniu rozentuzjasmowani. Nie zawahaliby się zabić policjanta, który by ich zatrzymał, kiedy przejeżdżali z szybkością siedemdziesięciu mil na godzinę obok szpitali i przez dzielnice mieszkaniowe.

Z poplamionych cienistych ścian wystawały niesamowite udręczone twarze. Usta pootwierane, żebrzące beznadziejnie o litość. Wyciągające się w niemym błaganiu ręce. Wszystko razem tworzyło upiornie biały obraz, gdzieniegdzie pokryty smugami szarości i rdzawej czerwieni, w innych miejscach pocętkowany brązowymi i żółtymi plamami. Twarz przy twarzy, ciało obok ciała, wszystkie w postawie pełnej pokory, wszystkie twarze z wyrazem rozpaczliwego błagania: proszące, żebrzące, modlące się.

Nikt nie wie... nikt nie wie...

– Spencer, słyszysz mnie? Spencer!

Głos Valerie wydobywał się jakby z głębokiego tunelu, kiedy on szedł dokąds, nie wiedząc, czy to

jawa, czy sen... wahając się, czy iść dalej, czy zawrócić... nie mogąc wybrać między jednym a drugim piekłem.

– Uspokój się, wszystko jest w porządku, nie bój się, miałeś majaki.

– Nie... jestem w katakumbach... widzisz katakumby?

– To tylko sen.

– Jak w szkole... w książkach... na obrazkach... Rzym... męczennicy w katakumbach... ale bardziej, bardziej przerażające...

– Możesz już stamtąd wyjść. To tylko sen.

Słyszał własny głos, przechodzący od krzyku do żalosego zawodzenia.

– O Boże, o mój Boże, o mój Boże!

– Podaję ci rękę, Spencer, słyszysz mnie? Weź mnie za rękę, jestem tutaj, jestem koło ciebie.

– One tak się boją... tak się boją... są takie samotne i przerażone. Widzisz, jak się boją? Są same... nikt ich nie usłyszy... nikt nie będzie wiedział... takie przerażone. O Jezuu, pomóż mi, Jezuu...

– Uspokój się, weź mnie za rękę, tak, tak jest dobrze, trzymaj ją mocno. Jestem tu z tobą, Spencer. Już nie będziesz sam.

Trzymał jej ciepłą dłoń i jakoś udało jej się wyprowadzić go ze świata oślepijąco bladych twarzy i niemych krzyków.

Moc jej ręki sprawiła, że Spencer poczuł się lżejszy od powietrza. Uniósł się z głębin, w których przebywał, i poszybował przez ciemność, przenikając na jej końcu przez czerwone drzwi. Nie były to tamte drzwi, z mokrymi odciskami rąk na poźółkłej ze starości farbie. Te były całe czerwone, suche, nieco zakurzone. Znalazł się w szafirowoniebieskim świetle, wśród czarnych łóż z czarnymi krzesłami, opraw z polerowanej stali i lustrzanych ścian. Podium dla orkiestry było puste. Kilka osób popijało spokojnie przy stolikach. Nie było ruchu, więc usiadła koło niego na stołku barowym. Była ubrana w dżinsy i zamszową kurtkę, a nie w rozciętą spódniczkę i czarny sweter. On leżał na nadmuchiwanym materacu, spocony, a równocześnie zziębnięty, ona siedziała na stołku. Trzymali się za ręce, rozmawiali z sobą, jakby byli starymi przyjaciółmi, gdzieś opodal syczała lampa Colemana.

Wiedział, że majaczy, ale nie dbał o to. Ona była taka piękna.

– Po co wszedłeś do mojego domu w środek w nocy?

– Już ci powiedziałem.

– Nie. Znowu się wykręcasz.

– Chciałem się dowiedzieć, co się z tobą stało.

– Dlaczego?

– Czy ty mnie nienawidzisz?

– Skądże znowu. Próbuję to zrozumieć.

– Wszedłem do domu, a tu przez okno zaczęły padać granaty obezwładniające.

– Mogłeś odejść, kiedy się zorientowałeś, że sytuacja robi się poważna.

– Nie mogłem pozwolić, żebyś skończyła w rowie, osiemdziesiąt mil od domu.

– Co?

– Albo w katakumbach.

– Dlaczego brnąłeś w to głębiej, kiedy zorientowałeś się, że mam kłopoty?

– Już ci powiedziałem. Spodobałaś mi się od chwili, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

– Ależ to było tego samego dnia! Jestem dla ciebie obcą osobą.

– Chciałem...

- Czego?
- Chciałem... zacząć inaczej żyć.
- Nie podoba ci się twoje życie?
- Chciałem zacząć żyć, mając jakąś nadzieję.

Wnętrze baru rozpląnęło się, a niebieskie światło zamieniło się w ohydne, żółtawe. Na poplamionych obskurnych ścianach widniały twarze. Białe, śmiertelne maski, usta otwarte w niemym przerażeniu, błagające o litość.

Wzdłuż elektrycznego przewodu, zwisającego przy suficie, sunął pająk. Jego wyolbrzymiony cień przesuwiał się po poplamionych, białych niewinnych twarzach.

Za chwilę, będąc znowu w barze, powiedział do niej:

- Jesteś dobra.
- Skąd możesz o tym wiedzieć?
- Od Thedy.
- Theda myśli, że wszyscy są dobrzy.
- Opiekowałaś się nią, kiedy była bardzo chora.
- Tylko przez parę tygodni.
- Dniami i nocami.
- To nie było nic wielkiego.
- Teraz opiekujesz się mną.
- Jeszcze cię z tego nie wyciągnęłam.
- Im więcej się o tobie dowiaduję, tym okazujesz się lepsza.
- Do diabła, może ja jestem święta.
- Nie. Jesteś tylko dobra. Jesteś zbyt sarkastyczna, żeby być świętą.

Roześmiała się.

- Nie można cię nie polubić.
- To dobrze. Zaczynamy się poznawać.
- Czy to się tak nazywa?

Pod wpływem nagłej potrzeby powiedział:

- Kocham cię.

Valerie milczała tak długo, że Spencerowi wydało się, iż znowu stracił przytomność.

W końcu odezwała się:

- Masz majaki.
- Nie co do tego.
- Zmienię ci kompres na czole.
- Kocham cię.
- Lepiej przestań mówić i spróbuj odpocząć.
- Będę cię kochał zawsze.
- Cicho bądź, ty cudaku – powiedziała dziwnie miękkim tonem. – Nie mów nic i odpoczywaj.
- Zawsze – powtórzył.

Wyznawszy jej, że to ona jest jego nadzieją, poczuł się tak odprężony, że zapadł w sen bez koszmarów.

Ocknął się znacznie później – niepewny, czy jest na jawie, czy we śnie, w półświatle, które mogło być światem, zmierzchem, blaskiem lampy lub tajemniczą poświatą ze snu – słysząc, jak mówi sam do

siebie „Michael”.

– O, obudziłeś się – powiedziała.

– ...Michael.

– Nie ma tu żadnego Michaela.

– Musisz go poznać – ostrzegł ją.

– Dobrze. Opowiedz mi o nim.

Żałował, że nie może jej widzieć. Rozróżniał tylko światło i mrok, nie dostrzegał nawet jej sylwetki.

– Musisz go poznać, jeśli... jeśli chcesz być ze mną.

– Opowiedz mi o nim.

– Nie będziesz mnie nienawidziła, kiedy poznasz prawdę?

– Nie tak łatwo zaczynam nienawidzić. Uwierz mi. Zaufaj mi i opowiedz. Kim jest Michael?

– Umarł, kiedy miał czternaście lat.

– Był twoim przyjacielem?

– To jestem ja. Umarłem, kiedy miałem czternaście lat... zostałem pochowany, kiedy miałem szesnaście.

– Miałeś na imię Michael?

– Przez dwa lata nie istniałem, potem odrodziłem się jako Spencer.

– Jakie nosiłeś... jak się Michael nazywał?

Teraz wiedział, że jest na jawie, a nie we śnie, gdyż we śnie nigdy nie czuł się tak źle jak w tym momencie. Potrzeba wyjawienia prawdy stała się nie do powstrzymania, ale ta prawda była jak śmierć. Poczul w sercu bolesne igły przerażającej tajemnicy.

– Jego imię to... imię diabła.

– Jak się nazywał ten diabeł?

Spencer milczał. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć słów.

– Jak się nazywał ten diabeł? – powtórzyła pytanie.

– Ackblom. – W końcu udało mu się wykrztusić zniechęcone zgłoski.

– Ackblom? Czemu mówisz, że to imię diabła?

– Nie pamiętasz? Nigdy o nim nie słyszałaś?

– Chyba będziesz musiał mi o nim opowiedzieć.

– Zanim Michael zmienił imię na Spencer – wyznał Spencer – miał ojca. Miał ojca... tak samo jak inni chłopcy... ale nie takiego samego jak inni chłopcy. Ojciec nosił... nosił imię Steven. Steven Ackblom. Był artystą malarzem.

– O mój Boże.

– Nie lękaj się mnie – prosił. Głos mu się łamał po każdym słowie.

– To ty jesteś tym chłopcem?

– Nie zniechęć mnie.

– Jesteś nim.

– Nie zniechęć mnie.

– Czemu miałabym cię zniechęcić?

– Ponieważ to ja nim jestem.

– Jesteś chłopcem, który był bohaterem.

– Nie.

– Właśnie, że tak.

– Nie uratowałem ich.

– Ale uratowałeś wszystkie te, które mogły zginąć później.

Jego własny głos mroził go bardziej niż zimna ulewa, którą przed niewielu godzinami przecierpiał.

– Nie uratowałem ich.

– Zachowałeś się w porządku.

– Nie uratowałem ich. – Poczul na twarzy jej rękę, a potem palce przesuwające się wzdłuż jego blizny.

– Biedny diable – powiedziała miękko. – Biedny, słodki diable.

W sobotni wieczór Roy Miro, siedząc na krawędzi krzesła w sypialni Eve Jammer, ujrzał prezentację takich wspaniałości, których nie zobaczyłby nigdzie, nawet za pomocą wyposażonego w najlepszą aparaturę satelity szpiegowskiego.

Tym razem Eve nie pozdejmowała z czarnego materaca przykrywających go aksamitnych prześcieradeł i nie użyła pachnących olejków. Miała natomiast nowy zestaw zabawek erotycznych, jeszcze bardziej wymyślnych niż poprzednie. Wykorzystując je, zademonstrowała takie wyżyny techniki samozaspokajania, których Roy sobie w ogóle nie wyobrażał i które wywołały w nim jeszcze silniejsze doznania erotyczne niż poprzedniej nocy.

Noc spędzona na oglądaniu wszystkich doskonałości ciała Eve zrekompensowała mu brak sukcesów w działaniach operacyjnych w następnym dniu.

W ciągu całej niedzieli ani obserwacja satelitarna, ani helikoptery, ani piesze grupy tropiciele nie znalazły najdrobniejszego śladu ściganych.

Funkcjonariusze w Carmel, w Kalifornii, wysłani tam po zwierzeniu się Thedy Davidowitz w rozmowie z Grantem, że Hannah Rainey uważała tę miejscowość za najlepsze miejsce do zamieszkania – podziwiali piękno Carmel i wdychali odświeżającą zimową mgłę. Nie trafili natomiast na żaden ślad uciekinierki.

Z Orange County nadszedł raport od Johna Klecka, że w prowadzonym śledztwie nie znalazł nowych tropów.

Agent w San Francisco, poszukujący Porthów, który wcześniej dowiedział się, że nie żyją od lat, zameldował, że przejrzał w sądzie zapisy testamentowe, z których wynikało, że Ethel Porth przepisała swoje nieruchomości na męża. George zaś scedował cały majątek na wnuka, Spencera Granta, zamieszkałego w Malibu, w Kalifornii, jedyne dziecko Jennifer, córki Porthów. Nic nie wskazywało na to, że Grant kiedykolwiek nosił inne nazwisko. Nie było również żadnej wzmianki o jego ojcu.

Z ośrodka obserwacji satelitarnej Roy zatelefonował do Thomasa Summerton. Mimo niedzieli Summerton, zamiast odpoczywać na farmie w Wirginii, był w swoim biurze w Waszyngtonie. Zgodnie z zasadami bezpieczeństwa potraktował telefon Roya jako pomyłkę, a chwilę później oddzwonił na umówionej linii, włączając urządzenie kodujące, dostosowane do dekodera w aparacie Roya.

– Mamy cholerne kłopoty w Arizonie – powiedział Summerton. Był wściekły.

Roy nie wiedział, o czym mówi jego szef.

– Jakiemuś bogatemu dupkowi wydaje się, że uda mu się zbawić świat. Oglądałeś wiadomości?

– Byłem zbyt zajęty – odparł Roy.

– Ma trochę dowodów, które mogą sprawić mi problemy w związku z naszą zeszłoroczną działalnością w Teksasie. Radził się niektórych, jak najlepiej się do nas dobrać. Mieliśmy zamiar go unieszkodliwić, fabrykując dowody na to, że handlował narkotykami pod zastaw swojego majątku.

– I skonfiskować mu majątek?

– Tak. Zabralibyśmy mu wszystko. Kiedy jego rodzina nie miałaby z czego żyć, a on nie miałby pieniędzy, żeby zapłacić adwokatowi – przyszedłby po łaskę. Wszyscy tak zwykle kończą. Ale operacja się nie udała.

Wszyscy tak zwykle kończą, pomyślał ze smutkiem Roy. Nie powiedział tego głośno. Wiedział, że Summerton nie doceniłby szczerości. Ponadto jego konstatacja byłaby zawstydzającym przykładem pesymistycznego myślenia.

– Tam, w Arizonie, został zabity agent FBI – powiedział ze złością Summerton.

– Prawdziwy czy taki najemnik jak ja?

– Prawdziwy. Żona dupka i jego chłopak też zostali zabici na trawniku przed domem, a on sam strzelał schowany wewnątrz, tak że nie mogliśmy ukryć ciał przed przybyciem telewizji. Ponadto sąsiad zarejestrował wszystko na kamerze wideo.

– Facet zabił własną żonę i dziecko?

– Niestety, nie. Ale może uda nam się tak to upozorować.

– Mimo nagrania wideo?

– Żyjesz dość długo, żeby wiedzieć, iż film rzadko kiedy jest rozstrzygającym dowodem. Weź na przykład wideo Rodneya Kinga. Do diabła, a film Zaprudera z zabójstwa Kennedy’ego. – Summerton westchnął. – Roy, mam nadzieję, że przynosisz mi dobre wieści, coś, co podniesie mnie na duchu.

Bycie prawą ręką Summertona zaczynało się stawać przykre. Roy żałował, że nie może zameldować o jakimkolwiek postępie w swojej misji.

– A zatem – powiedział Summerton, nim odłożył słuchawkę – tak się składa, że obecnie brak nowin jest dobrą nowiną.

Trochę później, przed wyjściem z biur agencji w Vegas w niedzielę wieczorem, Roy zdecydował się polecić Mamie, żeby użyła Nexis i innych agencji zajmujących się dostarczaniem informacji do przejrzenia wszystkich banków danych w dostępnych sieciach informacyjnych pod kątem hasła „Jennifer Corrine Porth”. Raport miał być gotów następnego dnia rano. Teksty wszystkich wydań ważniejszych gazet i magazynów z „New York Times” włącznie, na przestrzeni ostatnich piętnastu, dwudziestu lat, zostały zmagazynowane w pamięci elektronicznej i były dostępne za pośrednictwem zwykłej linii telefonicznej. Podczas poprzedniego przeglądania przez Mamę tej pamięci pod hasłem „Spencer Grant” jedyna znaleziona informacja prasowa dotyczyła zabicia przez niego przed kilku laty dwóch złodziei samochodów na ulicy w Los Angeles. Może nazwisko jego matki przyniesie więcej informacji.

Jeśli Jennifer Corrine Porth umarła w niezwykłych okolicznościach lub jeśli była chociaż trochę znana w sferach biznesu, rządowych lub artystycznych, w kilku bardziej znaczących gazetach znalazłaby się notatka o jej śmierci. Jeśli Mama odszuka jakąkolwiek notatkę o niej lub dłuższy nekrolog, może będzie w nim wzmianka o jedynym dziecku Jennifer.

Roy z uporem starał się myśleć optymistycznie. Wierzył, że Mama wyszuka coś na temat Jennifer i że w końcu zostanie znaleziony punkt zaczepienia.

Kobieta. Chłopiec. W tyle stajnia. Mężczyzna wśród cieni.

Nie musiał wyjmować fotografii, żeby przypomnieć sobie ich twarze. Tkwiły w jego pamięci od dawna. Widział je w gazecie, przed wielu laty, w jakimś znaczącym kontekście.

W niedzielny wieczór Eve pomogła Royowi odzyskać dobry humor i natchnęła go optymizmem. Świadoma jego uwielbienia i tego, że to uwielbienie dawało jej absolutną władzę nad nim, doprowadziła się do szaleństwa, które przewyższyło wszystko, co widział do tej pory.

Przez część ich trzeciego niezapomnianego spotkania siedział na klapie od sedesu, patrząc na nią,

podczas gdy ona udowadniała, że kabina prysznic sprzyja zabawom erotycznym na równi z łóżkiem – wszystko jedno, czy udrapowanym futrem, czy przykrytym aksamitnym prześcieradłem, czy wyłożonym gumą.

Był zdumiony faktem, że ktoś poświęcił swój talent projektowaniu i wytwarzaniu aparatów wodnych, które znajdowały się w jej kolekcji. Były sprytnie pomyślane, intrygująco giętkie, błyszczące, przekonująco żywe w swych generowanych za pomocą baterii lub rąk ruchach, tajemnicze i emocjonujące w efekcie zawłości węzowo-gumowych kształtów i wymyślnej faktury powierzchni. Royowi przypominały dodatkowe części ciała, prawdziwe i sztuczne, które widywał w snach. Kiedy Eve się nimi posługiwała, Roy doznawał uczucia, jakby rozkoszne ręce pieściły na odległość niektóre części jego ciała.

W atmosferze pary, gorącej wody i pachnącej piany mydlanej Eve wydawała się idealna nie w sześćdziesięciu, ale w dziewięćdziesięciu procentach. Była równie nierzeczywista jak ideał kobiecości na obrazie.

Roy nie osiągnął jeszcze nigdy w życiu takiego błogostanu jak teraz, kiedy patrzył, jak Eve metodycznie pobudza się na różne sposoby, używając za każdym razem stosownych urządzeń, które sprawiały wrażenie odciętych, ale mimo to funkcjonujących organów superkochanków z czasów, które dopiero nadejdą. Roy potrafił koncentrować swoją uwagę na jednym elemencie w takim stopniu, że Eve przestawała dla niego istnieć, a każdy zmysłowy kontakt jej intymnych części ciała z ławką i z prętami uchwytów w obszernej kabinie prysznic był dla niego kontaktem tego doskonałego ciała z jego bezcielesnym dopełnieniem: geometrią erotyki, fizyką lubieżności, studium dynamiki nienasyconej żądzy. Seans był czysto cielesny, nie zepsuty pierwiastkami osobowości ani znamionami jakichkolwiek uczuć wyższych. Roy został uniesiony w najwyższe sfery przyjemności podglądacza, tak szaleńczej, że omal krzyczał z bólu rozkoszy.

Spencer ocknął się, kiedy słońce wyjrzało zza pasma gór na wschodzie. Światło miało miedziany kolor, a po jałowej ziemi kładły się długie poranne cienie wypiętrzających się skał i koślawej roślinności pustynnej.

Mglistość widzenia ustąpiła. Słońce nie raziło go już w oczy. Na krawędzi cienia rzucanego przez płachtę siedziała odwrócona do niego plecami Valerie. Była zajęta czymś, czego nie mógł dojrzeć.

Obok siedział Rocky, również tyłem do niego.

Słyszał warkot pracującego na wolnych obrotach silnika. Miał tyle siły, żeby unieść głowę i odwrócić ją w stronę źródła hałasu. Za nim, głębiej w zamaskowanej niszy stał range rover. Z otwartych drzwi kierowcy wybiegał w stronę Valerie pomarańczowy kabel elektryczny.

Spencer czuł się okropnie, ale był zadowolony z polepszenia się stanu swojej świadomości w porównaniu z poprzednim ciągłym balansowaniem na jej krawędzi. Nie miał już wrażenia, że czaszka lada moment eksploduje, a ból głowy ograniczył się do przytępionego pulsowania, które czuł nad prawym okiem. Miał wyschnięte usta i spękane wargi, ale ból gardła ustąpił.

Ranek był ciepły. Było mu gorąco, ale nie od wewnętrznej gorączki, gdyż czoło miał zimne. Odrzucił na bok koc.

Ziewnął, przeciągnął się i jęknął z bólu. Bolały go wszystkie mięśnie, ale po laniu, które otrzymał, można się było tego spodziewać.

Jęk zaalarmował Rocky'ego. Przybiegł w podskokach, szczerząc zęby i machając ogonem, szczęśliwy, że pan się obudził.

Spencer musiał przecierpieć radosne lizanie po twarzy, zanim udało mu się złapać psa za obrozę

i utrzymać na długość języka.

Valerie spojrzała przez ramię i powiedziała:

– Dzień dobry.

W porannym świetle słonecznym wyglądała równie uroczo jak przy blasku lampy.

Już miał to powiedzieć głośno, gdy nagle mgliście sobie przypomniał, że z pewnością wyznał jej za dużo wówczas, gdy nie w pełni panował nad sobą. Podejrzywał, że nie tylko wyjawiał jej swoje tajemnice, które powinien był zachować dla siebie, ale że był otwarcie szczery na temat swoich uczuć dla niej i że zachował się naiwnie, jak zakochany szczeniak.

Usiadł, nie pozwalając psu polizać się ponownie.

– Bez obrazy, kolego, ale cuchniesz całkiem nieźle.

Ukląkł, podniósł się i zachwiał.

– Masz zawroty głowy? – spytała Valerie.

– Nie, już mi przeszły.

– To dobrze. Zdaje się, że doznałeś wstrząsu. Nie jestem lekarzem, jak to jasno ująłeś, ale mam z sobą parę odpowiednich książek.

– Czuję się trochę osłabiony. I głodny. Nawet bardzo.

– Myślę, że to dobry znak.

Teraz, kiedy Rocky był nieco dalej, Spencer zorientował się, że to nie pies śmierdział. Śmierdział on sam: wilgotnym mułem rzeczonym i potem przebytej gorączki.

Valerie wróciła do swojego zajęcia.

Starając się zbliżyć do niej pod wiatr i uspokoić rozbawionego psa, Spencer powłókł się do granicy zacienionej przestrzeni, żeby zobaczyć, czym Valerie jest tak bardzo zajęta.

Na rozpostartej na ziemi czarnej plastikowej macie stał komputer. Nie był to laptop, ale normalny, stacjonarny komputer, z włączonym między jednostką logiczną a kolorowym monitorem zabezpieczeniem przeciwwudarowym typu Master-Piece. Na podółku Valerie spoczywała klawiatura. Widok tak wyrafinowanego osiągnięcia cywilizacji w dzikim krajobrazie, niezmiennym od setek, tysięcy, a może milionów lat, był szokujący.

– Ile ma megabajtów? – zapytał.

– Nie mega. Giga. Dziesięć gigabajtów.

– Czy aż tyle ci trzeba?

– Część programów, których używam, jest piekielnie skomplikowana. Zajmują większość twardego dysku.

Pomarańczowy przewód elektryczny wychodzący z rovera był podłączony do jednostki logicznej komputera. Drugi pomarańczowy przewód biegł od jednostki logicznej do osobliwie wyglądającego urządzenia, spoczywającego w świetle słonecznym o dziesięć stóp od linii cienia ich zamaskowanej kryjówki. Wyglądało jak odwrócony krążek frisbee bez zawiniętego do środka kołnierza. Pod spodem, w środku, przymocowane było do złącza kulowego, którego drugą stroną przytwierdzono do czterocalowego, giętkiego, czarnego ramienia, niknącego w szarej skrzynce o podstawie około jednej stopy kwadratowej, wysokiej na cztery cale.

Valerie, zajęta przy klawiaturze, odpowiedziała na jego pytanie, nim zdążył je zadać:

– Łącze satelitarne.

– Rozmawiasz z kosmitami? – zapytał półzartem.

– W tej chwili z komputerem De-o – odparła, przerywając rozmowę, żeby przeczytać informacje na

ekranie.

– De-o? – zaciekał się.

– Departamentu Obrony.

Przykucnął obok niej.

– Jesteś agentką rządową?

– Nie powiedziałam, że rozmawiam z komputerem De-o za zgodą departamentu ani za jego wiedzą. Połączyłam się z satelitą kompanii telefonicznej, potem z jedną spośród linii przeznaczonych do testowania systemów i tą drogą z zastrzeżonym komputerem Departamentu Obrony w Arlington, w Wirginii.

– Zastrzeżonym... – powiedział z powątpiewaniem.

– Doskonale zabezpieczonym.

– Założę się, że nie znalazłaś jego numeru w książce telefonicznej.

– Znalezienie numeru telefonu nie jest takie trudne. Trudniej zdobyć kody operacyjne umożliwiające używanie ich systemu, kiedy ma się już połączenie. Samo połączenie, jeśli się nie zna kodów, do niczego się nie przydaje.

– Znasz te kody?

– W ciągu czternastu miesięcy miałam stały dostęp do De-o. – Jej palce znów biegały po klawiaturze.

– Najtrudniej zdobyć kod dostępu do programu, który co jakiś czas zmienia wszystkie inne kody. Jeśli go nie znasz, stracisz z nimi kontakt, chyba że za każdą zmianą podadzą ci aktualny kod.

– Stwarzasz pozory, jakbyś przed czternastoma miesiącami, tak sobie całkowicie przypadkowo, znalazła te wszystkie dane, nagryzmołone przez kogoś wśród innych rysunków na ścianie toalety.

– Troje ludzi, których kochałam, zginęło, zdobywając te kody.

Mimo że ton jej odpowiedzi nie różnił się od zwyczajnego, sama treść miała w sobie taki ciężar emocjonalny, że Spencer umilkł i popadł w zadumę.

Spod pobliskiej skały wypełzła długa na stopę jaszczurka, brązowa, nakrapiana złotymi i czarnymi plamkami. Pobieгла parę kroków po ciepłym piasku. Kiedy zobaczyła Valerie, zamarła, przyglądając się jej z zaciekawieniem. Miała wylupiaste, zielono-srebrne oczy z szorstkimi powiekami.

Rocky również zauważył jaszczurkę i schował się za swojego pana.

Spencer uśmiechnął się do jaszczurki, chociaż nie zdawał sobie sprawy, dlaczego jej widok tak go ucieszył. Spozstrzegł, że od dłuższego czasu bawi się nefrytowym medalionem, i wtedy zrozumiał. Louis Lee. Bazanty i smoki. Dobrobyt i długie życie.

„Troje ludzi, których kochałam, zginęło, zdobywając te kody”.

Przestał się uśmiechać.

– Kim jesteś? – spytał Valerie.

Nie odrywając oczu od ekranu, odparła:

– Chcesz wiedzieć, czy jestem międzynarodową terrorystką, czy pełną patriotyzmu Amerykanką?

– No cóż, nie klasyfikowałbym tego w ten sposób.

– W ciągu ostatnich pięciu dni próbowałam dowiedzieć się o tobie wszystkiego, co się dało. Znalazłam cholernie mało. Udało ci się prawie całkowicie wymazać swoje istnienie. Mam więc chyba prawo zadać ci to samo pytanie: Kim ty jesteś?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu kimś, kto lubi zacisze domowe.

– Na pewno. A ja jestem zaniepokojonym, zaangażowanym obywatelem – niewiele różniącym się od

ciebie.

– Z tą różnicą, że ja nie wiem, jak włamać się do komputera Departamentu Obrony.

– Manipulowałeś przy swojej ewidencji wojskowej.

– Jest łatwo dostępna w porównaniu z trudnościami, które ty musiałś pokonać. Czego ty, do diabła, szukasz?

– Departament Obrony śledzi wszystkie satelity na orbitach: cywilne, rządowe, wojskowe – zarówno krajowe, jak i zagraniczne. Chcę zidentyfikować wszystkie satelity wyposażone w aparaturę obserwacyjną, które patrzą na ten mały zakątek świata, gdzie teraz jesteśmy, i które znajdą nas, jeśli wyjdziemy z kryjówki.

– Myślałem, że rozmowa o oczach w niebie była fragmentem mojego snu – powiedział z zaniepokojeniem.

– Zdumiałbyś się, gdybyś wiedział, ile tam tego jest. Z pewnością od dwóch do sześciu satelitów obserwacyjnych, widzących zachodnie i południowo-zachodnie stany.

Czuł się zaszokowany.

– Co będzie, kiedy je zidentyfikujesz?

– Departament Obrony ma ich kody dostępu. Za ich pomocą połączę się po kolei z każdym z satelitów, poszperam w jego bieżącym programie i sprawdzę, czy nas poszukują.

– Ta przerażająca niewiasta szpera w satelitach – powiedział do Rocky'ego, ale pies wydawał się mniej poruszony niż jego pan, jak gdyby psia rasa była od wieków przyzwyczajona do szwindli. Zwracając się do Valerie, dodał: – Nie wydaje mi się, żeby słowo „włamywacz” określało cię wystarczająco.

– W takim razie... jak określałeś ludzi takich jak ja, kiedy byłeś w wydziale zwalczania przestępstw komputerowych?

– Nawet nie wyobrażaliśmy sobie, że tacy mogą w ogóle istnieć.

– Okazuje się, że istnieją.

– Sądzisz, że rzeczywiście będą nas szukali za pomocą satelitów? – spytał z powątpiewaniem. – Myślę, że nie jesteśmy tacy ważni.

– Wydaje im się, że ja jestem. A dzięki tobie są teraz zupełnie zdezorientowani. Dopóki nie dowiedzą się, o co ci chodzi, będą myśleli, że jesteś dla nich równie niebezpieczny jak ja – a może bardziej. Człowiek nierozpoznany, czyli ty, jest dla nich bardziej złowieszczy niż ktoś, o kim wszystko wiadomo.

Przez chwilę nad tym myślał.

– Kim są ludzie, o których mówisz?

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

Spencer już chciał odpowiedzieć, ale powstrzymał się. Nie zamierzał się kłócić. Przynajmniej nie teraz. Przede wszystkim chciał się umyć i coś zjeść.

Valerie, nie odrywając się od pracy, powiedziała mu, że plastikowe pojemniki z wodą, miska, mydło w płynie, gąbki i czysty ręcznik zostały załadowane z tyłu rovera.

– Nie zużyj zbyt wiele wody. To nasz cały zapas, a może będziemy musieli zostać tu jeszcze przez kilka dni.

Rocky poszedł za panem do samochodu, oglądając się z widoczną obawą za wygrzewającą się na słońcu jaszczurką.

Spencer odkrył, że Valerie uratowała jego rzeczy z exploraera. Po umyciu się gąbką mógł się ogolić i przebrać w czystą odzież. Był teraz odświeżony i nie czuł już odoru własnego ciała. Nie mógł jedynie

doprowadzić do porządku włosów, ponieważ bolały go nie tylko okolice rany na głowie, ale cały wierzch czaszki.

Rover był wozem terenowym, podobnie jak ford, i obecnie szczelnie wyładowanym różnym sprzętem i zapasami, od tylnych drzwi niemal po oparcia przednich siedzeń, z pozostawieniem dwóch stóp wolnej przestrzeni. Żywność znajdowała się w miejscu, w którym umieściłaby ją bardzo systematyczna osoba: tuż za dwustopową wolną przestrzenią za siedzeniami, w kartonach i chłodziarkach, łatwo dostępna od strony kierowcy lub pasażera.

Większość zapasów żywności stanowiły puszki i butelki, cała reszta to były kartony z krakersami. Spencer był zbyt głodny, żeby czekać, aż coś się ugotuje; wyjął dwie małe puszki frankfurterek, dwie paczki serowych krakersów i puszkę gruszek.

W jednym ze styropianowych termosów, także znajdującym się w zasięgu ręki, znalazł broń. Pistolet Sig kalibru 9 milimetrów i micro-uzi przerobione nielegalnie na w pełni automatyczny. Były tam również zapasowe magazynki do obu pistoletów.

Spencer obejrzał broń, a potem odwrócił się, żeby popatrzeć przez przednią szybę na siedzącą przy komputerze, w odległości dwudziestu stóp, kobietę.

Bez wątpienia znała się na wielu rzeczach. Wydawała się tak dobrze przygotowana na wszelkie ewentualności, że mogła być wzorem nie tylko dla harcerek, ale dla tych, którzy mieliby przetrwać koniec świata. Była bystra, inteligentna, wesoła, śmiała i odważna, a przy tym dobrze wyglądała w świetle lampy, w świetle słonecznym – i w ogóle w każdym świetle. Z pewnością dobrze władała zarówno pistoletem, jak i automatem, gdyż w przeciwnym razie, jako kobieta praktyczna, nie zabierałaby ich z sobą: szkoda by jej było miejsca na sprzęt, którym nie potrafiłaby się posługiwać, a poza tym nie ryzykowałaby narażania się na karę za posiadanie pistoletu maszynowego, gdyby nie umiała – i nie miała zamiaru – strzelać z niego.

Spencer zastanawiał się, czy kiedykolwiek musiała strzelać do człowieka. Miał nadzieję, że nie. Miał też nadzieję, że nigdy nie zostanie doprowadzona do takiej ostateczności. Wydawało się jednak, że życie przynosiło jej same takie sytuacje.

Otworzył puszkę z parówkami. Oparł się pokusie włożenia od razu całej zawartości do ust i jadł miniaturowe frankfurterki z elegancją, kolejno jedną po drugiej. Jeszcze nigdy nic nie smakowało mu bardziej. Włożył sobie do ust ostatnią i wrócił do Valerie.

Rocky piszczał i tańczył wokół niego, domagając się kaska.

– Mój – powiedział Spencer.

Przykucnął obok Valerie, ale się nie odzywał. Wydawała się bardzo skupiona nad tajemniczymi danymi zapełniającymi ekran.

Jaszczurka wygrzewała się na słońcu, w tym samym miejscu co pół godziny wcześniej, czujna i gotowa do ucieczki. Wyglądała jak miniaturowy dinozaur.

Spencer otworzył drugą puszkę z parówkami, dwie dał psu, a sam kończył właśnie trzecią, ostatnią, kiedy Valerie drgnęła ze zdumienia.

– Ach, gównno – zaklęła.

Jaszczurka zniknęła pod skałą.

Spencer zobaczył pulsujący na ekranie napis: OBCY SYGNAŁ.

Valerie gwałtownie wyłączyła komputer.

Nim ekran zgasł, Spencer spostrzegł, że pod pierwszym napisem pulsowały jeszcze dwa słowa: PUNKT NAMIERZONY.

Valerie poderwała się, wyszarpnęła obie wtyczki z komputera i pobiegła do czaszy anteny satelitarnej.

– Ładuj wszystko do rovera!

Spencer, podnosząc się, spytał:

– Co się dzieje?

– Używają satelity Agencji Ochrony Środowiska. – Przyniosła antenę i teraz odwracając się ku niemu, powiedziała:

– Stosują cholernie sprytny program zabezpieczający, który wykrywa każdy włamujący się sygnał i lokalizuje punkt, z którego jest wysyłany. – Mijając go w biegu, zawołała: – Pomóż mi w pakowaniu. Ruszaj się, no, jazda, prędzej!

Położył klawiaturę na monitorze i podniósł cały zestaw wraz z jednostką logiczną i gumową matą. Jego obolałe mięśnie buntowały się przeciw pośpiechowi, kiedy idąc za Valerie, niósł wszystko w stronę rovera.

– Znaleźli nas? – zapytał.

– Dranie! – uniosła się gniewem.

– Może zdążyłaś wyłączyć na czas.

– Nie.

– Skąd mogą być pewni, że to my?

– Domyślą się.

– Na sygnale radiowym nie ma odcisków palców.

– Wkrótce po nas przyjadą – upierała się.

W niedzielny wieczór, trzeci, który spędzali razem, Eve Jammer i Roy Miro rozpoczęli swoje namiętne, bezdotykowe kochanie się wcześniej niż poprzednio. Mimo że była to ich najdłuższa i najbardziej żarliwa sesja, skończyli ją przed północą. Później leżeli obok siebie na łóżku, niepokalani, w miękkim rozproszonym świetle błękitnych neonówek, każde z nich śledzone rozkochanym wzrokiem drugiego w zawieszonych na suficie lustrach. Eve była naga jak w chwili, kiedy przyszła na świat, natomiast Roy był kompletnie ubrany. Po pewnym czasie zapadli w głęboki, kojący sen.

Roy przywiózł z sobą przybory toaletowe, tak że mógł udać się prosto do pracy. Wziął prysznic w łazience dla gości, gdyż nie chciał rozbierać się w jej obecności, żeby nie ujawnić wielu swoich fizycznych wad, począwszy od serdelkowatych palców u nóg, poprzez sękaty brzuch po usiane piegami i pieprzykami piersi. Ponadto żadne z nich nie chciało brać kąpieli jako drugie w tej samej kabinie. Gdyby miał stanąć na mokrych, obmytych przez Eve płytkach kabiny, lub vice versa – mogłoby to w drobny, niemniej kłopotliwy sposób naruszyć ich bezdotykowy związek, wolny od wymiany płynów.

Przypuszczał, że wiele osób uznałoby ich za wariatów.

Natomiast każdy, kto przeżył prawdziwą miłość, zrozumiałby.

Nie musząc wstępować do hotelu, Roy przybył do ośrodka łączności satelitarnej dość wcześnie. Wchodząc do wnętrza, od razu wyczuł, że w ciągu ostatnich chwil musiało wydarzyć się coś niezwykłego. Kilka osób stało przed wielkim ekranem ściennym, a ton ich rozmów wskazywał na to, że osiągnięto sukces.

Ken Hyckman, poranny oficer dyżurny, uśmiechał się szeroko. Chcąc pierwszy podzielić się z Royem dobrymi wiadomościami, machał do niego, żeby podszedł do pulpitu kontrolnego.

Hyckman był wysokim, życzliwym, przystojnym facetem, noszącym trwałą ondulację. Wyglądał tak,

jakby wstąpił do organizacji po nieudanej próbie zrobienia kariery jako prezenter wiadomości w TV.

Zgodnie z tym, czego Roy dowiedział się od Eve, Hyckman wielokrotnie próbował ją poderwać, ale za każdym razem spotykał się z odmową. Gdyby Roy doszedł do wniosku, że Ken Hyckman w jakikolwiek sposób zagraża Eve, z miejsca odstrzeliłby mu głowę i do diabła z konsekwencjami. Znajdował jednak pewien komfort psychiczny w fakcie, że zakochał się w kobiecie, która świetnie potrafiła dbać o własne interesy.

– Znaleźliśmy ich! – oznajmił Hyckman, kiedy Roy podszedł do pulpitu. – Nawiązała łączność z satelitą Earthguard 3, żeby sprawdzić, czy używamy go do obserwacji.

– Skąd wiecie, że to ona?

– Bo to jest w jej stylu.

– Przyznaję, że poczyna sobie śmiało – powiedział Roy – ale mam nadzieję, że opieracie się na czymś konkretniejszym niż tylko instynkt.

– Do diabła, połączenie nastąpiło ze środka pustkowia. Któż inny mógłby je nawiązać?

Na ekranie widniał w tym momencie zwykły, teleskopowy, skorygowany obraz południowych obszarów Nevady i Utah oraz jednej trzeciej części północnej Arizony. Las Vegas położone było w lewym dolnym rogu. Pulsujące trzy czerwone i dwa białe pierścienie zaznaczały miejsce, z którego nadszedł sygnał.

Hyckman skomentował:

– Północo-północny-wschód, sto piętnaście mil od Vegas, płaski teren pustynny na północny wschód od Pahroc Summit i na północny zachód od Oak Spring Summit. Środek odludzia, jak już ci mówiłem.

– Korzystamy z satelity Agencji Ochrony Środowiska – przypomniał mu Roy. – Może to był jakiś pracownik próbujący połączyć się, żeby poprosić o satelitarne zdjęcie swego terenu. Albo o analizę spektrograficzną terenu. Albo o setki innych rzeczy.

– Pracownik? Ależ to jest środek pustkowia – zauważył Hyckman. Powtórzył to określenie jak refren starej pieśni. – Środek pustkowia.

– To dość dziwne – przyznał Roy z miłym uśmiechem, którym pokrywał sarkazm swoich słów – że przeprowadza się tyle badań nad środowiskiem, a przy tym tak wielka część planety jest w środku pustkowia.

– Owszem, możliwe. Ale jeśli to był ktoś uprawniony, naukowiec lub ktoś taki, dlaczego zerwał natychmiast kontakt, bez załatwienia sprawy?

– To dopiero pierwszy kawałek mięsa, jaki od was otrzymałem – powiedział Roy. – Ale nie zaspokajają głodu.

Hyckman wydawał się zdezorientowany.

– Co?

Zamiast się wytłumaczyć, Roy zapytał:

– Co znaczą te wole oczy? Cele oznacza się zwykle białym krzyżem.

Hyckman, dumny z siebie, uśmiechnął się od ucha do ucha:

– Pomyślałem sobie, że tak będą wyglądały zabawniej.

– Teraz wyglądają jak w grach komputerowych – zauważył Roy.

– Dziękuję – odparł Hyckman, uznając przytyk za komplement.

– Biorąc pod uwagę współczynnik powiększenia – powiedział Roy – z jakiej wysokości było zrobione to zdjęcie?

– Z dwudziestu tysięcy stóp.

– Stanowczo za wysoko. Zejdźmy do pięciu tysięcy.

– Właśnie to robimy – wyjaśnił Hyckman, wskazując na ludzi pracujących przy komputerach na środku pomieszczenia.

Z głośnika interkomu dobiegł ich spokojny, miękki głos kobiety:

– Powiększenie w przygotowaniu.

Teren był wyboisty, a nawet niebezpieczny, ale rover rozwinął taką szybkość, jakby jechali po gładkim asfalcie autostrady. Maltretowany samochód podskakiwał i nurkował, kołysał się we wszystkie strony i dygotał, trzeszcząc i skrzypiąc, jakby lada moment miał się rozlecieć na drobne części na podobieństwo dziecinnej zabawki.

Spencer siedział obok, trzymając w prawej ręce pistolet Sig. Micro-uzi spoczywało na podłodze, między jego nogami.

Rocky rozłożył się za nimi, w wąskiej luce między przednimi siedzeniami a górą sprzętu, wypełniającego przestrzeń ładunkową aż po tylne drzwi. Zdrowe ucho psa sterczało czujnie, ponieważ jego właściciel był zainteresowany karkołomną jazdą, drugie zwisało smętnie jak łachman.

– Nie możemy trochę zwolnić? – spytał Spencer. Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć ryk silnika i głucho staccato opon na ostrej niczym tarka powierzchni łożyska wyschniętej rzeki.

Valerie pochyliła się nad kierownicą i spojrzała w górę na niebo.

– Wszędzie czysty błękit. Ani śladu chmur. Miałam nadzieję, że nie będziemy musieli odjeżdżać, dopóki się znów nie zachmurzy.

– Jakie to ma znaczenie, skoro twierdzisz, że mogą nas obserwować w podczerwieni, przez chmury?

Valerie przestała patrzeć na niebo i znów skoncentrowała się na drodze. Range rover wspinał się po pochyłości wyschłego koryta.

– Jesteśmy w niebezpieczeństwie wtedy, gdy tkwimy w jednym miejscu w środku pustkowia, jako jedyne źródło ciepła na dużym obszarze. Natomiast niewiele mogą zobaczyć, kiedy znajdujemy się w ruchu, szczególnie na autostradzie wśród innych pojazdów, gdzie nie mogą rozróżnić rovera od innych samochodów.

Na brzegu koryta wjechali na garb, który wyrzucił ich w powietrze. Spadli przednimi kołami na lekko wznoszącą się pochyłość z szaro-czarno-różowego łupku.

Strumień wzbijających się spod opon odłamków spryskiwał podwozie. Valerie musiała krzyżeć, żeby jej głos mógł się przebić przez łoskot podobny do burzy gradowej.

– Przy takiej pogodzie mamy większe zmartwienia niż podczerwień. Mogą na nas teraz patrzeć jak przez lornetkę.

– Sądziś, że już nas zobaczyli?

– Z całą pewnością już nas ścigają – oznajmiła, próbując przekrzyczeć grzechot gradu kamieni o podwozie.

– Oczy na niebie – powiedział, bardziej do siebie niż do niej.

Wydawało się, że wszystko przewróciło się do góry nogami: błękitne niebo stało się siedliskiem demonów.

– Obserwują okolicę i wkrótce nas zobaczą, ponieważ jesteśmy jedynym poruszającym się obiektem w promieniu pięciu mil, nie licząc węży i zajęcy.

Rover wjechał na bardziej miękkie podłoże, a nagły zmniejszony hałas brzmiał w porównaniu z poprzednim grzechotem jak muzyka w wykonaniu kwartetu smyczkowego.

– Niech to diabli! – zakląła Valerie. – Napracowałam się, żeby sprawdzić, czy nie jesteśmy

obserwowani. Nie sądziłam, że będą to robili nadal, trzeci dzień z rzędu. A już na pewno nie spodziewałam się, że potrafią lokalizować źródło sygnału.

– Trzeci dzień z rzędu?

– Tak. Prawdopodobnie zaczęli obserwację w sobotę przed świtem, kiedy skończyła się burza i ustąpiły chmury. Chcą nas dopaść za wszelką cenę.

– Jaki dziś jest dzień tygodnia? – spytał zmieszany.

– Poniedziałek.

– Myślałem, że niedziela.

– Byłeś pozbawiony świadomości dłużej, niż ci się zdawało. Mniej więcej od piątkowego popołudnia.

Mimo że ubiegłej nocy spał już zwyczajnie, poprzednie czterdzieści osiem do sześćdziesięciu godzin przeżył nieświadomie. Na myśl, że przez tak długi czas majaczył, poczuł słabość w żołądku, ponieważ samokontrola była dla niego najważniejsza.

Przypomniał sobie, co jej wtedy powiedział. Ciekaw był, czego ze swoich wyznań nie pamięta.

Patrząc znów w stronę nieba, Valerie rzuciła:

– Nienawidzę tych drani!

– Kim oni są? – spytał po raz któryś z rzędu Spencer.

– Lepiej, żebyś nie wiedział – odparła, podobnie jak przedtem. – Gdybyś wiedział, byłbyś już martwy.

– Chyba teraz mi to grozi. Nie chciałbym dać się wykończyć nie wiadomo przez kogo.

Myślała nad jego słowami, przyspieszając na długiej wznoszącej się pochyłości.

– W porządku. Wygrałeś, ale powiem ci później. Teraz muszę się skoncentrować na wydostaniu nas z matni.

– Mamy jakąś szansę?

– Coś pośredniego między małą a żadną – ale mamy.

– Myślałem, że z satelity zobaczą nas lada moment.

– Zobaczą nas na pewno, ale najbliższym punktem, w którym mają swoich ludzi, jest najprawdopodobniej Vegas, sto dziesięć albo nawet sto dwadzieścia mil stąd. W piątkową noc zrobiłam szmat drogi, nim zobaczyłam, że jazda pogarsza twój stan. Mamy dwie lub nawet dwie i pół godziny, zanim zdołają zebrać oddział i przylecieć po nas.

– Co możemy w tym czasie zrobić?

– Znów im się wymknąć – odparła z pewnym zniecierpliwieniem.

– W jaki sposób, na miłość boską, możemy im się wymknąć, jeżeli nieustannie mają nas na oku? – upierał się.

– Czy to nie zakrawa na obsesję?

– To nie jest obsesja, oni na nas rzeczywiście patrzą.

– Wiem, wiem. To wygląda niedorzecznie, prawda? – Zaczęła naśladować głos Goofy'ego z kreskówek Disneya: – Śledzą nas z kosmosu, mali śmieszni ludzie w spiczastych kapeluszach, z bronią miotającą promienie. Chcą porwać nasze kobiety i zniszczyć świat.

Z tyłu za nimi Rocky, zaintrygowany, cicho zawarczał.

– Czyż nie żyjemy w denerwujących czasach? Na Boga, chyba zawsze właśnie tak będzie – dodała już swoim głosem.

W najwyższym punkcie wzgórza samochód znowu wykonał skok, narażając resory na następną

ciężką próbę. Spencer powiedział:

– Przez chwilę wydaje mi się, że cię znam, ale już za moment okazuje się, że nie znam cię wcale.

– To dobrze. Musisz być stale czujny. Oboje powinniśmy być czujni.

– To, co mówisz, nie jest wcale śmieszne.

– Och, często nie mam humoru, podobnie jak ty teraz. Ale żyjemy w wesołym miasteczku Pana Boga. Traktowanie zbyt wielu rzeczy serio może doprowadzić do obłądu. Z pewnego punktu widzenia wszystko jest zabawne, nawet krew i śmierć. Czy nie uważasz, że mam rację?

– Nie. Wcale tak nie uważam.

– Wobec tego jak sobie radzisz w życiu? – spytała, bynajmniej nie lekceważąco, ale z całą powagą.

– Nie jest mi łatwo.

Szeroki, płaski szczyt wzgórza porośnięty był dość gęsto krzakami. Valerie nie zwolniła i rover zmiotł wszystko, co mu stało na drodze.

– Jak możemy ich zgubić, jeśli cały czas obserwują nas z góry? – powtórzył Spencer.

– Wykiwamy ich.

– W jaki sposób?

– Pewnymi chytrymi posunięciami.

– Jakimi?

– Nie wiem jeszcze.

– Nie popuszczaj.

– Kiedy będziesz wiedziała?

– Mam nadzieję, że zanim miną nasze dwie godziny. – Zmarszczyła się, patrząc na licznik. – Przejechaliśmy zaledwie sześć mil.

– Mnie się wydaje, że sto. Jeszcze trochę tych cholernych skoków i moja głowa się rozleci.

Rozległy wierzchołek wzgórza nie urywał się raptownie, lecz obniżał się długim zboczem porośniętym wysoką wypłowiałą trawą, suchą i przezroczystą jak skrzydła owadów. U jego stóp leżały dwa pasma asfaltu, prowadzące na wschód i na zachód.

– A to co takiego? – zdziwił się.

– Stara autostrada federalna numer 93 – odparła.

– Skąd o niej wiedziałaś?

– Może przestudiowałam mapę, gdy ty leżałeś nieprzytomny, a może jestem dobrym medium.

– Prawdopodobnie i to, i to – powiedział, gdyż znów go zaskoczyła.

Widok z wysokości pięciu tysięcy stóp nie pozwalał na identyfikację obiektów wielkości samochodu. Roy zażądał, żeby przestawiono system optyczny satelity na ujęcia odpowiadające wysokości tysiąca stóp.

Tak duże zbliżenie wymagało – w celu osiągnięcia wysokiej rozdzielczości – znacznie więcej zachodu. Poszerzenie procesu obróbki danych, przysyłanych przez Earthguarda 3, zajęło taki obszar komputera, że wszystkie inne prace organizacji zostały wstrzymane po to, żeby Cray mógł pracować nad tym jednym zadaniem. W przeciwnym razie zwłoka między otrzymaniem obrazu przez komputer a jego projekcją na ekranie byłaby znacznie większa.

Nie minęła minuta, gdy z głośnika rozległ się opanowany, miękki kobiecy głos.

– Podejrzany pojazd w polu widzenia.

Ken Hyckman rzucił się zza pulpitu sterowniczego w stronę dwóch rzędów stanowisk komputerowych, z których wszystkie były zajęte. Wrócił triumfująco po minucie, pełen optymizmu.

– Mamy ją.

– Jeszcze nie wiadomo – zaproponował Roy.

– To na pewno ona – odparł podniecony Hyckman, odwracając się, żeby popatrzeć na ekran. – Jaki inny samochód mógłby znajdować się w pobliżu miejsca, z którego ktoś próbował nawiązać łączność z satelitą?

– Powtarzam, że mógł to być jakiś naukowiec z Agencji Ochrony Środowiska.

– Który nagle zaczął uciekać?

– Jeżdżący po okolicy.

– Jeżdżący na łeb, na szyję po takim terenie?

– Chyba nie ma tam ograniczenia prędkości.

– Taki zbieg okoliczności jest praktycznie niemożliwy. To ona.

– Zobaczymy.

Przez ekran z lewa na prawo przebiegła pionowa fala zmiany obrazu. Nowy przesuwiał się, mętniał, przesuwiał, wyostrzał, przesuwiał, mętniał, znów wyostrzał – przedstawiając bezpośredni widok pustyni widzianej z wysokości tysiąca stóp.

Po porośniętym karłowatą roślinnością terenie pędził samochód terenowy, którego marki ani typu nie można było rozpoznać. Z tej wysokości wydawał się ciągle jeszcze bardzo mały.

– Zejdźcie na pięćset stóp – zarządził Roy.

– Powiększenie w przygotowaniu.

Po krótkiej chwili w poprzek ekranu przesunęła się ponownie pionowa fala. Obraz mętniał, przesuwiał się, mętniał, wyostrzał.

Earthguard 3 nie znajdował się pionowo nad poruszającym się obiektem, ale nieco dalej na wschód i na północ. Cel był zatem widziany pod pewnym kątem, co wymagało dodatkowej korekty, mającej wyeliminować zniekształcenia perspektywy. Otrzymany w rezultacie tego działania obraz odtwarzał nie tylko prostokątne kształty dachu i maski, ale również prostokątny widok jednego z boków pojazdu.

Chociaż Roy wiedział, że obraz nadal musiał zawierać pewne drobne błędy, przysięgłby, iż w zarysie boku widzi kilka jaśniejszych punktów, które mogły być refleksami słońca w bocznych szybach pojazdu.

Kiedy podejrzany samochód osiągnął szczyt wzgórza i zaczął zjeżdżać po długiej pochyłości, Roy patrzył uważnie na najbardziej przednie z rzędu bocznych okien i zastanawiał się, czy za przyciemnioną szybą siedzi kobieta, której od tak dawna poszukuje.

Samochód dojeżdżał do jakiejś drogi.

– Co to za droga? – zdenerwował się Roy. – Podajcie współrzędne, zidentyfikujmy ją. Szybko.

Hyckman przycisnął guzik na pulpicie i powiedział coś do mikrofonu.

Zanim jeszcze podejrzany pojazd skręcił i pojechał dwupasmową jezdnią na wschód, nałożone na obraz kolorowe szczegóły topograficzne i napisy określiły drogę jako autostradę federalną numer 93.

Kiedy Valerie bez wahania skręciła na wschód, Spencer zapytał:

– Czemu nie na zachód?

– Ponieważ w tamtych stronach są same nieużytki. Najbliższe miasteczko jest o ponad dwieście mil stąd. Nazywa się Warm Springs. Nigdy byśmy tak daleko nie dotarli. Pusty odkryty teren z tysiącami miejsc, gdzie mogliby nas dopaść bez świadków. Po prostu zniknęlibyśmy z powierzchni.

– Dokąd więc jedziemy?

– Za kilka mil będzie Caliente, a za dziesięć następnych Panaca...

– Te też nie wyglądają na metropolie.

– Dalej będzie granica z Utah. Modena i Newcastle nie są miasteczkami tętniącymi nocnym życiem, ale za Newcastle znajduje się Cedar City.

– Jakiś kolos.

– Czternaście tysięcy mieszkańców albo coś koło tego – powiedziała. – Wystarczy, żebyśmy uwolnili się od satelity i przesiedli z rovera do czegoś innego.

Asfalt dwupasmowej jezdni był w wielu miejscach pozapadany, pofałdowany i pełen nie załatanych wyrw. Cała nawierzchnia była poważnie zniszczona. Nie sprawiało to wielkich trudności roverowi, ale wytrzęsiony poprzednią jazdą przez bezdroża Spencer żałował, że wóz nie ma miększych resorów i amortyzatorów.

Valerie, nie zwracając uwagi na stan drogi, przyciskała mocno pedał gazu, utrzymując wariackie tempo jazdy.

– Mam nadzieję, że dalej nawierzchnia będzie lepsza – rzekł Spencer.

– Sądząc z mapy, od Panaca będzie gorzej. Stamtąd aż do Cedar City są już tylko lokalne drogi.

– A ile jeszcze mamy do Cedar City?

– Około stu dwudziestu mil – powiedziała beztrosko, jakby to nie była zła perspektywa.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Nie nabierasz mnie? Przecież nawet przy pewnym szczęściu, po drodze takiej jak ta, a nawet jeszcze gorszej, potrzebujemy dwóch godzin, żeby tam dotrzeć.

– Jedziemy teraz siedemdziesiątką.

– Ja czuję się tak, jakbyśmy jechali sto siedemdziesiąt! – Trząśł mu się głos, gdyż opony podskakiwały na odcinku nawierzchni pobrużdżonej poprzecznie na podobieństwo sztruksu.

Jej głos również drżał.

– Chłopcze, mam nadzieję, że nie masz hemoroidów.

– Nie dasz rady utrzymać tej szybkości przez całą drogę. Kiedy będziemy wjeżdżali do Cedar City, ta szajka morderców będzie już nam siedziała na tyłku.

Wzruszyła ramionami.

– W takim razie mieszkańcy będą mieli trochę rozrywki. Od letniego festiwalu poświęconego Szekspirowi minęło już sporo czasu.

Na żądanie Roya dokonano jeszcze jednej korekty obserwowanego obszaru. Teren na ekranie wyglądał teraz tak, jakby był widziany z wysokości dwustu stóp. Kolejne powiększenie stwarzało dodatkowe wymagania procesowi obróbki obrazu, ale na szczęście pamięć operacyjna jednostki logicznej komputera była wystarczająco duża, żeby nie powodować dodatkowej zwłoki.

Skala obrazu była teraz tak duża, że samochód przemknął błyskawicznie w poprzek ekranu, znikając za jego prawą krawędzią. Pojawił się zaraz z lewej strony po tym, jak Earthguard 3 objął sąsiedni wycinek terenu leżący na wschód od tego, z którego samochód wyjechał.

Ponieważ samochód jechał teraz na wschód, zamiast – jak uprzednio – na południe, nowy kąt widzenia pozwalał widzieć część przedniej szyby, po której przebiegały refleksy światła słonecznego.

– Analiza obiektu zakończona: ostatni model range rovera.

Roy Miro patrzył na ekran, zastanawiając się, czy postawiłby wszystkie pieniądze na to, że w podejrzanym pojeździe znajduje się ta kobieta, a może także mężczyzna z bliźną.

Od czasu do czasu wewnątrz samochodu majaczyły ciemne postacie, ale nie potrafił ich rozpoznać. Nie było widać, ile osób nim jedzie ani jakiej są płci.

Dalsze powiększanie obrazu wymagałoby przedłużonego procesu korygującego. Zanim udałoby się

uzyskać lepszy widok wnętrza samochodu, kierowca mógłby dojechać i zgubić się w którymkolwiek z pół tuzina większych miasteczek.

Gdyby zaangażował ludzi i środki transportu w zatrzymanie range rovera, a jego pasażerowie okazali się niewinnymi ludźmi, straciłby szansę schwytania tej kobiety. Mogłaby wyjść z kryjówki w czasie, gdy on byłby zajęty innymi, i wymknąć się do Arizony albo nawet do Kalifornii.

– Prędkość obiektu: siedemdziesiąt dwie mile na godzinę.

Żeby zdecydować się na ściganie rovera, trzeba było oprzeć się na niepewnych założeniach. Że Spencer Grant przeżył porwanie explorera przez falę powodzi. Że udało mu się zawiadomić tę kobietę o miejscu, w którym się znalazł. Że odszukała go na tym pustkowiu i odjechali razem jej samochodem. Że zamaskowała się w sobotę rano, nim rozproszyły się chmury, spodziewając się, że organizacja może uciec się do obserwacji satelitarnej. Że dziś rano spróbowała łączyć się z będącymi w zasięgu satelitami obserwacyjnymi, żeby sprawdzić, czy któryś z nich jej nie poszukuje, i spłoszona programem namierzającym zaczęła uciekać, żeby uratować życie.

Zbyt wiele wątpliwości wywołało w Royu niepokój.

– Prędkość obiektu: siedemdziesiąt cztery mile na godzinę.

– O wiele za szybko jak na tamtejsze drogi – zauważył Ken Hyckman. – To na pewno ona, a ponadto widać, że się boi.

W ciągu soboty i niedzieli Earthguard 3 odkrył w obserwowanym obszarze dwieście szesnaście pojazdów, których właściciele przybyli głównie w celach rekreacyjnych. Ich pasażerowie zawsze w końcu wysiadali, byli oglądani za pośrednictwem satelity lub z helikopterów, lecz żaden z nich nie okazał się Grantem ani tą kobietą. Ostatni przypadek mógł być dwusetnym siedemnastym na liście fałszywych alarmów.

– Prędkość obiektu: siedemdziesiąt sześć mil na godzinę.

Z drugiej strony budził więcej podejrzeń niż tamte.

Przy tym przez cały czas od piątkowego popołudnia we Flagstaff, w Arizonie, czuł w sobie moc przejętą od doktora Kevorkiana. To ona zaprowadziła go do Eve i zmieniła jego życie. Powinien jej zaufać i pozwolić, żeby kierowała jego decyzjami.

Zamknął oczy, zaczerpnął kilka głębokich oddechów i rozkazał:

– Skompletujmy oddział i ruszajmy za nimi!

– Tak! – wrzasnął Hyckman, unosząc pięść w geście entuzjazmu.

– Dwunastu ludzi w pełnym rynsztunku do ataku – komenderował Roy. – Odlatujemy najpóźniej za piętnaście minut z dachu budynku, żeby nie tracić czasu. Bierzemy dwa duże helikoptery operacyjne.

– Załatwione – obiecał Hyckman.

– Upewnij się, czy wiedzą, że kobietę trzeba wykończyć na miejscu.

– Oczywiście.

– Uważajcie na nią.

Hyckman skinął głową.

– Nie dajcie jej żadnych szans, absolutnie żadnych – nie może się wymknąć. Granta musimy mieć żywego; musimy go przesłuchać, dowiedzieć się, jak się w tym wszystkim znalazł i dla kogo, sukinsyn, pracuje.

– Aby zapewnić taki widok z satelity, jaki będzie potrzebny podczas operacji, musimy zdalnie zaprogramować Earthguarda 3, żeby na pewien czas zmienił pozycję na orbicie i zajął się tym roverem – stwierdził Hyckman.

– Zróbcie to – odparł Roy.

Rozdział 12

Rankiem owego lutowego poniedziałku kapitanowi Harrisowi Descoteaux z Departamentu Policji Los Angeles wydało się, że umarł w ostatni piątek i od tej pory znajduje się w piekle. Szykany, które go spotkały, wymagały zaangażowania całego zespołu chytrych, złośliwych, a przy tym pracowitych demonów.

W piątek wieczór o jedenastej trzydzieści, kiedy kochał się ze swoją żoną, Jessicą, a ich córki, Willa i Ondine, spały lub oglądały telewizję w swoich sypialniach, jego dom, położony przy cichej ulicy w Burbank, został zaatakowany przez oddział specjalny FBI współdziałający z agentami DEA. Napaść została przeprowadzona z determinacją i bezwzględnością, charakterystyczną dla oddziałów amerykańskich marines walczących w imię kraju w rozmaitych wojnach.

Przez wszystkie okna domu wpadły w tym samym ułamku sekundy granaty ośluszające. Wybuch zdezorientował Harrisa, Jessicę i ich córki i na pewien czas wprost ich sparaliżował.

Jeszcze nie przestały się kołysać obrazy na ścianach, kiedy frontowe i tylne drzwi domu zostały wyłamane i do wnętrza wdarli się uzbrojeni po zęby mężczyźni w czarnych hełmach i kamizelkach kuloodpornych, rozpraszając się po pokojach, jakby nadszedł sąd ostateczny.

Harris został w ciągu sekundy przeniesiony z romantycznej atmosfery bursztynowego światła pokoju, z ramion żony, w którą wchodził rytmicznie, będąc już na krawędzi rozkoszy – w objęcia terroru. Zataczał się niepewnie na uginających się nogach, w denerwująco przyćmionym świetle, nagi i zбитy z tropu. Pokój wokół niego chwiał się na podobieństwo gigantycznej beczki śmiechu w wesołym miasteczku.

Mimo że dzwoniło mu w uszach, usłyszał krzyki mężczyzn, rozlegające się po całym domu.

– FBI! FBI! FBI! – Rozbrzmiewające głosy nie budziły zaufania. Otumaniony wybuchami granatów, nie orientował się, co te litery znaczą.

Uprzytomnił sobie, że w stoliku nocnym spoczywa naładowany rewolwer.

Nie mógł sobie przypomnieć, jak otwiera się szuflada. Nagle wydało mu, że potrzebna jest do tego jakaś nadludzka inteligencja albo kwalifikacje włamywacza.

W tym momencie pokój zappełnił się mężczyznami o posturach zawodowych futbolistów, krzyczącymi jednocześnie. Zmusili Harrisa do położenia się na podłogę, twarzą w dół, z rękami założonymi na karku.

Dopiero wtedy jego mózg zaczął pracować. Przypomniał sobie, co to jest FBI. Przerazenie i szok częściowo ustąpiły, przeradając się w strach i zaskoczenie.

Nad domem pojawił się helikopter, który oświetlił reflektorami teren. Obok wściekłego łomotu wirnika Harris usłyszał dźwięk, ścinający krew w żyłach: krzyk jego córek w chwili, kiedy zostały wyważone drzwi do ich pokoiów.

Czuł się głęboko upokorzony, musząc leżeć nago na podłogę, podczas gdy Jessicę, również nagą, wyciągano z łóżka. Kazali jej stanąć w kącie pokoju, podczas gdy sami wywracali pościel i materace w poszukiwaniu broni. Dopiero po dłuższym czasie rzucili jej koc, którym się owinęła.

W końcu pozwolili Harrisowi usiąść na krawędzi łóżka. Przysiadł na nim, nadal nagi, czując się haniebnie poniżony. Pokazali mu nakaz rewizji i ku własnemu zdumieniu znalazł w nim swoje nazwisko i adres. Do tej pory myślał, że pomylili domy. Tłumaczył im, że jest kapitanem policji, ale okazało się, że wiedzieli o tym.

Pozwolili mu włożyć szary dres sportowy i zabrali go wraz z Jessicą do salonu.

Na kanapie kuliły się Ondine i Willa, obejmując się wzajemnie dla dodania sobie otuchy. Chciały podbiec do rodziców, ale kazano im zostać na miejscu.

Ondine miała trzynaście lat, Willa czternaście. Obie odziedziczyły urodę po matce. Ondine była ubrana do snu w majtki i podkoszulek z podobizną piosenkarza rapowego. Willa miała na sobie obcięty podkoszulek, obcięte spodnie od piżamy i żółte podkolanówki.

Część mężczyzn patrzyła lubieżnie na dziewczynki. Harris poprosił, żeby pozwolono im się ubrać, ale jego prośba została zignorowana. Jessicą została posadzona na fotelu, przy nim zaś stało dwóch mężczyzn, żeby wyprowadzić go z pokoju.

Kiedy zażądał, żeby dano dziewczynkom wierzchnią odzież i po raz drugi spotkał się z odmową, oburzony odsunął się od swojej eskorty. Zostało to potraktowane jako próba oporu. Otrzymał uderzenie kolbą karabinu w żołądek, rzucono go na kolana i zakuto w kajdanki.

W garażu, przy warsztacie, człowiek przedstawiający się jako „agent Gurland” przerzucił kilogramowe, plastikowe woreczki z kokainą. Było ich sto, a całość warta miliony. Harris wybałuszył w osłupieniu oczy, czując przy tym ogarniającą go falę lodowatego zimna, gdy mu oznajmiono, że kokaina została znaleziona w jego garażu.

– Jestem niewinny. Jestem policjantem. Ktoś mnie wrabia. To wszystko jest śmiechu warte!

W odpowiedzi Gurland wyrecytował formułę jego konstytucyjnych praw.

Harris był rozwścieczony z powodu ich całkowitego braku reakcji na wszystko, cokolwiek mówił. Gniew, którego nie krył, spotęgował jedynie brutalne zachowanie agentów w drodze do zaparkowanego przy krawężniku samochodu. Sąsiedzi z całej ulicy wylegli na trawniki i werandy, żeby przyglądać się jego aresztowaniu.

Został osadzony w areszcie śledczym. Pozwolono mu porozumieć się z adwokatem, którym był jego brat, Darius.

Jako policjant był narażony na niebezpieczeństwo, jeśliby zamknięto go w jednej celi z nienawidzonymi glin przestępcami. Spodziewał się, że otrzyma oddzielne pomieszczenie. Tymczasem dostał się do celi, w której oczekiwało na wyroki sądowe sześciu więźniów oskarżonych o różne przestępstwa, od handlu narkotykami począwszy, na zamordowaniu siekierą szeryfa federalnego kończąc.

Wszyscy twierdzili, że są niewinni, tylko zostali wrobieni. Mimo że niektórzy z nich byli rzeczywiście typami spod ciemnej gwiazdy, kapitan był skłonny im wierzyć.

W sobotę o wpół do trzeciej rano Harris siedział naprzeciw brata przy stole z popękany, laminowanym blatem, stojącym w pokoju spotkań adwokatów z klientami.

– To jest absolutny nonsens, kompletny, to nie tylko brzydko pachnie, ale po prostu cuchnie – orzekł Darius. – Jesteś najprzyzwoitszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem. Nigdy nie potrafiłem ci dorównać. Każdy, kto oskarża cię o handel kokainą, jest kłamcą albo kretyńcem. Słuchaj, nie martw się, nie martw się choćby przez minutę, przez sekundę. Masz wzorową przeszłość, bez najmniejszej skazy, życiorys jak jakiś pieprzony święty. Uzyskamy zwolnienie za niską kaucją, a potem przekonamy ich, że to pomyłka albo spisek. Słuchaj, przysięgam ci, że nigdy nie dojdzie do rozprawy, przysięgam na grób naszej matki.

Darius był młodszy od Harrisa o pięć lat, ale byli tak do siebie podobni, że brano ich za bliźniaków. Ruchliwy jak żywe srebro Darius był znakomitym obrońcą w sprawach kryminalnych. Jeśli Darius twierdził, że nie było powodu do obaw, to Harris nie powinien się martwić.

– Słuchaj, jeśli to jest spisek – rzekł Darius – to jak sądzisz, kto za tym stoi? Jaka menda mogła to zrobić? Dlaczego? Jakich masz wrogów?

- Nie wiem, czy mam wrogów, szczególnie zdolnych do takich rzeczy.
- To kompletny absurd. Będą się czołgali na brzuchach, błagając cię o przebaczenie, ci dranie, krety, te śmierzące gnojki. To mnie rozwściecza. Nawet święci mają wrogów, Harris.
- Nie podejrzewam nikogo – upierał się Harris.
- Może zwłaszcza święci mają wrogów.

Niecałe osiem godzin później, krótko po dziesiątej, Harris, w towarzystwie brata, stanął przed sędzią. Został powiadomiony, że odbędzie się rozprawa. Prokurator federalny zażądał dziesięciu milionów dolarów kaucji, ale Darius uzyskał zwolnienie Harrisa z aresztu za swoim osobistym poręczeniem. Kaucja została obniżona do pięciuset tysięcy, co Darius uważał za możliwe do zaakceptowania, gdyż Harris zostałby zwolniony po zapłaceniu dziesięciu procent, przy dziewięćdziesięciu procentach zapłaconych przez poręczyciela.

Harris i Jessica mieli siedemdziesiąt trzy tysiące dolarów w papierach wartościowych i na rachunkach oszczędnościowych. Ponieważ Harris zamierzał stawić się na rozprawę, otrzymaliby je z powrotem, kiedy stanąłby przed sądem.

Sytuacja nie była komfortowa. Zanim jednak zdołają skonstruować linię obrony i odeprzeć oskarżenia, upłynie trochę czasu. Harris powinien wyjść na wolność, żeby uniknąć śmiertelnego niebezpieczeństwa, na jakie narażony jest oficer policji siedzący w więzieniu. Sprawa zaczynała toczyć się właściwym torem.

Siedem godzin później, w sobotę, o piątej po południu Harris został przyprowadzony z celi do pokoju spotkań. Czekał tam na niego Darius, przynosząc złe wiadomości. FBI przekonało sędziego, że istniało prawdopodobieństwo, iż dom Descoteaux był wykorzystywany do nielegalnych celów, co pozwalało na natychmiastowe zastosowanie przepisu o konfiskacie mienia. W rezultacie FBI i DEA przejęły dom z całym wyposażeniem jako zastaw.

Działając w imię zabezpieczania interesów państwa, szeryfowie federalni wyeksmitowali Jessicę, Willę i Ondine, pozwalając im zabrać ze sobą tylko trochę odzieży. Zmieniono zamki i zostawiono dom pod strażą.

– To jawna granda. Być może nie pogwałca ostatniej decyzji Sądu Najwyższego na temat konfiskaty mienia, ale pogwałca praktykę wykonawczą, gdyż sąd orzekł, że musi najpierw przesłać właścicielowi nieruchomości pismo zawiadamiające o zamiarze jej skonfiskowania.

- Mają zamiar skonfiskować dom? – spytał oszołomiony Harris.
- Oni z pewnością powiedzą, że doręczyli pismo równocześnie z nakazem eksmisji, co rzeczywiście uczynili. Ale sąd wyraźnie orzekł, że od chwili doręczenia pisma do eksmisji powinien upłynąć jakiś przyzwoity okres.

Harris nie mógł się połapać.

- Wyeksmitowali Jessicę i dziewczynki?
- Nie martw się o nie. Mieszkają teraz z Bonnie i ze mną. Wszystko jest w porządku.
- Na jakiej podstawie mogli je wyeksmitować?
- Póki Sąd Najwyższy nie zmieni zarządzeń wykonawczych w kwestiach konfiskaty majątku – jeśli w ogóle kiedykolwiek to uczyni – eksmisja może mieć miejsce przed przesłuchaniem, co jest działaniem nieuczciwym. Chryste, co ja mówię: to jest znacznie gorsze niż brak uczciwości – to jest totalitaryzm! Dobrze chociaż, że przesłuchanie odbędzie się niebawem, o co dopiero ostatnio prosiliśmy. W ciągu dziesięciu dni staniesz przed sędzią, który wysłucha twojego protestu przeciw konfiskacie.

- Ten dom jest wyłącznie moją własnością.

– To nie jest żaden argument. Wymyślmy coś lepszego.

– Kiedy on jest mój.

– Muszę ci powiedzieć, że przesłuchanie nie ma wielkiego znaczenia. Federalni zrobią wszystko, żeby sprawa dostała się w ręce sędziego znanego z popierania prawa do konfiskowania mienia. Spróbuję temu zapobiec i zapewnić ci sędziego, który będzie pamiętał, że jesteśmy krajem demokratycznym. Prawda jednak jest taka, że FBI ma dziewięćdziesiąt dziewięć procent szans na to, że dostaną takiego sędziego, jakiego będą chcieli. Odbędzie się przesłuchanie, ale orzeczenie będzie z całą pewnością dla nas niekorzystne, to znaczy zatwierdzające konfiskatę.

Harris miał trudności z uświadomieniem sobie kolejnych koszmarów, relacjonowanych przez brata. Potrząsając przecząco głową, powiedział:

– Nie mogą wyrzucić z domu mojej rodziny. Nie zostałem za nic skazany.

– Jesteś policjantem. Powinieneś znać prawo o konfiskacie. Jest w ustawie od dziesięciu lat i z każdym rokiem ulega poszerzeniu.

– Jestem policjantem, owszem, ale nie jestem prokuratorem. Łapię przestępców, a okręgowy urząd prokuratorski decyduje, z jakich paragrafów będą oskarżeni.

– A więc muszę cię trochę zmartwić. Widzisz... żeby stracić mienie na podstawie prawa o konfiskacie, nie musisz być wcale skazany.

– Mogą zabrać mi moją własność, nawet jeśli okażę się niewinny? – spytał Harris, odnosząc wrażenie, że śni mu się koszmar, rodem z Kafki.

– Harris, posłuchaj uważnie. Nie mówmy o skazaniu albo uniewinnieniu. Oni mogą odebrać ci twoją własność, nie oskarżając cię w ogóle o popełnienie jakiegokolwiek przestępstwa. Bez postawienia cię przed sądem. Ty zostałeś oskarżony, co daje im jeszcze silniejszą pozycję.

– Jak to możliwe?

– Jeśli istnieje jakikolwiek dowód, że twoja posiadłość była używana w nielegalnych celach, nawet bez twojej wiedzy, stanowi to wystarczający powód do konfiskaty. Czy to nie sprytny chwyt? Żeby stracić posiadłość – nie musisz wcale wiedzieć, co się w niej dzieje.

– Jak to możliwe, że takie rzeczy dzieją się w Ameryce?

– To jest wojna z narkotykami. Po to zostało uchwalone prawo o konfiskacie. Żeby mocno przycisnąć i złamać handlarzy narkotyków.

Dariusz wydawał się teraz przyciszony, inny niż w czasie swojej poprzedniej wizyty tego ranka. Jego aktywna natura objawiała się nie tyle w charakterystycznym dla niego potoku słów, ile w bezustannej nerwowej ruchliwości.

Harris poczuł się równie zaniepokojony zmianą, która nastąpiła w bracie, jak tym, czego się od niego dowiedział.

– Ta kokaina została podrzucana.

– Ty to wiesz i to wiem ja. Ale żeby uniknąć konfiskaty, będziesz musiał to sądowi udowodnić.

– To znaczy, że jestem uznawany za winnego, dopóki nie udowodnię sądowi, że tak nie jest.

– Na tym opiera się prawo o konfiskacie. Ty przynajmniej zostałeś oskarżony o przestępstwo. Wystąpisz przed sądem. Udowadniając swoją niewinność, będziesz miał przy tej okazji szansę udowodnienia, że konfiskata była nieusprawiedliwiona. W Bogu pokładam nadzieję, że nie odstąpią od oskarżenia.

Harris zamrugnął oczami ze zdumienia.

– Masz nadzieję, że oni nie odstąpią od oskarżenia?

– Jeśli odstąpią od oskarżenia, nie będzie rozprawy. A zatem twoją szansą na odzyskanie domu jest rychłe przesłuchanie, o którym ci już powiedziałem.

– Tak ma wyglądać moja szansa? Podczas z góry ukartowanego przesłuchania?

– Może nie tyle ukartowanego, ile przed ich sędzią.

– Co za różnica?

Darius pokiwał głową ze znużeniem.

– Niewielka. Ale jeśli w rezultacie przesłuchania konfiskata zostanie zatwierdzona, a ty nie będziesz miał rozprawy, podczas której mógłbyś dochodzić swoich praw, pozostanie ci wystąpić na drogę sądową przeciw FBI i DEA o zwrot skonfiskowanego majątku. To długotrwała walka. Adwokaci rządowi będą starali się o oddalenie twojego pozwu, dopóki nie znajdą przychylnego sądu. Nawet gdybyś trafił na ławę przysięgłych albo skład sędziów, którzy orzekliby zwrot skonfiskowanego mienia, rząd apelowałby coraz wyżej i wyżej, robiąc wszystko, żeby cię zmęczyć.

– Ale gdyby odstąpili od oskarżenia, to na jakiej podstawie będą mogli nadal zajmować mój dom? – Harris przyjmował do wiadomości wszystko, o czym opowiadał mu brat, ale nie widział w tym ani logiki, ani sprawiedliwości.

– Już ci to tłumaczyłem – odparł cierpliwie Darius. – Wystarczy im udowodnić, że dom był wykorzystywany w nielegalnych celach. Ani ty, ani nikt z twojej rodziny nie musiał brać udziału w tej działalności.

– Kogo wobec tego oskarżą o ukrywanie w nim kokainy?

Darius westchnął.

– Nie muszą wskazać winnych.

Teraz dopiero Harris pojął całą potworność sytuacji.

– Mogą zabrać mi dom na podstawie twierdzenia, że ktoś ukrywał w nim narkotyki, przy czym nie muszą wskazać podejrzanego?

– Mogą, jeśli udowodnią, że zostały w nim znalezione.

– One zostały podłożone!

– Jak już ci mówiłem, musisz to sądowi udowodnić.

– Więc jeśli nie zostanę teraz oskarżony o przestępstwo, mogę nigdy nie dostać się przed oblicze sądu z własnym pozwem.

– Słusznie. – Darius uśmiechnął się blado. – Widzisz teraz, dlaczego proszę Boga, żeby nie wycofali oskarżenia. Wiesz już, jakie są reguły.

– Reguły? To nie są reguły, to szaleństwo.

Miał ochotę poruszać się, dać upust nagłemu przyływowi energii, który go ogarnął. Nurtujące go gniew i nienawiść były tak wielkie, że poczuł słabość w kolanach. Uniósł się, ale musiał z powrotem usiąść, jakby rażony następnym granatem ogłuszającym.

– Dobrze się czujesz? – zmartwił się Darius.

– Przecież to prawo powstało przeciwko grubym rybom w handlu narkotykami, gangsterom, mafii...

– Z pewnością. Ludzie, którzy mieli stanąć przed sądem, likwidowali swoje majątki i uciekali z kraju. To właśnie spowodowało powstanie prawa o konfiskacie. Później zostało ono rozszerzone i teraz kodeks karny wymienia już dwieście innych wykroczeń, oprócz handlu narkotykami, karanych konfiskatą mienia bez rozprawy sądowej. W zeszłym roku miało miejsce pięćdziesiąt tysięcy przypadków skonfiskowania majątku.

– Pięćdziesiąt tysięcy!

– To się staje głównym źródłem funduszy dla władz kontrolujących przestrzeganie prawa. Osiemdziesiąt procent wartości konfiskaty zabiera wydział policji zajmujący się daną sprawą, dwadzieścia – prokurator.

Siedzieli w milczeniu. Stary zegar ścienny cicho tykał. Dźwięk kojarzył się Harrisowi z tykaniem mechanizmu bomby. Miał wrażenie, że siedzi na ładunku dynamitu.

Był nadal rozjątrzony, ale już bardziej opanowany. W końcu się odezwał:

– Sprzedadzą mój dom, prawda?

– Zyskujemy jedno: że to jest konfiskata federalna. Gdyby odbywała się zgodnie z miejscowym kalifornijskim prawem, dom zostałaby sprzedany dziesięć dni po przesłuchaniu. Federalni dadzą nam więcej czasu.

– I tak w końcu go sprzedadzą.

– Słuchaj, zrobimy wszystko, co tylko możliwe, żeby wyjaśnić sprawę, zanim... – Głos Dariusza ucichł. Nie mógł dłużej wytrzymać wzroku brata. W końcu powiedział: – A jeśli nawet twój majątek zostanie sprzedany, to w przypadku rehabilitacji otrzymasz rekompensatę, choć trzeba przyznać, że nie za wszystkie straty, które poniosłeś skutkiem konfiskaty.

– Ale pożegnam się z moim domem. Oddadzą mi nie mój dom, tylko pieniądze. I nie oddadzą mi czasu, który na to wszystko stracę.

– W Kongresie leży projekt reformy tego prawa.

– Reformy? Nie całkowitego zniesienia?

– Nie. Rząd jest do niego zbyt przywiązany. Nawet proponowana reforma nie ma na razie wystarczającego poparcia.

– Wyeksmitowali moją rodzinę – powiedział Harris, ciągle nie mogąc w to uwierzyć.

– Harris, czuję się podle. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, będę siedział im na karku, przysięgam, ale chciałbym móc zrobić więcej.

Pięści Harrisa znów spoczywały na stole.

– Nie jesteś niczemu winien, braciszku. Nie ustanawiasz prawa. Jakoś... damy sobie radę. W tej chwili najważniejszą rzeczą jest wpłacenie kaucji, żebym mógł stąd wyjść.

Darius przyłożył do oczu dłoń, jakby próbując zetrzeć zmęczenie. Podobnie jak Harris, ostatniej nocy w ogóle nie spał.

– Musimy z tym poczekać do poniedziałku. Pierwszą rzeczą, jaką zrobię, to pójde rano do banku...

– Nie, nie. Nie musisz podejmować swoich pieniędzy. Mamy swoje. Czy Jessica nie powiedziała ci o tym? A nasz bank jest otwarty w soboty.

– Powiedziała mi, tylko że...

– W tej chwili już za późno, ale był otwarty wcześniej. Boże, chciałem wyjść dzisiaj.

Odejmując dłoń od twarzy, Darius popatrzył ze współczuciem w oczy brata.

– Harris, oni zajęli również twoje konta bankowe.

– Nie mieli prawa tego robić – powiedział zirytowany, ale już z mniejszym przekonaniem. – Mieli?

– Oszczędności, rachunki czekowe, wszystko, niezależnie od tego, czy były na twoje nazwisko, na was oboje, czy na Jessie. Uważają je za nielegalne zyski z narkotyków. Zajęli nawet konta gwiazdkowe.

Harris poczuł się, jakby go ktoś uderzył w twarz. Zaczęła go ogarniać jakaś dziwna odrętwiałość.

– Darius, nie mogę... nie chcę, żebyś płacił za mnie całą kaucję. Nie pięćdziesiąt tysięcy. Mamy trochę papierów wartościowych...

– Twoje konto giełdowe też zostało zajęte.

Harris spojrział na zegar. Sekundowa wskazówka posuwała się krótkimi szarpnięciami. Tykanie bomby zegarowej rozbrzmiewało coraz głośniejsze i głośniejsze...

Darius sięgnął ponad stołem i położył dłonie na pięściach brata.

– Bracie, przysięgam, że będę zawsze z tobą.

– Po zajęciu wszystkiego... nie mamy nic, poza pieniędzmi w moim portfelu i portmonetce Jessiki. Chryste. Może tylko poza tym, co jest w jej portmonetce. Mój portfel leży w szufladzie nocnego stolika, w domu, jeżeli nie pomyślała o nim, kiedy... kiedy kazali jej się wynosić razem z dziewczynkami.

– Bonnie i ja zapłacimy kaucję i nie chcemy słyszeć żadnych protestów – powiedział Darius.

Tyk... tyk... tyk...

Twarz Harris'a była bez wyrazu, nieruchoma, zastygła. Kark zdrętwiał, pokryty gęsią skórą. Zdrętwiał i zimny.

Darius jeszcze raz uściśnął uspokajająco ręce brata i puścił je.

– Jak możemy wraz z Jessicą wynająć jakieś lokum, skoro nie mamy ani na czynsz, ani na depozyt? – spytał Harris.

– Na razie wprowadzicie się do nas. To już zostało postanowione.

– Wasz dom nie jest taki wielki. Nie ma miejsca na dodatkowe cztery osoby.

– Jessie z dziewczynkami już tam mieszkają. Zostałeś tylko ty. Będzie trochę ciasno, ale to nie szkodzi. Nikt nie będzie miał o to pretensji. Jesteśmy rodziną. Przejdziemy przez to wszystko razem.

– Ale rozwiązywanie tej sprawy może trwać miesiącami. Mój Boże, nawet latami, prawda?

Tyk... tyk... tyk...

Zbierając się do wyjścia, Darius powiedział:

– Chciałbym, żebyś głębiej się zastanowił, czy masz jakichś wrogów. To nie była pomyłka. Taka akcja wymagała zaplanowania, pomysłowości i rozległych kontaktów. Wiesz o tym czy nie – masz gdzieś zawziętego i potężnego wroga. Przemyśl to. Mógłbyś mi bardzo pomóc, gdybyś przypomniał sobie jakieś nazwiska.

Sobotnią noc Harris spędził w czteroosobowej celi bez okien, razem z dwoma mordercami i gwałcicielem, który przechwalał się napadami na kobiety w dziesięciu stanach. Spał krótko, urywanym snem.

Niedzielną noc przespał znacznie lepiej, gdyż był już skrajnie wyczerpany. Śniły mu się koszmary, a w każdym śnie, wcześniej czy później, pojawiał się tykający zegar.

W poniedziałek wstał o świcie, czekając na uwolnienie. Czuł się nieswojo, pozwalając Dariusowi i Bonnie zapłacić za siebie kaucję, mimo że nie miał najmniejszego zamiaru uciekać przed sądem, choćby dlatego, żeby nie stracili pieniędzy. Zaobserwował natomiast u siebie objawy więziennej klaustrofobii, która w tych warunkach rozwijałaby się coraz bardziej, doprowadzając do bardzo przykrych skutków.

Mimo że jego położenie było okropne, znajdował pewną pociechę w pewności, że najgorsze było już za nim. Wszystko, co miał, zostało mu odebrane. Był na samym dnie, zatem niezależnie od rezultatów oczekujących go długich zmagani, sytuacja mogła się tylko polepszać.

Był wczesny poniedziałkowy ranek.

Stara autostrada federalna skręcała w Caliente na północ, ale w Panaca porzucili ją i pojechali dalej drogą stanową, która prowadziła na wschód, w stronę granicy z Utah. Wiejska droga zawiodła ich na wyżynę, powstała jeszcze przed erą mezozoiczną, porośniętą sosnami i świerkami.

Ku własnemu zdumieniu Spencer w pełni podzielał obawy Valerie, że są obserwowani przez satelitę. Niebo było jednym wielkim morzem błękitu, na którym nie dało się zobaczyć najmniejszego nawet śladu

potwornych machin, takich jak w „Wojnach gwiazdnych”. Mimo to miał nieprzyjemne uczucie, że każdy ich ruch jest obserwowany.

Chociaż z nieba patrzyły na nich wrogie oczy, a zawodowi mordercy mogli czaić się przy drodze do Utah, Spencer poczuł głód. Dwie małe puszki frankfurtek nie nasyciły go. Zjadł paczkę serowych biskwitów i popił je colą.

Siedzący za przednimi fotelami Rocky, czujnie wyprostowany w swoim ciasnym kąciku, był tak zachwycony kawalerską jazdą Valerie, że nawet nie spojrzął na krakersy. Szcherzył zęby i kiwał nieustannie głową w górę i w dół.

– Co jest temu psu? – spytała.

– Podoba mu się, jak prowadzisz. Lubi szybką jazdę.

– Naprawdę? Przeważnie zachowuje się jak bojaźliwa mała psina.

– Dopiero co sam zacząłem odczuwać potrzebę szybkości – powiedział Spencer.

– Czemu on się tak wszystkiego boi?

– Był maltretowany, nim znalazł się w schronisku, z którego go zabrałem. Nie wiem, co się z nim działo przedtem.

– Przyjemnie patrzeć na niego, kiedy jest szczęśliwy.

Rocky nadal kiwał głową z zadowolenia.

Jechali po kładących się w poprzek drogi cieniach drzew.

– Nic nie wiem także o twojej przeszłości – rzekł Spencer. Zamiast odpowiedzieć, zwolniła nieco, ale Spencer dalej nalegał: – Przed kim uciekasz? Oni są teraz także moimi wrogami. Mam prawo coś o nich wiedzieć.

Patrzyła ze skupieniem na drogę.

– Oni nie mają nazwy.

– Co? Tajna organizacja fanatycznych morderców jak w jakiejś starej powieści Fu Manchu?

– Mniej więcej – mówiła bardzo serio. – Jest to bezimienna organizacja rządowa, która utrzymuje się z podbierania kredytów przeznaczonych na zupełnie inne cele. Prócz tego z setek milionów dolarów pochodzących ze sprzedaży majątków skonfiskowanych na podstawie obowiązującego prawa. Z początku miała być używana do osłaniania nielegalnych działań i wpadek operacyjnych rozmaitych urzędów i organizacji rządowych, od poczty po FBI. Miała stanowić coś w rodzaju politycznego wentyla bezpieczeństwa.

– Niezależna brygada pomocnicza.

– Jeśli jakiś reporter lub ktokolwiek inny znalazłby dowód nielegalnych działań w sprawie prowadzonej, dajmy na to, przez FBI, to owe nielegalne działania nie zaprowadziłyby go do FBI. Niezależna organizacja bierze na siebie brudną robotę, tak że FBI nigdy nie musi samo niszczyć dowodów, przekupywać sędziów, zastraszać świadków i tak dalej. Sprawcy są tajemniczy i bezimienni. Nie ma żadnych dowodów, że są zatrudnieni przez rząd.

Niebo było nadal błękitne i bezchmurne, ale dzień się kończył.

– W tym pomysle jest tyle obłąkania, że wystarczyłoby na pół tuzina filmów Olivera Stone’a.

– Stone widzi cień prześladowcy, ale nie wie, kto go rzuca – odparła. – Do diabła, nawet przeciętny agent FBI czy BKATBP nie ma pojęcia, że taka organizacja istnieje. Ona działa na bardzo wysokim szczeblu.

– Jak wysokim?

– Najwyżsi funkcjonariusze podlegają bezpośrednio Thomasowi Summertonowi.

Spencer zastanowił się.

– Czy to ktoś znany?.

– Majątkowo niezależny, jest główną osobą zbierającą fundusze na cele polityczne i w ogóle intrygantem. A obecnie pierwszym zastępcą prokuratora generalnego!

– Gdzie?

– Królestwa Oz – a jak ci się wydaje? – powiedziała ze zniecierpliwieniem. – Pierwszym zastępcą prokuratora generalnego!

– Nabierasz mnie.

– Zajrzyj do jakiegoś almanachu, przeczytaj gazetę.

– Nabierasz mnie co do tego, że taki człowiek jest szefem konspiracyjnej organizacji.

– Wiem to z całą pewnością. Znam go osobiście.

– Będąc na tym stanowisku, jest drugą najpotężniejszą figurą w Departamencie Sprawiedliwości. Wyżej od niego w hierarchii jest...

– Mrozi krew w żyłach, prawda?

– Chcesz powiedzieć, że prokurator generalny wie o tym?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Mam nadzieję, że nie. Nie ma na to dowodów. Ale przestałam cokolwiek wykluczać.

Przed nimi na szczycie wzgórza pojawiła się furgonetka chevroleta, jadąca w ich stronę po pasie prowadzącym na zachód. Spencer poczuł zaniepokojenie. Według obliczeń Valerie nie powinni być bezpośrednio zagrożeni jeszcze przez blisko dwie godziny. Mogła się jednak pomylić. Było wielce prawdopodobne, że organizacja nie musiała ściągać swoich zbirów z Vegas, tylko trzymała ich już gdzieś w okolicy.

Chciał jej poradzić, żeby zjechała z drogi. Lepiej schronić się wśród drzew w przypadku bezpośredniego ognia z pistoletów maszynowych. Ale nie mieli jak uciec. W pobliżu nie było żadnej bocznej drogi, a wąskie pobocze kończyło się stromym, sześciostopowym spadkiem.

Wziął do ręki leżący mu na udach pistolet Sig 9 mm. W chwili gdy nadjeżdżający chevrolet mijiał rovera, kierowca popatrzył na nich z osłupieniem, jak gdyby ich rozpoznawał. Był potężny, w wieku około czterdziestu lat. Miał szeroką twarz o surowych rysach. Oczy mu się rozszerzyły. Otworzył usta, mówiąc coś do swojego towarzysza, i już byli daleko w tyle.

Spencer obrócił się na siedzeniu, żeby popatrzeć za chevroletem, ale Rocky i pół tony sprzętu zasłaniali mu widok przez okienka w tylnych drzwiach. Spojrzał do bocznego lusterka i nie zauważył świateł hamowania. Samochód nie zawrócił za nimi, tylko pojechał dalej.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że osłupienie widoczne na twarzy kierowcy nie było spowodowane rozpoznaniem ich. Mężczyzna był po prostu zdumiony ich szybkością. Jechali osiemdziesiąt pięć mil na godzinę, trzydzieści ponad dozwoloną prędkość i ze dwadzieścia za szybko jak na stan nawierzchni.

Spencer czuł silne bicie serca. Nie było spowodowane szybką jazdą. Valerie zobaczyła w jego oczach strach.

– Mówiłam ci, że będziesz wołał nie wiedzieć, kim oni są. – Znów patrzyła na drogę. – Czy nie czujesz chandry?

– Chandra nie jest w tym przypadku właściwym określeniem. Czuję się, jak gdyby...

– Jak gdyby zrobiono ci lewatywę z wody z lodem? – podsunęła.

– Nawet to wydaje ci się śmieszne?

- Z pewnego punktu widzenia.
- Mnie nie. Jezu! Jeśli wie o tym prokurator generalny, to następnym w hierarchii jest już tylko...
- Prezydent Stanów Zjednoczonych.
- Nie wiem, co może być gorsze: prezydent i prokurator generalny sankcjonujący istnienie takiej organizacji... czy fakt, że działa na tak wysokim szczeblu bez ich wiedzy, gdyż jeśli nie wiedzą i natkną się na nią...
- To zginą.
- Ale jeśli nie wiedzą, to znaczy, że wybraliśmy osoby nie nadające się do kierowania państwem.
- Nie jestem pewna, czy to sięga aż do prokuratora generalnego. Nie ma też żadnych przesłanek, że sięga do Białego Domu. Mam nadzieję, że nie, ale...
- Ale przestałaś cokolwiek wykluczać – dokończył za nią.
- Tak. Po tym wszystkim, co przeszłam. Od jakiegoś czasu nie mam już zaufania do nikogo, prócz Pana Boga i siebie, a ostatnio nie jestem zbyt pewna nawet Pana Boga.

Roy Miro pożegnał się z Eve Jammer w podziemnej jaskini z betonu, z której organizacja podsłuchiwała całe Las Vegas za pomocą mnóstwa tajnych uszu.

Nie było łez rozstania, nie było niepokoju, że mogą się już nigdy nie zobaczyć. Wiedzieli, że wkrótce znów się spotkają. Roy nadal miał w sobie moc zaczerpniętą od doktora Kevorkiana i czuł się nieśmiertelny. Co do Eve, to wydawało się, że w ogóle nie przyszło jej do głowy, że może kiedykolwiek umrzeć albo że mogłaby stracić coś, na czym jej bardzo zależało, na przykład Roya.

Stali blisko siebie. Neser postawił na podłodze, żeby móc trzymać ją za idealne dłonie.

- Spróbuję wrócić wieczorem, ale nie wiem, czy mi się uda – powiedział.
- Będzie mi cię brakowało – odparła matowym głosem. – Jeśli nie wrócisz, wykonam coś specjalnie na twoją cześć, co mi przypomni, jaki jesteś podniecający, i co spowoduje, że jeszcze bardziej będę do ciebie tęskniła.
- Co to będzie? Powiedz, co masz zamiar robić, a ja to sobie będę wyobrażał i w ten sposób szybciej upłynie mi czas naszego rozstania.

Sam się dziwił, jaki jest dobry w miłosnym dialogu. Wiedział, że jest nieskrywanym romantykiem, ale nie był pewny, czy potrafi się odpowiednio zachować, kiedy spotka kobietę, która będzie odpowiadała jego wymaganiom.

– Teraz ci nie powiem – odparta filuternie. – Chcę, żebyś śnił, był ciekaw, wyobrażał sobie. Gdy wrócisz, a ja ci to zdradzę – wtedy przeżyjemy najbardziej pasjonującą noc spośród wszystkich, które do tej pory spędziliśmy.

Biło od niej niewiarygodnie gorąco. Roy nie pragnął niczego więcej na świecie, jak tylko zamknąć oczy i rozpląnąć się w jej ciepłe.

Pocałował ją w policzek. Wargi miał spękane od pustynnego powietrza, a jej skóra była gorąca. Pocałunek był idealnie suchy. Wchodząc do windy, obejrzał się po raz ostatni. Stała na jednej nodze, trzymając drugą w powietrzu. Po betonowej podłodze szedł czarny pająk.

– Kochanie, nie! – zawołał.

Podniosła głowę i spojrzała na niego, zbity z tropu.

- Pająk jest stworzeniem doskonałym, jednym z najbardziej udanych dzieci matki natury. Przędzie cudowne sieci. Jest genialnie zaprojektowaną maszyną do zabijania. Pojawił się na ziemi na długo przed człowiekiem. Zasługuje na to, żeby zostawić go w spokoju.
- Nie przepadam za nimi – powiedziała z najwdzięczniejszym grymasem, jaki Roy widział w życiu.

– Gdy wrócę, obejrzymy sobie jednego przez szkło powiększające. Zobacysz, jak jest doskonale zbudowany, jaki jest skomplikowany, sprawny i funkcjonalny. Kiedy się o tym przekonasz, spojrzysz na pająki zupełnie innym okiem. Będziesz się z nimi pieściła.

– Już dobrze – rzuciła niechętnie i przeszła ostrożnie nad pająkiem.

Roy, przepełniony miłością, pojechał windą na najwyższe piętro, a następnie wspiał się po schodkach na dach budynku.

Ośmiu spośród dwunastu ludzi oddziału szturmowego siedziało już w pierwszym z dwóch helikopterów operacyjnych. Silnik maszyny nabrał obrotów i helikopter z furkotem wirników wzniósł się i odleciał.

Drugi, identyczny, czekał zawieszony w powietrzu nad północną ścianą budynku. Kiedy lądowisko było już wolne – opuścił się, żeby zabrać czterech innych mężczyzn, ubranych po cywilnemu, niosących z sobą worki wypełnione bronią i różnym sprzętem.

Roy załadował się ostatni i usiadł w tyle kabiny. Dwa siedzenia przed nim i jedno naprzeciw przejścia były puste.

Gdy helikopter się wzniósł, Roy otworzył neseser i wetknął wtyczki kabla zasilającego i kabla antenowego do odpowiednich gniazdek w ścianie. Odłączył od komputera telefon komórkowy i położył go na siedzeniu po przeciwnej stronie przejścia. W tej chwili go nie potrzebował. Korzystał teraz z systemu łączności helikoptera. Na ekranie monitora pojawił się obraz klawiatury telefonu. Po uzyskaniu bezpośredniego połączenia z Mamą w Wirginii przedstawił się jako Puchatek, przesłał odcisk swojego kciuka i został połączony z ośrodkiem obserwacji satelitarnej w oddziale organizacji w Las Vegas.

Na monitorze pojawił się taki sam obraz jak na ekranie ośrodka. Range rover pędził z wariacką szybkością, co wskazywało, że za kierownicą siedziała kobieta. Minął Panaca w Nevadzie i mknął jak pocisk w kierunku granicy z Utah.

– Taka organizacja musiała powstać wcześniej czy później – powiedziała, kiedy zbliżali się do granicy z Utah. – Upierając się przy budowaniu idealnego świata, otworzyliśmy drzwi faszyzmowi.

– Nie jestem pewny, czy to rozumiem. – W gruncie rzeczy nie wiedział, czy chciał rozumieć. Mówiła trochę bez przekonania.

– Istnieje tyle rozmaitych praw stworzonych przez tylu różnych idealistów, mających przeciwstawne wizje utopii, że nikt nie jest w stanie spędzić nawet jednego dnia bez mimowolnego i nieuświadomionego złamania przynajmniej kilkunastu.

– Policjantom każe się pilnować przestrzegania przez obywateli dziesiątek tysięcy praw – zgodził się Spencer. – Więcej niż potrafią zapamiętać.

– W ten sposób przestają widzieć sens w spełnianej przez siebie pracy. Tracą ostrość widzenia. Spotkałeś się z tym, będąc policjantem, prawda?

– Wielokrotnie. Kilka razy pojawiły się kontrowersje w łonie wydziału w kwestiach operacji wywiadowczych, które były skierowane przeciwko legalnym grupom obywatelskim.

– To dlatego, że te konkretne grupy w owym konkretnym czasie nie popierały „żywotnych interesów kraju”. Rząd upolitycznił wszystkie obszary życia, łącznie z organizacjami służącymi do kontrolowania przestrzegania prawa, i dlatego muszą cierpieć wszyscy niezależnie od swoich poglądów politycznych.

– Większość policjantów to przyzwoici faceci.

– Wiem o tym. Ale powiedz mi, czy w dzisiejszych czasach nie jest tak, że policjanci, którzy idą w górę, awansują na wyższe stanowiska nie dzięki swoim kwalifikacjom, tylko dlatego, że są przede wszystkim przebiegłymi politycznymi gadaczami? Orientującymi się kogo należy pocałować w tyłek, jak

obchodzić się z senatorem, kongresmanem, burmistrzem, radnym i działaczami politycznymi wszelkiej maści?

– Może tak było zawsze.

– Nie. Prawdopodobnie nigdy już nie spotkamy ludzi takich jak Elliot Ness, odpowiedzialnych za wszystko, a przecież kiedyś było takich wielu. Policjanci mieli szacunek dla odznaki, którą nosili. Czy nadal jest tak samo?

Spencer nawet nie musiał na to odpowiadać.

– Teraz upolitycznieni policjanci zajmują się ustalaniem programów i rozdzielaniem funduszy. Najgorzej jest na szczeblu federalnym. Wydaje się krocie na ściganie ludzi naruszających niejasno sformułowane prawa dotyczące nietolerancji, pornografii, zanieczyszczania środowiska, podróbek towarów i przemocy seksualnej. Nie zrozum mnie źle. Chciałabym, żeby świat był wolny od bigotów, deprawatorów, trucicieli, kolporterów olejku z węży i bydlaków, którzy znęcają się nad kobietami. Ale przy tym wszystkim mamy w kraju najwyższe od początku naszej historii wskaźniki morderstw, gwałtów i rozbojów.

W miarę jak ogarniało ją coraz większe wzburzenie, mocniej przyciskała pedał gazu.

Spencer co jakiś czas odrywał wzrok od jej twarzy i spoglądał przed siebie. Gdyby straciła panowanie nad kierownicą i wylecieli z drogi w stronę potężnych świerków, nie musieliby już przejmować się bojówkami nadciągającymi z Las Vegas.

Z tyłu za nimi siedział uszczęśliwiony pies.

Valerie ciągnęła swój monolog.

– Na ulicach jest niebezpiecznie. W niektórych dzielnicach ludzie nie są bezpieczni nawet we własnych domach. Federalne agencje kontroli przestrzegania prawa straciły orientację. Kiedy straciły orientację, zaczęły popełniać błędy i wówczas trzeba było tuszować ich skandale, żeby uratować skórę polityków – zarówno owych upolitycznionych policjantów, jak i przedstawicieli władzy, wybieranych lub mianowanych.

– W tym celu powstała bezimienna organizacja.

– Żeby zamieść wszystkie brudy i ukryć je pod szafą. Żeby żaden z polityków nie musiał zostawiać własnych odcisków palców na miotle – powiedziała z goryczą.

Przekroczyli granicę Utah.

Byli zaledwie od paru minut w powietrzu, ciągle jeszcze nad przedmieściami Las Vegas, kiedy w tyle kabiny pasażerskiej pojawił się drugi pilot. Trzymał w ręku specjalny telefon z wbudowanym urządzeniem kodującym i wręczył go Royowi, wkładając równocześnie wtyczkę kabla do gniazdka.

Telefon wyposażono w komunikator, co zostawiało Royowi wolne ręce. Kabina praktycznie pochłaniała cały dźwięk, a słuchawki, wielkie jak spodki, były tak znakomitej jakości, że nie słyszał hałasu silnika i śmigła, tylko odczuwał drgania fotela.

Telefonował Gary Duvall, agent z północnej Kalifornii, który miał za zadanie zbadać sprawę Ethel i George'a Porthów. Dzwonił jednak nie z Kalifornii, tylko z Denver w Kolorado.

Zakładano, że w czasie gdy umarła córka Porthów, a jej syn zamieszkał u nich, przebywali już od dawna w San Francisco. Okazało się, że założenie było błędne.

Duvall odnalazł dawnych sąsiadów Porthów w San Francisco, którzy pamiętali, że Ethel i George przeprowadzili się tam z Denver. Ich córka już od dawna nie żyła, a wnuk, imieniem Spencer, miał szesnaście lat.

– Od dawna? – spytał Roy z powątpiewaniem. – Sądziłem, że chłopiec stracił matkę, kiedy miał

czternaście lat – w tym samym wypadku samochodowym, po którym została mu blizna. To było zaledwie dwa lata wcześniej.

– Nie. To nie były dwa lata. I nie zdarzył się żaden wypadek samochodowy.

Duvall dotarł do tajemnicy, a był przy tym człowiekiem, który rozkoszował się tajemnicami. Jego dziecinny ton sugerujący „wiem coś, o czym ty nie wiesz” wskazywał, że będzie cedził każde słowo, żeby się jak najdłużej delectować.

Roy westchnął i rozparł się w fotelu.

– Opowiedz wszystko po kolei.

– Poleciałem do Denver – zaczął Duvall – żeby zobaczyć, czy Porthowie nie sprzedali tam jakiegoś domu w tym samym roku, gdy kupili dom w San Francisco. Okazało się, że sprzedali. Postanowiłem odszukać jakichś dawnych sąsiadów, którzy by ich pamiętali. Znalazłem, nawet kilkoro. Tamtejsi ludzie nie przeprowadzają się tak często jak w Kalifornii. Zapamiętali dobrze Porthów i chłopca ze względu na związane z nimi sensacyjne wydarzenia.

Roy znów westchnął i otworzył kopertę z fotografiami, które znalazł w pudełku po butach, w chacie Spencera Granta w Malibu.

– Matka chłopca, Jennifer, umarła, kiedy miał osiem lat – oznajmił Duvall – ale nie w wypadku.

Roy wyjął z koperty cztery fotografie. Na pierwszej z nich kobieta mogła mieć około dwudziestu lat. Była ubrana w prostą, letnią sukienkę, pokrytą plamami słońca i cienia. Stała przy drzewie, z którego opadały płatki białych kwiatów.

– Jenny uwielbiała konie – kontynuował Duvall, a Roy przypomniał sobie inne jej zdjęcia z końmi. – Lubiła na nich jeździć, karmiła je... Tego dnia, kiedy umarła, pojechała na spotkanie hodowców koni.

– Do Denver czy gdzieś w okolicy?

– Nie, tam gdzie mieszkali jej rodzice. Jenny mieszkała na małej farmie w pobliżu Vail, w Kolorado. Była na tym spotkaniu, ale już nigdy nie wróciła do domu.

Druga fotografia przedstawiała Jennifer z synem przy stole piknikowym. Chłopiec miał przekrzywioną czapkę, a ona go obejmowała.

– Odszukano jej porzucony samochód – ciągnął Duvall. – Przeczesano okolicę, ale nie znaleziono jej nigdzie w pobliżu. Tydzień później ktoś odkrył jej ciało w rowie osiemdziesiąt mil od Vail.

Podobnie jak w piątkowy poranek, kiedy siedział przy kuchennym stole w chacie w Malibu, przeglądając po raz pierwszy zdjęcia, Roya ogarnęło wrażenie, że skądś zna tę twarz. Słowa agenta stopniowo przybliżyły chwilę olśnienia, która mu trzy dni temu uciekła.

Usłyszał znów Duvalla, mówiącego teraz miękkim podekscytowanym głosem.

– Znalaziono ją nagą. Miała na sobie ślady przemocy i tortur. Sąsiedzi powiedzieli, że to było najokrutniejsze morderstwo, z jakim kiedykolwiek się spotkali. Nawet teraz, po tak długim czasie, szczególnie tamtego zdarzenia wywołują koszmarnie sny.

Trzecie zdjęcie ukazywało Jennifer i chłopca przy brzegu basenu. Trzymała jedną rękę za jego głowę, wystawiając dwa palce na kształt rogów. W tle widać było stajnię.

– Wszystko wskazywało na to, że stała się ofiarą kogoś przejeźdnego – mówił Duvall, podając szczegóły coraz mniejszymi porcjami, w miarę jak ubywało tajemnicy. – Jakiegoś psychopaty. Faceta z samochodem, nie mającego stałego adresu, włóczącego się po całym kraju. Wówczas, dwadzieścia dwa lata temu, rzadko spotykano ten typ przestępcy, chociaż policja była już z nim trochę obyta: określiła sprawcę jako seryjnego mordercę nie mającego związków z rodziną ani społeczeństwem – samotnika oderwanego od stada.

Kobieta. Chłopiec. W tyle stajnia.

– Zbrodniarz został odkryty dopiero po sześciu latach.

Drgania silnika i śmigieł helikoptera, udzielające się jego konstrukcji, docierały do siedzenia Roya i rozchodziły się po jego kościach, niosąc z sobą wrażenie chłodu. Ów chłód nie był nieprzyjemny.

– Chłopiec mieszkał nadal na farmie wraz z ojcem – powiedział Duvall. – Okazało się, że miał ojca.

Kobieta. Chłopiec. W tyle stajnia.

Roy wpatrzył się w ostatnią fotografię.

Mężczyzna wśród cieni. Te przenikliwe oczy.

– Chłopiec nie nazywał się Spencer Grant – oznajmił Gary Duvall.

Czarno-biała fotografia studyjna mężczyzny w wieku ponad trzydziestu lat była nastrojowa: stanowiła artystyczne studium kontrastu światła i cienia. Osobliwe cienie, rzucane przez nierozpoznawalne przedmioty znajdujące się poza kadrem, wydawały się przyciągane przez modela, jakby był władcą nocy i wszystkich jej potęg.

– Chłopiec miał na imię Michael...

– Ackblom. – Roy w końcu rozpoznał twarz mężczyzny mimo cieni, zakrywających potowe jego twarzy. – Michael Ackblom. Jego ojcem jest Steven Ackblom, malarz i morderca.

– Rzeczywiście – powiedział Duvall, nieco rozczarowany, że nie mógł choćby jeszcze na parę sekund odwlec pointy.

– Przypomnij mi... ile ciał tam znaleźli?

– Czterdzieści jeden – odparł Duvall. – Poza tym zawsze im się wydawało, że gdzieś musi być ich więcej.

– „Były takie piękne, kiedy cierpiały, a po śmierci wyglądały jak anioły” – zacytował Roy.

– Pamiętasz to? – spytał zdziwiony Duvall.

– To jedyne słowa, które Ackblom powiedział w sądzie.

– Niewiele więcej powiedział policjantom, swojemu adwokatowi i w ogóle wszystkim innym. Nie czuł, że zrobił coś złego, ale dał do zrozumienia, że wie, dlaczego społeczeństwo ma inne zdanie. Przyznał się do winy, wypowiedział się i przyjął wyrok.

– „Były takie piękne, kiedy cierpiały, a po śmierci wyglądały jak anioły” – wyszeptał Roy.

Na przedniej szybie rovera migotały plamy porannego słońca, przebijające się przez iglaste gałęzie wiecznie zielonych drzew i padające z ukosa na pędzący z ogromną szybkością samochód. Gra jaskrawych światel i cieni na przedniej szybie była tak szalona i dezorientująca jak błyski lamp stroboskopowych w ciemnym wnętrzu nocnego klubu.

Kiedy Spencer zamknął oczy, broniąc się przed atakiem światła, uświadomił sobie, że dokuczało mu nie tyle światło, ile skojarzenie, które wzbudzał w mózgu każdy jasny błysk. Każdy migotliwy refleks lub nagły rozbłysk przeradzał się w jego wyobraźni w piorun twardej zimnej stali, uderzający z mrocznych czeluści katakumb.

Ciągle zdumiewał się i martwił tym, że przeszłość miała tak silny wpływ na jego życie i że próby zapomnienia o niej jeszcze bardziej rozbudzały pamięć.

Wodząc czubkami palców prawej ręki po bliźnie, odezwał się:

– Daj mi jakiś przykład. Opowiedz mi o jakimś skandalu zatuszowanym przez tę bezimienną organizację.

Przez chwilę się wahała.

– David Koresh. Obóz Sekty Dawidowej w Waco, w Teksasie. Pamiętasz?

Jej słowa wstrząsnęły nim do tego stopnia, że otworzył szeroko oczy mimo oślepiających stalowych noży słońca i ciemnokrwistych cieni. Patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Koresh był maniakiem!

– Na pewno. O ile wiem, był maniakiem na cztery różne sposoby i nie będę zaprzeczała, że lepiej, iż go już na świecie nie ma.

– Ja też nie.

– Natomiast Biuro Kontroli Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej chciało go zaarrestować za nielegalne posiadanie broni. Mogli położyć na nim łapę w barze w Waco, gdzie często przesiadywał, słuchając zespołu muzycznego, który lubił, a dopiero potem wkroczyć na teren obozu, kiedy on byłby już unieszkodliwiony. Mogli tak właśnie postąpić, zamiast przypuszczać szturm na obóz przy użyciu oddziału SWAT. Na miłość boską – przecież tam były dzieci!

– Te dzieci znalazły się w niebezpieczeństwie – przypomniał jej.

– Masz rację. Spaliły się na popiół.

– Cios poniżej pasa – powiedział sarkastycznie, grając rolę adwokata diabła.

– Rząd nie przedstawił jako dowodu ani jednej sztuki posiadanej nielegalnie broni. W sądzie utrzymywali, że znaleźli w obozie broń przerobioną na w pełni automatyczną, ale to była nieprawda. Teksascy komandosi znaleźli tylko po dwa pistolety na każdego członka sekty – wszystkie zarejestrowane. Teksas jest naszpikowany bronią. Na siedemnaście milionów mieszkańców przypada ponad sześćdziesiąt milionów sztuk broni palnej – po cztery na głowę. Ludzie z sekty mieli zaledwie po dwa.

– O tym wszystkim pisano w gazetach. Okazało się, że pogłoski o molestowaniu seksualnym dzieci nie odpowiadały prawdzie. O tym również donoszono, chociaż bardzo oględnie. Akcja przyniosła tragiczne żniwo w postaci śmierci dzieci, a przy tym odsłoniła metody działania Biura Kontroli Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej. A co zrobiła anonimowa organizacja osłaniająca? To była brzydka, jawna wpadka rządu.

– Och, oni świetnie ukryli najbardziej newralgiczny aspekt tej sprawy, polegający na tym, że pewien wysoko postawiony dygnitarz, zaufany Toma Summertona, a niełojalny wobec własnego wydziału, chciał wykorzystać sprawę Koresha jako precedens do objęcia organizacji religijnych prawem konfiskaty majątku.

Szosa wiodła przez Utah w kierunku Modeny. Spencer w zamyśleniu skubał bliznę, zastanawiając się nad tym, czego się właśnie dowiedział.

Drzewa rosły tu rzadziej i dalej od szosy. Cienie sosen i świerków przestały migotać na szybach samochodu. Mimo to Spencer zauważył, że Valerie od czasu do czasu mrużyła oczy i wzdrygała się lekko, jakby pamięć przywodziła jej na myśl jakieś przykre wydarzenia z przeszłości.

Schowany za siedzeniami Rocky wydawał się nieświadomy wagi toczącej się rozmowy. Bycie psem, mimo pewnych ujemnych stron, wydawało się czasem korzystniejsze.

Po chwili Spencer rzekł:

– Objęcie organizacji religijnych – nawet tak skrajnych jak Koresha – prawem konfiskaty majątku jest sensacją, jeśli to jest prawda. Świadczy o absolutnym lekceważeniu konstytucji.

– W obecnych czasach jest wiele kościołów i sekt religijnych o wielomilionowych majątkach. Weźmy na przykład tego koreańskiego duchownego – biskupa Moona. Założę się, że jego kościół ma w samej Ameryce setki milionów dolarów. Jeśli jakakolwiek organizacja religijna wpłucze się w działalność przestępczą, przestaje być zwolniona od podatków. Jeśli zatem Biuro Kontroli Alkoholu,

Tytoniu i Broni Palnej lub FBI mają prawo do konfiskowania majątków, będą pierwszymi – nawet przed Federalnym Biurem Podatkowym – które wszystko zagarną.

– Stały przyływ gotówki po to, żeby kupować więcej gadżetów i luksusowych mebli do swoich biur – powiedział z goryczą. – I nie tylko utrzymywać tę anonimową organizację, ale ją jeszcze rozbudowywać. W tym samym czasie posterunki policyjne – ludzie, którzy mają na co dzień do czynienia z najcięższymi przestępstwami, gangami ulicznymi, morderstwami, gwałtami – nie mają pieniędzy na podwyżki płac ani na kupno potrzebnego wyposażenia.

Kiedy mijali w błyskawicznym tempie Modenę, Valerie się odezwała:

– Przepisy dotyczące egzekwowania federalnego i stanowego prawa o konfiskacie majątku są oburzające. Pozwalają na to, żeby przejęte majątki nie zostały skrupulatnie zarejestrowane, i w ten sposób spory ich procent znika w kieszeni urzędników.

– To jest złodziejstwo.

– Nikt jeszcze nie został przyłapany, więc może to jest legalne. W każdym razie konfidenci Summertona w wydziale zamierzali wtargnąć do siedziby Koresha w Mount Carmel i przy okazji podrzucić narkotyki, dużo nielegalnej broni i podrobione dokumenty o handlu narkotykami na dużą skalę.

– Ale najazd się nie udał.

– Koresh okazał się bardziej impulsywny, niż przypuszczali. Zginęło sporo agentów i zginęły dzieci. Wobec tłumu reporterów i kamer telewizyjnych konfidenci Summertona nie mogli podrzucić narkotyków i broni. Operacja się nie udała, a przy okazji w wydziale pozostały niebezpieczne ślady afery: tajne notatki, raporty, dokumenty. Trzeba to było szybko sprzątnąć. Sprzątnięto przy tym niektórych ludzi, tych, którzy wiedzieli za dużo i mogli donieść.

– I ty sądzisz, że to wszystko było dziełem tej organizacji.

– Ja nie sądzę, ja wiem.

– Skąd ty się w tym wszystkim wzięłaś? Skąd znasz Summertona?

Zagryzła dolną wargę i zamyśliła się, jakby się zastanawiała, jaką część swojej tajemnicy chce mu wyjawiać.

– Kim naprawdę jest Valerie Keene, Hannah Rainey i Bess Baer?

– A kim naprawdę jest Spencer Grant? – spytała z udawanym gniewem.

– Jeśli się nie mylę, zdradziłem ci prawdziwe nazwisko wczoraj wieczorem lub przedwczoraj, kiedy nie całkiem nad sobą panowałem.

Zawahała się, a potem skinęła potwierdzająco głową, patrząc cały czas na szosę.

Zaczął mówić słabym głosem, niewiele donośniejszym od szeptu, i chociaż nie potrafił zmusić się do mówienia głośniejszym głosem, wiedział, że słyszała każde jego słowo.

– Nazywam się Michael Ackblom. Nienawidzę tego nazwiska, mimo że od czternastu lat nazywam się inaczej: od czasu gdy moi dziadkowie pomogli mi zwrócić się do sądu o jego zmianę. Od dnia, kiedy sędzia oznajmił, że sąd przychylił się do mojego wniosku, ani razu go nie wymówiłem – aż do momentu kiedy zdradziłem je tobie.

Zapadła cisza.

Nie odzywała się, czując, że mimo iż skończył mówić, ma jej jeszcze wiele do powiedzenia.

To, co chciał jej zdradzić, było łatwiejsze do zakomunikowania w stanie gorączkowego delirium podobnym do tego, w którym zdobył się na swoje poprzednie zwierzenia. Teraz czuł w sobie rezerwę, którą spowodowała nie tyle nieśmiałość, ile gorzka świadomość, że jest człowiekiem rozbitym i że ona zasługuje na kogoś lepszego, którym on nigdy się nie stanie.

– Ale gdybym nawet nie był w stanie oszołomienia – ciągnął – wcześniej czy później i tak wszystko bym ci opowiedział. Nie chcę mieć przed tobą żadnych sekretów.

Jakże trudno niekiedy wyznać tajemnice, które płyną z głębi serca, a czasu jest niewiele. Gdyby miał swobodę wyboru – nie wybrałby ani tej chwili, ani tego miejsca, żeby się z nich zwierzyć: opustoszałej drogi w Utah, kiedy jest obserwowany i ścigany, kiedy pędzi ku prawdopodobnej śmierci, a może nieoczekiwanej wolności – w obu przypadkach ku niewiadomemu. Życie stwarza przymusowe okoliczności, nie licząc się z niczym zdaniem. Ale męka mówienia od serca jest mimo wszystko bardziej znośna niż katusze będące ceną milczenia.

Wziął głęboki oddech.

– To, z czego chcę ci się zwierzyć... jest megalomańskie. Jeszcze gorzej: naiwne i śmieszne. Na miłość boską – nie potrafię nawet opisać tego, co czuję do ciebie, ponieważ brak mi słów. Możliwe, że na to nie ma słów. Wiem tylko, że to, co czuję, jest cudowne, dziwne, inne niż się spodziewałem, inne niż to, co ludzie powinni odczuwać w podobnej sytuacji.

Patrzyła na drogę, co ośmielało Spencera do rzucania na nią od czasu do czasu ukradkowych spojrzeń. Jej lśniąca ciemne włosy, delikatny profil i jędrność pięknych opalonych rąk, trzymających koło kierownicy, zachęciły go do dalszych zwierzeń. Gdyby jednak w tej chwili spojrzała mu w oczy, poczułby się zbyt onieśmielony, żeby wyrzucić z siebie resztę tego, co od dawna chciał jej powiedzieć.

– Idiotyczne jest to, że sam nie wiem, dlaczego żywię wobec ciebie takie uczucia. Po prostu czuję je w sobie, jakby urosły bez mojej świadomości, a ty byłaś we mnie od samego początku lub ja czekałem całe życie, wiedząc, że się zjawisz.

Im więcej wypowiadał słów i im szybciej się z niego wydobywały, tym bardziej się obawiał, że nie będzie mógł znaleźć tych właściwych. Poczul ulgę na myśl, że ona nic nie odpowie, ani – co byłoby jeszcze gorsze – nie zachęci go do kontynuowania. Balansował na wysoko zawieszanej linii wśród takiego napięcia emocjonalnego, że najdrobniejszy podmuch, nawet niezamierzony, straciłby go z niej bezpowrotnie.

– Nie wiem. Jestem zażenowany. Chodzi o to, że jak czternastolatek nie umiem wyrazić swoich uczuć. A skoro nie potrafię nazwać tego, co czuję, albo dlaczego to czuję – jakże mogę oczekiwać od ciebie czegokolwiek w zamian? Chryste, miałem rację: „megaloman” nie jest w stosunku do mnie właściwym określeniem – „głupiec” to znacznie lepsze.

Znów wycofał się do bezpiecznej kryjówki milczenia. Nie pozostał w niej długo, obawiając się, iż zabraknie mu determinacji, żeby je przerwać.

– Niezależnie od tego, czy jestem głupcem, czy nie, mam zamiar być przy tobie, dopóki nie każesz mi odejść. Opowiem ci wszystko o chłopcu, który kiedyś nazywał się Michael Ackblom. Opowiem ci wszystko, o czym będziesz chciała wiedzieć, wszystko, co potrafisz wytrzymać. Ale chcę od ciebie tego samego. Chcę wiedzieć wszystko od początku do końca. Bez sekretów. Kończymy z tajemnicami. Od tej chwili nie mamy przed sobą żadnych sekretów. Wszystko, co będziemy mieli z sobą wspólnego – jeśli w ogóle będziemy mieli – musi być uczciwe, szczere, czyste, jasne, takie, jakiego dotąd nie zaznałem.

W czasie gdy mówił, prędkość rovera wyraźnie zmalała. Milczenie, które teraz nastąpiło, nie było jego kolejną chwilą wychnienia między męczeńskimi próbami wypowiedzenia się. Ona wydawała się świadoma nowej sytuacji. Spojrzała na niego. Jej ciemne oczy błyszczały ciepłem i zyczliwością, które go tak ujęły w „Czerwonych Drzwiach” przed niespełna tygodniem, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Kiedy poczuła, że ciepło może zmienić się lada moment we łzy wzruszenia – odwróciła głowę w stronę szosy.

Od ich drugiego spotkania – w piątkową noc w łóżysku rzeki – aż do teraz nie zauważał w niej owej wyjątkowo życzliwej i otwartej natury. Zapewne ukrywała ją z ostrożności, pełna różnych podejrzeń. Przestała mieć do niego zaufanie, odkąd śledził ją w drodze do domu. Życie nauczyło ją cynizmu i podejrzliwości w stosunku do innych, podobnie jak jego nauczyło bać się czegoś nieznanego, co kryło się w nim samym.

Zorientowała się, że bezwiednie zmniejszyła szybkość, i przycisnęła pedał gazu.

Spencer czekał.

Drzewa rosły teraz blisko drogi. Po szybach znów przebiegały migotliwe wstążki światła i cienia.

– Mam na imię Eleanor – powiedziała. – Ludzie nazywają mnie Ellie. Ellie Summerton.

– Chyba nie jesteś... jego córką?

– Nie, dzięki Bogu. Jestem jego synową. Moje panieńskie nazwisko brzmiało Golding. Eleanor Golding. Wysłałam za jedyne go syna Toma, Danny'ego. Danny od czternastu miesięcy nie żyje. – Ton jej głosu oscylował między gniewem i żalem, zmieniając się często w połowie poszczególnych słów, rozciągając je i zniekształcając. – Czasem wydaje mi się, że nie żyje zaledwie od tygodnia, a czasem, że od wieków. Danny za dużo wiedział i miał zamiar mówić. Dlatego został zabity.

– Summerton... zabił własnego syna?

Jej głos stał się tak zimny, że wydawało się, iż gniew na stałe wziął górę nad smutkiem.

– Jeszcze gorzej. Kazał zrobić to komuś innemu. Moja mama i tata również zostali zabici... tylko dlatego, że byli w pobliżu, kiedy ludzie z organizacji przyszli zabić Danny'ego.

Mówiła lodowatym głosem i była blada jak płótno. Podobną bladość pamiętał z czasów, gdy jeszcze był policjantem... na twarzach oglądanych w kostnicy.

– Ja też tam byłam. Udało mi się uciec – powiedziała. – Miałam szczęście. Od tej pory ciągle to sobie powtarzam: miałam szczęście.

– ...ale Michael nie zaznał spokoju nawet wtedy, gdy przeprowadził się do Denver i zamieszkał ze swoimi dziadkami, Porthami – ciągnął swoją relację Duvall. – Każde dziecko w szkole znało nazwisko Ackblom, gdyż było niezwykle. Poza tym jego ojciec był słynnym artystą, nim jeszcze został słynnym mordercą po zabiciu żony i czterdziestu jeden innych kobiet. Ponadto zdjęcie Michaela zostało zamieszczone we wszystkich gazetach. Był bohaterem. Był obiektem niekończącego się zainteresowania. Oglądano go ze wszystkich stron. I za każdym razem, gdy wydawało się, że media dadzą mu już w końcu spokój, następował nowy wzrost zainteresowania i znów goniono za nim, mimo że był jeszcze dzieckiem.

– Dziennikarze to cyniczni dranie – odparł Roy, pełen pogardy. – Dla nich liczy się tylko sensacja. Są całkowicie pozbawieni współczucia.

– Chłopak przeszedł piekło, gdy miał osiem lat, po znalezieniu ciała jego matki w rowie, ten okres rozdarł go wewnątrz. Dziadkowie byli już na emeryturze, mogli zamieszkać gdziekolwiek, więc po blisko dwóch latach postanowili wywieźć Michaela z Kolorado. Osiąść w innym mieście, w innym stanie. Tak powiedzieli sąsiadom, nie mówiąc nikomu, dokąd się przeprowadzają. Zerwali wszelkie więzy, kierując się dobrem chłopca. Doszli do wniosku, że to jedyna szansa, aby rozpoczął normalne życie.

– Inne miasto, inny stan, nowe życie, a nawet nowe nazwisko – powiedział Roy. – Zmienili je urzędowo, prawda?

– Tu, w Denver, przed wyprowadzeniem się. Wyrok sądowy został utajniony z uwagi na okoliczności.

– Oczywiście.

– Ale ja go przeczytałam. Michael Steven Ackblom zmienił nazwisko na Spencer Grant bez drugiego

imienia, a nawet inicjału. Dziwny wybór. Wygląda na to, że to nazwisko chłopcu imponowało, ale nie wiem, skąd mógł je wziąć.

– Ze starych filmów, które uwielbiał.

– Co?

– Dobra robota. Dziękuję ci, Gary.

Roy rozłączył się za przyciśnięciem guzika, ale nie zdjął słuchawek. Patrzył na fotografię Stevena Ackbloma, mężczyzny wśród cieni.

W kościach czuł wibracje pochodzące od silnika, wirników, wewnętrznych pragnień i sympatii do tego wcielonego diabła. Poczuł dreszcz nieokreślonego, przyjemnego chłodu.

„Były takie piękne, kiedy cierpiały, a po śmierci wyglądały jak anioły”.

Gdzieniedzie pod drzewami, tam gdzie nie dochodziło słońce, białe pasy śniegu, wyglądające jak żebra szkieletu ziemi.

Za nimi była pustynia. Zima została tego roku wyparta przez wczesną odwilż, nie uległo jednak wątpliwości, że wróci przed nastaniem prawdziwej wiosny. Ale tego dnia niebo było niebieskie – właśnie wtedy kiedy Spencer powitałby z radością lodowaty wiatr i gęstą zamieć śnieżną, która osłoniłaby ich przed obserwacją z góry.

– Danny genialnie układał programy – powiedziała Ellie. – Od najmłodszych lat był fanatykiem komputerów. Ja także. Od ósmej klasy żyłam i oddychałam w tym świecie. Spotkaliśmy się na uczelni. Moje hobby polegające na włamywaniu się do systemów i obracanie się w sferze, która jest domeną mężczyzn, przyciągnęło go.

Spencer zapamiętał Ellie siedzącą w porannym słońcu na pustynnym piasku, schyloną nad komputerem, łączącą się z satelitami, zachwycającą w swoim mistrzostwie. Pamiętał jej kryształowe oczy rozjaśnione przyjemnością płynącą ze świadomości swojego kunsztu i kosmyk włosów w kształcie skrzydła kruka, zasłaniający policzek.

Niezależnie od opinii, jaką miała o sobie, jej hakerska pasja nie była jedynym powodem, który przyciągnął ku niej Danny'ego. Wydawała się atrakcyjna z wielu względów, ale przede wszystkim dlatego, że była ruchliwsza niż inni.

Patrzyła uważnie na drogę, ale wyczuł, że ma kłopoty z obiektywnym spojrzeniem na przeszłość i walczy, żeby się w niej nie zagubić.

– Po ukończeniu studiów Danny otrzymał wiele propozycji, jednak ojciec zmusił go do pracy w Biurze Kontroli Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej. Tom Summerton, zanim przeszedł do Departamentu Sprawiedliwości, był dyrektorem tego wydziału.

– Ale wówczas był inny rząd.

– Och, w przypadku Toma nie ma wielkiego znaczenia, która partia rządzi w Waszyngtonie. Zawsze zajmuje ważne stanowisko w tak zwanej ironicznie „służbie społecznej”. Dwadzieścia lat temu odziedziczył ponad miliard dolarów, który przez ten czas urósł zapewne do dwóch miliardów, i ofiarowuje ogromne sumy na obie partie. Jest wystarczająco mądry, żeby deklarować się jako bezpartyjny; jako mąż stanu, a nie polityk; jako człowiek, który bez zabarwienia ideologicznego wie, co należy robić, żeby poprawić świat.

– Trudno zajmować taką pozycję.

– Dla niego to łatwe, ponieważ wierzy jedynie w siebie. I we władzę. Władza jest jego pożywieniem, napojem, miłością, seksem. Pasjonuje go korzystanie z władzy, nie mające nic wspólnego z ideami, którym powinna służyć. W Waszyngtonie żądza władzy sprzyja diabłu, kupującemu za nią dusze, ale

Tom jest tak ambitny, że z pewnością wziął za swoją rekordową cenę.

Słyszając kipiącą w jej głosie wściekłość, Spencer spytał:

– Zawsze go nienawidziłaś?

– Tak – przyznała otwarcie. – Gardziłam tym śmierdzącym sukinsynem. Nie chciałam, żeby Danny pracował w wydziale, gdyż był zbyt uczciwy, naiwny, łatwo dawał się ojcu oszukiwać.

– Czym on się tam zajmował?

– Stworzył Mamę. Cały system wraz z oprogramowaniem, który później nazwano Mamą. Miało to być największe na świecie źródło danych kryminalistycznych; system, który pozwalałby przetwarzać z rekordową szybkością miliardy bajtów, łączyć błyskawicznie państwowe, stanowe i lokalne organizacje kontroli przestrzegania prawa, wyeliminować dublowanie się pracy i w rezultacie dać przewagę stróżom ładu i porządku.

– Świetna robota.

– Prawda? Tymczasem Mama okazała się groźna. Tom nigdy nie chciał, żeby służyła jakiegokolwiek usankcjonowanej instytucji państwowej. W celu zbudowania Mamy użył środków finansowych wydziału, ale jej przeznaczeniem było stać się mózgiem anonimowej organizacji.

– Danny zorientował się, że służy niewłaściwej sprawie?

– Może wiedział, ale nie przyznawał się do tego. Nadal pracował nad Mamą.

– Jak długo?

– Za długo – odparła ze smutkiem. – Do czasu gdy jego ojciec przeniósł się do Departamentu Sprawiedliwości – rok po powstaniu Mamy i organizacji. Wówczas dotarło do niego, że zadaniem Mamy było umożliwienie rządowi popełniania przestępstw. Zaczęło go nurtować oburzenie i wstręt do samego siebie.

– A oni nie pozwolili mu odejść, kiedy chciał ich opuścić.

– Nie wiedzieliśmy, że taka ewentualność była wykluczona. Wprawdzie Tom jest chodzącym gównem, ale mimo wszystko był ojcem Danny'ego. A Danny był jego jedynym synem. Jego matka umarła na raka, kiedy był jeszcze mały, więc wydawało się, że jest dla Toma wszystkim, co mu zostało na świecie.

Spencer pamiętał, że po tragicznej śmierci matki poczuli się z ojcem bardziej sobie bliscy. A może tak tylko wyglądało. Przynajmniej aż do pewnej czerwcowej nocy.

– Wtedy okazało się, że praca w organizacji była obowiązkowo dożywotnia – powiedziała Ellie.

– To tak jak bycie osobistym adwokatem szefa mafii.

– Jedynym wyjściem było ujawnić cały ten brudny interes. Danny przygotowywał w tajemnicy raport na temat programów Mamy i listę akcji rządowych przeprowadzonych pod osłoną organizacji i przez jej ludzi.

– Zdawaliście sobie sprawę z niebezpieczeństwa?

– Do pewnego stopnia. Ale w głębi duszy każde z nas wątpiło w to, że Tom może zabić Danny'ego. Mieliśmy, ostatecznie, po dwadzieścia osiem lat. Śmierć była dla nas abstrakcją. Kto, mając dwadzieścia osiem lat, naprawdę wierzy, że kiedykolwiek umrze?

– I wtedy zjawili się mordercy?

– To nie był oddział SWAT. Znacznie taktowniej. Trzej mężczyźni, wieczorem, w Święto Dziękczynienia. Dwa lata temu. Moi rodzice mieszkali w Connecticut. Ojciec jest... był lekarzem. Lekarz w małym miasteczku nie ma prywatnego życia. Nawet w Święto Dziękczynienia. Tak więc... pod koniec kolacji poszłam na chwilę do kuchni... żeby przynieść placek z dynią... gdy nagle usłyszałam dzwonek

przy drzwiach...

Po raz pierwszy Spencer wolał nie patrzeć na jej uroczą twarz. Zamknął oczy.

Ellie wzięła głęboki oddech i ciągnęła:

– Kuchnia była na drugim końcu holu, licząc od przedsionka. W chwili gdy mama otwierała, pchnęłam wahadłowe drzwi do kuchni, żeby zobaczyć, kto przyszedł.

Spencer czekał cierpliwie, chcąc, żeby opowiedziała historię własnym rytmem. Domyślając się, jaki mógł być dalszy ciąg wydarzeń po tym, jak czternaście miesięcy temu jej matka otworzyła drzwi na dźwięk dzwonka, przypuszczał, że był pierwszym człowiekiem, któremu opowiadała o tych morderstwach. Od tamtej pory ciągle uciekała, nie potrafiła nikomu w pełni zaufać, nie chciała ryzykować życia niewinnych ludzi, włączając ich do osobistej tragedii.

– Przy drzwiach stali dwaj mężczyźni. Wyglądali zwyczajnie. Mogli być pacjentami ojca. Pierwszy z nich ubrany był w czerwoną myśliwską kurtkę w szkocką kratę. Powiedział coś do mamy i wszedł z pistoletem w dłoni, odpychając ją do tyłu. Pistolet miał tłumik. Nie usłyszałam strzału, tylko zobaczyłam... tryskającą krew... i rozrywający się tył jej głowy.

Spencer, mając oczy zamknięte, wyobrażał sobie dokładnie ów przedsionek w Connecticut i grozę sytuacji.

– Tata i Danny siedzieli w jadalni. Krzyknęłam: „Uciekajcie!”. Wiedziałam, że to organizacja. Nie próbowałam uciekać tylnymi drzwiami. Zapewne instynktownie. Zostałabym zabita na tylnej werandzie. Z kuchni pobiegłam do pralni, stamtąd do garażu i bocznymi drzwiami na zewnątrz. Dom stał na dwóch akrach terenu, w większości porośniętego trawą, ale dobiegłam do żelaznego płotu dzielącego nas od posiadłości Doyle’ów. Już go prawie pokonałam, kiedy tuż koło mnie odbił się rykoszetem pocisk. Ktoś do mnie strzelał z tyłów naszego domu. Także z pistoletu z tłumikiem. Nie usłyszałam huku wystrzału, tylko uderzenie pocisku w żelazo. Pędziłam jak szalona przez ogród Doyle’ów. Nie było ich w domu: pojechali na święta do swoich dzieci. Wbiegłam przez bramę na teren St. George’s Wood. Kościół był otoczony drzewami, w większości sosnami i platanami, porastającymi cały sześć – lub ośmioakrowy teren. Pobiegłam w głąb lasu, zatrzymałam się i obejrzałam. Sądziłam, że któryś z nich mnie goni. Ale nie było nikogo. Może byłam dla nich za szybka albo między ludźmi nie chcieli za mną biec z pistoletami w rękę. I wtedy zaczął padać śnieg, właśnie wtedy... wielkimi, puszystymi płatkami.

Spencer nie otwierał oczu. Widział ją w tym dalekim miejscu, samotną w ciemnościach, drżącą z zimna, nie mogącą złapać tchu, przerażoną... I nagłą zamieć białych płatków śniegu, wirujących wśród nagich gałęzi platanów – a koincydencja zjawiska wskazywała na coś więcej niż na raptowną zmianę pogody: nadawała mu charakter proroctwa.

– Było w tym coś niesamowitego... coś groźnego... – ciągnęła Ellie, potwierdzając przypuszczenia Spencera zastanawiającego się, co mogła wówczas odczuwać i jak on sam czułby się w podobnych okolicznościach. – Nie wiem... nie umiem tego wytłumaczyć... śnieg wyglądał jak opadająca kurtyna, sceniczna kurtyna oznaczająca koniec przedstawienia, koniec czegoś. Wiedziałam, że oni już nie żyją. Nie tylko moja matka. Tata i Danny także.

Mówiła dygoczącym z żalu głosem. Wiedziała, że kiedy będzie pierwszy raz opowiadała o tych morderstwach – otworzą się zasklepiione rany jej duszy.

Uniósł z determinacją powieki i spojrzał na nią. Jej twarz miała barwę popiołu. W oczach kręciły się łzy, ale policzki miała ciągle suche.

– Chcesz, żebym poprowadził? – zapytał.

– Nie. Lepiej, żebym ja to robiła. W ten sposób czuję się bardziej realnie... nie zatopię się do końca

w przeszłości.

Przydrożny znak wskazywał, że są w odległości ośmiu mil od Newcastle.

Spencer wyjrzał przez boczne okno na krajobraz, który wydał mu się pusty mimo porastających go drzew, i jakoś mroczny mimo pełnego światła słonecznego.

Ellie ciągnęła opowiadanie:

– Wtedy, stojąc między drzewami, spostrzegłam szybko jadący samochód. Byłam dość blisko i kiedy wjechał pod latarnię uliczną, zobaczyłam na przednim siedzeniu, obok kierowcy, mężczyznę w czerwonej kurtce myśliwskiej. Na tylnym siedzeniu też ktoś siedział – razem było ich trzech. Gdy przejechali, pobiegłam w stronę ulicy, chcąc krzyknąć o pomoc, wzywać policję, ale zrezygnowałam, zanim się tam znalazłam. Wiedziałam, kto to zrobił... organizacja, Tom. Ale nie miałam na to żadnego dowodu.

– Co się stało z raportem Danny’ego?

– Jest w Waszyngtonie. Jeden zbiór dyskiek ukryliśmy w naszym mieszkaniu, drugi został złożony w sejfie bankowym. Przypuszczam, że Tom ma już oba, gdyż inaczej nie poczyniłby sobie tak śmiało. Gdybym zwróciła się do policji, gdybym gdzieś się ujawniła, Tom osiągnąłby mnie. Wcześniej czy później. Zostałoby to zaaranżowane jak wypadek albo jak samobójstwo. Wobec tego wróciłam do domu tą samą drogą: przez St. George’s Wood, bramę posesji Doyle’ów i żelazny płot. W domu ledwie zmusiłam się do pójścia przez kuchnię... hol... do mamy w przedsiönku. Nawet już po tak długim czasie nie potrafię przypomnieć sobie innej mamy niż rannej, zalanej krwią, z roztrzaskaną pociskami głową. Te dranie zabrały mi nawet pamięć jej prawdziwej twarzy, pozostawiając tę okropną, krwawą... rzecz.

Przez dłuższą chwilę nie była w stanie mówić dalej. Rocky popiskiwał cicho, czując udrekę Ellie. Nie kiwał już głową ani nie szczyrzył radośnie zębów. W swoim ciasnym kącie kulił się ze zwieszonym łbem i stulonymi uszami. Jej ból stłumił zamiłowanie Rocky’ego do szybkiej jazdy.

Dwie mile przed Newcastle wróciła do opowiadania.

– W jadalni znalazłam Danny’ego i tatę, martwych, z głowami przestrzelonymi wielokrotnie... nie dla pewności, że nie żyją, tylko z czystego bestialstwa. Musiałam... dotykać ich ciał, wyjmować pieniądze z portfeli. Potrzebowałam każdego dolara. Przeszukałam torebkę mamy, szkatułkę z biżuterią. Otworzyłam sejf w skrytce ojca i zabrałam jego kolekcję numizmatów. Chryste, czułam się jak złodziej... nawet jeszcze gorzej – jak hiena cmentarna. Nie spakowałam walizki, wyszłam tak, jak stałam, częściowo z obawy, że mordercy lada chwila mogą wrócić, ale również dlatego... że w domu panowała taka cisza, byłam tylko ja... i ciała... i śnieg za oknami. Było tak spokojnie, jak gdyby umarli nie tylko mama, tata i Danny, ale wszyscy na całym świecie... zostawiając mnie samą.

Newcastle było podobne do Modeny. Małe, odosobnione miasteczko. Nie zapewniało żadnej kryjówki przed ludźmi, którzy mogli z góry oglądać cały świat, jak gdyby byli bogami.

– Odjechałam hondą, należącą do mnie i do Danny’ego, ale zdawałam sobie sprawę, że w ciągu najbliższych godzin będę musiała się jej pozbyć. Wiedziałam, że kiedy Tom zorientuje się, że nie udałam się na policję, zacznie mnie szukać cała organizacja, która będzie знаła markę samochodu i numery rejestracyjne.

Znów na nią spojrział. W oczach nie miała już łez. Smutek ustąpił miejsca dzikiej zawziętości.

Teraz on się odezwał:

– Jaka jest opinia policji na temat tego, co spotkało Danny’ego i twoich rodziców? Co się stało z tobą? Nie mam na myśli ludzi Summerton, tylko prawdziwą policję.

– Sądzę, że Tom upozorował to na zbrodnię dokonaną z zemsty na nim samym przez jakąś dobrze zorganizowaną grupę terrorystyczną. W ten sposób wzbudził dla siebie sympatię. I z pewnością

wykorzystał ją, żeby zdobyć jeszcze większe wpływy w Departamencie Sprawiedliwości.

– Ale skoro ty im się wyślizgnęłaś, nie mogli składać takich fałszywych oświadczeń, gdyż mogłaś w każdej chwili ujawnić się i wyznać całą prawdę.

– Trochę później media uznały, że Danny i moi rodzice... no wiesz... że to był po prostu jeden z tych godnych ubolewania aktów bezprawia: trach, trach, trach – które zdarzają się tak często. Jedno z tych przerażających, obłąkanych trach, trach, trach – które żyją w mediach przez trzy dni, a potem idą w zapomnienie. Jeśli chodzi o mnie... z pewnością zostałam uprowadzona, zgwałcona i zamordowana, a moje ciało ukryte gdzieś, gdzie go nikt nie znajdzie.

– To było przed czternastoma miesiącami? – zapytał. – I organizacja nadal ściga cię tak zapamiętałe?

– Znam pewne ważne kody – z czego nie zdają sobie sprawy – wiem równie dużo jak Danny. Nie mam przeciw nim niepodważalnych dowodów, ale wiem o nich wszystko i to czyni mnie wystarczająco niebezpieczną. Tom, póki żyje, nie przestanie mnie ścigać.

Wielki, podobny do czarnej osy helikopter leciał teraz nad pustkowiem Nevady.

Roy nie zdjął z głowy swojego komunikatora, wyposażonego w słuchawki wielkości spodków, tłumiące hałas rotora. Chciał się skupić nad fotografią Stevena Ackbloma. Najgłośniejszym dźwiękiem w obrębie jego zacisza było teraz powolne, mocne bicie własnego serca.

Kiedy wyszły na jaw ukryte praktyki Ackbloma, Roy miał zaledwie szesnaście lat. W tym czasie czuł się zagubiony, nie wiedząc, jaki jest sens życia i jaka jest w nim jego rola. Pociągało go piękno: obrazy Childe'a Hassama i wielu innych malarzy, muzyka klasyczna, zabytkowe meble francuskie, chińska porcelana, poezja liryczna. Czuł się szczęśliwy, gdy był sam, słuchając Bacha lub Beethovena, oglądając w albumach kolorowe zdjęcia jajek Faberge, sreber Paula Storra albo porcelany dynastii Sung. Czuł się szczęśliwy, gdy samotnie zwiedzał muzea sztuki. Rzadko natomiast czuł się szczęśliwy wśród ludzi, mimo że bardzo chciał mieć przyjaciół i być lubianym. Mając tak ekspansywną, lecz równocześnie asekurancką naturę, młody Roy był przekonany, że urodził się po to, żeby wnieść znaczny wkład w dzieło budowania świata. Wiedział też, że kiedy odkryje, na czym ten wkład będzie polegał, stanie się powszechnie kochany i podziwiany. Na razie czuł się sfrustrowany, czekając z niecierpliwością swoich szesnastu lat na objawienie się celu jego życia i czekającej go przyszłości.

Był zafascynowany relacjami na temat tragedii Ackbloma, ponieważ w tajemnicy podwójnego życia artysty dojrzał sposób rozwiązania swoich własnych rozterek. Nabył dwie książki z kolorowymi reprodukcjami dzieł Ackbloma i zachwycił się jego sztuką. Obrazy Ackbloma były piękne i nobliwe, ale nie tylko to wzbudziło zachwyt Roya. Wyzierało z nich wewnętrzne rozdarcie artysty, które Royowi wydało się podobne do jego własnego.

Generalnie Ackblom interesował się dwoma tematami i malował dwa różne rodzaje obrazów.

Mimo że miał około trzydziestu pięciu lat, jego fascynacja malarstwem powodowała, że poświęcał mu mnóstwo pracy. Połowę jego dzieł stanowiły wyjątkowo piękne martwe natury: owoce, warzywa, kamienie, kwiaty, minerały, pudełka z przyborami do szycia, guziki, narzędzia, talerze, zbiory starych butelek, nakrętki do butelek – przedmioty zarówno skromne, jak i luksusowe. Wszystkie szczegóły były zawsze namalowane tak finezyjnie, tak realistycznie, że wydawały się trójwymiarowe. Co więcej, każdy z tych przedmiotów miał w sobie pewien nadrealizm: wyglądał bardziej prawdziwie niż sam model i emanował jakimś ezoterycznym pięknem. Ackblom nigdy nie uciekał się do koturnowych uroków sentymentalizmu ani do ckliwości romantyzmu; jego wizja była zawsze przekonująca, wzruszająca, a często aż zapierająca dech w piersiach.

Na pozostałych obrazach byli ludzie namalowani pojedynczo lub w grupach składających się

z trzech, najwyżej siedmiu osób. Najczęściej były to głowy, natomiast całe postacie były zawsze namalowane nago. Na niektórych obrazach Ackbloma mężczyźni, kobiety i dzieci byli ulotnie piękni, ale ich uroda zawsze nosiła piętno straszliwego napięcia wewnętrznego, jak gdyby byli opanowani przez złe duchy, które mogły lada chwila się wyrwać na wolność. Napięcie to zniekształcało tu i ówdzie ich rysy: nieznacznie, ale wystarczająco, żeby pozbawić postacie idealnego piękna. Czasem artysta portretował osoby brzydkie, a nawet groteskowe, również promieniujące przerażającym napięciem wewnętrznym, ale wtedy owo napięcie idealizowało niektóre cechy osób portretowanych. Zdeformowane fizjonomie były bardziej odpychające, ponieważ ich szczegóły cechowało pewne piękno. Sprzeczność między powłoką zewnętrzną a stanem duchowym postaci na obrazach sprawiała, że stawały się ogromnie wyraziste. Ich twarze były bardziej tajemnicze i niepokojące niż twarze realnych istot ludzkich.

Na podstawie obrazów Ackbloma media szybko doszły do najbardziej oczywistej konkluzji. Ogłosiły, że artysta, sam bardzo przystojny, malował pod tymi postaciami własnego demona wołającego o pomoc lub ostrzegającego o swoim prawdziwym charakterze.

Roy miał zaledwie szesnaście lat, ale odgadywał, że obrazy Ackbloma nie traktowały o nim samym, ale o świecie takim, jakim artysta go postrzegał. Ackblom nie czuł potrzeby wołania o pomoc ani ostrzegania kogokolwiek, gdyż nie uważał się za demona. Przesłaniem jego sztuki była teza, że żadna istota ludzka nie może osiągnąć tak doskonałego piękna jak najskromniejszy martwy przedmiot.

Malarstwo Ackbloma pomogło Royowi zrozumieć, dlaczego z taką przyjemnością przestawał sam na sam z dziełami sztuki stworzonymi przez ludzi, natomiast źle się czuł w towarzystwie ludzi. Żadne dzieło sztuki nie może być bez skazy, ponieważ zostało stworzone przez niedoskonałą istotę ludzką. Sztuka jest jednak kwintesencją najwyższych wzlotów ludzkości, zatem jej dzieła są bliższe doskonałości niż ci, którzy je stworzyli.

Przedkładanie martwego świata nad żywy było słuszne. Wyższe uznanie dla sztuki niż dla ludzi powinno stać się ogólną dewizą.

Taka była pierwsza lekcja udzielona mu przez Stevena Ackbloma.

Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o tym człowieku, Roy odkrył, że artysta izolował się od otoczenia i rzadko rozmawiał z prasą. Udało mu się znaleźć dwa wywiady z Ackblomem. W jednym artysta rozwodził się ze wzruszeniem i współczuciem nad nędzą ludzkiej egzystencji. W tekście znajdował się cytat: „Spośród wszystkich uczuć najbardziej ludzkim uczuciem jest miłość, gdyż miłość jest najbardziej nieuporządkowana. Natomiast spośród wszystkich doznań, których możemy doświadczyć naszymi umysłami i ciałami, najdoskonalszy jest ostry ból, gdyż ból usuwa ze świadomości wszystkie inne doznania i skupia całą naszą uwagę z tak absolutną niepodzielnością, jak nic innego”.

Ackblom wołał przyznać się do zamordowania żony i czterdziestu jeden innych kobiet, niż poddać się długiemu procesowi sądowemu, którego nie mógł wygrać. Rozpoczynając na sali sądowej swoje zeznanie, wywołał odrazę i gniew u sędziego, mówiąc o swoich ofiarach: „Były takie piękne, kiedy cierpiały, a po śmierci wyglądały jak anioły”.

Roy zaczął się domyślać, co Ackblom robił w pomieszczeniach pod stajnią. Poddając swoje ofiary torturom, artysta chciał, żeby osiągnęły – choćby na krótko – doskonałość, dorównując tym samym, mimo że jeszcze żywe, przedmiotom martwym.

Czystość i piękno stanowiły jedność. Czyste linie, czyste kształty, czyste światło, czyste barwy, czysty dźwięk, czyste uczucia, czyste myśli, czysta wiara, czyste ideały. Jednakże ludzie bardzo rzadko – i tylko w niezwykłych okolicznościach – byli w stanie osiągnąć czystość myśli i poczynań, co świadczyło o ich godnym politowania losie.

To była druga lekcja udzielona mu przez Stevena Ackbloma. W ciągu kilku następnych lat politowanie dla ludzi umocniło się w nim i dojrzało. Podobnie jak pączek róży, który gwałtownie rozwinął się w piękny kwiat, Roy pewnego dnia, wkrótce po swojej dwudziestej rocznicy urodzin, skonstatował, że politowanie przerodziło się w nim we współczucie. Uważał, że to drugie uczucie było czystsze niż poprzednie. Politowanie zawiera w sobie zbyt często odrobinę obrzydzenia dla podmiotu albo uczucie wyższości u osoby to politowanie odczuwającej. Natomiast współczucie było rezultatem nieskazitelnej, krystalicznie czystej empatii, doskonałego zrozumienia ludzkich cierpień.

Wiedziony współczuciem, działając aktywnie w imię idei polepszenia świata, świadomy czystości swoich motywów – Roy poczuł się bardziej świątły niż Steven Ackblom. Znalazł swój cel w życiu.

Teraz, trzynaście lat później, siedząc w tyle helikoptera lecącego do Utah, Roy uśmiechnął się do fotografii artysty otoczonego rojem cieni.

Dziwne, jak wszystko w życiu się spleta. Jakieś drobne zdarzenie z odległej przeszłości albo ledwie zapamiętana twarz mogą stać się nagle bardzo ważne.

Artysta nigdy nie był dla Roya wzorem ani inspiratorem jego poczynań. Roy nie wierzył, że Ackblom był obłąkany – jak charakteryzowały go media – tylko po prostu poszedł niewłaściwą drogą. Najlepszą receptą na beznadziejność ludzkiego losu nie było doprowadzanie każdej niedoskonałej istoty do stanu najwyższego uniesienia przez poddawanie jej upiększającemu działaniu potwornego bólu. Były to osiągnięcia imponujące, ale chwilowe. Lepszym rozwiązaniem było odszukać tych, którzy najbardziej potrzebowali pomocy, a potem godnie, współczująco i możliwie szybko wyzwolić ich z niedoskonałej ludzkiej egzystencji.

Z drugiej strony, w przełomowym dla Roya okresie, artysta nieświadomie objawił zdezorientowanemu chłopakowi kilku życiowych prawd. Stąd też Roy, mimo iż uważał Stevena Ackbloma za postać błądzącą i tragiczną, czuł, że ma wobec niego dług.

Fakt, że to właśnie Roy miał uwolnić świat od jego kłopotliwego i niewdzięcznego syna – który zdradził własnego ojca – stanowił intrygujący dowód istnienia jakiejś wszechświatowej sprawiedliwości. Artysta w pogoni za ludzką doskonałością poszedł niewłaściwą drogą, ale w opinii Roya miał dobre intencje. Kiedy Michael (teraz Spencer) zostanie usunięty, ten żalony świat zbliży się o cal do doskonałości. Prócz tego czysta sprawiedliwość wymagała, żeby Spencer został zlikwidowany w rezultacie poddania go długotrwałym okrutnym torturom, przeprowadzonym metodami godnymi jego wizjonerskiego ojca.

Roy zdjął z głowy komunikator i usłyszał, jak pilot mówi przez głośnik:

– ...według obliczeń z Vegas, uwzględniając prędkość poruszania się celu, spotkanie nastąpi mniej więcej za szesnaście minut.

Szesnaście minut do celu!

Niebo było jak z niebieskiego szkła.

Znajdowali się w odległości siedemnastu mil od Cedar City. Jechali dwupasmową szosą, spotykając coraz więcej pojazdów. Ellie musiała często używać klaksonu, żeby skłonić powoli jadące samochody do zjechania z drogi. Jeśli kierowcy byli uparci – podejmowała ryzyko wyprzedzania ich w strefach zabronionych lub nawet wyprzedzała ich z prawej strony, gdy tylko pobocze drogi było wystarczająco szerokie.

Z powodu większego ruchu poruszali się teraz wolniej, ale ryzykowna jazda sprawiała, że wydawało im się, iż jadą szybciej niż przedtem. Spencer trzymał się krawędzi siedzenia. Rocky znów kiwał głową.

– Nawet nie mając dowodów – powiedział Spencer – mogłaś zwrócić się do prasy. Mogłaś skierować

ich na właściwy trop, żeby Summerton musiał się bronić...

– Próbowałam tego dwa razy. Pierwszy raz z reporterką „New York Timesa”. Skontaktowałam się z nią za pośrednictwem jej biurowego komputera, przeprowadziłam rozmowę i umówiłyśmy się w hinduskiej restauracji. Powiedziałam otwarcie, że jeśli komuś o tym powie, nawet jednej osobie, moje życie i jej nie będą warte funta kłaków. Przybyłam tam cztery godziny wcześniej i obserwowałam restaurację przez lornetkę z dachu budynku po przeciwnej stronie ulicy, żeby się upewnić, iż przyszła sama i że nikt jej nie śledził. Postanowiłam kazać jej czekać, wejść do środka pół godziny później i przez pewien czas nadal obserwować ulicę. Ale piętnaście minut po jej przybyciu restauracja wyleciała w powietrze. Policja orzekła, że to był wybuch gazu.

– A reporterka?

– Zginęła. Wraz z czternastoma przebywającymi w restauracji osobami.

– Wielki Boże!

– Tydzień później umówiłam się z reporterem z „Washington Post” na spotkanie w publicznym parku. Zaaranżowałam je za pośrednictwem telefonu komórkowego, siedząc ukryta na dachu budynku, z którego widać było miejsce spotkania. Umówiłam się za sześć godzin. Po półtorej godziny obok parku stanęła ciężarówka przedsiębiorstwa wodociągowego. Załoga pootwierala włazy, rozstawiła barierki i słupki ze światłami ostrzegawczymi.

– Chyba to nie byli prawdziwi pracownicy miejscy.

– Miałam przy sobie przenośny wielozakresowy skaner. Złapałam częstotliwość, na której rozmawiali z rzekomym barem śniadaniowym na kółkach, stojącym po drugiej stronie parku.

– Jesteś genialna – powiedział z podziwem.

– W parku kręcili się trzej agenci: jeden udawał żebraka, dwaj sprząтали park jako rzekomi dozorczy. Reporter zjawił się o umówionym czasie i podszedł do pomnika, przy którym mieliśmy się spotkać. Sukinsyn miał nadajnik. Usłyszałam, jak mruczy do nich, że nigdzie mnie nie widzi, i co wobec tego powinien robić. Oni go uspokajali, żeby zachował zimną krew i po prostu czekał. Gnojek siedział zapewne w kieszeni Toma Summerton i zadzwonił do niego natychmiast po rozmowie ze mną.

Dziesięć mil przed Cedar City dogonili pikapa, który jechał z prędkością dziesięciu mil na godzinę, zgodnie z obowiązującym ograniczeniem. Przez tylne okienko widać było dwie strzelby, leżące na półce.

Kierowca, uparty jak muł, nie reagował na klakson. Nie chciał ustąpić z drogi.

– Co jest z tym osłem? – uniosła się gniewem. Trąbiła teraz bez przerwy, ale on udawał głuchego. – Skąd on wie, czy nie wieziemy kogoś umierającego, potrzebującego szybkiej pomocy?

– Do diabła, w dzisiejszych czasach możemy być równie dobrze parą naćpanych szaleńców, szukających okazji do strzelaniny.

Człowiek w półciężarówce nie miał w sobie ani współczucia, ani strachu. W końcu zareagował na trąbienie, wyciągając przez okno rękę i pokazując Ellie pięść z wystawionym jednym palcem.

Wyprzedzenie go z lewej nie wchodziło w rachubę. Widzialność była ograniczona, a przed sobą mieli tylko nieprzerwany strumień nadjeżdżających samochodów.

Spencer spojrział na zegarek. Dwugodzinny margines bezpieczeństwa, oszacowany przez Ellie, kończył się za piętnaście minut.

Mężczyzna w pikapie miał z kolei za dużo czasu.

– Kretyn – powiedziała i zjechała na prawo, próbując wyprzedzić go poboczem.

Kiedy zrównała się z dodge'em, ów przyspieszył, dostosowując swoją szybkość do rovera. Ellie dwa razy przyspieszała i dwukrotnie pikap zrównywał się z nią.

Kierowca raz po raz odrywał wzrok od szosy i przyglądał się im. Miał około czterdziestki. Spod daszka czapki baseballowej wizerowała twarz o inteligencji łopaty.

Było oczywiste, że zamierzał jechać obok Ellie tak długo, aż poboczne stanie się za wąskie i będzie musiała zostać z tyłu.

Nie wiedział jednak, z kim ma do czynienia. Ellie zjechała z pobocza, chowając się za dodge'em, a następnie grzmotnęła go z tyłu na tyle mocno, że zaskoczony kierowca zdjął nogę z pedału gazu. Pikap zwolnił. Rover wystrzelił do przodu. Uparty kierowca ponownie dodał gazu, ale było już za późno: Ellie wjechała na jezdnię przed maską dodge'a.

Kiedy rover szarpnął się w lewo, a potem w prawo, Rocky upadł na bok, wydając z zaskoczenia krótki skowyt. Wrócił zaraz do pozycji siedzącej i prychnął, co mogło oznaczać zarówno konsternację, jak i radość.

Spencer spojrział na zegarek.

– Jak sądzisz, czy oni nawiążą kontakt z miejscową policją, nim tam przybędą?

– Nie. Będą się starali nie mieszać do tego miejscowych policjantów.

– Więc czego będziemy szukali?

– Jeśli przybywają z Vegas albo skądinąd, to prawdopodobnie helikopterem. Mają wówczas największą możliwość manewru. Naprowadzani przez satelitę mogą nas dogonić i w odpowiednim momencie znieść z powierzchni ziemi.

Spencer pochylił się do przodu i spojrział w górę ku błękitnemu złowrogiemu niebu.

Za nimi zabrzmiał klakson.

– Co za cholera – zakląła Ellie, patrząc w boczne lusterko. Spencer zajrzał do lusterka po swojej stronie i zobaczył, że dodge ich dogonił. Rozwścieczony kierowca trąbił, podobnie jak kilka chwil wcześniej Ellie.

– Nie jest nam to w tej chwili na rękę – martwiła się.

– W porządku – odparł Spencer. – Zobaczymy, czy spróbuje strzelać. Jeśli uciekniemy organizacji, wówczas wrócimy i zrewanżujemy mu się, pozwalając się grzmotnąć z tyłu.

– Myślisz, że pójdzie na to?

– Wygląda inteligentnie.

Pędząc na złamanie karku, jak uprzednio, Ellie spojrzała na Spencera i uśmiechnęła się.

– Zaczynasz dowodzić.

– To jest zaraźliwe.

Po obu stronach drogi, tu i ówdzie, widać było domy i niewielkie sklepy. Nie było to jeszcze Cedar City, ale z pewnością znajdowali się znów na obszarze cywilizowanym.

Tępy wałkoń w pikapie przyciskał klakson z takim zapałem, jak gdyby każdy ryk trąby powodował dreszcz rozkoszy w jego jądrach.

Na ekranie przenośnego komputera widniał transmitowany z Las Vegas obraz, przekazywany przez satelitę Earthguard 3 do ośrodka obserwacji satelitarnej. Obejmował odcinek szosy stanowej na zachód od Cedar City.

Range rover raz po raz robił kaskaderskie manewry. Roy, siedząc z tyłu helikoptera, z komputerem na udach, patrzył zafascynowany na scenę żywcem wyjętą z filmu sensacyjnego, tyle że obserwowaną ciągle z tego samego punktu.

Żaden normalny samochód nie jechałby równie szybko, klucząc między pasami ruchu i nie zważając na nadjeżdżające z przeciwka pojazdy, gdyby jego kierowca nie był pijany albo przed kimś nie uciekał.

Obserwowany kierowca nie był pijany. W technice prowadzenia rovera nie było żadnych błędów. Była to jazda ryzykowna i szaleńcza – ale przy tym mistrzowska. Z drugiej strony żadne okoliczności nie wskazywały na to, że rover był ścigany.

Obserwując go, Roy utwierdził się w przekonaniu, że za kierownicą siedzi kobieta, której poszukiwał. Kiedy zorientowała się, że została namierzona podczas łączenia się z satelitą, nie zatrzymała się ani na chwilę, mimo że nie ścigał jej żaden samochód. Wiedziała, że albo zaczają się na nią przy drodze, albo zlikwidują ją z powietrza. Próbowała uprzedzić ich i dotrzeć do większego miasta, gdzie mogłaby wmieszać się w rój samochodów i znaleźć odpowiedni kompleks architektoniczny, żeby zniknąć im z oczu.

Cedar City jednak się do tego nie nadawało. Najwidoczniej nie doceniała technicznych możliwości urządzeń używanych w obserwacji satelitarnej.

W przodzie kabiny pasażerskiej helikoptera czterej agenci z grupy szturmowej sprawdzali broń. Zapasowe magazynki schowali do kieszeni.

Mieli na sobie zwykłe ubrania. Ich zadaniem było opanować samochód, zastrzelić kobietę, uprowadzić Granta i wycofać się, zanim pojawią się lokalne siły porządkowe. Gdyby doszło do spotkania z miejscowymi policjantami, mieli ich zmylić fałszywymi dokumentami. Oszustwo jednak niesło z sobą ryzyko popełnienia błędu i zdemaskowania – ponieważ nie wiedzieli, jakimi informacjami dysponuje Grant ani co powie, jeśli policjanci uprą się, żeby z nim porozmawiać. Poza tym zadawanie się z miejscowymi oznaczało stratę czasu. Póki agenci nosili cywilne ubrania i mieli nieokreślonego pochodzenia sprzęt – trudno ich było zidentyfikować. Ewentualni świadkowie niewiele mogliby policji powiedzieć.

Wszyscy członkowie grupy uderzeniowej, łącznie z Royem, zostali wyposażeni w kamizelki kuloodporne i legitymacje DEA, którymi mogli w razie potrzeby zmylić miejscowe władze. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, po trzech minutach będą znowu w powietrzu – z aresztowanym Spencerem Granem i ze zwłokami kobiety – wszyscy cali i zdrowi.

Kobieta była skończona. Jeszcze oddychała, serce nadal w niej biło, ale w rzeczywistości była już trupem.

Earthguard 3 zaobserwował, że cel wyraźnie zwolnił. Potem rover wyprzedził, jadąc po poboczu, jeszcze jeden pojazd, prawdopodobnie pikap. Ten ostatni również przyspieszył i naraz przerodziło się to w wyścig.

Roy patrzył na ekran, niezadowolony z takiego obrotu sprawy.

Pilot oznajmił, że są o pięć minut od celu.

Przybyli do Cedar City.

W mieście panował zbyt duży ruch, żeby mogli łatwo uciekać, a z kolei za mały, żeby wtopić się w miasto i dezorientować Earthguarda. Psuło jej szyki to, że znajdowali się na ulicach ograniczonych rynsztokami, a nie na otwartej szosie z szerokimi poboczami. Przeszkadzały jej światła na skrzyżowaniach i ten durny narwaniec z pikapa, raz po raz naciskający klakson.

Na skrzyżowaniu Ellie skręciła w prawo, gorączkowo rozglądając się po obu stronach ulicy. Bary szybkiej obsługi. Stacje serwisowe. Sklepy. Nie zdawała sobie sprawy, czego właściwie szuka. Szukała okazji, którą będą mogli wykorzystać.

Marzyło jej się mieć jeszcze tyle czasu, żeby znaleźć jakąś kryjówkę dla rovera: lasek iglastych drzew z rozłożystymi gałęziami, podziemny parking, dowolne miejsce, gdzie można by zostawić samochód i opuścić go, nie będąc widzianym z nieba. Potem kupiliby albo ukradli jakiś inny samochód

i wówczas Earthguard nie potrafiłby ich odróżnić od innych pojazdów na szosie.

Wierzyła, że jeśli zabije tego kretyna w pikapie, to czeka ją łóżko nabijane gwoździami w Hadesie – niemniej satysfakcja wydawała się warta tej ceny. Uderzał w klakson jak rozwścieczona, skołowana małpa, postanawiająca rozwalić ten przekłety przycisk, żeby przestał na niego ryczeć.

Wielokrotnie próbował ich wyprzedzić, kiedy w strumieniu jadących w przeciwną stronę pojazdów pojawiała się luka, ale Ellie za każdym razem go blokowała. Prawa strona pikapa była porysowana i poharatana od uderzeń rovera, więc facet nie miał nic do stracenia, próbując zrównać się z nią i przyprzeć rovera do krawężnika.

Nie mogła do tego dopuścić. Kończył się ich czas, a scysja z małpą mogłaby sporo potrwać.

– Czyżby to byli oni? – zawołał Spencer, przekrzykując ryk trąby.

– Jacy oni?

Zobaczyła, że pokazuje jej coś na niebie. Z południowego zachodu nadlatywały dwa duże helikoptery operacyjne. Drugi leciał z tyłu i nieco po lewej stronie pierwszego. Oba były pomalowane na czarno. Błyszczały w porannym słońcu, jakby pokrywała je warstewka lodu, a wirujące łopaty tworzyły nad nimi świetliste kręgi. Wyglądały jak olbrzymie owady z pewnego filmu science fiction z lat pięćdziesiątych na temat apokaliptycznych skutków promieniowania jądrowego. Były w tym momencie w odległości niecałych dwóch mil od miasta.

W przodzie po lewej stronie zauważyła kompleks handlowy w kształcie litery U. Przyspieszyła instynktownie, skręciła ostro w lewo, wykorzystując przerwę w sznurze nadjeżdżających aut, i wjechała na krótką drogę dojazdową do parkingu.

Usłyszała przy prawym uchu dyszenie psa. Brzmiało jak cichy śmiech: He-he-he-he-he! – zupełnie nie po psiemu.

Trębacz nadal ich prześladował, więc Spencer musiał krzyczeć.

– Co robimy?

– Musimy zdobyć inny samochód.

– Na otwartej przestrzeni?

– Nie mamy wyboru.

– Zobaczą, że się przesiadamy.

– Zmylimy ich.

– W jaki sposób?

– Zastanawiam się nad tym.

– Tego się obawiałem.

Skręciła w prawo, niemal nie hamując, i pojechała na południową stronę parkingu, z dala od sklepów.

Pikap trzymał się za nimi.

Helikoptery były teraz o niespełna milę. Zmieniły kurs, naśladowując manewr rovera. Schodziły coraz niżej.

Środkową część centralnego skrzydła kompleksu zajmował supermarket. Za szklanymi ścianami widać było przestronne wnętrza, oświetlone ostrym światłem jarzeniówek. Obie strony supermarketu zajęły mniejsze sklepy – z odzieżą, książkami, nagraniami, zdrową żywnością. W bocznych skrzydłach kompleksu również mieściły się niewielkie sklepy.

Pora była tak wczesna, że większość sklepów dopiero się otwierała, toteż parking był prawie pusty. Tylko supermarket już dawno otwarto. Stała przy nim grupa dwudziestu, trzydziestu samochodów.

– Daj mi pistolet – powiedziała nagle. – Połóż mi go na udach.

Spencer podał jej sigę, a sam wziął z podłogi miniaturę uzi.

Południowa część parkingu nie stwarzała szans na jakiś mylący manewr. Ellie wykonała pełny zakręt z kontrolowanym poślizgiem i pojechała z powrotem na północ, ku środkowi parkingu.

Manewr tak zaskoczył małpę, że pikap wpadł w poślizg i omal nie przekoziółkował, chcąc utrzymać się za nią. Wyszedł z tego obronną ręką, ale przynajmniej przestał trąbić.

Pies nadal dyszał: He-he-he-he-he!

Jechała w pewnej odległości od sklepów, równoległe do ulicy, z której skręcili na parking.

– Chciałbyś coś z sobą zabrać? – spytała.

– Tylko moją walizkę.

– Nie będzie ci potrzebna. Pieniądze już z niej wyjęłam.

– Co wyjęłaś?

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów w podwójnym dnie – odparła.

– Znalazłaś moje pieniądze? – zdumiał się.

– Tak.

– Wyjęłaś je z walizki?

– Są w płóciennym worku za moim siedzeniem. Razem z moim laptopem i jeszcze innymi rzeczami.

– Znalazłaś moje pieniądze? – powtórzył, nie mogąc w to uwierzyć.

– Pomówimy o tym później.

– Jestem pewny.

Małpa w dodge' u straciła dystans, niemniej goniła ich uparcie, trąbiąc jak poprzednio.

Helikoptery były już o pół mili i zaledwie sto stóp nad ziemią, schodząc coraz niżej.

– Widzisz ten worek? – spytała.

Zajrzał za oparcie fotela.

– Tak. Leży za Rockym.

Nie była pewna, czy – po zderzeniach z dodge'em – drzwi z jej strony otworzą się bez trudu. Nie chciała mocować się równocześnie z drzwiami i z torbą.

– Weź go z sobą, kiedy się zatrzymamy.

– Zatrzymujemy się? – zapytał.

– Tak.

Ostatni zakręt. Ostro w prawo. Wjechała w jeden ze środkowych pasaży parkingu. Prowadził prosto na wschód, w kierunku wejścia do supermarketu. Podjeżdżając do budynku, nacisnęła guzik klaksonu i nie puszczała, robiąc więcej hałasu niż małpa z tyłu.

– Och, nie – powiedział Spencer z rosnącym podejrzeniem.

– Robimy sztuczkę! – krzyknęła Ellie.

– Tak nie wolno!

– Nie mamy wyboru!

– Mimo wszystko: nie wolno!

Szklane ściany supermarketu były częściowo zasłonięte transparentami reklamującymi coca-cole, ziemniaki, papier toaletowy i sól do zmiękczenia wody. Większość z nich była porozpinana wzdłuż górnych części wysokich tafli szkła; pod nimi, przez szybę, widać było stanowiska kasowe. Kilku sprzedawców i klientów, zaalarmowanych przeraźliwym wyciem klaksonów, patrzyło na nich przez szyby. Ellie, pędząc w ich stronę, widziała poblądłe twarze, podobne do masek arlekinów. Jedna z kobiet uciekała, co dało impuls pozostałym, aby się rozproszyć.

Modliła się, żeby zdążyli usunąć się z drogi. Nie chciała mieć na sumieniu niewinnych ludzi, ale również nie chciała zostać zastrzelona przez zbirów, którzy wysiądą z helikopterów.

Jeśli jej się nie uda – to umrą.

Rover jechał szybko, ale zachowywała nad nim pełną kontrolę. Sztuka polegała na tym, żeby przeskoczyć krawężnik promenady otaczającej supermarket i przebić szklaną ścianę oraz przylegający do niej, wysoki do pasa, stos towarów. Przy zbyt dużej szybkości wpadłaby jednak na stanowiska kasowe, co mogłoby spowodować tragiczne skutki.

– Uda nam się! – Potem przypomniała sobie, że nie wolno okłamywać psa. – Prawdopodobnie! – dodała.

Poprzez hałas silnika i klaksonów usłyszała nagle łoskot helikopterów. A może raczej poczuła fale ciśnienia, wytwarzane przez łopaty wirników. Musieli już być nad parkingiem.

Przednie opony uderzyły w krawężnik, range rover podskoczył, Rocky zaskowyczał, a Ellie puściła przycisk klaksonu i równocześnie zdjęła stopę z pedału gazu. Kiedy koła opadły na beton, mocno przycisnęła hamulec. Pędzący z szybkością trzydziestu, czterdziestu mil na godzinę rover ślizgał się po promenadzie z przeraźliwym piskiem opon. Zobaczyła, jak jego odbicie w szybie wyjeżdża z supermarketu i zderza się z nią czołowo – i w tym momencie posypał się deszcz szkła, dźwięczący jak opadające sople lodu. Przeorali wielkie drewniane palety, na których stały pięćdziesięciofuntowe worki z czymś przypominającym kartofle i ślizgali się dalej w stronę stanowiska kasowego. Ścianki z płyt pilśniowych popękały, półki z nierdzewnej stali powykrzywiały się, jakby były z folii, gumowa taśma transportera rozerwała się, ześliznęła z wałków i poszybowała w powietrzu, podobna do wielkiej, czarnej płaszczki, a rejestr kasowy omal nie spadł na podłogę. Uderzenie nie było tak mocne, jak Ellie się obawiała, a na koniec, jakby dla uczczenia szczęśliwego lądowania, wystrzelił w powietrze – niczym z kieszeni niewidzialnego iluzjonisty – pióropusz kolorowych torebek plastikowych.

– Wszystko w porządku? – zapytała, zwalniając klamrę pasa bezpieczeństwa.

– Następnym razem ja prowadzę – odparł.

Spróbowała otworzyć drzwi. Opierały się, piszcząc i zgrzytając, ale okazało się, że ani potyczka z dodge'em, ani zderzenie z supermarketem nie uszkodziły zamka. Złapała pistolet, spoczywający między jej udami i wygramoliła się z range rovera.

Spencer zdążył już wysiąść.

Ranek rozbrzmiewał łoskotem helikopterów.

Na ekranie komputera widać już było oba helikoptery, ponieważ weszły w pole widzenia Earthguarda 3. Siedzący w drugiej maszynie Roy oglądał jej dach, podziwiając możliwości współczesnej cywilizacji.

Pilot zmierzał prosto ku celowi, więc przez okienka w bocznych ściankach kabiny nie było widać, dokąd lecieli. Roy pozostał przy komputerze, patrzył jak range rover wymyka się na parkingu pikapowi. Kiedy pikap rozpędził się, żeby nadrobić dystans po nieudanym nawrocie, rover skręcił ku środkowemu budynkowi kompleksu, który był zapewne – sądząc po jego wielkości – supermarketem lub sklepem z przecenionymi towarami w rodzaju Wal-Marta lub Targeta.

Dopiero sekundę przed faktem Roy domyślił się, że rover ma zamiar uderzyć w budynek. Spodziewał się ujrzeć za moment kupę pogniecionego i powykręcane metalu. Ale rover znikł. Roy uświadomił sobie z przerażeniem, że pojazd wjechał przez jakieś wejście albo przez szklaną ścianę i że jego pasażerowie ocaleli.

Zdjął z kolan neseser z komputerem, położył w przejściu na podłodze i zerwał się na równe nogi. Nie zadbał o to, żeby przeprowadzić procedurę bezpieczeństwa przy rozłączaniu się z Mamą, nie wyłączył

się, nie wyjął wtyczki ze ściany, tylko pobiegł do kabiny pilota.

Z tego, co widział na ekranie, zapamiętał, że przelecieli nad przewodami elektrycznymi. Unosili się teraz nad parkingiem, schodząc do lądowania. Byli już tak blisko tej przeklętej kobiety, ale znów stracili ją z oczu.

Skoro zniknęła im z oczu, może znów się wymknąć. Nie! Nie mogą do tego dopuścić!

Czterej agenci z grupy uderzeniowej, uzbrojeni i gotowi do akcji, stali w przejściu prowadzącym do drzwi wyjściowych.

– Przepuście mnie!

Roy przecisnął się do przodu, otworzył drzwiczki kabiny pilota i połową ciała wsunął się do ciasnej kabiny.

Uwaga pilota była w tym momencie skupiona na posadzeniu helikoptera na ziemi, z ominięciem słupów latarni parkingu i stojących na nim pojazdów. Drugi pilot, będący zarazem nawigatorem, odwrócił się w stronę Roya.

– Wjechała do tego pieprzonego budynku – powiedział Roy, patrząc przez okno kabiny na potrzaskane szkło, leżące wzdłuż frontowej ściany supermarketu.

– Odważna, prawda? – odezwał się drugi pilot.

Z przodu budynku nagromadziło się zbyt wiele samochodów, żeby mógł tam wylądować chociażby jeden z helikopterów. Leciały ku przeciwnym ścianom budynku, jeden ku północnej, drugi ku południowej.

Wskazując palcem na pierwszy helikopter, w którym znajdowało się ośmiu agentów grupy uderzeniowej, Roy polecił:

– Powiedz im, że chcę, aby otoczyli tyły budynku i zatrzymywali wszystkich pieszych.

Pilot był w stałym kontakcie radiowym z pilotem pierwszej maszyny. Unosząc się na wysokości dwudziestu stóp nad parkingiem, przekazał rozkaz Roya.

– Będą próbowali wyjść z drugiej strony supermarketu – powiedział Roy, starając się opanować zdenerwowanie i zachować spokój. Głęboko oddychał. Wdychał brzoskwiniowe opary zbawiennego spokoju, wydychał żółtozielone wyziewy zdenerwowania, napięcia, stresu.

Helikopter unosił się za nisko, żeby Roy mógł zobaczyć drugą stronę budynku. Z widoku przekazywanego przez Earthguarda 3 zapamiętał, że była tam szeroka droga dojazdowa dla samochodów dostawczych, za nią betonowy mur, a dalej teren budowlany porośnięty licznymi drzewami. Domy i drzewa. Zbyt wiele kryjówek, zbyt wiele samochodów do uprowadzenia!

Pilot pierwszego helikoptera miał właśnie zamiar posadzić go na ziemi i wypuścić ludzi, gdy otrzymał rozkaz Roya. Śmigło nabrało obrotów i maszyna znów zaczęła się wznosić.

Brzoskwiniowy wdech. Żółtozielony wydech.

Z porozrywanych worków wysypało się mnóstwo brązowych kulek, które trzeszczały pod butami Spencera, kiedy po wydostaniu się z rovera biegł między dwoma stanowiskami kasowymi, trzymając w jednej ręce płócienny worek, w drugiej uzi.

Spojrzał w lewo i zobaczył, że Ellie biegnie równolegle z nim, wzdłuż sąsiedniego stanowiska. Przejścia między rzędami półek były długie i ciągnęły się od frontu aż na koniec sklepu. Spotkał się z Ellie u szczytu najbliższego poprzecznego przejścia.

– Uciekamy tyłem. – Rzuciła się w stronę końca sklepu. Biegając jej śladem, przypomniał sobie o Rockym. Pies wyskoczył za nim z rovera. Gdzie on się podział?

Stanął, zawrócił i pobiegł parę kroków w przeciwną stronę. Zobaczył nieszczęsnego czworonoga

przy przejściu kasowym, przez które przed chwilą sam przebiegał. Rocky zjadał te brązowe kulki, których jego pan nie pokruszył. Była to sucha psia karma. Pięćdziesiąt funtów albo więcej.

– Rocky!

Pies podniósł łeb i pomachał ogonem.

– Chodź tu!

Rocky nawet nie myślał usłuchać. Zjadł ze smakiem kilka następnych kulek.

– Rocky!

Pies znów na niego popatrzył, z jednym uchem obwisłym, drugim postawionym, machając od niechcenia ogonem.

– To moje! – powiedział Spencer swoim najsurowszym tonem.

Rocky, zawstydzony i posłuszny, porzucił jedzenie. Kiedy zobaczył Ellie, która zatrzymała się w połowie długiego przejścia, żeby na nich poczekać, pogalopował w jej stronę. Ellie kontynuowała ucieczkę. Rocky prześcignął ją z przekorą, nieświadomy, że biegną po to, żeby ratować życie.

Gdy dotarli do końca przejścia, z lewej strony pojawili się trzej mężczyźni. Zatrzymali się, kiedy zobaczyli Ellie, Spencera, psa... i broń. Dwaj nosili jednakowe białe stroje. Wyhaftowane na kieszeniach koszul nazwiska świadczyły, że są pracownikami sklepu. Trzeci – zwyczajnie ubrany, trzymający w ręce bułkę paryską – był zapewne klientem.

Rocky błyskawicznie, ze zwinnością kota, zawrócił w miejscu, przechodząc od beztroskiego galopu do ucieczki. Z podwiniętym ogonem, kołyszając się na ugiętych łapach i niemal czołgając po podłodze, wracał w stronę swojego pana.

Mężczyźni byli przestraszeni, bynajmniej nie agresywni. Zamarli bez ruchu, bezwiednie zamykając drogę.

– Z drogi! – krzyknął Spencer.

Dla nadania wagi rozkazowi wycelował w sufit i puścił krótką serię z uzi, rozbijając rząd jarzeniówek i wywołując deszcz szkła i potrzaskanych płytek wygłuszających.

Mężczyźni rozproszyli się w popłochu.

W tylnej ścianie sklepu, pomiędzy gablotami z artykułami mleczarskimi po lewej a chłodziarkami z mięsem i wędlinami po prawej, mieściły się podwójne drzwi wahadłowe. Przekroczyli je i znaleźli się w krótkim korytarzu, z pomieszczeniami po obu stronach.

Łoskot helikopterów nie był tu taki głośny.

Wychodząc z korytarza, przeszli do ogromnej hali stanowiącej przedłużenie budynku. Gołe betonowe ściany, jarzeniowe światło, odkryte krokwie zamiast podwieszanego sufitu. W środku było trochę wolnej przestrzeni, ale poza tym wszędzie wzdłuż przejść stały sterty skrzyń z towarami, wysokie na szesnaście stóp – zapasy wszystkiego, czym sklep handlował: od szamponu po świeżą żywność.

Spencer zauważył kilku pracowników magazynu, wyzierających ostrożnie spod stert towarów.

Jeszcze dalej, za powierzchnią magazynową, znajdowały się ogromne metalowe, rozsuwane drzwi, którymi mogły wjeżdżać tyłem wielkie ciężarówki. Po ich prawej stronie znajdowały się inne drzwi. Pobiegli do nich i wyszli na szeroką drogę dojazdową.

Nikogo nie dostrzegli.

Nad rozsuwanymi drzwiami wystawała z budynku dwudziestostopowej głębokości osłona przed deszczem, sięgająca niemal do połowy drogi dojazdowej, pozwalająca na rozładowywanie dodatkowych ciężarówek. Stanowiła dobrą osłonę przed patrzącymi z nieba oczami.

Ranek był zaskakująco zimny. W supermarkecie i w magazynie było chłodno, ale nie tak jak na

zewnątrz. Temperatura musiała zbliżyć się do zera. W ciągu dwóch godzin jazdy na złamanie karku dostali się z pustyni na wyżynę, do innego klimatu.

Nie było sensu uciekać drogą dojazdową na lewo czy na prawo. Obie prowadziły wokół budynku do frontowego parkingu.

Centrum handlowe otaczał z trzech stron dziewięciostopowy mur z betonowych płyt, zwieńczony ceglami i pomalowany na biało. Gdyby miał sześć stóp, pokonaliby go bez trudu. Dziewięć stóp to już było za wysoko. Mogliby przerzucić płócienny worek, ale nie zdołaliby przerzucić siedemdziesięciopuntowego psa bez obawy, że nic mu się nie stanie.

Zmienił się dźwięk silnika jednego z helikopterów. Łoskot śmigieł stał się głośniejszy. Helikopter przelatywał na drugą stronę budynku.

Ellie rzuciła się w prawo, wzdłuż zasłoniętego od góry podjazdu do supermarketu. Spencer wiedział, co zamierzała. Mieli pewną szansę. Pobiegł za nią.

Zatrzymała się pod krańcem górnej osłony, która zaznaczała koniec supermarketu. Za rogiem zaczynała się tylna ściana bocznego skrzydła centrum handlowego.

Ellie popatrzyła groźnie na Rocky'ego.

– Trzymaj się blisko ściany – nakazała mu, jak gdyby potrafił zrozumieć.

A może potrafił. Ellie wybiegła spod osłony, stosując się do własnego zalecenia, a Rocky kłusował między nią a Spencerem, nie oddalając się od ściany budynku.

Spencer nie wiedział, czy na ujęciu satelitarnym można zobaczyć ich na tle ściany ani czy dwustopowy okap głównego dachu choć trochę ich zasłania. Mimo że plan Ellie był pomysłowy, czuł, że są obserwowani.

Łoskot helikoptera się nasilił. Sądząc z kierunku, z którego dochodził, śmigłowiec wzbił się w powietrze nad parkingiem i teraz leciał nad dachem.

Pierwsze pomieszczenie w południowym skrzydle kompleksu zajmowała pralnia chemiczna. Na tylnym wejściu dla obsługi znajdowała się mała tabliczka z nazwą pralni. Drzwi były zamknięte.

Za pralnią chemiczną był sklep z kartami wydawnictwa Hallmark. Drzwi dla personelu nie zamknięto na klucz. Ellie rozwarła je szarpnięciem.

Roy Miro patrzył przez otwarte drzwi kabiny pilota, jak pierwszy helikopter wznosi się ponad budynek, zatrzymuje na moment, a potem leci nad dachem na tył supermarketu.

Wskazał na puste miejsce na parkingu, po południowej stronie centrum handlowego, i powiedział do pilota:

– Wysadź nas tam, przed Hallmarkiem.

Pilot przygotował się do wylądowania we wskazanym miejscu, a Roy dołączył do czterech agentów w kabinie pasażerskiej. Oddychał głęboko. Brzoskwiniowy wdech. Żółtozielony wydech.

Z kabury pod pachą wyciągnął berettę. Na lufie pistoletu był tłumik. Roy zdjął go i schował do wewnętrznej kieszeni kurtki. Operacja i tak nie mogła być przeprowadzona w ukryciu ze względu na zbyt wielu widzów, a tłumik przeszkadzał w celnym strzelaniu.

Helikopter siadł na ziemi.

Jeden z agentów odsunął drzwi i wszyscy wyskoczyli w przygniatający ich do ziemi ciąg powietrza.

Zanim Spencer wpadł za Ellie i Rockym na zaplecze sklepu z kartami, obejrzał się w górę, w stronę narastającego łoskotu. Zobaczył dokładnie nad sobą wyłaniające się z nadkrawędzi dachu końce łopat śmigła. Potem pojawiła się biegnąca skosem od nosa maszyny antena. Kiedy dotarła do niego pierwsza fala podmuchu, wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi w sam czas, żeby nie zostać zauważonym.

Zasuwa miała od wewnątrz mosiężne, skrzydełkowe pokrętko. Spencer wiedział, że agenci sprawdzą najpierw tyły supermarketu, mimo to przekręcił zamek.

Byli w wąskim magazynku, bez okien, w którym unosiła się różana woń, pochodząca z odświeżacza powietrza. Ellie otworzyła następne drzwi, zanim jeszcze Spencer zamknął zewnętrzne. Dalej trafili na małe biuro, oświetlone jarzeniówkami, z dwoma biurkami, komputerem i stertą akt.

Przed sobą mieli dwoje drzwi. Za pierwszymi, na wpół uchylonymi, znajdowała się mała toaleta, z muszlą klozetową i umywalką. Drugie prowadziły do sklepu.

Długie, wąskie wnętrze zastawione było rzędami obrotowych stojaków z kartami oraz stoiskami z papierem do pakowania prezentów, kartami, układankami, wypchanymi maskotkami, świecami dekoracyjnymi i innymi podobnymi drobiazgami. Zbliżały się walentynki, więc sklep był udekorowany okolicznościowymi transparentami i ozdobami do wieszania na ścianach – przeważnie kwiatami i serduszkami.

Odświętna atmosfera sklepu stanowiła memento, że niezależnie od tego, co w ciągu najbliższych minut stanie się z nim, Ellie i Rockym, świat będzie się nadal kręcił. Jeśli zostaną zastrzeleni w sklepie Hallmarka, ich ciała wyniosą, dywan wypiorą, wnętrze zostanie spryskane obficie różanym sprayem, wystawią na sprzedaż jeszcze więcej kart, a tłumy zakochanych nadal się będą cisnęły, żeby kupić prezenty.

Z przodu sklepu, przy frontowych szybach wystawowych, stały odwrócone do nich plecami dwie kobiety, przyglądając się zamieszaniu na parkingu.

Ellie ruszyła w ich stronę.

Spencerowi przemknęła przez głowę myśl, żeby wziąć zakładników. Pomysł mu się jednak nie podobał. Nie, absolutnie nie! Ludzie z organizacji, o których mu opowiadała i których sam widział podczas akcji, nie zawahaliby się zastrzelić zakładników, nawet kobiety lub dziecka, byle tylko osiągnąć swój cel – szczególnie w pierwszej fazie operacji, kiedy świadkowie wydarzenia zostaliby zaskoczeni, a reporterów z kamerami jeszcze by nie było.

Nie chciał mieć na rękach krwi niewinnych.

Nie mogli ukryć się w sklepie Hallmarka, licząc na to, że organizacja nie będzie ich tu szukać. Kiedy agenci nie znajdą ich w supermarkecie, rozszerzą poszukiwania na przyległe sklepy.

Będą mieli najwięcej szans ucieczki, jeśli wymkną się frontowymi drzwiami sklepu, podczas gdy agenci zajęci będą przeszukiwaniem supermarketu, a potem spróbują wsiąść do któregoś z zaparkowanych samochodów i odjechać. Szansa była mizerna, równie wątła jak ich nadzieja, ale jedyna – lepsza niż wzięcie zakładników.

Łądujący z tyłu helikopter sprawiał, że we wnętrzu panował większy hałas, niż gdyby sklep był położony pod torami kolejki górskiej w wesołym miasteczku. Transparenty obwieszczające walentynki falowały. Setki kótek na klucze, ozdobionych okolicznościowymi wisiorkami, podzwaniały na swoich haczykach. Grzechotały ustawione na szklanej półce ramki na fotografie. Nawet ściany sklepu drgały jak skóra na bębnie.

Hałas był tak nieludzki, że Spencer zaczął się obawiać o całość centrum handlowego. Musiała to być niezwykle tandetna konstrukcja, skoro jeden helikopter potrafił wywołać takie dygotanie ścian.

Byli już blisko wyjścia ze sklepu, piętnaście stóp od stojących przy oknie wystawowym kobiet, gdy odkryli przyczynę potwornego hałasu: przed supermarketem siadał na parkingu drugi helikopter. Sklep, ujęty w dwa ognie, drżał pod wpływem interferujących wibracji.

Na widok drugiego helikoptera Ellie stanęła.

Rocky, obojętny na kakofonię dźwięków, zląkł się na widok rozwiniętego plakatu filmu „Beethoven”, którego gwiazdą był ogromny bernardyn. Natychmiast skrył się za nogi Ellie.

Kobiety przy oknie nadal były nieświadome ich towarzystwa. Stały obok siebie, rozmawiając z ożywieniem, ale wśród huku silników Spencer nie mógł zrozumieć ani słowa.

Stanął obok Ellie, patrząc z lękiem na helikopter. Zobaczył, jak otwierają się drzwiczki i wyskakują z niego, jeden po drugim, uzbrojeni mężczyźni. Pierwszy trzymał pistolet maszynowy, większy niż micro-uzi Spencera, drugi miał w ręce automatyczny karabin, trzeci – dwa ręczne granatniki naładowane bez wątpienia pociskami ogłuszającymi, śrutowymi lub gazowymi, czwarty – pistolet maszynowy. Piąty, ostatni, był uzbrojony tylko w pistolet.

Ostatni różnił się od czterech pierwszych – masywnych, ciężkich mężczyzn – tym, że był niski i grubawy. Trzymał pistolet przy boku, skierowany lufą ku ziemi, i biegł mniej zwinnie niż jego towarzysze.

Żaden nie zbliżył się do sklepu z kartami. Skierowali się ku wejściu do supermarketu i zniknęli z pola widzenia.

Silnik helikoptera pracował na wolnych obrotach. Łopaty wirowały nadal, ale ze zmniejszoną prędkością. Grupa uderzeniowa miała nadzieję, że operacja odbędzie się błyskawicznie.

– Proszę pań – odezwała się Ellie.

Kobiety nie usłyszały ze względu na jeszcze dość znaczny hałas silników, w dodatku pochłonięte ożywioną konwersacją.

Ellie podniosła głos:

– Słuchajcie, do cholery!

Odwróciły się z krzykiem, przestraszone, otwierając szeroko oczy.

Ellie nie skierowała ku nim siga, ale upewniła się, że go zauważyły.

– Odejdźcie od okien i zbliżcie się do mnie.

Zawahały się, popatrując to na siebie, to na pistolet.

– Nie mam zamiaru was skrzywdzić – mówiła bardzo szczerze. – Ale będę musiała to zrobić, jeśli nie podejdziecie tu natychmiast!

Kobiety odstały od okien wystawowych, jedna z nich poruszała się wolniej. Ta wolniejsza spojrzała ukradkiem na pobliskie drzwi wejściowe.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegła ją Ellie. – Strzelę ci w plecy, klnę się na Boga, więc jeśli nawet nie zginiesz – będziesz do końca życia jeździła na wózku inwalidzkim. No, już dobrze, teraz podejdź bliżej.

Spencer, z kryjącym się za nim Rockym, usunęli się na bok, kiedy Ellie wskazywała przerażonym kobietom drogę, którą miały iść. Kazała im się położyć twarzami do podłogi w połowie przejścia, jedna za drugą, z głowami skierowanymi ku tyłowi sklepu.

– Jeśli któraś podniesie głowę w ciągu najbliższych piętnastu minut, zabiję – ostrzegła stanowczo.

Spencer nie był całkiem pewny, czy tym razem była równie szczerą jak uprzednio, kiedy powiedziała, że nie ma zamiaru ich skrzywdzić, ale przynajmniej wyglądało na to, że dotrzyma groźby. Gdyby był na miejscu kobiet – nie podniósłby głowy przynajmniej do Wielkanocy.

Wracając do niego, Ellie zauważyła:

– Pilot nadal siedzi w kabinie.

Postąpił parę kroków naprzód. Przez boczne okienko kabiny widać było jednego z członków załogi, prawdopodobnie drugiego pilota.

- Jestem pewny, że są tam obaj.
- Nie biorą udziału w akcji? – spytała Ellie.
- Oczywiście, że nie. To są lotnicy, a nie mordercy.

Podeszła do drzwi i popatrzyła na wejście do supermarketu.

- Musimy zaryzykować. Nie ma się co zastanawiać. Nie widzę innego wyjścia.

Spencer nie musiał nawet pytać, o czym myśli. Miała instynkt przetrwania poparty doświadczeniem czternastu miesięcy twardej walki. On zaś zapamiętał prawie wszystko, czego nauczył się w oddziale komandosów na temat strategii i szybkiego podejmowania decyzji. Nie mogli wrócić drogą, którą przyszli. Nie mogli także zostać w sklepie z kartami, który w końcu zostanie przeszukany. Nie mogli mieć nadziei na dotarcie do jakiegoś samochodu na parkingu i uruchomienie go bez zwrócenia uwagi rewolwerowców, ponieważ wszystkie samochody były zaparkowane przed nosem helikoptera. Cała operacja musiałaby się odbyć na oczach jego załogi. Zostało im jedno wyjście. Jedno zawiadanie, straceńcze wyjście. Wymagało zdecydowania, odwagi i – albo szczypty fantazji, albo ogromnej wiary we własne siły. Oboje byli na to gotowi.

- Weź to – rzucił, oddając jej płócienny worek – i to także. – Podał jej uzi.

Następnie wziął od niej siga i zatknął sobie za pasek dżinsów.

- Chyba nie ma innej rady – powiedziała.

– To tylko trzy sekundy sprintu, dla niego jeszcze mniej, ale nie można być pewnym, że się gdzieś nie zatrzyma.

Spencer kucnął przy Rockym, wziął go w ramiona jak dziecko i wstał.

Rocky nie wiedział, czy machać ogonem, czy się bać. Nie był pewny, czy czeka ich dobra zabawa, czy duże kłopoty. Nadmiar wrażeń sprawiał, że dotarł na krawędź załamania nerwowego. Zwykle w takich przypadkach trzął się i był oklapnięty albo wpadał ze strachu w szal.

Ellie otworzyła drzwi i spojrzała w stronę wejścia do supermarketu.

Leżące na podłodze kobiety ściśle przestrzegały polecenia.

- Teraz – powiedziała Ellie, wychodząc na zewnątrz i przytrzymując drzwi.

Przeszedł przez wyjście bokiem, żeby nie uderzyć głową Rocky'ego we framugę. Będąc już na promenadzie rzucił okiem w stronę supermarketu. Zbiry zniknęły we wnętrzu, z wyjątkiem jednego z pistoletem maszynowym, odwróconego do nich plecami.

Drugi pilot, siedzący w helikopterze, patrzył na coś leżącego mu na kolanach, nie wyglądając na zewnątrz.

Spencer biegł w kierunku otwartych drzwi helikoptera, mając wrażenie, że Rocky waży nie siedemdziesiąt funtów, tylko siedemset. Było to zaledwie trzydzieści stóp, wliczając w to nawet dziesięciostopowej szerokości chodnik, ale było to najdłuższe trzydzieści stóp we wszechświecie, anomalia przyrodnicza, dziwaczne zniekształcenie tworzywa, z którego zbudowany jest świat, rozciągające się coraz bardziej, w miarę jak biegł – i nagle był już przy drzwiach, wpychając psa do wewnątrz i wdrapując się jego śladem.

Ellie trzymała się tuż za nim. Kiedy tylko przekroczyła próg, postawiła na podłodze worek i trzymając w ręku uzi, skoczyła do przodu.

Dziesięcioosobowa kabina pasażerska była pusta, chyba że ktoś krył się za siedzeniami. Na wszelki wypadek poszła do końca przejścia, rozglądając się w lewo i w prawo.

Spencer otworzył drzwiczki do kabiny pilotów. Lufa jego pistoletu znalazła się na wprost twarzy drugiego pilota, który właśnie miał zamiar wstać z miejsca.

– Startuj – rozkazał pilotowi.

Obaj wyglądali na jeszcze bardziej zaskoczonych niż kobiety w sklepie z kartami.

– Startuj natychmiast, bo rozwałę mózg najpierw temu dupkowi, a potem tobie! – Spencer krzyczał tak, że aż obryzgał pilotów śliną, czując, że żyły w skroniach nabrzmiwiają mu jak u zawodników podnoszących ciężary.

Z satysfakcją pomyślał, że może być równie przerażający jak Ellie.

Roy i trzej agenci stali tuż za roztrzaskaną szklaną ścianą supermarketu obok wraku range rovera, na warstwie rozsypanej psiej karmy, z bronią wymierzoną w wysokiego mężczyznę o płaskiej twarzy, żółtych zębach i czarnych jak węgiel oczach – zimnych jak u żmii. Facet ścisnął obiema rękami półautomatyczny karabin i chociaż w nikogo nie celował, wydawał się wystarczająco rozwścieczony, żeby użyć go przeciw samemu Panu Jezusowi.

Był to kierowca pikapa, który stał teraz z otwartymi drzwiczkami na parkingu. Wszedł do środka, żeby zemścić się za porażki na szosie albo żeby zagrać rolę bohatera.

– Rzuć broń! – powtórzył po raz trzeci Roy.

– Kim ty jesteś?

– Kim ja jestem?

– Tak.

– Czy ty jesteś kretynem? Czy ja mówię do skończonego durnia? Widzisz, że czterech uzbrojonych po zęby facetów trzyma cię na muszce, a ty nie masz na tyle rozsądku, żeby rzucić ten karabin?

– Jesteście z policji czy co? – zapytał facet o oczach żmii.

Roy miał ochotę zabić go od razu. Bez dalszych ceregieli. Facet był zbyt głupi, żeby pozwolić mu żyć. Będzie mu lepiej, jeśli umrze. Smutny przypadek. Społeczeństwu też będzie lepiej. Najlepiej rąbnąć go zaraz, na miejscu, a potem poszukać kobiety i Granta.

Kłopot w tym, że jego marzenia o trzyminutowej akcji, zanim pojawi się miejscowa policja, spełzły na niczym. Operacja zaczęła się psuć od chwili, kiedy ta piekielna baba wjechała do wnętrza supermarketu – i psuła się coraz bardziej. Będą musieli ułagodzić policjantów z Cedar City, co stanie się trudniejsze, gdy jeden z mieszkańców, którego przysięgali chronić, będzie leżał martwy na stercie psiej karmy.

Skoro już i tak będą mieli do czynienia z miejscowymi, można również pokazać odznakę temu idiotcie. Wydobył z wewnętrznej kieszeni kurtki portfel, otworzył go i pokazał swoją fałszywą legitymację.

– DEA.

– Dobra – odparł mężczyzna. – Teraz wszystko w porządku.

Położył karabin na podłodze, a potem dotknął palcami daszka swojej baseballowej czapki, salutując i patrząc z podziwem na Roy a.

– Teraz idź stąd i usiądź z tyłu twojej ciężarówki. Nie w środku. Na otwartej platformie, za kabiną. Czekaj tam. Jeśli będziesz próbował uciekać – ten facet na zewnątrz odstrzeli ci nogi w kolanach.

– Tak jest, sir. – Zasalutował uroczyście po raz wtóry i wyszedł przez dziurę wybitą przez range rovera.

Roy musiał się pohamować, żeby mu nie strzelić w plecy. Brzoskwiniowy wdech, żółtozielony wydech.

– Rozstawcie się w poprzek frontowej ściany – rozkazał swoim ludziom – i bądźcie czujni.

Grupa idąca od tyłu miała przeszukać dokładnie supermarket, wypłaszając Granta i kobietę, gdyby

chcieli ukryć się gdzieś wewnątrz. Uciekinierzy zostaną wyparci do przodu i zmuszeni do kapitulacji. Jeśli się nie poddadzą – zostaną zastrzeleni.

Kobieta, rzecz jasna, zostanie i tak zastrzelona na miejscu, nawet jeśli się podda. Żywa – stanowiła zbyt wielkie ryzyko.

– Będą tędy próbowali przechodzić klienci i pracownicy! – wołał do swoich trzech ludzi rozstawiających się w poprzek sklepu. – Nie przepuszczajcie nikogo. Każcie im grupować się tam, obok biura kierownika. Zatrzymajcie nawet tych, którzy w ogóle nie przypominają naszej pary. Nawet jeśli pojawi się sam papież – macie go zatrzymać.

Nagle usłyszeli, że pilot helikoptera przyspieszył raz i drugi obroty wirnika.

– Co to znaczy, do diabła?

Roy przedarł się przez rumowisko i wyszedł na zewnątrz zobaczyć, co tam się dzieje.

Agent postawiony na straży przed frontem supermarketu patrzył w stronę sklepu Hallmarka, obok którego zaczynał wznosić się w górę helikopter.

– Co on robi? – spytał Roy.

– Startuje.

– Dlaczego?

– Pewnie chce gdzieś polecieć.

Jeszcze jeden cymbał. Uspokój się. Brzoskwiniowy wdech, żółtozielony wydech.

– Kto mu pozwolił zmienić miejsce postoju, kto mu pozwolił wystartować?

Zanim skończył pytanie – znał już odpowiedź. Nie domyślał się jeszcze, jak mogło do tego dojść, ale wiedział już, dlaczego helikopter wystartował i kto był na jego pokładzie.

Gwałtownym ruchem wcisnął berettę do kabury, wyrwał zdumionemu agentowi pistolet maszynowy i rzucił się w stronę wznoszącego się helikoptera. Chciał przedziurawić zbiorniki paliwa, powodując tym wybuch.

Trzymając palec na cynglu uświadomił sobie, że w żaden sposób nie udałoby mu się wytłumaczyć tego czynu prostolinijnym policjantom z Utah, bez wzbudzenia w nich wątpliwości co do etyki poczynań służb federalnych. Strzelał do własnego helikoptera bez względu na obu pilotów. Zniszczył własność rządową o ogromnej wartości. A jeśli maszyna spadłaby na sklepy? Strumienie płonącego paliwa lotniczego, tryskające na wszystko i wszystkich dookoła. Szanowani kupcy z Cedar City zamienieni w żywe pochodnie, biegający w kółko i krzyczący w męce. Doprawdy, wizja barwna i podniecająca. Zabicie tej kobiety warte było życia dowolnej liczby przypadkowych obserwatorów, ale nie mógłby wytłumaczyć się z tej operacji, tak jak nie mógłby wytłumaczyć kretynowi siedzącemu w pikapie finezyjnych zagadnień fizyki jądrowej.

W dodatku na pięćdziesiąt procent komendant policji to zagorzały mormon, który nigdy w życiu nie tknął alkoholu ani nie palił, który z pewnością nie zareagowałby pozytywnie na propozycję przyjęcia pewnej nieopodatkowanej sumy pieniędzy i który nigdy nie słyszał o nieformalnych porozumieniach między policją a organizacją.

Opuścił z niechęcią pistolet maszynowy.

Helikopter unosił się coraz szybciej.

– Dlaczego w Utah? – krzyknął z wściekłością na uciekinierów, których nie widział, ale czuł, że są tak denerwująco blisko.

Brzoskwiniowy wdech. Żółtozielony wydech.

Musiał się uspokoić. Pomyśleć perspektywicznie.

Sytuacja nie była zła. Pozostała mu druga maszyna, która posłuży do pościgu. Earthguard 3 łatwiej wyśledzi helikopter niż samochód, ponieważ ten pierwszy jest większy, nie może poruszać się pod jakąkolwiek osłoną i nie może się wtopić w ruch innych pojazdów.

Porwany śmigłowiec wzniósł się ponad dach sklepu z kartami i zaczął lecieć na wschód.

Ellie, skulona koło otwartych drzwi helikoptera, oparła się o framugę i spojrzała w dół na uciekający dach centrum handlowego. Jej serce łomotało niemal równie głośno jak łopaty wirnika. Bała się, że helikopter wywróci się albo przechyli, a ona wypadnie.

W ciągu ostatnich czternastu miesięcy dowiedziała się o sobie więcej niż w ciągu całych swoich dwudziestu ośmiu lat istnienia. Jej chęć życia, radość, że żyje, były większe, niż to sobie uświadamiała przed ową krwawą nocą, kiedy straciła troje swoich najbliższych. W obliczu takiego żniwa śmierci – i jej własnego, stale zagrożonego życia – cieszył ją teraz zarówno każdy ciepły słoneczny dzień, jak i lodowaty wiatr w czasie szalejącej burzy, chwasty i kwiaty, smak piołunu i smak miodu. Nigdy do tamtego dnia nie była nawet w drobnej części tak świadoma swojego umiłowania wolności, swojej potrzeby wolności, póki nie musiała walczyć o to, żeby jej nie utracić. Zdumiało ją, że ma odwagę spacerować po linie zawieszanej nad przepaścią i śmiać się diabłu w twarz. Odkryła, że nigdy nie opuszcza jej nadzieja. Zdziwiło ją, że nie jest jedyną uciekinierką z otchłani, że prócz niej jest wielu innych, również znajdujących się nieustannie na krawędzi czarnej dziury, i że nie poddaje się sile mogącej zniweczyć Boga. Oszłomiło ją, jak wiele strachu potrafiła wytrzymać, nie załamując się.

Zapewne nadejdzie dzień, który przyniesie jej szybką śmierć. Może zdarzy się to nawet dzisiaj. Teraz, kiedy opiera się o obramowanie drzwi. Zostanie trafiona pociskiem lub roztrzaska się o ziemię po długim locie.

Przelecieli nad budynkiem i znaleźli się nad szeroką, pięćdziesięciostopową drogą dojazdową. Zobaczyli drugi helikopter, zaparkowany na tyłach Hallmarka. W pobliżu nie było widać żadnego z agentów. Najwidoczniej znajdowali się na tyłach supermarketu.

Pilot na rozkaz Spencera zawisł nad stojącą na ziemi maszyną. Ellie skupiła ogień swojego micro-uzi na jej ogonie. Broń miała dwa magazynki, razem na czterdzieści pocisków, złączone jeden z drugim pod kątem prostym. Brakowało paru, które Spencer wystrzelił w sufit supermarketu. Opróżniła oba magazynki, włożyła zapasowe i także je wystrzelała. Kule strzaskały statecznik, zniszczyły tylne śmigło i podziurawiły wspornik ogona, unieruchamiając helikopter.

Nie uświadamiała sobie, że jej atak może wywołać ogień z przeciwnej strony. Ale agenci, którzy znajdowali się na tyłach supermarketu, zostali zaskoczeni i nie bardzo wiedzieli, co począć.

Poza tym cały atak trwał zaledwie dwadzieścia sekund. Potem położyła uzi na podłodze kabiny i zasunęła drzwi. Pilot, na rozkaz Spencera, odleciał z maksymalną prędkością na północ.

Rocky leżał skulony między dwoma siedzeniami, przyglądając się jej uważnie. Nie był w tak dobrym nastroju jak uprzednio, od chwili gdy o świcie opuścili w popłochu biwak w Nevadzie. Popadł w swój zwykły stan zdenerwowania i lęklivości.

– Wszystko w porządku, piesku.

Nie wyglądało na to, że uwierzył.

– Na pewno mogło być gorzej – powiedziała.

Pies zadrzał.

– Biedne maleństwo.

Z oklapniętymi uszami, wstrząsany nerwową drżączką, wyglądał jak kwintesencja nieszczęścia.

– Jak mam poprawić twoje samopoczucie – spytała go – skoro nie wolno mi cię okłamywać?

Z pobliskich drzwi do kabiny pilotów dobiegł głos Spencera:

– To dość pesymistyczna ocena naszej sytuacji, zważywszy na to, że wyrwaliśmy się z piekielnej pułapki.

– Jeszcze się całkiem nie wydostaliśmy z tego.

– Jest coś, co powtarzam Rocky'emu, kiedy jest w dołku. Nie wiem, czy to działa na niego, ale mnie trochę pomaga.

– Co takiego? – spytała Ellie.

– Musisz zapamiętać: cokolwiek się stanie – to tylko życie, wszyscy przez nie przebrniemy.

Rozdział 13

W poniedziałek rano po złożeniu kaucji Harris Descoteaux, idąc przez parking w stronę BMW swojego brata, zatrzymał się dwukrotnie, żeby odwrócić twarz w stronę słońca. Rozkoszował się ciepłem. Gdzieś wyczytał, że ludzie ciemnoskórzy, nawet tak czarni jak on, mogą nabawić się raka skóry na skutek zbyt długiego przebywania na słońcu. Czarna skóra nie chroniła przed czerniakiem. Czarnego człowieka wszystko mogło spotkać, zatem czerniak musiałby ustawić się w kolejce mnóstwa innych nieszczęść. Po spędzeniu pięćdziesięciu ośmiu godzin w więzieniu, gdzie o promyk słońca było trudniej niż o działkę heroiny, czuł, że chciałby stać w słońcu tak długo, aż skóra pokryje się pęcherzami, kości roztopią, a on cały stanie się jednym wielkim czerniakiem. Nawet to, nawet cokolwiek, byle nie więzienie, gdzie nie ma słońca. Wciągnął głęboko powietrze, gdyż nawet smog Los Angeles pachniał słodko jak sok jakichś egzotycznych owoców. Pachniał wolnością. Chciał się gimnastykować, biegać, skakać, wykręcać piruety, krzyczeć z radości – ale to były rzeczy, których czterdziestoczteroletni mężczyzna po prostu nie powinien robić, niezależnie od tego, jak bardzo cieszy się z odzyskania wolności.

Siedząc już w samochodzie, obok brata zapalającego silnik, Harris położył mu dłoń na ramieniu, wstrzymując go na chwilę.

– Darius, nigdy ci tego nie zapomnę – tego, co dla mnie zrobiłeś i co nadal robisz.

– Daj spokój, to drobiazg.

– To nie jest drobiazg.

– Zrobiłbyś dla mnie to samo.

– Myślę, że tak. Mam nadzieję, że tak.

– To jesteś cały ty – zasługujący na koronę świętego, przywdziewający szatę skromności. Człowieku, przecież wszystkie kryteria właściwego postępowania przejąłem od ciebie, postąpiłem tylko tak, jak ty byś postąpił na moim miejscu.

Harris uśmiechnął się i dał Dariusowi kuksańca.

– Kocham cię, młodszy bracie.

– Kocham cię, starszy bracie.

Darius mieszkał w Westwood. Podróż ze śródmieścia mogła w poniedziałek, po godzinie porannego szczytu, potrwać zarówno pół godziny, jak i godzinę. To była zawsze loteria. Mogli wybrać albo Wilshire Boulevard, cały czas przez miasto, albo Santa Monica Freeway. Darius zdecydował się pojechać Wilshire, gdyż w niektóre dni godzina szczytu ciągnęła się w nieskończoność i na autostradzie tworzył się piekielny korek samochodów z rozwrzeszczanymi radiodbiornikami.

Harris przez jakiś czas czuł się dobrze. Radość z odzyskanej wolności mąciła mu tylko myśl o czekającym go koszmarnie spraw sądowych. Nim jednak dotarli do Fairfax Boulevard, poczuł się gorzej. Pierwszym symptomem złego samopoczucia były łagodne, lecz denerwujące zawroty głowy. Miał dziwne uczucie, że miasto powoli obraca się wokół niego. Uczucie to pojawiała się i zniknęło, a towarzyszące mu zjawisko częstoskurczu się nasilało. Kiedy serce zaczęło mu bić szybciej niż serduszek przestraszonego kolibra, odniósł wrażenie, że ma za mało tlenu, ale kiedy próbował oddychać głęboko, odkrył, że w ogóle ledwie może oddychać.

Z początku zdawało mu się, że powietrze w samochodzie jest stęchłe. Duszne, za ciepłe. Nie chciał podzielić się swoim zmartwieniem z bratem – który rozmawiał przez telefon w sprawach zawodowych – tylko sam manipulował przy regulatorach nawiewu, nastawiając sobie ciąg chłodnego powietrza na twarz. Przewiew nie pomógł. Powietrze nie było duszne, ale gęste; było czymś w rodzaju ciężkiego,

bezwonnego, ale za to trującego oparu.

Milcząc, przewycięzał wrażenie, że miasto krąży wokół niego. Wytrzymał po cichu rozrywające mu serce ataki częstoskurczów, gęste jak syrop powietrze, które mógł nabierać jedynie płytkimi oddechami, uciążliwą jasność dnia, zmuszającą go do mrużenia oczu przed promieniami słońca, którymi przed chwilą się cieszył, wrażenie, że unosi się nad nim miazdzący ciężar, ale nagle ogarnęła go fala takich mdłości, że krzyknął do brata, żeby podjechał do krawężnika. Przecinali właśnie Robertson Boulevard. Dariusz włączył światła awaryjne, za skrzyżowaniem wyplątał się z ruchu i stanął w strefie zakazu parkowania.

Harris pchnął drzwi, wychylił się i gwałtownie zwymiotował. Rano nie ruszył śniadania, więc żołądek miał pusty, ale fala mdłości nie była z tego powodu krótsza ani słabsza.

Atak minął. Osunął się na fotel, zatrzaskał drzwi i zamknął oczy. Drżał na całym ciele.

– Czujesz się lepiej? – spytał zmartwiony Dariusz. – Harris? Co ci jest?

Harris już się zorientował, że przeszedł atak klaustrofobii więziennej. Był jednak znacznie silniejszy niż którykolwiek z ataków paniki, których doznał, kiedy przebywał za kratami.

– Harris? Powiedz coś do mnie.

– Jestem w więzieniu, braciszku.

– Pamiętaj, że bronimy się razem. Razem jesteśmy silniejsi niż ktokolwiek. Zawsze tak było i tak już zawsze będzie.

– Jestem w więzieniu – powtórzył Harris.

– Słuchaj, te oskarżenia to lipa. Zostałeś wrobiony. Nie uda im się przykleić ci tego. Stoisz ponad tym. Nie spędzisz już ani jednego dnia w więzieniu.

Harris otworzył oczy. Słońce nie było już takie oślepiające. Dzień pociemniał, jakby przystosował się do jego nastroju.

– Nie ukradłem ani centa. Nie oszukiwałem przy płaceniu podatków. Nigdy nie oszukałem żony. Spłaciłem wszystkie zaciągnięte pożyczki. Od czasu gdy zostałem policjantem, często pracowałem po godzinach. Szedłem prostą drogą, co – uwierz mi – nie zawsze było łatwe. Czasem bywałem zmęczony i miałem wszystkiego dość; kusiło mnie, żeby zmienić pracę na łatwiejszą. Proponowano mi łapówki, nawet spore, ale nigdy ich nie przyjmowałem. Niewiele brakowało, mniej niż przypuszczasz. Były też kobiety... czekały na mnie, a ja mogłem przecież zapomnieć na chwilę o Jessice. Mogłem ją oszukiwać i zrobiłbym to, gdyby okoliczności bardziej sprzyjały. Wiem, że drzemią we mnie pokusy...

– Harris...

– Taka jest prawda. Siedzi we mnie tyle zła, ile w każdym. Niektóre moje pragnienia są przerażające. Nawet jeśli im się nie poddam, na samą myśl, że noszę je w sobie, ogarnia mnie blady strach. Nie mam charakteru świętego, jak próbujesz mi wmówić. Ale zawsze szedłem po prostej, po tej cholerniej prostej drodze. A ona jest wąska i ostra jak brzytwa; wrzyna się w ciebie, kiedy idziesz nią zbyt długo. Zaczynasz krwawić i dziwisz się, dlaczego posuwasz się nią dalej, zamiast zejść i iść obok, po chłodnej trawie. Chciałem być człowiekiem, z którego nasza matka byłaby dumna. Pragnąłem błyszczeć także przed tobą, moją żoną i dziećmi. Kocham was wszystkich tak bardzo, że nie chciałem, żebyście wiedzieli o mrocznych zakątkach mojej duszy.

– Każdy ma swoje mroczne zakątki, Harris. Mamy je wszyscy. Ale dlaczego trzymasz się tej drogi kosztem tylu cierpień?

– Jeśli kroczyłem nią, nie licząc się z wyrzeczeniami, i mimo to spotkało mnie coś takiego, może to spotkać każdego.

Darius popatrzył na brata ze zdumieniem. Próbował zrozumieć jego udramę, ale nie całkiem mu się to udawało.

– Braciszku, jestem pewny, że uwolnisz mnie od zarzutów. Nie pójdę już do więzienia. Ale wytłumaczyłeś mi aż nadto dobrze, jak działa prawo konfiskaty majątku. Żeby wsadzić mnie z powrotem do więzienia, musieliby mi udowodnić, że jestem handlarzem narkotyków, na co nie mają dowodów, bo to jest zmyślane. Ale mogą zabrać mój dom i zająć konto bankowe, nie muszą mi niczego udowadniać. Wystarczy, by przedstawili „uzasadnione podejrzenie”, że mój dom był miejscem nielegalnej działalności, a podrzucone narkotyki stwarzają takie uzasadnione podejrzenie, nawet jeśli same narkotyki niczego nie udowadniają.

– W Kongresie leżą projekty reformy tego prawa.

– Te procedury toczą się bardzo wolno.

– Nigdy nie wiadomo. Jeśli Kongres zatwierdzi któryś z tych projektów, to być może warunkiem przypadku mienia stanie się dopiero wyrok skazujący.

– Czy możesz mi zagwarantować, że odzyskam dom?

– Z twoją wzorową przeszłością, przepracowanymi latami...

Harris przerwał mu łagodnie:

– Darius, czy w świetle obowiązującego prawa możesz mi zagwarantować, że odzyskam dom?

Darius patrzył na niego w milczeniu. W oczach zakręciły mu się łzy, więc odwrócił głowę. Był adwokatem brata i musiał uzyskać dla niego sprawiedliwe orzeczenie sądowe, tymczasem przyniatała go świadomość, że nie potrafił zapewnić bratu nawet minimum uczciwości ze strony sądu.

– Jeśli coś takiego spotkało mnie, to może spotkać każdego innego – powtórzył Harris. – Jutro ciebie, a w przyszłości moje dzieci. Darius, może odzyskam coś od tych drani, powiedzmy osiemdziesiąt centów z jednego dolara, po potrąceniu kosztów. Może uda mi się ułożyć dalsze życie i zacząć wszystko odbudowywać. Ale kto mi zagwarantuje, że w przyszłości to się nie powtórzy?

Powstrzymawszy łzy, Darius spojrzał na niego ze wzburzeniem.

– Nie, to niemożliwe. To jest pogwałcenie prawa, drastyczne...

– Dlaczego nie może się powtórzyć? – upierał się Harris. – Skoro raz się zdarzyło, dlaczego nie może zdarzyć się ponownie?

Darius nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

– Jeśli mój dom przestał należeć do mnie, jeśli moje konto bankowe nie jest już moją własnością, skoro oni mogą zabrać mi wszystko bez udowodnienia jakiegokolwiek winy – co ich może powstrzymać przed powtórzeniem tego? Jestem w więzieniu, braciszku, nie widzisz tego? Być może nie znajdę się znów za kratami, ale jestem w innym więzieniu, z którego się nie wydostanę. W więzieniu wyczekiwania na następny cios, w więzieniu strachu, zwątpienia i nieufności.

Darius przesunął dłoń po czole, jak gdyby chciał odpędzić czarne myśli swego brata.

Kontrolka awaryjnych świateł samochodu błyskała miarowo w takt cichych impulsów dźwiękowych, jak gdyby ostrzegała o kryzysie w życiu Harrisa Descoteaux.

– Kiedy świadomość tego dotarła do mnie, teraz, w czasie jazdy... kiedy zorientowałem się, w jakiej matni się znalazłem, w jakiej matni przy takich prawach może się znaleźć każdy... po prostu poczułem się zdruzgotany... doznałem ataku klaustrofobii i w rezultacie ogarnęły mnie mdłości.

Darius zdjął rękę z czoła. Wyglądał na zagubionego.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Sądzę, że nie ma nic do powiedzenia.

Siedzieli jeszcze chwilę, nic nie mówiąc. Obok, na Wilshire Boulevard, toczył się ruch uliczny, rozświetlone miasto tętniło życiem, którego ciemne strony nie ograniczały się jednak do cieni, rzucanych przez palmy czy markizy nad wejściami do sklepów.

– Jedźmy do domu – powiedział Harris.

Resztę drogi do Westwood odbyli w milczeniu. Dariusz mieszkał w ładnym kolonialnym domu z drewna i cegły, z kolumnowym portykiem. Rozległy podjazd obrośnięty był olbrzymimi, starymi figowcami. Potężne konary drzew tworzyły baldachim zieleni, a korzenie pamiętały czasy Jean Harlow, Mae West i W.C. Fieldsa, a nawet jeszcze dawniejsze.

Dla Dariusza i Bonnie było to ogromne osiągnięcie, zważywszy na fakt, z jak niskiego szczebla drabiny społecznej wystartowali. Dariusz odniósł w życiu znacznie większy sukces finansowy niż jego brat.

Kiedy wjeżdżali na ceglany podjazd pod domem, Harris poczuł skrupuły, że swoimi kłopotami niewątpliwie naruszy spokój posiadłości i zmąci Dariuszowi oraz Bonnie radość z mieszkania w Westwood. Czy owa przyjemność nie zostanie zepsuta świadomością, że ich los zależy od łaski szalonych królów, którzy mogą skonfiskować całe ich mienie dla własnych celów albo wysłać bandę szubrawców, osłoniętych gładem monarszym, żeby ich ograbili i spalili? Odtąd będą na swój piękny dom patrzyli jak na wcześniejszą formę popiołu, będą się niepokoili najłżejszym zapachem dymu, a w nocy będą im się śniły pożary.

Otworzyła im Jessica, która rzuciła się nieprzytomnie w objęcia Harrisa i zapłakała na jego ramieniu. Gdyby w równym stopniu odwzajemnił uścisk, mógłby jej zrobić krzywdę. Ona, dziewczynki, brat i bratowa byli teraz wszystkim, co posiadał. Stracił nie tylko cały dobytek, ale również swoją bardzo silną wiarę w prawo i sprawiedliwość, która przez całe życie inspirowała go i była motorem jego działań. Odtąd będzie wierzył tylko w siebie i w parę najbliższych mu osób. Poczucia bezpieczeństwa, jeśli to ostatnie w ogóle istniało, nie można było kupić – było darem, ofiarowywanym tylko przez rodzinę i przyjaciół.

Bonnie udała się wraz z Ondine i Willą do centrum, żeby kupić im trochę potrzebnych rzeczy.

– Powinnam wybrać się z nimi, ale po prostu nie mogłam – powiedziała Jessica, wycierając łzy w kąciach oczu. Nigdy jeszcze nie widział jej tak załamanej. – Nadal trzęsę się na to wspomnienie, Harris. Przyszli w sobotę z decyzją o konfiskacie, kazali nam opuścić dom, pozwolili zabrać z sobą tylko po jednej walizce z rzeczami osobistymi. Nie wolno mi było zabrać ani biżuterii, ani niczego innego.

– To jest skandaliczne pogwałcenie obowiązującego trybu postępowania – stwierdził gniewnie, z wyraźnym rozgoryczeniem Dariusz.

– Stali nad nami i patrzyli, co pakujemy – opowiadała Jessica. – Stali i gapili się... kiedy dziewczynki otwierały szuflady, żeby wyjąć majtki i staniki... – Na wspomnienie tego w jej głosie zabrzmiały ostre tony, przestał się załamywać, co tak przeraziło Harrisa i co było tak do niej niepodobne. – To odrażające! Byli tacy aroganccy, tacy świńscy. Czekałam tylko, żeby któryś z tych sukinsynów mnie dotknął, próbował zmusić do pośpiechu obleśną ręką, ponieważ kopnęłabym go w jaja tak mocno, że do końca życia nosiłby sukienki i wysokie obcasy.

Ku własnemu zdumieniu wybuchnął śmiechem. Dariusz też się roześmiał.

– Zrobiłabym to – podkreśliła z mocą Jessica.

– Wiem – powiedział Harris. – Wiem, że byś to zrobiła.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego.

– Ja też nie, kochanie, ale mimo wszystko to jest śmieszne.

– Żeby dostrzec w tym dowcip, trzeba te jaja mieć – wtrącił Darius.

Harris znów się roześmiał.

Dziwiąc się niewytłumaczalnym reakcjom obu mężczyzn, Jessica poszła do kuchni, gdzie przygotowywała składniki do dwóch szarlotek z orzechami według jej udoskonalonego przepisu. Bracia udali się za nią.

Harris przypatrywał się, jak obierała jabłko. Trzęsły się jej ręce.

– Czy dziewczynki nie powinny być w szkole? – odezwał się. – Kupienie rzeczy można było odłożyć do weekendu.

Jessica i Darius wymienili spojrzenia. Darius powiedział:

– Pomyśleliśmy, że lepiej będzie, jeśli przez jakiś tydzień nie pójdą do szkoły. Dopóki prasa... nie przestanie o tym pisać.

Harris do tej pory nie uświadomił sobie, że jego nazwisko i fotografia znajdują się w gazetach, pod nagłówkami o policjancie handlującym narkotykami, i że reporterzy telewizyjni będą snuli sensacyjne domysły na temat jego przestępczej działalności. Kiedy Ondine i Willa pojawią się w szkole, będą musiały znosić trudne do wytrzymania upokorzenia – niezależnie od tego, czy wrócą za tydzień, czy za miesiąc. „Hej, czy twój tata mógłby mi sprzedać uncję czystej białej? Ile twój stary bierze za speed? Czy twój tata tylko sprowadza, czy także roznosi?” Dobry Boże! Jeszcze jedna klęska.

Kimkolwiek byli jego tajemniczy wrogowie, musieli zdawać sobie sprawę, że niszczą nie tylko jego, ale również jego rodzinę. Mimo że nic o nich nie wiedział, doszedł do wniosku, że byli równie bezwzględni i bezlitośni jak żmije.

Z kuchni zatelefonował do Carla Falkenberga, swojego szefa w Parker Center. Obawiał się tej rozmowy. Miał zamiar poprosić o połączenie urlopu z wolnymi dniami, ponieważ nie chciał wracać do pracy przez trzy tygodnie w nadziei, że w tym czasie spisek przeciw niemu w jakiś cudowny sposób upadnie. Dowiedział się tego, czego się obawiał: został bezterminowo zawieszony w pełnieniu obowiązków, za to z zachowaniem wynagrodzenia. Carl wyraził parę słów otuchy, ale był przy tym niezwykle usztywniony, jak gdyby odpowiadał na pytania Harrisa, odczytując z kartki zbiór starannie sformułowanych odpowiedzi. Nawet gdyby zarzuty postawione Harrisowi zostały wycofane, odbędzie się śledztwo przeprowadzone przez wydział spraw wewnętrznych i w przypadku gdyby dało pozytywne rezultaty – zostanie zwolniony ze służby niezależnie od orzeczenia sądu federalnego. W ciągu całej rozmowy Carl zachowywał chłodny, rzeczowy dystans.

Harris odwiesił słuchawkę, usiadł przy kuchennym stole i spokojnie zrelacjonował Jessice i Dariusowi treść rozmowy. Zdawał sobie sprawę z irytującej drętwoty własnego głosu, ale nie mógł się jej pozbyć.

– Zostałeś zawieszony, ale przynajmniej nie zabrali ci pensji – zauważyła Jessica.

– Muszą mi płacić, bo inaczej mieliby kłopoty ze związkiem zawodowym – wyjaśnił Harris. – To nie jest żadna łaska.

Darius zaparzył kawę i obaj zasiedli do niej w kuchni, podczas gdy Jessica ponownie zabrała się do robienia ciasta. Mogli więc we troje omawiać warianty i strategię działania. Przyjemnie było dyskutować nad podjęciem kontrataku, mimo że sytuacja była ponura.

Jednakże ciosy nie ustawały.

Nie minęło pół godziny, kiedy zatelefonował Carl Falkenberg, żeby poinformować Harrisa, iż Federalne Biuro Podatkowe wydało nakaz wstrzymania wypłacania pensji Harrisowi i zabezpieczenia tych pieniędzy na rzecz „prawdopodobnie niezapłaconych podatków od nielegalnego handlu

narkotykami”. Tak więc mimo iż zawieszenie nie pozbawiało go wynagrodzenia, jego cotygodniowe pobory będą składane do depozytu, dopóki sąd nie orzeknie o jego winie lub niewinności.

Harris wrócił do stołu, usiadł naprzeciw brata i opowiedział im najnowszą wiadomość. Głos miał równie wyprany z emocji jak gadające maszyny.

Darius zerwał się z krzesła w stanie najwyższej furii.

– Cholera, nie mają prawa, to absolutnie nie przejdzie, niech mnie szlag trafi, jeśli się mylę! Nikt niczego nie udowodnił. Uzyskamy odwołanie nakazu wstrzymania pensji. Zaraz się do tego zabiorę. To zajmie parę dni, ale potem będą musieli zjeść ten świstek. Harris, przysięgam ci, zmusimy tych drani do połknięcia ich nakazu. – Wybiegł z kuchni do swojego gabinetu, żeby zadzwonić.

Harris i Jessica, milcząc, długo na siebie patrzyli. W ciągu tylu lat małżeństwa nauczyli się porozumiewać bez słów.

Przypomniała sobie o cieście w formie i pożłobkowała je wzdłuż brzegów, używając do tego celu kciuka i palca wskazującego. Odkąd Harris wrócił do domu, trzęsły jej się ręce. Teraz drzenie ustąpiło. Jej dłonie były całkowicie spokojne. Przyszła mu do głowy straszna myśl, że ten spokój jest spowodowany pokorną rezygnacją w obliczu kolosalnej przewagi nieznanymi sił, które przysięgły się przeciw nim.

Wyjrzał przez okno. Przez konary figowców przesączały się złote promienie słońca. Pierwiosniki lśniły, jak pomalowane farbą odbłaskową. Ogród na tyłach domu był rozległy i dobrze zaprojektowany. W środku wykładanego cegłami patia mieścił się basen pływacki. Każdemu niezamożnemu człowiekowi taki ogród wydałby się ucieleśnieniem marzeń o sukcesie. Ale Harris Descoteaux wiedział, czym naprawdę był ten ogród: jeszcze jedną celą w więzieniu.

Helikopter leciał prosto na północ. Ellie siedziała w jednym z dwóch foteli z tyłu kabiny pasażerskiej, trzymając na kolanach przenośny komputer i pracując na nim.

Nie mogła się nadziwić własnemu szczęściu. Kiedy wsiadła do helikoptera i przed odlotem przeszukiwałaabinę, sprawdzając, czy nie ukryli się w niej ludzie z organizacji, zauważyła na końcu przejścia leżący na podłodze komputer. Rozpoznała go od razu. Został wyprodukowany specjalnie na potrzeby organizacji, a Danny opracowywał kiedyś specjalne programy dla identycznego komputera. Zauważyła, że włączono go do zasilania i połączono z systemem, ale była zbyt zaabsorbowana, żeby zbadać go z bliska, dopóki nie wzbili się w powietrze i nie unieszkodliwili drugiego helikoptera. Kiedy znaleźli się już w powietrzu i lecieli w stronę Salt Lake City, wróciła do komputera i ze zdumieniem zobaczyła na jego ekranie satelitarny obraz centrum handlowego, z którego przed chwilą uciekli. Czasowe wykradnięcie Earthguarda 3 Agencji Ochrony Środowiska w celu odszukania jej i Spencera mogło zostać dokonane wyłącznie za pośrednictwem wszechwładnego centralnego komputera w Wirginii. Tylko Mama dysponowała takimi możliwościami. Zostawiony na pokładzie helikoptera komputer był właśnie połączony z tą megadziwką.

Gdyby komputer nie był z nią połączony, Ellie nie mogłaby sama tego dokonać. Do połączenia się z Mamą potrzebny był odcisk kciuka. To nie Danny opracował odpowiedni do tego celu program, ale na pokazie widział jak działa, a potem opowiadał jej o nim, podniecony jak dziecko, które zobaczyło jakąś fantastyczną zabawkę. Sama nie mogłaby połączyć się z Mamą, gdyż jej kciuk nie otwierał systemu.

Wzdłuż przejścia szedł ku niej Spencer z depczącym mu po piętach Rockym. Ellie popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Nie powinieneś trzymać ich na muszce?

– Zabrałem im komunikatory, więc nie mogą porozumiewać się przez radio. Nie mają broni, a nawet

gdyby mieli cały arsenał, nie użyliby jej. To są piloci, a nie krwiożercze zbiry. Myślą natomiast, że to my jesteśmy krwiożerczymi zbirami, w dodatku obłąkanymi, w związku z tym są nad wyraz ugrzecznieni.

– Prócz tego wiedzą, że są nam potrzebni do latania tym pudłem – przypomniała Ellie.

Kiedy wróciła do pracy przy komputerze, Spencer zauważył zostawiony przez kogoś na ostatnim siedzeniu po lewej stronie telefon komórkowy. Wziął go do ręki i usiadł po drugiej stronie przejścia.

– Oni myślą, że ja potrafiłbym poprowadzić ten ubijacz piany, gdyby coś im się stało.

– A potrafiłbyś? – zapytała, nie odrywając wzroku od ekranu i pracując nadal na klawiaturze.

– Nie, ale kiedy byłem komandosem, dowiedziałem się sporo o helikopterach. Głównie o tym, jak robić z nich pułapki i wysadzać je w powietrze. Potrafię odczytać wskazania wszystkich przyrządów nawigacyjnych i znam ich nazwy. Byłem bardzo przekonujący. Prawdę mówiąc, oni myślą, że nie zabiłem ich tylko dlatego, że nie chce mi się wyciągać ich ciał z kabiny, a potem siedzieć w kałużach krwi.

– A co będzie, jeśli zamkną się w kabinie?

– Wyłamię zamek. Oni nie mają czym zaklinować drzwi od wewnątrz.

– Jesteś dobry w te klocki.

– Przesada. A co ty tam masz?

Nie przerywając pracy, powiedziała mu o swoim odkryciu.

– Wszystko układa się jak po maśle – powiedział z odrobiną sarkazmu. – Nad czym teraz pracujesz?

– Połączyłam się za pośrednictwem Mamy z Earthguardem 3, satelitą Agencji Ochrony Środowiska, którego używali do śledzenia nas. Dostałam się do jądra jego programu operacyjnego, czyli na szczebel sterowania funkcjami.

Spencer aż zagwizdał z uznania.

– Spójrz, nawet pan pies jest pod wrażeniem.

Uniosła głowę i zobaczyła, że Rocky szczyrzy zęby w uśmiechu, zamiatając ogonem siedzenia po obu stronach przejścia.

– Masz zamiar wyeliminować satelitę za sto milionów dolarów, zamieniając go w kupę kosmicznego złomu? – spytał Spencer.

– Tylko na jakiś czas. Zablokuję go na sześć godzin. Potem już nie trafią na nasz ślad.

– Nie krępuj się. Użyj sobie. Zablokuj go raz na zawsze.

– Może być pożyteczny przez cały ten czas, w którym organizacja nie wykorzystuje go do swoich łajdactw.

– Widzę, że jesteś dobrym obywatelem.

– Byłam kiedyś harcerką. To wchodzi w krew – tak jak choroba.

– Wobec tego prawdopodobnie nie wyjdiesz ze mną wieczorem, żeby malować graffiti na filarach autostrad.

– Mam go! – wykrzyknęła i nacisnęła klawisz ENTER. Przeczytała dane, które pojawiły się na ekranie, i uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Earthguard 3 właśnie poszedł spać na sześć godzin. Już zniknęliśmy, chyba że śledzą nas za pomocą radaru. Czy jesteś pewny, że lecimy prosto na północ i dostatecznie wysoko, żeby widział nas radar – jak cię o to prosiłam?

– Chłopcy mi to obiecali.

– Doskonale.

– Czym się zajmowałaś przed tą całą awanturą?

– Projektowałam programy komputerowe, specjalizując się w grach wideo.

– Układałaś gry komputerowe?

– Tak.

– Oczywiście, wierzę w to.

– Ależ ja mówię serio.

– Nie zauważyłaś, jak położyłem akcent – powiedział. – Miałem na myśli: oczywiście, że musiałaś projektować. To się czuje. A teraz bierzesz udział w rzeczywistej grze wideo.

– Świat idzie w takim kierunku, że w końcu wszyscy staniemy się częstkami jednej wielkiej gry, która z pewnością nie będzie tak przyjemna, jak na przykład „Wspaniali Bracia Mario”, a raczej będzie czymś w rodzaju „Mortal Kombat”.

– A teraz, kiedy już unieszkodliwiłaś satelitę za sto milionów dolarów, co robisz dalej?

Ellie, rozmawiając, przez cały czas obserwowała monitor. Z Earthguarda 3 przeniosła się na powrót do Mamy. Przywoływała menu, jedno po drugim, przeglądając je szybko.

– Próbuję rozeznac się, jak zmajstrować im największą szkodę.

– Możesz przedtem zrobić coś dla mnie?

– Mów, o co chodzi, a ja będę dalej szukała.

Opowiedział jej o zasadzce, przygotowanej na każdego, kto wszedłby do chaty w Malibu w czasie jego nieobecności.

Teraz ona zagwizdała z podziwem.

– Boże, chciałabym zobaczyć ich miny, kiedy się zorientowali. Dokąd owe zdigitalizowane fotografie zostały wysłane?

– Zostały przesłane do głównego komputera Pacific Bell, poprzedzone kodem uruchamiającym program, który wcześniej stworzyłem i potajemnie w nim umieściłem. Program ów pozwalał na przyjęcie tych zdjęć, a następnie przesłanie ich dalej, do głównego komputera Illinois Bell, gdzie umieściłem inny ukryty program, który był uruchamiany specjalnym kodem dostępu, wysyłanym doń przez Pacific Bell.

– Sądziś, że organizacja nie poszła tym tropem?

– Z pewnością dotarła do Pacific Bell. Ale kiedy mój drobny program wysłał zdjęcia do Chicago, wymazał zapis tego połączenia i sam się zlikwidował.

– Czasem taki samolikwidujący się program można odtworzyć. Dowiedzieliby się wówczas o wymazanym zapisie połączenia z Illinois Bell.

– Nie tym razem. To był śliczny, mały, samobójczy program, który – gwarantuję ci – popełnił samobójstwo doskonale. Popelniając je, zjadł przy okazji sporą część systemu Pacific Bell.

Ellie przerwała przeglądanie programów Mamy, żeby spojrzeć na niego.

– Jak wielka była ta „spora część”?

– Około trzydziestu tysięcy mieszkańców zostało pozbawionych telefonów na dwie lub trzy godziny, dopóki nie zainstalowano kopii systemu.

– Widać, że nie byłeś nigdy harcerzem – powiedziała.

– Nie miałem takiej szansy.

– Sporo się nauczyłeś w tym wydziale zwalczania przestępstw komputerowych.

– Po prostu przykładałem się do pracy – przyznał.

– Na pewno więcej niż o helikopterach. Twierdziś więc, że te zdjęcia znajdują się w komputerze Bella w Chicago?

– Podam ci procedurę i przywołamy je. Znajomość twarzy tych zbirów może nam się kiedyś przydać. Sądziś, że nie warto?

– Warto. Powiedz, co mam robić.

Trzy minuty później na ekranie komputera pojawiło się pierwsze zdjęcie. Spencer wychylił się z siedzenia, oddzielonego od niej wąskim przejściem, a ona ustawiła komputer pod takim kątem, żeby oboje mogli widzieć ekran.

– To jest mój salon – wyjaśnił.

– Nie masz zamiłowania do dekoratorstwa, prawda?

– Moim ulubionym stylem historycznym jest wczesny chędogi.

– Powiedziałabym raczej, że późny klasztorny.

Dwaj mężczyźni, w rynsztunku bojowym, przechodzili przez pokój tak szybko, że rysy ich twarzy na statycznym zdjęciu okazały się rozmyte.

– Naciśnij klawisz pauzy – polecił Spencer. Na ekranie pojawiła się następna fotografia. W ciągu niespełna minuty obejrzeliby dziesięć. Niektóre z nich były ostre, ale osłonięte hełmami i paskami pod brodą twarze były trudne do rozpoznania.

– Przejrzyj je szybko, aż trafimy na coś innego – zaproponował Spencer.

Ellie stuknęła szybko i miarowo w klawisz pauzy, przywołując coraz to nowe fotografie pozastłanionych twarzy, aż doszła do zdjęcia oznaczonego numerem trzydzieści jeden. Ukazywało mężczyznę w cywilnym ubraniu.

– To jest główny sukinsyn – stwierdził Spencer.

– Też tak myślę – zgodziła się.

– Obejrzyjmy trzydzieste drugie.

Stuknęła w klawisz przerwy.

– Zgadza się.

– Tak.

– Trzydzieści trzy.

Stuk.

– Nie ma wątpliwości – zauważyła.

Stuk. Trzydzieste czwarte.

Stuk. Trzydzieste piąte. Stuk. Trzydzieste szóste.

Ostatnie zdjęcia ukazywały mężczyznę, kręcącego się po saloniku chaty w Malibu. Był to ten sam mężczyzna, którego niedawno widzieli przed sklepem z kartami Hallmarka, kiedy wysiadał ostatni z helikoptera, którym obecnie lecieli.

– Najśmieszniejsze jest to – powiedziała Ellie – że prawdopodobnie oglądamy jego zdjęcie na jego własnym komputerze.

– A ty prawdopodobnie siedzisz na jego fotelu.

– W jego helikopterze.

– Mój Boże, ale musi mu być łyso.

Przejrzeli szybko resztę fotografii. Na wszystkich był ten pucołowaty, wesoło wyglądający osobnik, który na końcu napluł na kawałek papieru i przykleił go do obiektywu aparatu.

– Nie zapomnę tej twarzy – powiedział Spencer – ale szkoda, że nie mamy drukarki, żeby zrobić kopię.

– Komputer ma wbudowaną drukarkę – wyjaśniła, pokazując mu szczelinę z boku nesesera. – Powinno w niej być około pięćdziesięciu kartek zapasowego papieru, o formacie osiem i pół na jedenaście cali. Przypominam sobie, że Danny kiedyś mi o tym mówił.

– Potrzebna mi tylko jedna.

– Dwie. Jedna dla mnie.

Wybrali najostrożniejsze zdjęcie dobrodusznie wyglądającego prześladowcy i Ellie zrobiła dwie kopie.

– Nigdy go nie widziałaś? – zapytał Spencer.

– Nigdy.

– Myślę, że go jeszcze spotkamy.

Ellie porzuciła Illinois Bell i wróciła do przeglądania niekończących się funkcji Mamy. Rozległe możliwości tej megadziwki sprawiały, że wydawała się wszytkowiedząca i wszechwładna.

Siadając na powrót w swoim fotelu, Spencer spytał:

– Zastanawiasz się nad tym, jak zadać Mamie śmiertelny cios?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie. Jest przed tym dobrze zabezpieczona.

– Więc chociaż rozkwasić jej nos?

– Przynajmniej.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej, gdy pracowała. Potem znów się odezwał:

– Wiele już złamałaś?

– Nosów? Ja?

– Serc.

Ze zdziwieniem zorientowała się, że się czerwieni.

– To nie moja specjalność.

– Mogłaś. Bez trudu.

Nie odpowiedziała.

– Pies słyszy – powiedział.

– Co?

– Mogę mówić tylko prawdę.

– Nie jestem dziewczyną z okładki.

– Podobasz mi się taka, jaka jesteś.

– Chciałabym mieć ładniejszy nos.

– Kupię ci inny, jeśli zechcesz.

– Zastanowię się nad tym.

– Ale on będzie tylko inny. Wcale nie ładniejszy.

– Jesteś dziwny.

– Poza tym wcale nie miałem na myśli urody.

Nie odpowiedziała. Nadal wgłębiała się w Mamę.

– Nawet gdybym był ślepcem, gdybym nigdy nie widział twojej twarzy, to – wiedząc o tobie tyle, ile teraz – i tak bym się zakochał.

Kiedy w końcu mogła nabrać tchu, powiedziała:

– Jak tylko zorientują się, że Earthguard 3 został zablokowany, opanują innego satelitę i znów nas znajdą. Najwyższy czas, żeby opuścić się poniżej strefy obserwacji radarowej i zmienić kurs. Powiedz to pilotom.

Po chwili wahania, która mogła wyrażać rozczarowanie z powodu braku reakcji na ujawnione przez niego uczucie, spytał:

– Dokąd chcemy polecieć?

- Tak daleko w stronę Kolorado, jak tylko ten gruchot będzie mógł nas zawieźć.
- Sprawdź, ile mamy paliwa. Ale czemu do Kolorado?
- Ponieważ najbliższym dużym miastem jest Denver. A kiedy dostaniemy się do dużego miasta, będę mogła skontaktować się z ludźmi, którzy nam pomogą.
- Potrzebna nam pomoc?
- Jesteś przytomny?
- Mam na pieńku z Kolorado – odparł z pewnym zażenowaniem.
- Wiem o tym.
- To cała historia.
- Czy to takie ważne?
- Masz rację – odparł i przestał się do niej zalecać. – Myślę, że nie powinno. To tylko miejsce...

Popatrzyła mu w oczy.

- Polowanie na nas jest w tej chwili zbyt zaawansowane. Musimy dostać się do ludzi, którzy nas ukrywają, póki wszystko nie przycichnie.
- Znasz takich?
- Dopiero ostatnio poznałam. Przedtem działałam samodzielnie. Ale ostatnio... sytuacja się zmieniła.
- Kim oni są?
- To są dobrzy ludzie. Niech ci to na razie wystarczy.
- W takim razie lecimy do Denver.

Mormoni. Wszędzie pełno mormonów, plaga mormonów. Mormoni w starannie wyprasowanych mundurach, gładko ogoleni, bystro patrzący, o zbyt łagodnych jak na policjantów głosach, tak uprzejmi, że Roy Miro zastanawiał się, czy to nie jakieś przedstawienie. Mormoni otaczali go ze wszystkich stron, mormoni zarówno we władzach lokalnych, jak i okręgowych, wszyscy zbyt gorliwi i prawomyślni, żeby sfuszerować dochodzenie albo zgodzić się na zakończenie całej sprawy z przymrużeniem oka i klepinięciem po ramieniu. Najbardziej dręczyło go to, że ci cudacznym mormoni odebrali mu specyficzną przewagę, gdyż w ich towarzystwie jego kurtuazja nie była niczym niezwykłym. Jego uprzejmość bladła w zetknięciu z ich uczynnością. Jego uśmiech był niewidoczny wśród powodzi uśmiechów i wyszczerzonych zębów, znacznie bielszych niż jego własne. Zalali centrum handlowe i supermarket, zadając te swoje tak uprzejme pytania, zbrojni w małe notesiki, długopisy i szczerze mormońskie spojrzenia, a Roy przez cały czas nie był pewny, czy wierzą choćby w małą część jego relacji lub czy przekonują ich świetnie podrobione dokumenty uwierzytelniające.

Próbował na różne sposoby nawiązać przyjazne stosunki z mormońskimi policjantami. Zastanawiał się, czy będą się czuli mile połączani, jeśli im powie, że bardzo mu się podoba mormoński chór kościelny. Miał do niego stosunek obojętny, ale wyczuwał, że zorientują się, iż kłamie po to, żeby im się podlizać. Podobnie mogło być z Osmondami, czołową mormońską rodziną artystów. Do nich też miał stosunek obojętny, byli niewątpliwie utalentowani, ale nie gustował w ich śpiewie i tańcu. Marie Osmond miała idealne nogi, które mógłby godzinami pieścić i całować, które chciałby obsypywać płatkami czerwonych róż, ale był absolutnie pewny, że mormoni nie byli ludźmi, którzy ochoczo rozmawialiby na ten temat.

Był przekonany, że nie wszyscy z nich są mormonami. Zasada równych szans umożliwiła wstępowanie do policji przedstawicielom innych wyznań. Gdyby potrafił odróżnić niemormonów, mógłby z nimi ustalić zakres raportu, potrzebny im do prowadzenia dalszego śledztwa, i wynosić się stąd czym prędzej. Ale niemormoni niczym się nie różnili od mormonów, ponieważ przejęli ich obyczajowość

i sposób bycia. Ci niemormoni byli także uprzejmi, schludni, starannie ubrani, trzeźwi i mieli olśniewająco wyszorowane zęby, bez śladu nikotyny. Jednym z nich był Murzyn, o nazwisku Hargrave. Roy był niemal pewny, że nareszcie znalazł policjanta, dla którego nauki Brigham Younga nie były ważniejsze od nauk Kali, złowrogiego wcielenia hinduskiej matki bogów, ale okazało się, że Hargrave był bardziej mormoński od wszystkich mormonów razem wziętych. Miał portfel wypchany zdjęciami żony i dziewięciorga dzieci, spośród których dwaj synowie pełnili misję religijną w zakazanych zakątkach Brazylii i Tonga.

W końcu sytuacja przestraszyła Roya w tym samym stopniu, w jakim pokrzyżowała jego plany. Czuł się, jakby brał udział w „Inwazji porywaczy ciał”.

Zanim zaczęły się zjeżdżać miejskie i okręgowe wozy patrolowe – wszystkie wypolerowane i w doskonałym stanie technicznym – Roy zadzwonił do Las Vegas z bezpiecznego telefonu w unieruchomionym helikopterze, żądając dwóch dodatkowych maszyn. Dowiedział się, że organizacja dysponowała w tej chwili tylko jedną.

– Chryste – odezwał się Ken Hyckman – zużywasz helikoptery jakby to były chusteczki higieniczne. – Czekala go pogoń za kobietą i Grantem w towarzystwie tylko dziewięciu spośród dwunastu jego ludzi, gdyż tylko tylu mogło się pomieścić w przybywającym helikopterze.

Unieszkodliwiony śmigłowiec nie mógł zostać naprawiony przed upływem przynajmniej trzydziestu sześciu godzin, ale nowy był już w drodze do Cedar City. Earthguard 3 miał zostać zaprogramowany na poszukiwanie skradzionego. Nie ulegało wątpliwości, że operacja się opóźnia, ale sytuacja nie była beznadziejna. Przegrana bitwa – nawet jeszcze jedna przegrana bitwa – nie była równoznaczna z przegraniem wojny.

Nie uspokajało go wdychanie brzoskwiniowego oparu spokoju i wydychanie żółtozielonych wyziewów wściekłości i rozgoryczenia. Nie skutkowały również żadne inne techniki medytacji, które przez wiele lat działały niezawodnie. Jedna tylko rzecz łagodziła jego demobilizującą furię: wizja wspaniałej sześćdziesięcioprocentowej perfekcji Eve Jammer. Wizja nagiej, naoliwionej, wijącej się olśniewającej blondynki na czarnym gumowym materacu.

Nowy helikopter powinien był przylecieć do Cedar City nie wcześniej niż w południe, więc Roy miał nadzieję, że do tego czasu upora się z mormonami. Pilnie obserwowany poruszał się wśród nich, odpowiadał na zadawane mu bez końca pytania, przejrzał zawartość rovera, przeznaczył ją do skonfiskowania – a równocześnie przez mózg przebiegały mu obrazy Eve, pieszczącej się swoimi idealnymi dłońmi i całą kolekcją urządzeń zaprojektowanych przez perwersyjnych wynalazców, którzy twórczym geniuszem przewyższali Thomasa Edisona i Alberta Einsteina razem wziętych.

Kiedy stojąc przy kasie supermarketu oglądał wyciągnięty z range rovera komputer i pudełko z dwudziestoma dyskietkami, raptem przypomniał sobie o Mamie. Przez krótką, szaloną chwilę próbował się oszukiwać, wmawiając sobie, że wyłączył swój przenośny komputer, zanim opuścił kabinę helikoptera. Nie udało mu się. Przypomniał sobie wyraźnie satelitarny obraz kompleksu handlowego na ekranie komputera, w chwili gdy stawiał go na podłodze obok siedzenia, wybiegając do kabiny pilotów.

– Cholera jasna! – wykrzyknął i wszyscy mormońscy policjanci jak jeden mąż wykrzykali z niesmakiem twarze.

Pobiegł na tył supermarketu, a potem przez magazyn, tylne drzwi, obok grupy agentów i policjantów, do uszkodzonego helikoptera, gdzie mógł skorzystać z bezpiecznego telefonu wyposażonego urządzenie kodujące.

Zatelefonował do Las Vegas i zastał Kena Hyckmana w ośrodku obserwacji satelitarnej.

– Mamy kłopoty...

Roy próbował mówić dalej, ale Hyckman przerwał mu z całą powagą swojej roli.

– To my tu mamy kłopoty. W niewytłumaczalny sposób przestał działać komputer w Earthguardzie 3. Pracujemy nad tym, ale...

Roy wtrącił się, gdyż wiedział już, że kobieta użyła jego komputera po to, żeby unieruchomić Earthguarda 3.

– Słuchaj, Ken, w skradzionym helikopterze znajdował się mój przenośny komputer, który był połączony z Mamą.

– Cholera jasna! – zaklął Hyckman, ale w ośrodku obserwacji satelitarnej nie było mormońskich policjantów, więc nikt się nie skrzywił.

– Połącz się z Mamą, zlikwiduj połączenie z moim komputerem i zablokuj na stałe możliwość ponownego dostępu. Na stałe.

Helikopter leciał teraz na wysokości stu stóp, żeby nie być widzianym przez radar.

Kiedy Spencer poszedł doglądać pilotów, Rocky został przy Ellie. Była tak pochłonięta poznawaniem możliwości Mamy, że nie miała czasu go pogłaskać ani nawet odezwać się do niego. Pies nie odstępował jej, co oznaczało, że zdobyła jego zaufanie i aprobatę.

Na dobrą sprawę mogła już rozbić komputer i zająć się drapaniem psa za uszami, gdyż zanim zdołała zrealizować swój plan, z ekranu zniknęły wszystkie dane. Zamiast nich pojawiło się niebieskie pole, a na nim migający czerwony napis: KTO WCHODZI?

Nie była tym zaskoczona. Spodziewała się, że zostanie odłączona, zanim jeszcze zdoła uczynić Mamie jakkolwiek szkodę. System zawierał repliki wszystkich istotnych elementów zabezpieczenia przed włamaniami i wirusami. Znalezienie dojścia do głęboko ukrytego poziomu zarządzania programami, gdzie dopiero można było uczynić znacznie większe szkody, wymagało nie pojedynczych godzin, ale wielu dni uporczywego poszukiwania. Ellie i tak miała szczęście, że udało jej się szybko zablokować Earthguarda 3, gdyż bez Mamy nie było to w ogóle możliwe. Wykorzystanie Mamy, a na dokładkę próba uszkodzenia jej przekraczały najśmielsze oczekiwania Ellie. Mimo to czuła się w obowiązku spróbować.

Kiedy nie odpowiedziała na migające czerwonymi literami pytanie, ekran zgasł, zmieniając kolor z niebieskiego na szary. Wiedziała, że ponowne łączenie się z Mamą nie ma sensu.

Wyjęła wtyczkę komputera z kontaktu, położyła go na podłodze obok siedzenia i skinęła na psa. Podeszedł do niej, machając ogonem. Gdy pochyliła się, żeby go popieścić, zauważyła na wpół wysuniętą spod jej siedzenia kopertę.

Przez parę minut drapała i głaskała psa, a potem podniosła kopertę. Wewnątrz znajdowały się cztery fotografie.

Rozpoznała Spencera, mimo że na zdjęciach był jeszcze bardzo młody. Od tego czasu stracił nie tylko młodość. Nie tylko niewinność. Nie tylko radość życia, bijącą z uśmiechu i całej postaci chłopca na zdjęciu. Życie pozbawiło go pewnej trudnej do określenia cechy.

Ellie przyglądała się twarzy kobiety, sfotografowanej dwukrotnie w towarzystwie Spencera, i doszła do wniosku, że to jego matka. Sądząc z powierzchowności, musiała być subtelna, uprzejma, mieć miły głos i młodzieńcze poczucie humoru.

Na trzeciej fotografii była młodsza niż na poprzednich dwóch. Stała na tle drzewa obsypanego białymi kwiatami. Wydawała się emanować niewinnością, nie wynikającą z naiwności, lecz z uczciwości i braku cynizmu. Ellie dostrzegła w matce Spencera tak wzruszającą wrażliwość, że nagle poczuła łyzy

w oczach.

Próbowała z nimi walczyć mrugając, zagryzając dolną wargę, w końcu wycierając je nasadą dłoni. Wzruszyła ją nie tylko strata, którą poniósł Spencer. Patrząc na kobietę w letniej sukience, myślała o własnej matce, tak brutalnie zamordowanej.

Stała nad brzegiem ciepłego morza pamięci, ale nie mogła pływać się w nim z przyjemnością. Każda fala wspomnień, niezależnie od ich treści, załamywała się na tym samym, ciemnym brzegu. We wszystkich wspomnieniach z przeszłości twarz jej matki wyglądała tak jak w chwili śmierci: zakrwawiona, roztrzaskana pociskami, patrząca nieruchomym wzrokiem tak pełnym przerażenia, jakby matka w ostatnim momencie życia zajrzała, co leży po jego drugiej stronie, i zobaczyła tylko zupełną pustkę.

Drżąc na całym ciele, Ellie odwróciła wzrok od zdjęcia i wyjrzała przez okienko obok swojego fotela. Błękitne niebo wyglądało jak lodowate morze. Pod nisko lecącą maszyną migła bezsensowna płatanina skał, roślinności i śladów ludzkiej działalności.

Kiedy upewniła się, że potrafi nad sobą zapanować, wróciła do fotografii kobiety w letniej sukience, a potem wzięła do ręki ostatnią z czterech fotografii. Na poprzednich zdjęciach zauważyła podobieństwo syna do matki, ale teraz odkryła znacznie większe wzajemne podobieństwo między Spencerem a oplecionym cieniami mężczyzną na czwartej fotografii. Domyśliła się, że to musi być jego ojciec, mimo że nie rozpoznała w nim okrytego hańbą artysty.

Podobieństwo ograniczało się do ciemnych włosów, jeszcze ciemniejszych oczu, kształtu podbródka i paru innych cech. Twarz Spencera nie miała jednakże owej arogancji i zamaskowanego okrucieństwa, która nadawała jego ojcu zimny i złowrogi wygląd.

Pomyślała, że może widzi w Stevenie Ackblomie te wszystkie cechy, ponieważ wie, że patrzy na potwora. Gdyby oglądała tę samą fotografię, nie wiedząc, kim był – albo gdyby spotkała go przypadkiem, na przyjęciu czy na ulicy – prawdopodobnie nie doszukałaby się w nim czegoś bardziej złowieszczonego niż w Spencerze lub w innych mężczyznach.

Zrobiło jej się przykro, gdyż ta myśl wzbudziła w niej pewne podejrzenie – czy przyjazny, dobry człowiek, za którego uważała Spencera, nie był tylko pozornie taki albo w najlepszym razie tylko częściowo taki. Doszła do wniosku – ku własnemu zdumieniu – że chce wierzyć Spencerowi. Co więcej, że gorąco pragnie ufać mu, tak jak nie ufała od dawna nikomu.

„Nawet gdybym był ślepcem, gdybym nigdy nie widział twojej twarzy, to – wiedząc o tobie tyle, ile teraz – i tak bym się zakochał”.

Jego słowa były tak szczerze, stanowiły tak spontaniczne wyznanie uczuć, że oniemiała z wrażenia. Nie miała jednak odwagi przyznać się, że odwzajemnia jego uczucia.

Danny nie żył zaledwie od czternastu miesięcy i było stanowczo za wcześnie, żeby o nim zapomnieć. Dotykanie innego mężczyzny, dbanie o niego, kochanie go – stanowiło zdradę tego, którego przedtem kochała i którego kochałaby nadal, gdyby żył.

Z drugiej strony czternaście miesięcy samotności stanowiło – z wszystkich możliwych punktów widzenia – wieczność.

Żeby być w zgodzie z sobą, musiała przyznać, że jej powściągliwość brała się z czegoś więcej niż z respektowania bądź nie respektowania czternastomiesięcznej żałoby. Danny, mimo że wspomniały i kochający, nigdy nie potrafił otworzyć swojego serca tak całkowicie i po prostu jak Spencer, który zrobił to już parokrotnie, od chwili gdy wywiozła go z suchego łóżyska pustynnej rzeki. Danny nie był nieromantyczny, ale wyrażał swoje uczucia mniej otwarcie, raczej za pomocą wymyślnych prezentów

i grzeczności niż słów, jak gdyby powiedzenie jej: „Kocham cię” było równoznaczne z rzuceniem klątwy na ich związek. Nie była przyzwyczajona do szorstkiej romantyki ludzi takich jak Spencer, która płynęła z głębi serca, i nie wiedziała, co o tym sądzić.

A jednak wiedziała. Lubiła to. Nawet bardziej niż lubiła. Zdumiało ją, że w swoim stwardniałym sercu odkryła czułe miejsce, które nie tylko reagowało na otwarte wyznanie miłości ze strony Spencera, ale łaknęło dalszych. Owo pragnienie było tak dojmujące jak pragnienie zdrożonego pustynnego wędrowca. Doszła do wniosku, że chciałaby gasić je nieustannie, do końca życia.

Zwlekąca z odpowiedzeniem Spencerowi nie dlatego, że upłynęło zbyt mało czasu od śmierci Danny’ego, lecz dlatego, że bała się, iż pierwsza miłość jej życia mogła nie być największą. Gotowość do ponownego zakochania się wydawała się zdradą wobec Danny’ego. Jeszcze bardziej przykra byłaby świadomość, że kocha kogoś innego bardziej, niż kiedyś kochała zamordowanego męża.

Może to nigdy nie nastąpi. Jeśli otworzy swoje serce przed tym ciągle jeszcze tajemniczym mężczyzną, może dojdzie do ostatecznego wniosku, że miejsce, które zajmuje w jej sercu, nie będzie nigdy tak obszerne lub tak ciepłe jak to, które zajmował i w którym na zawsze pozostanie Danny.

Z drugiej strony obawiała się, że zachowując tak długo lojalność wobec pamięci Danny’ego, dopuści do tego, że jej szczerze uczucie przeobrazi się kiedyś w tani sentymentalizm. Nikt nie rodzi się po to, żeby kochać raz i nigdy więcej, szczególnie gdy zły los wcześniej składa obiekt pierwszej miłości do grobu. Gdyby życie miało opierać się na tak surowych zasadach, znaczyłoby, że Bóg zbudował świat zimny i ponury. Miłość i inne uczucia są jak mięśnie: stają się coraz silniejsze w miarę ćwiczeń, a nieużywane zanikają. Być może kochanie Danny’ego wzmocniło siłę jej miłości i teraz, po jego śmierci, będzie jeszcze mocniej kochała Spencera.

Oddając sprawiedliwość Danny’emu – został zrodzony z bezdusznego ojca i kruchej matki, w której obojętnych ramionach nauczył się opanowania i ostrożności – dał jej wszystko, na co go było stać, a ona czuła się w jego ramionach szczęśliwa i zadowolona. Tak zadowolona, że nagle nie potrafiła sobie wyobrazić dalszego życia bez kogoś, kto obdarowywałby ją tym samym co Danny.

Ile kobiet potrafiło wyrzucić na mężczyznach tak silne wrażenie, żeby po jednym przegadanych wieczorze porzucili ustabilizowaną egzystencję i narazili swoje życie na najwyższe niebezpieczeństwo po to, żeby być z nimi? Czuła się nie tylko zaciekawiona i mile polectana zaangażowaniem Spencera. Czuła się dziecinnie, głupio, beztrosko. Czuła się jak zaczarowana..

Po raz wtóry przyjrzała się fotografii Stevena Ackbloma.

Zdawała sobie sprawę z tego, że zainteresowanie Spencera – i wszystko, co zrobił, żeby ją odnaleźć – mogło nie być spowodowane uczuciem do niej, ale obsesją. Każda oznaka obsesji u syna seryjnego mordercy mogła być sygnałem alarmowym, oznaczającym odziedziczenie szaleństwa ojca.

Ellie schowała wszystkie cztery zdjęcia do koperty i zamknęła ją na metalową zapinkę.

Wierzyła, że Spencer nie był synem swojego ojca we wszystkich rozważanych przez nią aspektach. Nie był dla niej bardziej niebezpieczny niż Rocky. Kiedy majaczył w gorączce przez trzy dni na pustyni, nie usłyszała niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenie, że jest złym owocem złego drzewa.

Poza wszystkim, biorąc pod uwagę jej osobiste bezpieczeństwo, nie mógł równać się z organizacją. Organizacja polowała na nich oboje.

Powinna raczej martwić się o to, czy zdoła dostatecznie długo unikać spotkania z jej zbirami, żeby móc cieszyć się z uczucia rozwijającego się między nią a owym tajemniczym mężczyzną. Spencer sam przyznał, że nie zdradził jej wszystkich swoich tajemnic. Owe tajemnice – bardziej ze względu na niego niż na nią – powinien jej opowiedzieć, zanim będą mówili o wspólnej przyszłości. Dopóki nie dokona

rozrachunków z własną przeszłością, nie zazna spokoju ducha ani nie odzyska wiary w siebie – dopóty ich miłość nie będzie mogła się pomyślnie rozwinąć.

Znów spojrzała na niebo.

Lecieli nad Utah w lśniącej czarnej maszynie, obcy we własnym kraju, odwróceniem tyłem do słońca, kierując się na wschód w tę stronę horyzontu, zza którego za kilka godzin miała nadciągnąć noc.

Harris Descoteaux umył się pod prysznicem w wykładanej szarymi i brązowymi kafelkami łazience brata, w jego domu w Westwood, ale smród więzienia, który ciągle czuł, był nie do zmycia. W sobotę, zanim zostali wyrzuceni ze swego domu w Burbank, Jessica zapakowała dla niego trzy zmiany garderoby. Z tego skąpego zapasu wybrał adidas, szare sztruksowe spodnie i ciemnozieloną trykotową koszulę z długimi rękawami.

Kiedy powiedział żonie, że idzie na spacer, poprosiła go, żeby zaczekał, aż ciasto się upiecze, wówczas będą mogli pójść razem. Dariusz, zajęty telefonowaniem w swoim gabinecie, zaproponował, żeby Harris poczekał pół godziny, to wtedy pójdzie razem z nim. Harris czuł, że troszczą się o to, żeby nie popadł w przygnębienie. Nie chcieli zostawiać go samego.

Zapewnił ich, że nie ma zamiaru rzucić się pod ciężarówkę, że musi mieć trochę ruchu po weekendzie spędzonym w celi i że chce być sam, ponieważ musi pomyśleć. Pożyczył od Dariusza jedną z jego skórzanych kurtek i wyszedł na chłodne lutowe powietrze.

Willowa część Westwood była pagórkowata. Po przejściu kilku przecznicy poczuł, że po weekendzie spędzonym w celi więziennej rzeczywiście czuje się odrętwiały i trzeba mu trochę gimnastyki.

Nie powiedział im prawdy, oświadczając, że chce być sam, po to, żeby pomyśleć. Chciał raczej przestać myśleć. Od chwili napadu na dom, w piątek wieczór, jego mózg pracował nieprzerwanie. Myślenie doprowadzało go do coraz większego przygnębienia.

Nawet krótkie chwile snu nie uwalniały go od zmartwień, gdyż śnili mu się mężczyźni bez twarzy, w czarnych uniformach i lśniących czarnych butach z cholewami. Śniło mu się, że zakładali żonie i córkom obroże ze smyczami, obchodząc się z nimi jak z psami, i wyprowadzali je, zostawiając go samego.

Nie uwalniało go od zmartwień również towarzystwo Jessiki ani Dariusza. Brat pracował bez wytchnienia nad sprawą albo rozważał głośno, jaką strategię postępowania powinni przyjąć: atakującą czy obronną. Widok Jessiki i córek budził w nim wyrzuty sumienia, że zawiódł swoją rodzinę. Żadna z nich, oczywiście, nie powie ani słowa, i taka myśl nawet nie przyjdzie im do głowy. Nie zrobił nic takiego, co usprawiedliwiłoby krzywdę, którą im wyrządzono. Mimo że był niewinny, czuł się za nią odpowiedzialny. Gdzieś, kiedyś zrobił sobie wroga, a jego zemsta była nieproporcjonalnie wielka w stosunku do przykrości, którą Harris nieświadomie mógł mu wyrządzić. Gdyby kiedyś postąpił w jakiejś sprawie inaczej, nie uraził kogoś słowem lub czynem, być może uniknęliby takiego losu. Za każdym razem kiedy myślał o Jessice albo o córkach, jego wynikająca z nieuwagi i niemożliwa do okupienia wina wydawała się coraz większa.

Ludzie w butach z cholewami, mimo że byli tylko postaciami ze snu, w pewnym sensie odebrali mu rodzinę. Jego gniew i frustracja z powodu własnej bezsilności oraz obarczanie się winą były elementami muru powstającego między nim a tymi, których kochał, przy czym mur ten miał skłonność do rozrastania się z biegiem czasu.

Dlatego szedł teraz sam wijącymi się wśród wzgórz ulicami Westwood. Palmy, figowce i sosny zachowywały w zimowych miesiącach swoją zielen, ale było też sporo jaworów, klonów i brzoź, które nie miały liści. Harris pochłonięty był obserwowaniem filigranowych deseni, tworzonych przez słońce

i cienie gałęzi drzew na chodniku. Próbował za ich pomocą wprowadzić się w stan hipnozy, która odsunęłaby wszystkie inne myśli z wyjątkiem świadomości, że należy stawiać jedną nogę przed drugą.

Osiągnął w tym niezłe efekty. Będąc na pół w transie, nie zwrócił uwagi na szafirową toyotę, która wyprzedziła go, jadąc ze zgaszonym silnikiem, podjechała do krawężnika i zatrzymała się prawie o przecznicę dalej. Z samochodu wysiadł mężczyzna i otworzył maskę, ale Harris nadal był skupiony na deseni ze światła i cienia, po którym kroczył.

Kiedy mijał przód toyoty, nieznajomy przestał zajmować się silnikiem i odezwał się:

– Proszę pana, czy mógłby się pan nad czymś zastanowić?

Harris przeszedł jeszcze parę kroków, nim zorientował się, że mężczyzna mówi do niego. Staął, odwrócił się i budząc się ze stanu hipnozy, powiedział:

– Słucham?

Nieznajomy był wysokim mężczyzną w wieku około trzydziestu lat, chudym jak młody chłopak, a przy tym miał ów smutny, napięty wyraz twarzy starego człowieka, który widział zbyt wiele i miał ponure i ciężkie życie. Wydawało się, że wkładając czarne spodnie, czarny sweter z golfem i czarną kurtkę – chce być symbolem złowrogich mocy. Zamiar ten psuły jednakże wielkie, grube okulary, eteryczność jego sylwetki i aksamitny, głęboki, wzruszający głos, łudzaco podobny do Mela Torme'a.

– Czy mógłby się pan nad czymś zastanowić? – spytał ponownie, a potem ciągnął, nie czekając na odpowiedź: – To, co spotkało pana, nie spotkałoby ani posła, ani senatora.

Ulica, jak na tak zaludnioną dzielnicę, była niezwykle cicha. Słońce świeciło jakoś inaczej niż przed chwilą. Jego refleksy, rozsiane po zaokrągleniach szafirowej toyoty, wydawały się Harrisowi nienaturalne.

– Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego – kontynuował nieznajomy – że politycy, działając powoli, przez wiele lat, zwolnili członków Kongresu z konieczności podporządkowywania się prawom, które ci ustanowili. Popatrzmy na przykład na prawo do konfiskaty majątku. Jeśli policjant złapie senatora na sprzedawaniu kokainy ze swego cadillaca, ustawionego obok szkolnego boiska, samochód senatora nie może zostać skonfiskowany tak jak pański dom.

Harris miał wrażenie, że osiągnął tak głęboki stan hipnozy, iż wysoki, ubrany na czarno mężczyzna jest postacią w jego śnie.

– Można ścigać go za handlowanie narkotykami i nawet uzyskać wyrok skazujący – jeśli jego koledzy, politycy, usuną go z Kongresu i prócz tego pozbawią immunitetu poselskiego. Nie można natomiast skonfiskować jego majątku ani za popełnienie tego przestępstwa, ani za popełnienie dwustu innych, za które można skonfiskować pański.

– Kim pan jest? – spytał Harris.

Nieznajomy, nie odpowiadając na to pytanie, ciągnął swoim miękkim głosem:

– Politycy nie płacą podatku na ubezpieczenie społeczne. Mają swój własny fundusz emerytalny. I nie używają go do finansowania innych programów, jak to robią z funduszem ubezpieczenia społecznego. Ich emerytury są dobrze zabezpieczone.

Harris z niepokojem rozejrzał się wkoło, sprawdzając, czy ktoś ich nie obserwuje – czy nie ma samochodu z innymi ludźmi, towarzyszącymi temu mężczyźnie. Chociaż nieznajomy nie wyglądał groźnie, cała sytuacja miała w sobie coś złowieszczonego. Czuł, że jest wystawiany na próbę, że celem tego spotkania jest naciągnięcie go na jakieś wywrotowe oświadczenie, za które zostanie zaaresztowany, oskarżony i uwięziony.

Jego obawy były absurdalne. Wolność słowa była jeszcze nadal w pełni zagwarantowana. Żaden

naród na świecie nie przywiązywał do tego takiej wagi jak jego rodacy. Ostatnie wypadki spowodowały u niego manię prześladowczą, nad którą musiał zapanować.

Mimo to bał się rozmawiać.

– Oni zwolnili się z opłat na opiekę zdrowotną, wymuszając je na reszcie obywateli, więc czasem trzeba miesiącami czekać na operację woreczka żółciowego, podczas gdy oni mają wszystko na zawołanie. Jakoś tak się stało, że pozwoliliśmy rządzić najbardziej zachłannym i zawistnym wśród nas.

Harris odważył się znów przemówić, ale ograniczył się tylko do powtórzenia poprzedniej kwestii:

– Kim pan jest? Czego pan sobie życzy?

– Chciałem tylko dać panu do myślenia, póki się znów nie spotkamy. – Potem odwrócił się i zatrzasnął maskę szafirowej toyoty.

Harris, ośmielony tym, że nieznajomy odwrócił się tyłem, zszedł z krawężnika i złapał go za ramię.

– Chwileczkę...

– Muszę jechać – powiedział nieznajomy. – O ile się orientuję, nie jesteśmy śledzeni. Stawiam na to tysiąc do jednego. Ale przy obecnej technice nie można być w stu procentach pewnym. Do tej pory każdemu obserwującemu nas może się zdawać, że uciął pan pogawędkę z kimś, kto ma kłopoty z samochodem. Ale jeśli będziemy stali tu dłużej, a w pobliżu jest ktoś, kto nas śledzi, podejdzie bliżej i wyceluje w nas mikrofon kierunkowy.

Podszedł do drzwi toyoty.

Harris, oszołomiony, zapytał:

– Jaki jest sens tego wszystkiego?

– Niech pan będzie cierpliwy, panie Descoteaux. Niech pan się podda biegowi rzeczy, jedzie na fali, a niebawem pan się dowie.

– Na jakiej fali?

Otwierając drzwi samochodu, nieznajomy po raz pierwszy się uśmiechnął.

– Myślę, że na... fali radiowej, na fali światła, na fali przyszłości.

Wsiadł do samochodu, zapalił silnik i odjechał, zostawiając Harrisa tak oszołomionego jak jeszcze nigdy w życiu.

– Fale radiowe. Fale świetlne. Fale przyszłości.

Co to wszystko miało znaczyć?

Harris Descoteaux rozejrzał się dookoła, lustrując otoczenie, ale nie zauważył niczego niezwykłego. Niebo i ziemia. Domy i drzewa. Chodniki i zieleńce. Słońce i cienie. Ale w tkaninie mijającego dnia pojawiły się, ukryte głęboko w jej osnowie i wątku, nici jakiejś tajemnicy.

Poszedł dalej, od czasu do czasu jednak oglądał się za siebie, czego nie robił przedtem.

Roy Miro ugrzązł w imperium mormonów. W czasie załatwiania spraw z zastępcami szeryfa okręgowego i policją w Cedar City, co zajęło mu blisko dwie godziny, doświadczył tyłu uprzejmości, że mogły mu wystarczyć przynajmniej do pierwszego lipca. Doceniał wartość uśmiechu, kurtuazji i niezachwianej przyjaźni, ponieważ sam był niezwykle uprzejmy w kontaktach z ludźmi. Jednak ci mormońscy policjanci przekraczali wszelkie granice. Zaczęło mu brakować chłodnej obojętności Los Angeles, twardego wyrachowania Las Vegas, a nawet chamstwa i szaleństwa Nowego Jorku.

Wiadomość o zablokowaniu Earthguarda 3 nie poprawiła mu nastroju. Jeszcze bardziej wstrząsnęła nim kolejna wiadomość, że skradziony helikopter zszedł tak nisko, że dwie wojskowe jednostki radarowe, śledzące go na pilną prośbę organizacji, która podszyła się pod DEA – straciły go z pola widzenia i już nie odnalazły. Poszukiwani uciekli, i tylko Pan Bóg oraz dwaj porwani piloci wiedzieli,

gdzie się znajdują.

Roy poczuł paniczny lęk na myśl, że musi zameldować o tym Tomowi Summertonowi.

Dodatkowy helikopter z Las Vegas miał przybyć za niecałe dwadzieścia minut, ale Roy nie wiedział, co z nim zrobić. Trzymać go na parkingu centrum handlowego i czekać, aż nadejdzie jakakolwiek wiadomość o uciekinierach? W ten sposób mógł doczekać okresu bożonarodzeniowych zakupów. Poza tym policjanci mormońscy przez cały czas przynosiliby mu kawę i pączki i siedzieliby przy nim, żeby mu się nie nudziło.

Z koszmaru czyhających na niego kurtuazyjnych ceremonii wybawił go jednak Gary Duvall, który zatelefonował z Kolorado z wiadomością o nowym śladzie. Rozmowa odbyła się przez bezpieczny telefon, wyposażony w urządzenie kodujące, znajdujący się w kabinie uszkodzonego helikoptera.

Roy usiadł z tyłu kabiny i założył na głowę komunikator.

– Niełatwo cię znaleźć – powiedział Duvall.

– Są komplikacje – powiedział krótko Roy. – Jesteś jeszcze w Kolorado? Myślałem, że będziesz już wracał do San Francisco.

– Zaciekał mnie ten Ackblom. Seryjni mordercy zawsze mnie fascynowali. Dahmer, Bundy i tamten... Ed Gein, wiele lat temu. Niesamowite towarzystwo. Dziwi mnie, co, do cholery, łączy syna mordercy z tą kobietą.

– Wszystkich nas to dziwi – zapewnił go Roy.

Jak było w jego zwyczaju, Duvall miał zamiar relacjonować nowiny małymi porcjami.

– Byłem już tak blisko, że zdecydowałem się skoczyć z Denver do Vail i obejrzeć farmę, na której to wszystko się działo. Sam lot trwa bardzo krótko. Więcej czasu zajmuje wsiadanie i wysiadanie.

– Jesteś tam teraz?

– Na farmie? Nie. Właśnie stamtąd wróciłem. Ale jestem jeszcze w Vail. Posłuchaj, co odkryłem.

– Chyba będę musiał.

– Co?

– Poczekaj – powiedział Roy.

Duvall nie dostrzegł sarkazmu albo zignorował go.

– Mam dla ciebie dwie smaczne tortille, nadziane wiadomościami. Tortilla numer jeden: jak myślisz, co się stało z farmą, kiedy zabrano już wszystkie ciała, a Ackblom powędrował do więzienia na zawsze?

– Przerobiono ją na klasztor dla karmelitanek.

– Gdzieś ty to słyszał? – spytał Duvall, nie zdając sobie sprawy, że Roy żartuje. – Nie ma tam żadnych zakonnic. Na farmie mieszka małżeństwo Dresmundów: Paul i Anita. Przebywają tam od piętnastu lat. Wszyscy w Vail myślą, że są właścicielami farmy, a oni tego nie dementują. Mają teraz zaledwie po pięćdziesiąt pięć lat, ale wyglądają na ludzi, którzy mogli pozwolić sobie na przejście na emeryturę po czterdziestce – tak zresztą twierdzą – albo na takich, którzy nigdy nie pracowali, żyjąc ze spadku. Doskonale spełniają swoją funkcję.

– Jaką funkcję?

– Dozorców.

– A kto jest właścicielem?

– To jest właśnie niespodzianka.

– Domyślam się.

– Do obowiązków Dresmundów należy udawanie, że są właścicielami posiadłości, a nie płatnymi dozorcami. Lubią jeździć na nartach, wygodnie żyć i nie przejmują się tym, że mieszkają w miejscu o złej

sławie, więc trzymanie języka za zębami nie sprawia im trudności.

– Ale wyspowiadali się przed tobą?

– Wiesz jak to jest, niektórzy traktują legitymację FBI i groźbę oskarżenia o przestępstwo znacznie bardziej serio niż powinni – powiedział Duvall. – Wracając do rzeczy, dopiero półtora roku temu przestali być opłacani przez pewnego adwokata z Denver.

– Znasz jego nazwisko?

– Bentley Lingerhold. Ale wydaje mi się, że on nie jest ważny. Do tamtej pory czeki dla Dresmundów były wydawane przez fundusz powierniczy, Vail Memorial Trust, zarządzany przez tego adwokata. Miałem przy sobie komputer, połączyłem się z Mamą i dowiedziałem się szczegółów. Fundusz został zlikwidowany, ale zachowały się jego dane. Okazało się, że był zarządzany przez inny fundusz powierniczy, który nadal istnieje – przez Spencer Grant Living Trust.

– Dobry Boże – powiedział Roy.

– Prawda, że fantastyczne?

– Czyli syn jest nadal właścicielem farmy?

– Tak, a poza tym innych dóbr. Półtora roku temu tytuł własności został przeniesiony z Vail Memorial Trust, który był własnością syna, na zagraniczną korporację z siedzibą na wyspie Grand Cayman. Jest to taka karaibska kryjówka przed podatkami, która...

– Znam to. Jedź dalej.

– Od tamtej pory Dresmundowie dostawali swoje czeki od Vanishment International. Za pośrednictwem Mamy dotarłem do banku na Grand Cayman, gdzie ulokowano konto. Nie udało mi się poznać stanu konta ani wykazu operacji, dowiedziałem się natomiast, że Vanishment jest zarządzane przez szwajcarskie towarzystwo akcyjne: Amelia Earhart Enterprises.

Roy wiercił się nerwowo na siedzeniu, żałując, że nie wziął z sobą pióra i notesu, żeby zanotować te szczegóły.

– Dziadkowie, George i Ethel Porthowie – ciągnął Duvall – założyli ów Vail Memorial Trust piętnaście lat temu, sześć miesięcy po ujawnieniu zbrodni Ackbloma. Zarządzali posiadłością za pośrednictwem tego powiernictwa, żeby nie mieszać w to swoich nazwisk.

– Dlaczego jej nie sprzedali?

– Nie mam pojęcia. W każdym razie rok później założyli Spencer Grant Living Trust na nazwisko chłopca za pośrednictwem owego Bentleya Lingerholda, zaraz po tym, jak nazwisko chłopca zostało formalnie zmienione. Równocześnie poddali ten fundusz pod zarząd Vail Memorial Trust. Ale Vanishment International powstało zaledwie półtora roku temu, wiele lat po śmierci dziadków, zatem założył je sam Grant, wyprowadzając przy tym większą część swojego majątku ze Stanów Zjednoczonych.

– I zaczynając równocześnie wymazywać swoje nazwisko z wszystkich możliwych rejestrów publicznych – zadumał się Roy. – Dobrze, powiedz mi jeszcze... kiedy mówimy o funduszach i zagranicznych korporacjach... czy to są duże pieniądze?

– Duże – potwierdził Duvall.

– Z czego one pochodzą? Wiem, że jego ojciec był sławny...

– Czy wiesz, co się z nim stało, kiedy przyznał się do tych wszystkich morderstw?

– Nie.

– Został skazany na dożywotni pobyt w zakładzie dla psychicznie chorych, bez możliwości warunkowego zwolnienia. Nie protestował ani nie składał apelacji. Facet był pogodny od chwili

aresztowania aż do końca. Ani razu nie wybuchnął, ale też nigdy nie wyraził żalu.

– Wiedział, że to by mu i tak nie pomogło. Nie był wariatem.

– Nie był wariatem? – spytał ze zdumieniem Duvall.

– Nie miał pomieszania zmysłów, nie bełkotał ani nie majaczył. Wiedział, że nie ma dla niego wyjścia. Był realistą.

– Rozumiem. W każdym razie dziadkowie załatwili sprawę w ten sposób, że prawnym właścicielem majątku Ackbloma został jego syn. Na ich prośbę sąd podzielił cały majątek, wyjąwszy farmę, między chłopca a najbliższe rodziny pomordowanych ofiar, w tych przypadkach, kiedy ofiary pozostawiły mężów lub dzieci. Chcesz zgadnąć, ile było do podziału?

– Nie – odparł Roy. Wyrzął przez okienko kabiny i zobaczył dwóch miejscowych policjantów idących wzdłuż helikoptera i przyglądających mu się z zaciekawieniem.

Duvall nie dał się zbić z tropu sprzeciwem Roya i sypał dalszymi szczegółami:

– Pieniądze pochodziły w części ze sprzedaży prywatnej kolekcji obrazów innych malarzy, ale głównie ze sprzedaży dzieł Ackbloma, których nigdy nie chciał wystawić na rynek. Wszystko razem wyniosło nieco ponad dwadzieścia pięć milionów dolarów.

– Po potrąceniu podatków?

– Jego obrazy po ogłoszeniu całej sprawy osiągnęły zawrotne ceny. Zabawne, że wszyscy chcieli mieć w domach jego obrazy dopiero po tym, co zrobił. Myślałbyś, że ich ceny wkrótce spadły? Wprost przeciwnie, rynek wręcz oszalał. Ceny zrobiły się astronomiczne.

Roy pamiętał kolorowe reprodukcje obrazów Ackbloma, które oglądał, będąc jeszcze chłopcem, w czasie kiedy cała sprawa ujrzała światło dzienne, i nie mógł pojąć zdziwienia Duvalla. Obrazy Ackbloma były znakomite. Gdyby mógł sobie nie pozwolić, udekorowałby nimi cały dom.

– Ceny przez te wszystkie lata rosły – ciągnął Duvall – chociaż wolniej niż w pierwszym roku. Można było więcej zyskać, nie sprzedając wszystkich od razu. W każdym razie chłopiec miał – po odliczeniu podatków – czternaście i pół miliona dolarów. Jeśli nie szastał pieniędzmi, to po tylu latach ma teraz znacznie więcej.

Roy pomyślał o chacie w Malibu, o tanich meblach i gołych ścianach.

– Nie szastał.

– Naprawdę? Jego ojciec też żył poniżej swoich możliwości. Nie chciał mieć większego domu ani stałej służby. Miał tylko służącą i zarządcę farmy, którzy o piątej po południu wracali do swoich domów. Twierdził, że musi prowadzić surowe życie po to, żeby zachować energię twórczą. – Duvall zarechotał. – Nie chciał, żeby ktokolwiek kręcił się w nocy koło domu, kiedy on zabawiał się w podziemiach stajni.

Wracający ze spaceru policjanci mormońscy zobaczyli Roya w okienku.

Pomachał im ręką.

Oni również pomachali do niego, uśmiechając się przyjaźnie.

– Dziwne – powiedział Duvall – że jego żona nie zorientowała się wcześniej. Eksperymentował ze swoimi „żywymi obrazami” przez cztery lata, zanim na to wpadła.

– Nie była artystką.

– Co?

– Nie miewała wizji. Bez momentów olśnienia trudno zacząć coś podejrzewać, jeśli nie ma do tego wyraźnej przyczyny.

– Nie powiem, żebym cię rozumiał. Cztery lata, na miłość boską.

A potem jeszcze sześć, zanim chłopiec wpadł na to. Czterdzieści dwie ofiary w ciągu dziesięciu lat,

ponad cztery na rok.

Roy doszedł do wniosku, że same liczby nie były szczególnie imponujące. Czynnikiem, dzięki którym Ackblom znalazł się w księgach rekordów, była sława, którą się cieszył, zanim odkryto jego tajemnicę, ugruntowana pozycja w społeczeństwie, status człowieka posiadającego rodzinę (większość spośród seryjnych morderców stanowili samotnicy), a nade wszystko jego skwapliwość do poświęcenia swego nadzwyczajnego talentu sztuce torturowania, w celu umożliwienia kobietom osiągnięcia absolutnego piękna.

– Ale czemu – zastanawiał się głośno Roy – syn zatrzymał farmę? Przecież miał z nią tak przykre skojarzenia. Zmienił nazwisko. Dlaczego jej się nie pozbył?

– Dziwne, prawda?

– A jeśli nie syn, to dlaczego nie uczynili tego dziadkowie? Czemu jej nie sprzedali, kiedy byli jego prawowitymi opiekunami i mogli decydować w jego imieniu? Po tym, jak ich córka została tam zamordowana?

– Jest pewien powód – powiedział Duvall.

– Na przykład?

– Jest pewne wytłumaczenie. W każdym razie dość niesamowite.

– Czy ci dozorca...

– Paul i Anita Dresmundowie.

– ...widzieli kiedykolwiek Granta?

– Nie. A przynajmniej nie widzieli nikogo z taką bliźnię.

– Kto więc ich kontroluje?

– Przez długi czas, który się skończył półtora roku temu, widywali tylko dwoje ludzi związanych z Vail Memorial Trust. Tego adwokata, Lingerholda, albo jednego z jego partnerów, którzy przyjeżdżali dwa razy w roku, żeby sprawdzić, czy troszczą się o farmę, czy otrzymują wynagrodzenie i czy fundusze na utrzymanie farmy wydają zgodnie z ich przeznaczeniem.

– A w ciągu ostatniego półtora roku?

– Od chwili kiedy farmę przejęło Vanishment International, nikt już się nie pojawił – powiedział Duvall. – Chciałbym się dowiedzieć, ile pieniędzy Grant ukrył w owych Amelia Earhart Enterprises, ale, jak wiesz, nigdy nie wydusimy tego ze Szwajcarów.

W ciągu ostatnich lat Szwajcaria została zasypana ogromną stertą petycji sądowych, w których władze Stanów Zjednoczonych domagały się przejęcia szwajcarskich kont swoich obywateli na podstawie własnego prawa do konfiskowania majątków, po udowodnieniu kryminalnej działalności tychże obywateli. Szwajcarzy coraz wyraźniej dostrzegali w tym prawie narzędzie represji politycznych i z miesiąca na miesiąc wycofywali się z tradycyjnie dobrej współpracy w sprawach przestępstw kryminalnych.

– Jaka jest druga tortilla? – spytał Roy.

– Co?

– Druga tortilla. Powiedziałaś, że masz dla mnie dwie.

– Mam – odparł Duvall. – Dwie tortille nadziewane informacją.

– Jestem taki głodny – powiedział przymilnie Roy. Był dumny ze swojej cierpliwości, mimo znacznego nadwerężenia jej przez mormońskich policjantów. – Czemu nie odgrzewasz mi drugiej?

Duvall podał mu ją i okazała się rzeczywiście smaczna, jak obiecywał.

Natychmiast po rozłączeniu się z Duvallem Roy zadzwonił do Kena Hyckmana, który właśnie

kończył swój poranny dyżur w biurze w Vegas.

- Ken, gdzie jest ten jetranger?
- Za dziesięć minut będzie u ciebie.
- Poślę ci go z powrotem z większością ludzi.
- Poddajesz się?
- Wiesz, że radar go zgubił?
- Tak.

– Uciekli i nie mam zamiaru ścigać ich w ten sam sposób jak dotąd. Ale mam nowy, dobry trop i pójde za nim. Potrzebuję odrzutowca.

- Jezu!
- Nie wzywaj imienia...
- Przepraszam.
- Co się dzieje z tym learem, którym przyleciałem w piątek wieczorem?
- Stoi tutaj. Gotów do lotu.
- Czy w moim sąsiedztwie mógłby gdzieś wylądować? W jakiejś bazie wojskowej, czy czymś takim?
- Poczekaj, zaraz sprawdzę – powiedział Hyckman i odszedł od telefonu.

Roy przypomniał sobie o Eve Jammer. Nie będzie mógł wrócić wieczorem do Vegas. Ciekaw był, co dziś będzie wyprawiała – myśląc o nim – jego jasnowłosa ukochana. Obiecywała mu, że to będzie coś niezwykłego. Przypuszczał, że będzie ćwiczyła jakieś nowe pozycje, jak gdyby nie przećwiczyła już wszystkich, albo wypróbowywała nowe zabawki erotyczne, których jeszcze nigdy nie używała – wszystko po to, żeby nabyć takiej biegłości, że za dzień lub dwa, kiedy się spotkają, zostawi go jeszcze bardziej podnieconego i bez tchu niż kiedykolwiek przedtem. Kiedy próbował wyobrazić sobie owe gadzety, zakreśliło mu się w głowie, a w ustach poczuł idealną suchość.

Ken Hyckman wrócił do telefonu.

- Lear może wylądować w Cedar City.
- Co? To miasteczko może przyjąć leara?
- Dwadzieścia dziewięć mil na wschód jest Brian Head.
- Kto?

– Nie kto. Co! Ośrodek narciarski pierwszej klasy z mnóstwem luksusowych domów wysoko w górach. Wielu bogaczy i różne korporacje mają w Brian Head swoje kondominia. Przylatują odrzutowcami do Cedar City i stamtąd jadą w góry. Lotnisko nie jest tak wyposażone jak O'Hare czy LAX, nie ma barów, kiosków z gazetami ani transporterów bagażowych, ale ma za to długie pasy startowe.

- Czy załoga leara jest w pogotowiu?
- Oczywiście. Wystartują z McCarran jeszcze przed pierwszą.
- Wspaniale. Poproszę któregoś z tych wyszczerzonych żandarmów, żeby mnie podwiózł na lotnisko.
- Kogo?
- Jednego z tych szarmanckich policjantów – odparł Roy.

Był znów w dobrym humorze.

- Nie jestem pewny, czy szyfrator nie zniekształca tego, co mówisz.
- Jednego z mormońskich szeryfów.

Hyckman albo złapał sens, albo doszedł do wniosku, że nie warto się zastanawiać. W każdym razie powiedział:

– Będą musieli przedtem opracować plan lotu. Dokąd chcesz polecieć z Cedar City?

– Do Denver – odparł Roy.

Ellie zasypiała, budziła się i znowu zasypiała, skulona na ostatnim siedzeniu kabiny helikoptera. W ciągu czternastu miesięcy ucieczki nauczyła się zapominać o strachu i zmartwieniach i spać, gdy tylko miała możliwość.

Krótko po przebudzeniu, kiedy jeszcze ziewała i przeciągała się, wrócił Spencer po dłuższym pobycie w kabinie pilotów i usiadł po drugiej stronie przejścia. Rocky zwinął się w kłębek u jego stóp.

– Mam dobre wiadomości – oznajmił Spencer. – Chłopcy twierdzą, że helikopter, którym lecimy, jest udoskonalony, ponieważ ma podrasowane silniki, pozwalające na przenoszenie ciężkich ładunków, a co za tym idzie dodatkowych zbiorników paliwa. W rezultacie ma znacznie większy zasięg niż model standardowy. Powiedzieli, że starczy nam paliwa, żeby przekroczyć granicę i – jeśli będziemy chcieli – polecieć jeszcze dalej, aż za Grand Junction.

– Im dalej, tym lepiej – odparła. – Ale nie do Grand Junction ani nigdzie w pobliże. Nie chcemy być widziani przez tłum ciekawskich. Lepiej trochę dalej, lecz nie na tyle, żebyśmy mieli kłopoty ze zdobyciem czterech kótek.

– Nie dolecimy w okolicę Grand Junction wcześniej niż na pół godziny przed zmierzchem. W tej chwili jest zaledwie dziesięć po drugiej. Po trzeciej – biorąc pod uwagę inną strefę czasową. Mamy aż nadto czasu, żeby obejrzeć mapę i zastanowić się nad miejscem lądowania.

Wskazała na płócienny worek, leżący na pobliskim siedzeniu.

– Jeśli chodzi o twoje pięćdziesiąt tysięcy dolarów...

Podniósł rękę, żeby nie kontynuowała.

– Byłem jedynie zdziwiony, że je znalazłaś. Miałaś wszelkie prawo i powody, żeby przeszukać bagaż po znalezieniu mnie na pustyni. Nie wiedziałaś, z jakiego powodu, do diabła, ja cię śledziłem. Nie byłbym zdziwiony, gdybyś nadal nie wiedziała.

– Zawsze nosisz przy sobie takie drobne?

– Mniej więcej półtora roku temu zacząłem umieszczać gotówkę i złote monety w sejfach depozytowych w Kalifornii, Nevadzie i w Arizonie. Otworzyłem również w wielu miastach rachunki oszczędnościowe na różne nazwiska i numery kart ubezpieczeń społecznych. Całą resztę wyprowadziłem za granicę.

– Dlaczego?

– Żeby móc szybko się wynieść.

– Przypuszczałeś, że będziesz ścigany tak jak teraz?

– Nie. Nie podobało mi się to, z czym się zetknąłem, pracując w wydziale zwalczania przestępstw komputerowych. Nauczyli mnie tam wszystkiego o komputerach, łącznie z dewizą, że dostęp do informacji jest podstawą wolności. Natomiast ich praca polegała na ograniczaniu tego dostępu, gdzie tylko się dało, i to na możliwie największą skalę.

– Zawsze myślałam, że celem waszego działania jest wyłapywanie hakerów, którzy dokonywali kradzieży i niszczyli banki danych.

– Ja też tak myślałem. Natomiast oni chcieli mieć kontrolę nad wszystkimi. Dzisiejsze władze gwałcą prawo do prywatności, myszkując otwarcie lub potajemnie w bankach danych. Wszystkie – od Federalnego Biura Podatkowego po Urząd Imigracyjny. Na miłość boską – nawet po Biuro Zarządu Terenami. Wszystkie zasilają znacznymi sumami ów okręgowy wydział nadużyć. Czuję dreszcz, jak o tym myślę.

- Zorientowałeś się, że nadciąga nowy świat...
- ...nieuchronnie, jak pociąg towarowy...
- ...który ci się nie podoba...
- ...nie chcę być jego częścią.
- Czy uważasz się za hakera, kryminalistę komputerowego?
- Nie. Za ocalałego.
- Czy dlatego usunąłeś swój ślad ze wszystkich publicznych rejestrów – żeby zapewnić sobie szansę przeżycia?

Spochmurniał i twarz mu pociemniała. Był wymizerowany, co było zrozumiałe, biorąc pod uwagę przejścia kilku ostatnich dni. Ale teraz oczy mu się zapadły i sposepniał. Wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości.

– Z początku byłem zdecydowany... po prostu wyjechać. – Westchnął i przetarł dłonią twarz. – Może to, co powiem, zabrzmi dziwnie, ale zmiana nazwiska z Michael Ackblom na Spencer Grant nie wystarczyła. Wyprowadzenie się z Kolorado, rozpoczęcie życia od nowa – wszystko to nie wystarczyło. Nie mogłem zapomnieć o tym, kim byłem... czym byłem synem. Wtedy postanowiłem zniknąć, zatrzeć za sobą wszystkie ślady – cierpliwie, metodycznie, żeby nie został żaden znak, że w ogóle istnieję. Moja wiedza o komputerach to umożliwiła.

- A co potem? Kiedy już zniknąłeś?
- Tego nie wiedziałem. Co potem? Czy rzeczywiście zniknąć? Popęnić samobójstwo?
- To nie w twoim stylu. – Serce w niej zamarto na tę myśl.
- Masz rację – zgodził się. – To niepodobne do mnie. Nigdy nie myślałem o włożeniu sobie lufy w usta i pociągnięciu za spust. Poza tym mam zobowiązania wobec Rocky'ego.

Rozpłaszczony na podłodze Rocky pomachał ogonem na dźwięk swojego imienia.

– Po jakimś czasie – ciągnął Spencer – mimo że nadal nie wiedziałem, co z sobą zrobić, pomyślałem, że pozostawanie niewidzialnym ma swoje zalety. Ze względu na nadciągający – jak to sama określiłaś – nowy, stechniczowany świat, ze wszystkimi jego dobrodziejstwami... i przekleństwami.

– Dlaczego usunąłeś tylko część swoich danych w rejestrach w DMV i w wojsku? Mogłeś już dawno temu wymazać je całkowicie.

Uśmiechnął się.

– Byłem sprytniejszy. Pomyślałem sobie, że jeśli zmienię w nich swój adres i kilka szczegółów, staną się dla wszystkich bezużyteczne. Zostawiając je na miejscu, mogłem zawsze do nich wrócić i sprawdzić, czy ktoś mnie nie poszukuje.

- Zrobiłeś z nich pułapkę?
- Coś w tym rodzaju. Wprowadziłem do tych komputerów drobne, dobrze zakamuflowane programy. Za każdym razem, kiedy ktokolwiek sięgał po moje nazwisko w komputerach DMV albo wojskowych bez użycia specjalnego kodu, system dodawał jedną gwiazdkę na końcu ostatniego słowa moich danych. Postanowiłem raz lub dwa razy w tygodniu sprawdzać, czy ktoś mnie nie poszukuje... i czy nie czas porzucić chatę w Malibu i wyjechać.

- Wyjechać? Dokąd?
- Gdziekolwiek. Po prostu wyjechać i przenosić się z miejsca na miejsce.
- Jesteś pomyłony.
- Jak cholera.

Oboje się roześmieli.

– Zanim opuściłem wydział zwalczania przestępstw komputerowych, wiedziałem już, że rzeczywistość się zmienia i że każdy obywatel wcześniej czy później będzie inwigilowany, a większość ludzi chce zachować prywatność.

Ellie spojrzała na zegarek.

– Chyba powinniśmy popatrzeć na mapę.

– Mają ich tam mnóstwo – powiedział.

Patrzyła, jak idzie do kabiny pilotów. Opuścił ramiona, poruszał się ostrożnie i trochę sztywno. Widać było po nim ślady ostatnich przejść.

Nagle doznała uczucia, że on nie ma zamiaru dalej walczyć, że ma zamiar umrzeć gdzieś w ciągu nadchodzącej nocy. Wrażenie nie było wystarczająco silne, żeby ją przestraszyć, niemniej przejęło ją chłodem.

Obawa, że go utraci, uświadomiła jej, że troszczy się o niego bardziej, niż przypuszczała.

Wracając z mapą w ręku, zapytał:

– Co się stało?

– Nic. Czemu pytasz?

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Po prostu jestem zmęczona – skłamała. – I głodna.

– Z tym ostatnim damy sobie radę. – Usiadł po drugiej stronie przejścia i z kieszeni oblamowanej barankiem kurtki drelichowej wyciągnął cztery słodkie batony.

– Skąd je masz?

– Chłopcy z przodu mają pudełko z przekąskami. Chętnie się z nami podzielili. Mają naprawdę dobre serca.

– Zwłaszcza gdy im się przyłoży pistolet do skroni.

– Zwłaszcza wtedy – przyznał.

Rocky podniósł się, kiedy zwęszył batony, i postawił z zainteresowaniem zdrowe ucho.

– Nasze – powiedział zdecydowanie Spencer. – Kiedy wylądujemy i będziemy znów w drodze, zatrzymamy się gdzieś i kupimy ci coś zdrowszego.

Pies obliznął się.

– Słuchaj, kolego, ja nie zatrzymywałem się w supermarkecie, żeby – tak jak ty – obżerać się na pobojuwisku. Potrzebny mi każdy kęs, bo inaczej padnę na twarz. Połóż się i nie myśl o jedzeniu, dobrze?

Rocky ziewnął, obejrzał się dookoła, udając obojętność, i ułożył się z powrotem na podłodze.

– Świetnie dochodzicie do porozumienia – zauważyła.

– Jesteśmy bliźniętami syjamskimi, rozdzielonymi po urodzeniu. Naturalnie, nie mogłaś się tego domyślić, bo on przeszedł mnóstwo operacji plastycznych.

Nie mogła powstrzymać się od patrzenia na niego. W jego twarzy dostrzegła nie tylko zmęczenie. Rysował się na niej cień śmierci.

Spencer wyczuł jej nastrój.

– Co ci jest? – zapytał.

– Dziękuję za baton.

– Przyniósłbym ci filet mignon, gdyby go mieli.

Rozwinął mapę. Trzymali ją rozpostartą między siedzeniami, przyglądając się okolicy Grand Junction w Kolorado.

Dwukrotnie spojrzała na niego i za każdym razem jej serce zaczynało bić mocniej ze strachu.

Wydawało jej się, że pod skórą głowy dostrzega wyraźnie jego czaszkę – atrybut śmierci.

Czuła się nijaka, ogłupiała, przesądna – podobna do niemądrego dziecka. Złowróżbne znaki i przecucia zbliżającego się nieszczęścia można wytłumaczyć na różne sposoby. Ale od Święta Dziękczynienia, kiedy Danny i jej rodzice zostali jej odebrani na zawsze, podobne obawy miały już ją trapić za każdym razem, gdy przekraczała granicę dzielącą zwykłą troskę o kogoś od miłości.

Roy wylądował na pokładzie learjeta, na lotnisku Stapleton International w Denver, po dwudziestu pięciu minutach krążenia nad lotniskiem. Jeszcze w czasie lotu zażądał, w zakodowanej rozmowie telefonicznej z miejscowym biurem organizacji, oddania mu do dyspozycji dwóch agentów. Obaj – Burt Rink i Oliver Fordyce – czekali już na niego w zatoczce parkingowej, ku której po wylądowaniu kołował lear. Byli po trzydziestce, mieli na sobie czarne płaszcze, ciemnoniebieskie ubrania, białe koszule z ciemnymi krawatami, a na nogach czarne oxfordy z gumowymi, a nie skórzanymi podszewkami. Wszystko to było zgodne ze specjalnymi żądaniami Roya.

Rink i Fordyce mieli z sobą identyczną garderobę i buty dla Roya. Jeszcze w czasie lotu ogolił się i wziął prysznic, i teraz musiał się tylko przebrać, a następnie przesiąść do czarnego, przedłużanego chryslera, który czekał u podnóża przenośnych schodków.

Dzień był przejmująco zimny. Niebo wyglądało jak nieskończenie głębokie, arktyczne morze. Wzdłuż krawędzi dachów zwisały lodowe sople, a na końcach pasów startowych piętrzyły się zwały śniegu.

Lotnisko Stapleton było położone na północno-wschodnim skraju miasta, a ich umówione spotkanie z doktor Sabriną Palmą miało się odbyć poza jego południowo-zachodnim obrzeżem. Roy mógł zażądać eskorty policyjnej, ale nie chciał, żeby zwrócono na nich uwagę.

– Spotkanie mamy o czwartej trzydzieści – powiedział Fordyce, kiedy wraz z Rinkiem wsiedli do limuzyny, zwróceniu twarzą w stronę tylnej szyby. Roy usiadł na przeciwległym siedzeniu, twarzą do przodu. – Zdążymy na czas, nawet będziemy kilka minut wcześniej.

Kierowca został poinstruowany, żeby nie tracić czasu. Pojechali tak szybko, jak gdyby mieli eskortę.

Rink podał Royowi białą kopertę formatu dziewięć na dwanaście cali.

– Tu są wszystkie dokumenty, których pan zażądał.

– Macie przy sobie legitymacje Secret Service? – spytał Roy.

Rink i Fordyce wyjęli z kieszeni płaszczy portfele i otwarli je, ukazując holograficzne legitymacje i autentyczne odznaki Secret Service. Rink według papierów nazywał się Sidney Eugene Tarkenton, a Fordyce – Lawrence Albert Olmeyer.

Roy wyciągnął z koperty legitymację i odznakę dla siebie. Była wystawiona na nazwisko J. Robert Cotter.

– Zapamiętajmy wszyscy te nazwiska i używajmy ich, zwracając się jeden do drugiego – powiedział Roy – chociaż nie oczekuję od was, żebyście coś mówili. Ja sam przeprowadzę całą rozmowę. Jesteście tu przede wszystkim po to, żeby stworzyć wrażenie wiarygodności. Wejdziecie do biura doktor Palmy za mną i ustawicie się po lewej i prawej stronie drzwi wejściowych. Staniecie w rozkroku, ze stopami rozstawionymi na jakieś osiemnaście cali, z rękami opuszczonymi z przodu i dłońmi założonymi jedna na drugiej. Kiedy będę was przedstawiał, odezwiecie się: „Pani doktor...” i skiniecie głowami albo powiecie: „Miło mi panią poznać” i również skiniecie głowami. Cały czas stoicie wyprostowani, twarze bez wyrazu jak u wartowników przy Buckingham Palace. Spojrzenie skierowane przed siebie. Prezentujecie kamienny spokój. Jeżeli zostanieie poproszeni, żeby usiąść, odpowiecie uprzejmie: „Nie, dziękuję”. Wiem, że to jest śmiechu warte, ale ludzie oglądający filmy wiedzą, że tak się zachowują agenci Secret

Service, więc jakiegokolwiek odstępstwo od takiego zachowania wzbudzi podejrzenia. Zrozumiałeś, Sidney?

– Tak, sir.

– Zrozumiałeś, Lawrence?

– Wolałbym: Larry – powiedział Oliver Fordyce.

– Zrozumiałeś, Larry?

– Tak, sir.

– To dobrze.

Roy wyjął z koperty inne dokumenty, przejrzał je i wydawał się zadowolony.

Podejmował duże ryzyko, jedno z największych w swojej karierze, ale był spokojny. Nie wysłał nawet ludzi do Salt Lake City ani do żadnej miejscowości na północ od Cedar City, gdyż był pewny, że ten kierunek ucieczki zbiegów stanowił zmyłkę. Po zniknięciu z monitorów radarów z całą pewnością natychmiast zmienili kurs. Wątpił, żeby polecieci na zachód, z powrotem do Nevady, gdyż ten słabo zaludniony stan nie gwarantował dobrego schronienia. Zostawało południe i wschód. Po dwóch tortillach z informacjami od Gary’ego Duvalla Roy przebiegł myślami wszystko, co wiedział o Grancie, i był niemal pewny, że odgadł, dokąd polecieci. Na wschód-północny wschód. Co więcej – wiedział dokładnie, jaka będzie trajektoria lotu Granta; potrafiłby nakreślić ją ściślej niż trajektorię lotu pocisku karabinowego. Roy był spokojny nie tylko dlatego, że miał zaufanie do swego myślenia dedukcyjnego, ale również dlatego, że w tym szczególnym przypadku był pewny, że idzie ręką w rękę z przeznaczeniem.

– Mam nadzieję, że oddział, o który prosiłem dzisiaj rano, jest już w drodze do Vail – powiedział.

– Dwunastu ludzi – odparł Fordyce.

Rink spojrział na zegarek i powiedział:

– W tej chwili powinni spotykać się już z Duvallem.

Michael Ackblom, alias Spencer Grant, przez szesnaście lat powstrzymywał głęboko ukrytą chęć powrotu do tego miejsca, tłumiąc w sobie tę potrzebę, opierając się magnetycznej sile przeszłości. Podświadomie wiedział jednak, że wcześniej czy później pojedzie odwiedzić owo mauzoleum duchów. Dlatego nie sprzedał posiadłości, mimo że mógł w ten sposób pozbyć się namacalnego dowodu istnienia przeszłości, zapominając o niej w podobny sposób, jak to uczynił ze swoim poprzednim nazwiskiem, którego się pozbył, zamieniając je na nowe. Nie sprzedał jej dla tego samego powodu, dla którego nigdy nie poddał się operacji plastycznej w celu zmniejszenia blizny na twarzy. „On w ten sposób karze sam siebie – powiedział o jego bliźnie doktor Nero Mondello, siedząc w swoim przesyconym bielą gabinecie w Beverly Hills. – Blizna przypomina mu o czymś, o czym chciałby zapomnieć, ale czuje się w obowiązku pamiętać”. Póki Grant mieszkał w Kalifornii i prowadził ustabilizowane, pozbawione stresów życie, mógł bez końca opierać się zewowi miejsca zbrodni w dalekim Kolorado. Ale teraz był w trakcie szarpiącej nerwy ucieczki, tak blisko rodzinnego domu, że syrenia pieśń przeszłości mogła okazać się nieodparta. Roy był gotów założyć się o wszystko, że syn seryjnego mordercy wróci do serca koszmaru, z którego cała krew zdążyła już wyciec.

Spencer Grant miał do załatwienia sprawę na farmie koło Vail, ale wiedziały o tym tylko dwie osoby na świecie.

Zza przyciemnianych szyb limuzyny nowoczesne miasto Denver wyglądało w szybko zapadającym zimowym zmierzchu na zadymione, o nieregularnie zarysowanych krawędziach, podobne do starożytnych ruin porośniętych bluszczem i mchem.

Jetranger wylądował na zachód od Grand Junction, w obrębie Parku Narodowego Kolorado,

w wyerodowanym zagłębieniu między formacją czerwonych skał a grupą niskich wzgórz, porośniętych jałowcami i sosnami, wzniesając chmurę suchego śniegu, pokrywającego półcalową warstwę ziemi.

O sto stóp dalej, na zielono-czarnym tle drzew, parkował biały ford bronco. Przy otwartych tylnych drzwiach wozu stał, przyglądając się helikopterowi, mężczyzna w zielonym stroju narciarskim.

Spencer został przy załodze, podczas gdy Ellie poszła porozmawiać z mężczyzną przy samochodzie. Kiedy umilkł hałas silnika, w otoczonej skałami i lasem dolince zaległa cisza jak w opustoszałej katedrze. Słyszała tylko chrzęst własnych butów na zamrożonym podłożu.

Podchodząc do bronco, zobaczyła na nim trójnog z aparatem fotograficznym. Dalsza część sprzętu porozkładana była przy otwartych tylnych drzwiach samochodu.

Brodaty fotograf był wściekły. Wypuszczał z nosa kłęby pary, jak gdyby miał lada moment wybuchnąć.

– Popsuliście mi ujęcie. To pasmo dziewiczego śniegu, wijące się wzwyż aż do spiętrzonych, płomiennych skał. Taki kontrast, taki dramatyzm. I to wszystko zostało zeszepeczone.

Spojrzała na skały za helikopterem. Nadal płonęły jak witraż, czerwone w świetle zachodzącego słońca, i nadal były spiętrzone. Ale miał rację co do śniegu: nie był już dziewiczy.

– Przepraszamy.

– Przeprasiny niczego nie naprawią.

Przyjrzała się śniegowi w pobliżu bronco. Widniały na nim tylko ślady butów fotografa. Był sam.

– Co wy tu, do diabła, w ogóle robicie? – dopytywał się fotograf. – Tu obowiązuje cisza. Jesteście w strefie ochrony przyrody.

– Wobec tego bądź grzeczny i ochroń sam siebie – powiedziała, wyjmując spod swojej skórzanej kurtki pistolet Sig.

Na pokładzie jetranger'a Spencer powycinał z tapicerki długie pasy skóry, którymi przywiązał przeguby dłoni trzech mężczyzn do ramion foteli w kabinie pasażerskiej, w których kazał im usiąść. Ellie stała z boku, trzymając w ręku również jego miniaturowe uzi.

– Nie zaknebluję was – powiedział im. – I tak nikt was nie usłyszy.

– Zamarzniemy na śmierć – denerwował się pilot.

– Wyszwoobodzicie się najdalej za pół godziny. Potem macie nie więcej niż czterdzieści pięć minut marszu do szosy, nad którą przelatywaliśmy. Nie zdążycie zamarznąć.

– Na wszelki wypadek – dodała Ellie – będąc w mieście, zadzwonimy na policję i powiemy im, gdzie was szukać.

Zapadał zmierzch. Na ciemnej purpurze wschodniej strony nieba zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy.

Spencer prowadził. Z tyłu w przestrzeni ładunkowej, tuż za oparciem fotela Ellie siedział Rocky, dysząc jej prosto w ucho. Terenową drogę, prowadzącą do szosy, odnajdywali bez trudu dzięki śladom na śniegu, pozostawionym wcześniej przez wspinający się ku owej malowniczej dolinie samochód fotografa.

– Dlaczego powiedziałaś im, że zadzwonimy na policję? – spytał Spencer.

– Chciałbyś, żeby zamarzli?

– Myślę, że nie ma takiej obawy.

– Lepiej nie ryzykować.

– Tak, ale w dzisiejszych czasach istnieje prawdopodobieństwo – nie pewność, ale przynajmniej prawdopodobieństwo – że policja ma identyfikator numerów aparatów, z których łączą się z nią rozmówcy. Nakręcenie dziewięć-zero-zero nie zapewnia już anonimowości dzwoniącemu. Grand

Junction jest małym miastem, o niewielkiej przestępczości, nie wymagającym dużych pieniędzy na walkę z nią – może więc wydawać je na fantazyjne systemy łączności z wszystkimi ich dzwonekami i gwizdkami. Zatelefonujesz do nich, a oni od razu się zorientują – z ekranu nad głową operatora – skąd dzwoniisz. A potem będą już wiedzieli, w którym kierunku wyjechaliśmy z Grand Junction.

– Owszem, ale nie ułatwimy im tak dalece całej sprawy – powiedziała i wyjaśniła mu, co ma na myśli.

– To mi się podoba – pochwalił.

Więzienie w Rocky Mountain dla psychicznie chorych skazańców zostało wybudowane w czasie wielkiego kryzysu pod patronatem administracji robót publicznych i wyglądało na równie solidne i imponujące jak otaczające je góry. Był to przysadzisty budynek o niejednorodnej architekturze, z małymi, głęboko osadzonymi okienkami, zakratowanymi nawet w części administracyjnej. Ściany były wyłożone szarym granitem. Nadproża, stołki podokienne, obramowania drzwi i okien, klince i rzeźbione gzymsy były z ciemniejszego granitu. Budynek miał poddasze, przykryte dwuspadowym dachem z czarnego łupku. Sprawiał przygnębiające i złowieszcze wrażenie. Przypominał żywego stwora, wysiadującego wysoko na górkim zboczu swoje potomstwo. Żółte światła w jego okienkach wyglądały na tle popołudniowych cieni, rzucanych przez strome zbocza, jak wyjścia z głębiej położonych lochów, zamieszkałych przez demona gór.

Podjeżdżając pod więzienie, a następnie idąc korytarzami do biura doktor Palmy, Roy myślał ze współczuciem o biednych ludziach uwięzionych w tej przymie kamieni. Współczuł także strażnikom więziennym, którzy również cierpieli, zmuszeni spędzać życie w takich warunkach. Gdyby mu pozwolono – uszczelniliby wszystkie okna i wywietrzniki, gromadząc wewnątrz wszystkich więźniów i dozorców, i uwolniłby ich od ponurego losu, wpuszczając do środka łagodnie działający śmiercionośny gaz.

Pokój recepcyjny i biuro doktor Sabriny Palmy były tak gustownie i luksusowo umeblowane, że – tworząc zbyt duży kontrast z resztą budynku – wydawały się nie na miejscu. Mogły stanowić komfortowe studio w Nowym Jorku albo luksusowy apartament w nadmorskiej rezydencji w Palm Beach. Fotele i sofy, wyściełane jedwabiem w kolorze złota i platyny, były dziełem J. Roberta Scotta. Stoły, ramiy luster i krzesła – wyrzeźbione z różnorodnego, egzotycznego drewna o fascynujących liniach słołów, wytrawianego lub pobielanego – również pochodziły od niego. Gruby dywan z uwypuklonym beżowym wzorem na beżowym tle mógł być od Edwarda Fieldsa. W samym środku biura stało solidne biurko w kształcie sierpa księżycy, firmy Monteverde & Young, musiało kosztować przynajmniej czterdzieści tysięcy dolarów.

Roy nie widział jeszcze biura urzędnika państwowego, urządzonego z podobnym przepychem jak te dwa pomieszczenia – nawet w kręgach najwyższych dostojników państwowych w Waszyngtonie. Natychmiast się zorientował, że ma w ręku broń, którą może zagrozić doktor Palmie, jeśli będzie stawiała jakiegokolwiek przeszkody.

Sabrina Palma była dyrektorem personelu medycznego więzienia. Ponieważ szpital mieścił się w granicach więzienia, miała na równi ze strażnikami dostęp do wszystkich pomieszczeń. Ona sama była równie imponująca jak jej gabinet. Miała kruczoczarne włosy, zielone oczy, skórę jasną i gładką jak kałuża mleka. Około czterdziestki, wysoka, smukła, ale przy tym kształtna. Miała na sobie kostium z czarnej wełny i białą jedwabną bluzkę.

Roy przedstawił najpierw siebie, a potem swoich towarzyszy:

– Agent Olmeyer...

– Miło mi panią poznać, pani doktor.

– ...i agent Tarkenton.

– Pani doktor...

Poprosiła, żeby wszyscy usiedli.

– Nie, dziękuję – powiedział Olmeyer i zajął pozycję z prawej strony drzwi, łączących biuro wewnętrzne z pokojem recepcyjnym.

– Nie, dziękuję – powtórzył Tarkenton i zajął pozycję z lewej strony tych samych drzwi.

Roy podszedł do jednego z trzech wytwornych foteli, stojących przed biurkiem doktor Palmy, podczas gdy ona okrążała je, żeby spocząć na swoim pluszowym tronie. Usiadła w rozproszonym bursztynowym świetle, w którym jej biała skóra wydawała się jaśnieć wewnętrznym żarem.

– Przybyłem tu w sprawie najwyższej wagi – zaczął Roy tonem tak pojednawczym, na jaki mógł się zdobyć. – Mamy podstawy przypuszczać – a właściwie jesteśmy pewni – że syn jednego z pani pacjentów ma zamiar zabić prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Słyszając nazwisko potencjalnego mordercy, a potem nazwisko jego ojca, Sabrina Palma podniosła ze zdumieniem brwi. Przeczytawszy dokumenty, które Roy wyjął z białej koperty, i dowiedziawszy się, czego od niej oczekuje, przeprosiła go i przeszła do pokoju recepcyjnego, żeby przeprowadzić kilka pilnych rozmów telefonicznych.

Roy czekał cierpliwie w swoim fotelu.

Za trzema wąskimi oknami widać było w dużym oddaleniu migoczące światła Denver.

Spojrzał na zegarek. Duvall wraz ze swoimi dwunastoma ludźmi powinien o tej porze znajdować się już w kryjówkach w odległym rejonie Rocky Mountain. Mieli być gotowi, na wypadek gdyby podróżni przybyli wcześniej, niż się spodziewano.

Nim dojechali na skraj Grand Junction, mroki zmierzchu ustąpiły już pełnej nocy.

Liczące zaledwie trzydzieści pięć tysięcy mieszkańców miasto było jednak na tyle duże, że mogło w znacznym stopniu opóźnić ich ucieczkę. Za pomocą małej latarki, posługując się zabraną helikoptera mapą, Ellie znalazła najprostszą trasę.

Po przejechaniu dwóch trzecich drogi przez miasto zatrzymali się koło kompleksu kin, żeby postarać się o nowy samochód. Seanse filmowe były w pełnym toku: żaden nie zaczynał się ani nie kończył, gdyż przy wejściu nie kręcili się kinomani. Rozległy parking był pełen samochodów, ale wyludniony.

– Weź explorera albo dzipa, jeżeli ci się uda – powiedziała, kiedy wysiadał z bronco, wpuszczając do środka strumień zimnego powietrza. – Albo coś podobnego. One są praktyczniejsze.

– Złodzieje nie mogą wybierać – odparł.

– Powinni. – Przesiadła się na jego miejsce za kierownicą. – Jeśli nie wybierasz, to nie jesteś złodziejem, tylko kolekcjonerem tandety.

Jechała powoli tuż za nim wzdłuż pasażu między dwoma rzędami samochodów, podczas gdy Spencer przechodził od jednego do drugiego, sprawdzając, czy są otwarte. Kiedy znajdował otwarty, zaglądał, czy w stacyjce są kluczyki, a potem czy nie ma ich za klapą przeciwsłoneczną albo pod siedzeniem kierowcy.

Obserwujący go przez boczne okienko bronco Rocky zaskowyczał, wydawało się, że z troską.

– Przyznaję, że to jest niebezpieczne – powiedziała Ellie. – Nie mogę cię okłamywać. Ale nawet w połowie nie tak niebezpieczne jak przebijanie ściany supermarketu, kiedy ściga się helikopter pełen zbirów. Pamiętaj o tym.

Czternastym samochodem, który próbował otworzyć, był duży, czarny pikap chevrolet z przedłużoną kabiną, mającą nie tylko przednie, ale i tylne siedzenia. Spencer usiadł za kierownicą, zatrzasnął

drzwiczki, zapalił silnik i wyjechał tyłem z zatoczki.

Ellie wprowadziła bronco na miejsce tamtego. Przeładowanie broni, worka i psa zajęło im piętnaście sekund. Natychmiast ruszyli w drogę.

Przejeżdżając przez wschodnią część miasta, zaczęli szukać jakiegoś w miarę nowego motelu. W starych na ogół nie można było zainstalować komputera.

Znaleźli jeden, który wyglądał tak, jakby przecięcie wstęgi otwierające jego działalność odbyło się przed kilkoma godzinami. Ellie zostawiła Spencera i psa w samochodzie, a sama poszła do biura, żeby zapytać recepcjonistę, czy w którymś z pokoi można zainstalować modem.

– Muszę do rana złożyć raport w moim biurze w Cleveland – wytłumaczyła.

Okazało się, że odpowiednia instalacja znajduje się we wszystkich pokojach. Używając po raz pierwszy swojej legitymacji na nazwisko Bess Baer, wynajęła dwuosobowy pokój z ogromnym łóżkiem i zapłaciła gotówką.

– Kiedy będziemy mogli ruszyć dalej? – spytał Spencer, gdy zaparkowali przed wejściem do motelu.

– Najpóźniej za czterdzieści pięć minut, a może nawet za pół godziny – obiecała.

– Jesteśmy wprawdzie dość daleko od miejsca, z którego zabraliśmy pikapa, ale myślę, że nie powinniśmy tu zabawić zbyt długo.

– Nie tylko ty tak myślisz.

Nie mogła przestać zerkać co chwila na wystrój pokoju, nawet wtedy kiedy wyjęła z torby laptop Spencera i położyła go na biurku obok wiązki przewodów zakończonych różnymi wtyczkami; zaczynała przygotowywać go do pracy. Cętkowany niebiesko-czarny dywan. Zasłony w niebieskie i żółte pasy. Kapa na łóżko w niebiesko-zieloną szachownicę. Niebiesko-żółto-srebrne tapety w blade, ameboidalne wzory. Desenie pokoju sprawiały wrażenie wojskowego wzoru kamuflującego, rodem z innej planety.

– Zanim się z tym uporasz – powiedział Spencer – wyprowadzę psa. Lada moment wybuchnie.

– Nie wygląda na nieszczęśliwego.

– Cierpiałyby strasznie, gdyby musiał popuścić. – Przy drzwiach odwrócił się i powiedział: – Po drugiej stronie ulicy są bary szybkiej obsługi. Pójdę tam i kupię kanapki i co tam jeszcze będzie, jeśli jesteś głodna.

– Kup dużo – odparła.

Po ich wyjściu Ellie połączyła się z centralnym komputerem AT&T, który był jej znany. Już od lat dzięki ogólnokrajowej sieci połączeń AT&T dostawała się do komputerów regionalnych kompanii telefonicznych w całym kraju, chociaż nigdy dotąd nie wchodziła do systemu stanu Kolorado. Jednak haker, podobnie jak koncertujący pianista lub mistrz olimpijski, odnosi sukcesy dzięki talentowi i treningowi, a ona była niezwykle dobrze przygotowana teoretycznie i doskonale wyćwiczona.

Kiedy Spencer z Rockym wrócili po dwudziestu pięciu minutach, Ellie tkwiła już głęboko w systemie stanu Kolorado, przeglądając niemiłosiernie długą listę numerów automatów telefonicznych z podanymi przy nich adresami uszeregowanymi okręg po okręgu. Zatrzymała się na telefonie przy stacji obsługi samochodów w Montrose, położonym o sześćdziesiąt sześć mil na południe od Grand Junction.

Sterując głównym urządzeniem łączącym rozmowy, zadzwoniła na policję w Grand Junction poprzez automat na stacji obsługi w Montrose. Wywołała numer pogotowia policyjnego, a nie numer komisariatu, żeby mieć pewność, iż na ekranie dyżurującego operatora pokaże się adres automatu.

Ellie zaczęła bez żadnego wstępu:

– Uprowadziliśmy dzisiaj helikopter z Cedar City w Utah... – Dyżurna policjantka próbowała wtrącić

pytania, które umożliwiłyby sporządzenie standardowego raportu, ale Ellie wrzasnęła na nią: – Zamknij się! Powiem tylko raz, więc lepiej słuchaj, bo inaczej zginą ludzie! – Uśmiechnęła się do Spencera, który otwierał na stole torby ze smakowicie pachnącym jedzeniem. – Helikopter stoi na terenie Parku Narodowego Kolorado. Na pokładzie są piloci, nietknięci, ale związani. Jeśli pozostaną tam do rana – zamarną na śmierć. Podam ci miejsce lądowania, ale tylko raz, więc lepiej zapamiętaj je dobrze, jeśli chcesz uratować im życie. – Podała jej zwięzłe informacje i rozłączyła się.

Osiągnęli w ten sposób dwa cele. Trzej mężczyźni w helikopterze zostaną wkrótce uwolnieni. Poza tym policja w Grand Junction myślała, że rozmowa została przeprowadzona z Montrose, położonego sześćdziesiąt sześć mil na południe, co wskazywało, że Ellie i Spencer mieli zamiar uciekać autostradą federalną numer 50 na wschód, w kierunku Pueblo albo dalej na południe, w kierunku Durango, autostradą federalną numer 550. Od tych głównych tras odchodziły liczne drogi stanowe, co sprawiało, że organizacja będzie musiała wysłać za nimi mnóstwo ekip pościgowych. Tymczasem ona, Spencer i Rocky będą spokojnie jechali do Denver autostradą międzystanową numer 70.

Doktor Sabrina Palma stawiała opór, co nie zdziwiło Roya. Zanim przyjechał do więzienia, spodziewał się protestu odwołującego się do argumentów medycznych, politycznych i ochronnych. Jednak w chwili gdy ujrzał jej biuro, wiedział już, że pieniądze będą tu odgrywały znacznie większą rolę niż jakiegokolwiek względy etyczne, na które będzie się powoływała.

– Nie wyobrażam sobie sytuacji związanej z zagrożeniem życia prezydenta, która by wymagała zabrania stąd Ackbloma – powiedziała szorstko. Wróciła do swojego wspaniałego fotela, ale nie była już zrelaksowana, gdyż siedziała na brzeżku z rękami opartymi na księżycowym biurku. Jej wymanikiurowane dłonie biegały nerwowo po księdze więziennej albo bawiły się kryształami Lalique – małymi zwierzątkami i rybkami, leżącymi obok książki. – Jest to człowiek w najwyższym stopniu niebezpieczny, arogancki i krańcowo egoistyczny, który nie będzie z wami współpracował, nawet gdyby rzeczywiście mógł pomóc w schwytaniu syna – chociaż nie wyobrażam sobie, w jaki sposób.

Roy, nadal bardzo uprzejmie, powiedział:

– Z całym szacunkiem, pani doktor, nie jest pani w stanie sobie wyobrazić ani nie mogę pani zdradzić, w jaki sposób chcemy skłonić go do współpracy. Działamy w pilnej sprawie dotyczącej bezpieczeństwa narodowego. Nie wolno mi opowiedzieć pani żadnych szczegółów niezależnie od tego, jak bardzo bym pragnął.

– Ten człowiek to samo zło.

– Wiem. Znam jego przeszłość..

– Nie rozumie mnie pan...

Roy przerwał jej grzecznie, wskazując na jeden z leżących na biurku dokumentów.

– Czytała pani nakaz sądowy, podpisany przez sędziego Sądu Najwyższego stanu Kolorado, przekazujący Stevena Ackbloma na pewien czas pod moją opiekę.

– Tak, ale...

– Przypuszczam, że kiedy pani wyszła z pokoju przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych, jedna z nich dotyczyła potwierdzenia tego podpisu?

– Tak, wszystko w porządku. Złapałam go w biurze i potwierdził osobiście swój podpis.

Była to prawda. Organizacja utrzymywała sędziego.

Mimo to Sabrina Palma nie była usatysfakcjonowana.

– Cóż wasz sędzia może wiedzieć o tym człowieku? Nie miał z nim nigdy do czynienia.

Wskazując na jeszcze jeden leżący na biurku dokument, Roy powiedział:

– Czy wolno mi zakładać, że pani potwierdziła autentyczność listu od mojego szefa? Dzwoniła pani do Waszyngtonu?

– Nie rozmawiałam z samym sekretarzem skarbu.

– On jest bardzo zapracowany. Ale z pewnością był jego asystent...

– Tak – przyznała z niechęcią. – Rozmawiałam z jednym z jego asystentów, który potwierdził prośbę. Podpis sekretarza skarbu został sfalszowany. Jego asystent, jeden z wielu, był sympatykiem organizacji. Bez wątpienia tkwił nadal w biurze, po godzinach urzędowania, żeby być pod telefonem, którego numer Roy podał Sabrinie Palmie, na wypadek gdyby zadzwoniła jeszcze raz.

Wskazując na trzeci leżący na biurku dokument, Roy zapytał:

– A prośba pierwszego zastępcy prokuratora generalnego?

– Dzwoniłam do niego.

– Zdaje mi się, że pani zna osobiście pana Summertona.

– Poznałam go sześć miesięcy temu na konferencji na temat skuteczności zasłaniania się niepoczytalnością i jej wpływu na wyroki sądowe.

– Wierzę, że był przekonujący.

– Owszem. Przepraszam, panie Cotter, ale muszę jeszcze zadzwonić do biura gubernatora, więc poczekajmy, aż...

– Obawiam się, że nie mamy na to czasu. Jak już powiedziałem, zagrożone jest życie prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Ten więzień jest wyjątkowo...

– Doktor Palma – powiedział Roy. Nadal się uśmiechał, ale jego głos nabrał stalowej ostrości. – Nie musi pani się martwić o swoją kurę znoszącą złote jaja. Przysięgam, że wróci do pani w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Jej zielone oczy spoczęły na nim z nienawiścią, ale nie odpowiedziała.

– Nie wiedziałem, że Steven Ackblom nadal malował, po uwięzieniu – dodał Roy.

Doktor Palma obrzuciła szybkim spojrzeniem dwóch agentów przy drzwiach, stojących w sztywnych pozycjach, świadczących niezbitcie o ich przynależności do Secret Service, i zwróciła się do Roya.

– Rzeczywiście, trochę maluje. Dwa – najwyżej trzy obrazy rocznie.

– Które obecnie są warte miliony.

– Tu się nie dzieje nic nieetycznego, panie Cotter.

– Nawet przez myśl by mi nie przeszło – odparł niewinnie Roy.

– Pan Ackblom, działając z własnej woli, bez jakiegokolwiek przymusu, rezygnuje z praw do wszystkich nowych obrazów na rzecz tej instytucji, kiedy już znuży się oglądaniem ich we własnej celi. Zyski z ich sprzedaży w całości dołączane są do naszych funduszków, otrzymywanych od stanu Kolorado. Skutkiem obecnego złego stanu gospodarki władze dają zbyt mało pieniędzy na potrzeby więzień, jak gdyby ich pensjonariusze nie zasługiwali na troskę.

Roy pieszczotliwie, niemal z miłością, przesunął ręką po gładkiej jak szkło, zaokrąglonej krawędzi biurka za czterdzieści tysięcy dolarów.

– Jestem pewny, że bez dochodów ze sztuki Ackbloma wyglądałoby tu raczej ponuro.

Znowu nic nie odpowiedziała.

– Proszę mi zdradzić, pani doktor, czy prócz owych dwóch lub trzech większych obrazów, które Ackblom co roku maluje, żeby mieć jakąś rozrywkę, nie ma jakichś szkiców, rysunków ołówkiem, różnych gryzmołów, które nie są warte zwracania mu głowy, żeby zapisywał je instytucji? Z pewnością

domyśla się pani, o czym mówię: zabawy ołówkiem, wstępne szkice, warte nie więcej niż dziesięć do dwudziestu tysięcy dolarów, które ktoś nieświadomy mógłby zabrać do domu i co najwyżej powiesić w łazience? Albo nawet po prostu spalić razem z innymi śmieciami?

Jej nienawiść do niego była tak silna, że nie zdziwiłby się, gdyby rumieniec, który oblał jej twarz, zapalił ogniem jej śnieżnobiałą skórę.

– Ma pani śliczny zegarek – rzekł, wskazując na piageta na jej szczupłym przegubie. Obrzeże tarczy zegarka było wysadzone brylantami i szmaragdami.

Czwartym dokumentem leżącym na biurku było upoważnienie Roya do przejęcia – na polecenie Sądu Najwyższego Stanu Kolorado – czasowej opieki nad Ackblomem. Roy podpisał je jeszcze w samochodzie. Teraz podpisała je także doktor Palma.

Roy poczuł się zadowolony.

– Czy Ackblom bierze jakieś lekarstwa albo środki uspokajające, które powinniśmy mu podawać?

Znów popatrzyła na niego, ale tym razem w jej oczach nie było gniewu, tylko troska.

– Nie bierze żadnych środków uspokajających. Nie są mu potrzebne. Nie jest psychopatą według żadnej z wielu definicji psychologicznych tego określenia. Panie Cotter, próbuję panu wytłumaczyć, że ten człowiek nie ma żadnych klasycznych symptomów psychozy. Ma osobowość niemożliwą do precyzyjnego zdefiniowania. Możemy nazywać go socjopatą, sądząc po tym, co zrobił – nie zaś po jego zachowaniu. Przechodzi śpiewająco przez wszystkie testy psychologiczne. Jest absolutnie normalny, przystosowany do otoczenia, zrównoważony, nie widać nawet, żeby był znerwicowany...

– To znaczy, że był wzorowym więźniem w ciągu całych szesnastu lat.

– To nic nie znaczy. Próbuję to panu wytłumaczyć. Jestem doktorem medycyny i psychiatrą. Stopniowo, w ciągu wielu lat, straciłam – w rezultacie obserwacji i doświadczeń – wiarę w psychiatrię. Teoria Freuda i Junga to gówno. – Brutalne słowo wypowiedziane przez elegancką kobietę miało piorunujący efekt. – Ich poglądy na temat działania mózgu ludzkiego są bezwartościowe: są próbami usprawiedliwienia samych siebie. Inne teorie wymyślili tylko po to, żeby tłumaczyły ich żądze. Nikt nie wie, jak działa mózg. Kiedy aplikujemy lekarstwo, polepszając tym stan psychiczny pacjenta, wiemy tylko, że poskutkowało, ale nie wiemy dlaczego. Zachowanie Ackbloma nie ma podłoża ani fizjologicznego, ani psychologicznego.

– Nie współczuje mu pani?

Pochyliła się nad biurkiem, patrząc mu uważnie w oczy.

– Panie Cotter, proszę mi uwierzyć, na świecie istnieje zło. Zło, które istnieje irracjonalnie, bez żadnej przyczyny. Zło, które nie bierze się ani z kalectwa, ani ze złego traktowania, ani z braku normalnego życia domowego. Steven Ackblom jest w moim mniemaniu najdoskonalszym przykładem zła. Jest zdrowy, absolutnie zdrowy. Wie dokładnie, jaka jest różnica między dobrem a złem. Robił rzeczy potworne, wiedząc, że są potworne, mimo że nie czuł wewnętrznego przymusu, żeby tak postępować.

– Nie ma pani współczucia dla swojego pacjenta?

– On nie jest moim pacjentem, panie Cotter. On jest moim więźniem.

– Mimo to czy nie zasługuje na odrobinę współczucia człowiek, który upadł z takich wyżyn?

– Jeszcze bardziej zasługuje na kulę w głowę i na pogrzebanie w anonimowym grobie – powiedziała bez ogródek. Straciła cały powab. Wyglądała teraz jak wiedźma: błada z kruczoczarnymi włosami i oczami zielonymi jak u niektórych kotów. – Ponieważ pan Ackblom przyznał się do popełnionych zbrodni i ponieważ najłatwiej było skazać go na pobyt tutaj, podtrzymuje się bajeczkę, że jest chory

psychicznie.

Spośród wszystkich ludzi, których Roy poznał w swoim urozmaiconym życiu, niewielu było takich, których nie lubił, a jeszcze mniej – których nienawdził. Dla niemal wszystkich miał w sercu współczucie, niezależnie od ich różnorodnych wad. Natomiast zdecydowanie pogardzał doktor Sabriną Palmą.

Kiedy znajdzie trochę czasu, wymyśli dla niej taką karę, że w porównaniu z nią to, co sprokurował Harrisowi Descoteaux, będzie się wydawało miłosierdziem.

– Jeśli nie ma pani w sobie współczucia dla Stevena Ackbloma, mordercy tylu kobiet – powiedział, wstając z fotela – powinna pani znaleźć odrobinę dla Stevena Ackbloma, który był dla pani taki hojny.

– On jest zły. – Była bezlitosna. – Nie zasługuje na współczucie. Proszę go wykorzystać, jeżeli to jest konieczne, a potem zwrócić.

– Hm, mam wrażenie, że pani wie coś na temat zła, pani doktor.

– Luksus mojego otoczenia – oznajmiła zimno – bierze się z grzechu, panie Cotter. Wiem o tym i tak czy inaczej za niego zapłacę. Jest jednak różnica między grzechem wypływającym z ludzkiej słabości a grzechem wynikającym z absolutnego zła. Ja ją dostrzegam.

– Jakie to wygodne – powiedział i zaczął zbierać dokumenty z biurka.

Siedzieli na motelowym łóżku, jedząc hamburgery, francuskie frytki i ciasteczka czekoladowe. Rocky jadł z rozdartej, rozłożonej na podłodze torebki.

Dwanaście godzin temu byli jeszcze na pustyni. Teraz poranek należał już do dalekiej przeszłości. Oboje przyzwyczaili się do siebie do tego stopnia, że mogli jeść w milczeniu, delektując się posiłkiem i nie czując przy tym skrępowania.

Pod koniec pospiesznej kolacji zdumiał ją propozycją, żeby po drodze do Denver zatrzymali się na farmie niedaleko Vail. „Zdumiał” okazało się określeniem zbyt łagodnym, gdy dodał, że jest nadal właścicielem tej posiadłości.

– Chyba przeczuwałem, że w końcu będę musiał tam wrócić – wyjaśnił, nie patrząc jej w oczy.

Stracił apetyt i odstawił na bok resztki kolacji. Siedząc na łóżku w pozycji lotosu, oparł złożone dłonie na prawym kolanie, przyglądając im się z takim skupieniem, jakby były co najmniej przedmiotami z zatopionej Atlantydy.

– Z początku – ciągnął – moi dziadkowie nie sprzedawali farmy, gdyż nie chcieli, żeby ktoś ją kupił w celu zrobienia z niej koszmarnej atrakcji turystycznej. Albo wpuszczał do tych podziemnych pomieszczeń ekipy telewizyjne, żeby ciągle wracały do sensacji. Ciały zostały zabrane, pomieszczenia uprzątnięte, ale nadal było to miejsce budzące zainteresowanie mediów. W trakcie mojego leczenia, które trwało rok, psychologowie orzekli, że powinniśmy zachować posiadłość tak długo, aż będę przygotowany, żeby do niej wrócić.

– Ale po co? – zaintrygowała się Ellie. – Po co miałbyś tam wracać?

Przez moment się wahał. Potem odparł:

– Ponieważ część tamtej nocy stanowi dziurę w mojej pamięci. Nigdy nie mogłem sobie przypomnieć, co się działo pod koniec, kiedy strzeliłem do niego...

– Co zrobiłeś? Strzeliłeś do niego, pobiegłeś po pomoc i na tym się skończyło?

– Nie.

– A co?

Potrząsnął głową. Przez cały czas patrzył na swoje ręce. Były bardzo spokojne. Wyglądały jak wyrzeźbione z marmuru.

– Właśnie to chciałbym sobie przypomnieć. Muszę tam wrócić, zejść do podziemi i przypomnieć sobie. Jeśli tego nie zrobię... nigdy nie pogodzę się z sobą... i nigdy nie będę dla ciebie taki, jaki chciałbym być.

– Nie możesz tam wrócić teraz, kiedy ściga cię organizacja.

– Nie będą nas tam szukali. Nie sądzę, żeby wpadli na to, kim byłem. Kim naprawdę jestem. Michaeliem Ackblomem. Nie mogą tego wiedzieć.

– Mogą – powiedziała.

Sięgnęła do płóciennej torby i wyjęła z niej kopertę z fotografiami, znaną na podłodze helikoptera. Pokazała mu je.

– Znaleźli je w pudełku po butach w mojej chacie – domyślił się. – Prawdopodobnie wzięli je dla porównania twarzy. Nie rozpoznalibyś na nich... mojego ojca. Nikt by nie rozpoznał. Przynajmniej nie z tego zdjęcia.

– Nie wiadomo.

– W każdym razie tytuł własności farmy nie opiewa na żadne z nazwisk, które mogliby powiązać ze mną, nawet gdyby sięgnęli do utajnionych akt sądowych i dowiedzieli się, że kiedyś nazywałem się Ackblom. Jestem jej posiadaczem za pośrednictwem zagranicznej korporacji.

– Organizacja dociera wszędzie, Spencer.

Przestał przyglądać się swoim rękom i spojrzał jej w oczy.

– W porządku, wierzę, że są w stanie odkryć to wszystko, jeśli będą mieli na to dość dużo czasu. Z pewnością nie tak prędko. Dlatego lepiej pojechać tam dzisiaj zamiast kiedykolwiek później. Jeśli teraz udamy się prosto do Denver, a potem jeszcze dalej, to kiedy znów trafi mi się taka szansa? Nim będę mógł znów pojechać do Vail, oni zdążą odkryć, że jestem nadal właścicielem farmy. Jeśli tak się stanie, nigdy już nie będę mógł tam wrócić i pozbyć się moich niepewności. Po drodze do Denver będziemy mijali Vail. Jest położone w pobliżu autostrady międzystanowej numer 70.

– Wiem – powiedziała drżącym głosem, przypomniawszy sobie przecucie, które ogarnęło ją, kiedy lecieli helikopterem nad Utah: że on nie dożyje do rana.

– Jeśli nie chcesz, nie musisz tam ze mną jechać. Ale gdybym nawet był absolutnie pewny, że organizacja nigdy nie dowie się o farmie, i tak musiałbym tam wrócić dzisiaj. Ellie, jeśli nie wrócę teraz, kiedy okrzepłem, mogę nigdy więcej nie zgromadzić w sobie dostatecznie dużo odwagi. Pierwsza próba zajęła mi szesnaście lat.

Przez chwilę siedziała, przyglądając się własnym rękom. Potem wstała, podeszła do laptopa, który nadal był połączony z modemem, i włączyła zasilanie.

Podszedł za nią do biurka.

– Co masz zamiar zrobić?

– Jaki jest adres farmy? – spytała.

Był to wiejski adres, bez nazwy ulicy. Podał jej, a potem powtórzył, kiedy o to poprosiła.

– Po co ci ten adres? Do czego chcesz go użyć?

– Jak się nazywa ta zagraniczna kompania?

– Vanishment International.

– Kpisz sobie?

– Nie.

– I ta nazwa – Vanishment International – figuruje teraz na akcie własności?

– Tak. – Spencer przysunął sobie krzesło i usiadł koło niej. Podszedł Rocky, węsząc, czy nie zostało

jeszcze coś do jedzenia. – Ellie, czy możesz mi zdradzić, o co chodzi?

– Chcę się włamać do rejestru posiadłości ziemskich tej kompanii – odparła. – Potrzebna mi mapa parceli. Chcę zdobyć dokładne współrzędne geograficzne tego miejsca.

– Po co nam to potrzebne?

– Na Boga, skoro tam jedziemy, skoro podejmujemy tak wielkie ryzyko, musimy być uzbrojeni, jak tylko się da. – Mówiła bardziej do siebie niż do niego. – Musimy być przygotowani na wszystko.

– O czym ty mówisz?

– To zbyt skomplikowane. Powiem ci później. Teraz potrzebuję trochę ciszy.

Jej ręce biegały po klawiaturze jak zaczarowane. Spencer obserwował na ekranie, jak Ellie przeniosła się z Grand Junction do komputera sądu w Vail i zaczęła systematycznie, karta po karcie, przeglądać okręgową bazę danych.

Sławny, a zarazem okryty niesławą Steven Ackblom siedział obok Roya na tylnym siedzeniu limuzyny, mając skute ręce i nogi. Był ubrany w nieco na niego za duży komplet garderoby, dostarczony przez organizację, i w taki sam płaszcz jak jego towarzysze podróży.

Artysta miał pięćdziesiąt trzy lata, ale wyglądał niewiele starszej niż wówczas, gdy jego zdjęcia figurowały na tytułowych stronach gazet, a łowcy sensacji nazywali go Wampirem z Vail, Górskim Świrem albo Michałem-Szajbą-Aniołem. Poza drobnym śladem siwizny na skroniach włosy miał nadal czarne, lśniące i gęste. Jego przystojna twarz była gładka i młodzieńcza. Miękkie linie uśmiechu, rozpoczynające się przy nozdrzach, zakrzywiały się koło ust, a z kącików oczu wybiegały wachlarze delikatnych zmarszczek. Żadna z tych cech go nie postarzała. Co więcej, sprawiały wrażenie, że nie miał w życiu zmartwień, za to wiele okazji do radości.

Tak samo jak na fotografii, którą Roy znalazł w chacie w Malibu, i na wszystkich zdjęciach opublikowanych przed szesnastu laty przez gazety i magazyny – najbardziej imponującym szczegółem twarzy Stevena Ackbloma były jego oczy. Natomiast sama twarz nie miała już ani śladu arogancji, którą można było zauważyć nawet na niezbyt wyraźnych zdjęciach prasowych. Jej miejsce zajęła spokojna pewność siebie. Podobnie i wyraz groźby, który każdy znający jego czyny mógł wyczytać z jego twarzy na fotografiach, nie istniał w rzeczywistości. Spojrzenie miał proste i czyste, nie budzące strachu. Roy był przyjemnie zaskoczony niezwykle łagodnością oczu Ackbloma i wycierającą z nich empatią, z której można było wnioskować, że był człowiekiem o głębokiej mądrości, pełnym zrozumienia ludzkiej doli.

Nawet w skąpym oświetleniu wnętrza limuzyny, pochodzącym od światełek pod siedzeniami i kinkietów na słupkach drzwiowych, Ackblom wyglądał na kogoś, z kim należało się liczyć – chociaż w innym sensie, niż dowodziła tego żadna sensacja prasa. Na ogół się nie odzywał, ale jego małowówność nie brała się z braku tematu do rozmowy ani z myślowego oderwania od rzeczywistości. Przeciwnie: jego milczenie znaczyło więcej niż czyjeś porywy krasomówstwa, przez cały czas był skupiony i uważny. Ruszał się niewiele, nie wykazując zdenerwowania. Kiedy z rzadka popierał swoje słowa gestem, ruch jego skutych rąk był tak płynny, że łańcuszek łączący kajdanki nawet nie dźwięczał. Jego nieruchomość wynikała z odprężenia, a nie napięcia wewnętrznego; spokojnej siły, nie słabości. Nie można było, przebywając w jego towarzystwie, nie uświadomić sobie jego olbrzymiej inteligencji. Emanowała, jak gdyby jego mózg był przepotężną maszyną zdolną do poruszania wszechświatem.

W ciągu trzydziestu dwóch lat swojego życia Roy Miro spotkał tylko dwie osoby, których fizyczna obecność wywoływała w nim coś na kształt miłości. Pierwszą była Eve Marie Jammer. Drugą – Steven Ackblom. Obie spotkał w odstępach kilku dni. Ów szczególnie luty zapisał najpiękniejszą kartę w jego życiu. Siedział u boku Stevena Ackbloma, oczarowany nim. Rozpaczliwie pragnął, żeby artysta zdał

sobie sprawę, że on, Roy Miro, był osobą o głębokiej wnikliwości i wyjątkowych talentach.

Rink i Fordyce (Olmeyer i Tarkenton przestali istnieć z chwilą wyjścia z biura doktor Palmy) nie byli tak oczarowani Ackblomem jak Roy, co więcej – w ogóle nie byli nim oczarowani. Siedzieli na fotelach zwróconych tyłem do kierunku jazdy i nie interesowali się tym, co artysta miał do powiedzenia. Fordyce miał przeważnie zamknięte oczy, jak gdyby medytował. Rink wyglądał przez okno, chociaż przez mocno przyciemnione szyby nie było nic widać. W rzadkich przypadkach, kiedy gest Ackbloma wywoływał cichy dźwięk kajdanek, albo w jeszcze rzadszych, gdy poruszenie nogami powodowało brzęk łańcucha spinającego kostki, oczy Fordyce'a otwierały się jak u lalki, a głowa Rinka mechanicznie odwracała się od niewidzianego świata zewnętrznego w stronę artysty.

Roy czuł się przygnębiony tym, że Rink i Fordyce wydawali się mieć o Ackblomie opinię wyrobioną na podstawie bzdur podawanych przez media, nie korygując jej na podstawie własnych obserwacji. Ich tępota nie była żadnym zaskoczeniem. Byli ludźmi czynu, a nie idei; ich namiętności ograniczały się do prostackiego seksu. Organizacja potrzebowała takich. Byli pozbawieni jakichkolwiek poglądów. Żałosne, ograniczone kreatury, które jednak kiedyś przybliżą świat do doskonałości: gdy będą go opuszczały.

– Byłem wtedy bardzo młody, zaledwie dwa lata starszy od pańskiego syna – powiedział Roy – ale zdawałem sobie sprawę, do czego pan dążył.

– A do czego dążyłem? – spytał Ackblom. Miał aksamitny głos tenora, o tak wspaniałej barwie, że gdyby zechciał – mógłby zrobić karierę jako śpiewak.

Roy wytłumaczył mu swoją teorię na temat jego twórczości: owe niesamowite, ekspresyjne portrety nie miały ukazywać ludzkich żądz, kłębiących się pod pięknymi powłokami zewnętrznymi, ale należało je oglądać razem z martwymi naturami. Dopiero wówczas jasne się stawały intencje artysty – symboliczne pokazanie ludzkich pragnień i dążeń do osiągnięcia doskonałości.

– A skoro pańska praca nad żywymi modelkami doprowadzała do tego, że osiągały absolutne piękno nawet na krótko, zanim umarły – to pańskie zbrodnie nie były w najmniejszym stopniu zbrodniami, lecz aktami miłosierdzia, aktami biorącymi się z najgłębszego współczucia, gdyż tak wielu ludzi na świecie nie osiągnie w ciągu całego swojego życia ani sekundy doskonałości. Stosując tortury, obdarzył pan owe czterdzieści jeden kobiet – oraz własną żonę – niedościgłymi doznaniem. Gdyby żyły, byłyby teraz panu wdzięczne.

Roy mówił szczerze, chociaż poprzednio wierzył, że Ackblom, próbując namalować doskonałość, kierował się innymi pobudkami. Teraz czuł się zażenowany, gdyż nie docenił wcześniej talentu i przenikliwości artysty.

Rink i Fordyce nie okazywali ani zdziwienia, ani zainteresowania enuncjacjami Roya. Podczas służby w organizacji nasłuchali się już tylu skandalicznych kłamstw, wypowiedzianych gładko i szczerze, że niewątpliwie wierzyli, iż ich szef grał wobec Ackbloma zamierzoną rolę, próbując sprytnie wciągnąć szaleńca do współpracy, potrzebnej w celu zapewnienia pomyślnego przebiegu bieżącej operacji. Roy był w tej szczególnej, komfortowej sytuacji, że mógł wyrażać swoje najprawdziwsze uczucia, świadomy, że Ackblom w pełni go zrozumie, natomiast Rink i Fordyce będą myśleli, że prowadzi jakąś makiaweliczną grę.

Roy nie posunął się tak daleko, żeby wyjawić swój osobisty udział w miłosiernym traktowaniu smutniejszych przypadków, które spotykał podczas licznych podróży. Opowieść o Bettonfieldach w Beverly Hills, o Chesterze i Guinevere w Burbank, i o sparaliżowanym i jego żonie na parkingu restauracji w Las Vegas mogły wzbudzić podejrzenia nawet Rinka i Fordyce'a, jako zbyt szczegółowe, żeby stanowić zaimprovizowane na poczekaniu historyjki, wymyślone w celu zaskarżenia zaufania

artysty.

– Na świecie byłoby nieskończenie lepiej – orzekł Roy, ograniczywszy się do bezpiecznego uogólnienia – gdyby znacznie przerzedzić rasę ludzką. Najpierw należałoby wyeliminować osobniki najbardziej niedoskonałe. Potem powinno się iść coraz wyżej, pozostawiając przy życiu tylko ludzi spełniających kryteria idealnych obywateli, którzy zagwarantują zbudowanie sprawiedliwego, bardziej oświeconego społeczeństwa. Co pan o tym myśli?

– Akcja byłaby z całą pewnością fascynująca – odparł Ackblom.

Roy wziął to za dobrą monetę.

– Ja też tak myślę.

– Pod warunkiem, że byłoby się wśród eliminujących – powiedział artysta – a nie wśród skazanych.

– Naturalnie, że przy takim założeniu.

Ackblom zaszczycił go uśmiechem.

– A więc... ileż frajdy.

Pojechali do Vail samochodem, przez góry, autostradą międzystanową numer 70, zamiast polecieć samolotem. Cała podróż obliczona była na niespełna dwie godziny. Jazda z więzienia na lotnisko Stapleton, przez całe Denver, czekanie na start i sam lot nie trwałyby krócej. Poza tym w samochodzie panowała intymna atmosfera, było ciszej niż w odrzutowcu, a Roy mógł delektować się dłużej obecnością artysty.

Stopniowo, mila po mili, Roy zaczynał pojmować, dlaczego Steven Ackblom wywarł na nim równie silne wrażenie jak Eve. Chociaż był ogólnie przystojny, nic w jego fizycznej postaci nie było doskonałe. Mimo to w jakiś szczególny sposób osiągnął doskonałość. Roy to czuł. Był subtelnie wyciszony. Wydzielał uspokajające fluidy. Pod pewnymi względami był nieskazitelny. Roya dręczyła niemożność określenia, na czym polega doskonałość artysty, ale miał nadzieję, że odkryje to, zanim dotrą do farmy koło Vail.

Samochód jechał teraz przez ogromny, dziewiczy las, przyprószony śniegiem, wspinając się coraz wyżej w stronę wysokich szczytów i srebrzystego księżyca. Zaciemnione szyby sprowadzały ten widok do rozmazanej plamy. Słychać było tylko szum opon.

Opuszczając Grand Junction, Spencer wjechał skradzionym pikapem na autostradę międzystanową numer 70 i pojechał na wschód. Ellie pracowała gorączkowo przy laptopie zasilanym z gniazda zapalniczki. Komputer spoczywał na zabranej z motelu poduszce. Co jakiś czas zaglądała do wydruku mapy posiadłości i do innych informacji dotyczących farmy, uzyskanych wcześniej.

– Co robisz? – zapytał ponownie.

– Obliczenia.

– Jakie obliczenia?

– Óóóóó. Rocky śpi na tylnym siedzeniu.

Wyjęła z płóciennego worka kilka dyskietek, które włożyła do komputera. Musiały to być jej programy zaadaptowane do jego laptopa, w czasie gdy on sam przez dwa dni trwał w gorączce na pustyni Mojave. Kiedy zapytał ją, dlaczego przetransformowała programy swojego komputera – teraz utraconego wraz z roverem – na całkiem inny system laptopa, odparła:

– Jestem była harcerką, rozumiesz? Lubię być przygotowana na wszystko.

Nie miał pojęcia, do czego służą jej programy. Przez ekran przebiegały wzory matematyczne i wykresy. Potem pojawił się holograficzny obraz obracającej się kuli ziemskiej, z którego wybierała niektóre wycinki w celu powiększenia ich i dokładniejszego obejrzenia.

Do Vail było tylko trzy godziny drogi. Spencer żałował, że nie mogą przez ten czas rozmawiać, poznać się jeszcze lepiej. Trzy godziny to było bardzo mało – szczególnie gdyby to były ostatnie trzy godziny ich życia.

Rozdział 14

Wróciwszy ze spaceru po stromych ulicach Westwood do domu brata, Harris Descoteaux nie wspomniął o spotkaniu z wysokim mężczyzną w szafirowej toyocie. Nie był całkiem pewny, czy mu się nie przyśniło. To było nieprawdopodobne. Ponadto nie mógł się zorientować, czy nieznajomy był wrogiem, czy przyjacielem. Nie chciał niepokoić Dariusa ani Jessiki.

Później, kiedy Ondine i Willa przyjechały razem z ciotką z zakupów, a Martin, syn Dariusa i Bonnie, wrócił ze szkoły, Darius uznał, że powinni się trochę rozerwać. Postanowił, że wszyscy – cała siódemka – wsiądą do jego mikrobusa volkswagena, którego kiedyś pieczołowicie, własnoręcznie odrestaurował, i pojedą do kina, a potem do „Hamlet Gardens” na obiad.

Ani Harris, ani Jessica nie chcieli iść do kina czy jeść obiadu w restauracji, uważając, że każdy wydany przez nich dolar stanowi wykorzystywanie brata. Nawet Ondine i Willa mimo całej odporności młodego wieku nie otrząsnęły się jeszcze z szoku po piątkowym ataku SWAT i po wyrzuceniu ich z domu przez szeryfa federalnego.

Darius uparł się, że kino i obiad w „Hamlet Gardens” będą najlepszym lekarstwem na ich strapienia. Jego wytrwałość stanowiła jedną z przyczyn, dla których był tak dobrym adwokatem.

W rezultacie Harris znalazł się w poniedziałkowe popołudnie piętnaście po szóstej wśród hałaśliwego tłumu w kinie, nie dostrzegając humoru w scenach, które wszystkim wydawały się wesołe, i ulegając następnemu atakowi klaustrofobii. Ciemność. Masa ludzi zamkniętych we wspólnym pomieszczeniu. Gorąco ciała. Z początku nie mógł zaczerpnąć głębszego oddechu, a później poczuł zawroty głowy. Obawiał się, że lada moment jego stan się pogorszy. Szepnął Jessice, że musi iść do toalety. Gdy zobaczył na twarzy żony zaniepokojenie, poklepał ją po ramieniu, uśmiechnął się uspokajająco i czym prędzej uciekł z sali.

W toalecie nie było nikogo. Harris odkręcił kurek z zimną wodą nad jedną z czterech umywalek. Pochylił się nad nią i opryskiwał sobie twarz, próbując ochłoniąć i pozbyć się zawrotów głowy.

Szum wody zagłuszył kroki wchodzącego mężczyzny. Kiedy Harris podniósł głowę, stwierdził, że nie jest sam.

Nowo przybyły był Azjata, około trzydziestki, ubranym w mokasyny, džinsy i ciemnoniebieski sweter w czerwone renifery. Stał o dwie umywalki dalej i się cesał. Ich oczy spotkały się w lustrze. Nieznajomy uśmiechnął się i zapytał:

– Proszę pana, czy mógłby się pan nad czymś zastanowić?

Harris przypomniał sobie, że tym samym pytaniem zagadnął go wysoki mężczyzna z toyoty. Przestraszony, odskoczył od umywalki, wpadając na wahadłowe drzwi jednej z toalet. Zachwiał się i omal nie upadł, chwytając się w ostatniej chwili framugi.

– Przez pewien okres japońska gospodarka święciła takie triumfy, że świat doszedł do przekonania, iż silny rząd i wielki biznes muszą iść ręką w rękę.

– Kim pan jest? – Tym razem Harris zadał to pytanie od razu na wstępie.

Nie zwracając na to uwagi, uśmiechnięty nieznajomy ciągnął:

– Tak więc słyszymy teraz o narodowej polityce gospodarczej. Wielki biznes i rząd codziennie zawierają układy. Poprzyj mój program społeczny i wzmocnij moją władzę – mówi polityk – a ja zagwarantuję ci zyski.

– Co to ma za związek ze mną?

– Cierpliwości, panie Descoteaux.

– Ale...

– Członkowie związków zawodowych są oszukiwani, ponieważ rząd dogaduje się z ich przywódcami. Eliminowani są mali biznesmeni – i w ogóle wszyscy, którzy są za słabi, żeby grać w stumiliardowej lidze. W tej chwili sekretarz obrony chce użyć wojska jako narzędzia polityki ekonomicznej.

Harris wrócił do umywalni i zakręcił kurek.

– Związek rządu z biznesem oparty na wojsku i policji. To już kiedyś było i nazywało się faszyzmem. Czy chcemy, żeby zapanował faszyzm, panie Descoteaux? A może to jest coś nowego, czego nie trzeba się obawiać?

Harris dygotał. Poczł, że z twarzy i rąk kapie mu woda, więc użył papierowego ręcznika.

– Jeśli to jest coś nowego, panie Descoteaux, czy istnieje szansa, że to będzie dobre? Dlaczego nie? Może trochę potrwa, zanim się przystosujemy, ale potem będzie cudownie. – Pokiwał głową, uśmiechając się, jakby dostrzegł taką możliwość – Ale równie dobrze może się to okazać nową odmianą piekła.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedział ze złością Harris. – Nie jestem politykiem.

– Nie musi pan. Żeby móc się obronić, wystarczy być poinformowanym.

– Słuchaj pan, kimkolwiek pan jest: chcę tylko odzyskać mój dom. Życ tak jak przedtem. Chcę, żeby wszystko było jak dawniej.

– Tego się nie da cofnąć, panie Descoteaux.

– Dlaczego mnie to spotkało?

– Czytał pan powieści Philipa K. Dicka, panie Descoteaux?

– Dlaczego właśnie jego? Nie.

Harris poczuł się, jakby wkroczył na terytorium Białego Królika i Kota z Cheshire.

Nieznajomy potrząsnął z zakłopotaniem głową.

– Opisany przez Dicka świat przyszłości jest tym światem, ku któremu zdążamy. Jego świat jest przerażający. Każdy tym bardziej potrzebuje przyjaciela.

– Jest pan moim przyjacielem? – zapytał Harris. – Kim wy wszyscy jesteście?

– Proszę być cierpliwym i pomyśleć o tym, co panu powiedziałem.

Mężczyzna ruszył w stronę drzwi.

Harris wyciągnął rękę, żeby go zatrzymać, ale się rozmyślił. W następnej sekundzie został już sam.

Nagle poczuł skurcz w żołądku. W końcu jednak nie okłamał Jessiki: rzeczywiście musiał skorzystać z toalety.

Dojeżdżając do Vail, Roy Miro zadzwonił na numer telefonu komórkowego podany mu wcześniej przez Duvalla.

– Przyjechali?

– Jeszcze nie – odparł Duvall.

– Niedługo będziemy na miejscu.

– Naprawdę sądzisz, że się pojawią?

Policja odnalazła skradziony helikopter, wraz z załogą, w Parku Narodowym Kolorado. Rozmowa telefoniczna kobiety z policją w Grand Junction została zidentyfikowana jako przeprowadzona z Montrose, co wskazywało, że oboje z Grantem uciekali na południe, w stronę Durango. Roy nie wziął tego pod uwagę. Wiedział, że rozmowy telefoniczne mogą być za pomocą komputera kierowane innymi trasami. Nie miał zaufania do być może mylącej informacji. Wierzył w magię przeszłości. Wierzył, że znajdzie zbiegów w miejscu, gdzie przeszłość spotykała się z teraźniejszością.

- Przybędą – powiedział. – Moce kosmiczne są dziś z nami.
- Moce kosmiczne? – ironizował Duvall, oczekując na żywą reakcję.
- Przybędą – powtórzył Roy i rozłączył się.

Siedzący koło niego Ackblom był cichy i pogodny.

- Za kilka minut będziemy na miejscu – powiedział Roy. Ackblom uśmiechnął się.
- Nie ma to jak w domu.

Jechali już prawie półtorej godziny, zanim Ellie wyłączyła komputer i wyjęła wtyczkę z gniazdka zapalniczki. Czoło miała zroszone potem, chociaż wewnątrz samochodu nie było przegrzane.

– Bóg jeden wie, czy przygotowałam dobrą obronę, czy podwójne samobójstwo – powiedziała. – Może być tak albo tak. W każdym razie jesteśmy przygotowani.

– W jaki sposób?

– Nie powiem ci – odparła. – To by zajęło za dużo czasu. Poza tym spróbujesz odwieść mnie od mojego pomysłu, co z kolei będzie niepotrzebną stratą czasu. Wiem, jakimi argumentami się posłużysz i z góry ich nie przyjmuję.

– To ci ułatwia podjęcie decyzji.

Zasepiła się.

– Jeśli dojdzie do najgorszego, nie będę miała wyboru. Będę musiała skorzystać z niej niezależnie od tego, jak dalece wydaje się zwariowana.

Rocky, śpiący na tylnym siedzeniu, właśnie się obudził.

– Czyżbyś się przestraszył, kolego? – spytał go Spencer.

– Pytaj mnie, o co chcesz, ale nie o to – powiedziała Ellie. – Jeśli będę o tym mówiła lub za długo myślała, będę zbyt przestraszona, żeby to zrobić w stosownym momencie. W Bogu pokładam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Spencer jeszcze nigdy nie słyszał, żeby mówiła w ten sposób. Zwykle utrzymywała swoje emocje na wodzy. Teraz go przestraszyła.

Rocky wytknął łeb spomiędzy przednich siedzeń. Z jednym uchem sterczącym i drugim zwisającym wyglądał na wypoczętego i ożywionego.

– Nie sądziłem, że się przestraszyłeś – powiedział do niego Spencer. – Jeśli chodzi o mnie, czuję się dwa razy bardziej skołowany niż robaczek świętojański, roztrzaskujący się na kawałki przy próbach wydostania się ze słoika po majonezie. Przypuszczam jednak, że wyższe formy inteligencji, na przykład psy, nie miały kłopotów ze zrozumieniem tego expose.

Ellie patrzyła na drogę, pocierając machinalnie podbródek kostkami prawej dłoni.

Powiedziała, że odpowie mu na wszelkie pytania oprócz dotyczących tej rzeczy, więc trzymał ją za słowo.

– Gdzie chciała osiąść Bess Baer, zanim się wtrąciłem i popsulem jej plany? Dokąd chciałaś pojechać roverem, by zacząć nowe życie?

– Nie miałam zamiaru osiadać nigdzie na stałe – odparła. – Zrezygnowałam z tego. Wiedziałam, że znajdą mnie prędzej czy później, jeżeli zatrzymam się gdziekolwiek na dłużej. Wydałam mnóstwo własnych pieniędzy... i pieniędzy przyjaciół... żeby kupić rovera i całe tamto wyposażenie. Mając to wszystko, mogłam przenosić się z miejsca na miejsce, dokądkolwiek chciałam.

– Zapłacę za tego rovera.

– Nie o to mi chodziło.

– Wiem. Ale co moje, to twoje.

- Rzeczywiście? Od kiedy?
- To cię do niczego nie zobowiązuje – powiedział.
- Lubię być samowystarczalna.
- Nie mówmy o tym.
- Czy twoje zdanie jest zawsze najważniejsze?
- Nie. Najważniejsze jest zdanie psa.
- Czy taka jest decyzja Rocky’ego?
- On się zajmuje moimi finansami.

Rocky wyszczerzył zęby. Lubił, kiedy o nim mówiono.

- Ponieważ to jest pomysł Rocky’ego – powiedziała – będę czujna.
- Dlaczego nazywasz Summertona karaluchem? – spytał Spencer. – Czemu to go tak drażni?

– Tom ma uraz na punkcie wszelkich robaków. Nawet mucha wyprowadza go z równowagi. Szczególnie brzydzi się karaluchów. Kiedy jeszcze pracował w wydziale, przeżyli tam ich plagę. Wystarczy mu zobaczyć bodaj jednego, żeby szaleć z wściekłości. To jest niemal komiczne. Tom przypomina owego słonia z filmów rysunkowych, który boi się myszy. W każdym razie parę tygodni po tym... po tym, jak Danny i rodzice zostali zamordowani, a ja przestałam próbować spotkać się z reporterami i opowiedzieć im prawdę, zadzwoniłam do Toma w jego biurze w Departamencie Sprawiedliwości, z automatu w śródmieściu Chicago.

– Nie do wiary.

– Zadzwoniłam na jego najbardziej prywatny telefon. Zaskoczyłam go. Próbował udawać niewinnego, trzymać mnie przy aparacie, aż mnie dopadną. Powiedziałam mu, że nie powinien bać się karaluchów, ponieważ jest jednym z nich. Że kiedyś rozdepczę go na śmierć. Mówiłam to z przekonaniem. Kiedyś w jakiś sposób wyślę go prosto do piekła.

Spencer zerknął na nią. Patrzyła przed siebie, w ciemną noc, pogrążona w myślach. Szczupła, pełna wdzięku, delikatna – a przy tym zawzięta i twarda jak komandos.

Kochał ją taką, jaka była, kochał każdy szczegół jej twarzy, dźwięk głosu, szczególną witalność, kochał ją za dobroć serca i żywość umysłu, kochał ją miłością czystą i tak silną, że gdy czasem na nią patrzył, wydawało mu się, że świat ogarnia cisza. Modlił się, żeby była wybranką losu, mającą przed sobą długie życie, ponieważ gdyby umarła przed nim, nie byłoby już dla niego żadnego ratunku.

Jechał wśród nocy, mijając po drodze Rifle, Silt, New Castle i Glenwood Springs. Droga prowadziła często dnem głębokich, wąskich kanionów, ograniczonych pionowymi ścianami skalnymi. Za dnia był to widok najbardziej zapierający dech spośród wszystkich na całej kuli ziemskiej. W ciemnościach nocnych owe niebotyczne ściany wydawały się jeszcze bardziej ścieśnione – dwa czarne monolity nie pozwalające uciec ani w lewo, ani w prawo, kierujące go pod górę, na spotkanie czegoś potwornego, co wydawało się czyhać tam na niego od początku świata. Z dna tej rozpadliny widać było tylko wąską wstążkę nieba, skąpo usianą gwiazdami. Można było pomyśleć, że niebo nie mogło już pomieścić więcej dusz i zabierało się do zamknięcia swoich bram na zawsze.

Roy przycisnął guzik w oparciu dla ręki, opuszczając okno ze swojej strony.

– Czy jest tak samo, jak pan zapamiętał? – spytał artystę.

Gdy zjechali z dwupasmowej drogi lokalnej, Ackblom wychylił się obok Roya, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

Na otaczających stajnie padokach leżał nieskazitelnie biały śnieg. Od śmierci Jennifer, dwadzieścia dwa lata temu, nie biegały tędy konie. Konie były jej miłością, a nie jego. Ogrodzenia były w dobrym

stanie i tak białe, że ledwie można było je zauważyć na tle ośnieżonych pól.

Wijąca się droga dojazdowa była obramowana sięgającym piersi wałem odgarniętego przez pług śniegu.

Na prośbę Ackbloma kierowca, zamiast do stajni, zajechał najpierw pod dom.

Roy zamknął okno i polecił Fordyce'owi uwolnić artystę z kajdanków. Nie chciał, żeby jego gość nadal znosił upokorzenie.

Podczas jazdy przez góry nawiązał z artystą głębszy kontakt, niż sądził, że się uda w tak krótkim czasie. Ich wzajemny szacunek gwarantował lepszą współpracę niż kajdanki i łańcuchy.

Obaj wysiedli z samochodu, zostawiając wewnątrz Rinka, Fordyce'a i kierowcę i nakazując im czekać. Nie wiał wiatr, ale powietrze było lodowate.

Sięgające daleko, aż po ogrodzone pola trawniki były białe, delikatnie rozświetlone platynowym światłem księżyca. Kiście wiecznie zielonych krzaków pokrywała warstewka lodu i śniegu. Ogołoceny z liści klon rzucał na ogród księżycowe cienie swoich gałęzi.

Dwupiętrowy wiktoriański dom był biały, z pomalowanymi na zielono okiennicami. Duża weranda od frontu rozciągała się na całą szerokość domu, a otaczająca ją balustrada miała białe słupki i zielone poręcze. Z okapu mansardowego dachu, oddzielonego od ścian brązowym gzymsem, zwisały małe sople lodu.

W oknach nie było światła. Dresmundowie, zaproszeni przez Duvalla, pojechali do Vail. Byli zapewne ciekawi wydarzeń na farmie, ale sprzedali swoją ciekawość za obiad w czterogwiazdkowej restauracji, szampana, truskawki w czekoladzie i nocleg w luksusowym apartamencie hotelowym. Później, mając na głowie zabitego Granta i niewykonane prace porządkowe, będą zapewne żalowali, że zrobili tak kiepski interes.

Duvall i dwunastu jego ludzi rozproszyli się, ukryli na terenie posiadłości. Roy nie mógł dostrzec żadnego z nich.

– Na wiosnę jest tu uroczo – powiedział Steven Ackblom, wspominając słoneczne dni majowe, ciepłe wieczory pod rozgwieżdżonym niebem i grające świerszcze.

– Teraz jest również uroczo – rzekł Roy.

– Rzeczywiście. – Uśmiechając się melancholijnie, Ackblom odwrócił się i ogarnął spojrzeniem całą posiadłość. – Byłem tu szczęśliwy.

– Wystarczy spojrzeć dookoła, żeby zgadnąć dlaczego – powiedział Roy.

Artysta westchnął.

– „Przyjemność jest ptakiem przelotnym, a ból towarzyszy nam stale”.

– Nie rozumiem.

– To Keats – wyjaśnił Ackblom.

– Przykro mi, że ta wizyta pana przygnębiła.

– Nie, nie. Proszę się o to nie martwić. Nie czuję się w najmniejszym stopniu przygnębiony. Jestem z natury odporny na wszelkie depresje. Widok tego miejsca, po tylu latach... sprawia mi słodki ból, wart przeżycia.

Wsiadli znów do samochodu i pojechali do stajni na tyłach domu.

Zatrzymali się w małym miasteczku Eagle, na zachód od Vail, żeby nabrać benzyny. Ellie kupiła w sklepiku obok stacji dwie ostatnie tubki uniwersalnego kleju Super Glue.

– Po co ci klej? – spytał Spencer, gdy wróciła do dystrybutorów, przy których wypłacał należność pracownikowi stacji.

- Ponieważ znacznie trudniej o spawarkę i zasilanie do niej.
 - No, oczywiście – odparł, udając, że wie, co ona ma na myśli.
- Wciąż była poważna. Jej zapas uśmiechów już się wyczerpał.
- Myślę, że nie jest za zimno, żeby klej mógł stwardnieć.
 - Czy wolno mi spytać, po co ci on?
 - Chcę coś skleić.
 - Domyślam się.

Ellie usiadła na tylnym siedzeniu, obok Rocky'ego.

Na jej prośbę Spencer pojechał poza stanowiska serwisowe warsztatu naprawczego, na róg placyku, i zaparkował przy wysokim na dziesięć stóp zwałowisku odgarniętego śniegu.

Uchylając się przed przyjaznym językiem psa, Ellie uchyliła na cal małe odsuwane okienko pomiędzy kabiną a platformą ładunkową. Z płóciennego worka wyjęła przedostatni przedmiot, który postanowiła zabrać z sobą, kiedy – po wykryciu ich na pustyni przez Earthguarda 3 – wiedziała już, że będą musieli porzucić range rovera. Długi pomarańczowy kabel elektryczny, zakończony z jednej strony wtyczką do gniazda zapalniczki, a z drugiej dwoma równoległymi gniazdami, z których można było czerpać prąd podczas pracy silnika. Ostatnim przedmiotem, który wyjęła, było małe łącze satelitarne zaopatrzone w ramię automatycznego śledzenia i zakończone składaną anteną w kształcie krążka frisbee.

Spencer wysiadł, opuścił tylną klapę i oboje wdrapali się na pustą platformę ładunkową. Ellie zużyła większość kleju w celu przymocowania mikrofalowej stacji komunikacyjnej do metalowej podłogi platformy.

– Czy wiesz – powiedział – że wystarczy jedna lub dwie krople tego kleju?

– Muszę być pewna, że w decydującym momencie nie oderwie się i nie zacznie przesuwac. Musi pozostać nieruchoma.

– Żeby ją teraz oderwać, trzeba będzie małej eksplozji jądrowej.

Rocky obserwował ich z zainteresowaniem zza tylnego okienka kabiny.

Klej tężał wolniej niż normalnie, gdyż było zimno lub może dlatego, że Ellie użyła go w zbyt dużej ilości, mimo to po dziesięciu minutach stacja była już mocno przytwierdzona do platformy.

Rozwinęła osiemnastocalową składaną antenę odbiorczą. Jedną z końcówek kabla połączyła ze stacją, potem, odsuwając bardziej tylne okienko kabiny, zaczęła wprowadzać resztę kabla do wnętrza.

Rocky wystawił pysk i lizał ją po rękach.

Kiedy wsunęła już cały nadmiar kabla, wepchnęła pysk Rocky'ego do środka i zasunęła okienko tak szczelnie, jak na to pozwalał kabel.

– Czy mamy zamiar śledzić kogoś za pomocą satelity? – spytał Spencer, gdy zeskoczyli z platformy.

– Informacja to potęga – powiedziała.

– Tak, oczywiście – odparł, zamykając tylną klapę.

– A ja mam sporo strategicznej wiedzy.

– Nie wątpię.

Wrócili do kabiny.

Wzięła z tylnego siedzenia drugą końcówkę kabla i włożyła wtyczkę do rozgałęźnika gniazda zapalniczki. Do drugiego gniazda rozgałęźnika wcisnęła wtyczkę laptopa.

– W porządku – powiedziała bojowo – następny przystanek: Vail.

Spencer zapuścił silnik.

Eve Jammer wyjechała wieczorem na ulice Vegas tak podekscytowana, że ledwie mogła prowadzić.

Roy pokazał jej, jaką ma być kobietą, więc teraz chciała mu udowodnić, że się nią stała.

Przejeżdżając koło podrzędnego baru, nad którym rozbłyskujący neon reklamował tancerki topless, zobaczyła wychodzącego z wnętrza, nędznie wyglądającego mężczyznę w średnim wieku. Był łysy, mógł mieć ze czterdzieści funtów nadwagi i skórę tak pofałdowaną jak shar-pei. Miał przygarbione ze znużenia ramiona. Z rękami w kieszeniach płaszcza i zwieszoną głową włókł się w kierunku na pół pustego parkingu obok baru.

Przejechała obok niego i zatrzymała się na wolnym stanowisku. Obserwowała przez boczne okienko, jak się zbliża. Szedł, powłócząc nogami, jak gdyby tak umęczyło go życie, że nie chciał walczyć z grawitacją bardziej, niż to było absolutnie konieczne.

Mogła sobie wyobrazić, jak się czuł. Był stary, brzydki, tłusty, prymitywny, zbyt biedny, żeby zyskać łaski dziewcząt, których tak pragnął. Wypiwszy parę piw, wracał do domu, gdzie czekało go samotne łóżko po paru godzinach oglądania bajecznych, młodych, sprężystych, długonogich kobiet z dużymi piersiami, na które nigdy nie będzie mógł sobie pozwolić. Wracał sfrustrowany, przygnębiony, okropnie samotny. Eve głęboko współczuła temu człowiekowi. Życie postąpiło z nim zbyt okrutnie.

Wysiadła z samochodu i podeszła do niego, kiedy chciał wsiąść do swojego dziesięcioletniego, zachlapanego pontiaca.

– Przepraszam pana – powiedziała.

Odwrócił się i oczy mu się rozjaśniły na jej widok.

– Pan już tu kiedyś był? – zagađnęła.

– Owszem... tak, w zeszłym tygodniu – odparł. Nie mógł się powstrzymać od pożerania jej wzrokiem. Nie zdawał sobie pewne sprawy, że oblizuje przy tym wargi.

– Przyglądałam się panu wówczas – powiedziała, udając skępowanie. – Nie miałam... nie miałam śmiałości zagađnąć pana.

Gapił się na nią z niedowierzaniem. Był odrobinę ostrożny, nie mógł uwierzyć, że interesuje się nim kobieta jej pokroju.

– Chodzi o to, że jest pan bardzo podobny do mojego taty. – Było to oczywiste kłamstwo.

– Naprawdę?

Kiedy wspomniała o ojcu, poczuł się pewniej, ale równocześnie znikł z jego twarzy rozpaczliwy wyraz nadziei.

– Och, jest pan dokładnie taki jak on. A... a chodzi o to, że... mam nadzieję, że pan nie pomyśli, iż jestem nienormalna... rzecz w tym... że jedynymi mężczyznami, z którymi mogę to robić... to znaczy chodzić do łóżka i przeżywać prawdziwą rozkosz... są mężczyźni podobni do mojego ojca.

Gdy się zorientował, że nadarza mu się gratka przerastająca jego testosteronowe fantazje, ów mający obwisłe policzki i podgardle Romeo wyprostował ramiona i wyprężył pierś. Uśmiech zachwyty sprawił, że wyglądał teraz o dziesięć lat młodziej, chociaż nadal był podobny do shar-pei.

W tym ulotnym momencie, kiedy biedak z pewnością czuł się ożywiony i szczęśliwy po raz pierwszy od wielu tygodni, miesięcy lub nawet lat, Eve wyjęła ze swojej torebki berettę z tłumikiem i strzeliła do niego trzy razy.

W torebce miała również polaroid. Mimo obawy, że jakiś nowy samochód może wjechać na parking albo że z baru wyjdą następni goście, zrobiła zabitemu, leżącemu na asfalcie koło pontiaca, trzy zdjęcia.

Jadąc do domu, rozmyślała – nad tym, jak wielką przysługę oddała sympatycznemu człowiekowi, uwalniając go od niedoskonałego życia, od poczucia nieprzystosowania, od przygnębienia, samotności i rozpacz. Łzy spływały jej po policzkach. Nie szlochała ani nie była rozżalona na tyle, żeby nie móc

prowadzić samochodu. Płakała spokojnie, chociaż jej współczucie było gorące i głębokie.

Płakała przez całą drogę do domu, w garażu, w mieszkaniu i w sypialni, gdzie tak rozstawiła na stoliku nocnym fotografię, żeby Roy mógł je zauważyć natychmiast, jak tylko za dzień lub dwa wróci z Kolorado. Kiedy to zrobiła, zdarzyła się dziwna rzecz. Będąc poruszona do głębi swoim czynem i splakana najprawdziwszymi łzami – nagle poczuła się całkowicie zrelaksowana i nieprawdopodobnie podniecona.

Stojąc przy oknie, obok artysty, Roy patrzył, jak limuzyna zawróciła ku drodze, którą przyjechali, i zniknęła. Miała pojawić się, kiedy nocny spektakl rozegra się do końca.

Znajdowali się we frontowym pokoju przebudowanej stajni. Ciemność rozjaśniało tylko przesączone przez szyby światło księżyca i jarzący się zielony napis w okienku kontrolnym panelu urządzenia alarmowego, umocowanego obok drzwi wejściowych. Po wejściu do domu Roy wyłączył alarm, używając kodu podanego Duvallowi przez Dresmundów, a następnie z powrotem go uaktywnił. W systemie alarmowym nie było detektorów ruchu, tylko kontakty magnetyczne umieszczone w drzwiach i oknach, więc obaj mogli poruszać się swobodnie, nie uaktywniając alarmu.

Duże pomieszczenie na pierwszym piętrze stanowiło kiedyś prywatną galerię Ackbloma, w której wystawiał najlepsze swoje obrazy. Teraz wewnątrz było puste, a każdy nawet najdrobniejszy dźwięk odbijał się głuchym echem od zimnych ścian. Minęło szesnaście lat od czasu, gdy galerię ozdabiały dzieła wielkiego artysty.

Roy zdawał sobie sprawę, że przeżywa chwile, które będzie pamiętał w najdrobniejszych szczegółach przez resztę życia, podobnie jak zapamiętał ów wyraz niezwykłego zaciekawienia na twarzy Eve, kiedy na parkingu restauracyjnym obdarował wiecznym pokojem mężczyznę i kobietę. Mimo że niedoskonałość rasy ludzkiej sprawiała, iż przyszłość człowieka rysowała się tragicznie, zdarzały się w życiu niektórych momenty stanu transcendencji, podobne do tego, który obecnie przeżywał, dzięki nim warto było żyć.

Niestety, że większość ludzi była zbyt bojaźliwa, żeby łapać okazję i smakować takie chwile. Jego na szczęście bojaźń nie przepełniała.

Zwierzenie się z osobistej kruczaty miłosierdzia przyniosło wszelkie rozkosze sypialni Eve. Teraz postanowił uciec się do tego samego zwierzenia. W czasie podróży przez góry zorientował się, że Steven był postacią w pewien niespotykany sposób doskonałą – chociaż istota owej doskonałości była subtelniejsza niż na przykład olśniewająca uroda Eve, raczej wyczuwalna niż widoczna, intrygująca, tajemnicza. Instynktownie czuł, że Steven i on byli sobie bliżsi niż nawet on i Eve. Jeśli zwierzy się artyście równie otwarcie jak swojej ukochanej w Las Vegas – mogą się naprawdę zaprzyjaźnić.

Stojąc w pustej ciemnej galerii, przy oświetlonym księżycem oknie, Roy Miro zaczął z taktowną skromnością wyjaśniać, w jaki sposób wcielał w życie swoje idee, które nawet organizacja, przy całej swojej bezkompromisowości, bałaby się zaaprobować. Gdy tak mówił, miał cichą nadzieję, że uciekinierzy nie przybędą tej nocy ani nawet następnej, dopóki on i Steven nie znajdą dość dużo czasu, żeby zbudować fundamenty przyjaźni, która wzbogaci ich życie.

Chłopiec parkingowy w uniformie przyprowadził mikrobus przed wejście do restauracji „Hamlet Gardens” w Westwood, gdzie po obiedzie czekały obie rodziny Descoteaux.

Ostatnim z wsiadających był Harris. Miał już dać krok do wnętrza, gdy jakaś kobieta dotknęła jego ramienia.

– Proszę pana, czy mógłby się pan nad czymś zastanowić?

Nie poczuł się zaskoczony. Nie rzucił się wstecz jak w kinowej toalecie. Odwrócił się i ujrzał

atrakcyjną rudowłosą kobietę, w butach na wysokich obcasach, zielonym płaszczu do kostek i w założonym na bakier wytwornym kapeluszu z szerokim rondem. Wyglądała, jakby szła na party albo do klubu nocnego.

– Jeśli nowy porządek świata będzie się opierał na pokoju, dobrobycie i demokracji, to wszyscy na tym skorzystamy – powiedziała. – Ale jeśli jest na drodze do form średniowiecznych różniących się od prawdziwego średniowiecza tylko nowoczesną technologią? Czy pana zdaniem – możliwość kupienia kaset wideo z najnowszymi filmami rekompensuje powrót do niewolnictwa?

– Czego pani ode mnie chce?

– Chcę panu pomóc, ale musi pan chcieć tej pomocy, wiedzieć, że pan jej potrzebuje, być gotowym na to, co trzeba będzie zrobić.

Siedząca w mikrobusie rodzina patrzyła na niego ze zdziwieniem i z troską.

– Nie należę do rzucających bomby terrorystów – powiedział do kobiety w zielonym płaszczu.

– My też nie – odparła. – Bomby i pistolety są ostatecznością. Bronią każdego ruchu oporu powinna być wiedza.

– Co z mojej wiedzy może wam się przydać?

– Zacznijmy od tego, że powinien pan mieć świadomość, jak niepewna w istniejącym stanie rzeczy jest pańska wolność. To wzbudzi w panu zaangażowanie, które my bardzo cenimy.

Chłopak parkingowy przypatrywał im się podejrzliwie, mimo że stał poza zasięgiem słuchu.

Kobieta wyciągnęła z kieszeni płaszcza kawałek papieru i pokazała go Harrisowi. Zobaczył na nim numer telefonu i jakieś trzy słowa.

Kiedy chciał wziąć od niej kartkę, przytrzymała ją mocno.

– Nie, panie Descoteaux. Wolalabym, żeby pan to zapamiętał.

Numer okazał się łatwy do zapamiętania, jak również trzy słowa.

– Człowiek, który panu to wszystko wyrządził, nazywa się Roy Miro.

Pamiętał to nazwisko, ale nie okoliczności, w których je usłyszał.

– Przyszedł do pana, podając się za agenta FBI – odpowiedziała.

– Facet, który pytał o Spence'a! – Nagle ogarnęła go wściekłość, gdyż znał już twarz wroga, który do tej pory był bezimienny. – Cóż ja mu, do cholery, zrobiłem? Mieliśmy drobną sprzeczkę na temat policjanta, który służył pod moim dowództwem. To wszystko! – Potem dotarła do niego druga część tego, co powiedziała, i wtedy zasepił się. – Podając się za agenta FBI? Ależ on nim był. Sprawdziłem to w czasie między jego anonsującym telefonem a spotkaniem w biurze.

– Oni rzadko są tymi, za których się podają – wyjaśniła.

– Oni? Kim są ci oni?

– Tymi, kim byli przez całe wieki – odparła i uśmiechnęła się. – Przepraszam. Nie ma czasu na odsłanianie tajemnic.

– Mam zamiar odzyskać mój dom – powiedział stanowczo, chociaż nie czuł się tak pewnie, jak można by sądzić po głosie.

– Nie odzyska pan. Nawet jeśli opinia publiczna wzburzy się na tyle, że te prawa zostaną uchylone, ustanowią nowe, a one pozwolą im innymi metodami zrujnować tych, co im podpadli. Problem nie polega na pojedynczym przepisie prawnym. Istnieją maniacy na punkcie władzy, którzy chcą dyktować wszystkim, jak powinni żyć i co powinni myśleć, czytać, mówić i czuć.

– Gdzie mogę znaleźć Mira?

– Nie znajdzie go pan. Jest zbyt głęboko utajniony.

– Ale...

– Nie przyszedłem tu, żeby powiedzieć panu, jak dobrać się do Roya Miro. Przyszedłem z ostrzeżeniem, żeby pan nie wracał do domu brata.

Poczuł zimno u dołu kręgosłupa, przemieszczające się wolno w górę, aż do nasady szyi. Nigdy jeszcze nie doświadczył takiego uczucia.

– Co ma się zdarzyć? – spytał.

– Oni z panem jeszcze nie skończyli. I nie skończą, póki pan im na to będzie pozwalał. Zostanie pan zaaresztowany pod zarzutem zabicia dwóch handlarzy narkotyków, żony jednego z nich, przyjaciółki drugiego i trojga małych dzieci. W domu, gdzie zostali zastrzeleni, znaleziono pańskie odciski palców.

– Ależ ja nigdy nikogo nie zabiłem!

Chłopiec parkingowy posłyszał okrzyk i spojrzał spode łba. Darius wysiadł z mikrobusu, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Z pańskiego domu zabrano różne przedmioty z pańskimi odciskami palców i umieszczono je w miejscu morderstwa. Wersja oficjalna będzie zapewne taka, że pozbył się pan dwóch konkurentów, którzy próbowali wejść na pański teren, i że sprzątnął pan zarazem żonę, przyjaciółkę i dzieci, aby ostrzec innych handlarzy.

Serce Harrisa biło tak dziko, że nie zdziwiłby się, gdyby widział ruchy skóry na piersi przy każdym uderzeniu. Wydawało mu się, że przepompowuje nie krew, tylko ciekły freon. Był zimny jak trup.

Pod wpływem strachu stał się miękki i bezradny jak dziecko. Usłyszał, jak wzywa na pomoc wiarę swojej ukochanej, śpiewającej gospels matki, wiarę osłabłą na przestrzeni lat, do której nagle wrócił z zadziwiającą ufnością.

– Jezu drogi, słodki Jezu, pomóż mi.

– Może to zrobi – oznajmiła kobieta, kiedy zobaczyła, że zbliża się Darius. – Ale na wszelki wypadek my też panu pomożemy. Jeśli jest pan rozsądny, zadzwoni pan pod ten numer, poda hasło i będzie dalej żył – zamiast dalej umierać.

Darius zapytał:

– O co chodzi, Harris?

Kobieta schowała kartkę do kieszeni płaszcza.

– Jak mogę żyć po tym wszystkim, co się wydarzyło?

– Może pan – odparła – chociaż już nie jako Harris Descoteaux.

Uśmiechnęła się, skinęła głową Dariusowi i odeszła. Harris patrzył, jak się oddalała, po raz wtóry doznając uczucia, że przebywa w zaczarowanym królestwie Oz.

Przed wielu laty było tu pięknie. Jako chłopiec o innym wówczas nazwisku, Spencer lubił szczególnie zimę, kiedy farmę okrywał śnieg. Za dnia było to imperium słońca, śnieżnych fortyfikacji, tuneli i torów saneczkowych, starannie i cierpliwie wykopywanych i ubijanych. W czasie bezchmurnych nocy niebo nad Rocky Mountain sprawiało wrażenie bardziej oddalonego niż wieczność, odleglejszego, niż sięgają granice ludzkiej wyobraźni. W lodowych soplach skrzyło się światło gwiazd.

A jednak, wracając po wiekach dobrowolnego wygnania, nie czuł żadnej przyjemności. Wszystkie wzniesienia, zakręty, budynki i drzewa znajdowały się na swoich miejscach. Jediną zmianę stanowiło to, że sosny, klony i brzozy urosły. Farma, chociaż niezmieniona i przybrana w zimową szatę, wydała mu się teraz najbrzydszym miejscem, jakie kiedykolwiek widział. Objawiała mu się jako bezduszny teren, którego geometria pól i wzgórz raziła w każdym szczególe, jakby została specjalnie tak zaprojektowana, żeby kaleczyć jego oko. Drzewa były zupełnie normalne, jemu jednak wydawały się zniekształcone

i chropowate od choroby, karmiącej się horrorem pobliskich katakumb, który wyługował glebę i wniknął do korzeni. Zabudowania – stodoła, dom, stajnia – sprawiały wrażenie nieforemnych wraków, groźnych i nawiedzanych przez duchy. Ich czarne okna wyglądały jak otwarte groby.

Spencer podjechał pod dom. Serce biło mu mocno. Czuł suchość w ustach, a gardło miał tak zaciśnięte, że nie mógł przełykać. Drzwi pikapa otworzyły się z oporem godnym ciężkich wrót skarbcza bankowego.

Ellie została w samochodzie, z komputerem na kolanach. Gdyby pojawiły się kłopoty, natychmiast mogła zrealizować swój tajemniczy plan. Połączyła się z satelitą, a za jego pośrednictwem z systemem komputerowym, o którym nie wspomniała Spencerowi i który mógł się znajdować w każdym miejscu na świecie. Informacja to potęga, powiedziała Spencerowi, ale ten nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób informacja osłoni ich od kul, jeśli organizacja przyczaiła się gdzieś w pobliżu.

Idąc w stronę schodków, czuł się jak nurek głębinowy, poddany naporowi niezliczonych ton wody, ubrany w ciężki kombinezon i stalowy hełm. Wszedł na stopnie werandy, przekroczył ją, zatrzymał się przed drzwiami i przycisnął guzik dzwonka.

Usłyszał wewnątrz dźwięk kurantów, te same pięć tonów, które oznajmiały przybycie gości, kiedy był jeszcze chłopcem. Nim zdążyły przebrzmieć, musiał stoczyć z sobą walkę, żeby się nie odwrócić i nie uciec. Pomyślał, że jako dorosły nie powinien bać się upiórów dzieciństwa. Podświadomie obawiał się, że otworzy mu matka, nieżywa, ale mimo to chodząca, naga, z widocznymi ranami, taka jak ją znaleziono w rowie.

Znalazł w sobie tyle siły woli, żeby pozbyć się wizji jej okaleczonego ciała. Zadzwoił jeszcze raz.

Noc była tak cicha, że miał wrażenie, iż mógłby usłyszeć wijące się głęboko, poniżej poziomu zamarzania gruntu, robaki – gdyby tylko potrafił wyłączyć inne myśli.

Drugi dzwonek również pozostał bez odpowiedzi. Spencer sięgnął po ukryty nad drzwiami klucz. Dresmundowie zostali poinstruowani, żeby go tam zostawiać na wypadek ewentualnego przybycia właściciela. Klucz pasował do zamków zarówno w domu, jak i w stajni. Z kluczem w ręku, czując, że palce przymarzają mu do mosiądzu, wrócił do pikapa.

Droga dojazdowa się rozwidlała. Jedna odnoga prowadziła ku frontowi stajni, druga na jej tyły. Skręcił w tę drugą.

– Muszę wejść do środka tą samą drogą, którą wszedłem tamtej nocy – wyjaśnił Ellie. – Tylnymi drzwiami. Muszę odtworzyć tę sytuację.

Zaparkował w miejscu, gdzie wówczas stała furgonetka z namalowanym na bocznej ścianie łukiem tęczy. Należała do ojca. Zobaczył ją wtedy po raz pierwszy, gdyż była garażowana poza farmą i zarejestrowana na fałszywe nazwisko. Samochód służył Ackblomowi do jego polowań. Przemierzał nim dalekie trasy po to, żeby podchodzić i uprowadzać dziewczęta i kobiety, mające zostać w katakumbach już na zawsze. Na ogół przyprowadzał go na farmę tylko wówczas, gdy żona z synem wyjeżdżali na pokazy jeździeckie lub w odwiedziny do jej rodziców – ale czasem także wtedy, gdy jego ponure upodobania przyćmiewały ostrożność.

Ellie postanowiła zostać w pikapie. Nie gasząc silnika, z komputerem na kolanach i palcami na klawiaturze, była gotowa na wszelkie ewentualności.

Spencer nie potrafił sobie wyobrazić, co mogłaby zrobić w razie nagłego ataku zbirów z organizacji. Była jednak śmiertelnie poważna, a on znał ją wystarczająco dobrze, żeby mieć zaufanie do jej planu, który – jakkolwiek osobliwy – nie był wcale śmieszny.

– Nie ma ich tu – powiedział. – Inaczej siedzieliby już nam na karku.

– Nie jestem taka pewna...

– Żeby sobie przypomnieć, co się działo w ciągu tamtych kilku minut, muszę zejść na dół... do tego pomieszczenia. Rocky mi nie wystarczy. Nie mam odwagi iść sam i wcale się tego nie wstydę.

Ellie skinęła głową.

– Bo i nie masz czego. Na twoim miejscu nie odważyłabym się pójść aż tak daleko. Przejechałabym obok, nie patrząc w tę stronę. – Przebiegła wzrokiem oświetlone księżycem pola i wzgórze za stajnią.

– Nie ma nikogo – powiedział.

– W porządku. – Przebiegła palcami po klawiszach, wychodząc z sieci, z którą była połączona. Ekran zgasł. – Chodźmy.

Spencer zgasił reflektory i wyłączył silnik.

Zabrał z sobą pistolet. Ellie trzymała w ręku uzi.

Gdy wysiadali, Rocky uparł się, żeby iść z nimi. Drżał, wyczuwając nastrój swojego pana, bał się iść, ale znacznie bardziej bał się zostać.

Dygocząc jeszcze bardziej niż pies, Spencer popatrzył na niebo. Było tak samo czyste i usiane gwiazdami jak tamtej lipcowej nocy. W powodzi księżycowego blasku nie ujrzał jednak tym razem ani sowy, ani anioła.

Roy mówił o wielu rzeczach, a artysta słuchał z rosnącym zainteresowaniem i coraz większym szacunkiem. Stali w ciemnej galerii, dzieląc się zwierzeniami, gdy wtem usłyszeli głuchy warkot silnika nadjeżdżającego pikapa.

Cofnęli się o krok od okna, nie chcąc, żeby ich dostrzeżono. Nadal mieli dobry widok na drogę dojazdową.

Zamiast zatrzymać się przy frontowych drzwiach stajni, samochód pojechał wokół budynku na jego tyły.

– Przywiozłem pana tutaj – powiedział Roy – ponieważ muszę się dowiedzieć, co pański syn ma wspólnego z tą kobietą. Nic o nim nie wiemy. Podejrzewamy, że jest związany z jakąś organizacją. To nas niepokoi. Przez jakiś czas sądziliśmy, że istnieje jakaś organizacja o luźnej strukturze, mająca na celu niszczenie naszej pracy lub przynajmniej przysparzanie nam kłopotów. Możliwe, że on należy do takiej grupy. A może tylko pomaga tej kobiecie. W każdym razie biorąc pod uwagę wyszkolenie wojskowe Spencera... przepraszam, Michaela, i jego nieugięty charakter, sądzę, że nie pęknie pod wpływem zwykłego przesłuchania niezależnie od tego, jak długo będziemy go torturować.

– Ma silną wolę – przyznał Steven.

– Ale jeśli pan będzie go przesłuchiwał, na pewno wszystko wyśpiewa.

– Może ma pan rację – powiedział Steven. – Bardzo spostrzegawcze.

– To mi stwarza okazję zadośćuczynienia nikczemności.

– Jakiej nikczemności?

– Zdradzenie własnego ojca jest nikczemnością.

– Ach. Ale czy oprócz możliwości zemśczenia się za zdradę będę mógł zająć się tą kobietą? – spytał Steven.

Roy pomyślał o owych pięknych oczach, śmiałych i prowokujących. Patrzył na nie z zawiścią przez czternaście miesięcy. Zgodzi się na to życzenie w zamian za możliwość przypatrywania się, co twórczy geniusz pokroju Stevena Ackbloma jest w stanie wyczarować z żywego ludzkiego ciała.

Ze względu na nowo przybyłych rozmawiali szeptem.

– Naturalnie, to jest sprawiedliwe – odparł Roy – ale chciałbym być przy tym.

- Uprzedzam pana, że to, co z nią zrobię, będzie... ekstremalne.
- Umiarkowaniem nie osiągnie się transcendencji.
- To bardzo słuszne – zgodził się Steven.
- „Były takie piękne, kiedy cierpiały, a po śmierci wyglądały jak anioły” – zacytował Roy.
- A więc chciałby pan zobaczyć ów moment doskonałego piękna – powiedział Ackblom.
- Tak.

W odległym końcu budynku dał się słyszeć chrobot klucza w zamku. Potem nastąpiła chwila wahania, a następnie cicho skrzypnęły zawiasy.

Darius zatrzymał wóz na czerwonym świetle. Jechał na wschód, chociaż mieszkał w odległości dwóch i pół przecznicy na północ, ale nie włączył jeszcze lewego kierunkowskazu.

Po przeciwnej stronie skrzyżowania stały cztery reporterskie wozy telewizyjne z czaszami anten mikrofalowych na dachach. Dwa z nich zaparkowały po lewej, dwa po prawej stronie ulicy, wszystkie były dobrze widoczne w żółtym świetle sodowych latarni ulicznych. Jeden z nich, z napisem KNBC, należał do lokalnej redakcji ogólnonarodowej sieci telewizyjnej; inny, z napisem KTLA – do Kanału 5, niezależnej stacji w Los Angeles, nadającej głównie wiadomości. Harris nie mógł rozszyfrować akronimów na pozostałych wozach, ale domyślił się, że należą do lokalnych oddziałów sieci telewizyjnych ABC. Za nimi stały jeszcze inne samochody. Ich pasażerowie spacerowali po chodniku, pogrążeni w rozmowach.

– Musiała się wydarzyć jakaś sensacja – zauważył sarkastycznie Darius.

– Jeszcze nie – powiedział ponuro Harris. – Jedź prosto, między nimi, i nie za szybko, żeby nie zwrócili na nas uwagi.

Darius postąpił zgodnie z instrukcją brata.

Gdy znaleźli się na wysokości wozów reporterskich, Harris pochylił do przodu, odwracając twarz od okien, udając, że nastawia radio.

– Dostali cynk. Poproszono ich, żeby poczekali parę przecznic dalej, nim akcja się rozpocznie. Komuś zależy na tym, żeby było dużo ujęć, jak mnie wyprowadzają z domu w kajdankach. Tuż przed uderzeniem oddziału SWAT wozy dostaną sygnał, że mogą podjechać blisko.

Siedząca za Harrisem Ondine zapytała:

– Tato, czy oni przyjechali, żeby sfilmować ciebie?

– Mogę się o to założyć, kochanie.

– A to dranie – wzburzyła się.

– Po prostu reporterzy wykonujący swoją pracę.

Willa, mniej odporna psychicznie niż siostra, znowu zaczęła płakać.

– Ondine ma rację – powiedziała Bonnie. – Śmierdzący dranie.

Z samego końca mikrobusu odezwał się Martin.

– To szaleństwo. Wujku Harrisie, oni na ciebie czekają, jakbyś był Michaeliem Jacksonem albo kimś podobnym.

– W porządku, minęliśmy ich – poinformował Darius, by Harris mógł się wyprostować.

– Policja myśli pewnie, że jesteśmy w domu – powiedziała Bonnie. – Nasz system bezpieczeństwa operuje rozmaitymi światłami, kiedy wewnątrz nikogo nie ma.

– Ma tuzin rozmaitych programów – wyjaśnił Darius. – Zmieniają się po każdym dniu nieobecności lokatorów: gaszą światła w jednych pokojach, zapalają w innych, włączają i wyłączają radia i telewizory, stwarzają wrażenie, że dom jest zamieszkały. Mają na celu zmylenie ewentualnych włamywaczy. Nie

spodziewałem się, że kiedykolwiek będę zadowolony z tego, iż zmyliły policjantów.

– Co teraz zrobimy? – spytała Bonnie.

– Na razie jedźmy przed siebie. – Harris umieścił ręce w strumieniach gorącego powietrza z nawiewaczy. Nie mógł się rozgrzać. – Jedź naprzód, a ja w tym czasie pomyślę.

W ciągu piętnastu minut krążenia po Bel Air opowiedział im o mężczyźnie, który zagadnął go podczas spaceru, o drugim w toalecie kina i o rudowłosej kobiecie w zielonym płaszczu. Jeszcze nim dostrzegli wozy telewizyjne, uważali, że ostrzeżenie kobiety było wielce prawdopodobne. Dowodziły tego wydarzenia ostatnich kilku dni. Mieli zamiar zatrzymać się przy domu, szybko wypuścić Bonnie i Martina, odjechać, a następnie wrócić po dziesięć minutach, żeby ich z powrotem zabrać wraz z rzeczami, które Ondine i Willa przyniosły z popołudniowych zakupów, i wraz z mizernym dobytkiem, wyniesionym przez Jessikę i dziewczęta w sobotę, w dniu ich eksmisji z własnego domu.

Spacerowa jazda po mieście przywiodła ich w końcu w pobliże domu Dariusza, gdzie widok wozów telewizyjnych uświadomił im, że ostrzeżenie przyszło w samą porę.

Dariusz pojechał na Wilshire Boulevard i skierował się na zachód, w stronę Santa Monica i morza.

– Jeśli zostanę oskarżony o zabicie z premedytacją siedmiu ludzi, w tym trojga dzieci – myślał głośno Harris – prokurator z całą pewnością zażąda wyroku śmierci bez ułaskawienia.

– Nie zgodzą się na żadną kaucję. Powiedzą, że istnieje ryzyko ucieczki – dodał Dariusz.

– Nawet gdyby zgodzili się na kaucję, nie mamy pieniędzy na jej zapłacenie – odezwała się siedząca na końcu wozu Jessica.

– Sądy są zawałone sprawami – zauważył Dariusz. – Lawina nowych praw, siedemdziesiąt tysięcy stron wydanych przez Kongres w zeszłym roku. Mnóstwo procesów, mnóstwo apelacji. Większość spraw posuwa się w tempie lodowca. Jezu, Harris, będziesz siedział w więzieniu rok, a może dwa, nim staniesz przed sądem...

– Tego czasu nikt mu nie zwróci – powiedziała z gniewem Jessica – nawet jeśli sąd uzna go za niewinnego.

Obie dziewczynki zaczęły płakać.

Harrisowi stały żywo przed oczami ataki obezwładniającej go więziennej klaustrofobii.

– Nie wytrzymam w więzieniu dłużej niż pół roku, nie ma mowy. Może nawet nie wytrzymam miesiąca.

Jeżdżąc po mieście, którego miliony jasnych świateł nie potrafiły rozproszyć mroku, zastanawiali się nad możliwościami wyjścia z sytuacji. W końcu doszli do wniosku, że pozostaje tylko ucieczka. Jednak bez pieniędzy albo dokumentu tożsamości nie uciekłby daleko. Jediną nadzieję stwarzała tajemnicza grupa, do której należała kobieta w zielonym płaszczu i pozostali dwaj nieznajomi, mimo że Harris, nic o nich nie wiedząc, nie miał zbyt pewnej miny.

Jessica, Ondine i Willa zdecydowanie oponowały przeciw rozłącze. Bały się, że kiedy raz się rozdziela, mogą się już nigdy nie zobaczyć, więc protestowały przeciw jego samotnej ucieczce. Wiedział, że mają rację. Obawiał się, że kiedy uciekną, one staną się celem ataków.

Obejrzał się za siebie, spoglądając na pogrążone w mroku twarze dzieci, bratowej, i w końcu napotkał wzrok siedzącej z tyłu, obok Martina, Jessiki.

– Nie do wiary, że mogło dojść do takiej sytuacji.

– Najważniejsze, żebyśmy byli razem.

– Wszystko, do czego z takim trudem doszliśmy...

– ...przepadło na zawsze.

- Trzeba zaczynać od nowa, mając czterdzieści cztery lata...
- To lepsze, niż umierać, mając czterdzieści cztery lata – zauważyła Jessica.
- Jesteś wiernym kompanem – powiedział ze wzruszeniem.

Jessica uśmiechnęła się.

- Gdyby to było trzęsienie ziemi, przypadłby nie tylko dom, ale my również.

Harris odwrócił się i popatrzył na Ondine i Willę. Były wyczerpane płaczem, drżały, ale w oczach miały buntownicze błyski.

- Stracie wszystkie szkolne przyjaciółki...

– Ach, to tylko dzieci. – Ondine udawała nonszalancję, świadoma, że zrywa wszystkie szkolne przyjaźnie, co dla nastolatki jest najtrudniejsze. – Po prostu kupa głupich dzieciaków, nic więcej.

- A poza tym – dodała Willa – jesteś naszym tatą.

Pierwszy raz od chwili, gdy ten cały koszmar się zaczął, Harris poczuł, że cisną mu się do oczu łzy.

– Zatem postanowione – oznajmiła Jessica. – Darius, zatrzymaj się przy jakimś automacie telefonicznym.

Znaleźli automat przy końcu centrum handlowego, przed pizzerią.

Harris musiał poprosić Dariusa o drobne. Potem wysiadł z mikrobusu i poszedł sam do telefonu.

Przez okna pizzerii widział ludzi: jedzących, pijących piwo, rozmawiających. Grupa osób siedzących przy dużym stole była w szczególnie dobrym nastroju; ich śmiechy zagłuszały muzykę z szafy grającej. Nikt z nich nie wydawał się świadomy, że świat niedawno obrócił się do góry nogami i przenicował na drugą stronę.

Harrisa opanowała taka zazdrość, że miał ochotę wybić okna, wtargnąć do środka, wywracać stoły, wrywać ludziom kufle piwa i talerze z jedzeniem, obrzucać ich obelgami i terroryzować tak długo, aż ich złudzenia o bezpieczeństwie i normalności rozpadną się na tyle cząstek co jego własne. Był tak rozgoryczony, że mógłby to zrobić – nawet zrobiliby to – gdyby nie miał żony i córek; gdyby stał samotnie w obliczu zatrważającego nowego życia. Zazdrościł biesiadującym nie tyle radości, ile ich zbawiennej ignorancji, którą chciałby odzyskać, mimo że wiedział, iż od raz nabytej wiedzy nie można się już uwolnić.

Podniósł słuchawkę i wrzucił monety. Przez mrozącą krew w żyłach chwilę słuchał ciągłego tonu, nie mogąc sobie przypomnieć numeru zapisanego na kartce, którą pokazała mu rudowłosa kobieta. Raptem stanął mu przed oczami i wówczas wystukał cyfry na klawiaturze tak drżącymi palcami, że nie był pewny, czy się nie pomylił.

Po trzecim sygnale odezwał się męski głos.

– Halo?

– Potrzebuję pomocy – powiedział Harris, uświadamiając sobie, że się nie przedstawił. – Przepraszam, jestem... nazywam się... Descoteaux. Harris Descoteaux. Ktoś z waszej grupy, jakkolwiek się nazywacie, pewna kobieta powiedziała, żebym zadzwonił pod ten numer... że jesteście w stanie mi pomóc... że jesteście gotowi mi pomóc.

Po chwili wahania mężczyzna po tamtej stronie linii się odezwał:

– Jeśli ma pan nasz numer i jeśli ma pan do niego prawo – powinien pan wiedzieć, że obowiązuje pewna procedura.

– Procedura?

Nie było odpowiedzi.

Na moment Harrisa ogarnęła panika, że mężczyzna ma zamiar odłożyć słuchawkę, odejść od aparatu

i pozostać już zawsze nieosiągalnym. Nie wiedział, czego od niego oczekują – aż nagle przypomniał sobie słowa napisane na kartce poniżej numeru telefonu. Kobieta uprzedziła, że musi je również zapamiętać. Wykrztusił je do słuchawki:

– Bażanty i smoki.

Spencer wszedł do krótkiego korytarza na tyłach stajni i wystukał na klawiaturze urządzenia bezpieczeństwa serię cyfr dezaktywującą alarm. Dresmundowie zostali poinstruowani, żeby nie zmieniać szyfru, aby właściciel mógł wejść do budynku w razie ich nieobecności. Kiedy wcisnął ostatni przycisk, świetlny napis na urządzeniu zmienił się z ALARM WŁĄCZONY na ciemniejszy GOTÓW DO WŁĄCZENIA.

Miał z sobą latarkę. Skierował strumień światła wzdłuż ściany.

– Tu jest toaleta – powiedział do Ellie. Za pierwszymi drzwiami były drugie. – Tu jest magazynek. – Na końcu korytarza znajdowały się trzecie drzwi. – Tam była jego galeria, do której przyprowadzał tylko najbogatszych kolekcjonerów. Schody prowadzą na pierwsze piętro, gdzie mieściło się studio. – Skierował światło na prawą ścianę korytarza, w której widniały tylko jedne drzwi. Były otwarte. – W tym pokoju trzymano kiedyś dokumenty.

Mógł zapalić górne oświetlenie jarzeniowe. Przed szesnastu laty wszedł w ciemność, wiedziony jedynie zielonym napisem na urządzeniu alarmowym. Jednak wyczuwał intuicyjnie, że najlepszą szansą na przypomnienie sobie tego, co stanowiło dziurę w jego pamięci, było możliwie wierne odtworzenie okoliczności tamtej nocy. Klimatyzacja w stajni była wówczas włączona; teraz ogrzewanie ustawiono na słaby poziom, tak że panował chłód taki jak wtedy. Ostre światło jarzeniówek całkowicie zmieniłoby nastrój. Gdyby chciał wierne odtworzyć tamtą sytuację, musiałby zgasić latarkę, ale nie miał odwagi po raz wtóry zagłębiać się w ciemność, w którą wszedł, mając czternaście lat.

Rocky skomlił i drapał w drzwi, które Ellie zamknęła za nimi, kiedy weszli do stajni. Trząśł się i był nieszczęśliwy.

Spencer nigdy nie mógł się zorientować, dlaczego Rocky bał się tylko ciemności na zewnątrz. We wnętrzach dawał sobie radę ze strachem, chociaż niekiedy trzeba było palić nocne światło, żeby się nie denerwował.

– Biedactwo – odezwała się Ellie.

Światło latarki było jaśniejsze niż światło na zewnątrz budynku. Rocky powinien czuć się spokojny. Tymczasem trząśł się tak bardzo, że wydawało się, iż jego żebra uderzają jedno o drugie, wydają ksylofonowe dźwięki.

– Teraz już jest wszystko w porządku, kolego – powiedział do niego Spencer. – Tamto to przeszłość. Już nie ma się czego bać.

Pies nadal drapał w drzwi.

– Może go wypuścimy? – poddała Ellie.

– To nic nie pomoże. Zobacz, że jest noc, i zaczniesz drapać, żeby go wpuścić z powrotem.

Wiedział, że przyczyną strachu psa jest niepokój pana. Rocky zawsze doskonale wyczuwał jego nastrój. Próbował się uspokoić. To, co powiedział psu, było prawdą – atmosfera zła, która przyłgnęła do tych ścian, stanowiła drobną cząsteczkę okropności, które tu się kiedyś działy. Teraz już nie było się czego bać.

Z drugiej strony pies miał inny pogląd na prawdę niż jego pan. Spencer nadal przeżywał przeszłość, przytrzymywany więzami własnej pamięci. Co gorsza, silniej wpływało na niego to, czego nie mógł sobie przypomnieć, niż to, co pamiętał wyraźnie. Zapomniane epizody tamtej nocy stanowiły najgłębszą czarną

dziurę w jego duszy. Wiedział, że odtworzenie wypadków sprzed szesnastu lat nie powinno mieć wpływu na Rocky'ego, ale mogło stanowić siłę zdolną usidlić, pochłonąć i zniszczyć jego samego.

Zaczął opowiadać Ellie o zapamiętanych szczegółach tamtej nocy: o sowie, łuku tęczy i o nożu. Przestraszył się dźwięku własnego głosu. Każde słowo wydawało się ogniwem łańcucha kolejki górskiej, który wyciąga gondolę na szczyt pierwszego wzniesienia albo holuje ją przez mroki gabinetu strachów. Wiedział, że takie łańcuchy działają tylko w jednym kierunku i jeśli podróż raz się zacznie – nie można już jej przerwać, nawet jeśli znajdująca się przed gondolą część toru zawali się albo w gabinecie strachów wybuchnie pożar.

– Tamtego lata, tak jak i podczas wielu poprzednich, spałem przy wyłączonej w sypialni klimatyzacji. Dom miał system centralnego ogrzewania, które w zimie działało bezszelestnie. W lecie natomiast niepokoiło mnie syczenie i świstanie zimnego powietrza, tłoczonego przez szczeliny kanału doprowadzającego, i warkot kompresora, przenoszący się tym samym kanałem... Nie, „niepokoiło” nie jest właściwym określeniem. Ono mnie przerażało. Bałem się, że hałas urządzenia klimatyzacyjnego zagłuszy jakiś nocny odgłos... odgłos, na który powinienem zareagować, bo inaczej zginę.

– Jakiego odgłosu się spodziewałeś? – spytała Ellie.

– Nie wiem. To był przejaw zwykłego dziecięcego strachu. Wstydzilem się z tego powodu... Ale dzięki temu, że okno w mojej sypialni było otwarte, usłyszałem ten krzyk. Próbowałem sam siebie przekonać, że to krzyk sowy albo jej ofiary. Ale krzyk był tak rozpaczliwy, tak jękliwy i pełen grozy... tak ludzki...

Tym razem opowiadał o swojej eskapadzie w lipcową noc w szybszym tempie, niż gdy zwierzał się nieznanym w nocnych barach lub psu. Mówił o tym, jak wyszedł z uśpionego domu i przez posrebrzone światłem księżycowym trawniki dotarł do rogu stajni, gdzie zobaczył sowę. Jak z otwartych tylnych drzwi buchał odór uryny, następnie wszedł do korytarza, w którym obecnie się znajdowali.

– Potem otworzyłem drzwi do pomieszczenia z dokumentami – powiedział.

Teraz znów je otworzył i przekroczył próg.

Ellie weszła za nim.

Rocky nadal pisał i drapał w drzwi w korytarzu, próbując wyjść.

Spencer zlustrował latarką cały pokój. Długi stół zniknął, dwa krzesła również. Nie było także rzędu szaf na akta.

Szafy z sękatych desek sosnowych nadal zajmowały całą przeciwległą ścianę pomieszczenia, sięgając od podłogi do sufitu i od ściany do ściany. Widniały w nich trzy pary wysokich wąskich drzwi.

Skierował strumień światła na środkowe drzwi i powiedział:

– Były wówczas otwarte. Spoza nich sączyło się dziwne, słabe światło, dochodzące jakby z wnętrza szafy, w której przecież nie było żadnego oświetlenia. – Zauważył w swoim głosie nutę napięcia. – Moje serce biło tak mocno, że aż drgały mi ramiona. Zacisnąłem pięści i trzymałem je przy bokach, próbując panować nad sobą. Chciałem uciec, po prostu obrócić się na pięcie, pobiec do łóżka i zapomnieć o wszystkim.

Mówił o swoich przeżyciach podczas tamtej odległej nocy, ale mogła to być równie dobrze opowieść o jego obecnych doznaniach.

Otworzył środkowe drzwi. Zgrzytnęły dawno nieużywane zawiasy. Skierował strumień światła do wnętrza szafy i powiódł nim po pustych półkach.

– Tylna ściana była zamykana na cztery zasuwki – wyjaśnił jej.

Jego ojciec sprytnie ukrył zasuwki pod profilowanymi listwami. Spencer odnalazł wszystkie cztery:

jedna znajdowała się po lewej stronie za dolną półką, druga symetrycznie po prawej, trzecia po lewej stronie za drugą od góry półką i czwarta po prawej.

Z korytarza, z klekotem pazurów po wypolerowanej podłodze, przybiegł Rocky.

– W porządku, piesku, zostań z nami – powiedziała Ellie.

Spencer oddał jej latarkę i pchnął półki. Wnętrze szafy odjechało w ciemną czeluść. Małe kółka toczyły się z piskiem po starych metalowych szynach.

Przekroczył dolne obramowanie szafy i wszedł do wewnątrz.

Ręce miał zupełnie mokre. Wytrzeł je o spodnie.

Wziął latarkę z rąk Ellie i dostał się do małego pokoiku na tyłach szafy, o wymiarach sześć stóp na sześć. Z sufitu zwisał łańcuszek wyłącznika gołej żarówki. Pociągnął go i pokój zalało żółte światło, które dobrze pamiętał.

Betonowa podłoga. Betonowe ściany. Dokładnie tak jak w snach.

Ellie zamknęła za sobą drzwi szafy, zostając wraz z Rockym w jej wnętrzu, a potem oboje dołączyli do Spencera w ciasnym tylnym pokoiku.

– Tamtej nocy stałem w pokoju na akta, patrząc w kierunku żółtego światła przez odsunięty tył szafy, i przede wszystkim chciałem uciekać. Wydawało mi się nawet, że zacząłem się wycofywać... ale już w chwilę później znajdowałem się w szafie. Powtarzałem sobie: „Biegnij, uciekaj stąd jak najprędzej”. Ale zamiast uciekać, znalazłem się tu, gdzie stoimy, chociaż nie pamiętam, żebym zrobił choć jeden krok. Byłem... czułem się wciągany... jakby w transie... nie mogłem zawrócić, choćbym nie wiem jak chciał.

– To jest żółte światło przeciw owadom – zauważyła – takie, jakiego używa się w lecie na zewnątrz domu. – Wydawało się, że traktuje je jak coś dziwnego.

– Masz rację. Odstrasza komary. Nie wiem, po co on go używał, wystarczyło wkręcić zwykłą żarówkę.

– No cóż, może żółta żarówka była pod ręką.

– Niemożliwe. W żadnym wypadku. Nie on. Musiały wchodzić w grę jakieś względy estetyczne. Widocznie żółte światło lepiej służyło jego celom. Wszystko, co robił, było podporządkowane estetyce: poczynając od garderoby, którą nosił, a skończywszy na sporządzaniu kanapek. Jedna rzecz sprawia, że to, co robił tutaj, w podziemiu, jest potworne... długie i starannie zaplanowane znęcanie się nad ofiarami.

Uświadomił sobie, że trzymając w lewej ręce latarkę, wodzi palcami prawej ręki po swojej bliźnie na twarzy. Oparł rękę na kolbie pistoletu zatkniętego na brzuchu za pasek spodni, ale nie wyciągnął go.

– Jak twoja matka mogła nie wiedzieć o tym miejscu? – spytała Ellie, rozglądając się po korytarzyku.

– Był właścicielem farmy, zanim się pobrali. Stajnię przebudował wcześniej. To pomieszczenie było pokojem na akta. Kiedy robotnicy skończyli prace i odeszli – sam zbudował te sosnowe szafy, żeby ukryć znajdujące się za nimi wejście do piwnicy. Na samym końcu sprowadził człowieka, położył sosnową podłogę w przedniej części pomieszczenia.

Miniaturowe uzi było wyposażone w pasek do noszenia. Ellie zarzuciła je sobie na ramię i objęła się ramionami.

– Zaplanował wszystko z góry... zanim ożenił się z twoją matką i zanim ty się urodziłeś.

Jej odraza była równie przejmująca jak chłód powietrza. Miał nadzieję, że przyjmie te wszystkie okropieństwa, które na nią czekały, bez przeniesienia swojej awersji z ojca na syna. Modlił się o to, żeby pozostać w jej oczach nieskażonym.

Brzydził się sobą za każdym razem, kiedy dostrzegał nawet najbardziej niewinne podobieństwo do ojca. Czasem, kiedy oglądał się w lustrze, przypominał sobie oczy ojca, równie ciemne jak jego,

i wówczas odwracał się roztrzęsiony, czując mdłości.

– Może wówczas jeszcze nie wiedział, po co mu tajemne pomieszczenie. Wierzę, że tak rzeczywiście było. Wierzę, że ożenił się z moją matką i pocałował mnie z nią, zanim zaczął mieć swoje... swoje obsesje. Podejrzewam jednak, że wiedział, po co buduje to podziemie – tylko nie był jeszcze gotów do wykorzystania go. Podobnie jak potrafił myśleć latami nad obrazem, zanim zaczął go malować.

W świetle żarówki jej twarz wyglądała żółto, ale czuł, że w rzeczywistości była biała jak wypalona słońcem kość. Patrzyła na zamknięte drzwi, które oddzielały korytarzyk od schodów do piwnicy. Wskazując na nie, zapytała:

– Czy tamto pomieszczenie traktował jako pomocnicze dla swojej pracy?

– Tak wynikałoby z jego zeznań. Ale nikt tego nie wie. Może robił sobie żarty z policjantów i psychiatrów. Był bardzo inteligentny. Potrafił bezbłędnie manipulować ludźmi i uwielbiał to robić. Nikt nie wie, co rzeczywiście myślał.

– Kiedy zaczął tę... tę działalność?

– Pięć lat po ślubie. Miałem wtedy cztery lata. Cztery dalsze minęły, zanim ona to odkryła... i musiała umrzeć. Policja ustaliła to po zidentyfikowaniu szczątków pierwszych ofiar.

Rocky precyzyjnie się obok nich do drzwi piwnicznych. Wąchał bez zapachu wzdłuż szpary między drzwiami i progiem.

– Nieraz w nocy – powiedział Spencer – kiedy nie mogę spać, przypominam sobie, jak trzymał mnie na kolanach, baraszkował ze mną na podłodze, gdy miałem pięć albo sześć lat, głaskał mnie po głowie...

– Głos załamał mu się ze wzruszenia. Wziął głęboki oddech i zmusił się do kontynuowania opowiadania, gdyż przybył tu po to, żeby doprowadzić je do końca i nigdy już do niego nie wracać. – Dotykał mnie... tymi rękami, tymi samymi rękami... którymi pod stajnią... dokonywał tych strasznych rzeczy.

– Och – jęknęła Ellie, jak gdyby poczuła ukłucie bólu.

Spencer miał nadzieję, że wyraz jej oczu świadczy, że rozumie to, co przez tyle lat nosił w środku, i że mu współczuje – że nie oznacza zwrotu w ich wzajemnym stosunku.

– Dostaję mdłości na myśl, że ojciec kiedyś mnie dotykał. Co gorsza... wyobrażam sobie, jak zostawia tam w ciemnościach przed chwilą zabita kobietę, wychodzi z katakumb, mając w pamięci zapach jej krwi, wchodzi do domu... kładzie się do łóżka obok matki... obejmuje ją... pieści...

– O mój Boże – westchnęła Ellie.

Zamknęła oczy, jak gdyby nie mogła znieść jego widoku. Wiedział, że stanowi element tego horroru, chociaż jest niewinny. Był tak nierozdzielnie związany z sadystycznymi upodobaniami ojca, że nikt nie potrafił nawet w wyobraźni oddzielić małego Michaela od rzeźni, z jaką kojarzono jego dom. Serce pompowało w jego żyły zarówno krew, jak i rozpacz.

Otworzyła oczy. Były pełne łez. Dotknęła jego blizny z taką czułością, z jaką nikt go dotąd nie dotknął. Krótko wyjaśniła mu, że niczemu nie jest winien.

– O Boże, tak mi przykro.

Spencer poczuł, że gdyby nawet mieli żyć sto lat, nigdy nie będzie jej kochał bardziej niż w tej chwili. Jej czuła pieśczoła w kulminacyjnym momencie była aktem bezgranicznej wyrozumiałości, z jaką jeszcze nigdy w życiu się nie spotkał.

Żałował tylko, że sam nie był tak pewny swojej całkowitej niewinności jak Ellie. Musi odzyskać brakujące fragmenty pamięci, po które tu przybył. Modlił się do Boga i do swojej utraconej matki o litość, gdyż bał się, iż odkryje prawdę świadczącą, że był w pełni synem swojego ojca.

Ellie natchnęła go odwagą do działania. Bojąc się, że ten stan minie, zwrócił się w stronę drzwi do

piwnicy. Rocky spojrział na niego i zaskowyczał. Spencer pogłaskał go po głowie.

Na drzwiach było więcej brudu, niż kiedy je widział ostatnio. W niektórych miejscach farba odłaziła całymi płatami.

– Były zamknięte, ale wyglądały inaczej niż teraz – powiedział, wracając wspomnieniami do owego odległego lipca. – Ktoś musiał zetrzeć plamy rąk.

– Rąk?

Zdjął rękę z psiego łba i wskazał na drzwi.

– Od gałki, łukiem poprzez górną część... dziesięć albo dwanaście nakładających się śladów kobiecych dłoni, z rozczapierzonymi palcami... jak ptasie skrzydła... ze świeżej krwi, jeszcze mokre... jaskrawoczerwone...

Przesunął ręką po zimnym drewnie i ujrzał je znowu, świeże i lśniące. Były tak realne jak tamtej nocy, ale zdawał sobie sprawę, że to tylko obraz z jego pamięci, widzialny dla niego, ale nie dla Ellie.

– Hipnotyzują mnie, nie mogę oderwać od nich oczu, gdyż są świadectwem najwyższego kobiecego przerażenia... rozpaczy... szaleńczego oporu przeciw sile zmuszającej je do zejścia w dół... w tajemniczą otchłań pod ziemią.

Uświadomił sobie, że trzyma rękę na gałce. Czuł pod palcami jej chłód.

Drżenie głosu sprawiło, że wydawał mu się odmłodzony.

– Patrzę na krew... wiem, że ona potrzebuje pomocy... nie mogę tam wejść... Jezu, po prostu nie mam odwagi. Jestem tylko małym chłopcem, bosym, nieuzbrojonym, wystraszone, nieprzygotowanym na poznanie prawdy. Ale jakoś, stojąc tu, gdzie teraz, skamieniały ze strachu... jakoś w końcu otwieram czerwone drzwi...

Ellie nabrała tchu.

– Spencer!

Bijące z jej głosu zaskoczenie i waga, jaką nadała jego imieniu, wytrąciły go ze wspomnień i zaalarmowały, chociaż byli sami.

– Kiedy w zeszły wtorek wieczorem szukałeś baru... czemu zatrzymałeś się tam, gdzie ja pracowałam?

– Bo był pierwszy, jaki zauważyłem.

– I to wszystko?

– Prócz tego nigdy w nim jeszcze nie byłem. Zawsze chodzę do nieznanym.

– Czy jego nazwa nic ci nie mówi?

Patrzył na nią, nie rozumiejąc.

– „Czerwone Drzwi”.

– Dobry Boże.

Dopiero teraz uświadomił sobie skojarzenie.

– Nazwałeś te drzwi czerwonymi – powiedziała.

– Ze względu... na krew, na te krwawe odciski rąk.

Od szesnastu lat próbował znaleźć w sobie odwagę, żeby wrócić do ciągle żywego koszmaru za czerwonymi drzwiami.

Kiedy tamtej deszczowej nocy w Santa Monica zobaczył bar koktajlowy o pomalowanym na czerwono wejściu, neonowym napisem „Czerwone Drzwi” nad drzwiami, nie był w stanie go ominąć. Możliwość przekroczenia symbolicznych drzwi, w czasie gdy nie mógł pozbiierać się na tyle, żeby wrócić do Kolorado i otworzyć te drugie – jedyne ważne, była dla jego podświadomości nie do odparcia,

a jednocześnie nie mogła wywołać niebezpiecznych następstw w świadomości. A jednak przekroczenie symbolicznych drzwi doprowadziło do tego, że stoi teraz w korytarzyku za sosnową szafą, gdzie za chwilę przekręci zimną mosiężną gałkę, którą trzyma w ręce, otworzy te właściwe drzwi i zejdzie do katakumb, w których przed szesnastu laty zostawił część samego siebie.

Jego życie wiodło szlakiem, na który składało się częściowo fatum, a częściowo własny wybór. Choć jego obecność tutaj zdawała się dziełem przypadku, żywił nadzieję, że odtąd będzie potrafił kierować swoim życiem tak, żeby nie miało nic wspólnego z przeszłością. Inaczej dojdzie do przekonania, że w gruncie rzeczy jest synem swojego ojca, a z takim brzemieniem nie umiałby dalej żyć.

Przekręcił gałkę.

Rocky odsunął się z drogi.

Spencer otworzył drzwi.

Żółte światło z korytarza oświetliło kilka betonowych stopni wiodących w ciemność piwnicy.

Po prawej stronie framugi wymacał włącznik i przekręcił go. W piwnicy zapaliło się niebieskie światło. Nie wiedział, dlaczego ojciec wybrał właśnie taki kolor. Jego nieumiejętność myślenia tymi samymi torami i rozumienia tak ważnych szczegółów wydawała się potwierdzać fakt, że różni się – przynajmniej pod istotnymi względami – od człowieka, którego nienawidził. Schodząc po stromych stopniach, zgasił latarkę. Postanowił, że dalsza droga w dół będzie wyglądała tak samo jak owej lipcowej nocy i jak we wszystkich późniejszych nocnych koszmarach.

Rocky wraz z Ellie postępowali za nim.

Podziemne pomieszczenie nie rozciągało się pod całą stajnię. Miało wymiary zaledwie dwadzieścia stóp na dwanaście. Piec centralnego ogrzewania i grzejnik ciepłej wody zainstalowano w szafie na górze. Pomieszczenie było całkowicie puste. Betonowa podłoga i ściany wyglądały w niebieskim świetle, jakby wykonano je ze stali.

– Tutaj? – spytała Ellie.

– Nie. Tutaj trzymał albumy z fotografiami i taśmy wideo.

– Chyba nie...

– Owszem. Z nimi... jak umierały. Pokazywały to, co z nimi robił: krok po kroku.

– Wielki Boże.

Spencer chodził po piwnicy, oglądając ją, podobnie jak oglądał ją owej nocy, kiedy wejście czerwieniało od krwi.

– Za czarną zasłoną na końcu pomieszczenia znajdowały się albumy i mała ciemna fotograficzna. Tam, na czarnym metalowym stoliku, stał telewizor. Obok niego wideokamera. Tu, przed telewizorem, stało pojedyncze krzesło. Nawet niezbyt wygodne: drewniane, proste, niewyściełane, pomalowane na zielono. Obok krzesła znajdował się mały, okrągły stolik na drinki. Stolik miał szkarłatny kolor. Krzesło było matowe, ale stolik błyszczał jak lustro. Kryształowa, grawerowana szklanka, z której pił, miała delikatny ornament; niebieskie światło skrzyło się na wszystkich nacięciach.

– A gdzie on... – W tym momencie zauważyła drzwi, które były wpuszczone w ścianę i pomalowane na ten sam kolor. Odbijały niebieskie światło tak samo jak beton, niemal stapiając się ze ścianą. – Tam?

– Tak. – Jego głos był cichszy i bardziej odległy niż krzyk, który go wówczas obudził.

Stał nieruchomo, mając wrażenie, że grunt usuwa mu się spod nóg.

Ellie podeszła i ujęła go za rękę.

– Zrób to, po co tu przyjechałeś, i wynośmy się stąd jak najdalej.

Skinął głową. Nie miał zaufania do własnego głosu.

Uwolnił rękę z jej uścisku i otworzył ciężkie szare drzwi. Miały zamek tylko z przeciwnej strony.

Tamtej nocy, kiedy dotarł do tego miejsca, jego ojciec nie dokończył jeszcze wiązać kobiety w swojej katowni, więc drzwi zastał otwarte. Po spętaniu ofiary z pewnością wróciłby do korytarzyka na górze, zamknąłby od wewnątrz sosnowe drzwi szafy, wtoczyłby jej wnętrze na miejsce, zamknąłby górne drzwi wejściowe do piwnicy i na końcu zamknąłby za sobą od wewnątrz szare. Potem zająłby się swoją ofiarą, pewny, że żadne krzyki, nawet najbardziej przenikliwe, nie będą słyszalne w stajni ani na zewnątrz.

Spencer przekroczył wystający betonowy próg wejścia. Do szorstkiego ceglanego muru przymocowano włącznik światła. Od niego prowadziła w głąb czeluści metalowa rurka izolacyjna. Zapalił światło i zobaczył girlandy małych lampek, zwieszających się z przyczepionego do sufitu przewodu, znikającego za załamaniem przejścia.

Nagle Ellie szepnęła:

– Spencer, zaczekaj!

Kiedy zajrzał do pierwszego pomieszczenia, zobaczył, że Rocky wrócił do stóp schodów. Pies trząsał się wyraźnie, patrząc w stronę korytarzyka na tyłach szaf pomieszczenia z aktami. Jedno ucho miał jak zwykle obwisłe, ale drugie się czujnie wyprężyło. Ogon trzymał nieruchomo tuż przy samej ziemi.

Spencer wrócił do pierwszego pomieszczenia i wyciągnął zza pasa pistolet.

Ellie zdjęła z ramienia uzi, ujęła je dwiema rękami, minęła psa i zaczęła powoli, cały czas nasłuchując, wspinać się po stromych stopniach.

Spencer w towarzystwie Rocky'ego posuwał się bezszelestnie za nią.

Artysta i Roy stali w korytarzyku, obok otwartych drzwi, przyciskając się plecami do ściany i słuchając rozmowy dwojga ludzi w piwnicy. Klatka schodowa nadawała pogłos wszelkim dźwiękom, mimo to słowa były zrozumiałe.

Roy miał nadzieję usłyszeć coś, co wyjaśniłoby związek Spencera z tą kobietą, a przynajmniej okruchy informacji świadczące o istnieniu spisku przeciw organizacji i o zawiązaniu się tajnego bractwa, o którym wspominał Stevenowi przed kilkoma minutami w galerii na górze. Oni jednak rozmawiali tylko o jakiejś nocy sprzed szesnastu lat.

Steven wydawał się rozbawiony podsłuchiwaniami rozmowy na swój temat. Dwa razy odwrócił głowę, uśmiechając się do Roya, a raz podniósł palec do warg, jak gdyby nakazując mu, żeby zachowywał się cicho.

Było w nim coś z chochlika – pewna figlarność, która czyniła z niego dobrego kompana. Roy żałował, że będzie musiał odstawić go do więzienia. Nie widział jednak szans, żeby w aktualnej napiętej atmosferze politycznej kraju można było uwolnić artystę, czy to oficjalnie, czy nieoficjalnie. Doktor Sabrina Palma będzie miała na powrót swojego dobroczyńcę. Roy mógł tylko żywić nadzieję, że znajdzie jakieś wiarygodne powody, żeby odwiedzać go od czasu do czasu albo nawet uzyskać dla niego warunkowe zwolnienie pod pozorem pomocy w innych operacjach organizacji.

Kiedy kobieta szepnęła alarmująco do Granta: „Spencer, zaczekaj!”, Roy domyślił się, że musiał ich zwięszyć pies. Sami nie robili najmniejszego hałasu, zatem mógł to być tylko ten przeklęty kundel.

Roy rozważył możliwość przeciśnięcia się obok artysty do krawędzi otwartych drzwi. Mógłby wówczas strzelić w głowę pierwszej osobie, która wyłoni się z wychodzących z piwnicy schodów.

Nie miał gwarancji, że to nie będzie Grant. Nie chciał go zabijać, dopóki nie wyciągnie z niego odpowiedzi na parę pytań. Gdyby zaś zabił kobietę, Steven nie miałby możliwości doprowadzenia jej do stanu anielskiej urody.

Brzoskwiniowy wdech. Żółtozielony wydech.

Mogło być jeszcze gorzej. Zakładając, że para na dole miała pistolet maszynowy, którym zniszczyła stabilizator helikoptera w Cedar City, i zakładając, że pierwsza osoba, która wyłoni się z piwnicy, będzie w niego uzbrojona, ryzyko spotkania w wąskim przejściu było za wielkie. Gdyby chybił, próbując trafić w głowę, seria z miniaturowego uzi posiekałaby jego i Stevena na kawałki.

Lepiej było siedzieć cicho.

Dotknął ramienia artysty i gestem nakazał mu iść za sobą. Nie mogli dotrzeć szybko do otwartego tyłu szafy, a potem przez jej sosnowe drzwi do pokoju, ponieważ musieliby minąć otwarte drzwi do piwnicy. Gdyby nawet żadne z tamtych nie weszło jeszcze dość wysoko, żeby ich ujrzeć, to przechodząc środkiem korytarzyka, pod żółtą żarówką, rzuciliby alarmujące cienie. Przyciśnięci plecami do betonowej ściany, odsuwali się od drzwi do piwnicy w stronę miejsca naprzeciw wejścia do szafy. Tam wcisnęli się do ciasnej przestrzeni za zamontowaną na specjalnych szynach tylną ścianą szafy, którą Grant lub kobieta wepchnęli do wnętrza korytarzyka. Ruchoma część szafy była wysoka na siedem stóp i miała ponad cztery stopy szerokości. Między nią a betonową ścianą pozostawała osiemnastocalowa szczelina. Ustawiona pod pewnym kątem do drzwi do piwnicy, stwarzała wystarczającą kryjówkę.

Gdyby Grant lub kobieta, lub oboje razem weszli do korytarzyka i zmięrzali w stronę wyjścia, Roy mógł wychylić się z ukrycia i strzelić do obojga z tyłu, starając się ich unieszkodliwić, a nie zabić.

Gdyby jednak próbowali zajrzeć do wąskiej szczeliny za odsuniętym wnętrzem szafy, mógł ich zastrzelić, zanim zdążyliby odpowiedzieć ogniem.

Brzoskwiniowy wdech. Żółtozielony wydech.

Słuchał z natężoną uwagą. W prawej dłoni trzymał skierowany lufą do góry pistolet.

Usłyszał ukradkowy szmer buta na betonie. Któreś z nich szło do szczytu schodów.

Spencer został na dole. Żałował, że Ellie nie dała mu szansy pójścia przed nią.

Stała na trzecim stopniu od góry i ponad pół minuty nasłuchiwała, a potem poszła wyżej, zatrzymując się na podeście. Zamarła tam przez chwilę, ciemna sylwetka na tle żółtego prostokąta światła padającego z górnego pomieszczenia, podkreślona niebieskim światłem z piwnicy, podobna do ostro zarysowanych postaci z obrazów modernistów.

Spencer zauważył, że Rocky przestał się interesować korytarzykiem na górze i odszedł w stronę otwartych szarych drzwi do drugiego pomieszczenia piwnicy.

Na górze Ellie przekroczyła próg i zatrzymała się, rozglądając się i nasłuchując.

Spencer popatrzył na psa. Ze sterczącym uchem i podniesioną głową, drżąc, zaglądał ostrożnie do przejścia prowadzącego do katakumb i do serca koszmaru.

– Zdaje się, że kosmatolicy ma nowy atak hysterii – powiedział Spencer.

Popatrzyła na niego z korytarza.

Z tyłu za nim Rocky wydał przeciągły skowyt.

– Jest teraz przy drugich drzwiach i zaraz zrobi kałużę, jeżeli nie będę na niego patrzył.

– Wygląda na to, że tu jest wszystko w porządku – powiedziała i zeszła z powrotem do piwnicy.

– Po prostu czuje duchy – wyjaśnił Spencer. – Mój przyjaciel czuje się wylękniony prawie we wszystkich nowych miejscach. Tym razem to jest pioruńsko usprawiedliwione.

Zabezpieczył pistolet i wsunął go z powrotem za pasek dzinsów.

– Nie tylko on czuje duchy – zauważyła Ellie, zakładając uzi na ramię. – Skończmy z tym.

Spencer ponownie przekroczył próg. Z każdym krokiem naprzód cofał się o krok w przeszłość.

Zostawili mikrobus na ulicy wskazanej Harrisowi przez człowieka z telefonu. Darius, Bonnie i Martin szli wraz z Harrisem, Jessicą i dziewczynkami przez park ku odległej o sto pięćdziesiąt jardów

plaży.

Pod stożkami światła padającymi z wysokich latarni ulicznych nie było widać nikogo, ale z ciemności dobiegały niesamowite śmiechy. Przez łoskot przybrzeżnych fal przebijały się, dochodzące z wszystkich stron, urywane i dziwne głosy. Jakaś kobieta, której głos dowodził, że była nieźle podniecona, krzyczała: „Lubisz ty cipkę, kochanie, rzeczywiście lubisz cipkę”. W sporej odległości od niewidzialnej kobiety rozbrzmiewał piskliwy, męski śmiech. Z przeciwnej strony dobiegało szlochanie jakiegoś starszego mężczyzny. Jeszcze inny, niewidoczny mężczyzna o młodym czystym głosie powtarzał bez końca te same trzy słowa, jak gdyby odmawiał mantry: „Oczy na językach, oczy na językach, oczy na językach...”. Harris pomyślał, że prowadzi swoją rodzinę przez ogród szpitala dla wariatów.

W tekturowych pudłach, puszczelnianych gazetami i starymi kocami, ukrytych wśród gęstszych skupisk krzaków, mieszkali bezdomni alkoholicy i dziwacy. W ciągu dnia park i plaża zapełniały się tłumem opalonych wrotkarzy, surfingowców i poszukiwaczy złudzeń. W tym czasie stali rezydenci wędrowali po ulicach, zaglądając do śmietników, zebrząc i szukając czegoś, o czym tylko sami wiedzieli. Ale w nocy park należał znowu do nich, a trawniki, ławki i boiska do piłki ręcznej były równie zdradliwe jak wszystkie miejsca na ziemi. W ciemności zbłąkane dusze wypęzły z ukrycia, napadając wzajemnie na siebie. Mogły zapolować również na nieostrożnych spacerowiczów, którzy mylnie sądzili, że park powinien służyć wszystkim w ciągu całej doby.

Było to niebezpieczne miejsce dla kobiet i dziewcząt, niezbyt bezpieczne nawet dla uzbrojonych mężczyzn – ale stanowiło jedyną krótką drogę nad brzeg morza, do wejścia na stare moło. Umówili się na schodach wiodących na moło z kimś, kto miał ich stamtąd zabrać w nową, nieznaną przyszłość.

Sądzili, że będą musieli czekać. Tymczasem zanim zbliżyli się do ciemnej konstrukcji, z cienia pomiędzy podporami powyżej linii przypływu wyszedł mężczyzna, który dołączył do nich u stóp schodów.

Mimo że w pobliżu nie było latarni, w łunie bijącej od miasta Harris rozpoznał Azjatę ubranego w sweter z reniferami, którego spotkał wcześniej tego wieczora w toalecie kina w Westwood.

– Bażanty i smoki – powiedział mężczyzna, jak gdyby nie był pewny, czy Harris potrafi odróżnić jednego Azjatę od drugiego.

– Poznają pana – odparł Harris.

– Uzgodniliśmy, że przyjdziecie sami – upomniał go łącznik, ale bez gniewu.

– Chcieliśmy się z nimi pożegnać – wyjaśnił Dariusz. – Nie wiemy... chcielibyśmy się dowiedzieć, jak można się będzie z nimi skontaktować?

– To niemożliwe – odparł mężczyzna. – Przykro mi to mówić, ale musicie się pogodzić z tym, że prawdopodobnie już ich nigdy nie zobaczycie.

Jeszcze w mikrobusie, zanim Harris zatelefonował sprzed pizzerii, i później, po drodze do parku, wspomnieli o prawdopodobieństwie rozstania się na zawsze. Przez dłuższą chwilę żaden z nich nie potrafił wykrztusić słowa. Patrzyli na siebie w rozpacz, nie chcąc w to uwierzyć, niemal porażeni taką perspektywą.

Człowiek w swetrze z reniferami odsunął się o kilka kroków, żeby ich nie krępować, ale przedtem rzucił uwagę:

– Mamy mało czasu.

Chociaż Harris stracił dom, pieniądze, pracę i wszystko inne z wyjątkiem tego, co miał na grzbiecie – te straty wydawały się teraz bez znaczenia. Gorzkie doświadczenie nauczyło go, że własność prywatna

była wprawdzie podstawą wszelkich praw obywatelskich, ale kradzież majątku do ostatniego centa nie stanowiła dla niego choćby jednej dziesiątej – a nawet jednej setnej – ciosu, którym była świadomość utraty na zawsze najbliższych. Kradzież domu i pieniędzy stanowiła tylko niewygodę, lecz ta strata zraniła go wewnątrz, jak gdyby wycięto mu kawał serca.

Pożegnali się niemal bez słów – gdyż żadne słowa nie mogły wyrazić tego, co czuli. Ściskali się aż do bólu, wiedząc, że rozstają się na zawsze i spotkają się dopiero na drugim brzegu. Ich matka wierzyła w ów daleki i doskonalszy brzeg. Obaj z czasem odeszli od jej wiary, ale w tej dramatycznej chwili wróciła do nich z całą mocą. Harris uściskał Bonnie, potem Martina, a na końcu podszedł do brata, który z oczami pełnymi łez żegnał się z Jessicą. Objął Dariusza i pocałował go w policzek. Nie pocałował go od niepamiętnych czasów, gdyż od dawna uważali, że byli na to zbyt dorośli. Teraz pomyślał z odrazą o zasadach, które przyjął jako wzór dorosłego zachowania, ponieważ okazało się, że w jednym pocałunku można było zawrzeć wszystko, co było do powiedzenia.

Uderzenia fal o podpory mola były niewiele głośniejsze niż bicie serca Harrisa, kiedy w końcu wysunął się z objęć brata. Przeklinając, że panuje zmrok, przyglądał się ostatni raz w życiu jego twarzy, starając się wryć ją sobie w pamięć, gdyż nie zabierał z sobą nawet jego zdjęcia.

- Musimy już iść – ponaglił człowiek w swetrze z reniferami.
- Może wszystko wróci do normy – powiedział Dariusz.
- Miejmy nadzieję.
- Może na świecie zapanuje rozsądek.
- Uważajcie, jak będziecie wracali przez park – zatroskał się Harris.
- Jesteśmy bezpieczni – odparł Dariusz. – Nikt z tamtych nie jest groźniejszy ode mnie. Jestem przecież adwokatem.

Śmiech Harrisa niewiele się różnił od szłochu.

Zamiast słów pożegnania powiedział tylko:

– Mały bracie.

Dariusz skinął głową. Przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Potem zdobył się na wysiłek.

– Duży bracie.

Jessicą i Bonnie rozeszły się, obie z chusteczkami przy oczach.

Dziewczynki rozstały się z Martinem.

Człowiek w swetrze z reniferami poprowadził rodzinę Harrisa na południe, wzdłuż brzegu, podczas gdy rodzina Dariusza została przy wejściu na molo, patrząc za odchodzącymi. Szli jasnym szlakiem, jaki widuje się tylko we śnie. Fosforyzująca piana przybrzeżnych fal gasła na piasku z sykiem przypominającym niezrozumiałe, ostrzegawcze głosy z koszmarów sennych.

Harris obejrzał się trzykrotnie, ale więcej nie mógł. Szli dalej wzdłuż brzegu, mimo że byli już daleko za parkiem. Minęli kilka restauracji, zamkniętych w ten poniedziałkowy wieczór, potem hotel, kilka kondominiów i kilka oświetlonych nadbrzeżnych rezydencji, gdzie toczyło się zwykłe domowe życie.

Po półtorej mili, może nawet po dwóch, doszli do innej restauracji. Wewnątrz paliło się światło, ale okna były zbyt wysoko, żeby zauważyć, czy przy stołach siedzą goście. Człowiek w swetrze z reniferami powiódł ich od brzegu w stronę restauracji. Minęli ją, wkroczyli na parking przed wejściem i podeszli do zielono-białego samochodu kempingowego, tak wielkiego, że zwykłe samochody wyglądały przy nim jak karty.

– Czemu mój brat nie mógł przywieźć nas od razu tutaj? – spytał Harris.

– Nie byłoby dobrze, gdyby zapamiętał ten samochód albo jego numer rejestracyjny – odparł łącznik.

– Ze względu na jego własne bezpieczeństwo.

Weszli za nieznajomym do wnętrza samochodu przez boczne drzwi, znajdujące się za siedzeniem kierowcy i poszli do kuchni. Łącznik zatrzymał się przy drzwiach i polecił im pójść dalej, w stronę tylnych pomieszczeń.

Za kuchnią znajdowała się jadalnia. Przy stole czekała na nich Azjatka w wieku około pięćdziesięciu lat. Była ubrana w czarne spodnie i czerwoną chińską bluzkę. Miała niezwykle delikatną twarz i uśmiechała się ciepło.

– Jak to miło, że przyszliście – powiedziała, jak gdyby składali jej wizytę towarzyską. – Jadalnia jest na siedem osób, więc dla nas pięciorga wystarczy aż nadto. Porozmawiamy podczas drogi, a mamy wiele do omówienia.

Zajęli miejsca na ustawionych w podkowę siedzeniach wokół stołu.

Człowiek w swetrze z reniferami usiadł za kierownicą i zapuścił silnik.

– Nazywajcie mnie Mary – powiedziała Azjatka. – Lepiej, żebyście nie znali mojego nazwiska.

Harris zastanawiał się, czy wyprowadzać ją z błędu, ale nie potrafił być nieuczciwy.

– Wiem, kim pani jest, i jestem pewny, że moja żona również.

– Tak – potwierdziła Jessica.

– Bywaliśmy w waszej restauracji w West Hollywood – powiedział Harris. – Często pani albo pani mąż witaliście gości przy wejściu.

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

– Miło mi, że poznaliśmy się w... innych okolicznościach.

– Byliście zawsze tacy serdeczni – powiedziała Jessica. – Niełatwo o was zapomnieć.

– Jak wam smakowały nasze dania?

– Zawsze były znakomite.

– Dziękuję. To bardzo miłe z pani strony. Staramy się, jak możemy. Wiedziałam już, jak mają na imię wasze córki, a teraz mogę je poznać osobiście. – Sięgnęła ponad stołem i ujęła ręce dziewczynek. – Ondine, Willa, nazywam się Mae Lee. Cieszę się, że was poznałam i chciałabym, żebyście się niczego nie obawiały. Jesteście w dobrych rękach.

Samochód wymanewrował się z parkingu na ulicę i odjechał.

– Dokąd się udajemy? – spytała Willa.

– Przede wszystkim jak najdalej od Kalifornii – odparła Mae Lee. – Do Las Vegas. Na trasie stąd do Las Vegas jeździ mnóstwo samochodów kempingowych. Stanowimy jeden więcej. Tam was oddam pod opiekę kogoś innego. Zdjęcie waszego ojca będzie przez jakiś czas we wszystkich mediach, ale podczas gdy oni będą opowiadali o nim swoje kłamstwa, wy będziecie w bezpiecznym i spokojnym miejscu. Zmienicie, na ile się da, swój wygląd i dowiedcie się, jak moglibyście pomóc ludziom, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji. Będziecie mieli inne imiona i nazwiska i zmienicie fryzury. Pan Descoteaux zapuści brodę i popracuje z nauczycielem dykcji, żeby pozbyć się karaibskiego akcentu, mimo że brzmi tak przyjemnie. Czeka was mnóstwo zmian i więcej zabawy, niż możecie sobie teraz wyobrazić. A przy tym znaczącej pracy. Świat się nie skończył, dziewczynki, ale przysłania go skraj czarnej chmury. Trzeba przeciwdziałać, żeby chmura nas nie połknęła. Obiecuję wam, że do tego nie dojdzie. A teraz, zanim się do tego zabierzemy, czego się państwo napiją? Jest herbata, kawa, wino, piwo i napoje orzeźwiające.

...boso, bez koszuli, jeszcze bardziej zmarznięty niż na zewnątrz, stoję w rozjaśnionym niebieskim świetle w pomieszczeniu, za zielonym krzesłem i purpurowym stolikiem, przed otwartymi drzwiami, zdecydowany skończyć szpiegowanie i uciec z powrotem w gorącą letnią noc, tam gdzie chłopiec może

się znów poczuć chłopcem i gdzie prawda, o której jeszcze nie wiem, że ją znam, może nigdy nie wyjść na jaw.

Mimo to, jakby przyciągany magiczną siłą, opuszczam niebieski pokój i wchodzę do czegoś, co kiedyś musiało być piwnicą dawniejszej stajni, która stała na miejscu przylegającym do obecnej. Stara stajnia została rozebrana, teren po niej wyrównany i obsiany trawą, ale piwnice zostawiono nietknięte i połączono je z piwnicami nowej stajni.

Idę naprzód wbrew swojej woli. Ale choć drzę ze strachu przed tajemniczą siłą, która mnie ciągnie, idę z wewnętrznej potrzeby poznania prawdy. Tłumię ją w sobie od chwili śmierci mojej matki.

Jestem w zakrzywiającym się korytarzu, szerokim na sześć stóp. Środkiem łukowatego sklepienia biegnie przewód elektryczny, z zainstalowanymi co stopę żaróweczkami, takimi samymi jak na świątecznej choince. Ściany są z szorstkich, czerwono-czarnych cegieł, niedbale pospajanych zaprawą. Gdziegdzie pokrywają je płyty lub pasy brudnego białego gipsu, sprawiając wrażenie polci przerośniętego tłuszczem mięsa.

Zatrzymuję się w zakręcającym korytarzu i słyszę oszalałe bicie swojego serca. Wyteżam słuch, starając się wyłapać jakieś odgłosy ze znajdujących się przede mną pomieszczeń i odgadnąć, co mnie w nich spotka. Nasłuchuję odgłosów z tyłu w oczekiwaniu na pretekst do odwrotu do bezpiecznego świata poza piwnicą. Ale wszędzie jest cicho i tylko tętent serca świadczy o tym, że prawda o mamie znajduje się w zasięgu ręki, a wszystko inne jest światem, który po moim powrocie będzie już nie do wytrzymania.

Podłoga jest kamienna. Czuję się, jakbym stapał po lodzie. Opada dość stromo, ale zakręca łagodnym łukiem, pozwalającym bez utraty równowagi sprowadzać po niej taczki albo wjeżdżać nimi bez większego wysiłku pod górę.

Idę boso po lodowatych płytach kamiennych, mijam zakręt i wchodzę do pomieszczenia długości trzydziestu stóp, szerokiego na dwanaście. Podłoga jest tu pozioma i równa. Sufit płaski i niski. Jedyne światło pochodzi od ciągnącego się wzdłuż sufitu sznura białych żarówek choinkowych. Dawniej, zanim na farmę doprowadzono prąd, mieściła się tu zapewne chłodnia pełna sierpniowych ziemniaków i wrześniowych jabłek, dostatecznie głęboka, żeby utrzymać niską temperaturę w lecie i nie zamarzać zimą. Niegdyś z pewnością stały tu półki na przetwory z owoców i warzyw.

Czymkolwiek to pomieszczenie było w przeszłości – obecnie ma zupełnie inny charakter. Całą jedną ścianę i połowę drugiej zajmuje kompozycja wyrzeźbionych w białym gipsie naturalnej wielkości postaci ludzkich, wychylających się z murowanej ściany, jak gdyby próbowały się z niej wyrwać. Dorosłe kobiety, również dziesięć – albo dwunastoletnie dziewczynki. Jest ich dwadzieścia, trzydzieści, a może nawet czterdzieści. Wszystkie są nagie. Niektóre w osobnych wnękach, inne grupami po dwie lub trzy, twarz przy twarzy, zachodzące na siebie tu i ówdzie ręce. Kilka z nich trzyma się za ręce, jak gdyby w chwili trwogi szukały pocieszenia. Ekspresja tych postaci jest nie do zniesienia. Krzyczą, błagają o litość, umierają, skręcają się, cierpią – pogrążone w niewyobrażalnym bólu i strachu. U wszystkich postaci widać, że są katowane. Ręce niektórych układają się w obronnym geście albo są błagalnie wyciągnięte, u innych osłaniają piersi lub przyrodzenie. Jedna z kobiet patrzy poprzez rozczapierzone palce ręki, którą okryła twarz. Groza pomieszczenia jest nie do wytrzymania, nawet gdyby postacie były tylko tym, czym się na pierwszy rzut oka wydają, a więc rzeźbami, tworam i obłąkanego umysłu. Ale jest znacznie gorzej. Nawet w panującym półmroku ich puste, białe spojrzenia przeszywają mnie na wylot i przygważdżają do podłogi. Twarz Meduzy była tak ohydna, że kto ją ujrzał, zamieniał się w kamień. Te twarze nie są odrażające. Paraliżują mnie, gdyż należą do kobiet, które mogły być matkami, podobnymi

do mojej, należą do młodych dziewcząt, które mogły być moimi siostrami, gdybym miał szczęście mieć siostry. Należą do kobiet, które były kochane i same kochały, rozkoszowały się słońcem i deszczem, śmiały się, śniły o przyszłości, martwiły się i cieszyły. Paraliżują mnie, ponieważ łączy nas zwykła, ludzka wspólnota uczuć, ponieważ odczuwam ich przerażenie i jestem nim wstrząśnięty. Ucieleśnienie ich męki jest tak ekspresyjne, że czuję się, jakbym cierpiał i umierał wraz z nimi. Malująca się na ich twarzach świadomość, że są przez wszystkich opuszczone i przeraźliwie samotne w ostatnich godzinach życia, odpowiada uczuciu wyobcowania i samotności, które teraz odczuwam.

Widok ich jest nie do zniesienia. Zmuszam się jednak do patrzenia, gdyż wiem, mimo że mam tylko czternaście lat, iż to, co wycierpiały, wymaga zapamiętania... i żalu... i wielkiego gniewu.

Patrzę na matki, które mogły być moimi matkami, na dziewczynki, które mogły być moimi siostrami, i czuję, że sam również jestem jego ofiarą.

Wszystkie postacie są z gipsu. Gips jest tu jedynie tworzywem utrwalającym prawdziwy wygląd tych kobiet w chwili śmierci, przetworzony przez niego za pomocą wymyślnych konstrukcji na szyderczą makabrę. Nawet w panującym tu kojącym, rozświetlonym tylko łańcuchem żarówek choinkowych półmroku mogę dostrzec miejsca, gdzie gips zmienił barwę pod wpływem przenikających od środka, nieokreślonych substancji w kolorach rdzy, szarości i żółtawej zieleni, stanowiących biologiczną patynę, z której można określić datę śmierci poszczególnych kobiet.

Panujący tu zapach jest nie do opisanania, nie tyle ze względu na nieapetyczność, ile na jego złożoność, chociaż jest wystarczająco obrzydliwy, żebym poczuł mdłości. Później okazało się, że balsamował ciała w gipsowych sarkofagach przy użyciu wywarów, które sporządził według recept czarnoksiężników. W znacznej mierze to mu się udało, chociaż tu i ówdzie nastąpił rozkład. Zapach należy do świata rozpościerającego się pod trawnikami cmentarzy... nie otwieranych od wieków trumien. Przy tym wszystkim jest zdominowany przez aromaty tak ostre i gryzące jak amoniak i świeże jak woń cytryny. Jest gorzki i kwaśny, i słodki, i tak niesamowity, że nawet bez tych wszystkich odcieni przyprawiłby mnie o galopowanie serca i zmroził krew w żyłach.

W nie zapełnionej do końca ścianie znajduje się już otwór, przygotowany dla nowego ciała. Cegły zostały wykute i ustawione w sterty obok wnęki. W gruncie przy ścianie wydrążył dziurę. Wybrana ziemia została już wyniesiona. W pobliżu wnęki stoją rzędem pięćdziesięciofuntowe worki suchej zaprawy murarskiej, długie, wykładane blachą koryto do mieszania zaprawy, dwa pojemniki ze szczeliwem smołowym, narzędzia murarskie i rzeźbiarskie, sterta drewnianych kołków, zwoje drutu i jeszcze inne przedmioty, których nie mogę rozpoznać.

Wszystko jest już przygotowane. Trzeba mu tylko kobiety, która stanie się następną figurą kompozycji. Ale ona też już jest – ta sama, która straciła kontrolę nad własnym pęcherzem w tęczowej furgonetce. To jej dłonie zostawiły krwawe, skrzydlate ślady na drzwiach korytarzyka.

Coś wypełza ukradkiem ze świeżo wykutego otworu i szybko przemyka między narzędziami i materiałami poprzez plamy białego światła i obszary mroku. Na mój widok zamiera, podobnie jak ja zamarłem przed zakatowanymi kobietami. To szczur, ale niepodobny do zwykłych szczurów. Ma zdeformowaną czaszkę, jedno oko niżej od drugiego i trwale wykrzywiony pysk z odsłoniętymi zębami. Za nim pomyka drugi i również kamienieje na mój widok, stając na tylnych łapkach. Ten także różni się od innych szczurów, pokryty jest kostnymi lub może chrząstkowatymi naroślami i ma niezwykle szeroki nos. Są członkami małej szczurzej rodziny, gnieźdzącej się w katakumbach, ryjacej korytarze z tyłu kompozycji ściennej, żywiącej się po części mięsem nasyonym toksycznymi chemikaliami konserwującymi. Każde kolejne pokolenie zawiera coraz więcej mutantów. Wreszcie otrząsają się

z zaskoczenia i znikają w jamie, z której wychynęły.

Szesnaście lat później pomieszczenie wyglądało inaczej niż w tamtą noc sowy i szczurów. Zaprawa murarska została odkuta i wywieziona, a ofiary powyjmowane z wnek w ścianach. Między kolumnami z czerwono-czarnych cegieł, z których ojciec Spencera pobudował podpory, widać było ziemię. Policja i patolodzy sądowi, którzy w tym pomieszczeniu spędzili wiele tygodni, powstawiali obok kolumn dodatkowe pionowe belki, jak gdyby nie dowierzali wytrzymałości podpór Stevena Ackbloma.

Suche, zimne powietrze pachniało teraz kamieniami i ziemią, ale był to świeży zapach. Zniknęły gryzące opary chemikaliów i smród biologicznego rozkładu.

Stojąc z Ellie i z psem w niskim pomieszczeniu, Spencer przypomniał sobie grozę, którą poczuł wówczas, kiedy miał czternaście lat. Dziwił się, że w mniejszym stopniu została spowodowana strachem, bardziej zaś odrazą i makabrycznością oglądanej sceny. Przypomniał sobie, że pod ich wpływem wstąpił w niego przede wszystkim gniew, a prócz tego przygnębienie z powodu śmierci kobiet i współczucie dla tych, którzy je kochali. Poczul się winny, że żadnej z nich nie zdołał ocalić.

Teraz ubolewał nad tą straconą bezpowrotnie szansą.

Przede wszystkim jednak ogarnęła go potrzeba oddania hołdu pomordowanym, jaką mógł odczuć w każdym miejscu, gdzie zginęli niewinni: począwszy od Kalwarii – po Dachau, po Babi Jar, po nieznane nekropolie, na których Stalin pogrzebał miliony, po pomieszczenia, które zajmował Jeffrey Dahmer, po izby tortur inkwizycji.

Ziemia żadnego miejsca zbrodni nie zostaje uświęcona przez morderców, którzy na niej zabijają. Mimo że sami często uważają się za działających z wyższych pobudek, w rzeczywistości są robakami żyjącymi w łajnie, a żaden robak nie może przekształcić nawet jednego centymetra kwadratowego ziemi w święty teren.

Święte natomiast stają się ich ofiary, gdyż każda z nich umiera zamiast kogoś innego, któremu los pozwolił przeżyć. Ponieważ wiele z nich umiera w miejsce innych, ich całopalenie jest nie mniej święte tylko z powodu, że zrzucił tak ślepy los.

Gdyby w uprzątniętych obecnie katakumbach były świece wotywnie, Spencer by je zapalił i patrzyłby w ich płomienie tak długo, aż by go oślepiły. Gdyby stał ołtarz – modliłby się u jego stóp. Gdyby mógł przywrócić do życia czterdzieści jeden tamtych kobiet i własną matkę lub nawet jedną z tych ofiar w zamian za własne życie, nie zawahałby się ani przez chwilę, mogąc w ten sposób uciec z tego świata z nadzieją, że znajdzie się w innym.

Ale mógł jedynie oddać cześć zmarłym poprzez zapamiętanie szczegółów ich ostatniej drogi. Jego obowiązkiem było zostać na zawsze świadkiem. Zapomnienie zbezczesciłoby pamięć tych, które tu umarły. Zapłaciłby za nie drogo – własną duszą.

Opowiadając o katakumbach, opisując wydarzenia z przeszłości, usłyszał płacz i nie mógł już dalej mówić. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Ruszał ustami, ale jego głos był częścią ciszy pomieszczenia.

W końcu wyrzucił z siebie krótki, wysoki, dziecięcy okrzyk udręki. Nie był podobny do krzyku, który wyrwał go z łóżka w tamtą lipcową noc, albo do tego, który później wyrwał go z odrętwienia. Ukrył twarz w rękach i stał, trzęsąc się, pogrążony w tak wielkiej żałości, że nie był w stanie płakać, czekając, aż paroksyzm rozpaczy minie.

Ellie wiedziała, że żadne słowa ani gesty nie przyniosą mu ukojenia.

Rocky, w swojej cudownej, psiej niewinności wierzył, że każdy smutek można rozproszyć machaniem ogona, przytulaniem się i lizaniem ręki pana. Otarł się bokiem o jego nogi, machając ogonem, i odszedł skonsternowany, że żadna z jego sztuczek nie podziałała.

Równie nieoczekiwanie jak przed paroma minutami, kiedy odebrało mu mowę, Spencer zorientował się, że może kontynuować opowiadanie.

– Usłyszałem ponownie krzyk kobiety. Brzmiał nie jak krzyk, ile raczej jak lament adresowany do Boga.

Zaczął iść ku ostatnim drzwiom, na końcu katakumb. Ellie i Rocky postępowali za nim.

– Mimo wstrząsu, jakiego doznałem na widok tych kobiet w ścianach, zapamiętałem coś, co zdarzyło się sześć lat wcześniej, kiedy miałem osiem lat. Był to krzyk mojej matki. Owej wiosennej nocy obudził mnie głód, więc wstałem z łóżka, żeby coś zjeść. Pamiętałem, że w kuchni stał słoik ze świeżymi ciasteczkami czekoladowymi. Zszedłem na dół. W niektórych pokojach paliło się światło. Myślałem, że spotkam gdzieś mamę albo tatę, ale nigdzie ich nie było.

Spencer zatrzymał się przed czarnymi drzwiami na końcu katakumb. Mimo że wszystkie ciała ekshumowano i zabrano, pomieszczenie zostanie już na zawsze katakumbami.

Ellie i Rocky stanęły obok niego.

– W kuchni było ciemno. Postanowiłem wziąć tyle ciasteczek, ile zdołam zabrać z sobą, więcej niż pozwalano mi zjeść naraz. Właśnie otwierałem słoik, kiedy usłyszałem przeraźliwy krzyk. Dochodził spoza domu. Podeszedłem do okna i rozchyliłem zasłony. Zobaczyłem na trawniku mamę. Biegła od stajni w stronę domu. On... on biegł tuż za nią. Dogonił ją na patio, tuż przy basenie. Odwrócił ją i uderzył w twarz. Znowu krzyknęła. Uderzył ją jeszcze raz. Potem jeszcze i jeszcze. Bił ją pięściami. Kiedy upadła, kopnął ją w głowę i wówczas znieruchomiała. Wszystko stało się tak szybko. Spojrzał w stronę domu, ale nie mógł mnie zauważyć w ciemnej kuchni, za szczeliną w zasłonach. Dźwignął ją z ziemi i zaniósł do stajni. Stałem jeszcze chwilę przy oknie, a potem włożyłem ciasteczka z powrotem do słoika i wróciłem na górę. Wszedłem do łóżka i schowałem się pod kołdrę.

– I przez sześć lat nic z tego nie pamiętałeś? – spytała Ellie.

Spencer potrząsnął przecząco głową.

– Pogodziłem się z tym. Dlatego nie mogłem spać przy włączonym urządzeniu klimatyzacyjnym. Podświadomie bałem się, że przyjdzie po mnie którejś nocy, a ja go nie usłyszę z powodu szumu urządzenia.

– I tej pamiętnej nocy, tyle lat później, śpiąc przy otwartym oknie, usłyszałeś ten drugi krzyk...

– Podziałał na mnie silniej, niż mógłbym się spodziewać. Pod jego wpływem wstałem z łóżka, poszedłem do stajni i dotarłem aż tutaj. A kiedy zbliżałem się do czarnych drzwi, ku miejscu, skąd dobiegał krzyk...

Ellie sięgnęła ku gałce blokady dźwigniowej, żeby otworzyć drzwi, ale powstrzymał ją.

– Jeszcze nie – powiedział. – Jeszcze nie jestem gotów wejść tam po raz drugi.

...idę boso po lodowatej posadzce, zbliżając się do czarnych drzwi, pełen strachu na myśl, co mogę za nimi zobaczyć, a także strachu wzbudzonego owej wiosny, kiedy miałem osiem lat. Strachu, który drzemał we mnie tak długo, ale teraz nagle wrócił ze wzmożoną siłą. Jestem nim niemal sparaliżowany. Nie ma słów, którymi mógłbym go opisać. Stoję przy czarnych drzwiach, dotykam ich – są tak czarne i lśniące jak niebo odbijające się w bezksiężycową noc w lustrze stawu. Jestem nie tylko przerażony, ale i zбитy z tropu, ponieważ wydaje mi się, że mam jednocześnie osiem lat i czternaście i że otwieram te drzwi nie tylko po to, żeby uratować kobietę, która zostawiła krwawe ślady dłoni na drzwiach korytarzyka, ale żeby ocalić również moją matkę. Przeszłość miesza mi się z teraźniejszością i w tym stanie ducha wchodzę do katowni.

Wchodzę w nieskończoną noc. Sufit jest czarny jak atrament, podobnie jak ściany i podłoga, będąca

niczym rynna piekła. Naga półprzutomna kobieta z rozchylonymi ustami, z których płynie krew, kręcąca głową w niemym proteście, leży przykuta kajdankami na poziomej płycie z wypolerowanej stali, która wydaje się wisieć w powietrzu, gdyż jej wsporniki są również czarne. Pojedyncze światło prosto nad stołem, także w czarnej oprawie. Światło unosi się w czarnej próżni, jak ciało niebieskie lub latarka jakiegoś boskiego inkwizytora, oświetlając błyszczącą stal. Ojciec jest ubrany na czarno. Widać tylko jego twarz i ręce, które wydają się odcięte, ale żyjące własnym życiem, jak gdyby on sam był duchem wykonującym realne zadanie. Właśnie wyczarowuje z pustki, a w rzeczywistości z szufladki pod stalowym stołem, również pomalowanej na czarno, więc niewidzialnej – błyszczącą strzykawkę.

Krzyczę „Nie, nie, nie” i rzucam się na niego. Jest zaskoczony, strzykawka wypada mu z ręki, a ja pcham go do tyłu, obok stołu i dalej w niekończącą się czern, aż na końcu wpadamy na ścianę. Wrzeszczę i biję go pięściami, ale mam tylko czternaście lat i jestem szczupły, a on jest w sile wieku, silny i muskularny. Kopię go, ale jestem bosy. Podnosi mnie bez wysiłku, obraca się i uderza mną o twardą ścianę raz i drugi, pozbawiając tchu. Czuję ból w kręgosłupie i zaczyna ogarniać mnie mrok jeszcze głębszy niż otaczający. Nagle kobieta krzyczy ponownie, co pomaga mi przewyciężyć wewnętrzny mrok, nie pomaga jednak pokonać silnego ojca.

Unosi mnie z podłogi i przypiera całym ciałem do ściany, z twarzą na wysokości mojej, kosmykami czarnych włosów spadającymi na czoło i z oczami tak czarnymi, że są jak otwory, przez które widzę czern za jego plecami. „Nie bój się, nie bój się, synku. Nie zrobię ci krzywdy. Jesteś z mojej krwi, z mojego nasienia... jesteś moim dzieckiem. Nigdy cię nie uderzę, rozumiesz? Słyszysz mnie, synku, mój mały, słodki Mike’u? Cieszę się, że tu jesteś. To i tak kiedyś musiało nastąpić. Im wcześniej, tym lepiej. Drogi chłopcze, wiem, dlaczego tu jesteś, wiem, dlaczego przyszedłeś”.

Czuję się oszołomiony i zdezorientowany z powodu absolutnej ciemności, horroru katakumb i z powodu walenia mną w ścianę. W tych okolicznościach jego głos wydaje mi się zarówno surowy, jak i uspokajający. Jest tak uwodzicielski, że zaczynam mu ufać. Zaczynam wątpić, czy pojąłem właściwie to, co niedawno widziałem. Mówi do mnie, jakby chciał mnie zahipnotyzować... wyrzuca z siebie potok słów, nie pozwalając mi pomyśleć... kręci mi się w głowie... Jezu... przyciska mnie do ściany... jego twarz nade mną jak wielki księżyc...

„Wiem, dlaczego przyszedłeś. Znam cię. Jesteś z mojej krwi, mojego nasienia, jesteś moim synem, jesteś niczym moje odbicie w lustrze. Słyszysz mnie, Mikey, drogi chłopcze, słyszysz mnie? Znam cię, wiem, po co tu przyszedłeś, wiem, czego potrzebujesz. Wiem, czego... dobrze wiem. Ty też wiesz. Wiedziałeś od chwili, kiedy tu wszedłeś i zobaczyłeś ją na stole, kiedy zobaczyłeś jej piersi i rozłożone nogi. Wiesz... o tak, wiesz, chcesz tego, wiesz, czego ci trzeba, wiesz, kim jesteś. I to dobrze, Mikey, to dobrze, mój chłopcze. Dobrze, że wiesz, kim jesteś, i że ja też wiem. Jesteśmy tacy sami, tacy się urodziliśmy, tak widocznie miało być”.

W następnej chwili stoimy nad stołem, przy czym nie pamiętam, jak się przy nim znaleźliśmy. Kobieta leży przede mną, mój ojciec stoi z tyłu, przyciskając mnie sobą do stołu. Ujmując mnie za prawy przegub, przesuwa moją ręką po jej piersiach, potem po całym nagim ciele. Kobieta jest półprzutomna. Otwiera oczy. Patrzę na nią, modląc się, żeby zrozumiała, podczas gdy on wpycha moją rękę we wszystkie zakątki jej ciała, gadając nieprzerwanie, mówiąc mi, że mogę z nią zrobić wszystko, na co mam tylko ochotę, że to jest w porządku, że po to się urodziłem, że ona jest tu po to, żeby mi służyć.

Otrząsam się oszołomienia na tyle, że staczam z nim krótką walkę. Nie starcza mi sił. Ramieniem otacza moją szyję, dusząc mnie, uderzając mną o stół, dusząc tak, że czuję krew w ustach i zaczynam słabnąć. Wie, kiedy zwolnić ucisk, żebyśmy nie zemdlali, gdyż nie chce tego. Ma inne plany. Zwisam

w jego uścisku, łyzy kąpią mi z oczu na gołą skórę przykutej do stołu kobiety. Puszcza moją prawą rękę. Ledwie mam siłę zdjąć ją z kobiety. Słyszę w dole przy moim boku brzęk i grzechot. Patrzę tam. Widzę jedną z jego samoistnych rąk, grzebiącą wśród srebrzyście połyskujących narzędzi, pływających w przestrzeni. Spośród klamer, kleszczy, igieł i różnych noży wybiera skalpel. Wkłada mi go do ręki, zaciskając swoją dłoń na mojej, miażdżąc mi stawy i zmuszając do trzymania noża. Kobieta pod nami widzi nasze ręce i błyszczącą stal i błaga, żebyśmy jej nie kaleczyli. „Znam cię – mówi ojciec. – Wiem, jaki jesteś, synku. Bądź taki i nie martw się. Sądzisz, że ona jest piękna? Sądzisz, że jest najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałeś? Och, poczekaj, aż zrobimy z niej jeszcze piękniejszą. Pozwól tatusiowi pokazać ci, jaki jesteś, czego potrzebujesz, co lubisz. Pozwól pokazać ci, jaka to radość być takim, jakim się jest. Mikey, przez nasze serca płynie ta sama mroczna rzeka – grzmiąca, szybka i potężna. Niech ta rzeka poniesie nas teraz razem. Bądź ze mną i podnieś wysoko ostrze. Widzisz, jak błyszczy? Niech ona też je widzi – obserwuj, jak na nie patrzy, jak nie widzi nic innego na świecie poza tym, co błyszczy w twojej i mojej ręce. Poczuj moc, jaką mamy nad nią i nad wszystkimi słabymi i ograniczonymi, którzy nigdy nas nie rozumieją. Bądź ze mną i podnieś je wysoko...

Jednym ramieniem otacza luźno moją szyję, drugą ręką trzyma moją prawą, lewą więc mam swobodną. Zamiast uderzyć go łokciem, co nie przyniosłoby żadnego skutku, opieram ją na stalowym blacie stołu. Zgroza i rozpacz dodają mi sił. Rzucam się całym ciałem do tyłu, a następnie opieram nogi o stół i odpycham zwyrodnialca, wytrącając go z równowagi. Potyka się, trzymając cały czas moją rękę ze skalpelem, próbując zacieśnić ramię na mojej szyi, i pada na wznak, a ja na niego. Skalpel z brzękiem ginie w ciemności. Upadek pod moim ciężarem pozbawia go tchu. Jestem wolny. Nareszcie wolny. Pełzam na czworakach w stronę drzwi. Boli mnie prawa ręka. Nie mam szans pomóc kobiecie. Ale mogę kogoś wezwać. Policję. Można ją jeszcze uratować. Podnoszę się, przekraczam drzwi i na uginających się nogach biegnę przez katakumby, mijam wszystkie nieruchome, białe postacie, próbując krzyczeć. Krew drapie mnie w gardło. Mogę najwyżej szeptać. Ale i tak na farmie nie ma nikogo. Jesteśmy tylko we troje: ja, on i naga kobieta. Biegnę, krzycząc szeptem, którego nikt nie może usłyszeć.

Wyraz twarzy Ellie rozdarł serce Spencera.

– Nie powinienem był przyprowadzać cię tutaj, kazać ci przechodzić przez to wszystko – powiedział. Twarz miała szarą jak popiół.

– Musiałeś to zrobić. Jeśli w ogóle miałam jakieś wątpliwości, to teraz ich nie mam. Nie możesz nieść sam takiego ciężaru do końca życia.

– Ale tak właśnie powinienem zrobić. Nie wiem, dlaczego sądziłem, że mogę zacząć żyć od nowa. Nie mam żadnego prawa zgodzić się, żebyś niosła go razem ze mną.

– Zaczнеш żyć od nowa... jeśli przypomnisz sobie wszystko do końca. Zdaje mi się, że już wiem, czego nie pamiętasz.

Nie miał odwagi popatrzeć jej w oczy. Spojrzał na Rocky'ego, który siedział przygnębiony, z opuszczonym łbem i obwisłymi uszami, drżąc na całym ciele.

Potem skierował wzrok ku czarnym drzwiom. Od tego, co za nimi znajdzie, zależy, jaka czeka go przyszłość: razem z Ellie czy bez niej. Możliwe również, że nie czeka go ani to, ani to.

– Nie uciekałem do domu – powiedział, wracając myślą do tamtej nocy – gdyż złapałby mnie, zanim zdążyłbym zatelefonować. Zamiast tego wspiałem się po schodach do korytarzyka, a potem przez szafę i pokój na akta i pobiegłem na prawo, ku frontowi budynku, do galerii. Kiedy byłem w połowie schodów do jego studia, usłyszałem, jak idzie w ciemności za mną. Wiedziałem, że w lewej dolnej szufladzie biurka trzyma rewolwer. Zauważyłem go jakiś czas temu, gdy posłał mnie, żebym mu przyniósł coś

z biurka. Wchodząc do studia, włączyłem światło i pobiegłem wzdłuż sztalug i szaf z materiałami malarskimi na drugi koniec, gdzie stało biurko w kształcie litery L. Przeskoczyłem biurko, rymnąłem na krzesło i wyciągnąłem szufladę. Broń była na swoim miejscu. Nie wiedziałem, jak się jej używa ani czy ma bezpiecznik. Bolała mnie prawa ręka, tak że z trudem dźwignąłem broń oburącz. Był już w studiu i szedł po mnie, więc wycelowałem w niego. Był to rewolwer. Nie miał bezpiecznika. Odrzut omal mnie nie przewrócił.

– Zraniłeś go.

– Jeszcze nie. Musiałem mocno ciągnąć za spust, więc lufa drgnęła i kula wyrwała tylko kawałek sufitu. Ale nadal trzymałem rewolwer, a on przestał się zbliżać. Przynajmniej nie szedł już szybko. Ale był... nie wyobrażasz sobie, jaki był spokojny. Zachowywał się, jak gdyby nic się nie stało. Mój stary, dobry tatuś, trochę o mnie zaniepokojony, twierdzący, że wszystko będzie dobrze, uwodzący mnie w taki sam sposób jak w czarnym pokoju. Hipnotyzował mnie. Był taki szczery i tak pewny, że wszystko będzie dobrze, jeśli dam mu trochę czasu.

– Nie miał pojęcia o tym, że sześć lat wcześniej widziałeś, jak pobił twoją matkę i zaniósł ją do stajni. Wiedziałby wówczas, że mogłeś skojarzyć jej śmierć z tajemnymi pomieszczeniami, które odkryłeś, ale do tamtej chwili mógł myśleć, że jeszcze ma czas, żeby cię wtajemniczyć.

Spencer spojrział w stronę czarnych drzwi.

– Nie wiem. Może rzeczywiście tak myślał. Powiedział, że być takim jak on znaczy poznać sens życia i żyć bez żadnych reguł i ograniczeń. Mówił, że będę szczęśliwy, kiedy mi pokaże, jak to osiągnąć; że już zacząłem być szczęśliwy w czarnym pokoju, tylko chwilowo wystraszyłem się pokusy, potem przekonałem się, że to taki rodzaj ludzkiej zabawy.

– Ale przecież to ci się nie tylko nie podobało, to cię wręcz odrzuciło.

– Powiedział, że mi się podobało... że on to wyraźnie widział. Jego geny płyną we mnie jak rzeka, powtórzył, przepływają przez moje serce jak rwąca rzeka. Wspólna rzeka naszego przeznaczenia, mroczna rzeka naszych serc. Kiedy podszedł do biurka na tyle blisko, że nie mogłem powtórnie chybić – strzeliłem. Kula uderzyła go z taką siłą, że niemal pofrunął do tyłu. Sądząc z ilości krwi, wydawało mi się, że go zabiłem, ale do tamtej pory nie widziałem jej w życiu wiele, dlatego trochę uznałem za bardzo dużo. Upadł twarzą do podłogi, i leżał nieruchomo. Wybiegłem ze studia i wróciłem tutaj...

Czarne drzwi czekały.

Ellie się nie odzywała. On nie był w stanie.

Po chwili się odezwała:

– A więc chwile, które spędziłeś z tamtą kobietą... są chwilami, których nie pamiętasz.

Drzwi. Powinien wysadzić te stare piwnice w powietrze albo wypełnić gruzem, albo zamurować na zawsze. Nie powinien dopuścić do tego, żeby te drzwi mogły być jeszcze kiedykolwiek otwierane.

– Wracając tutaj – ciągnął z wysiłkiem – musiałem nieść rewolwer w lewej dłoni. Prawa bolała mnie od uścisku jego ręki. Chodzi o to, że... czułem w niej nie tylko ból.

Popatrzył na swoją rękę. Ujrzał ją małą, młodszą... wydała mu się ręką czternastoletniego chłopca.

– Cały czas pamiętałem... gładkość jej skóry, od chwili gdy wodził moją ręką po jej ciele. Pamiętałem krągłość jej piersi, ich sprężystość i urok. Płaskość brzucha. Kędzierzawość włosów łonowych. Bijące od niej ciepło. Wszystko to nadal czułem w mojej ręce, tak realne jak ból.

– Byłeś wtedy chłopcem – przypomniała bez śladu niesmaku. – Pierwszy raz w życiu zobaczyłeś nagą kobietę i pierwszy raz jej dotknąłeś. Mój Boże, Spencer, w tak niezwykłych okolicznościach, nie tylko makabrycznych, ale równocześnie tak intrygujących i tak deprymujących, ten nietrafny moment

twojej inicjacji – dotknięcie jej – musiał być dla ciebie największym przeżyciem. Twój ojciec wiedział o tym. To był mądry sukinsyn. Chciał wykorzystać twój rozstrój wewnętrzny, żeby perfidnie tobą pokierować. Ale nie powinienes się tym przejmować.

Była zbyt wyrozumiała i wybacząca. W twardym współczesnym świecie ci, którzy wybaczaali, płacili okrutną cenę za swoje chrześcijańskie słabości.

– Wracalem przez katakumby, patrząc na te wszystkie martwe kobiety, mając w pamięci krew mojego ojca i nadal czując w ręku krągłość jej piersi. Pamiętałem, jak wodziłem dłonią po jej twardych sutkach...

– Nie próbuj tego na sobie.

– Nigdy nie okłamuj psa – powiedział Spencer bez humoru, a za to z goryczą i gniewem, które go przestraszyły.

Serce wypełniała mu wściekłość, czarniejsza niż drzwi, przed którymi stali. Nie umiał jej się pozbyć, podobnie jak owej lipcowej nocy nie potrafił zetrzeć ze swojej ręki ciepła zmysłowego ciała nagiej kobiety. Jego wściekłość nie miała ujścia i dlatego narastała w nim przez szesnaście lat. Nie był pewny, czy powinien skierować ją przeciw ojcu, czy przeciw sobie. Wobec braku adresata starał się ją w sobie tłumić. Obecnie była już koncentratem czystej nienawiści i paliła go jak żrący kwas.

– ...z żywym wspomnieniem wrażenia, jakie wywołało we mnie dotknięcie jej sutków – ciągnął głosem, w którym brzmiało wzburzenie pomieszane ze strachem – wróciłem pod te drzwi. Otwarłem je i wszedłem do czarnego pomieszczenia... dalej pamiętam, jak stamtąd wyszedłem i drzwi zamknęły się za mną...

...wracam boso przez katakumby z dziurą w pamięci czarniejszą niż wnętrze, które przed chwilą opuściłem, nie całkiem pewny, gdzie byłem i co się stało. Przechodzę obok kobiet wystających ze ścian. Kobiet. Dziewcząt. Matek. Sióstr. Ich niemy krzyk. Po wieki. Gdzie jest Bóg? Czy to go nie obchodzi? Dlaczego je wszystkie opuścił? „Dlaczego mnie też opuścił? Powiększony cień pajaka pełznącego wzdłuż przewodu ze światełkami przesuwają się po ich gipsowych twarzach. Kiedy przechodzę obok nowej wnęki w ścianie, wnęki przygotowanej dla kobiety w czarnym pokoju, wyłania się z niej mój ojciec – wypelza z czarnej ziemi, zbryzgany krwią, zataczając się i charcząc z bólu, ale brnąc naprzód bardzo szybko... tak szybko jak pajak. W mroku błyszczą stalowe ostrze. Trzyma w ręku nóż. Od czasu do czasu maluje martwe natury, na których noże promienieją, jakby były relikwiami. Nóż błyska i czuję płomień na policzku. Upuszczam broń i podnoszę ręce do twarzy. Przecięty policzek obwisa na podbródku. Czuję pod palcami zęby. Szczęka wzdłuż połowy twarzy jest odsłonięta tak, że mogę dotknąć języka. On znowu zadaje cios, ale chybia. Pada na ziemię. Jest za słaby, żeby się podnieść. Cofam się i podciągam policzek na miejsce. Krew płynie mi obficie między palcami i w głąb gardła. Staram się przytrzymać obie części policzka razem. Boże, staram się trzymać je razem i uciekam, uciekam jak najdalej. On jest za słaby, żeby się podnieść, ale na tyle silny, żeby zawołać za mną: „Zabiłeś ją, synku? Zabiłeś ją? Lubisz to? Zabiłeś ją?”

Spencer nadal nie patrzył na Ellie i pomyślał, że nigdy już nie będzie mógł spojrzeć jej prosto w oczy. Widział ją kątem oka i wiedział, że cicho płacze. Płacze nad nim. Jej twarz lśniła od łez.

Sam nie potrafił zapłakać. Nigdy nie posunął się do pobłażania sobie po to, żeby poczuć ulgę w cierpieniu, ponieważ uważał, że nie jest godzien łez – ani swoich, ani jej, ani niczyich.

W tej chwili czuł tylko nienawiść, która nadal nie miała adresata.

– Policja znalazła tę kobietę martwą – powiedział.

– Spencer, to on ją zabił. – Jej głos drżał. – Z pewnością on. Policja tak ustaliła. Ty byłeś bohaterem.

Pokręcił przecząco głową, spoglądając na czarne drzwi.

– Kiedy on to zrobił, Ellie? Kiedy? Upuścił skalpel, gdy obaj upadliśmy na podłogę. Potem uciekałem, a on mnie gonił.

– Ale w szufladce były inne skalpele i ostre narzędzia. Sam tak stwierdziłeś. Złapał któreś i zabił ją. To mogło mu zająć zaledwie parę sekund. Tylko parę sekund, Spencer. Drań wiedział, że nie uciekniesz daleko i że cię złapie. Poza tym był tak podekscytowany walką z tobą, że nie mógł dłużej wytrzymać, więc zabił ją szybko i bezlitośnie.

– A później... leżąc na podłodze po zadaniu mi ciosu... kiedy uciekałem, a on za mną wołał... pytał, czyją zabiłem i czy mi się to podobało.

– Nie. On już wiedział. Wiedział, że była martwa, nim jeszcze wróciłeś, żeby ją uwolnić. Może był nienormalny, a może nie, ale tak czy inaczej był kwintesencją zła. Nie widzisz tego? Nie udało mu się ani sprowadzić cię na swoją drogę, ani zabić, więc zostało mu tylko popsuć ci życie, zasiewając w twoim umyśle ziarno zwątpienia. Byłeś małym chłopcem na wpół przytomnym ze strachu – a on widział twój stan i znając cię, wykorzystał go przeciw tobie, tylko dla swojej okrutnej zabawy.

Przez pół życia Spencer starał się uwierzyć w scenariusz, który teraz mu przedstawiała. Ale dziura w jego pamięci ciągle nie była zapełniona. Być może amnezja powstała dlatego, że prawda różniła się od wersji, w którą tak bardzo chciał uwierzyć.

– Idź – powiedział ochryplym głosem – biegnij do samochodu, uciekaj stąd, jedź do Denver. Nie powinienem ciągnąć cię tutaj. Nie mogę cię prosić, żebyś była dłużej ze mną.

– Zostaję z tobą. Nigdzie nie pojadę.

– Mówię poważnie. Zabieraj się stąd.

– Nie ma mowy.

– Wyjeżdżaj i zabierz z sobą psa.

– Nie.

Rocky skomlił, trząsnął się i kulił obok filaru z krwistoczerwonej cegły. Spencer nie widział jeszcze, żeby kiedykolwiek tak cierpiał.

– Weź go z sobą. On cię lubi.

– Nigdzie nie pojadę. Do diabła, tak postanowiłam, a ty nie będziesz mi dyktował, co mam robić!

Złapał ją za skórzaną kurtkę i prawie uniósł w powietrze, chcąc za wszelką cenę, żeby go zrozumiała. W szale wściekłości, strachu i samopotępienia odważył się jeszcze raz spojrzeć jej w oczy.

– Na Chrystusa, czy po tym, co zobaczyłaś i czego się dowiedziałaś, nadal nie rozumiesz? W tym pomieszczeniu, w tej rzeźni zostawiłem część samego siebie, część, z którą nie mogę żyć. Jak ci się zdaje – co to może być? Coś gorszego niż katakumby, gorszego niż cała reszta. Musi to być coś gorszego, bo całą resztę zapamiętałem! Kiedy tam wrócę i przypomnę sobie, jak z nią postąpiłem, nigdy już nie będę mógł o tym zapomnieć, nigdzie się przed tym nie schowam. To, co tam znajdę, jest jak ogień, wypali mnie. Kiedy stamtąd wyjdę – nie będę sobą, Ellie, ponieważ dowiem się, co jej zrobiłem. Z kim wówczas zostaniesz, w tym zapomnianym przez Boga miejscu?

Podniosła rękę i przesunęła palcami po jego bliźnie, chociaż próbował się uchylić. Powiedziała:

– Nawet gdybym była ślepa, gdybym nigdy nie widziała twojej twarzy, znam cię wystarczająco, żebyś mógł złamać mi serce.

– Ellie, na Boga!

– Nie ruszę się stąd.

– Błagam cię.

– Nie.

Nie potrafił gniewać się na nią, zwłaszcza na nią. Puścił ją. Stał z rękami zwisającymi po bokach. Miał znów czternaście lat. Poczuł się urażony, przestraszony i zagubiony.

Położyła rękę na gałce blokady dźwigniowej.

– Zaczekaj. – Wyciągnął pistolet zza paska dzinsów, zwolnił bezpiecznik, wprowadził nabój do komory i podał jej broń. – Musisz mieć oba pistolety. – Zaczęła protestować, ale uciął krótko: – Miej go w ręce. Trzymaj się z dala ode mnie, kiedy tam wejdziemy.

– Spencer, cokolwiek sobie przypomnisz – niezależnie od tego, jakie to będzie potworne – nie zamienisz się przez to w swojego ojca, przynajmniej nie w jednej chwili.

– Skąd wiesz. Od szesnastu lat kopię w swojej pamięci, próbując sobie coś przypomnieć, ale mi się nie udaje. Jeśli teraz odkryję...

Zabezpieczyła pistolet z powrotem.

– Ellie...

– Nie chcę, żeby przypadkowo wypalił.

– Mój ojciec mocował się ze mną na podłodze, gdy byłem mały, łaskotał mnie i stroił miny. Grał ze mną w piłkę, gdy chciałem nauczyć się rysować, uczył mnie cierpliwie. Ale kiedy nie bawiliśmy się, ten sam człowiek przychodził tu do podziemi i torturował długimi godzinami, a nieraz całymi dniami, kobiety i dziewczęta. Przechodził z łatwością z tego świata do tamtego na górze.

– Nie mam zamiaru trzymać odbezpieczonego pistoletu, jakbym się obawiała, że jesteś degeneratem, skoro wiem, że nie jesteś. Proszę cię, nie żądaj tego. Lepiej skończmy to, po co tu przybyliśmy.

Spencer przez chwilę się koncentrował. Panowała głęboka cisza. Nic się nie poruszało. Nie było szcurków ani zdegenerowanych, ani normalnych. Dresmundowie dostali polecenie, żeby je wytruć.

Otworzył czarne drzwi.

Zapalił światło.

Zawahał się, a potem wszedł do wewnątrz.

Przygnębiony pies powłókł się za nim. Może bał się zostać sam w katakumbach. Możliwe również, że wyczuwał stan ducha swojego pana i wiedział, że jego towarzystwo jest panu potrzebne. Trzymał się tuż przy nodze Spencera.

Ellie weszła ostatnia i samozamykające się drzwi wróciły na swoje miejsce.

W katowni czuł się niemal tak samo zdezorientowany jak owej nocy skalpeli i noży. Nie było stołu ze stalowym blatem. Pomieszczenie opustoszało. W jednolitej czerni nie dostrzegł żadnego punktu odniesienia, tak że wewnątrz raz wydawało się wielkości trumny, a już za chwilę – większe niż w rzeczywistości. Z czarnej, umocowanej na suficie lampki padał wąski strumień skupionego światła.

Dresmundowie mieli za zadanie dbać, żeby wszystkie światła funkcjonowały. Katowni nie nakazano im sprzątać, mimo to ściany pokrywała zaledwie minimalna warstewka kurzu, gdyż pomieszczenie nie miało wentylacji, a drzwi były zawsze szczelnie zamknięte.

Istna kapsuła czasu, zapieczętowana przez szesnaście lat, zawierająca nie pamiątki minionych lat, lecz zapomniane przeżycia.

Powrót do tego miejsca wstrząsnął Spencerem silniej, niż się spodziewał. Wydawało mu się, że widzi lśnienie uniesionego w górę skalpela.

...boso, trzymając w lewej ręce rewolwer, biegnę ze studia, w którym zastrzeliłem ojca, poprzez otwartą tylną ścianę szafy w świat zupełnie inny niż świat za szafą, opisany przez C. S. Lewisa – potem przez katakumby, nie ośmielając się popatrzeć ani w lewo, ani w prawo, ponieważ martwe kobiety jakby

wyteżały wszystkie siły, żeby wyrwać się z gipsu. Boję się, że gips jeszcze nie stęzał i że mogą wyzwolić się, a potem złapać mnie i umieścić w którejś ze ścian. Jestem synem ich kata i zasługuję na uduszenie mokrym gipsem, który zostanie mi wciśnięty do nozdrzy i do gardła, aż w końcu stanę się jeszcze jedną postacią w kompozycji, pożywieniem dla szczurów. Serce bije mi tak mocno, że z każdym uderzeniem ciemnieje mi przed oczami, jak gdyby kolejne fale krwi rozrywały coraz więcej naczyń krwionośnych w gałkach ocznych. Czuję bicie serca także w prawej ręce, tętniący ból w zmiażdżonych palcach. Ale znajduję w nim przyjemność. Chcę go więcej. Jeszcze w korytarzyku, kiedy schodziłem po schodach do pomieszczenia z niebieskim światłem, uderzałem raz po raz kolbą rewolweru po spuchniętych stawach. Teraz uderzam je bardzo mocno, żeby nie czuć niczego więcej poza bólem, gdyż... gdyż, Boże wszechmogący, prócz bólu ciągle czuję w tej ręce jedwabistość skóry nagiej kobiety, krągłość i ciepło jej piersi i nabrzmiące sutki, muskające wnętrze mojej dłoni. Czuję płaskość jej brzucha i napięcie mięśni usiłujących zerwać kajdanki. Czuję śliskie gorąco, w które on wpycha moje palce, mimo że wrywam się z całej siły i mimo jej półprzytomnych protestów. Jej oczy patrzą na mnie z błaganiem. Ale zdradziecka ręka odbiera własne, intymne doznania, przez które zaczynam się sobą brzydzić. Czuję niesmak, odrazę i strach przed samym sobą z powodu nieczystych emocji towarzyszących myśzkowaniu nienawistnej ręki. Przed drzwiami czarnego pomieszczenia zatrzymuję się, opieram o ścianę i wymiotuję. Pocę się obficie, a zarazem trzęsę się z zimna. Doznaję ulgi, ale tylko w żołądku. Chwytam okaleczoną ręką gałkę i szarpnię drzewi, czując ból aż w przedramieniu. Jestem znów w czarnym wnętrzu.

Byle na nią nie patrzeć. Nie. Nie wolno! Nie wolno mi patrzeć na jej nagość. Nie mam prawa. Zbliżam się do niej, odwracając oczy, idę bokiem w stronę stołu, widząc tylko kątem oka unoszący się w mroku kształt o barwie ciała. „Wszystko w porządku – mówię do niej chrapliwym głosem. – Wszystko jest w porządku, proszę pani, on nie żyje. Przed chwilą go zastrzeliłem. Proszę się nie bać, zaraz panią uwolnię i pomogę się stąd wydostać”. I naraz zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, gdzie są kluczyki do kajdanek. „Proszę pani, nie mam kluczyków, muszę iść po pomoc, zadzwonić na policję. Ale jest już pani bezpieczna, on nie żyje”. Nie odpowiada. Była na pół omdlała od uderzeń w głowę, więc teraz zapewne jest nieprzytomna. Nie chcę jednak, żeby się ocknęła, kiedy mnie tu nie będzie, bo poczuje się samotna i przerażona. Pamiętam wyraz jej oczu – taki sam jak wyraz oczu mamy w jej ostatnich chwilach – i nie chcę, żeby kiedy oprzytomnieje, bała się, że on zaraz wróci. Tylko tyle, nic więcej, chcę tylko, żeby się nie bała. Chcę tylko podejść bliżej, potrząsnąć nią, obudzić i powiedzieć, że on już nie żyje i że ja zaraz wrócę i przyprowadzę pomoc. Idę bokiem w stronę stołu, starając się nie patrzeć na jej ciało, tylko na twarz. Uderza mnie jakiś okropny, przyprawiający o mdłości zapach. Zaczyna mi się kręcić w głowie. Wyciągam jedną rękę, żeby oprzeć się o stół i nie stracić równowagi. Jest to ręka pamiętająca krągłość jej piersi, a teraz trafiam nią w ciepłą, lepka, oślizłą masę, której tam przedtem nie było. Patrę na jej twarz. Ma otwarte usta i martwe, wywrócone oczy. Dorwał się do niej. Zadał jej dwa brutalne ciosy. Przeciął jej szyję i brzuch. Uciekam na oślep od stołu i wpadam na ścianę. Wycieram rękę o ścianę, wzywając Jezusa i mamę i wołam do kobiety: „Nie, proszę pani, nie...”, jakby mogła wrócić do życia, gdyby tylko usłyszała moją prośbę. Trę i trę dłonią o ścianę, wycieram ją z obu stron, ścieram nie tylko śliską masę, ale również pamięć żywych kształtów kobiety. Trę o ścianę mocno, mocniej, z coraz większą pasją, aż czuję, że piecze jak ogień i nie ma w niej już nic prócz bólu. Potem stoję przez chwilę, nie wiedząc, gdzie jestem. Wiem tylko, gdzie są drzwi. Otwieram je i... jestem w katakumbach.

Spencer stał pośrodku czarnego pomieszczenia, trzymając prawą dłoń pod lampą i przyglądając się jej, jakby to nie była ta sama dłoń, która znajdowała się na końcu jego ręki przez ostatnie szesnaście lat.

– Uratowałbym ją – powiedział pewnym siebie głosem.

- Wiem – potwierdziła Ellie.
- Ale nie udało mi się ocalić nikogo.
- To nie twoja wina.

Po raz pierwszy od owego odległego lipca poczuł, że po pewnym czasie przyzwyczai się do świadomości, iż nie ciąży na nim większa wina niż na kimkolwiek. Pozostaną przykre wspomnienia, wiedza o rozmiarach zła mogącego zawładnąć naturą ludzką, pamięć wymuszonego na nim odkrycia, którego żaden człowiek nie chciałby w podobny sposób przeżywać – to wszystko zostanie, ale nareszcie pozbędzie się poczucia winy.

Rocky dwa razy głośno warknął.

- On nigdy nie warczy – powiedział Spencer.

Ellie skoczyła w stronę otwierających się drzwi, odbezpieczając równocześnie pistolet. Nie była dostatecznie szybka.

Do pomieszczenia wpadł jowialnie wyglądający mężczyzna – ten sam, który włamał się do chaty w Malibu. Trzymał w ręce berettę z tłumikiem i uśmiechając się, strzelił.

Pocisk trafił Ellie w prawe ramię, rzucając ją na ścianę. Jęknęła z bólu i wypuściła z ręki pistolet. Tracąc pod wpływem szoku oddech i osuwając się po ścianie, zorientowała się, że uzi zsuwa jej się z ramienia. Sięgnęła po nie lewą ręką, ale prześliznęła jej się między palcami i upadła nieco dalej na posadzkę.

Pistolet był stracony, znajdował się poza jej zasięgiem, w pobliżu mężczyzny z berettą, ale Spencer szedł już po uzi.

Uśmiechnięty mężczyzna znowu wystrzelił. Pocisk uderzył o całe od sięgającej po broń ręki Spencera, krzesząc iskry na kamiennej posadzce, odbijając się wielokrotnie od ścian i zmuszając go do odwrotu.

Strzelec nie wydawał się zaniepokojony gwizdem rykoszetującego pocisku, jak gdyby przebywał w zakłętym świecie, w którym jego bezpieczeństwo było przesądzone.

– Nie chcę cię zabijać – powiedział. – Nie chcę także zabijać Ellie. Mam wobec was inny plan. Ale jeszcze jeden fałszywy ruch i nie będę miał wyboru. A teraz kopnij uzi w moją stronę.

Spencer, zamiast zrobić, co mu kazano, podszedł do Ellie. Dotknął jej policzka i popatrzył na ramię.

- Bardzo boli?

Zaciskała ranę drugą ręką, starając się nie okazywać cierpienia, ale jej oczy mówiły co innego.

- W porządku, to głupstwo – rzekła, ale Spencer zauważył, że kłamiąc, patrzyła na drżące psa.

Ciężkie drzwi katowni nie zamknęły się samoczynnie. Ktoś je przytrzymał. Strzelec odstąpił na bok, żeby go wpuścić do środka. Nowym przybyszem był Steven Ackblom.

Roy był pewny, że ta noc będzie jedną z najbardziej interesujących w jego życiu. Spodziewał się, że będzie nawet równie wyjątkowa jak pierwsza noc, którą spędził z Eve, chociaż – nie chcąc nawet myślać zawieść swojej ukochanej – nie oczekiwał, iż będzie jeszcze atrakcyjniejsza. Powstał bowiem niewiarygodny splot zdarzeń: schwytnie tak długo ściganej kobiety; szansa zorientowania się, co Grant wie o grupie działającej przeciwko organizacji, a potem wyzwolenie go z jego nieszczęść; niepowtarzalna możliwość obserwowania kunsztu jednego z największych artystów stulecia podczas pracy, która uczyniła go sławnym – a po jej skończeniu szansa na zdobycie idealnych oczu Ellie. Scenariusz tej nocy z pewnością był dziełem jakichś mocy kosmicznych.

Wyraz twarzy Spencera Granta, kiedy zobaczył wchodzącego ojca, wart był straty przynajmniej dwóch helikopterów i satelity. Twarz mu się skurczyła i pociemniała z gniewu. Malująca się na niej

nienawiść miała w sobie pewne osobliwe piękno. Mimo to Grant wrócił do kobiety.

– Halo, Mikey – powiedział Steven. – Co u ciebie?

Jego syn – kiedyś Mikey, a obecnie Spencer – nie mógł wydobyć głosu.

– U mnie wszystko dobrze, tylko przebywam... w nudnym otoczeniu – dodał artysta.

Spencer nie odpowiedział. Wyraz oczu ekspolicjanta przyprawił Roya o zimny dreszcz.

Steven popatrzył na czarny sufit, ściany, posadzkę.

– Oskarżyli mnie z powodu tej kobiety, którą tutaj załatwiłeś. Ją także wziąłem na siebie. Dla twojego dobra, synku.

– On jej nie tknął – odezwała się Ellie Summerton.

– Naprawdę? – spytał artysta.

– Z całą pewnością.

Steven westchnął z żalem.

– No cóż, nie zrobił tego. Ale był już tak blisko. – Pokazał kciuk i wskazujący palec oddalone od siebie o ćwierć cala. – Tak blisko.

– Nigdy by nawet o tym nie pomyślał – zaperzyła się Ellie.

Grant nadal nie mógł wykrztusić słowa.

– Czyżby? – spytał powątpiewająco Steven. – Myślę, że jednak tak. Sadzę, że gdybym był sprytniejszy i najpierw zachęcił go do ściągnięcia spodni i położenia się na niej, to potem z przyjemnością wzięłby do ręki skalpel. Inaczej by na wszystko patrzył.

– Nie jesteś moim ojcem – powiedział dziecinnie Grant.

– Mylisz się, mój drogi chłopcze. Twoja matka przestrzegała święcie przysięgi wierności małżeńskiej. Cały czas była tylko ze mną. Jestem tego absolutnie pewny. Na samym końcu, tu w tym pomieszczeniu, nie była w stanie ukryć przede mną żadnej tajemnicy.

Roy obawiał się, że Grant rzuci się na ojca jak rozjuszony byk, nie zważając na kule.

– Jaki to żalony, mały pies – rzekł Steven. – Popatrz, jak się trzęsie i zwiesza łeb. Doskonały kompan dla ciebie, Mikey. Przypomina mi, jak się tutaj zachowywałeś owej nocy. Podczas gdy ja ci ofiarowałem transcendentalne przeżycie, ty byłeś napalony na grzebanie w cipce.

Kobieta również była wściekła. Jej oczy nigdy jeszcze nie wyglądały tak wspaniale.

– Jakże to było dawno, Mikey, a popatrz, jaki jest ten obecny świat – ciągnął Steven, podchodząc parę kroków w stronę syna i kobiety i zmuszając ich do cofnięcia się w głąb pomieszczenia. – Wyprzedzałem swój czas znacznie bardziej, niż zdawałem sobie sprawę. Kroczyłem w awangardzie. Gazety pisały, że jestem obłąkany. Nie sądzisz, że powinienem być oskarżyć je o zniesławienie? Teraz ulice pełne są osobników znacznie niebezpieczniejszych ode mnie. Gangi strzelają, gdzie im się podoba, dzieci giną na placach zabaw – i nic się w związku z tym nie robi. Ludzie światli są zbyt zajęci martwieniem się, że w żywności są składniki, które mogą skrócić ludzkie życie o trzy i pół dnia. Czytałeś o agentach FBI w Idaho, którzy strzelali do nieuzbrojonej kobiety z dzieckiem na rękę, a potem strzelili w plecy jej czternastoletniemu synowi próbującemu przed nimi uciekać? Zabili oboje. Czytałeś o tym, Mikey? Ludzie tacy jak Roy zajmują bardzo odpowiedzialne stanowiska w rządzie. Zrobiłbym teraz fantastyczną karierę jako polityk. Mam wszelkie potrzebne kwalifikacje. Nie jestem obłąkany, Mikey. Twój tatuś nie jest obłąkany i nigdy taki nie był. Zły, owszem. Przyznaję się do tego. Od najmłodszych lat. Zło zawsze mnie bawiło. Ale nie jestem wariatem, synku. Spójrz na obecnego tu Roya, stróża bezpieczeństwa publicznego, protagonistę republiki – to on, Mikey, jest bredzącym świrusem.

Roy uśmiechnął się do Stevena, ciekaw, jaki żart przygotowuje. Artysta poszedł jednak tak daleko

w głąb pomieszczenia, że Roy nie widział jego twarzy, tylko tył głowy.

– Mikey, powinieneś usłyszeć, z jakim patosem Roy mówi o współczuciu, o nędznym życiu, będącym udziałem większości ludzi, którzy na to nie zasłużyli, i o zredukowaniu zaludnienia o dziewięćdziesiąt procent w celu ocalenia środowiska. On kocha wszystkich. Rozumie ich cierpienia i płacze nad nimi. A kiedy da mu się szansę, wyśle ich do królestwa niebieskiego dla poprawienia warunków pozostałym. Czysty śmiech, Mikey. A oni dają mu helikoptery, limuzyny, tyle pieniędzy, ile potrzebuje i fagasów z wielkimi rewolwerami w kaburach pod pachą. Wysyłają go wszędzie, żeby poprawiał świat. A tymczasem ten człowiek – wierz mi, Mikey – ma robaki w mózgu.

Próbując zamienić to w farsę, Roy dorzucił:

– Mam w mózgu robaki, wielkie śliskie robaki.

– Popatrz – powiedział Steven. – Ten Roy to całkiem śmieszny facet. Chce tylko, żeby go lubić. Większość ludzi go lubi, prawda, Roy?

Roy wyczuł, że zbliża się moment zwrotny.

– Dobrze już, Steven, przestańmy mówić o mnie...

– Posłuchaj – ciągnął Steven. – Na dodatek jest skromny. Skromny, uprzejmy i współczujący. Prawda, że wszyscy cię lubią, Roy? No już. Nie bądź taki wstydlivy.

– Owszem, większość mnie lubi – przyznał Roy – ale dlatego, że odnoszę się do wszystkich z szacunkiem.

– W istocie – Steven się roześmiał. – Roy traktuje wszystkich z tym samym pryncypialnym szacunkiem. Zabija ich egalitarnie. Wszyscy mają równe prawa, żeby zginąć z jego ręki: od asystenta prezydenta, zabitego w parku w Waszyngtonie z upozorowaniem samobójstwa... po paralytyka, zastrzelonego, żeby oszczędzić mu codziennych zmagania z życiem. Roy nie rozumie, że takie rzeczy można robić wyłącznie dla zabawy. Zabijanie dla jakiegokolwiek celu jest obłąkańcze. On traktuje je poważnie: ma się za marzyciela, za idealistę. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że jest wierny swoim ideom. Nikogo nie faworyzuje. Nie ma uprzedzeń. Jest demokratyczny. Przy tym wszystkim jest największym wariatem, jaki kiedykolwiek żył na tym świecie. Czyż nie mam racji, panie Rink?

Rink? Roy nie chciał, żeby Rink lub Fordyce usłyszeli cokolwiek z tej rozmowy albo coś zobaczyli. Nie byli wtajemniczeni, stanowiąc tylko ochronę. Odwrócił się w stronę drzwi, dziwiąc się, że nie usłyszał, jak się otwierały – i zobaczył, że nikogo przy nich nie ma. Potem usłyszał chrobot miniaturowego uzi podnoszonego z posadzki przez Stevena Ackbloma i już wiedział, w co grał artysta.

Za późno.

Uzi zagadał w rękach Stevena. Seria trafiła Roya, który upadł i przetoczył się, próbując odpowiedzieć ogniem. Mimo że nadal trzymał w ręku pistolet, nie mógł nacisnąć spustu. Był sparaliżowany.

Wśród gwizdu rykoszetów coś złowrogo zawarczało. Dźwięk był jak z filmowego horroru: odbijał się echem od betonowych ścian, dając bardziej mrozący krew w żyłach efekt niż pociski. Przez moment Roy nie mógł się zorientować, skąd się bierze. Już prawie uwierzył, że to Grant, gdyż pamiętał grymas wściekłości na jego twarzy, ale wtedy zobaczył skaczącego ku Stevenowi psa. Artysta próbował odwrócić się od Roya i wycelować w psa, ale ten już atakował, rzucając go z rozpędu na ścianę i rozszarpując mu rękę. Pistolet upadł na ziemię. Pies siedział na człowieku, rozdzierając mu twarz i gardło.

Steven krzyczał z bólu.

Roy chciał mu powiedzieć, że najbardziej niebezpiecznymi ludźmi są ci, których doprowadzi się do ostateczności. Kiedy zostaje im odebrana nawet godność osobista i nadzieja, kiedy zostają zapędzeni w ślepy zaułek, nie mają już nic do stracenia. Podobnie jest z psami. Żeby uniknąć mnożenia się takich

zdesperowanych ludzi, zapewnienie im jak najwcześniej miłosiernego wyzwolenia jest nie tylko moralne, ale i rozsądne. Nie mógł jednak podzielić się swoją myślą z artystą, gdyż oprócz tego, że był sparaliżowany, nie był w stanie mówić.

– Rocky, nie! Puść go! Rocky, precz!

Spencer trzymał Rocky'ego za obroże, walcząc z nim tak długo, aż pies w końcu usłuchał.

Artysta siedział na posadzce z wyciągniętymi w pozie obronnej nogami. Krwawiącymi rękami zakrywał twarz.

Ellie podniosła uzi. Spencer wziął je z jej rąk.

Zauważył, że jej prawe ucho krwawi.

– Znów dostałaś.

– Rykoszetem. To tylko draśnięcie – odparła i tym razem śmiało popatrzyła w oczy psa.

Spencer spojrział w dół na coś, co było jego ojcem. Łotr odsłonił twarz. Był irytująco spokojny.

– Oni mają tu ludzi porozstawianych po całej farmie. W tym budynku nie ma nikogo, ale na zewnątrz jest ich pełno. Nie uciekniesz, Mikey.

– Nie usłyszeli strzałów – powiedziała Ellie. – Na pewno nie, skoro nikt nigdy nie słyszał krzyków z tej piwnicy. Mamy szansę.

Zabójca własnej żony potrząsnął głową.

– Nie macie, chyba że zabierzecie z sobą mnie i tego niesłychanego pana Mira.

– On nie żyje – stwierdziła Ellie.

– Nic nie szkodzi. Jako martwy jest wygodniejszy. Nigdy nie wiadomo, jak facet taki jak on mógłby się zachować, więc obawiałbym się wyciągać go stąd, gdyby był żywy. Ty i ja weźmiemy go między siebie, synku. Zobaczą, że oberwał, ale nie będą wiedzieli jak bardzo. Może cenią go na tyle wysoko, że nie będą interweniowali.

– Nie chcę twojej pomocy – burknął Spencer.

– Naturalnie, że nie chcesz, ale jej potrzebujesz – zauważył ojciec. – Oni nie ruszyli waszego samochodu. Mieli instrukcje, żeby trzymać się z dala i tylko obserwować teren, dopóki nie dostaną rozkazu od Roya. Możemy więc zaciągnąć go do samochodu, a oni nie będą wiedzieli, co się dzieje. – Podniósł się z wyrazem bólu na twarzy.

Spencer cofnął się gwałtownie, tak jakby zobaczył zjawę wyrastającą z narysowanego kredą pentagramu w reakcji na wezwanie czarnoksiężnika. Rocky również cofnął się z głuchym warczeniem.

Ellie stała w drzwiach, opierając się o futrynę. Znajdowała się w bezpiecznej odległości.

Spencer miał psa i był uzbrojony. Jego ojciec był bezbronny i miał pogryzione ręce. Mimo to Spencer bał się go nie mniej niż tamtej lipcowej nocy.

– Będzie nam potrzebny? – zwrócił się do Ellie.

– Nie, do diabła.

– Czy jesteś pewna, że to, co chcesz zrobić przy użyciu komputera, może nam pomóc?

– Bardziej pewna tego niż pomocy z jego strony.

Zwracając się do ojca, Spencer spytał:

– Co się z tobą stanie, jeśli cię z nimi zostawię?

Artysta wpatrywał się z zainteresowaniem w swoje poranione ręce, jakby były pięknym kwiatem lub przedmiotem wyjątkowej urody.

– Co się ze mną stanie, Mikey? Masz na myśli – kiedy wrócę do więzienia? Trochę czytam dla zabicia czasu. Nadal trochę maluję – wiedziałeś o tym? Może namaluję portret tej twojej małej dupenki,

która tam stoi w drzwiach, tak jak ją sobie wyobrażam naga, i tak jak wiem, że wyglądałaby, gdybym miał kiedykolwiek szansę położyć ją tutaj na stole i wydobyć z niej wszystkie ukryte możliwości. Widzę, że to cię napełnia niesmakiem, synku. Ale pomyśl, to byłaby dla mnie mała przyjemność, a ona nigdy nie będzie wyglądała tak pięknie jak na moim obrazie. Podzielilibyśmy ją między siebie na mój sposób. – Westchnął i oderwał wzrok od swoich rąk. – Co się ze mną stanie, jeśli mnie z nimi zostawisz? Skażesz mnie na życie, w którym marnuję swój talent i swoją joie de vivre – na pustą, marną egzystencję za szarymi ścianami. To właśnie się ze mną stanie, ty niewdzięczny smarkaczu.

– Powiedziałeś, że oni są gorsi od ciebie.

– To prawda. Wiem, jaki jestem.

– Co to znaczy?

– Samopoznanie jest zaletą, której oni nie mają.

– Wypuścili cię.

– Czasowo. W celu konsultacji.

– Może cię znowu wypuszczą?

– Miejmy nadzieję, że przed upływem następnych szesnastu lat. – Uśmiechnął się, jak gdyby jego krwawiące ręce były tylko lekko podrapane. – Ale żyjemy w czasie, w którym rośnie nowe pokolenie faszystów, więc będę żywił nadzieję, że od czasu do czasu wykorzystają moje doświadczenie.

– Czy wyobrażasz sobie, że już tam nie wrócisz? – spytał Spencer. – Sądysz, że uda ci się dzisiaj uciec?

– Jest ich zbyt wielu, Mikey. Wielcy faceci z wielkimi rewolwerami w kaburach pod pachą. Wielkie czarne limuzyny chryslera. Helikoptery na każde żądanie. Nie, chyba muszę się uzbroić w cierpliwość i poczekać do następnej konsultacji.

– Łziesz, ty sprawco mojej matki – powiedział Spencer.

– Och, nie strasz mnie – odparł jego ojciec. – Pamiętam cię w tym pomieszczeniu, szesnaście lat temu. Byłeś wtedy maminsynkiem, Mikey – i nadal jesteś maminsynkiem. Widzę, że masz bliznę na policzku. Pewnie nie mogłeś jeść, dopóki nie wyzdrowiałeś?

– Widziałem cię obok basenu, jak ją biłeś.

– Jeżeli spowiedź przynosi ci ulgę, to wal dalej.

– Poszedłem do kuchni po ciastka i usłyszałem jej krzyk.

– Znalazłeś te ciastka?

– Kiedy upadła, kopnąłeś ją w głowę.

– Nie bądź nudny, Mikey. Wprawdzie nigdy nie byłeś synem, jakiego chciałbym mieć, ale kiedyś nie byłeś nudny.

Był bardzo spokojny i opanowany. Rozsiewał wokół siebie atmosferę siły i strachu, ale nie miał w oczach szaleństwa. Byłby wiarygodny nawet jako ksiądz. Twierdził, że nie był obłąkany, tylko zły.

Spencer zastanawiał się, czy to prawda.

– Mikey, wszystko zawdzięczasz mnie. Gdyby nie ja, nie byłoby cię na świecie. Niezależnie od tego, co o mnie myślisz, jestem twoim ojcem.

– Gdyby nie ty, nie byłoby mnie na świecie. Zgoda. I może tak byłoby lepiej. Ale gdyby nie moja matka – mógłbym stać się taki jak ty. Tylko jej zawdzięczam, że tak nie jest. Jeśli będę zbawiony, to tylko dzięki niej.

– Mikey, nie wzbudzisz we mnie poczucia winy. Chcesz, żebym przybrał smutną minę? Dobrze, już to robię. Ale twoja matka była dla mnie niczym. Czasową zasłoną, kamuflażem z ładnymi cyckami.

I była zbyt ciekawa. A kiedy przyniosłem ją tutaj – nie różniła się od innych, natomiast była mniej od nich podniecająca.

– Skoro tak – powiedział Spencer – spłacam jej dług. – Wystrzelił krótką serię z uzi, wysyłając ojca do piekła.

Nie było rykoszetów. Wszystkie kule trafiły w cel. Zabity runął na posadzkę w kałuży najciemniejszej krwi, jaką Spencer kiedykolwiek widział.

Zaskoczony Rocky dał susa na odgłos strzałów, po czym wysunął łeb i podszedł do martwego mężczyzny. Obwąchiwał go długo, jak gdyby poczuł jakiś nieznaną mu do tej pory zapach. Patrzący na martwego ojca Spencer miał świadomość że Rocky obserwuje go z zaciekawieniem. Potem pies poszedł do stojącej przy drzwiach Ellie.

Po chwili Spencer również ruszył w stronę drzwi, nie patrząc na Ellie.

– Zastanawiałam się, czy stać cię będzie na to – powiedziała. – Jeśli nie – musiałabym to zrobić sama, a szarpnięcia poharatowałyby moje zranione ramię.

Popatrzył jej w oczy. Nie mówiła tego, żeby poprawić mu samopoczucie. Po prostu tak myślała.

– Nie czułem przy tym satysfakcji.

– Ja bym czuła.

– Nie wydaje mi się.

– Nawet ogromną.

– Chociaż to wcale nie było przykre.

– Czemu miałoby być przykre? Jeśli ma się szansę rozdeptać karalucha – trzeba to zrobić.

– Co z twoim ramieniem?

– Boli jak diabli, ale nie krwawi za bardzo. – Krzywiąc się, gimnastykowała prawą dłoń. – Mogę pracować na komputerze obiema rękami. W Bogu pokładam nadzieję, że będę mogła robić to dostatecznie szybko.

Wszyscy troje pospieszyli przez opróżnione katakumby, niebieski pokój i żółty korytarzyk do nieco teraz dziwnego świata zewnętrznego.

Roy nie czuł bólu. Nie czuł w ogóle nic. W tym stanie łatwiej mu było udawać martwego. Bał się, że go dobijają, jeśli się zorientują, że jeszcze żyje. Spencer Grant, alias Michael Ackblom, był niewątpliwie równie obłąkany jak jego ojciec, a więc zdolny do każdego okrucieństwa. Roy zamknął oczy i korzystał z ulgi, którą sprawiał paraliż.

Artysta całkowicie go rozczarował. Po tak szczególnej okazji, jaką mu stworzył, spotkała go haniebna zdrada.

Co gorsza, Roy poczuł się rozczarowany samym sobą. Całkowicie źle ocenił Stevena Ackbloma. Genialność i wrażliwość, które w nim wyczuwał, nie były iluzoryczne; pozwolił się natomiast zwieść wrażeniu, że to, co w nim ujrział, stanowiło pełnię postaci artysty. Nie zauważył w nim ciemnej strony.

Zawsze zbyt szybko dążył do polubienia nowo poznanych, co zauważył też artysta. Poza tym był bardzo wyczulony na czyjeś cierpienie i reagował na nie natychmiast. Uważał to za jedną ze swoich zalet. Głęboko poruszyła go sytuacja Ackbloma: tak dowcipny i utalentowany człowiek, zamknięty do końca życia w celi. Współczucie zaślepiła i nie pozwalała dostrzec całej prawdy.

Żywił nadzieję, że wyjdzie z tego żywy i znów spotka się z Eve. Nie miał wrażenia, że umiera. Od szyi w dół nie czuł własnego ciała.

Pocieszał się myślą, że jeśli umrze, znajdzie się na wielkim przyjęciu w kosmosie, gdzie zostanie powitany przez mnóstwo przyjaciół, których z ogromną troską posłał tam wcześniej. Chciał żyć ze

względu na Eve, ale w pewnej mierze tęsknił do owego wyższego wymiaru, gdzie jest tylko jedna płeć, gdzie każdy ma świetliście niebieski kolor skóry, gdzie wszyscy są idealnie piękni w owym obojnaczym, niebieskim stylu, gdzie nikt nie jest głupkowaty, ale też nikt nie jest zbyt sprytny, gdzie wszyscy mają identyczne kwatery, takie same szaty i obuwie, i gdzie woda mineralna i świeże owoce są na zawołanie. Zostanie tam przedstawiony wszystkim, których znał w poprzednim świecie, ponieważ nie rozpozna ich ze względu na ich nowy, idealny, całkowicie identyczny wygląd. Będzie to w pewnej mierze przykre: nie będą już tacy sami jak niegdyś. Z drugiej strony nie chciał spędzać wieczności w towarzystwie swojej drogiej matki, gdyby miała mieć twarz tak zmasakrowaną jak w chwili, kiedy wysyłał ją do lepszego świata.

Odkrył, że znów może mówić.

– Żyjesz, Steven, czy udajesz martwego?

Leżący pod przeciwległą ścianą artysta nie odpowiedział.

– Zdaje się, że poszli i już nie wrócą, więc jeśli udajesz, to możesz przestać.

Nie usłyszał odpowiedzi.

– Odszedłeś więc na dobre, a całe twoje zło zostało tutaj. Jestem pewny, że teraz masz wyrzuty sumienia i żałujesz, że nie miałeś nade mną litości. Byłoby wielce stosowne, gdybyś w rewanżu użył odrobiny swojej siły kosmicznej, sięgnął w dół i sprawił mały cud, żebyśmy mogli znowu chodzić.

Nadal brak odpowiedzi.

Ciągle nie miał czucia od szyi w dół.

– Mam nadzieję, że nie będę musiał korzystać z usług czarnoksiężnika, żebyś zwrócił na mnie uwagę – powiedział. – Byłoby to wielce uciążliwe.

Cisza. Spokój. Stożek zimnego białego światła w środku czarnej kapsuły.

– Poczekam trochę. Wiem, że sięganie w dół wymaga sporego wysiłku.

Lada moment spodziewał się cudu.

Spencer otworzył drzwi pikapa i nagle przestraszył się, że zgubił kluczyki. Na szczęście znalazł je w kieszeni kurtki.

Zanim zdążył usiąść za kierownicą i zapalić silnik, Rocky siedział już na tylnym siedzeniu, a Ellie na przednim, obok kierowcy. Na udach położyła sobie poduszkę z motelu, a na niej laptop. Czekala na zasilanie z prądnicy.

Kiedy silnik zapalił, włączyła komputer i powiedziała:

– Nigdzie jeszcze nie jedź.

– Jesteśmy teraz jak tarcze na strzelnicy.

– Muszę przedtem połączyć się z Godzillą.

– Z Godzillą?

– Z systemem, z którym byłam połączona, zanim wysiedliśmy z samochodu.

– Co to jest Godzilla?

– Póki będziemy tu spokojnie siedzieli, prawdopodobnie nie podejmą żadnych działań, tylko będą nas obserwowali i czekali na nasz ruch. Ale kiedy ruszymy, będą musieli zareagować, a nie chcę, żeby się zbliżali, dopóki nie będziemy na to przygotowani.

– Co to jest Godzilla?

– Óóóó. Muszę się skupić.

Spencer wyjrzał przez okno w stronę pól i wzgórz. Śnieg nie lśnił już tak jasno, ponieważ księżyc zbliżał się i zaczynał zachodzić. Spencer był wyszkolony w prowadzeniu obserwacji z ukrycia zarówno na

terenach wiejskich, jak i w mieście, ale mimo to nie mógł dostrzec nigdzie agentów organizacji, chociaż wiedział, że muszą być w pobliżu.

Palce Ellie biegały z wprawą po klawiaturze. Na ekranie pojawiały się dane i wykresy.

Spoglądając ponownie na zimowy krajobraz, Spencer przypomniał sobie śnieżne fortyfikacje, zamki, tunele i starannie przygotowane tory saneczkowe. Przypomniał sobie, z jaką uciechą pracował nad ich budową, a potem korzystał z nich. Przypomniał sobie bezgrzeszne lata dziecięcych fantazji i radości. Wspomnienia były mgliste, ale wydawały się możliwe do dokładniejszego odtworzenia, gdyby poświęcił im trochę czasu. Przez wiele lat nie potrafił odtworzyć w pamięci żadnego przyjemnego zdarzenia z dzieciństwa. Lipcowe wypadki nie tylko zmieniły jego dalsze losy, ale wpłynęły na widzenie własnego życia przed ową nocą sowy, szczurów, skalpela i noża.

Przy budowaniu zamków ze śniegu czasem pomagała mu matka. Uzmysłowił sobie, że jeździli razem na sankach. Szczególnie lubili jeździć po zmierzchu. Nocne powietrze było orzeźwiające, a czarno-biały świat wydawał się bardziej tajemniczy. Mając nad głową miliardy gwiazd, można sobie było wyobrazić, że sanki stanowią raketę mknącą w kosmos.

Pomyślał o grobie matki w Denver i po raz pierwszy od chwili, gdy wraz z dziadkami przeniósł się do San Francisco, zapragnął go odwiedzić. Chciał usiąść przy jej grobie i wspominać noce, kiedy jeździli na sankach pod rozgwieżdżonym niebem, a jej dźwięczny śmiech niósł się jak muzyka po ośnieżonych polach.

Rocky, stojąc na tylnych łapach, zawisł przednimi na oparciu fotela Spencera i z miłością lizał mu policzek.

Spencer przekręcił się na siedzeniu i pogłaskał go po łbie i szyi.

– Pies Rocky, potężniejszy niż lokomotywa, szybszy od pocisku, przeskakujący drapacze chmur, postrach wszystkich kotów i dobermanów. Skąd ci się to wzięło, hmmm? – Podrapał go za uszami, a potem delikatnie wodził palcami po uszkodzonej chrząstce, która sprawiała, że lewe ucho psa zawsze zwisało. – Czy ten, który ci to zrobił, był podobny do człowieka w podziemiach? A może miał podobny zapach? Czy wszyscy źli ludzie pachną tak samo? – Rocky słuchał z wielką uwagą. – Pies Rocky, futrzasty bohater, powinien być główną postacią komiksu. Pokaż zęby, przestrasz nas trochę. – Rocky tylko dyszał. – No, już, pokaż zęby – powiedział Spencer, wydobywając z głębi gardła warkot i odsłaniając własne. Rocky lubił tę zabawę. Obnażył także zęby i zaczął warczeć, nos w nos ze swoim panem.

– Gotowe – rzuciła Ellie.

– Dzięki Bogu – ucieszył się. – Kończą mi się pomysły, co robić, żeby się nie zanudzić.

– Musisz ich wypatrzeć. Ja też będę wyglądała, ale mogę żadnego nie zauważyć.

Wskazując ekran, zapytał:

– To jest Godzilla?

– Nie. To jest plansza, na której rozegram grę z Godzillą. Jest to siatka współrzędnych, obejmująca pięć akrów, na których znajduje się dom i stajnia. Każde z oczek siatki na ekranie reprezentuje w terenie kwadrat o boku sześciu jardów. W Bogu pokładam nadzieję, że moje dane wejściowe – to znaczy mapy posiadłości i parametry wyciągnięte z rejestrów urzędowych – są dostatecznie dokładne. Widzisz ten zielony kształt? To jest dom. A ten widzisz? To jest stajnia. Tu, przy końcu podjazdu są inne stajnie. Ten migający punkt – to my. Spójrz na tę linię – to jest droga wiejska, którą chcielibyśmy odjechać.

– Czy to jest oparte na którejś z twoich gier komputerowych?

– Nie. To jest diabelnie ryzykowna rzeczywistość – odparła. – Ale cokolwiek się stanie, Spencer...

wiedz, że cię kocham. Nie wyobrażam sobie nic lepszego, niż spędzić z tobą resztę życia. Mam nadzieję, że to będzie więcej niż następne pięć minut.

Włączył bieg i chciał ruszyć, ale zawahał się. Szczere wyznanie sprawiło, że zapragnął ją pocałować, na wypadek gdyby pierwszy raz miał być zarazem ostatnim.

W tym momencie pojął wszystko i spojrzał na nią w osłupieniu.

– Czy Godzilla znajduje się teraz dokładnie nad nami?

– Tak.

– A więc to jest satelita, nad którym przejęłaś kontrolę?

– Oszczędzałam te kody na dzień, w którym będę rzeczywiście w sytuacji bez wyjścia, gdyż nie będę już mogła użyć ich powtórnie. Kiedy zwolnię Godzillę, jak już się stąd wydostaniemy, zablokują go i przeprogramują.

– Co satelita robi poza tym, że patrzy w dół?

– Pamiętasz te filmy?

– O Godzilli?

– Pamiętasz rozżarzony do białości oddech?

– Preparujesz coś takiego?

– Miała oddech, którym roztopiała czołgi.

– O Boże.

– Teraz albo nigdy.

– Teraz – powiedział i włączył wsteczny bieg, chcąc z tym skończyć, zanim będzie miał czas, żeby się zastanowić.

Zapalił reflektory, wycofał się spod stajni i okrążył ją, jadąc tą samą drogą, którą przybyli.

– Nie jedź za szybko – powiedziała. – Lepiej wycofać się na paluszkach.

Spencer zwolnił.

Minęli front stajni, skręcili na tyły i przejechali koło basenu. Nagle z otwartego okna na drugim piętrze domu, znajdującego się o czterdzieści jardów przed nimi i sześćdziesiąt jardów z boku, padł strumień intensywnie białego światła. Spencer spojrzał w tę stronę, ale oślepiiony nie zdołał spostrzec, czy w innych oknach nie ma snajperów.

Palce Ellie zagrały na klawiaturze.

Zerknął na ekran i zobaczył na nim żółtą linię odwzorowującą w terenie pas szerokości dwóch jardów, długi na dwadzieścia cztery, oddzielający ich od domu.

Ellie przycisnęła klawisz ENTER.

– Zmruż oczy! – zawołała, a Spencer równocześnie krzyknął: – Rocky, leżeć!

Z przestworzy padł na ziemię strumień niebiesko-białego żaru. Nie był rozproszony, czego Spencer się obawiał, niewiele jaśniejszy niż światło reflektora z domu, ale krańcowo inny niż wszystko, co Spencer kiedykolwiek widział na świecie. Strumień miał precyzyjnie zarysowane krawędzie boczne i wydawał się nie tyle promieniować światłem, ile raczej być nim. Struga atomowego ognia miała granice tak wyraźne, jak granica między wodą a powietrzem. Towarzystwo jej dudnienie – podobne do efektu sprężenia zwrotnego w ogromnych głośnikach na stadionach – i nagłe zawirowanie powietrza. Przesuwaniu się światła wzdłuż trasy wytyczonej przez Ellie (szerokiej na dwa jarady i długiej na dwadzieścia cztery), przebiegającej w połowie dystansu między nimi a domem, towarzyszył hurgot podobny do podziemnego pomruku wstrząsów tektonicznych, który Spencer nieraz słyszał, tyle że znacznie głośniejszy. Ziemia zadrgała tak silnie, że samochód się zakołysał. Śnieg i ziemia

w dwujardowym pasie zamieniały się natychmiast w płomienistą, płynną masę, nie wiedział tylko, na jaką głębokość. Strumień sunął wzdłuż wytyczonego pasa, napotykając po drodze potężny platan, który w ułamku sekundy zniknął; nie zapalił się płomieniem, tylko zdematerializował, jak gdyby nigdy nie istniał. Zamienił się w światło i falę gorąca wyczuwalną nawet wewnątrz samochodu, stojącego o trzydzieści jardów dalej i mającego zamknięte okna. Wiele gałęzi, obciętych ostrą krawędzią strumienia, spadło na ziemię po obu stronach pasa, paląc się zwykłym płomieniem w miejscach odcięcia. Błękitno-biały nóż posuwał się na ukos między nimi a domem, minął w pewnej odległości samochód i kroczył dalej, przez dziedziniec, przez róg patia – zamieniając beton w parę – aż do końca ścieżki zakreślonej przez Ellie. Tam zniknął.

Pas ziemi, długości dwudziestu czterech jardów, szeroki na dwa jarady, był rozżarzony do białości, gotował się jak potok świeżej lawy wypływającej z głębi wulkanu. Magma kipiała w głębokim rowie, gulgocząc, wyrzucając w powietrze pióropusze czerwonych i białych iskier i zabarwiając śnieżne otoczenie na czerwonopomarańczowy kolor.

Całemu procesowi towarzyszył taki hałas, że gdyby chcieli rozmawiać, zamiast obserwować kataklizm – musieliby do siebie krzyczeć. Teraz wydawało im się, że zapanowała kosmiczna cisza.

Przebywający w domu ludzie z organizacji wyłączyli reflektor.

– Jedź – poleciła nagle Ellie.

Dopiero teraz Spencer zorientował się, że od dłuższego czasu stali.

Ruszył. Nie było żadnej reakcji. Jechali powoli przez jaskinię lwa. Nadal nikt im nie przeszkadzał. Przyspieszył trochę, gdyż sądził, że lwy musiały się nieźle przestraszyć.

– Niech Bóg błogosławi Amerykę – powiedział łamiącym się głosem Spencer.

– Och, Godzilla nie jest nasza.

– A czyja?

– Japońska.

– Japończycy mają satelitę z promieniami śmierci?

– Z ulepszoną technologią laserową. Mają ich osiem w swoim systemie.

– Myślałem, że są zajęci produkowaniem lepszych telewizorów.

Znów zajęła się komputerem, przygotowując następną linię obrony.

– Cholera, drętwieje mi prawa ręka.

Spojrzał na ekran i zobaczył, że wycelowała w dom.

– Stany Zjednoczone mają coś podobnego – wyjaśniła – tylko nie znam kodów dostępu do naszego systemu. Ci nasi durnie nadali mu nazwę Młot Kosmiczny, co nie ma nic wspólnego z jego istotą. Spodobała im się nazwa, ściągnęli ją z gry komputerowej.

– To ty stworzyłaś tę grę?

– Tak.

– Tak się nazywa jedna z atrakcji w wesołym miasteczku.

– Tak.

– Widziałem ją.

Mijali teraz dom, nie patrząc w stronę okien. Nie chcieli kusić losu.

– W jaki sposób udaje ci się manewrować tajnym japońskim satelitą obronnym?

– Za pośrednictwem DO – odparta.

– Departamentu Obrony.

– Japończycy nie wiedzą o tym, że DO może użyć Godzilli, kiedy tylko zechce. Korzystam z wejścia,

które departament zainstalował w nim znacznie wcześniej.

Przypomniawszy sobie, co powiedziała kiedyś na pustyni, gdy wyraził swoje zdumienie, słysząc o możliwościach obserwacji satelitarnej, i teraz to zacytował.

– „Byłbyś zdumiony, gdybyś wiedział, co tam nad nami wisi. Tego się nie da opisać”.

– Izraelczycy mają własny system.

– Izraelczycy!

– Tak, ten mały Izrael. Oni mnie najmniej martwią. A Chińczycy? Pomyśl o tym. Może Francuzi. Trzeba przestać kpić z paryskich taksówkarzy. Bóg wie, kto jeszcze dysponuje tą bronią.

Minęli już prawie dom.

Pocisk, który trafił w boczne okienko po stronie Ellie, miał tak ogromną szybkość, że wybił dziurę w hartowanej szybie, nie krusząc jej całkowicie. Przeleciał tuż za głową Ellie i uwiązał w oparciu fotela Spencera.

– Głupie bydlaki – powiedziała Ellie i znów przycisnęła ENTER.

Po raz drugi trysnął z przestworzy słup migotliwego niebiesko-białego światła, uderzając w dwupiętrowy dom wiktoriański i zamieniając w parę rdzeń o średnicy dwóch jardów. Reszta budynku eksplodowała i zapaliła się. Jeśli w zrujnowanym wnętrzu ktoś przeżył, to musiał uciekać, nie dbając o dalsze ostrzeliwanie pikapa.

Ellie była wstrząśnięta.

– Nie mogłam ryzykować, żeby trafili w łącze satelitarne na tylnej platformie. Gdyby im się to udało, mielibyśmy duże kłopoty.

– Rosjanie też to mają?

– To i coś jeszcze gorszego.

– Jeszcze gorszego?

– Wszyscy chcą za wszelką cenę mieć swoje warianty Godzilli. Na przykład Żyrynowski. Wiesz coś o nim?

– Jakiś rosyjski polityk.

Pochylając się znów nad klawiaturą i wprowadzając nowe polecenia, powiedziała:

– On i ludzie z nim związani, cała ich siatka, są twardegłowymi komunistami, którzy chcą panować nad światem. Tym razem wysadzą go w powietrze, jeśli będą znów przegrywali. Nie będzie już pełnych wdzięku krachów. I jeśli nawet znajdzie się ktoś dostatecznie mądry, żeby zlikwidować frakcję Żyrynowskiego, to wcześniej czy później pojawi się jakiś nowy maniak na punkcie władzy, nazywający sam siebie politykiem.

Zza kępy drzew i krzaków po prawej stronie, czterdzieści jardów przed nimi, wyjechał ford bronco. Stał na środku alei dojazdowej, zamykając im drogę ucieczki.

Spencer zatrzymał wóz.

Kierowca forda został za kierownicą, za to z tyłu wyskoczyli dwaj mężczyźni z karabinami snajperskimi i padli na ziemię w pozycjach strzeleckich, podnosząc broń do oczu.

– Padnij! – rozkazał Spencer, przytrzymując jej głowę poniżej poziomu okna i zsuwając się samemu z siedzenia.

– Niemożliwe – powiedziała, nie mogąc uwierzyć.

– A jednak możliwe.

– Zablokowali nam drogę?

– Dwaj snajperzy i bronco.

– Czy oni nic nie widzieli?

– Rocky, leż – polecił psu.

Pies znów zawisnął przednimi łapami na oparciu fotela, kiwając z podnieceniem głową.

– Leżeć, Rocky! – krzyknął ostro Spencer.

Pies zaskomlił, jakby urażony w swoich uczuciach, ale położył się na podłodze.

– W jakiej są odległości? – spytała Ellie.

Spencer zaryzykował szybkie wystawienie głowy i wrócił do poprzedniej pozycji. Pocisk uderzył w słupek okna, nie rozbijając szyby.

– Około czterdziestu jardów.

Wprowadzała nowe dane. Na ekranie pojawiła się żółta linia, z prawej strony drogi dojazdowej. Miała dwanaście jardów długości i zbliżała się pod kątem do bronco, ale kończyła się o jard lub dwa od krawędzi jezdni.

– Nie chcę trafić w jezdnię – powiedziała. – Rozpuszczą nam się opony, jeśli będziemy musieli przejechać przez płynny grunt.

– Pozwolisz mi nacisnąć ENTER?

– Serdecznie zapraszam.

Nacisnął klawisz i wyprostował się w fotelu, mrużąc oczy, kiedy Godzilla znów trafiała w wyznaczony pas. Ziemia zadrżała i rozległ się potworny grzmot, jak gdyby cała planeta rozpadała się na kawałki. Oślepiający strumień światła wędrował nieuchronnie wzdłuż wytyczonego kursu.

Nim Godzilla zdołała zamienić połowę trasy w rozżarzony do białości szlam, obaj snajperzy zostawili broń i rzucili się w stronę swojego samochodu. Zawisli na drzwiczkach bronco, a kierowca z piskiem opon zawrócił na asfalcie, przejechał krótki odcinek zamrożonej ziemi, przebił biały płot z desek, przeciął padok, staranował następnego płot i minął pierwszą ze stajni. Kiedy promień z Godzilli zatrzymał się tuż przed drogą dojazdową i zniknął, a noc stała się znowu cicha i ciemna, bronco był już daleko, niknąc w mroku pól, jak gdyby kierowca miał zamiar jechać prosto przed siebie, aż do opróżnienia baku.

Spencer dojechał do drogi publicznej, zatrzymał się i rozejrzał na obie strony. Nie było żadnego ruchu. Skręcił w prawo, w stronę Denver.

Przez pewien czas jechali w milczeniu.

Rocky znów stał na tylnych łapach, zawieszony przednimi na oparciu fotela Spencera, patrząc na drogę przed samochodem. Spencer znał go od dwóch lat, ale jeszcze nigdy nie zauważył, żeby Rocky oglądał się za siebie.

Ellie przyciskała ręką ramię. Spencer miał nadzieję, że jej przyjaciele w Denver będą umieli opatrzyć ranę. Cały zapas lekarstw, dobrany za pomocą komputera i zamówiony w różnych firmach farmaceutycznych, przepadł wraz z range roverem.

Odezwała się pierwsza.

– Zatrzymajmy się w Copper Mountain i postarajmy się o inny samochód. Ten jest już spalony.

– Dobrze.

Wyłączyła komputer i wyjęła wtyczkę z gniazdka. Na pokrytych śniegiem górach rozlewały się ciemne plamy lasów. Z tyłu za samochodem świecił księżyc, a niebo przed nimi roiło się od gwiazd.

Rozdział 15

Eve Jammer nie cierpiała Waszyngtonu w sierpniu. Prawdę mówiąc, nienawidziła go również we wszystkich innych porach roku. Lubiła go tylko w okresie kwitnienia wiśni. Przez pozostałą część roku był męczący: wilgotny, przeludniony, hałaśliwy, brudny i naszpikowany zbrodnią. Pełen nudnych, głupich, chciwych polityków, których jedyną pasją była zawartość ich własnych spodni albo zawartość kieszeni tych spodni. Miasto nie nadawało się na stolicę i często myślała o przeniesieniu jej – kiedy nadejdzie odpowiednia chwila – do innego. Może nawet do Las Vegas.

Jadąc swoim chryslerem w prażącym sierpniowym upale, nastawiła regulatory klimatyzacji i nadmuchu powietrza prawie na maksimum. Mroźne powietrze opływało jej twarz i ciało, podwiewając w górę spódnicę, ale mimo to ciągle było jej za gorąco. Część tego gorąca nie miała nic wspólnego z upałem: była podniecona do granic wytrzymałości.

Chryslera nienawidziła na równi z Waszyngtonem. Mając pieniądze i taką pozycję, jaką zajmowała, powinna jeździć mercedesem, a nawet rolls-royce'em. Jako żona polityka musiała jednak zwracać uwagę na opinię społeczną – przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Jeżdżenie zagranicznym samochodem było niewskazane.

Minęło osiemnaście miesięcy, odkąd spotkała Roya Miro i poznała swoje powołanie. Od szesnastu miesięcy była żoną ogólnie podziwianego senatora E. Jacksona Haynesa, który postanowił zostać kandydatem swojej partii w przyszłorocznych wyborach. Nie były to tylko pobożne życzenia. Wszystko zostało już zaaranżowane. Jego rywale popełnią takie lub inne błędy w czasie spotkań przedwyborczych, ustępując miejsca jemu – przyszłemu gigantowi politycznemu na arenie światowej.

W kontaktach osobistych czuła wstręt do Jacksona i nie pozwalała się dotykać z wyjątkiem wystąpień publicznych. Nawet w kwestii tych ostatnich istniało kilka stron regulaminu, których musiał nauczyć się na pamięć, określających dopuszczalne granice, do których mógł się posunąć. Wolno mu było brać ją w objęcia, pocałować w policzek i trzymać za rękę. Posiadane przez nią nagrania z jego tajemnego gniazdko w Las Vegas, ujawniające stosunki, które odbywał z kilkoma dziewczynkami i chłopcami w wieku poniżej dwunastu lat, pociągnęły za sobą jego natychmiastową zgodę na propozycję małżeństwa z jej strony, a ponadto na ściśle określone przez nią warunki ich związku.

Jackson nie uskarżał się ani zbyt często, ani zbyt uparcie na te warunki. Spodobał mu się pomysł zostania prezydentem. Natomiast bez archiwum nagrań zebranych przez Eve, które obciążały wszystkich spośród jego najpoważniejszych rywali, nie miał najmniejszej szansy na wejście do Białego Domu.

Przez pewien czas martwiła się, że niektórzy spośród polityków i handlarzy władzą, ogarnięci nienawiścią do niej, okażą się zbyt tępi, żeby pojąć, iż z klatek, w których są pozamykani, nie ma ucieczki. Gdyby ją zlikwidowali, wpadliby wszyscy w serię największych i najhulaneriejszych skandali politycznych w historii kraju. Przy tym nie skończyłoby się na skandalach. Wielu spośród owych sług narodu popełniło przerażające łajdactwa, których ujawnienie spowodowałoby rozruchy uliczne, nawet gdyby rozdano służbom porządkowym karabiny maszynowe, żeby je stłumić.

Kilku spośród największych twardzieli nie wierzyło, że poukrywała kopie nagrań po całym świecie ani że treść owych dysków laserowych miała zostać rozpowszechniona drogą radiową w ciągu kilku godzin po jej śmierci za pomocą wielu – w przeważającej części automatycznie działających – nadajników. Uwierzyli jednak, kiedy włączyła się do ich prywatnych odbiorników telewizyjnych – poprzez satelitę i sieć kablową, blokując przy tym wszystkich innych abonentów – i odtworzyła fragmenty z ich zarejestrowanych przestępstw. Słuchali zdumieni, siedząc w zaciszu domowym,

przerażeni, że te fragmenty idą na cały kraj.

Technika komputerowa potrafiła zdziałać cuda.

Niektórzy z twardzieli, w chwili gdy owe nieoczekiwane, całkowicie osobiste relacje pojawiły się na ekranach telewizorów, przebywali w towarzystwie żon lub kochanek. Na ogół ich drugie połowy były równie winne lub tak samo żądne władzy jak oni sami, a zatem skore do trzymania języka za zębami. Jednakże pewien wpływowy senator oraz pewien członek gabinetu prezydenta ożenili się z kobietami, hołdującymi dziwnym zasadom moralnym, które odmówiły utrzymania w tajemnicy tego, czego się dowiedziały. Nim jednak zdążyły wszcząć postępowanie rozwodowe i opowiedzieć wszystko prasie, obie zostały zastrzelone tego samego dnia, przy bankomatach. To tragiczne wydarzenie uhonorowano opuszczeniem do połowy na dwadzieścia cztery godziny sztandarów narodowych na wszystkich budynkach państwowych w całym mieście – i zgłoszeniem w Kongresie projektu ustawy nakazującej umieszczanie przy wszystkich bankomatach ostrzeżeń o ich zagrożeniu dla życia.

Eve przekręciła regulator klimatyzatora do samego końca. Gdy wspominała twarze tych kobiet, jak przystawiała im pistolet do głowy, robiło jej się jeszcze goręcej.

Od Cloverfield dzieliły ją tylko dwie mile, ale tłok na jezdniach waszyngtońskich był przeraźliwy. Miała ochotę trąbić i pokazywać wyprostowany palec kretnom, blokującym skrzyżowania, ale musiała zachować rezerwę. Przyszła pierwsza dama Stanów Zjednoczonych nie może sobie publicznie pozwolić na nieprzyzwoite gesty. Poza tym nauczyła się od Roya, że gniew jest słabością. Gniew należy powściągać i zamieniać na jedyne prawdziwie uszlachetniające uczucie – miłosierdzie. Ci marni kierowcy nie mieli zamiaru tamować ruchu; po prostu byli zbyt ograniczeni, żeby dobrze jeździć. Z pewnością życie ich nie oszczędzało. Zasługiwali nie na złość, tylko na miłosierne wysłanie do lepszego świata, gdyby tylko znalazł się ktoś, kto by im w tym pomógł.

Zastanawiała się nad zapisywaniem numerów rejestracyjnych, żeby móc w późniejszym czasie odnaleźć niektórych z nich i pospieszyć im z pomocą. Za bardzo się jednak śpieszyła, żeby wykrzesać z siebie dostateczne współczucie dla biedaków.

Nie mogła się doczekać, żeby dotrzeć do Cloverfield i podzielić się dobrą wiadomością o szczodrości tatusia. Jej ojciec, Thomas Summerton, pierwszy zastępca Prokuratora Generalnego Stanów Zjednoczonych, przepisał na nią – posługując się całym łańcuchem międzynarodowych trustów i korporacji – majątek wartości trzystu milionów dolarów, dający jej takie same możliwości manewru, jak zapisane na dyskach laserowych nagrania z dwóch lat, zrobione podczas pracy w pokrytym pajęczynami bunkrze w Vegas.

Najmądrzejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiła, było nie wyciąganie od ojca pieniędzy przed laty, wtedy gdy po raz pierwszy położyła na nim rękę. Zamiast tego poprosiła o pracę w organizacji. Ojciec uwierzył, że chciała pracować w bunkrze, bo to takie łatwe: było niewiele do roboty, więc siedziała, czytała magazyny i otrzymywała sto tysięcy dolarów rocznej pensji. Zrobił błąd, sądząc, że jest niezbyt rozgarniętą amatorską kurewką.

Niektórzy mężczyźni nigdy nie przestawali myśleć jak chłopcy. Tom Summerton był jednym z nich.

Lata temu, gdy matka Eve była utrzymanką jej ojca, powinien był potraktować ją lepiej. Kiedy zaszła w ciążę i nie zgodziła się na aborcję – wyrzucił ją. Już wówczas miał mnóstwo pieniędzy, a był równocześnie dziedzicem znacznie większego majątku. Pożerała go przy tym ambicja zrobienia kariery politycznej, choć jeszcze nie doszedł do wysokiego stanowiska. Mógł sobie bez najmniejszego uszczerbku pozwolić na przyzwoite zachowanie się wobec niej. Kiedy zagroziła mu, że rozgłosi całą sprawę i zepsuje mu reputację, wysłał paru najemnych zbirów, którzy ją pobili, tak że omal nie poroniła.

Od tamtej pory biedna mama już do końca życia była zgorzkniałą, bojaźliwą kobietą.

W czasie gdy ojciec był na tyle głupi, żeby mieć piętnastoletnią utrzymankę, bez wątpienia myślał zawartością swoich spodni. Później, kiedy powinien myśleć głową i sercem, zaczął rozumować zawartością kieszeni tych spodni.

Znowu kierował się zawartością swoich spodni wówczas, gdy pozwolił, żeby Eve go uwiodła – chociaż, naturalnie, nie wiedział, że jest jego córką. Do tego czasu zdążył kompletnie zapomnieć o jej biednej mamie, jak gdyby była przygodą na jedną noc, mimo że dmuchał ją przez dwa lata, zanim wyrzucił. Jeśli więc zachowało się w jego mózgu jakiegokolwiek związane z nią wspomnienie, myśl o możliwości posiadania wspólnego dziecka uleciała mu z pamięci na zawsze.

Eve nie tylko uwiodła go, ale doprowadziła do stanu zwierzęcej żądy, która już po paru tygodniach zrobiła z niego bezbronną ofiarę. Kiedy wówczas zaproponowała, żeby dla fantazji wyobraził sobie, że jest ojcem gwałcącym w łóżku własną córkę – był tym podekscytowany. Jej udawana obrona i pełne żalości krzyki pobudzały go do nowych wyczynów. Wszystko zostało sfilmowane z czterech stron, na taśmie wysokiej jakości, przy użyciu ultranowoczesnego sprzętu audiowizualnego. Poza tym zachowała pewną ilość jego spermy w celu przeprowadzenia analizy genetycznej i porównania z próbką jej krwi, żeby go przekonać, iż jest jego ulubioną córeczką nie tylko w wyobraźni. Taśma ze sceną gwałtu została niewątpliwie uznana przez władze za akt wymuszonego kazirodztwa.

Po zaznajomieniu się z tymi materiałami ojciec pierwszy raz w życiu pomyślał głową. Wiedział, że zabicie jej nie uratuje sytuacji, więc postanowił zapłacić za dyskrecję. Poczł się przyjemnie zaskoczony, gdy odmówiła przyjęcia pieniędzy, tylko poprosiła o bezpieczną, dobrze płatną pracę w służbie rządowej.

Było mu trochę mniej przyjemnie, gdy zechciała poznać znacznie więcej szczegółów na temat organizacji i jej tajnych działań, którymi się parę razy pochwalił, kiedy byli razem w łóżku, po paru dniach jednak dostrzegł sens wciągnięcia jej do organizacji.

– Jesteś sprytną małą dziwką – powiedział, gdy doszli do ugody. Objął ją ramieniem w geście prawdziwej miłości.

Po otrzymaniu tej pracy przestała z nim sypiać. Musiał się z tym pogodzić. Uważał wówczas, że określenie „sprytna” było dla niej najwłaściwsze. Przez długi czas nie wierzył, by potrafiła wykorzystać pracę dla własnych celów. Zmienił zdanie, gdy dowiedział się, że wyszła za mąż za E. Jacksona Haynesa po trwających dwa dni zalotach i wzięła większość najbardziej znaczących polityków pod obcas. Potem wróciła do niego, żeby zacząć dyskusję na temat dziedziczenia majątku – i wtedy to doszedł do wniosku, że „sprytna” było zbyt eufemistycznym określeniem.

Dojechała do końca drogi wjazdowej do Cloverfield i zaparkowała przy czerwonym krawężniku w pobliżu drzwi wejściowych, obok znaku zakazu zatrzymywania się. Przy przedniej szybie samochodu położyła jedną z kart wizytowych Jacksona, opatrzoną napisem „Członek Kongresu”, porozkoszowała się jeszcze przez moment zimnym powietrzem chryslera, a potem wysiadła w wilgoć i żar sierpnia.

Cloverfield, majestatyczny gmach z białymi kolumnami, był jednym z najświetniejszych budynków na obszarze Stanów Zjednoczonych. Przy wejściu powitał ją portier w liberii. Recepcjonistą przy głównym pulpicie w holu był dystyngowany Anglik, Danfield, chociaż nie wiedziała, czy to było jego imię, czy nazwisko.

Kiedy po chwili przyjaznej rozmowy Danfield wpisał ją do rejestru, poszła dobrze znaną drogą wzdłuż wyciszonych korytarzy. Na ścianach wisiały oryginały dawnego malarstwa amerykańskiego, zharmonizowane z zabytkowymi chodnikami perskimi leżącymi na wypolerowanej do lustrzanego połysku mahoniowej podłodze w kolorze ciemnego wina.

Wchodząc do apartamentu Roya, zobaczyła ukochanego, jak powłócząc nogami, spacerował z balkonikiem w rękach wokół pokoju. Dzięki staraniom najlepszych na świecie specjalistów i terapeutów odzyskał w pełni władzę w rękach. Wyglądało na to, że w ciągu kilku następnych miesięcy będzie mógł, co prawda kuśtykając, chodzić o własnych siłach.

Pocałowała go suchymi wargami w policzek. Zrewanżował jej się jeszcze suchszym pocałunkiem.

– Z każdą wizytą stajesz się coraz piękniejsza – powiedział.

– No, cóż, mężczyźni ciągle się za mną oglądają – odparła – ale nie tak jak zwykle... od chwili kiedy muszę się w ten sposób ubierać.

Przyszłej pierwszej damie Stanów Zjednoczonych nie wypadało stroić się jak byłej tancerce rewiowej w Las Vegas, która upajała się doprowadzaniem mężczyzn do obłędu swoim ubiorem. Teraz nosiła biustonosze, które przypląszczały i unieruchamiały jej piersi, żeby sprawiać wrażenie skromniej wyposażonej we wdzięki niż w rzeczywistości.

Nie była tancerką rewiową i nigdy nie nazywała się Jammer, tylko Lincoln – tak jak Abraham. Uczęszczała do szkół w pięciu różnych stanach i w Niemczech Zachodnich, gdyż jej ojcem był zawodowy wojskowy, który bywał wielokrotnie przenoszony z jednej bazy do drugiej. Skończyła Sorbonę i spędziła kilka lat, ucząc dzieci biedaków w królestwie Tonga, na południowym Pacyfiku. Tyle mógłby się dowiedzieć z wszystkich możliwych rejestrów najinteligentniejszy i najbardziej wścibski reporter, mający w dodatku do dyspozycji najpotężniejszy komputer.

Usiedli obok siebie na sofie. Na prześlicznym małym stoliku w stylu chippendale stały filiżanki z gorącą herbatą, wybór ciast, śmietana i dżem.

Jedząc, powiedziała mu o trzystu milionach dolarów, które ojciec na nią przepisał. Roy tak się ucieszył jej sukcesem, że aż łzy napłynęły mu do oczu. Był taki kochany.

Zacząli mówić o przyszłości.

Jednak jeszcze długo nie będą mogli spędzać ze sobą nocy bez uciekania się do różnych wybiegów. E. Jackson Haynes został poinformowany, że zostanie wybrany na prezydenta i obejmie urząd po złożeniu przysięgi dwudziestego stycznia, czyli za siedemnaście miesięcy. Nie został tylko poinformowany, że w następnym roku zginie wraz z wiceprezydentem. Za aprobatą znawców konstytucji i poradą Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, obie izby Kongresu podejmą bezprecedensową uchwałę o wyborze nowego prezydenta przez Kongres. Eve Marie Lincoln Haynes, wdowa po męczenniku, będzie kandydowała na ten urząd, zostanie wybrana zdecydowaną większością głosów i rozpocznie pierwszy rok swojej kadencji.

– Myślę, że rok żałoby wystarczy – powiedziała. – Co o tym sądzisz?

– W zupełności. Zwłaszcza że naród będzie cię uwielbiał i pragnął twojego szczęścia.

– Wtedy poślubię bohaterskiego agenta FBI, który wyśledził i zabił zbiegłego z więzienia maniaka, Stevena Ackbloma.

– Za cztery lata połączymy się już na zawsze – rzekł Roy. – To nie tak długo. Obiecuję ci, Eve, że cię uszczęśliwię, i stanę na wysokości mojej pozycji pierwszego dżentelmena.

– Tak będzie, kochanie.

– I od tej pory każdego, kto nie będzie zadowolony z jakichkolwiek twoich poczynań...

– ...potraktujemy z najwyższym miłosierdziem.

– Otóż to.

– Teraz przestańmy mówić o tym, jak długo musimy jeszcze czekać i przedyskutujmy twoje inne znakomite pomysły. Róbmy plany.

Przez dłuższy czas omawiali mundury dla wielu służb federalnych, które mieli zamiar stworzyć, koncentrując się szczególnie na rozwiązaniu dylematu, czy metalowe zatrzaski i zamki błyskawiczne są bardziej efektywne niż tradycyjne guziki.

Rozdział 16

Grupki młodych muskularnych mężczyzn i całe zastępy bajecznie atrakcyjnych kobiet w najbardziej skąpych kostiumach bikini opalały się w piekącym słońcu, przęcąc się i przybierając kuszące pozy. Dzieci budowały zamki z piasku. Emeryci w słomkowych kapeluszach siedzieli pod parasolami, chłonąc cień. Nikt nie myślał o oczach patrzących z wysokości ani o możliwości natychmiastowego zamienienia się w parę dla zachcianki polityków wielu różnych narodowości – a może nawet obłąkanego geniusza komputerowego, żyjącego w świecie fantazji cybernetycznej, mieszkającego wszystko jedno gdzie: w Cleveland, Londynie, Cape Town czy Pittsburghu.

Idąc brzegiem wzdłuż linii przyływu, mając po prawej stronie szereg ogromnych hoteli, stojących blisko siebie, potarł lekko policzek. Od sześciu miesięcy nosił brodę, która go swędziała, mimo że wcale nie była strzępiasta. Wprost przeciwnie – była gęsta i miękka, a Ellie twierdziła, że z brodą jest jeszcze przystojniejszy, jednakże podczas upalnego sierpniowego dnia na Miami Beach swędziała go, jakby miał pchły. Marzył o tym, żeby ją zgolić.

Ponadto polubił swoją nową twarz. W ciągu osiemnastu miesięcy, które upłynęły od czasu, kiedy Godzilla zaatakowała farmę w Vail, wybitny chirurg plastyczny w prywatnym oddziale pewnej kliniki angielskiej przeprowadził na jego bliźnie trzy kolejne zabiegi. Została zredukowana do cienkiej jak włos rysy, niemal niewidocznej – nawet gdy był opalony. Zmieniono mu również kształt nosa i podbródka.

W tym czasie używał wielu nazwisk, ale zarówno Spencer Grant, jak i Michael Ackblom były wykluczone. Dla najbliższych przyjaciół z ruchu oporu stał się Philem Richardsem. Ellie zachowała swoje imię, przyjmując Richards jako nowe nazwisko. Rocky reagował na Zabójcę równie dobrze jak na swoje właściwe imię.

Phil odwrócił się od morza i przeciskając się między ławicami plażowiczów, poszedł w kierunku gęstej zieleni, otaczającej jeden z nowych hoteli. W sandałach, białych szortach i kwiecistej koszuli hawajskiej nie wyróżniał się spośród tłumu podobnie ubranych turystów.

Basen hotelowy był większy niż boisko futbolowe. Miał kształt tropikalnej laguny, sztuczne skaliste brzegi i sztuczne wyspy do opalania się. W jego zacienionym końcu mieścił się wodospad wpadający do niego z wysokości dwóch pięter.

W grocie przy brzegu basenu, za ścianą spadającej wody krył się bar, do którego można się było dostać wprost z basenu lub idąc jego brzegiem. Wnętrze utrzymano w stylu polinezyjskim, udekorowano bambusami, suchymi liśćmi palmowymi i konchami. Roznoszące koktajle kelnerki nosiły figi, krótkie spódniczki z jaskrawej tkaniny w storczyki i dopasowane do nich góry od kostiumów bikini; wszystkie miały we włosach świeże kwiaty.

Przy małym stoliku pod ścianą grotu siedziała rodzina Padrakianów – Bob, Jean i ich ośmioletni syn, Mark. Bob pił colę z rumem, Mark – piwo korzenne, natomiast Jean nerwowo skubała serwetkę, zagryzając dolną wargę.

Phil podszedł do ich stolika i zaskoczył Jean, która go nie знаła.

– Cześć, Sally, wspaniale wyglądasz. – Objął ją i pocałował w policzek. Poczochrął czuprynę Marka: – Jak się masz, Pete? Chciałbym później popływać z tobą pod wodą, co ty na to? – Wymieniając z Bobem energiczny uścisk dłoni dodał: – Uważaj na swój brzuch, bracie, bo skończysz jak wuj Morty. – Potem usiadł przy nich i powiedział cicho: bażanty i smoki.

Kilka minut później po wypiciu drinka i ukradkowym przyjrzeniu się innym gościom baru – nikt z nich nie był szczególnie zainteresowany rodziną Padrakianów – Phil zapłacił za wszystkie napoje

gotówką i zaprowadził ich do hotelu, gawędząc o nieistniejącej wspólnej rodzinie. Przeszli przez chłodny hol i wyszli frontowym wejściem na prażące słońce. O ile mógł się zorientować, nikt ich nie obserwował ani nikt za nimi nie szedł.

Padrakianowie postąpili zgodnie z instrukcją telefoniczną.

Byli ubrani jak spragnieni słońca turyści z Nowego Jorku, aczkolwiek Bob posunął swoją maskaradę nieco za daleko, nosząc do bermudów czarne skarpetki i czarne klapki.

Przed wejście zajeżdżał minibus wycieczkowy z dużymi oknami po obu stronach i zatrzymał się przy nich. Napisy na foliach magnetycznych, przyłożonych do przednich drzwi, głosiły: „Atrakcje wodne kapitana Czarnobrodego”. Pod nimi, nad obrazkiem uśmiechniętego pirata, umieszczono szczegółowy wykaz owych atrakcji: wycieczki podwodne z przewodnikiem, wypożyczalnia skuterów, narty wodne, polowania na dużych głębokościach.

Kierowca minibusu wysiadł i obszedł go od przodu, żeby otworzyć przed nimi boczne przesuwne drzwi. Ubrany był w elegancką białą koszulę z marszczonego lnu i białe cienkie spodnie. Na nogach miał jasnoróżowe buty płócienne z zielonymi sznurowadłami. Mimo dziwacznej fryzury i srebrnego kółka w jednym uchu wyglądał równie inteligentnie i godnie jak wówczas, gdy nosił trzyczęściowy garnitur albo mundur kapitana policji w czasach, gdy Phil służył pod jego dowództwem w policji. Jego czarna skóra wydawała się w tropikalnym upale Miami jeszcze ciemniejsza i bardziej błyszcząca niż w Los Angeles.

Padrakianowie usiedli na tylnych siedzeniach, a Phil z przodu, obok kierowcy, który teraz, wśród nowych przyjaciół, nazywał się Ronald Truman – w skrócie Ron.

– Masz bajeczne buty – powiedział Phil.

– Moje córki wybrały mi takie.

– Widzę, że ci się podobają.

– Nie mogę zaprzeczyć. Są przewiewne.

– Idąc wokół samochodu, niemal tańczyłeś.

Ron uśmiechnął się.

– Wy, biali, zawsze zazdrościcie nam lekkości ruchów.

Ron mówił z tak angielskim akcentem, że Phil, gdy zamykał oczy, widział Big Bena. Przechodząc kurs, który miał jego mowę pozbawić śladów karaibskiej śpiewności, Ron odkrył w sobie talent do naśladowania akcentów i gwar. Był teraz człowiekiem o tysiącu dialektach.

– Muszę się przyznać, że mamy diabelnego stracha – odezwał się z tyłu Bob Padrakian.

– Jesteście już bezpieczni – zapewnił Phil, odwracając się i uśmiechając do trojga uciekinierów.

– Nikt za nami nie jedzie, chyba że patrzą na nas z góry – dodał Ron, chociaż Padrakianowie zapewne nie wiedzieli, o czym mówi. – Ale to mało prawdopodobne.

– Miałem na myśli to, że nawet nie wiemy, kim jesteście – wyjaśnił Padrakian.

– Jesteśmy waszymi przyjaciółmi – uspokoił go Phil. – Jeśli wasze kłopoty są podobne do moich albo Rona i jego rodziny, staniemy się dla was takimi przyjaciółmi, jakich nigdy nie mieliście.

– Nawet czymś więcej niż przyjaciółmi – dodał Ron. – Po prostu rodziną.

Bob i Jean patrzyli na nich z wyrazem niepewności i strachu. Mark był za młody, żeby się niepokoić.

– Poczekajcie chwilę i nie martwcie się – powiedział Phil. – Wszystko się wkrótce wyjaśni.

Zatrzymali się przy rozległym centrum handlowym i wysiedli. Wędrowali przez dziesiątki sklepów, aż weszli do jednego z mniej ruchliwych pasaży, przekroczyli drzwi oznaczone międzynarodowymi symbolami publicznych toalet i automatów telefonicznych i znaleźli się na zapleczu usługowym. Minęli

toalety i automaty i doszli do końca korytarza, gdzie mieściła się klatka schodowa, prowadząca w dół do jednego z dużych pomieszczeń dostawczych centrum, za którego pośrednictwem mniejsze sklepy, nie potrzebujące zewnętrznych ramp rozładunkowych dla kontenerów, otrzymywały towary.

Dwoje spośród czworga żaluzyjnych wrót dla ciężarówek było podciągnięte. W zatokach parkowały wprowadzone tyłem samochody dostawcze. Trzej umundurowani pracownicy sklepu delikatesowego w szybkim tempie rozładowywali ciężarówkę stojącą w zatoce numer cztery. Ustawiali kartony na ręcznych wózkach bagażowych i zawozili je do windy towarowej, nie zwracając uwagi na Phila, Rona i Padrakianów. Spora część kartonów opatrzona była nalepkami „Przechowywać w chłodni”, więc ich pośpiech był uzasadniony.

Z ciemnego wnętrza samochodu dostawczego zaparkowanego w pierwszej zatoce, znacznie mniejszego w porównaniu z osiemnastokołowym kolosem w czwartej, wyjrzał kierowca.

Kiedy się zbliżyli, zeskoczył na ziemię. Wszyscy pięcioro wdrapali się do wnętrza, jak gdyby jazda w skrzyni samochodu dostawczego była rzeczą całkowicie normalną. Kierowca zamknął za nimi drzwi i po chwili byli już w drodze.

Przestrzeń ładunkowa zacierała tylko warstwę wyściółki, używanej przez przewoźników mebli. Siedzieli na niej w kompletnych ciemnościach, nie mogąc rozmawiać ze względu na warkot silnika i głucho brzęczenie metalowych ścian.

Po dwudziestu minutach samochód stanął. Po dalszych pięciu otworzyły się tylne drzwi. Na tle oślepiającego blasku słońca zarysowała się sylwetka kierowcy.

– Szybko. Nie widać nikogo w pobliżu.

Znajdowali się na rogu parkingu przy plaży publicznej. Szyby i chromowane elementy zaparkowanych samochodów skrzyły się od refleksów promieni słonecznych. W powietrzu szybowały mewy. Phil czuł słony zapach wody morskiej.

– Już tylko parę kroków – powiedział Ron.

Ćwierć mili od miejsca, w którym wysiedli z ciężarówki, zaczynały się tereny kempingowe. Pomalowany na brązowy i czarny kolor samochód kempingowy o nazwie Road King był wielki, ale gubił się wśród wielu innych, równie wielkich, zaparkowanych pod palmami przy stanowiskach z wodą i elektrycznością.

Lekka bryza leniwie poruszała liśćmi palm. Sto jardów dalej, wzdłuż krawędzi załamujących się fal, po kobiercu z białej piany chodziły tam i z powrotem dwa pelikany. Poruszały się sztywno i majestatycznie, jak gdyby inscenizowały starożytny taniec egipski.

W saloniku Road Kinga trzy osoby pracowały przy komputerach. Jedną z nich była Ellie. Podniosła się z uśmiechem i pocałowała Phila.

Ten pogładził ją tkliwie po brzuchu i powiedział:

– Ron ma nowe buty.

– Już je widziałam.

– Powiedz mu, że bardzo zgrabnie się w nich porusza. To go ucieszy.

– Naprawdę?

– Poczuj się Murzynem.

– On jest Murzynem.

– Oczywiście, że jest, ale chciałby być jeszcze bardziej.

Oboje dołączyli do Rona i Padrakianów, siedzących w jadalni, mieszczącej siedem osób.

Ellie usiadła obok Jean Padrakian i ujęła ją za rękę, jak gdyby Jean była dawno niewidzianą siostrą,

której dotknięcie przynosiło jej otuchę. Miała w sobie owo szczególne ciepło, które wpływało rozluźniająco na całe otoczenie.

Phil patrzył na nią z uczuciem dumy i miłości, chociaż odrobinę zazdrościł jej łatwości nawiązywania kontaktów osobistych.

Po rozmowie Bob Padrakian, ciągle mając resztki nadziei, że kiedyś będzie mógł wrócić do dawnego życia, i nie mogąc w pełni pogodzić się z tym, które mu proponowano, powiedział:

– Straciliśmy absolutnie wszystko. Zgoda, otrzymam nowe nazwisko, nowe dokumenty i życiorys, do którego nikt nie będzie mógł mieć zastrzeżeń. Ale dokąd się teraz udamy! W jaki sposób mam zarobić na utrzymanie?

– Chcielibyśmy, żebyś pracował razem z nami – odparł Phil. – Jeśli ci się to nie spodoba... ulokujemy cię w nowym miejscu i damy ci pewien kapitał, żebyś mógł stanąć na nogi. Możesz żyć całkowicie odseparowany od ruchu oporu. Postaramy się nawet, żebyś dostał przyzwoitą pracę.

– Ale nie będziesz czuł się spokojny – powiedział Ron – bo teraz już wiesz, że w nowych uregulowaniach naszego prawa nikt nie jest bezpieczny.

– Wpadliście w kłopoty skutkiem waszych, to znaczy twoich i Jean talentów komputerowych. A ludzi z takimi kwalifikacjami ciągle mamy za mało.

Bob zmarszczył brwi.

– Co takiego moglibyśmy robić?

– Psuć im szyki na każdym kroku. Penetrować ich komputery, żeby dowiedzieć się, kogo mają zamiar zaatakować. Gdzie tylko możliwe, wyciągać tych ludzi spod topora, zanim uderzy. Niszczyć nielegalne akta policyjne na temat obywateli, którzy nie mają na sumieniu nic innego, jak tylko to, że cieszą się poważaniem. Jest mnóstwo do zrobienia.

Bob potoczył wzrokiem po wnętrzu karawanu i po dwojgu ludzi, pracujących przy komputerze.

– Wydajecie się dobrze zorganizowani i odpowiednio finansowani. Czy sponsoruje to ktoś z zewnątrz? – Spojrzał znacząco na Rona Trumana. – Niezależnie od tego, co się w tym kraju dzieje teraz albo co zdarzy się w najbliższej przyszłości, uważam się za Amerykanina i takim pozostanę.

Ron, zmieniając swój brytyjski akcent na przeciągły dialekt bagiennych obszarów Luizjany, powiedział:

– Jestem takim Amerykaninem jak pasztet z langusty, Bob. – Przerzucił się teraz na gwiarę środkowej Wirginii. – Mogę ci zacytować dowolny fragment dzieł Thomasa Jeffersona. Znam je na pamięć. Półtora roku temu nie mógłbym przytoczyć ani jednego zdania. Teraz zbiór jego prac jest moją biblią.

– Nasze finanse pochodzą z okradania złodziei – wyjaśniła Bobowi Ellie. – Włamujemy się do ich rejestrów komputerowych i przenosimy pieniądze na nasze konta za pomocą wielu sposobów, które z pewnością uznasz za pomysłowe. W ich księgowości jest tyle nieujawnionych funduszy przeznaczonych na łapówki, że przeważnie nie orientują się, że zostali okradzeni.

– Okradacie złodziei – zastanawiał się Bob. – Jakich złodziei?

– Polityków. Organizacje rządowe finansowane z „czarnych funduszy” przeznaczonych na tajne operacje.

Szybki tupot czterech łap oznajmił przybycie Zabójcy, który do tej pory drzemał w sypialni. Wszedł pod stół, chłozzcząc wszystkich ogonem po nogach i napędzając strachu Jean Padrakian. Potem wcisnął się między stół i siedzenia, wdrapując się przednimi łapami na uda Marka.

Chłopiec chichotał radośnie, kiedy pies lizał go z zapalem po twarzy.

– Jak on się nazywa?

– Zabójca – oznajmiła Ellie.

Jean zaniepokoiła się.

– Czy jest niebezpieczny?

Phil i Ellie spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się.

– Zabójca jest naszym ambasadorem życzliwości. Od chwili gdy łaskawie przyjął to stanowisko, nigdy nie mieliśmy kryzysu dyplomatycznego.

Od osiemnastu miesięcy Zabójca wyglądał inaczej. Nie był już jasnobrązowy, ciemnobrązowy, biały i czarny jak dawniej, kiedy jeszcze nosił imię Rocky. Teraz był jednolicie czarnym, anonimowym psem w stroju maskaradowym. Phil postanowił już, że kiedy sam zgoli brodę (jak najszybciej), pozwolą Zabójcy stopniowo wrócić do naturalnych kolorów sierści.

– Bob – powiedział Ron, wracając do przerwanej rozmowy – żyjemy w czasach, kiedy szczytowe osiągnięcia techniki pozwalają małej grupie totalitarystów inwigilować demokratyczne społeczeństwo i dyskretnie sterować wieloma dziedzinami polityki, ekonomii i kultury. Jeśli pozwoli im się bez sprzeciwu sterować zbyt wieloma i zbyt długo – staną się śmielsi. Zapragną ingerować w życie obywateli. Zanim społeczeństwo zorientuje się, co się stało, szansa stawienia oporu zostanie pogrzebana. Zgromadzone przeciw niemu siły będą już nie do pokonania.

– Wówczas dyskretne sterowanie może zmienić się w totalną dyktaturę – powiedziała Ellie. – Na tym etapie zostaną utworzone obozy „reedukacyjne”, żeby sprowadzić nasze niesforne dusze na właściwą drogę.

Bob był wyraźnie wstrząśnięty.

– Chyba nie sądzicie, że może rzeczywiście nastąpić coś tak barbarzyńskiego.

Zamiast odpowiedzieć, Ellie patrzyła mu w oczy tak długo, aż zdążył odtworzyć w pamięci wszystkie skandaliczne niesprawiedliwości, które ich spotkały, przez które znaleźli się tutaj.

– Chryste – wyszeptał, patrząc w zamyśleniu na swoje ręce splecione na stole.

Jean spojrzała na syna, który radośnie obejmował i czochrał Zabójcę, a potem na zaokrąglony brzuch Ellie.

– Bob, nasze miejsce jest tutaj. Tu jest nasza przyszłość i tak będzie najlepiej. Ci ludzie są pełni nadziei, która tak nam jest potrzebna. – Odwróciła się do Ellie. – Kiedy się urodzi?

– Za dwa miesiące.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewczynka.

– Wybraliście już imię?

– Jennifer Corrine.

– Bardzo ładne – pochwaliła ją Jean.

Ellie uśmiechnęła się.

– Na cześć matki Phila i mojej.

Phil zwrócił się do Padrakiana.

– My rzeczywiście mamy nadzieję. Mamy wystarczająco dużo nadziei, żeby będąc w ruchu oporu, zdecydować się urodzić dzieci. Nowoczesna technika ma również swoje dobre strony. Znasz się na niej. Lubisz ją tak samo jak my. Dobrodziejstwa, jakie przynosi ludzkości, znacznie przewyższają ewentualne kłopoty. Potencjalni Hitlerzy będą się rodzić zawsze. Nam przypadło w udziale wypowiedzieć im wojnę na nową broń: wojnę, w której bitwy stacza się nie na armaty, tylko na wiedzę.

– Przy czym armaty – zauważył Ron – też czasem są potrzebne.

Bob popatrzył na nabrzmiąły brzuch Ellie, a potem zwrócił się do swojej żony.

– Jesteś pewna?

– Oni mają nadzieję – powiedziała krótko Jean.

Jej mąż skinął głową.

– W takim razie przystajemy do was.

Nieco później, tuż przed zachodem słońca, Phil, Ellie i Zabójca poszli na spacer po plaży.

Ogromne czerwone słońce wisiało nisko nad zachodnim horyzontem, niknąc szybko za jego krawędzią.

Niebo na wschodzie, nad Atlantykiem, stawało się coraz rozleglejsze i głębsze, przybierając purpurowo-czarny odcień. Z jego głębi wypływało coraz więcej gwiazd, od wieków pomagających żeglarzom pływać po nieznanym wodach.

Phil i Ellie rozmawiali o Jennifer Corriner, o jej przyszłości, o butach, okrętach, wosku, o kapuście i o królach. Rzucali piłkę i gonili ją, współzawodnicząc z Zabójcą, mimo że on wygrywał wszystkie wyścigi.

Phil, który niegdyś miał na imię Michael i był synem diabła... który niegdyś nosił nazwisko Spencer i był przez wiele lat więźniem wspomnień o jednej lipcowej nocy – otoczył ramieniem plecy żony. Patrząc na wieczne gwiazdy, myślał o tym, że życie ludzkie jest wolne od więzów przeznaczenia z jednym tylko wyjątkiem: przeznaczeniem człowieka jest być wolnym.

Mroczy się na całym naszym zwierzęcym świecie

James Joyce, „Finnegan's Wake”